

BOYS OF TOMMEN #2, CZĘŚĆ 1

KEEPING 13

Zakochanie się było proste.
Trudna była cała reszta.

CHLOE WALSH



CHLOE WALSH

KEEPING 13
CZEŚĆ PIERWSZA

BOYS OF TOMMEN #2

TŁUMACZENIE
MATEUSZ GRZYWA

OŚWIĘCIM 2024

Tytuł oryginału

Keeping 13

Copyright © 2018 by Chloe Walsh

All rights reserved

Copyright © for Polish edition

Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne

Oświęcim 2024

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:

Magdalena Mieczkowska

Korekta:

Katarzyna Chybińska

Edyta Giersz

Estera Łowczynowska

Redakcja techniczna:

Mateusz Bartel

Projekt okładki:

Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8362-321-4

Spis treści

Od autorki

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Słowniczek

Przypisy

Dla Nikki Ashton, mojej drogiej przyjaciółki na całe życie

Od autorki

Niektóre sceny przedstawione w niniejszej historii mogą okazać się skrajnie przygnębiające, w związku z czym proszę o zachowanie ostrożności przy lekturze.

Ze względu na przekleństwa oraz dosadne sceny seksu i przemocy książka jest przeznaczona dla czytelników pełnoletnich.

Akcja toczy się na południu Irlandii około 2005 roku, a w treści pojawia się irlandzki slang.

Na końcu książki znajduje się słowniczek.

Ogromnie dziękuję, że wyruszyliście ze mną w tę podróż.

Z wyrazami wielkiej miłości

Chlo xxx

Rozdział 1

On albo my Shannon

– Wybieraj, mamó – powiedział Joey. – On albo my?

Zmarznięta do szpiku kości usiadłam na rozklekotanym krześle przy kuchennym stole, przykładając ścierkę do policzka, i wstrzymywałam oddech. Z dwóch powodów.

Po pierwsze, półtora metra ode mnie stał ojciec, i ta świadomość sprawiała, że moje ciało chciało się wyłączyć i gdzieś przepaść.

Po drugie, oddychanie sprawiało mi ból.

Odłożyłam nasączoną krwią ścierkę na stół, odwróciłam się, żeby oprzeć się bokiem o oparcie krzesła, ale wtedy moje ciało przeszył taki ból, że aż jęknęłam.

Miałam wrażenie, jakby ktoś zamarynował mnie w benzynie i podpalił.

Każdy skrawek mojego ciała *płonął* i wył w proteście, gdy tylko mocniej zaciągnęłam się powietrzem. Dotarło do mnie, że mam kłopoty. Działo się ze mną coś naprawdę niepokojącego, a jednak tkwiłam w miejscu, dokładnie tam, gdzie posadził mnie Joey. Nie miałam ani odrobiny siły do walki.

Jest źle.

Jest naprawdę źle, Shannon.

Nie mogłam znieść łkania i kwilenia moich młodszych braci, którzy kulili się za Joeyem.

Ale nie mogłam też na nich spojrzeć.

Wiedziałam, że gdybym spojrzała, tobym się załamała.

Skupiłam się więc na Joeyu, który wpatrywał się w rodziców i żądał *więcej*, a ja czerpałam siłę z jego odwagi i męstwa.

Z jakim próbował uratować nas przed życiem, z którego nie potrafilismy się wyrwać.

– Joey, gdybyś mógł na chwilę się uspokoić... – zaczęła mama, ale mój brat nie dał jej skończyć.

Kipiał ze złości, aż w końcu eksplodował niczym wulkan tam, gdzie stał – na środku naszej zapuszczonej kuchni.

– Nawet, kurwa, nie próbuj się wykręcić gadaniną! – Wbił oskarżycielsko w matkę palec i warknął: – Choć raz w jebanym życiu zrób, co trzeba, i się go pozbądź.

Gdy błagał ją, żeby go wysłuchała, wyczułam w głosie Joeya rozpacz, bo właśnie dogasały w nim ostatnie iskry wiary w matkę.

Mama po prostu usiadła na podłodze i przenosiła wzrok po kolei na każde z nas, ale do żadnego nie podeszła.

Nie, została na miejscu.

U jego boku.

Wiedziałam, że się go boi, sama doskonale znałam przerażenie, jakie budził ten mężczyzna, ale przecież ona była dorosła. Powinna być dojrzała, powinna być matką. To ona powinna nas chronić, a nie osiemnastoletni chłopak, na którego barki spadło to całe brzemie.

– Joey – wyszeptwała, patrząc na niego błagalnie. – Czy moglibyśmy tylko...

– On albo my – powtarzał Joey bez końca coraz zimniejszym tonem. – On albo my, mamó?

On albo my.

Trzy słowa, które powinny być ważniejsze od wszystkich pytań, które w życiu słyszałam. Problem polegał na tym, że w głębi serca wiedziałam, że niezależnie od odpowiedzi i bez względu na to, jakie kłamstwo zaserwuje sobie i nam, ostateczny rezultat będzie taki sam.

Zawsze był taki sam.

Myślę, że w tym momencie moi bracia też to zrozumieli.

Joey na pewno.

Wyglądał na tak potwornie rozczarowanego, kiedy stał przed matką i czekał na odpowiedź, która przecież nic by nie zmieniła, bo czyni przemawiają donośniej niż słowa, a nasza matka była żywą, oddychającą kukiełką, za której sznurki pociągał ojciec.

Ona nie mogła podjąć żadnej decyzji.

Nie bez jego zgody.

Bracia na pewno modlili się o jakieś wielkie rozstrzygnięcie, ale ja wiedziałam, że nie będzie żadnego przełomu.

Nic się nie zmieni.

Nic się nie poprawi.

Może nawet wyciągnęlibyśmy apteczkę, zmylibyśmy krew, wytarlibyśmy łyzy, i wymyślili jakąś historijkę, żeby wszystko wyjaśnić, ojciec zniknąłby na dzień czy dwa, a potem wszystko wróciłoby do normy.

Złożone obietnice – złamane obietnice. Oto motto rodziny Lynchów.

Byliśmy zrośnięci z tym domem jak dąb z własnymi korzeniami. Nie było stąd ucieczki. Przynajmniej dopóki nie dorośniemy i nie będziemy mogli się wynieść.

Byłam już zbyt zmęczona, żeby o tym myśleć, więc po prostu przygarbiłam się na krześle, przyjmując to wszystko, czyli nic, do wiadomości. Jakby ktoś przypomniał mi o wyroku odsiadki bez możliwości przedwczesnego wyjścia.

Pochyliłam się, złapałam za zębra i czekałam na koniec tego wszystkiego. Adrenalina szybko ze mnie ulatywała, a zastępował ją ból przerastający moją wytrzymałość. Smak krwi w ustach był wyraźny i mocny, a przez brak powietrza w płucach zaczynało kręcić mi się w głowie. Moje palce to drętwiały, to mrowiły.

Bolało mnie wszystko, miałam dość.

Miałam już kompletnie dość tego bólu i tych bzdur.

Nie chciałam żyć w świecie, na który przyszłam.

Nie chciałam tej rodziny.

Nie chciałam tego miasta ani jego mieszkańców.

Nie chciałam tego wszystkiego.

– Chcę, żebyś coś wiedziała... – wycedził Joey, gdy długo nie odpowiadała. Lodowatym tonem wypływał słowa, które piekły go od środka niczym jad i które musiał wypędzić z głębokich szczelin pękniętego serca. – Wiedz, że nigdy nie nienawidziłem *go* tak bardzo jak ciebie w tej chwili. – Cały się trząsał, miał zacisnięte pięści. – Wiedz, że nie jesteś już moją matką, choć może powinienem zacząć od tego, że nigdy nie miałem matki. – Zacisnął usta, bo nie chciał, żeby wylał się z niego cały ból. Duma nie pozwalała mu odsłonić przed tymi ludźmi wszystkich emocji. – Od tej chwili jesteś dla mnie martwa. Zachowaj całe swoje gówno dla siebie. Gdy znów będzie chciał cię uderzyć, już cię nie osłonię. Gdy następnym razem wszystko przechleje i nie będziesz miała za co nakarmić dzieci albo zapłacić za prąd, szukaj forsy u innego frajera. Gdy następnym razem

zrzuci cię ze schodów albo złamie ci rękę w alkoholowym szale, odwróć wzrok, dokładnie tak jak ty dziś w tej kuchni. Od dziś przestaję cię przed nim chronić, bo ty nie chronisz przed nim nas.

Krzywiłam się po każdym słowie, które wylewało się z jego ust, i czułam, jak w najczarniejszej głębi duszy jego ból miesza się z moim.

– Nie odzywaj się tak do matki – warknął ojciec groźnie, podnosząc do pionu swoje stukilowe cielsko. – Ty niewdzięczny, zasmarkany...

– Nie waż się do mnie odzywać, podła kupo gówna – ostrzegł Joey, patrząc na niego spode łba. – Może i łączy nas krew, ale na tym koniec. Koniec z nami, starcze. Jak dla mnie możesz spłonąć w piekle. W zasadzie to mam, kurwa, szczerą nadzieję, że oboje w nim spłoniecie.

W tym momencie poczułam na ramieniu delikatny dotyk wilgotnej dłoni, wystraszyłam się i jęknęłam z bólu.

– Już dobrze – szepnął Tadhg. – Jestem tu.

Przymknęłam oczy, po moich policzkach pociekły łzy.

– Myślisz, że możesz tak do mnie mówić? – Tata wytarł twarz wierzchem ręki, rozsmarowując sobie po niej smugę krwi. – Musisz, kurwa, ochłonać, chłopcze...

– Mnie nazywasz chłopcem?! – Joey odrzucił głowę w tył i zarechotał bez odrobiny humoru. – Mnie? Który przez większość pierdolonego życia wychowuje twoje dzieci?! Który sprząta po was burdel i który haruje jak wół za swoich gównianych rodziców?! – Joey wyrzucił w górę rękę w oburzeniu. – Może i mam dopiero osiemnaście lat, ale jako mężczyzna już dawno cię przerosłem!

– Nie przeginaj... – warknął ojciec, szybko trzeźwiejąc. – Ostrzegam...

– Bo co, kurwa?! – odparował Joey, nonszalancko wzruszając ramionami. – Sponiewierasz mnie? Pobijesz? Skopiesz? Zlejesz pasem? Połamiesz mi nogi? Rozbijesz mi butelkę na głowie? Zastraszysz? – Joey pokręcił głową i dodał jadowicie: – Zgadnij co? Nie jestem już wystraszonego chłopczykiem, staruchu. Nie jestem już bezbronnym dzieckiem. Nie jestem bezbronną nastolatką, nie jestem twoją zmalretowaną żoną. – Zmrużył zielone oczy i dodał: – Więc rób, co chcesz, ale ostrzegam, że zrewanżuję ci się dziesięć razy mocniej.

– Wynoś się z mojego domu – syknął tata cicho. – I to już, chłopcze.

– Teddy, przestań! – zaskamlała mama, rzucając się w jego stronę. – Nie możesz...

– Zamknij mordę, kobieto! – ryknął ojciec, skierowując furię na mamę. – Rozwalę ci gębę! Rozumiesz?

Mama się wzdrygnęła i spojrzała na Joeya z wyrazem bezradności na twarzy.

– Nie możesz go wyrzucić... – Słowa mamy odpłynęły gdzieś w bok, wpatrywała się z czystym strachem w mężczyznę, za którego wyszła. – Proszę. – Po jej bladych policzkach spłynęły łzy. – To mój syn...

– Och, czyli nagle jestem twoim synem? – zaśmiał się gorzko Joey. – Nie potrzebuję twojego wstawiennictwa.

– To twoja wina, dziewczyno – warknął ojciec i wbił wściekły wzrok we mnie. – Kurwisz się po całym zajebanym mieście, ściągasz kłopoty na rodzinę! To ty jesteś tu problemem...

– Nawet nie próbuj – ostrzegł podniesionym głosem Joey. – Nawet na nią nie patrz, do cholery!

– Taka prawda – wycodził ojciec, nie odrywając brązowych oczu od mojej twarzy. – Zajmujesz tu tylko przestrzeń, zawsze tak było. Tłumaczyłem matce coś ty za jedna, ale nie chciała słuchać – dodał z okrutnym wyrazem twarzy. – Ale ja wiedziałem. Odkąd byłaś mała. Pierdolona czarna owca. Nie wiem, skąd się wzięłaś – wypluł te słowa, patrząc na mnie wilkiem.

Spojrzałam na człowieka terroryzującego mnie przez całe życie. Stał na samym środku kuchni, jak potężna siła, z którą trzeba się liczyć, a dwie silne ręce zakończone pięściami wyrządziły mi tyle krzywdy, że już straciłam rachubę. Ale najgłębiej ranił jego język, jego słowa.

– To kłamstwo, Teddy! – wydusiła mama. – Shannon, dziecinko, to nie...

– Nigdy cię nie chcieliśmy – kontynuował ojciec. – Wiedziałaś o tym? Matka zostawiła cię w szpitalu na tydzień, bo nie wiedziała, czy cię nie oddać, ale w końcu wyrzuty ją zjadły. Ale ja zdania nie zmieniłem. Nie mogę nawet na ciebie patrzeć, a co dopiero kochać.

– Shannon, nie słuchaj go – rzucił Joey ostro ciężkim od emocji głosem. – To nieprawda. Gnój się odkleił. Po prostu to ignoruj. Słyszysz mnie, Shan? Ignoruj go.

– Ciebie też nie chciałem – syknął do niego ojciec.

– Serce mi krwawi – odparł szyderczo Joey.

– No to jest nas więcej! – ryknął Tadhg, a ręka, którą trzymał na moim ramieniu, drżała. – Żadne z nas cię nie chce!

– Tadhg... – powiedział Joey niskim, ostrzegawczym tonem, ale w jego oczach błysnęła panika. – Cicho. Ja się tym zajmę.

– Nie, nie będę cicho, Joey – wydusił Tadhg z gniewem, jakiego żaden jedenastolatek nie powinien jeszcze znać. – To on jest, kurwa, problemem tej rodziny i musi to w końcu usłyszeć.

– Zabierz mi go sprzed oczu! – zawył ojciec na matkę, która trzymała się nieco dalej, zachowując dystans od nich obu. – Już, Marie! – zawył jeszcze głośniejszym głosem, mierzając w nią palcem. – Zabieraj tego małego bękarta, bo ja się nim zajmę!

– Tylko, kurwa, spróbuj – powiedział prowokująco Joey, chowając za plecami Olliego i Seana, którzy przywarli do jego boków.

– Nie! – załkała mama, stając między ojcem a Joeyem. – To ty musisz stąd iść.

Tata postąpił krok naprzód i matka odruchowo się skuliła, błyskawicznie zasłaniając twarz rękoma.

Wyglądała jak ucieleśnienie żalości.

Nigdy nie mieliśmy szans, żeby przeciwstawić się tym ludziom.

Jak to możliwe, że w ludzkim sercu strach miesza się z miłością?

Jak mogła go *kochać*, a równocześnie tak bardzo się go bać?

– Coś ty powiedziała?! – syknął wściekle. – Coś ty, kurwa, do mnie powiedziała?!

– Idź – wykrztusiła mama, trzęsąc się jak osika i cofając o kilka kroków. – To koniec, Teddy. Mam dość, z nami koniec. Nie mogę już... Musisz *odejść*!

– Masz dość? – zapytał jadowniczo, mordując ją wzrokiem. – Myślisz, że mnie zostawisz? – zapytał i zaśmiał się okrutnie. – Należysz do mnie, Marie. Słyszysz? Do mnie, kurwa! – Zbliżył się do matki o kolejny krok. – Wymyśliłaś sobie, że możesz mnie wyrzucić? Albo odejść?

– Po prostu idź – wydukała. – Teddy, chcę, żebyś stąd poszedł! Wynoś się z naszego życia.

– Myślisz, że możesz sobie żyć beze mnie? Beze mnie jesteś *nikim*, suko! – ryknął ojciec, a jego wzrok wypełniło niepoohamowane szaleństwo. – Kobieto, odejść możesz tylko w trumnie. Prędeż cię zabiję, niż pozwolę odejść. Słyszysz? Prędeż spalę tę chałupę razem z tobą i twoimi pizdami.

– Przestań – zapłakał Ollie, który obejmował nogę Joeya. – Niech on przestanie – płakał, trzymając się kurczowo starszego brata, jakby ten mógł wszystkiemu zaradzić. – Proszę.

– A tyś się zamienił nagle w babę? – rzucił ojciec, patrząc na niego z obrzydzeniem. – Zmężniej, Ollie, mała popierdółko.

– Dość, Teddy! – wrzasnęła mama, łapiąc się za pierś. – Wynoś się!

– To mój dom, kurwa! – wyrzycał ojciec. – Nigdzie nie idę!

– W porządku – powiedział Joey spokojnie, po czym spojrział na naszych braci. – Ollie, wyjdź na zewnątrz i zabierz Seana. – Wyjął z kieszeni dzinsów komórkę i dał ją Olliemu. – Masz, zadzwoń do Aoife, dobra? Zadzwoń, to po nas przyjedzie.

– Nie, nie, nie... – Mama zaczęła panikować. – Joey, proszę, nie zabieraj mi ich.

Ale Ollie tylko kiwnął głową, złapał Seana za rękę i wybiegli razem z kuchni, bez wahania omijając wyciągnięte rozpaczliwie ręce mamy.

Jeden miał dziewięć lat, a drugi trzy i jej nie ufali. Chłopcy w tym niewinnym wieku wiedzieli już, że – świadomie czy nie – matka by ich zawiodła.

– Kazałam mu odejść... Kazałam mu, Joey. Proszę, przecież wybrałam ciebie. Oczywiście, oczywiście, że wybieram ciebie! – Podbiegła do niego, złapała go za bluzę kruchymi rękoma i spojrzała na niego z dołu. – Proszę, nie rób tego... Joey, proszę cię. Nie zabieraj moich dzieci.

– A po co jesteś im potrzebna, skoro nie potrafisz zapewnić synom bezpieczeństwa? – zapytał Joey, nawet nie drgnąwszy. Lecz matka się go uwiesiła, błagając o ostatnią szansę, i pewnie dlatego drżał mu głos. – Snujesz się w tym domu jak pierdolony duch – warknęła. – Jesteś jak tapeta na ścianie, mamó. Jak mysz. – Przeczesał blond włosy drżącą dłonią i syknął: – *Szkodzisz nam!*

– Joey, zaczekaj... zaczekaj! Proszę, nie rób tego. – Złapała go za rękę, padła na kolana i błagała dalej. – Nie zabieraj mi dzieci.

– Nie mogę ich tu zostawić – wydusił Joey, ciężko dysząc. – A ty podjęłaś decyzję.

– Ty nie rozumiesz! – krzyknęła rozpaczliwie, kręcąc głową. – Nie widzisz...

– Więc wstań, mamó – wydukał Joey, a w jego głosie też pojawiła się błagalna nuta. – Wstań z kolan i wyjdź z tego domu razem ze mną.

– Nie mogę! – załkała, kręcąc głową. – Zabije mnie.

– Więc umieraj – odparł po prostu Joey, tym razem głosem wypranym z emocji.

– Puść go, Marie – szczerknął ojciec złośliwie. – Wróci z podwiniętym ogonem. Bezużyteczna pizda. Nie przetrwa sam nawet dnia...

– Zamknij się! – krzyknęła matka najgłośniej, jak w życiu słyszałam. Zebrała się z podłogi, pociągając nosem, odwróciła na pięcie i wbiła w ojca wściekłe spojrzenie. – Po prostu się zamknij! To wszystko twoja wina. Rujnujesz mi życie. Niszczysz moje dzieci. Jesteś pierdolonym wariatem...

Grzmot.

Słowa matki przeszły w zbolące wycie, gdy pięść ojca spadła z pełną mocą na jej twarz. Padła na ziemię jak worek ziemniaków.

– Myślisz, że możesz tak do mnie gadać? – wycedził ojciec, patrząc na nią z góry. – Jesteś śmieciem, kurwo zajebana!

Joey szybko zapomniał o niedawnych groźbach. Jego ręce wystrzeliły w przód i mocno odepchnął ojca.

– Nie dotykaj mojej matki, kurwa! – Popchnął go drugi raz. – Nie dotykaj jej! – Kucnął, próbował podnieść mamę. – Mamó, proszę... – Załamał mu się głos, gdy przy niej klęknął. – Po prostu od niego odejdz. – Ujął jej twarz w zakrwawione ręce. – Coś wymyślimy, dobrze? Coś wykombinujemy, ale tu nie możemy zostać. Zajmę się tobą...

– Za kogo ty się, kurwa, uważasz – ryknął groźnie ojciec i rzucił się w stronę Joeya. – Myślisz, że pozjadałeś wszystkie rozumy, gówniarzu? Żeś lepszy ode mnie?! – Zacisnął wielką dłoń na karku Joeya i zmusił go do klęknienia. – Że możesz mi ją zabrać? Ona nigdzie nie idzie! – Docisnął, wprasowując czoło Joeya w kafelki na podłodze. – Mówiłem, że nauczę cię manier,

niewdzięczny bękarcie. – Wbił kolano w lędźwie Joya, całkowicie go unieruchamiając. – Uważasz się za mężczyznę, gówniarzu? No to pokaż matce, jaki z ciebie mężczyzna: klęczysz przede mną i becysz jak mała kurwa!

– Przestań! – wrzasnęła mama i pociągnęła ojca za rękę. – Zostaw go, Teddy!

– Lepszy ze mnie mężczyzna niż z ciebie – syknął Joey stłumionym głosem, bo musiał z całych sił opierać się miazdzącej masie ojca.

– Tak myślisz? – Ojciec szarpnął go za włosy do tyłu, po czym rąbnął jego głowę o posadzkę. – Jesteś kupą gówna, kmiocie.

Joey wypluł krew, wbił dłonie w podłogę i z trudem podniósł własny ciężar, rozpaczliwie i nieudolnie próbując wyrwać się z uchwytu ojca, który jeszcze raz wyrzwał jego głowę o kafelki. Moje uszy wypełnił odgłos miazdzonej kości, skręciło mnie w żołądku, ale Joey nie chciał się poddać.

– Tylko na tyle cię stać? – Obnażył zęby, na ich bieli załśniła czerwień krwi. – Tracisz formę, staruchu! – warknął, rzucając się wściekle w rękach ojca.

– Puść go! – krzyczała ciągle mama, szarpiąc ojca za ramię. – Teddy, zabijesz go!

– I dobrze! – ryknął ojciec, odrzucając matkę na bok jednym machnięciem ręki. – A ty będziesz następna, zdraдлиwa szmato!

Trzęsłam się jak opętana, chciałam coś zrobić, ale nie byłam w stanie nawet drgnąć.

Nie potrafiłam zmusić kończyn do ruchu.

Nie zostało mi nawet dość siły, by wstać z krzesła.

Lata podłego traktowania i cięgi, które dopiero co dostałam, doprowadziły do tego, że w wieku szesnastu lat nie potrafiłam o własnych siłach wstać z krzesła.

Pozostałam więc bezwładna i żalosna tam, gdzie posadził mnie Joey, krew spływała strumieniem po mojej twarzy, a serce biło w piersi coraz wolniej.

Dotarło do mnie, że umieram. Albo moje ciało przeżywało ciężki wstrząs. W każdym razie działo się ze mną coś poważnego. I nie potrafiłam pomóc jednemu człowiekowi, który zawsze pomagał mnie.

Wirowało mi w głowie, szklistym wzrokiem dostrzegłam, że Joeyowi udało się wykręcić w bok, kiedy zaczął walczyć z ojcem na podłodze.

Gdy ojciec znów znalazł się na górze, moje serce osunęło się w czarny odmęt żołądka. Jedną dłoń zacisnął na gardle mojego brata, a drugą zamknął w pięść, którą okładał jego twarz. Joey rzucał się wściekle, rozpaczliwie próbował się wyrwać, ale nie miał szans. Ojciec ważył przynajmniej dwadzieścia kilo więcej.

Joey zaraz umrze, wrzasnęło moje serce. Ratuj go.

Próbowałam.

Próbowałam jakoś pomóc, ale owładnięta paniką nie mogłam się nawet poruszyć.

Czułam się jak sparaliżowana.

– Pomóż jej... – wycharczał Joey, wypluwając jednocześnie krew. – Pomóż jej, kurwa!

Komu?

Komu, Joe?

Co kilka sekund czarniało mi przed oczyma, więc chyba stopniowo traciłam przytomność. Zdołałam pomyśleć, że to zły znak, że skrzywdził mnie bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

O wiele bardziej.

Zauważyłam kątem oka, że Tadhg podchodzi do kredensu. Szarpał za kolejne szuflady, wyciągnął nóż i bez zawahania rzucił się do ataku.

Zrób to. Wysyłałam do nieba nieme błagania, żeby natchnęły go odwagą. *Żeby po prostu to zrobił.*

– Zostaw mojego brata! – wrzasnął Tadhg, przystawiając ostrze noża do gardła ojca. Ręka nawet mu nie drżała, a wzrok wbił w ojca.

– Tadhg, odłóż nóż – załkała mama, zmierzając powoli w jego stronę. – Proszę cię, skarbie.

– Spierdalaj – odkrzyknął jej Tadhg, nie odrywając spojrzenia od ojca. – Zostaw. Mojego. Brata.

Zrób to, Tadhg, modliłam się w duchu. *Powstrzymaj go raz na zawsze.*

– Nie wygłupiaj się, chłopcze – parsknął ojciec, ale w jego głosie było zdecydowanie więcej obawy niż szyderstwa.

Dobrze.

Bój się.

– Nie jestem głupi – odpowiedział Tadhg lodowato. – I nie jestem taki jak Joey. – Dodał, zbliżając się o krok i wbijając końcówkę noża nieco głębiej. – Shannon mnie nie powstrzyma.

Serce mi pękło.

Miał jedenaście lat. Oto w kogo zdążyli go już zamienić.

Modliłam się, żeby zabił ojca. Żeby ostatecznie to wszystko zakończył.

Kim więc sama się stałam, do cholery?

Poczułam ochotę, by poprosić brata, żeby wbił nóż także we mnie, żeby naprawdę to wszystko się skończyło.

Oni byli tacy silni, a ja taka słaba.

Byłam za miękka.

Nie potrafiłam tak jak oni odbijać się od dna.

Poddałam się.

– Tadhg – wydyszał Joey z podłogi, jego pierś próbowała desperacko nabierać powietrza w płuca, bo ojciec ciągle trzymał go za gardło. – Już dobrze. – Miał twarz we krwi, znowu złamany nos. Obie dłonie zaciśnięte na ręce ojca. – Na spokojnie...

– Wcale nie jest dobrze, Joey – odparł Tadhg bez emocji. – Na pewno nie jest dobrze.

– I co zrobisz, chłopcze? – zapytał szyderczo ojciec. Wciąż siedział okrakiem na Joeyu, ale jego nabiegłe krwią oczy były coraz bardziej zaniepokojone i wpatrzone w młodszego syna. – Dźgniesz mnie?

– Tak.

Ojciec postanowił sprawdzić jego blef, wyciągnął rękę po nóż, ale szybko ją cofnął, bo po jego szyi spłynęła strużka krwi.

– Jezu Chryste, Tadhg! – ryknął, jego jabłko Adama podrygiwało nerwowo. – Drasnąłeś mnie!

– To natychmiast się kończy – powtórzył Tadhg, zbliżając się jeszcze o krok. – Złaż z mojego brata i wynoś się z tego domu raz na zawsze. Jak nie, to poderżnę ci gardło i zdechniesz.

Gdy ojciec puścił Joeya i wstał, nie byłam pewna, czy poczułam ogromną ulgę, czy gorzki żal.

Podejrzewałam, że trochę tego, trochę tego, choć pewności mieć nie mogłam, bo nie byłam w stanie sformułować żadnej spójnej myśli.

Byłam już zbyt wyczerpana, żeby podtrzymywać własny ciężar, osunęłam się w przód i położyłam policzek na stole. Oddychałam szybko i płytko, próbowałam znieruchomieć, żeby nie poruszać pokiereszowanymi kośćmi.

Wszystko tak bardzo bolało.

Zakrztusiłam się krwią spływającą mi z ust do gardła.

Trzęsąc się, opanowałam odruch wykrztuśny i po prostu zamarłam.

Poddałam się temu wrażeniu krwi spływającej do gardła i metalicznemu posmakowi na języku. Byłam zamroczona i coraz słabiej obecna, pozwoliłam powiekom opaść, odcięłam się od ich przekrzykujących się głosów. Skupiłam się na nierównym łomocie serca, który słyszałam w uszach.

– Pomóżcie jej, kurwa, dobra?!

Łup, łup, łup.

– Zabiję cię, Marie.

Ł... łup, łup, łup.

– Wypierdalaj stąd!

Łup... łup... łu... łup...

– Już nie żyjesz, babo.

Łup... łup... łu... łup...

Trzask drzwi.

Łuuuuuuup... łu... łu... łup.

Kocham cię, Shannon jak ta rzeka...

Łup! Łup! Łup! Łup!

Moje ciało było poturbowane, dołączył do tego jeszcze głęboki żal. Twarz Johnny'ego była jak światło straconej nadziei rozlewające się za moimi powiekami, gdy przyjmowałam podaną mi dłoń.

Z moich rzęs skapywały gorące łzy żółci i żalu, rozpryskiwały się na policzkach, mieszały z krwią.

Było mi tak smutno, jakby ktoś mnie okradł.

Może w innym życiu to wszystko mogło potoczyć się inaczej.

Może tam mogłam być szczęśliwa.

Myszę, że będę potrzebował cię już na zawsze...

– Co z nią? – usłyszałam czyjeś ostre pytanie, a głos tego kogoś brzmiał bardzo podobnie do głosu Aoife, dziewczyny Joeya. – Dlaczego krwawi z ust?!

Czego się boisz, Shannon? Nie skrzywdzę cię...

– Shannon! Shannon! Jezu Chryste, zróbcie coś!

Powiedz mi, kto podniósł na ciebie rękę, a ja wszystko naprawię...

– Patrz, co narobiłeś! – Dobiegł mnie krzyk matki.

Zaopiekuję się tobą...

– Dzwońcie po karetkę!

Będziesz ze mną bezpieczna...

– Ona umiera. Zabił moją siostrę. A wy nic nie robicie!

Nie pozwolę ci opaść... Trzymam cię...

– Dzwońcie po karetkę, kurwa!

Zostań ze mną...

Poczułam na twarzy dwie ciepłe ręce, rozkoszowałam się ich dotykiem.

– Słyszysz mnie? – Głos Joeya wypełnił mi uszy. – Zabiorę cię stąd, dobrze?

Po prostu mnie całuj...

– Shannon, słyszysz mnie?

Kocham cię, Shannon jak ta rzeka...

– Shan? – poczułam, że coś dotyka mojego oka. To palce Joeya unosiły moją powiekę. – Shannon, odezwij się do mnie, no już.

Otworzyłam oczy, zmusiłam się do skupienia wzroku na jego przerażonej twarzy.

– Sprowadzę pomoc, okej? – Zaczepnął powietrza w płuca. – Karetka już jedzie.

Otworzyłam usta, żeby odpowiedzieć, ale nie dobył się z nich żaden dźwięk.

Nie potrafiły sformułować potrzebnych mi słów.

– Shannon, oddychaj. – Mama przede mną kucnęła, potem uklękła obok Joeya, jedną dłonią dotykała mojej twarzy, a drugą przykładając mi do piersi woreczek mrożonego groszku. – Oddychaj, Shannon – powtarzała. – Oddychaj, skarbie.

Pomagało mi to?

Przeszkadzało?

Nie wiedziałam.

Wiedziałam tylko, że *nie mogłam* oddychać.

A najstraszniejsze, że miałam to gdzieś.

Nie panikowałam.

Nie bałam się.

Miałam po prostu... dość.

– Shan – powtórzył Joey, jego twarz zamieniała się w maskę trwogi. – Shannon, proszę cię. – Kucnął, załapał mnie za ramiona i delikatnie mną potrząsnął. – Jezu Chryste, Shannon, powiedz coś!

Próbowałam, ale nic nie powiedziałam.

Zakaszlałam, zaczęłam odkrztuszać obcy, metaliczny smak, z moich ust wydostał się gęsty i mokry glut.

Głowa opadła mi na bok, ale Joey złapał mnie za twarz i od razu ją naprostował.

– Aoife, daj kluczyki – wydusił, nie odrywając zielonych oczu od moich. Puścił mnie i gdzieś zniknął. – Sam ją zawiozę.

– Joey, nie ruszaj jej. Może mieć krwotok wewn...

– Kochanie, daj, kurwa, kluczyki!

Gdy przestał mnie podtrzymywać, od razu opadłam w przód i zawiesiłam się bezwładnie na matce.

– Już dobrze – szeptała, obejmując mnie i głaszcząc. – Wszystko będzie dobrze.

Szkoda, że nie potrafiłam utrzymać własnego ciężaru i musiałam na niej wisieć. Nie chciałam jej dotykać, ale nie miałam siły.

Ostatnie, co pamiętam, zanim wszystko zabrała ciemność, to dotyk biorącego mnie na rękę brata, a potem jego szept tuż przy moim uchu: „Nie zostawiaj mnie, nie zostawiaj mnie...”.

Rozdział 2

Naćpany, że szok

Johnny

Zero rugby przez przynajmniej sześć tygodni.

Ojciec.

Od przynajmniej siedmiu do dziesięciu dni odpoczynku w łóżku.

Ojciec.

Dotkniesz stopami murawy najwcześniej w maju.

Ojciec.

Naderwany przywódca, zrosty i pubalgia sportowa.

Ojciec.

Rehabilitacja.

– Kurwa!

Zacisnąłem ręce na pościeli, odrzuciłem głowę w tył i stłumiłem ryk, bo wiedziałem, że jeśli znowu wybuchnę, dadzą mi pieprzone środki uspokajające. Stąpałem po cienkim lodzie, bo pokoik pielęgniarek znajdował się kawałek za moją salką. Trafiłem na czarną listę, gdy wstałem, żeby iść się wyszczać, i padłem jak długi zaraz przy łóżku. Dostałem opiernicz za to, że nie wezwałem pomocy, przypomnieli mi, że mam wbity wenflon, a potem podali kolejny zastrzyk, cholera wie z czym. Mówili, że to na ból, ale byłem podejrzliwy. Byłem naćpany jak bela. Nikt nie potrzebował w organizmie aż takiej dawki prochów. Nawet ja, debil szczyjący się złamanym chujem.

– Jezu, kurwa, ja pierdołę.

Mrugnąłem, żeby rozgonić mgłę sprzed oczu, próbowałem się skupić na ścianie naprzeciwko łóżka, tej z zawieszonym telewizorem. Pat Kenny prowadził właśnie *The Late Late Show*, ale nie mogłem się skoncentrować. Co chwilę odpływałem, myśli prowadziły mnie z powrotem do tego jednego słowa, które brzmiało mi w głowie jak z zaciętej płyty.

Ojciec.

Ojciec.

Ojciec.

– Przestań! – warknąłem wściekle, choć byłem sam. – Po prostu przestań, kurwa, gadać.

Umysł sobie ze mną pogrywał, nakręcał mnie, sprawiał, że czułem niepokój, rozbudzał we mnie najczarniejsze przeczucia.

Niepokój był tak silny, że czułem jego smak.

Dupa, a nie środki przeciwbólowe.

Podali mi coś, co jebało mi w głowie.

Nikt mnie nie słuchał.

Ciągle wszystkim powtarzałem, że coś nie gra, a oni na to, że wszystko jest tip-top, a potem podawali mi jeszcze więcej tego cholerstwa, które właśnie krążyło w moich żyłach.

Wiedziałem, że nie mają racji, ale ledwie widziałem na oczy i nie potrafiłem nadać sensu własnym obawom.

Im mniej poważnie mnie traktowali, tym bardziej byłem niespokojny, aż w końcu topiłem się w obawie o coś zupełnie nieuchwytnego.

Koszmarne, kurwa, uczucie.

Cały mój umysł się telepał i wciąż rozbrzmiewało w nim tylko to jedno słowo.

Ojciec.

To słowo było powtarzane w kółko i w kółko wyłącznie jednym głosem.

Shannon.

Nie miałem pojęcia, dlaczego reagowałem tak, a nie inaczej, ale moje serce wpadało w amok. Wiedziałem o tym, bo za każdym razem, gdy o niej myślałem, maszynka nad moją głową zaczynała pikać i migać.

Kiepsko sobie radziłem z niepokojem. Nie byłem przyzwyczajony. Często nosiłem w sobie adrenalinę, pewnie, ale strach? Nie, za chuja nie radziłem sobie ze strachem. Zwłaszcza gdy tkwił w moim sercu i dotyczył innej osoby.

W końcu udało mi się wbić oczy w telewizor. *Co Pat robi w telewizji, do chuja ciężkiego?* – przemknęła mi przez głowę myśl. Przecież *The Late Late Show* leci w piątkowe wieczory, ale, hej, co ja tam, do cholery, wiedziałem? No chyba nie za wiele, skoro nie potrafiłem się nawet rozeznaczyć, jaki jest dzień.

Opadłem zrezygnowany na materac, odganiałem senność mruganiem i próbowałem trzeźwo myśleć.

Wściekle rzucałem głową na boki, musiałem się bardziej wysilić.

Coś tu nie grało.

W mojej głowie.

W moim ciele.

Czułem się jak w potrzasku, jak więzień tego zasranego łóżka, chujowo.

Wściekły na świat i wszystkich ludzi stukałem palcami w materac i jeszcze raz policzyłem wszystkie płytki na suficie.

Sto trzydzieści dziewięć.

Chryste, muszę się stąd wydostać.

Chciałem wrócić do domu.

Do *Cork*.

Tak, byłem na tyle zdesperowany, że nie chciałem zostać dłużej w Dublinie. Dopadła mnie chwila boskiego olśnienia i marzyłem już tylko o Ballylaggin, o powrocie do całkiem znajomego otoczenia.

Wrócić do domu z Shannon.

Jezu, porządnie to spieprzyłem.

Zareagowałem strasznie.

Zachowałem się jak imbecyl.

Ponownie napęczniała we mnie złość, a zaraz za nią kroczyły przygnębienie i zdruzgotanie, towarzyszące każdej myśli o czekającej mnie przyszłości... A o przyszłości myślałem każdego dnia.

Ból? Bolało jak jasna cholera, ale ciało było w tej chwili moim najmniejszym zmartwieniem. Bo straciłem kontrolę nad pieprzonymi zmysłami. Moja głowa odeszła, poszła na zatracenie, wróciła do *Cork* z jakąś jebaną dziewczyną.

Znudzony i niespokojny wyglądałem przez szpitalne okno na ciemniejące niebo, a potem znów patrzyłem w telewizor.

Jebać to.

Sięgnąłem po komórkę, niepewnie przewijałem listę kontaktów, próbując dostrzec nazwiska przez mgłę, aż znalazłem numer, który w ciągu kilku ostatnich godzin czy dni wybierałem przynajmniej z tuzin razy. Wcisnąłem „zadzwoń”.

Z najwyższym wysiłkiem trzymałem komórkę przy uchu i czekałem, wstrzymując oddech i wysłuchując wnerwiającego biiip, biiip, dopóki nie powitał mnie monotony głos poczty głosowej.

– Joey. – Podniosłem się, chciałem unieść ciało do pozycji siedzącej, ale tylko pociągnąłem za jakieś kable sterczące z mojego ciała. – Oddzwoń. – Poczuję jakieś ukłucie w nodze, sapnąłem, wypuszczając jednocześnie powietrze z płuc, ale skupiłem się na tym, żeby wyraźnie wypowiedzieć, a nie wybełkotać następne zdanie. – Muszę z nią porozmawiać. – Biorąc pod uwagę, że nie rozpoznawałem własnego głosu, byłem pewien, że mimo swoich starań i tak bełkotałem. – Joey, ja nie wiem, co się dzieje. Może najebało mi się we łbie, jestem naćpany, że szok, ale martwię się. Mam cholerne przeczucie, że...

Biip.

– A niech to...

Poczuję się totalnie pokonany, zakończyłem połączenie, wypuściłem komórkę z ręki na łóżko i padłem na poduszki.

Czy ja mam halucynacje, czy to wszystko są zwidy?

Nie, na sto procent leżę w szpitalu.

Na pewno była mnie tu odwiedzić.

Ale może skupiałem się na słowie „ojciec”, bo byłem taki zaskoczony, że gdy otworzyłem oczy, to zobaczyłem właśnie jego – własnego ojca.

Zaciskałem wargi prawie na miazgę, ale ignorowałem mrowienie i drętwienie, bo próbowałem trzeźwo myśleć.

Coś mi umykało.

Miałem wrażenie, że gdy chodzi o Shannon Lynch, to zawsze jestem trzy kroki do tyłu.

Ospały próbowałem utrzymać ostrość myśli, ale nie miałem szans w zderzeniu z ciepłutkim doznaniem, które zagnieździło się wewnątrz mnie i żądało, bym przymknął powieki i wchłonął wrażenie pustki.

Jeżeli chcesz wiedzieć, co się dzieje w jej głowie, to bądź tego wart...

– Spierdalaj, hurlerze Joey – wybełkotałem, zrzucając z siebie kołdrę. – *Jestem wart.* – Spuściłem stopy na ziemię, złapałem się kroplówki i podniosłem. Wszystkie mięśnie w moim ciele zaprotestowały przeciwko temu wyczynowi bólem, ale stłumiłem go i powlokłem się do drzwi.

– Johnny! – krzyknęła mama, gdy kilka minut później zobaczyła mnie na korytarzu. Trzymała w dłoniach dwa plastikowe kubeczki i gapiła się na mnie z przerażeniem. – Kochanie, czemu nie jesteś w łóżku?!

– Muszę wracać do domu – wysapałem, ciągnąc za sobą kroplówkę i świecąc przed całym szpitalem gołym dupskim wystającym spod szpitalnego fartucha, który resztkami sił trzymał się na moich szerokich barkach. – Natychmiast, mam – dodałem, odpychając się od ściany, na której chwilowo odpoczywałem, i ignorując ból rozrywający mnie na pół, po czym człapałem niepewnie przez korytarz. – Muszę jechać.

– Jechać? – obruszyła się mama. – Przecież dopiero co miałaś operację. – Podbiegła mnie podtrzymać, położyła dłonie na moim torsie i spojrzała groźnie. – Nigdzie nie jedziesz.

– Jadę – orzekłem, kręcąc głową, i próbowałem ją wyminąć. – Wracam do Cork.

– Po co? – zapytała stanowczo, ponownie mnie łapiąc i zastępując mi drogę. – Co się stało?
– Coś jest nie tak – wydukałem pomiędzy zawrotami głowy. – Shannon.
– Co? – Przez jej twarz przemknął cień niepokoju. – Co z Shannon?
– Nie wiem – warknąłem rozdrażniony bezradnością. – Ale *wiem*, że stało się coś złego. – Zmarszczyłem czoło, próbowałem dogonić własne myśli, nadać sens przecuciom, ale wymyśliłem tylko: – Muszę jej pomóc.
– Skarbie, to przez leki – odparła mama, obdarzając mnie tym paskudnym, współczującym spojrzeniem. – Po prostu nie jesteś sobą.
Pokręciłem głową jak wariat.
– Mamo – wyskrzeczając ochryple. – Mówię ci wyraźnie, że dzieje się coś złego.
– Skąd ta pewność?
– Stąd – wypuściłem powietrze z płuc, opadłem bezwładnie na ścianę i wzruszyłem ramionami – że to czuję.
– Johnny, kochanie, musisz się położyć i odpocząć.
– Nie słuchasz mnie – warknąłem ostro. – Mamo, ja wiem. Jestem, kurwa, pewien, okej?
– Czego?
Westchnąłem zrezygnowany.
– Nie wiem, czego, ale wiem, że powinienem wiedzieć! – wypaliłem sfrustrowany i zdezorientowany. – Ale ona wie i ja wiem, ale ona mi nie powie, ale przysięgam, że wszyscy wiedzą. Mamo, no, kurwa!
– Już dobrze, kochanie – powiedziała układnie i objęła mnie ramieniem. – Wierzę ci.
– Tak? – wychrypiałem, cały czas odpyływałem, ale byłem już nieco spokojniejszy. – No to chwala Bogu, bo nikt mnie tu nie słucha.
– Oczywiście, że ci wierzę – zapewniła, klepiąc mnie w pierś i prowadząc z powrotem w stronę salki. – I zawsze cię wysłucham, misiaczku.
– Na pewno?
– Mhm.
– Mamo, nie znoszę, gdy ktoś mnie okłamuje – dodałem, opierając się o jej szczupłe ciało swoim zdecydowanie zbyt dużym ciężarem. – A ona zawsze mnie okłamuje. – Gdy do moich nozdrzy zawędrował znajomy zapach, zmarszczyłem nos i zacisnąłem wargi, żeby opanować odrętwienie twarzy. – Mamo, ładnie pachniesz. – Powąchałem ponownie, zaciągnąłem się głęboko. – Pachniesz domem.
– To Jean Paul Gaultier – wyjaśniła mama, otwierając drzwi do mojej salki. – Używam tych perfum od zawsze.
– Ładnie pachną – przyznałem, przytakując sam sobie, gdy mama z mozołem wprowadzała mnie do środka.
– Cieszę się, że ci się podobają – zaśmiała się.
– I co mam niby teraz robić? – Spojrzałem krytycznie na łóżko, obserwowałem przez mgłę, jak mama odgarnia kołdrę i poklepuje materac. – Spać?
– Tak, powinieneś teraz spać, kochanie – stwierdziła zachęcająco i przekonująco. – Rano wszystko będzie wyglądało znacznie wyraźniej.
Zmarszczyłem nos.
– Jestem głodny.
– Johnathon, do spania.

– Już mi się nie podoba w Dublinie – burknąłem, padając na łóżko. – Chcą mnie tu zagłodzić. –
Przymknąłem oczy, moje ciało zagłębiło się w materac. – I jeszcze te pieprzone prochy.
Poczułem nakrycie kołdrą i pocałunek w czoło.
– Śpij, kochanie.
– Ojciec... – wymamrotałem, odpływając. – Nienawidzę tego słowa.

Rozdział 3

Oddychaj Shannon

– Shan, słyszysz mnie?

Joey?

– Jestem przy tobie.

Nie widzę cię.

Poczułam, że ktoś łapie mnie za rękę.

– Tylko ze mną zostań, okej?

Boję się.

– Nie zostawiaj mnie, proszę.

Nie chcę cię zostawiać.

– Już prawie jesteśmy, Shan.

Ale gdzie?

– Po prostu oddychaj, okej?

Nie pozwól mi umrzeć, Joey.

– Oddycha? Aoife, kochanie... oddycha?

Proszę...

– Nie wiem, Joe... Pełno tu krwi...

Pomóżcie!

– Pomóż jej jakoś! – usłyszałam szloch. – Zrób coś, żeby, kurwa, oddychała!

Nie chcę umierać...

Rozdział 4

Odkrycia, objawienia i kij w mrowisku

Johnny

W poniedziałek rano obudziłem się z czystą głową i w tsunami bólu.

Ale wiedziałem, że niezależnie od jego siły nie będę narzekał, bo pewnie znowu by mi coś wstrzyknęli.

Ulga w bólu poprzez zalewanie żył jakimś płynnym syfem to kiepski pomysł.

Poważnie. Od operacji przeważnie fruwałem w obłokach jak zasrany latawiec, bo za każdym razem, gdy cholerny lekarz albo pielęgniarka mnie sprawdzali, uznawali za konieczne nacisnąć pierdolony guzik przyczepiony do kabla wyłazącego z mojej ręki i wstrzyknąć mi do organizmu więcej tego cholerstwa.

Ekipa lekarzy, z którą widziałem się rano, orzekła, że bezpieczniej trzymać mnie pod wpływem środków uspokajających, które pozwolą mi odpocząć i wracać do zdrowia, ponieważ – pomijając pooperacyjne dziury w moim ciele – w sobotę byłem taki „zestresowany” i „nieskory do współpracy”, że wyszarpywałem te wszystkie kable i chciałem opuścić szpital.

Rodzice i Gibsie krążyli tu przez cały weekend, bez przerwy mnie odwiedzali, a ja byłem na kompletnym odlocie. Podobno wydzierałem się jak wariat... Krzyczałem coś o ojcach i rugby.

Tak, cholernie żenujące.

Dobrze, że tego nie pamiętałem.

Pierwszy raz od czterdziestu ośmiu godzin poczułem, że odzyskałem świadomość, usiadłem więc, ignorując ból w udach, i sięgnąłem po leżącą na szafce komórkę. Na szczęście ktoś miał dość oleju w głowie, żeby mi ją podpiąć do ładowarki.

Olałem talerz z jedzeniem pozostawiony przez pielęgniarkę na tacy łóżka, otrzeźwiłem się kilkoma mrugnięciami i przescrollowałem miliony nieodebranych połączeń i tysiące SMS-ów, które przyszły, odkąd w piątek wieczorem moje życie się zawaliło.

Cztery niedobre i nagranie na skrzynkę od trenera Dennehy.

Jezus Maria...

Przeszły mnie ciarki na samą myśl o tym, co miał mi do powiedzenia.

Uznałem, że nie czas na masochizm, i czym prędzej przeszedłem dalej.

Trzy wiadomości od Feely'ego. Pięć połączeń od Hughiego. Kilkadziesiąt wiadomości na grupowym czacie z chłopakami z Akademii. Kolejny milion od kumpli ze szkoły. Od fizjoterapeuty. Jedna od Scotta Hogana, ziomka z Royce. Kolejna od trenera personalnego. I jeszcze kilka od chłopaków, z którymi grałem w Ballylaggin. Wiele SMS-ów z nieznanymi numerami lub numerami, których sobie nie zapisałem. Dwie od pana Twomeya, dyrektora Tommen. Jedna od trenera Mulcahy. Siedem SMS-ów i dwanaście nieodebranych od Belli.

– Pierdolona Bella.

Sfrustrowany całkowicie olałem pocztę głosową i przebiłem się przez niezliczone życzenia powrotu do zdrowia, kasując wszystko od razu, aż ujrzałem pusty ekran.

Nic od Shannon.

Nawet króciutkiego SMS-a.

No dobra, nie miała w tej chwili komórki, ale Joey miał i znał mój numer.

Wkurzony wszedłem do listy kontaktów, znalazłem „Joeya hurlera” i wcisnąłem „zadzwoń”. Mój gniew narastał wraz z każdym sygnałem. Gdy połączyło mnie z jego pocztą głosową, miałem wrażenie, że zaraz wybuchnę.

Naćpany czy nie, wiedziałem, że przez weekend dzwoniłem do niego z tuzin razy, tyle pamiętałem. A nie lubiłem być ignorowany.

– Joey. – Ścisnąłem telefon zdecydowanie zbyt mocno, niż trzeba, i próbowałem utrzymać neutralny ton, choć kipiałem złością. – Muszę z nią porozmawiać. – Miałem w dupie, jak on to zinterpretuje. Miałem już wyjebane, co pomyślą inni. W żołądku dręczyło mnie niepokojące przeczucie, którego nie potrafiła stłumić żadna dawka snu ani szpitalnych prochów. – Posłuchaj... – Zacisnąłem powieki, chciałem się zachować dyplomatycznie, ale sromotnie poległem. – Wiem, że coś się tam odpierdoliło. – *Ładnie, Johnny, ładnie.* – To brzmi jak wariactwo. Wiem. *Wiem, okej?* Ale mam straszne przeczucia. – Jezu, nadawałem się do czubków. – Shannon coś mi powiedziała albo mi się to przyśniło, ale utkwilo mi to w głowie i nie potrafię... Posłuchaj, sam już nie wiem, ale muszę z nią pogadać. Muszę wyjaśnić pewien syf, dobra? Więc mógłbyś, kurwa, odbierać...

Piknięcie poinformowało mnie, że czas na nagranie wiadomości się skończył.

– Dupek – burknąłem pod nosem, rzuciłem komórkę na kolana i skrzywiłem się z bólu. Ostrożnie odłożyłem ją na szafkę, a potem odkryłem kołdrę, założyłem szpitalny fartuch i dokonałem pierwszych trzeźwych oględzin szkód.

Hmm. Przekrzywiłem głowę w bok, analizując samego siebie. *Nieźle.*

Moje biodra, oba uda i pachwiny były napuchnięte, paskudne i posiniaczone, a miejsca, które mi porzycinali, zasłaniały bandaże, natomiast trzy ulubione elementy mojego ciała były, że tak się wyrażę, w jednym kawałku. Kutas wisiał na swoim miejscu, a jaja dotrzymywały mu towarzystwa.

Przyglądałem się sobie ze zmarszczonym czołem. Czułem się osobliwie zbrukany tym, że ktoś ogolił mi jaja bez mojej zgody, ale postanowiłem się o to nie wkurzać. Prezentowałem właśnie samemu sobie imponujący półwzód, pewnie podekscytowałem się faktem, że nadal jestem w jednym kawałku, więc uznałem to za sukces.

Dziękuję ci, Panie Jezu.

Zakryłem się, odetchnąłem z ulgą i przysunąłem sobie tackę wyładowaną jedzeniem, bo mój apetyt właśnie powracał i pałał żądzą zemsty.

Nic ci nie jest, kontynuowałem wewnętrzne kazanie, przeżuając bekon. *Wyzdrowiejesz, wrócisz na boisko i wszystko będzie dobrze.*

Ale z nią nie będzie dobrze, syknął cichy głos gdzieś z tyłu czaszki. *I dobrze wiesz dlaczego.*

Rozrywając po barbarzyńsku kolejne paski bekonu, analizowałem i przerabiałem wszystkie chwile spędzone z Shannon Lynch od czasu, gdy trafiłem ją piłką, do momentu, w którym wyrzuciłem ją z tego pomieszczenia.

Uznałem, że to swego rodzaju mechanizm obronny. W ten sposób unikałem myślenia o nieuchronnej terapii i ryzyka stracenia możliwości powołania do kadry U20. Nie mogłem myśleć teraz o rugby, bo mógłbym nie wytrzymać nerwowo, skupiłem się więc na Shannon Lynch, obracając obsesyjnie w głowie każdy najdrobniejszy, nic nieznaczący szczegół, aż nabrałem pewności, że zaraz mnie rozsądzi.

Dzieje się coś złego.

Dzieje się coś złego, i dobrze o tym wiesz.

Otwórz ten zakuty łeb i myśl!

Rzuciłem na tacę nóż i widelec, odepchnąłem ją i ponownie sięgnąłem po komórkę. Jeszcze raz zadzwoniłem do Joeya, miażdżąc telefon w ręce i modląc się, żeby odebrał. Niepokój rozjątrzył się we mnie do tego stopnia, że po kilku minutach potrafiłem myśleć już tylko o niej. Gdy ponownie usłyszałem pocztę głosową, puściły mi nerwy.

– Posłuchaj mnie, chuju, wiem, że dostajesz moje wiadomości, więc odbierz ten zasrany telefon albo odpisz. Nie odpuszczę, dopóki z nią nie pogadam. Słyszysz? Nie zamierzam, kurwa jego mać...

– Dzieńdoberek – zaświergotała mama, wchodząc do salki, przerywając mój zaadresowany do poczty głosowej Joeya Lyncha monolog. – Jak się dziś miewa twój penis?

Panie, dodaj mi sił...

– Oddzwon – burknąłem, po czym się rozłączyłem i spojrzałem na matkę jak oniemiały.

– Przyniosłam trochę kwiatów – ciągnęła, nie czekając na moją odpowiedź, po czym położyła bukiet jakiegoś nieznanego mi kwiecica na tacy. – Byłeś bardzo zdenerwowany – mówiła z uśmiechem, poprawiając pościel na moim łóżku. – Pomyślałam, że kwiaty cię rozweselą.

– „Jak się ma mój penis”?! – szarpnąłem kołdrę i osłoniłem się po samą brodę, bo nie miałem pewności, czy zaraz nie zechce samodzielnie poszukać odpowiedzi na swoje pytanie. – Uważasz, że to normalne pytanie matki do syna?

– Wolałbyś, żebym nazywała go siusiaczkiem, kochanie? – odparła, wzruszając ramionami.

Jezusie Nazareński.

– Nie, mamę, mam więcej niż sześć lat, więc bym nie wolał – odburknąłem, obserwując ją bacznie, bo nadal krążyła w niebezpiecznych rejonach łóżka. – Nic mu nie dolega.

Przygryzła wargę z troską.

– Jesteś pewien...

– Jestem! – warknąłem, odganiając jej rękę, gdy jak podejrzewałem, zabrała się za odkrywanie kołdry. – Mamo, Jezu, rozmawialiśmy o tym. Musisz zacząć szanować moje granice!

Fuknęła zniecierpliwiona, przycupnęła na krawędzi łóżka i poklepała mnie po policzku.

– To może chociaż pokażesz go ojcu? – Spojrzała na mnie z wyrzutem. – Bardzo się martwię.

– Nie ma o co – burknąłem. – Wszystko z nim dobrze. Ze mną też. Obaj jesteśmy w zajebistej formie, mamę. Jestem w szpitalu, wiesz?

– Tak, ale...

– Więc zaufaj mi, jest dobrze. – Uniosłem oba kciuki. – Mamę, jest wybornie.

Westchnęła ciężko.

– Szczerze mówiąc, to nie wiem, czy będę jeszcze w stanie uwierzyć w choć jedno słowo, które wyjdzie z twoich ust. – Przygryzła wargę i posłała mi to okropne spojrzenie wielce zranionej matki. To, które zawsze tnie jak żyłotka, stworzone po to, żeby synowie czuli się jak gówna. – Naprawdę mnie zawiodłeś, Johnny.

Oczywiście, Panie Jezu, obróć nóż tkwiący w mojej ranie, bo czemu by nie...

– Mamę, wiem, Boże... Naprawdę mi przykro. – To była prawda. Natomiast wiedziałem, że nie odpuści, poszedłem więc na kompromis i z najwyższym trudem wycedziłem: – Gdy tata wpadnie, to mu pokażę. Żebyś poczuła się lepiej.

Uśmiechnęła się udobruchana, a ja opadłem na poduszki wdzięczny, że unik się udał.

– Byli rano lekarze?

– Tak, z samego rana – potwierdziłem.

Spojrzała na mnie wyczekująco.

– No i?

– Rano zwalniają mnie do domu.

– Tak prędko?

Przewróciłem oczami.

– Leżę tu już trzy dni, przecież nie miałem operacji serca.

– Wiem, ale... – Na jej twarzy znowu pojawiła się troska. – Kochanie, myślę, że powinieneś zostać w szpitalu jeszcze kilka dni. Odpoczynek zdecydowanie ci pomoże. – Nachyliła się i pogłaskała mnie po policzku. – Już wyglądasz na bardziej wypoczętego. Pomyśl, jak pomoże kilka dodatkowych dni.

– Będzie dobrze – odparłem. Czuję się naprawdę gównianie przez to, że obarczyłem ją dodatkowym stresem. – Znam zasady.

– A będziesz ich przestrzegał? – wymamrotała pod nosem.

– Nie spartolę tego – powiedziałem, patrząc jej prosto w oczy. – Na serio, mam. Będę odpoczywał w łóżku. Będę chodził na rehabilitację. Ale później wracam.

Mina jej zrzędała.

Zacisnąłem zęby, nie mogłem ulec jej szczenięcemu spojrzeniu.

– Johnny, uważam, że nie powinieneś więcej grać.

– Mam, będę grał – odparłem cicho.

– Nie.

– Mam, tak.

– Johnny, proszę cię.

– Tak.

– Nie mogę znieść myśli, że znowu coś ci stanie.

– Mam, zamierzam się zająć rugby – tłumaczyłem, pilnując, żeby brzmieć jak najłagodniej. – Wiem, że wybrałabyś dla mnie inną przyszłość, ale ja wybieram taką, okej? Nic mi nie jest, mam. Czuję się świetnie. Do tego się urodziłem. Nie mogę zrezygnować z gry dlatego, że się o mnie boisz. – Wzruszyłem ramionami. – To równie dobrze mogło się wydarzyć na pasach.

– Ale nie wydarzyło się na pasach – odparowała. – Lądowałeś na kolejnych szpitalnych łóżkach, a do ich zliczenia brakuje mi już palców u rąk, wyłącznie przez rugby. – Pokręciła głową. – Nie rozumiem, dlaczego tak się uparłeś, żeby robić sobie krzywdę.

– Nie musisz rozumieć – powiedziałem, wiedząc, że nie ma sensu jej tego tłumaczyć, gdy uparła się odwieść mnie od grania. – Musisz mnie po prostu wspierać.

– Dlaczego nie mogłeś wybrać golfa? – zaszlochała, chowając twarz w dłoniach. – Jesteś dobry w golfa, kochanie. Albo pływania, albo tenisa?

Wyciągnąłem rękę i poklepałem ją po plecach.

– Bo jestem rugbystą.

– Och, Johnny...

– Po prostu mnie wspieraj, mam – powtórzyłem szorstko. Usiadłem prosto i przytuliłem ją niezręcznie. – A ja obiecuję, że będziesz ze mnie dumna.

– Już jestem, jełopie – pociągnęła nosem, wytarła łzy. – I to nie ma nic wspólnego z cholernym rugby.

– Dobrze wiedzieć. Chyba – wymamrotałem.

– Okej, dość doprowadzania biednej matki do płaczu – powiedziała z wymuszonym uśmiechem, wstając. – Powiedz, jak się czujesz.

– Dobrze – odparłem, znowu wzmagając czujność. – Przecież już mówiłem.

– Emocjonalnie – dodała z naciskiem, przysuwając mi tacę z jedzeniem. – Chcę wiedzieć, co czujesz w sercu. – Rozłożyła serwetkę, położyła mi ją na kolanach i nalała herbaty z czajniczka. – Johnny, kochanie, zajadaj. Bo jak będziesz miał pusty brzuszec, to nie urośniesz.

– Poblížniony – wydukałem, łapiąc za widelec. – Jestem kurewsko poblížniony emocjonalnie, mamo.

– Uważaj na słowa – fuknęła i pacnęła mnie w potylicę lewą ręką, której przez większość życia unikałem tak, jak Neo unikał pocisków w Matriksie. – Zostałeś przez nas wychowany w domu, a nie wyhodowany w chlewie.

Ugryzłem się w język, wrzuciłem do ust już całkiem zimny płat boczku i zacząłem przeżuwać jak opętany.

– Grzeczny chłopiec – pochwaliła mnie i zmierzwiła mi włosy.

Panie, błagam, kurwa, ocal mnie przed tą kobietą...

– Jak się ma nasz bohater? – moje uszy wypełnił znajomy głos Gibsiego, dając mi chwilę wytchnienia od kobiety, która wisiała nade mną jak pieprzony helikopter.

– W porządku, stary – odparłem, wbijając wzrok w blond debila, który od dzieciństwa był moim najlepszym przyjacielem i współnikiem wszystkich zbrodni, a teraz stał w drzwiach szpitalnej salki, w której leżałem.

– Dzień dobry, Gerardzie – zaczęła pogodnie mama. – Wypałeś się, skarbie? Rano zostawiłam ci pod drzwiami świeże ubranie... – Zawiesiła głos, przyjrzała mu się dokładniej i uśmiechnęła się z aprobatą. – No, widzę, że je znalazłeś. Beż świetnie pasuje do twojej cery, myszko.

– Znalazłem, mamusiu K. – odpowiedział z uśmiechem, którym mógłby rozpuszczać masło. – Rozpieszczasz mnie.

Przewróciłem oczami.

– No dobrze, zostawię was samych, chłopcy... żebyście mogli nadrobić zaległości. – Cmoknęła mnie mocno w czoło, po czym ruszyła ku drzwiom, gdzie otrzymała całusa w policzek od Gibsiego. – Gdybyście mnie potrzebowali, będę w stołówce.

– Kocham tę kobietę – oświadczył Gibsie, gdy wyszła. Zmrużyłem oczy.

– Wiesz, że widelec to niezła broń...

– Jest taka kurewsko...

– Dokończ to zdanie, a stracisz oczy – ostrzegłem, unosząc sztucę jak oręż.

Gibsie zachichotał.

– Jak się czujesz?

– Jakbym wpadł w piątek pod ciężarówkę – burknąłem, odkładając widelec i nóż.

– Aż tak dobrze, co?

– Nie zaczynaj, Gibs. – Rozluźniłem ramiona, złapałem kiełbaskę i wziąłem gryza. – Boli mnie wszystko jak sam skurwysyn i mam wrażenie, że nie spałem od miesiąca. Nie jestem w nastroju na żarty.

– Przynajmniej twój apetyt nie ucierpiał – stwierdził, zerkając na wielki talerz z bekonem, kiełbaskami i tostami, które właśnie pochłaniałem.

– Nie osądzaj mnie... – wyburczałem z pełną buzią. – Należy mi się za to, że gmerali mi nożami przy jajach. – Przełknąłem ogromny kęs wieprzowiny i sięgnąłem po kolejną porcję. – Zasłużyłem na tłuszcz.

– Słusznie – odparł, lekko się krzywiąc.

– A żebyś wiedział, że słusznie.

– Więc? – zapytał, gapiąc się na mnie z ledwie maskowaną ekscytacją. – Można powiedzieć, że odzyskałeś już zdrowe zmysły?

– Niestety – odpowiedziałem, wzruszając ramionami. Gibsie kiwnął głową.

– A jak tam serce?

– Co z nim? – zapytałem, marszcząc oczy.

– Nie będzie dziś robiło bum, bum, kurwa, bum?

– Nie... – odpowiedziałem ostrożnie, czując, że wchodzę w jakąś pułapkę, ale jeszcze nie wiedziałem jaką. – Wszystko z nim w porządku.

– Wyśmienicie – powiedział. – Bo mam tyle materiału, że aż nie mogę usiedzieć. Stary, wypala mi dziurę od środka. Na serio, nie sypiam nocami z podniecenia. Czekałem na twój powrót z zaświatów jak na gwiazdkę... A wiesz, jak kocham gwiazdkę, szefie.

Ja pierdolę, nie wytrzymam.

– Daj już spokój. – Machnąłem ręką, żeby wchodził. – Przejdź do rzeczy.

Gibsie, ewidentnie zachwycony życiem, wparadował do salki i usiadł w nogach łóżka. Chrząknął, po czym oświadczył:

– Zanim zacznę, muszę cię zapytać o preferencje dotyczące lokalizacji wieczoru kawalerskiego. Rozdziawiłem gębę.

– *Że co?!*

– Przyszło mi do głowy Kilkenny – opowiadał lekkim, pełnym humoru tonem. – Ale jeśli wolisz się trzymać bliżej domu, możemy postawić na Killarney.

– Co ty pierdolisz?

– Cóż, zabawne, że pytasz. – Wyszczrzył zęby, umościł się wygodnie na moim wyrku i wciskał mi dalej ten szajs. – Masz za sobą zaręczyny albo zrękowiny... Nie mam pewności odnośnie do terminologii... Choć, zgodnie z tym, co sam mówiłeś, jesteś już wręcz żonaty.

Gapiłem się na niego bezrozumnie.

– Że jak?

– Och, kolego. – Odrzucił głowę w tył i wybuchnął śmiechem. – Ty naprawdę nic nie pamiętasz?

– Spójrz na mnie. – Rzuciłem widelec na talerz i wymierzyłem palec we własną twarz. – Czy to gęba człowieka, który kuma, co się dzieje?

Moja odpowiedź tylko spotęgowała jego radość.

– Cudownie – radował się z mojego zdezorientowania. – Warto było czekać. Najlepszy dzień w moim życiu.

– Gibs, wyjaśnij – warknąłem wkurzony. – Już... Bo wbiję ci jedną z tych pieprzonych igieł, które sterczą z mojej ręki.

– Shannon – parsknął. – Przyszła tu ze mną w piątek.

– No przecież wiem – odburknąłem, masując się po czole. – Tyle pamiętam.

– A pamiętasz rozmowę, którą z nią odbyłeś? – dopytywał z łobuzerskimi iskrami w oczach. – A potem z każdym, kto tylko ci się napatoczył?

– Nie – warknąłem. – Cały tamten wieczór pamiętam jak przez mgłę. – Przypominałem sobie też tylko fragmenty sobotniego poranka. Fragmenty, w których traktowałem Shannon jak kompletny palant. Uległem własnej dumie i kazałem jej odejść. A później spanikowałem, odjechało mi i domagałem się powrotu do domu. Ból był tak silny, że dali mi końską dawkę prochów znieczulających. – Co zrobiłem?

– Nie chodzi o to, co zrobiłeś – odparł szydlerczo. – Ale co *powiedziałeś*.

– Gibbs, przysięgam na Boga, że jeśli zaraz mi nie powiesz, to...

– Stary, powiedziałaś jej, że ją kochasz – parsknął śmiechem, waląc się dłonią w udo. – A chwilę później poprosiłaś, żeby urodziła ci dzieci.

Wytrzeszczyłem oczy.

– Nie!

Uśmiechnął się najszerzej, jak potrafił.

– Tak!

– Jezu Chryste, Gibbs – syknąłem, a w moim głosie słychać było lekko piskliwe tony. – Dlaczego mnie nie powstrzymałaś?

– Bo to było świetne! – Śmiał się i dodał: – I byłeś przy tym taki nieustępliwy, że aż się bałem, że każesz jej od razu podpisać jakieś papiery.

Ukryłem twarz w dłoniach.

– Ja pierdolę, co jest ze mną nie tak?

– Nie mam pojęcia – zarechotał. – Ale gdybym miał się założyć, to obstawiałbym, że przemówiły przez ciebie prawdziwe uczucia.

– Co ty gadasz?! – spojrzałem na niego oburzony. – Nie chcę żadnych obsranych dzieci.

Gibbsie puścił mi oko.

– Wyglądałaś na całkiem chętnego.

– Przestań – burknąłem, opanowując dreszcze. – Dobrze wiesz, że nie chcę.

– Błagałaś ją.

Opadła mi szczęka.

– Wcale nie...

– Shannon, proszę, rodź mi dzieci – przedrzeźniał mnie. – Błagam cię, Shannon. Wychowuj me potomstwo i pieść mego kutasa...

– Przestań już – błagałem. – Proszę cię, nic więcej nie mów.

– Poinformowałaś pielęgniarkę, że Shannon to twoja żona – dolewał oliwy do ognia. – Opowiedziałaś mamie, jakie Shannon ma ładne cycuszki i że nie możesz się doczekać, kiedy ją wydup...

– Jezu! – wykrztusiłem, przerywając mu, zanim raz na zawsze zniszczy mi życie. – To dlatego mnie unika, prawda? – zapytałem przerażony. – Pewnie się boi, że przy pierwszej okazji będę ją chciał na siłę zapłodnić.

– Cóż, twój fiut już działa – stwierdził rozkoszujący się moją udręką Gibbsie. – Wiem, bo zechciałaś podzielić się z nią tym istotnym szczegółikiem, *ogierze*.

Nie dziwne, że Joey nie odbiera.

Jeżeli Shannon zrelacjonowała bratu choć połowę mojego występu, to na bank będzie na mnie czekał w Ballylaggin z zemstą i obrzynem w ręku.

– Jestem, kurwa, skończony – wychrypiałem, spuszczaając głowę.

– Gdzie tam – odparł i klepnął mnie w plecy. – Przecież ona też cię kocha. Tak powiedziała w piątek.

Jęknąłem głośno, wstyd, który czułem, sięgał do najgłębszej części mojej duszy.

– Bo ją zaszczułem.

– Nie, bo cię kocha – poprawił mnie.

– Wątpię – burknąłem. – Szczerze, kurwa, wątpię, stary.

– Johnny, posłuchaj, wyłożę ci to bez ogródek – powiedział nieco poważniejszym tonem. – Całymi miesiącami okłamywałaś siebie i wszystkich naokoło odnośnie do własnych uczuć. Co za

dużo, to niezdrowo. Ta cała tłumiona frustracja musiała prędzej czy później z ciebie wyleźć. – Wzruszył ramionami i dodał: – Głupi jaś i morfina po prostu przyspieszyły ten proces... Wycisnęły z ciebie prawdę.

– Wcale nie – zaprzeczyłem. Wiedziałem, że to na nic, ale czułem, że muszę się złapać jakiejś deski ratunku. – Wcale tak nie myślałem.

Gibbie uniósł brew.

– Nie wmawiaj mi, że pada, gdy szczysz mi na łeb.

Przygarbiłem się pokonany.

– No dobra, mówiłem prawdę. Zadowolony?

– A ty? – zapytał, nie mrugając.

– Co ja?

– Jesteś zadowolony?

– Nie, Gibs, nie jestem *zadowolony*. – Spojrzałem na niego groźnie. – Popatrz na mnie – rzuciłem, waląc się ręką w pierś dla wzmocnienia efektu. – Jestem *przerażony*, do ciężkiej cholery.

– Boisz się o kutasa?

– O kutasa, o jaja, o tę dziewczynę, o rugby... – zawiesiłem głos i nabrałem powietrza w płuca.

– Odpierdala mi w tym szpitalu. – Odepchnąłem tacę i padłem ciężko na poduszki. – I martwię się.

– To zrozumiałe – przyznał. – Ale wszystko będzie dobrze...

– *O nią się martwię*... – powtórzyłem. – O nią, Gibs.

– Czemu?

– Powiedziała mi coś wtedy – przyznałem bezradnie. – Ale nie pamiętam co. – Przeczesałem włosy dłonią i zwierzyłem się z wątpliwości najlepszemu przyjacielowi. – Coś o swoim tacie, stary. – Skrzywiłem się, próbowałem wyłowić to z odmętów pamięci, ale wciąż pływało poza moim zasięgiem. Westchnąłem z frustracją. – Chyba... – Od razu urwałem, złapałem się za nasadę nosa, bo wiedziałem, że kiedy już to powiem, to nie będę mógł cofnąć.

– Chyba co? – popędził mnie Gibbie.

– Ale to zostaje między nami – zastrzegłem.

– Zawsze, stary – przytaknął.

Westchnąłem raz jeszcze, usiadłem i odgarnąłem włosy do tyłu obiema dłońmi. Byłem niespokojny, podminowany.

– Widziałem różne rzeczy... – zacząłem powoli, bacznie mu się przyglądając, by sprawdzić jego lojalność, choć wiedziałem, że nie muszę się o nią martwić.

– Zmarłych?

– A weź spierdalaj!

– No dobra, już dobra, przepraszam – rzucił pośpieszenie, szybko poważniejąc. – Mów.

Spojrzałem na niego ostro, czekałem, aż z jego twarzy znikną ostatnie resztki wesołości.

– Na niej.

– Na niej? – zdziwił się.

Opuściłem ręce na kolana, wierciłem się.

– Na jej ciele. – Spojrzałem na niego z poczuciem winy i wypaliłem: – Widziałem zbyt dużo i zbyt często, żeby to mógł być zbieg okoliczności, który da się wyjaśnić wypadkiem.

Gibbie zmrużył oczy, szybko zrozumiał, do czego zmierzam.

– Na przykład siniaki?

Powoli skinałem głową.

– Gdzie?

– Wszędzie. – Westchnąłem cierpiętniczo. – Na całym ciele, Gibs.

– Cholera.

– Początkowo myślałem, że znowu ktoś daje jej w kość w szkole... – urwałem i zmarszczyłem nos. Czułem się podle, zdradzając jej zaufanie, ale zżerało mnie to od środka. – Miewała gówniane przejścia w BCS. W chuj ciężkie. Więc to naprawiłem, a przynajmniej tak mi się wydawało, ale...

– Ale?

– Ale wiem, że jest coś jeszcze, Gibs. Brzmie jak wariat, ale mówię poważnie. Wiem, że coś się dzieje. Pamiętam, że coś mi wtedy powiedziała – warknąłem, wściekły na siebie, że zapomniałem o kluczowym elemencie układanki. Czułem w kościach, że umyka mi coś bardzo istotnego. – I teraz wydaje mi się, że to rozgryzłem.

– Tak? – zapytał, jak na niego niezwykle poważnie. – Wiesz, o kogo chodzi?

Ponownie skinąłem głową, spojrzałem mu w oczy, modliłem się, żeby nie oceniał mnie za to, co zaraz powiem. Istniało ryzyko, że strzelam kulą w płot... Ryzyko ogromne, głębokie jak Wielki Kanion, ale czułem, że raczej się nie mylę, a jej bezpieczeństwo było tego warte.

– Myślę, że to jej tata, Gibs. – Przełknąłem niepewność, spojrzałem najlepszemu przyjacielowi prosto w oczy i dodałem: – Myślę, że Shannon jest dręczona przez ojca.

Z natury miałem ścisły umysł, a ten wydedukował, że wspólnym mianownikiem, do którego sprowadzały się wszystkie problemy Shannon Lynch, był jej ojciec.

Powiedziała, że chodzi o niego.

Powiedziała mi o tym.

Na pewno.

Powiedziała mi coś o swoim pierdolonym ojcu.

Tyle że nie mogłem być pewny.

Mój umysł całymi dniami powracał do wszystkich rozmów, które z nią odbyłem, szukał jakichś przeoczonych poszlak.

Nieważne, co robiłem i co myślałem, on ciągle powracał do pierwszego dnia. Do naszej rozmowy, gdy nie była w pełni świadoma tego, co mówi.

– *Tutaj. – Dotknąłem palcem starej blizny. – Po czym ją masz?*

– *Od mojego ojca – odpowiedziała, wzdychając głęboko.*

– *Tata mnie zabije – mówiła dalej, krztusząc się i wciąż trzymając kurczowo podartą spódniczkę. – Mój mundurek jest zniszczony.*

– *Johnny – jęknęła i mrugnęła powoli. – Johnny, to bardzo źle...*

– *Co? – zapytałem natarczywie. – Co jest złe?*

– *Mój tata – wyszeptala.*

Jeżeli się myliłem, a istniało spore ryzyko, że się myliłem, to nigdy mi nie wybaczy. I tak byłem w czarnej dupie przez to, jak się zachowałem, ale jeśli niesłusznie oskarżę jej ojca o maltretowanie córki, to wbiję gwóźdź do trumny naszego potencjalnego związku.

Pewnie i tak się już tam dupczyliście, Johnny, ale...

Kurwa.

Traciłem pieprzone zmysły, bo mój mózg układał najbardziej zdeprawowane, obrzydliwe, nieludzkie, napędzane prochami myśli.

Czy ojciec krzywdził Shannon?

Czy może to ja wymyślałam głupoty?

Wstydzilem się własnych myśli, ale rozbrzmiewały w mojej głowie głośno i wyraźnie. I napawały mnie szaleńczym niepokojem.

Bił ją?

O to właśnie chodzi?

Nie poznałem faceta, ale gdyby tak było, to przecież jej brat albo matka by coś zrobili.

Miałem okazję spotkać matkę Shannon. I to nie było najbardziej przyjacielskie spotkanie, ale wyglądało na to, że kobieta szczerze kocha córkę.

Dobrze wyglądała.

Zdrowo, była w ciąży.

Brat Shannon był silny i sprawny.

Jej pozostali bracia byli jeszcze dziećmi.

Pozostaje ojciec.

– Ja pierdolę... – Gibsie pokręcił głową. – To ciężki zarzut, stary.

– Wiem – jęknąłem zniesmaczony. – I wiem, że jeśli się myślę, to zrobię potężny burdel, ale po prostu – pokręciłem głową i zacisnąłem pięści – nie potrafię przestać o tym myśleć. I chyba to był właśnie powód – dodałem. – Dlatego tak mi odbijało przez cały weekend. Próbowaliśmy wrócić do domu, *do niej*, Gibs. Bo się o nią boję. – Wzruszyłem ramionami, byłem bezradny. – Wiem, że to tylko przeczucie, ale nie mogę beczynnie siedzieć. Nie mogę tego ignorować, udawać, że nic nie wiem. Z Shannon dzieje się coś złego i nie zamierzam przyglądać się temu z założonymi rękami. – Wypuściłem powietrze z płuc. – Zbyt wiele dla mnie znaczy, żeby zamieść to pod dywan. Nawet jeśli się myślę, to warto sprawdzić, nie? Tak należy postąpić, prawda?

– Daj mi chwilę, żebym to sobie przetworzył. – Gibsie się pochylał i przycisnął palce do skroni.

– Bo to wieści dużego kalibru, stary.

Co ty nie powiesz...

Ale ja nie potrafiłem spokojnie siedzieć. Pożerał mnie ból, ale myśli były jeszcze gorsze, gnębiły mnie, zamieniły w kłębek nerwów i strachu.

Działo się coś złego.

Czułem to.

– Muszę iść – stwierdziłem, mając gdzieś jego przetwarzanie. – Na serio, Gibs. Musisz mnie stąd wyciągnąć. Muszę wrócić do domu i się przekonać.

– Nie możesz ot tak wyjść sobie ze szpitala – odparował, patrząc na mnie poważnie. – Johnny, Jezus Maria, przecież nawet nie chodzisz o własnych siłach. Jak niby mam cię przeszmygłować do Cork, kretynie? Pod kurtką, kurwa?

– Gibs, z Shannon coś się dzieje – wydusiłem, czując, jak serce wali mi w piersi. – Czuję to w kościach.

– Czekaj chwilę, mam pomysł... – zawiesił głos, wyciągnął komórkę z kieszeni, coś ponaciskał, po czym włączył głośnik i położył ją między nami.

– Halo? – Głos Claire wypełnił ciszę już po trzech sygnałach.

– Clairka-eklerka – odpowiedział, pokazując mi, żebym siedział cicho, bo już otwierałem usta, żeby zapytać, co wyprawia.

– Gerard – powiedziała z ogromną ulgą. – Wszystko dobrze? Jak Johnny?

Gibs, patrząc cały czas na mnie, zignorował jej pytania i sam zapytał:

– Może ty mi powiesz?

– C... co mam ci powiedzieć? – zapytała z nutą niepokoju w głosie.

– O ojcu Shannon.

– Co jest, kurwa?! – rzuciłem bezgłośnie, miałem ochotę go zabić.
– Czekaj. – Wyczytałem z ruchu jego warg, a dodatkowo uciszył mnie uniesioną ręką. – Zaufaj mi.

– O czym ty... ty m... mówisz? – wydukała z wahaniem.

– Ty już dobrze wiesz o czym – zablefował, zatykając mi usta dłonią.

– Powiedziała Johnny’emu, prawda? – powiedziała płacząco. – A on tobie, Boże.

Serce zamarło mi w piersi.

Świat zawalił mi się na głowę.

Miałem rację.

Miałem, kurwa, rację!

– Tak, powiedziała mu! – odparł Gibsie, udając wściekłość. – Ale ja chcę wiedzieć, dlaczego ty nikomu nie powiedziałaś, Claire?

– Bo nie miałam pewności – odparła pośpiesznie, brzmiała na zdruzgotaną. – Niczego otwarcie nie przyznała, ale te siniaki... Wiedziałam, że coś jej robi. Bałam się, Gerard. Bałam się, rozumiesz?

I wtedy mnie to uderzyło jak rozpędzony pociąg.

– Kto cię krzywdzi, kochanie? Ja to naprawię.

– To tajemnica.

– Nikomu nie powiem.

– Mój ojciec.

Kierowany czystym instynktem porwałem komórkę z szafki i zerwałem z siebie prześcieradło. Zsunąłem się z łóżka i pokuśtykałem do łazienki, telefon już dzwonił pod dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć.

– Johnny, co ty wyczyniasz, kolego? – zawołał za mną Gibs.

– To, co trzeba zrobić – syknąłem wściekle.

– A nie powinniśmy najpierw pogadać z twoim tatą? – zapytał, zsuwając się z łóżka, po czym ruszył w ślad za mną. – Jest prawnikiem, stary, będzie wiedział, co robić...

Uciszyłem go podniesioną ręką, przycisnąłem komórkę do ucha i skupiłem się na głosie dyspozytorki pogotowia.

– Dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć, w czym mogę pomóc?

– Moja dziewczyna jest w niebezpieczeństwie – wysyczałem, przegrywając walkę o opanowanie emocji. – Ma tylko szesnaście lat. Jest nieletnia, musicie jej pomóc. Mieszka przy dziewięćdziesiąt pięć Elk Terrace w Ballylaggin, w hrabstwie Cork, dobrze? Zapisła pani? Dziewięćdziesiąt pięć Elk Terrace. Jest naprawdę mała. Drobniuśka, kurwa. Nie umie się bronić, a ja nie mogę jej pomóc... – Trzęsąc się od stóp do głów, wbiłem czoło w zimne płytki łazienki, zacisnąłem zęby i warknąłem: – Musicie natychmiast kogoś tam wysłać, bo jej drański ojciec ją katuje.

– No cóż – powiedział ponuro stojący w progu łazienki Gibsie, gdy się rozłączyłem. Skrzyżował ramiona na piersi i kiwnął głową z aprobatą. – Jesteś definicją kija w mrowisku.

– Chryste, Gibs. – Wypuściłem powietrze z płuc, oparłem ciężką głowę o nasadę dłoni i wysyczałem: – Jakim cudem sam nie zauważyłem?

– Spójrzmy na sprawę uczciwie: jak niby miałeś zauważyć, stary? – odparł, głośno wzdychając.

– Weźmy twoich rodziców, Johnny. Założyłbym się o poważne pieniądze, że John nigdy nie podniósł na ciebie ręki, do cholery.

Prawda.

– Właśnie... – dodał, celnie odczytując moje myśli. – Dla normalnego człowieka to coś tak dalece wykraczającego poza skalę, tak niepojęte, że trudno sobie to w ogóle wyobrazić.

– Nie kliknęło – bąknąłem, mierząc się z potężnym tsunami wyrzutów sumienia, które właśnie we mnie narastały. – Ja po prostu... Nie przyszło mi do głowy.

– Posłuchaj, napisałem do twojego taty – odparł. – Już jedzie, stary. Pomoże nam.

– Dobrze – skwitowałem krótko, bo próbowałem wyrównać oddech i jakoś to wszystko przyswoić. – Będzie musiał mnie bronić, gdy przymkną mnie za morderstwo.

– Myślisz, że zgodzi się reprezentować też mnie? – zapytał Gibsie i wzruszając ramionami, dodał: – Bo skoro wybierasz się do piekła, to zawsze lepiej mieć kumpla u boku.

Rozdział 5

Jestem twoim bratem Shannon

Gdy ponownie otworzyłam oczy, moje zmysły zaatakowała jasność wlewających się przez okno promieni słońca, mieszająca się z pikaniem monitorów wywołujących łomotanie w mojej głowie.

Łup. Łup. Łup.

Zdezorientowana rozejrzałam się za Johnnym, ale nikogo nie było.

Nie ma go tu.

Spanikowana poklepałam materac, rozejrzałam się w prawo i w lewo, szukałam Kavanaghów albo Gibbsiego.

– Hej, hej, już dobrze... – Duża ciepła dłoń zacisnęła się wokół mojej. – Jestem tu.

– Joe? – zaskrzeczałam niespokojnie i zaczęłam rozpaczliwie go szukać, czując, że moje serce gna z prędkością stu kilometrów na godzinę. – Joe?

– Ćśś, spokojnie – odparł skądś znany mi głos. – Jestem tu, Shannon.

Nie spodobał mi się ten głos, potrząsnęłam głową i złapałam za rurki wystające z mojego nosa.

– Joe? – wychrypiałam ledwie słyszalnie. Wyrwałam rurki i odetchnęłam głęboko, zachłystując się świeżym powietrzem, którego domagał się mój mózg. Lecz gdy tylko to zrobiłam, ból rozsadził mi pierś, krzyknęłam i odruchowo wyprostowałam ręce, układając je wzdłuż ciała.

Zabandażowanego ciała.

Zdumiona dotykiem bandażu uniosłam fartuch, który na sobie miałam, i zauważyłam bandaże owijające mnie od lewej strony żeber aż po pierś. Co się ze mną dzieje, do cholery?

– Joey, o Boże...

– Odpręż się. – Czyjaś dłoń przesunęła się na mój podbródek, zacisnęłam powieki, a moje ciało skamieniało ze strachu. – Weź kilka spokojnych, przyjemnych wdechów.

Odpręż się, to delikatny dotyk, powoli zaczynałam łapać, ale niczego nie mogłam być pewna.

Z całych sił próbowałam odzyskać kontrolę i nie dać się połknąć panice. Zrobiłam więc kilka wolniejszych, głębszych oddechów, krzywiąc się, gdy klatka piersiowa zaprotestowała bólem. Bałam się, że łupanie zaraz rozsadzi mi głowę. Podniosłam wolną rękę i złapałam się za czoło, ale natychmiast zamarłam, bo moje palce wymacały tam opatrunek.

I wtedy sobie przypomniałam.

Tata.

Trwoga ścisnęła mnie za serce, moje tętno gorączkowo rosło, bo mój umysł wypełniła ściana wspomnień. Ojciec katujący mnie, bijący Joeya, okładający Tadhga, krzywdzący mamę.

Jest tu?

Gdzieś blisko?

Mam kłopoty?

– Już dobrze – mówił głos miękki, uspokajającym tonem. – Jesteś w szpitalu, już bezpieczna, okej? Nikt nie zrobi ci krzywdy.

Bezpieczna.

Miałam ochotę wyśmiać tę czczą obietnicę.

Słowa.

Tylko słowa.

Niechętnie rozkleiłam powieki i po prostu leżałam, zlodowaciała, z zamarznętym sercem, patrząc na spoglądającego na mnie z góry mężczyznę.

– Cześć, młoda – powiedział znajomym i ciepłym niczym bożonarodzeniowy poranek głosem.

– Kawał czasu.

Nie odpowiedziałam.

Nie byłam w stanie.

Po prostu odwzajemniałam spojrzenie.

Wypuścił powietrze z płuc, puścił mój podbródek i ponownie sięgnął po dłoń.

Natychmiast ją wyrwałam, nie chciałam jego dotyku.

Nie chciałam mieć z tym dotykiem nic wspólnego.

– Gdzie Joey? – zapytałam, odzyskawszy w końcu głos. Brzmiał obco. Był nierówny i ochrypły, ale słowa dobywały się z moich ust, mówiłam więc dalej: – Muszę porozmawiać z Joeyem. – Musiałam się dowiedzieć, co mam mówić, gdy zaczną zadawać pytania. *Nie znałam wytłumaczenia.*

– Jest tu? – Skopałam kołdrę przygniatającą mnie do materaca i przesunęłam się do pozycji pólsiedzącej, tak że opierałam się teraz o metalowy zagłówek, po czym wzięłam kolejny bolesny wdech. Ignorując ogień w piersi, rozejrzałam się po jasnym pomieszczeniu. Czujnie i ze strachem.

– Naprawdę muszę z nim pomówić, proszę.

– Shannon, musisz się uspokoić...

– Muszę pomówić z *Joeyem* – wycharczałam, wzdrygając się, gdy ponownie spróbował mnie dotknąć.

– Jestem tu, Shannon. – Te niebieskie oczy, tak podobne do moich, błagały, bym zrozumiała niezrozumiałe. – Wracam do domu, już na dobre.

– Mam to gdzieś – odparowałam tonem wypranym z emocji, próbując stłumić niepokój. – Chcę pomówić z bratem.

– Ja też jestem twoim bratem – stwierdził smutno.

– Nie. – Pokręciłam przecząco głową. – Zostawiłeś nas. Nie jesteś...

– Shan! – Dobięł mnie głos Joeya, a zaraz potem trzask drzwi. – Mówiłem, żebyś się do niej, kurwa, nie zbliżała! – Joey wpadł do salki, jakby nie obowiązywała go grawitacja, odtrącił Darrena barkiem i usiadł na krawędzi łóżka. – Dopiero co się ocknęła, palancie – dodał, a gdy szamotał się z pościelą, żeby okryć moje nagie nogi, kolana podskakiwały mu z nerwów. – Kolejna pierdolona drama to ostatnie, czego jej teraz trzeba.

– Joe. – Moje ręce złapały jego rozedrgane ramię, żeby nieco je uspokoić. – Co się dzieje?

Gdy zobaczyłam jego twarz, szloch zatkał mi gardło. Skóra pod jego oczami miała kolor sinoczarny, miał znowu złamany nos, a dolną wargę – rozwaloną i napuchniętą.

– Och, Joe... – Odgarnęłam włosy z jego twarzy, odsłaniając dwoje nabiegłych krwią oczu o tak rozszerzonych źrenicach, że ich zieleń niemal całkiem zniknęła. Ogarnął mnie strach. Wiedziałam, o czym świadczą te przekrwione, podkrążone oczy i nie miało to nic wspólnego z kolejnym pobiciem przez ojca. Świadczyły o czymś znacznie gorszym. Myślałam, że w zeszłym roku już się z tym rozprawiliśmy. – Tylko mi nie mów, że...

– Nie martw się o to – wtrącił pośpieszenie, opryskliwie, po czym chwycił moją dłoń i odłożył ją z powrotem na kolano. – Nic mi nie jest.

Kłamał.

Był na haju.

– Shannon, *nic mi nie jest* – powtórzył, dokładając do tego spojrzenie mówiące „nie wnikaj”.

Złączyłam dłonie i milczałam, połykając kolejne miliony niewypowiedzianych słów, które miały gnić w moim organizmie wraz z miliardami poprzedników.

– Co się dzieje?

– Nic ci nie będzie – odparł, odwracając się do mnie przodem i skupiając na mnie uwagę. – Od dwóch dni jesteś na granicy przytomności. Lekarz dał ci coś, żeby mogli zrobić... – Zabrakło mu słów, machnął ręką, telepał się od stóp do głów. – No, ten... – Przeczesał włosy dłonią, kręcił głową, strzelał palcami. – Kurwa mać, nie pamiętam, jak to się nazywa!

– Zostałaś przywieziona do szpitala w sobotę wieczorem – wyjaśnił Darren znacznie bardziej opanowanym głosem. – Dziś mamy wtorek, Shannon. Byłaś nieprzytomna przez kilka dni.

– No, przeze mnie – warknął Joey, napinając ramiona. – Została tu przywieziona *przeze mnie*. A gdzieś ty był, kurwa, *złoty chłoptasiu*?

– Lekarze uporali się z poważnym wstrząsem mózgu i odma płucną – tłumaczył dalej Darren, ignorując Joeya. – Trafiłaś tu mocno obita. Masz kilka szwów na policzku i kilka posiniaczonych żeber.

– „Posiniaczonych żeber”! – przedrzeźnił go Joey. – Otwórz oczy, Darren. Cała jest posiniaczona!

– Co się z tobą dzieje, do cholery, Joey? – zapytał ostro Darren, mierząc go ostrym spojrzeniem zmrużonych oczu. – Naćpałeś się? Tak? Wziąłeś coś?

– Tak, wziąłem – odparował Joey, skupiając złość na Darrenie. – Wziąłem na siebie w chuj wpierdolu. Już wiesz, co wziąłem, palancie?

– Joe, spokojnie. – Położyłam rękę na jego dłoni, żeby nieco ochłonął, i spojrzałam na Darrena. – Co to znaczy odma płucna?

– To znaczy, że gnój tak cię skopał, że zapadało ci się płuco – wtrącił Joey, pulsując gniewem. – Że musieli przebić cię pierdoloną rurą, żebyś mogła oddychać.

– O Boże. – Spojrzałam po sobie spanikowana i aż zaskomlałam. – Wszystko ze mną dobrze? – Przyłożyłam roztrzęsioną dłoń do rany. – Bardzo źle?

– To nie jest bardzo poważne – pośpieszył z pocieszeniem Darren. – Nie miałaś operacji... Udało im się spuścić ciśnienie i wspomóc twoje oddychanie poprzez wprowadzenie cienkiej rurki...

– „Nie jest bardzo poważne”?! – wysapał Joey. – Żartujesz sobie, kurwa?!

– Joey – warknął Darren. – *Uspokój się*.

– Mam dziurę? – wydusiłam, zerkając pod fartuch. – Dalej mam w sobie tę rurę?

– Nie, Shannon – odparł spokojnie Darren. – Usunęli ją wczoraj rano, zrobili ci rentgen klatki i tomografię. Wszystko wygląda świetnie, dobrze?

Kiwnęłam głową, czułam odrętwienie.

– Ale będziesz obolała przez kilka tygodni – dodał z kwaśną miną. – I jesteś na antybiotykach, żeby nie dopuścić do infekcji. – Pokręcił głową i na koniec dodał: – Pielęgniarki lepiej ci wszystko wyjaśnią.

– Poważnie? – wycedził Joey. – A myślałem, że jesteś najlepszy we wszystkim.

– Cokolwiek przepisali ci na ból, masz na to zakaz – warknął Darren, mierząc Joeya groźnym wzrokiem. – Odcinam cię.

– Paracetamol? – parsknął śmiechem Joey.

– Nikogo nie oszukasz – odparował ze spokojem Darren.

– Po co tu przyjechałeś? – wychrypiałam, a panika na dobre zagnieździła się w mojej piersi.

– Przyjechałem pomóc, Shannon – odpowiedział. – Zadbaj o was... wszystkich. – Zerknął z ukosa na Joeya i westchnął: – Nawet o ciebie.

– Nie rób sobie kłopotu – odparował Joey.

– Dlaczego? – zapytałem, łącząc dłonie i powoli wypuszczając powietrze z płuc. – Skąd wiedziałeś, co się stało?

– Matka do niego zadzwoniła – odpowiedział Joey, ciskając w stronę brata złowróżbne spojrzenia. – Okazuje się, że suka cały czas trzymała gdzieś numer tego bydlaka – mówił dalej tonem ociekającym jadowitym sarkazmem. – Okłamywali nas, Shan. Pomyślałabyś?

Darren jęknął zniecierpliwiony.

– Joey, daj już spokój, nie mów tak. – Złapał się za nasadę nosa i dodał: – Przecież to nasza matka...

– „Nasza matka”? – parsknął suchym śmiechem Joey, a jego stopa niezmordowanie podskakiwała w miejscu. – To my mamy matkę? O ja pierdołę, a myślałem, że matki to jakieś mityczne stworzenia, jak jednorożce, bo jestem pewien, że na żywo za cholere żadnej nie widziałem.

– Byłeś w kontakcie z mamą przez cały czas? – wychrypiałem zszokowana. – Przez pięć i pół roku?

– Pewnie, że był – odpowiedział za niego Joey. – Od nas nie umiał odebrać, nie umiał się zainteresować, co u nas, ale z najdroższą mamunią oczywiście był w bliskim kontakcie.

Darren pokręcił głową.

– Joe, musisz trochę uciszyć ten niepokój. Nie służy ci.

– A ty nie myśl sobie, że możesz wrócić do naszego życia i o wszystkim decydować – odpyskował Joey, trzęsąc się z wściekłości, nad którą panował z najwyższym trudem. – To tak nie działa. Nie możesz sobie tak zniknąć i wracać do naszego życia, kiedy tylko chcesz!

Decydować?

– O czym decydować?

– Nasz najdroższy brat uważa, że teraz tu dowodzi. – Joey zerwał się na nogi i zaczął się miotać po salce jak uwięzione zwierzę. – Myśli, że może sobie po prostu odejść, zostawić nas na pół dekady, a potem zajechać swoim wypasionym wózkiem, wyjąć swój grubiotki portfel i wprowadzać zasady.

– To niesprawiedliwe, Joey – odpowiedział Darren, patrząc ponuro na brata.

– A czego się spodziewałeś, *Darren*? – odparował Joey natychmiast, patrząc na niego spode łba. – Przyjęcia powitalnego? Baloników i tortu? Wracasz do miasta i myślisz, że padniemy ci do stóp, bo nagle *nas ratujesz*? – Pokręcił głową i się skrzywił. – Zapomniałeś o nas. Spierdoliłeś od nas. Zostawiłeś nas z nimi. Jak dla mnie możesz iść w cholere. Sam się wszystkim zajmę.

– Gówno, a nie się zajmiesz – odszczekał Darren. – Spójrz na nią.

– A ty spójrz na siebie – krzyknął Joey, złączył dłonie i ciągnął dalej: – Ładny garniturek, kurwa. Dobrze wyglądasz, Darren. Zadbany, przystrzyżony. Brawo ty. – Spojrzał na brata groźnie, po czym wskazał na siebie i na mnie. – Gratulujemy sukcesu, braciszku.

– Miałem osiemnaście lat – odparł Darren szeptem, przeczesując ręką ciemne włosy. – Nie umiałem sobie inaczej poradzić...

– Tak? Ja też mam osiemnaście, dupku – wycedził Joey bez cienia współczucia. – I zgadnij co. Spróbowałem stanąć na wysokości zadania i jednak jakoś sobie radzić. Zostałem!

– Więc jesteś silniejszy ode mnie.

– Wcale nie – wydusił Joey, głos zaczynał mu się łamać. – Ale tak się złożyło, że ja mam sumienie.

– Przestańcie – rzuciłam błagalnie, mnąc kołdrę w rękach. – Proszę, przestańcie się kłócić. Nie zniosę tego.

– Przepraszam. – Darren ponownie przeczesał włosy, był wyraźnie wzburzony. – Możesz trochę stonować, Joey, dla niej? Musimy jej wszystko wyjaśnić, a kłótnie w niczym nam nie pomogą.

Joey obnażył zęby i pokazał mu środkowy palec, ale powstrzymał się od dalszych komentarzy.

– Tata odszedł, Shannon – oświadczył Darren spokojnie.

Naszło mnie uczucie, które podejrzenie przypominało nadzieję.

– Naprawdę?

– Wcale nie odszedł – zachnął się Joey. – Ukrywa się gdzieś. To spora różnica.

I już po nadziei.

– Dasz już spokój? – warknął Darren.

– A ty mógłbyś nie robić jej złudnych nadziei? – odparował Joey zapalczywie. – Bo na dłuższą metę na pewno jej to, kurwa, nie pomoże.

– Na razie – dodał pośpiesznie Darren, zerkając na Joeya ostrzegawczo. – Słuchajcie, garda¹ go znajdzie i ojciec za to odpowie. Zadbam o to.

– Oczywiście – odrzekł z przekąsem Joey. – *Święty Darren*, zbawca. – Przechylił głowę w prawo, potem w lewo i zastukał palcami, ewidentnie rozdrażniony. – Wymiar sprawiedliwości w tym kraju to jebany żart, i wszyscy o tym wiemy. Nawet jeśli go znajdą, to pewnie dostanie zawiasy, lekki ochrzan i flaszkę whiskey od pomocy społecznej w ramach przeprosin za kłopoty. Jeżeli wierzysz, że będzie inaczej, to się okłamujesz.

– Byłem wczoraj z mamą w sądzie – mówił dalej Darren, ignorując wtrącenia Joeya. – Zawnioskowaliśmy o zakaz zbliżania się. Za trzy tygodnie odbędzie się wysłuchanie stron, na którym ma się stawić, do tego czasu uzyskaliśmy tymczasowy zakaz. Nie może wrócić do domu ani kontaktować się z którymkolwiek z was.

– Kurwa, powinien siedzieć za usiłowanie morderstwa – wycedził Joey.

– Zgadzam się – przyznał Darren. – Joe, ja też chcę, żeby zniknął na dobre. Nienawidzę go tak samo jak ty.

– Wątpię – stwierdził jadowicie Joey. – Bardzo, kurwa, wątpię.

Darren westchnął ciężko.

– Naprawdę chcesz brnąć w tę stronę, Joe? Rywalizować, kto bardziej go nienawidzi? A może wolisz postawić tę rodzinę na nogi.

– Nie ma *żadnej rodziny* – sprzeciwił się Joey zaciekle. – Ciągłe ci to umyka.

– Nadal jesteśmy rodziną – wyszeptał Darren. – I jeśli się zjednoczymy, będziemy silniejsi.

– Z nią... – wydusił Joe, wyglądał na naprawdę zrozpaczonego. – No dokończ, będziemy silniejsi z *nią* – powiedział z naciskiem, po czym pokręcił głową i zaśmiał się sucho. – Nie wierzę w to, kurwa.

– A gdzie ona jest? – zapytałam niespokojnie.

– W domu, z babcią i twoimi braćmi.

– *Dlaczego?* – zapytałam ze ściśniętym sercem.

– *Dlaczego?* – Darren zmarszczył brwi. – Jak to *dlaczego?*

– *Dlaczego ona nadal tu jest?* – wydusiłam z najwyższym trudem, zaciskając pościel.

– No w końcu! – zawołał Joey, wyrzucając ręce w powietrze. – W końcu ktoś kumaty!

– Jest taką samą ofiarą jak my – powiedział powoli Darren. – Wiem, że macie teraz inne zdanie, a ja jak najbardziej to rozumiem, ale musicie mieć świadomość, co przechodziła...

– Pieprzysz – wysyczał Joey. – Pierdolisz, Darren! Nie jest żadną ofiarą. Ona mu na to pozwalała. To dzięki niej mógł robić to wszystko. – Wskazał na mnie. – Shannon skończyła w tym łóżku zarówno przez nią, jak i przez niego.

– Joey, daj spokój.

– Nie. – Joey pokręcił głową. – Może i była ofiarą, gdy pobił ją pierwszy raz. A co tam, może przy pierwszych dziesięciu razach. Niech będzie. Była młoda i tępa. Ale *dwadzieścia cztery lata*? – Ponownie pokręcił głową. – Nie. Ona nam to zrobiła, Darren. Przyłożyła do tego rękę.

– A zastanawialiście się kiedyś, dlaczego jest nas tak dużo? Dlaczego bez przerwy rodziła temu człowiekowi dzieci? Dlaczego nie odeszła? – warknął, patrząc ostro na nas oboje. – Albo dlaczego ma tak najebane w głowie? Przyszło wam do głowy, że została, bo bała się, że on spełni te wszystkie groźby? Wszyscy słyszeliśmy tyrady: „Jak odejdziesz, zabiję ciebie i dzieci!”. Faszerowała ją nimi, odkąd skończyła *piętnaście* lat! Na miłość boską, ten człowiek przez dwa dziesięciolecia ją łamał, przekonywał, że jeśli odejdziesz, to ją zabije. Nie wydaje się wam, że coś takiego może nasrać we łbie? Przyszło wam do głowy, że wcale nie trwała przy nim z własnej woli? A zachodzenie w ciążę wbrew własnej woli? Że była gwałcona, katowana i zastraszana, aż straciła kontakt z rzeczywistością? Urodziła mnie w wieku *piętnastu* lat, w ciążę zaszła jako *czternastolatka*! – dodał. – Pomyślcie o tym przez chwilę. Pomyślcie, jaka musiała być, kurwa, przerażona, gdy nagle wpadła w życie z tym potworem! Nie miała rodziców, którzy mogliby jej pokazać właściwą drogę. On był jej całym jebanym światem. Rodziła mu dzieci, choć sama była dzieckiem, i to ją złamało!

– Nie chcę tego słuchać – warknął Joey. – Mam dość wysłuchiwania wymówek.

– A zastanawialiście się, dlaczego dobrowolnie nas oddała? – kontynuował Darren hardym tonem. – No, pomyśleliście o tym kiedyś?

– Bo była *chora* – odpowiedział wściekle Joey.

– Wcale nie była chora – wypluł z siebie Darren. – Po prostu próbowała nas od niego uwolnić. Próbowała nas ratować przed czymś, przed czym nie mogła uratować siebie.

– No to dlaczego nas tam nie zostawiła?! – ryknął Joey. – Może wtedy mielibyśmy jakieś, kurwa, szanse!

– Wiesz dlaczego! – odkrzyknął Darren, który też już się trząszł. – Dobrze wiesz! – Zrobił kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić, i dopiero wtedy mówił dalej: – Bała się, że was też to spotka. Była przerażona, w ciąży z Tadhgiem...

– Czyli przez to, że ciebie zgwałcili, sprowadziła nas do domu na tortury? – zapytał Joey. – Tak? Że co, dwa minusy miały niby dać plus? Bo jak dla mnie to zupełnie pojebana logika.

– Joey! – wykrztusiłam. – Przestań!

– *Przykro mi*, że go to spotkało! – odkrzyknął, cały się trzęsąc. – Darren, w chuj mi przykro, że cię to spotkało, naprawdę. Ale to mnie za to ukarano. – Machnął ręką w moją stronę. – Nas wszystkich.

– Już dobrze, Joey – powiedziałam uspokajająco. – Nie unoś się.

– Wcale nie jest dobrze! – wykrztusił. – Jezu Chryste, powinienem zabrać was z tego domu lata temu. Powinienem to zgłosić. Wiedziałem, że tak się to skończy... – Głos mu drżał, oddychał chrapliwie. – Ale mnie wystraszyli... Podkopali moją pewność siebie. – Spojrzał na Darrena wrogo. – *Terroryzowałeś* mnie, aż uwierzyłem, że już lepiej żyć z nim niż poza domem. – W jego zielonych oczach zalśniły łzy, ale powstrzymał je, mrugając. – Spędziłem w tamtej rodzinie najlepsze pół roku życia. Ona też... – Wskazał na mnie palcem. – Byliśmy u nich szczęśliwi. Bezpieczni! Ale

przekonaliście mnie z matką, że coś nam grozi, że bezpiecznie będzie wrócić do domu. – Wbił nasadę dłoni w czoło i wysyczał: – Miałem sześć lat. Tak namieszałeś mi w głowie, że już w *nic*, kurwa, nie wierzę. Nawet we własną pierdoloną intuicję.

– Bałem się, że może cię to spotkać – wydusił Darren. – Myślałem, że robię dobrze. Próbowałem cię *chronić*...

– Zastraszając mnie! Sprawiliś, że w ciebie uwierzyłem, a potem *odszedłeś*! – wrzasnął Joey, drżąc od stóp do głów. – Zaufałem ci! Po prostu wyszedłeś przez te zasrane drzwi i zostawiłeś wszystko na moich barkach, miałem dwanaście lat! A potem *ja* terroryzowałem ich! Powtarzałem im bzdury, które mi wciskałeś, karmiłem ich tymi samymi lękami i paranoją, bo inaczej nie umiałem! I spójrz na nas!

– Przykro mi, że cię zostawiłem, Joe. – Darren zadrżał i spuścił głowę. – Ale musiałem odejść...

– Tak?! A mnie przykro, że ci uwierzyłem! – syknął Joey, cały rozedrgany. – Nie powtórzę już tego błędu.

Zapadła cisza, którą dopiero po dłuższym czasie przerwał Darren.

– Posłuchaj... – burknął. – Nie znam lekarstwa na wszystkie wasze problemy, ale wiem, że nie mogę odwrócić się plecami od naszej matki.

– A ja mogę – odparł Joey cierpko. – Bez wysiłku.

– Pierwszy raz w życiu stanęła do walki – warknął na niego Darren. – Próbuje postąpić wobec nas jak należy. Nie jest złą kobietą, oboje o tym wiecie. Żyła w strachu i pozwalała, żeby ten strach podejmował za nią koszmarnie decyzje.

– Jej złe decyzje niemal kosztowały nas życie – odciął się Joey. – To przez nie moja siostra skończyła w szpitalu.

– Skończyła tu przez *naszego ojca* – poprawił go Darren. – Nie pozwól, żeby gniew przesłonił ci logikę, Joey.

– Mam tego dosyć – syknął Joey, unosząc obie ręce. – Na serio. Nie będę słuchał, jak usprawiedliwiasz to, że pozwalała temu gnojowi nas krzywdzić.

– Twierdzą tylko, że to wszystko nie jest czarno-białe – odpowiedział Darren, po czym zwrócił się do mnie. – Przyjedzie tu później garda po twoje zeznanie. Mama albo ja będziemy musieli przy tym być.

– Nie. – Bulgotał we mnie niepokój, pożerał wszystko, co dobre i czyste, zamieniając mnie w trzęsący się jak galareta wrak. – Nie chcę składać zeznania.

– W porządku – powiedział Darren łagodnie. – Przegadamy to, nie będziesz się musiała niczym martwić.

– Shan, jeśli chcesz, ja mogę przy tym być – wtrącił Joey. – To wcale nie muszą być oni.

– Pokazywanie się policji w takim stanie to ostatnie, czego ci trzeba – warknął Darren. – Co zażyłeś tym razem? Wróciłeś do...

– Miło słyszeć, że dzięki sekretnym pogawędkom z mamusią jesteś na bieżąco w sprawach rodzinnych – wycedził Joey. – Szkoda, że nie opowiedziała ci o naszych prawdziwych problemach... Ach, chwileczkę, pewnie ci mówiła, ale ty od razu zapomniałeś i się odciąłeś. Fajnie mieć taki włącznik i wyłącznik sumienia. Słyszeć tylko to, na co się ma ochotę, zajebiście.

– Przestań – jęknęłam. – Proszę cię.

– Na zewnątrz czai się kobieta z pomocy społecznej – poinformował mnie Darren, konsekwentnie ignorując Joeya. Poprawił błękitny krawat, dopiął ostatni guzik nieskazitelnie białej koszuli i mówił dalej: – Oczywiście z nią musisz porozmawiać sama, ale jeśli uzgodnimy wersję wydarzeń, to powinno pójść gładko.

– „Wersję wydarzeń”?! – Jeżeli Joey trzymał się jakiegoś ostatniego skrawka samokontroli, to w chwili, w której te słowa wyszły z ust Darrena, puścił. – A jebać to! – Zerwał się na nogi i zaczął chodzić po salce. – Koniec z zasranymi historyjkami. – Wepchnął dłonie w blond włosy, szarpnął za końcówki i ryknął: – Koniec!

– Nie proszę was o kłamstwa – odparł Darren. – Mówię tylko, że musimy stanąć murem za mamą...

– Prosisz Shan o pominięcie prawdy – odparował Joey. – O przemilczenie, że matka jak zwykle stchórzyła... że stała i patrzyła. Że *nie zareagowała*. Dla mnie pomijanie prawdy to, kurwa mać, kłamstwo.

– Cóż, jeśli chcecie zostać razem, to sugeruję, żebyście zaakceptowali matkę i przyjęli, kurwa, naszą wspólną linię – warknął Darren, tracąc całe opanowanie. – Bo tylko w taki sposób mogę utrzymać was razem, rozumiecie? Jeżeli ją stracimy, jeżeli zostanie uznana za kogoś innego niż ofiarę przemocy domowej, która dla swoich dzieci chciała jak najlepiej, co jest zresztą prawdą, to Shannon, Ollie, Tadhg i Sean mogą się już pakować. I Bóg jeden wie, gdzie was wyślą. Nowe szkoły, nowe domy, nowi koledzy. Nowi, kurwa, obcy. Jeżeli na tym wam zależy, to proszę bardzo, możecie mnie nie słuchać, ale to nie musi się tak skończyć. Możemy naprawić to razem.

– Nie mogę. – Joey podszedł do okna i zacisnął ręce na parapecie z taką siłą, że tylko cudem go nie urwał. – Dłużej tak nie mogę – mamrotał pod nosem. – Nie mogę dalej tak żyć.

– Joe... – wychrypiałam. – Już dobrze...

– Nie. – Głos mu się załamał. – Wcale nie, Shan – wyszeptał, stojąc tyłem do mnie. – Na pewno nie.

– Mamy jeszcze jeden problem – dodał Darren, rozpraszając gęste napięcie.

Spojrzałam na niego, oderwawszy wzrok od pleców Joeya.

– Jaki?

– Johnny’ego Kavanagha.

Joey coś burknął, chyba na potwierdzenie.

– C... co? – wydukałam, tłumiąc tsunami motyli, które nagle zapragnęły wyfrunąć z mojego gardła. – A co niby Johnny ma z tym wspólnego?

– Chujek sam wszystko rozgryzł – wymamrotał Joey pod nosem, nadal się do nas nie odwracając. – Koniec końców może jednak jest coś wart.

– Stał się poważnym utrapieniem – potwierdził posępnie Darren. – Wydzwania na posterunek gardy dniami i nocami. Przez niego od wczoraj radiowozy podjeżdżały pod dom cztery razy.

– C... co? – Teraz to ja złapałam się za skronie, bo bałam się, że łupanie w mózgu zaraz mnie zabije. – Skąd on wie?

– Nie martw się, Shan. To dobrze, że wie – wtrącił Joey. – Nie musisz więcej kłamać w imieniu tych ludzi.

– Możesz się na moment zamknąć? – warknął na niego Darren. – Próbuję to naprawić, a ty mi nie pomagasz.

– Bo tego nie da się naprawić – odparł Joey. – Ja o tym wiem. Shannon o tym wie. Chryste, nawet Sean wie, a ma trzy lata!

– Shannon, nie wiem, co naopowiadałaś swojemu chłopakowi, ale musisz kazać mu przestać – oświadczył Darren, skupiając na mnie uwagę. – Wtrąca się w sprawy, o których nie ma pojęcia.

– Ja mu nic nie powiedziałam – wysapałam, a na myśl o Johnnym moje serce ruszyło galopem. – Poza tym nie jest moim...

– Jeżeli się łudzisz, że uciszysz tego kolesia, to obszczekujesz złe drzewo – zachnął się Joey. – Nie każdemu da się zatkać usta, Darren.

– Joey, na miłość boską, mógłbyś się zamknąć! – warknął Darren. – Pomóż albo idź do domu.

– Dobrze, pójdę – syknął Joey. – Bo nie zamierzam się w to mieszać. – Odwrócił się na pięcie, posyłając Darrenowi zabójcze spojrzenie. – Jeżeli chcesz kłamać i zjebać tym dzieciom życie jeszcze bardziej, zatrzymując w nim tę kobietę, to proszę bardzo, jak widać, nie mogę cię powstrzymać, ale ja mam dość roli pionka w waszej grze. Odcierpiąłem swoje.

– To nie gra, Joey! – burknął Darren. – To nasze życie.

– W takim razie ja nie chcę takiego życia – wydusił Joey, czerwieniejąc na twarzy. – Skoro musimy tak żyć, to ja nie chcę tu zostać.

– Joe...

– Widzimy się później, Shan – wychrypiał Joey, wychodząc. – Ja spadam.

Zamarłam na łóżku i patrzyłam, jak Joey wypada z sali, pozwalając, by trzasnęły za nim drzwi. Chciałam, by został. Absolutnie nie życzyłam sobie zostawać sama z Darrenem. Nie dlatego, że się go bałam, ale dlatego, że go nie znałam. Stał się mężczyzną. A biorąc pod uwagę jego designerski garnitur i chyba drogi zegarek – mężczyzną, z którym nie miałam nic wspólnego.

– Kim teraz jesteś? – zapytałam rozczarowana, że ciekawość wzięła nade mną górę. Wskazałam na jego ciuchy orurkowaną dłońią. – Czym się zajmujesz?

Odchylił się na krześle i spojrzał mi prosto w oczy.

– Pracuję dla międzynarodowej firmy informatycznej. – Przesunął się, po czym ponownie poprawił krawat. – W oddziale w Belfaście.

– Czyli to tam cały czas byłeś? – jęknęłam, przełykając ból. – Przez cały ten czas mieszkałeś sześć godzin jazdy od nas?

– Tak. – Kiwnął powoli głową, ale jego szyja szybko znieruchomiała. – No nie do końca. Pierwsze cztery lata spędziłem w Birmingham, robiłem dyplom i odbębniałem staż. Przeniósłem się do Belfastu pod koniec dwa tysiące trzeciego roku.

– Och. – Nie wiedziałam, co dodać, więc siedziałam cicho. W gruncie rzeczy nie byłam pewna, czy można coś dodać. On wyjechał. My zostaliśmy. Jego szczęście, nasz pech. Koniec pieśni.

– Shannon, musiałem się wydostać – dodał cicho.

Wiedziałam, że musiał.

Ale przecież my też.

– I co, posłużył ci ten wyjazd? – usłyszałam kolejne własne pytanie, podniosłam na niego oczy. – Znalazłeś spokój?

Zawahał się, zanim odpowiedział:

– Nauczyłem się, jak sobie z tym radzić.

Zrobiłam rozedrgany wydech i kiwnęłam głową.

– To dobrze.

– Mam partnera – oświadczył z nutą niepewności w głosie. – Ma na imię Alex. Jesteśmy razem od trzech lat. Mieszkamy wspólnie w niewielkim mieszkanku na obrzeżach centrum.

– Kocha cię? – zapytałam.

Przytaknął.

– Tak, kocha mnie, Shan.

– Cieszę się. – Spuściłam wzrok na dłonie i strzeliłam kostkami, szukając właściwych słów. – Zawsze stałam po twojej stronie – powiedziałam bardzo cicho. – Chciałam, żebyś był szczęśliwy... Znalazł kogoś, kto cię pokocha. Miałam gdzieś, czy to będzie chłopak czy dziewczyna. Zawsze

chciałam, żebyś o tym wiedział. – Wzruszyłam ramionami bezradnie. – Bałam się, że nie wiedziałeś.

– Shannon – powiedział, ciężko wzdychając. – Nie chciałem was zostawiać.

– Ale zostawiłeś – wyszeptalam, zmuszając się, by nie mrugać. – Zostawiłeś nas.

– Nienawidzisz mnie?

– Nie – westchnęłam. – Ale nie wiem, kim teraz jesteś. – Podniosłam wzrok, żeby spojrzeć mu w oczy. – Ty też mnie już nie znasz.

– Wiem, kim jesteś, Shannon – odparł, drżącym głosem. – Jesteś moją małą siostrzyczką, która kocha śpiewać i tańczyć, i czytać... I jesteś mądra. Shannon, jesteś taka mądra. Masz najlepsze oceny z nas wszystkich. Kochasz grać w kosza. Kochasz zwierzęta. Twój ulubiony kolor to różowy. Zawsze przynosiłaś do domu ranne ptaki i inne zwierzęta i kurowałaś je. Chcesz iść na Uniwersytet Dubliński, studiować weterynarię, a twoim największym życiowym celem od początku było podróżowanie po całym świecie.

– Nie śpiewam już i nie tańczę. Moim ulubionym kolorem jest zielony i nie miałam w rękach piłki do kosza, odkąd ojciec przebił moją nożem, bo odbijałam nią o dom. Od dawna nie przynoszę do domu rannych zwierząt, bo zrozumiałam, że nie chcę zamykać ich w moim więzieniu. Bo zrozumiałam, że na wolności są bezpieczniejsze niż u mnie. Nie pójdę na studia i nie zostanę weterynarzem, bo od trzech lat zawalam wszystkie zajęcia. – Gdy to mówiłam, patrzyłam mu prosto w oczy. – Nawet gdybym dzięki jakiejś magicznej interwencji zdołała podciągnąć stopnie i zdać egzaminy, to nie jestem już tak naiwna, by się łudzić, że będzie mnie stać na studia. Nie chcę już podróżować, a moim życiowym celem jest przetrwanie. – Wykrzywił usta, a ja zmusiłam się, by dokończyć. – Tej dziewczynki, którą pamiętasz, już nie ma, Darren. Już nią nie jestem. Nawet jeśli kiedyś nią byłam, on wytłukł ją ze mnie dawno temu.

– Przykro mi, Shannon – powiedział tylko.

– Tak – westchnęłam. – Mnie również.

– Musimy porozmawiać o tym, co będzie dalej – stwierdził po dłuższej przerwie. Z lekkim wahaniem i z czujnością w oczach. – To ważne.

Przełknęłam ślinę i kiwnęłam głową.

– Okej.

– Ufasz mi?

– Nie.

Wzdrygnął się.

– Zasłużyłem sobie.

– Nie chodzi o to, czy sobie zasłużyłeś – zaskrzeczałam ochryple. – Po prostu tak czuję.

– W porządku – wymamrotał, pocierając brodę. – Ale opieka społeczna dyszy mamie w kark.

Wiesz, co to oznacza.

Tak, wiedziałam.

Nie byłam pewna, czy nadal mnie to obchodzi, ale doskonale wiedziałam, co to *dla nas* oznacza.

– Jestem gotowy wrócić do domu i się wami zająć, dopóki mama nie stanie na nogi i nie posprzątam tego całego bałaganu. Zaangażowani w naszą sprawę pracownicy opieki społecznej popierają taki układ i wierzą w niego na tyle, że są gotowi pozwolić wam na powrót do domu ze mną i z mamą – mówił Darren. – Rozmawiałem z Alexem, rozumie. A mój szef jest gotowy pozwolić mi na pracę z domu. Będę musiał pokazywać się w biurze raz na tydzień, ale gdy po Wielkanocy wrócicie do szkół, jakoś to wszystko dogramy. Jednak bez mamy to nie wypali. Ten

układ wymaga przynajmniej jednego przyzwoitego rodzica. Poza tym musimy ją wspierać, Shan. Nieważne, co mówi Joey, musimy stworzyć zjednoczony front.

– Co dokładnie masz na myśli, gdy mówisz, że musimy ją wspierać? – Nie wiem, po co zadałam to pytanie. Odpowiedź była oczywista.

– Zasadniczo chodzi o to, że gdy zapytają o twoje stosunki z mamą, musisz im powiedzieć, że jest dobrą matką, która zawsze chciała dla was jak najlepiej i na tyle, na ile mogła, starała się wam zapewnić solidny dom i utrzymać samodzielnie pięcioro dzieci. Opowiedz im, że gdy się dowiedziała, że dręczą cię w BCS, to zapisała cię do Tommen; powiedz, jak bardzo cię kocha.

– Czyli mam kłamać? – zapytałam szeptem.

– To nie kłamstwo. Shannon, ona też jest ofiarą – powiedział zmęczonym tonem. – I w tej chwili tylko ona stoi między wami a państwowym systemem opieki zastępczej. – Oczy mu pociemniały, odwrócił wzrok. – I zaufaj mi, nie chcecie tego, nie słuchaj, co mówi Joey.

Na myśl o tym, co przeszedł Darren, zaskwierczał we mnie ból.

– Wszystko u ciebie dobrze?

Mrugnął, zaskoczony tym pytaniem.

– U mnie?

Kiwnęłam głową.

– W porządku. – Wypuścił powietrze z płuc. – Po prostu się martwię.

– Ja też – wydusiłam.

– Nie chcę, żebyście trafili pod opiekę państwa – dodał z bólem. – To nie jest dla was dobre wyjście, pomijając wszystkie moje problemy. Dobrze ci idzie w Tommen. Jeżeli cię zabiorą, przeniosą cię do innej szkoły, będziesz musiała zaczynać wszystko od nowa.

Na samą myśl groza ścisnęła mi serce.

– Chcę zostać w Tommen – wydukałam.

– Wiem. I zamierzam o to zadbać. Pokryję chesne. Zrobię, co będzie trzeba, ale musicie mnie teraz wesprzeć.

– Joey się nie zgodzi – powiedziałam, dłoń mi przy tym drżała. – Nie będzie chciał więcej mieszkać z nią pod jednym dachem. Nie wiesz, ile musiał przejść.

– Joey tu nie ma znaczenia – wymamrotał Darren, ściskając się za nasadę nosa. – Jest pełnoletni.

– To nie sprawia, że nie ma znaczenia! – warknęłam, patrząc ostro na brata. – Darren, Joey to najważniejsza osoba w naszym życiu.

– Wiem, wiem – westchnął ciężko. – Źle się wyraziłem...

– Wiesz, że Sean do drugiego roku życia nazywał Joeya „ta-ta”? – weszłam mu w słowo. Miałam szeroko otwarte, pełnie neuronionych łez oczy. Spoczywające wzdłuż ciała dłonie zacisnęłam w pięści, drżały. – Sean myślał, że jego brat jest jego *tatusiem*. Biorąc pod uwagę, że Joey prawie codziennie karmił go nocami i przewijał, gdy mama robiła nocki albo pogrążała się w depresji, taka pomyłka chyba nie może dziwić. Więc proszę, idź i powiedz Seanowi, że Joey nie ma już znaczenia. Albo jeszcze lepiej: idź i powiedz Oliemu i Tadhgowi, że gdy Joey sypiał pod ich drzwiami, żeby ojciec ich nie dopadł, to było bez znaczenia. Wyjaśnij im, że to nieważne, że ojciec tyle razy sprzął go za nich. Mnie wyjaśnij, że brat, który nas karmił, gdy prawie konaliśmy z głodu, wstawiał się za nami, gdy nie mieliśmy nikogo, i dawał nam pieniądze na szkołę, *jest nieważny...* – Głos mi się załamał, musiałam wziąć kilka głębokich wdechów, zanim mogłam mówić dalej. – Powiedz mi, że Joey nie ma znaczenia, Darren – wydusiłam, czując, jak zaskoczone tym nagłym wysiłkiem płuca płoną w proteście. – No już, mów!

– Wiesz, że nie o to mi chodziło – westchnął. – Oczywiście, że Joey jest ważny. To było parszywe z mojej strony.

– Owszem... – wykrztusiłam, ciężko dysząc. – Było.

– Chciałem tylko powiedzieć, że skończył osiemnaście lat. Z prawnego punktu widzenia jest dorosły, więc opieka społeczna się nim nie interesuje. Skupiają się na nieletnich dzieciach. Na tobie, Tadhgu, Olliem i Seanie. Jego nie mają na swoich radarach.

– Poznałeś już Seana? – zapytałam, zaskakując hardością tonu samą siebie. – Ollie urósł, prawda? Tadhg też. Ile mieli lat, gdy ostatnio się z nimi widziałeś? Trzy i sześć, prawda? – Wiedziałam, że powinnam przestać i trzymać emocje na wodzy, ale nie potrafiłam. Byłam wściekła o to, że śmiał wyrażać się o nas z taką nonszalancją. Zabolało mnie, gdy stwierdził, że Joey nie ma znaczenia, bo wiedziałam, że gdy Joey stąd wybiegał, właśnie tak się czuł. – Ja miałam dziesięć lat. Joey dwanaście, troszkę więcej niż Tadhg dziś. Myślisz, że się zmieniliśmy, Darren?

– Wiele się zmieniło – wyszeptał.

– Tak, wiele się zmieniło – wydusiłam. – A matka, która *dla ciebie* była taka dobra, mama, którą ty zapamiętałeś... my jej nie poznaliśmy.

– Mimo to jest waszą matką.

– Widzisz, ciągle to powtarzasz, ale ja pamiętam inną matkę...

– Shannon...

– Ma na imię Joey – wydusiłam, zaciskając kołdrę w pięściach. – To ten *bez znaczenia*. Był naszą matką, gdy ta prawdziwa się na nas wypięła. – Gdy mówiłam, na moje policzki wylewały się łzy, ale zmusiłam się, by dokończyć, chciałam, żeby to usłyszał. – Gdy wyjechałeś, coś w niej umarło. Stała się kimś innym. Wszystko zasnuł mrok. Myślisz, że coś wiesz, ale tylko ci się wydaje. Nie możesz wiedzieć, bo nie widziałeś...

– Widziałem wystarczająco – wtrącił wycieńczonym tonem. – Uwierz mi.

– Cokolwiek widziałeś, to było w czasach, gdy była *obecna* – wyrzuciłam z siebie. Nie mówiłam tego, żeby go skrzywdzić. Po prostu musiał *zrozumieć*. – Jest nieobecna od bardzo, bardzo dawna.

– Posłuchaj, nie będę cię do niczego zmuszał – powiedział w końcu. – Zrobisz, jak sama zdecydujesz.

Ale...

– Ale tu nie chodzi tylko o ciebie – kontynuował. – Przyszłość Tadhga, Olliego i Seana również leży na szali.

Więc nie masz wyboru...

– Mama się stara, Shan... – przekonywał. – Zrobi, co trzeba, żeby się nam udało.

Jesteś w potrzasku...

– Po prostu potrzebuje nieco pomocy – szeptał. – Więc gdybyś tylko mi zaufała, posłuchała mnie w tej sprawie, to obiecuję, że mogę wam zapewnić lepsze życie. Nie będziesz musiała się bać, że on wróci, bo nigdy do tego nie dopuszczę. A gdy policja spisze twoje zeznanie i sprawa trafi do sądu, już nigdy nie będziesz musiała się martwić o...

– C... co? Nie pójdę do sądu – wydusiłam, chcąc jak najszybciej uciąć temat. – Nie stanę przeciwko niemu w sądzie. – Potrząsnęłam głową, cała się trzęsłam. – Nie ma szans.

– Shannon, on nie może cię już skrzywdzić – rzucił z przekonaniem. – Przysięgam, to...

– Przed chwilą powiedziałeś, że nie został aresztowany – wtrąciłam ostro. – Czyli jest na wolności. – Powstrzymałam potrzebę krzyku na całe gardło i tylko wbiłam palce w materac. – Darren, to bardzo źle. Ty tego nie rozumiesz, ale ja tak. *Wiem, jak będzie*. Sprawa ucichnie i ona przyjmie go z powrotem, a potem on każe mi zapłacić za wszystkie problemy, jakich mu

narobiłam. – Pociągnęłam nosem, po czym wściekle wytarłam łzy z twarzy. – Joey ma rację. Dla ludzi naszego pokroju nie ma sprawiedliwości. On dostanie lekko po łapach, i to jeśli uśmiechnie się do nas szczęście. Nie, nic nie powiem na jego temat.

– Shannon, on musi za to zapłacić.

– Łatwo ci mówić – odparowałam roztrzęsiona. – Bo nie ty będziesz ceną...

– Co? – zdziwił się. – Shannon, to nie ma sensu.

– Nieważne, i tak byś nie zrozumiał – załkałam. – To ciebie kochał najbardziej.

Wzdrygnął się, jakby nie mógł uwierzyć w to, co właśnie usłyszał.

– Nie mogłabyś się bardziej mylić – wykrztusił. – Shannon, kurewsko się mylisz.

– Ty dostałeś słowami – syknęłam na swoją obronę. – Okrutnymi, strasznymi słowami, których nikt nie miał prawa ci mówić, i bardzo mi przykro z tego powodu, ale nie zaznałeś tego, co my... – Musiałam przerwać i wziąć kilka uspokajających wdechów. – Może ci się wydawać, że gdy mieszkałeś w domu, było źle, możesz wierzyć, że dostałeś wiele ciosów, ale zapewniam cię, że po twoim wyjeździe zrobiło się milion razy gorzej. Zapewniam cię, że my z Joeyem przeżyliśmy znacznie więcej.

– Ale żadne z was nie przeżyło tego, co ja – syknął, ponownie tracąc opanowanie. – Przez pół roku mieliście swoje milusie rodzinki. Lody i pierdolone przytulaski. Wcale nie zaznaliście tego, co ja, Shannon, i ciesz się z tego, kurwa!

Wzdrygnęłam się po tych słowach.

Darren ukrył twarz w dłoniach.

– Przepraszam.

– Tak... – wyszeptałam. – Ja też.

Rozdział 6

Nie jestem kłamcą

Johnny

Wczoraj ludzie, którzy sprowadzili mnie na ten świat, ugłaskali mnie fałszywymi obietnicami podjęcia działań. Jednak gdy tylko pomogli mi wrócić do łóżka i wezwali pielęgniarkę, zrozumiałem, że zrobili ze mnie durnia. Stało się to jeszcze bardziej oczywiste, gdy usłyszałem, że „smacznie przespana we własnym łóżku noc oczyści moje rozszalałe myśli”.

Chuje.

Sen gównie pomógł mojej głowie. Gdy tylko obudziłem się dziś rano, od razu pomyślałem o Shannon i poczułem w trzewiach tak palący gniew, że byłem pewien, że nabawiłem się wrzodów.

Przez całą drogę z Dublina moje ciało było niespokojne, a umysł śmigał jak rakieta. Przrzekam, że jeszcze nigdy tak jak dziś, gdy w końcu przekroczyliśmy granicę hrabstwa Cork, nie byłem tak szczęśliwy z powrotu do „buntowniczej krainy”, co zakrawało na potężną ironię, bo przez siedem ostatnich lat kombinowałem i knułem, jak się z niego wydostać.

Ale wiele się zmieniło.

Ja się zmieniłem.

Musiałem spotkać się z kilkoma osobami i załatwić kilka spraw.

A moim priorytetem była Shannon.

W ciągu minionej doby dzwoniłem na posterunek gardy w Ballylaggin z milion razy. Gdy po siódmym lub ósmym połączeniu znów niczego się nie dowiedziałem, moje relacje z oficerem dyżurnym popsuły się na tyle, że ostrzegł mnie, jakoby „stąpał po cienkim lodzie” i że jeśli zadzwonię raz jeszcze, spędzę noc w areszcie.

Miałem mu naprawdę sporo do powiedzenia, ale rodzice skonfiskowali na pewien czas mnie i Gibsiemu komórki, zanim narobiliśmy więcej szkód.

Nikt mi nic nie mówił, i na tym polegał pieprzony problem. Wystarczyło, bym usłyszał: „Sprawdziliśmy i wszystko u niej dobrze”. Tyle. Tyle chciałem usłyszeć, tyle by mnie uspokoiło. Ale zamiast tego bez końca słyszałem standardowe: „Sprawdzamy” i „Obawiam się, że nie możemy z panem o tym rozmawiać”.

Kompletne pieprzenie.

– Pieprzenie – wyraziłem na głos uczucia, gdy ojciec zaparkował mercedesa przed naszym domem, a nie przed domem Shannon, jak mi obiecywał. Powinienem mieć na tyle oleju w głowie, żeby nie ufać prawnikowi, zwłaszcza że wspomniany prawnik odwiózł Gibsiego do domu, a potem obrał okrężną trasę bocznymi drogami, żeby tylko nie jechać główną, przez Ballylaggin. – Muszę się z nią zobaczyć.

– Nie – odpowiedziała za niego mama, odwracając się w fotelu pasażera, żeby posłać mi do tyłu surowe spojrzenie. – Masz się położyć i odpoczywać. Lekarze kazali.

Opierając się chęci, by zaryczeć jak wściekłe zwierzę, zacisnąłem dłonie na skórzanej tapicerce i wysyczałem przez zęby:

– Nic mi nie jest.

– I tak ma zostać – fuknęła mama. – Dlatego marsz prosto do łóżka.

– Nie słuchacie mnie. – Potarłem twarz dłońmi, potrząsnąłem głową i spojrzałem przez okno na lejący jak z cebra deszcz. – Dlaczego nikt mnie, kurwa, nie słucha?

– Bo jesteś ogromnie zestresowany, Johnny – wyjaśnił spokojnie tata. – Nie wspominając o oddziaływaniu morza leków.

– Właśnie – przytaknęła mu mama i uśmiechając się do mnie ze współczuciem, dodała: – Kochanie, spotkało cię koszmarnie niepowodzenie, jeśli chodzi o rugby. Nie ma w tym nic złego, że nie czujesz się do końca sobą.

– Wiem, co mówię – wrzasnąłem na nich wściekle. – Wiem, że robi jej krzywdę.

Mama jęknęła głośno, a tata obrócił się i spojrzał na mnie poważnie.

– Johnny, rzucasz na lewo i prawo poważnymi oskarżeniami i musisz się uspokoić, bo narobisz sobie kłopotów.

– Nie może być mowy o zwykłych oskarżeniach, gdy istnieje dowód – burknąłem. – A ja mam dowód.

Ojciec przewrócił oczami. Naprawdę, przewrócił na mnie, kurwa, jebanymi oczami.

– W piątek wieczorem tak majaczyłeś, że byłeś pewien, że Pat Kenny dotrzymuje ci towarzystwa w szpitalnej salce. W sobotnią noc wymienił go ten Rusek z Rocky’ego.

– A w niedzielę oskarżyłeś pielęgniarki, że chcą cię otruć – dodała mama z kwaśną miną.

– A teraz ojciec Shannon? – zakończył tata i poirytowany wypuścił powietrze z płuc. – Mamy w to uwierzyć?

– Macie wierzyć *mnie* – warknąłem – bo mówię zasraną prawdę, tato.

Wygiął brew z niedowierzaniem.

Wyrzuciłem ręce w powietrze rozdrażniony już nie na żarty.

– To jasne, że myliłem się w kwestii Pata Kenny’ego i tego Ruska, choć nadal byłbym skłonny dyskutować o pielęgniarkach i truciznie. – Pokręciłem głową, musiałem się skupić na temacie zasadniczym. – Ale teraz rozumiem już trzeźwo i mówię wam, że co do niego mam rację.

– Dobrze. – Ojciec skinął sztywno głową. – Mówisz, że masz dowód. Pokaż.

– No pewnie – odparłem z przekąsem. – Zaraz wyciągnę zwłoki Shannon z bagażnika, daj mi chwilę.

– Johnathon, zachowuj się – zrugwała mnie mama. – Próbujemy pomóc.

– A kto pomaga Shannon? – zapytałem łamiącym się głosem. – Kto jej pomaga?

– Johnny...

– Oświadczam wam, że jeśli mnie nie zawieziecie, to sam i tak jakoś się tam dostanę.

– Nie będziesz...

– Nie jestem już dzieckiem! – ryknąłem, odpinając pas i otwierając z impetem drzwi. – Mam prawie osiemnaście lat, do cholery! Więc jeśli zapędzacie mnie w kozi róg, to liczcie się z tym, że będę walczył. – Porwałem kule i niezdarnie wygramoliłem się z auta. – Możecie sobie być nieprzekonani, ale ja jestem pewien – upierałem się. – Jestem pewien, kurwa! I jeśli nie chcecie pomóc, sam to jakoś załatwię.

– Dokąd się wybierasz? – zapytali równocześnie, wyskakując za mną z samochodu.

Zignorowałem ich, zapałem się na kulach i zacząłem grzebać w kieszeni w poszukiwaniu telefonu. W końcu go wyszarpnąłem, odblokowałem i wybrałem numer Gibsiego.

– Nawet o tym nie myśl – zagroziła mama. – Nigdzie nie poje...

– Musisz po mnie przyjechać – rzuciłem, gdy tylko odebrał, nie dając mu nawet okazji na powitanie. – Proszę?

– Nic więcej nie mów – odparł automatycznie. – Ruszam.

– Dzięki, stary. – Rozłączyłem się, zacisnąłem komórkę w dłoni z nadmierną siłą i spojrzałem na gapiących się na mnie z niedowierzaniem rodziców. Wiedziałem, czemu są tacy ogłupiali. To wszystko było do mnie niepodobne. Nie zachowywałem się tak. Nie zwracałem się do rodziców takim tonem ani takimi słowami. – Nie jestem kłamcą – powiedziałem. – Nigdy nie byłem i nigdy nie będę. Wiem, co widziałem. Wiem, co słyszałem – dodałem roztrzęsiony. – Mam rację, a wy popełniacie bardzo niebezpieczny błąd, jeśli mi nie wierzycie.

– Wcale nie uważamy, że jesteś kłamcą, Johnny – lamentowała mama. – Ale martwimy się o ciebie.

– A ja martwię się o nią – odparłem głosem ciężkim od emocji. Niemiłosiernie na nas lało, ale ja nawet nie drgnąłem. Nie byłem w stanie. – Jestem przerażony.

– Dobra, mam propozycję – powiedział tata, chrząknąwszy. – Idź do środka, połóż się, a ja podzwonię w kilka miejsc i spróbuję się czegoś dowiedzieć.

Aż przygarbiłem się z ulgi.

– Serio?

Ojciec kiwnął głową i odgarnął z oczu mokre włosy.

– Jeżeli aż tak się martwisz, to sam pojedę na posterunek i popytam.

– Nie robisz mnie w chuja? – zapytałem, też odgarniając włosy. – Sprawdzisz, co z nią?

Tata przytaknął sztywno.

– Tak, ale mam szczerą nadzieję, że się mylisz, synu.

– No... – zaskrzeczałem, czując, jak mama obejmuje mnie w pasie. – Ja też...

Przerwałem w pół zdania, bo zadzwonił mój telefon. Zerknąłem na ekran. „Joey hurler” – przeczytałem i zagotowała się we mnie krew.

– Gdzieś ty się, kurwa, podziewał?! – rzuciłem, gdy tylko odebrał. – Wydzwaniam do ciebie na okrągło od kilku dni, Joey. Jezu Chryste.

– No wiem... – odpowiedział, jakby celowo ściszym głosem. – Mamy tu za sobą kilka skomplikowanych dni.

– *Skomplikowanych?* – warknąłem i prawie rozbiłem telefon. – Wiesz co, nie pasuje mi to słowo – powiedziałem z przekąsem. – Bo nie wyjaśnia ani nie tłumaczy śladów na ciele twojej siostry. – Pokuśtykałem w stronę auta i ignorując przerażone miny rodziców, kontynuowałem tyradę: – Nie wyjaśnia, dlaczego bez przerwy się wzdyga i unika każdej konfrontacji w szkole. I nie wyjaśnia, do chuja ciężkiego, dlaczego gdy zapytałem, kto ją tak pierze, odparła, że jej własny ojciec!

– Johnny...

– Gdy zostawiłeś ją w moim domu, kazałeś jej przekazać, że macie nagłą sprawę rodzinną – mówiłem dalej, od razu wchodząc mu w słowo. Nie potrafiłem się powstrzymać, gniew mnie dosłownie pochłaniał. – Pamiętasz to w ogóle? Kazałeś przekazać Shannon, że jej ojciec wrócił. I wiesz, co się wtedy stało Joey? Wiesz, jak ona... – Musiałem zrobić kilka uspokajających oddechów. – Załamała się i zaczęła płakać. Tak kurewsko nią telepało, że nie wiedziałem, jak ją pocieszyć. Nie byłem w stanie jej pocieszyć! Bo mnie okłamałeś. Zapytałem bez owijania w bawełnę, kto jej robi krzywdę, a ty skłamałeś!

– Nie skłamałem – odparł krótko, czym tylko jeszcze bardziej mnie rozjuszył.

– Nie powiedziałaś prawdy! – ryknąłem wściekle. – Stałem przed tobą, pytałem, błagałem, kurwa, żebyś mi powiedział, co się z nią dzieje, a ty nie powiedziałaś.

– Nie mogłem...

– Poprosiłeś, żebym się nią zajął, a potem mi ją zabrałeś! Zabrałeś ją z powrotem do niego! – wyrzycałem, ciężko dysząc.

– Bo nie miałem innego wyjścia – wysyczał. – Nie masz zielonego pojęcia, z czym się musiałem zmagać.

– Tania wymówka – wycedziłem, przeczesując włosy dłonią. – Każdy ma jakiś wybór.

– I byle chuj ma zawsze rozwiązanie problemu innych, dopóki sam go, kurwa, nie ma, dopiero wtedy ma przejebane – warknął Joey. – Myślisz, że wiesz, o czym mówisz, a nie masz pojęcia.

– To się ciągnie latami, prawda? – zapytałem ostro. – I wy wszyscy po prostu... zamiataliście to pod dywan!

– Przecież nie codziennie – odszczeknął. – Nasz stary ma problem z piciem. Zazwyczaj jestem na miejscu i zapobiegam awanturom. Próbuje! Staram się, kurwa, okej?! Ale w sobotę mnie nie było. Miałem trening. Nie wiedziałem... Nie sądziłem, że coś się wydarzy. Skąd miałem wiedzieć? Myślałem, że jest bezpieczna. Myślałem, że jest w Dublinie, z *tobą*! Nasz ojciec zazwyczaj ma ciężkie środy...

– Och, w *takim razie przepraszam*... – rzuciłem, opadając na tylną kanapę samochodu. – Nie zostałem poinformowany o jego harmonogramie spuszczenia wpierdołu. Czy tylko w środy lubi tłuc innych? W takim razie odbierać ją we wtorki i podrzucić z powrotem w czwartki? Będzie mu pasowało?

– Posłuchaj...

– Gdzie ona teraz jest? – uciąłem od razu. – Jest z tobą? U was w domu? On też tam jest? – Wiedziałem, że jeśli poda niewłaściwą odpowiedź, oszaleję. W moim umyśle istniała tylko jedna odpowiedź na to pojebane pytanie. Ich ojca nie miało prawa tam być. Miał być tak daleko od Shannon jak to tylko możliwe. Skręcało mnie na samą myśl, że mógłby ją uderzyć. Patrzeć na nią. *Dotykać* jej. – Jest blisko niej? – wydusiłem. – *Dotykał* jej?

– Przystaniesz w końcu gadać i posłuchasz...

– Powinienem był zaufać intuicji – ponownie wszedłem mu w słowo. – Wiedziałem, że w twojej rodzinie coś śmierdzi. Wiedziałem, do cholery. Tamtej nocy, gdy po nią przyjechałeś? Aż skręcało mnie od środka, żeby zabronić jej jechać. Ale zamiast posłuchać alarmu wyjącego mi w głowie, zamiast otworzyć pieprzone oczy, stłumiłem złe przeczucia. Bo myślałem sobie: „Nie no, przecież ten koleś kocha siostrę”. Przecież nie pozwoliłby, żeby coś jej się stało. – Musiałem zagryźć pięść, bo inaczej rozbiłbym ojcu szybę w aucie. – Jestem debilem!

– Spierdalaj, chłoptasiu z bogatej rodziny! – wycharczał. – Łatwo ci osądzać. Przez całe swoje uprzywilejowane życie nie widziałeś na oczy jednej trudności. Zrobiłem dla rodziny wszystko, co mogłem.

– Z wyjątkiem jednej rzeczy, którą naprawdę należało zrobić! – odkrzyknąłem wściekle. – Zdajesz sobie sprawę, że to właśnie dlatego ma nad wami taką władzę, prawda? – Ścisnąłem komórkę w dłoni jeszcze mocniej. – Trzymanie gęby na kłódkę nie rozwiązuje *niczego*, za to jemu pozwala na *wszystko*!

– Ona ma szesnaście lat, palancie! – ryknął Joey. – Jak ci się wydaje, co by z nią zrobili, gdybym poleciał na policję?! Zamknęliby ją w domu dziecka! A miałem na głowie nie tylko Shannon! Muszę się jeszcze troszczyć o trzech młodszych braci.

Otworzyłem usta, żeby zaprotestować, ale szybko się powstrzymałem.

To prawda.

Spuściłem głowę.

– Kurwa.

– Właśnie, kurwa – syknął. – To nie film, Kavanagh. To nasze życie. Jest prawdziwe, jest do bani, a ty gównu o nim wiesz. Byliśmy pod opieką innych ludzi. Już to przerabialiśmy. Na miłość

boską, mój brat został... – urwał i wziął rozedrgany wdech. – Byliśmy już w trybach systemu, wiemy, jak to wygląda, więc zanim zaczniesz mnie oskarżać o bezczynność, zadaj sobie pytanie, dlaczego woleliśmy zostać z ojcem, niż tam wracać!

Przez chwilę przyswajałem jego słowa, dopiero potem odpowiedziałem:

– Oto co wiem na pewno. Wiem, że ruszam właśnie pod wasz dom i wiem, że jeśli go tam zastanę, jeżeli znajdę go w pobliżu twojej siostry, to zwałę na łeb tego śmiecia morze problemów...

– Nie ma jej w domu, dupku! – wrzasnął mi do ucha. – Od początku próbuję ci to powiedzieć. Leży w jebanym szpitalu!

Serce zamarło mi w piersi.

– Sam ją zawiozłem w sobotę wieczorem – wydusił. – Po tym, jak ojciec tak ją złał, że prawie ją zabił. Za to, że się z tobą zadała. Jakiś zasrany nauczyciel z Tommen zadzwonił do domu powiedzieć, że nakrył was, jak się obściskujecie w szatni. Więc pierdol się, Johnny Kavanagh. Jesteś równie winny jak ja.

Na linii zapadła cisza, a ja po prostu siedziałem, zmrożony do szpiku kości, moje ciało atakowały miliony różnych emocji, gapiłem się tępo w trzymany w rękę telefon.

Słyszałem rozmawiających ze sobą rodziców, ale nie rozumiałem, co mówili. Kilka sekund później ojciec wsiadł za kierownicę i odpalił silnik.

– Mówiłem – wydusiłem ze wzrokiem wbitym w jego potylicę, gdy samochód zerwał się z podjazdu. – Nie jestem kłamcą.

Rozdział 7

Nie dziś Shannon

Resztę dnia spędziłam w stanie z trudem powstrzymanej paniki. Ból głowy, który tłamsił mnie, odkąd otworzyłam oczy, nabrał kolosalnych rozmiarów, a wszystko pogarszał stale sunący na mnie rwący potok pytań. Najpierw pytali policjanci, a potem Patricia, pracownica opieki społecznej, która chciała, żebyśmy były „przyjaciółkami”.

Tak, *na pewno* była moją przyjaciółką. Dobrze wiedziałam, co przyniesie mi ta przyjaźń. Aż taka naiwna nie byłam.

Gdy rozmawiałam z policją, Darren cały czas był w salce, jak milcząca sowa strażniczka strzegąca mojego języka i pilnująca, żebym przypadkiem niczego nie pokręciła. Bywałam już w podobnym położeniu, rozmawiałam z przedstawicielami władz, podczas gdy członek mojej rodziny czaił się tuż obok i czuwał, żebym nie zapomniała o napisanej dla mnie roli. Zazwyczaj to ojciec albo matka sprawdzali, czy solidnie wykułam scenariusz. Dziś zastąpił ich Darren.

Nie musiał się martwić. Nauczyłam się roli. Przez lata dopieściłam ją do perfekcji. Mówiłam, co trzeba, ukrywałam brzydkie rzeczy, przemilczałam podchwytliwe pytania... Już wiedziałam, które z nich to pułapki.

Lekarze i pielęgniarki przez cały dzień kursowali do mojej salki i z powrotem, opukiwali mnie, osłuchiwali, zadawali pytania, na które wcale nie chcieli znać odpowiedzi. Zniechęcona zrobiłam, co musiałam, żeby uchronić matkę od kłopotów, chciałam po prostu zostać w końcu sama. Kiedy wreszcie skończyli mnie przesłuchiwać i badać, czułam się gorzej niż dotychczas.

Przez cały ten czas liczyło się dla mnie tylko jedno i myślałam tylko o jednym. Miałam nadzieję, że w Niedzielę Wielkanocną Tadhg, Ollie i Sean znajdą w mojej szkolnej torbie jajka. Wiedziałam, że innych nie dostaną. Tata wydawał pieniądze otrzymane na dzieci na samym początku miesiąca. Nie było z czego odłożyć na jajka.

Tego wieczoru Joey nie przyszedł mnie odwiedzić, przyszła za to mama.

Na jej widok ścisnęło mnie w dołku.

Bo wiedziałam, czego się spodziewać.

– Cześć, Shannon.

Podeszła do łóżka, z tymi załzawionymi oczami i pokrytą plamami twarzą, i zamknęła mnie w ramionach, objęła, jakbym naprawdę była dla niej ważna. W pewnym sensie byłam. Moje milczenie było dla niej bardzo ważne. Można powiedzieć, że mnie rozpieszczała, bo bała się, co mogę zrobić.

Ona też nie musiała się martwić. Gdyby wkroczyła opieka społeczna, to nie jej życie zostałoby zniszczone. Tylko nasze.

Gdy w żaden sposób nie odwzajemniłam uścisku, nie zareagowałam na niego, puściła mnie i zajęła miejsce, które godzinę wcześniej zwołał Darren.

– Jak się czujesz?

Nie miałam ochoty odpowiadać, pozostałam sztywna i skamieniała, odnotowałam wzrokiem bladego siniaka na jej wychudłej twarzy. *Dlaczego to sobie robisz?* Chciałam zapytać: „Dlaczego

dajesz mu się tak traktować?”

– Rozmawiałam z lekarzami – zaczęła niepewnie, miętosząc rękaw przydużego płaszcza przeciwdeszczowego. – Mówią, że może pojutrze wypuszczą cię do domu, a jeśli następna seria badań pójdzie dobrze, to może nawet jutro.

– Do domu? – zapytałam, patrząc na nią obojętnie. – Czy pod opiekę?

– Do domu, Shannon – wypuściła powietrze z płuc i kiwnęła głową. – Wracasz do domu. Tak mi przykro, kochanie – powiedziała, a jej oczy zaszyły łzami. – Z powodu tego wszystkiego.

Spuściłam wzrok na własne palce. Co chciała ode mnie usłyszeć? Że już dobrze i że jej wybaczam? W naszym życiu nie było niczego dobrego.

– A tata? – Zmusiłam się, żeby o to zapytać, ale nie oderwałam oczu od przyciętych paznokci.

– Co teraz będzie?

– Twój ojciec nie wróci.

Kłamstwa.

– Tak... – wymamrotałam pod nosem. – Na pewno.

– Mówię poważnie – powiedziała z naciskiem głosem pełnym emocji. – Byłam w sądzie. Wprowadzili tymczasowy zakaz zbliżania się, żeby nie mógł się z nami kontaktować. Ja... za trzy tygodnie wracam do sądu. Prawnik mnie zapewnił, że bez problemu uzyskamy taki zakaz na stałe.

Jeszcze więcej kłamstw.

– No chyba że uznasz, że wcale nie chcesz takiego stałego zakazu – wypaliłam, czując pustkę w środku. – Chyba że postanowisz zamieść wszystko pod dywan... jak zawsze.

– Tym razem mówię serio – zapewniła ochrypłym, nierównym głosem. – Nie przyjmę go z powrotem. Nie przyjmę. Jezu, patrz, co on ci zrobił...

– *Co mi zrobił?!* – wykrztusiłam oburzona. – Chyba co mi zrobił *tym razem*, mammo! – Mrugnęłam, bo zdradliwe łzy zniekształcały mi widok. – *Tym razem!*

– Kochanie, tak mi przykro.

Nie odpowiedziałam.

– Odtąd wszystko będzie inaczej. – Była słabym człowiekiem i tak też brzmiała. Słabym, złamanym i niewiarygodnym. – Darren wrócił do domu, pomoże nam stanąć na nogi. Obiecuję, że będzie lepiej.

Potrząsnęłam głową rozwścieczona jej słowami.

– Mam w dupie twojego drogiego Darrena – wycodziłam, nienawidząc siebie za to, że popłakałam się w jej obecności. – Nic dla mnie nie znaczy.

– Przemawia przez ciebie gniew – wydusiła. – Wcale tak nie myślisz.

– Gniew? – Pozbyłam się łez mrugnięciem i spojrzałam na nią ostro. – Na jakiej planecie ty żyjesz, mammo?! Nie znam Darrena. Nie mam z nim nic wspólnego i nie chcę mieć.

– Shannon – załkała. – To niesprawiedliwe.

– Niesprawiedliwe?! A zapytałaś w ogóle Joeya, co o tym sądzi? – rzuciłam ochrypłym głosem. Dla niej zawsze liczył się tylko Darren. Darren to, Darren tamto. Joey jej nie obchodził. To ojciec miał obsesję na punkcie Joeya, ale i ta pojawiła się dopiero, gdy Darren się wyniósł. Po prostu Joey musiał się wcielić w rolę, w której nikt, zwłaszcza on sam, nie chciał go widzieć. – Nie, prawda? – kontynuowałam. – Wyrzuciłaś go poza nawias. Od razu zaczęłaś decydować o naszym życiu razem z Darrenem, z człowiekiem, od którego przez pół dekady nie mieliśmy żadnych wieści. Nawet nie pomyślałaś, żeby zapytać, co myśli twój syn, który *naprawdę* nam pomagał i nas wychował! – Zachłysnęłam się powietrzem, wytarłam nos wierzchem ręki i mówiłam dalej: – To ja skończyłam w szpitalu, mammo, ale to ty razem z ojcem zniszczyłaś Joeya.

– Nie chce ze mną rozmawiać – powiedziała płacząco. – Nie pokazuje się w domu od wielu dni.

– Ciekawe dlaczego – odparłam tylko.

– Nie wiem, co mam robić – bąknęła. – Jak mam to naprawić, skoro nie chce ze mną rozmawiać?

– Nie możesz tego naprawić, mamo – odpowiedziałam roztrzęsiona. – To jak z Humptym Dumptym: nie da się go po prostu poskładać. Tata rozbił go o ścianę, a ty pogubiłaś odłamki potrzebne, żeby go odbudować.

– Boże, Boże... – Ukryła twarz w dłoniach. – Tak mi przykro.

– Szkoda, że go dziś nie widziałaś – powiedziałam, krzywiąc się, bo przeszył mnie ból. – Był kompletnie zdruzgotany.

– Shannon – załkała. *Słaba, słaba, cholernie słaba kobieta.* – Skarbie, proszę cię, daj mi szansę, żeby wszystko naprawić. – *Nie dasz rady, nigdy tego nie naprawisz.* – Wiem, że zdołam wszystko odwrócić.

– I widzisz, znowu gadasz, znowu piękne słowa, ale to tylko słowa. – Pokręciłam głową i podniosłam na nią wzrok. – Tyle dla nas zawsze masz: słowa – wyskrzeczalam. – Słyszałam je z milion razy, nie uwierzę w obietnice, które tyle razy łamałaś.

– Do czego zmierzasz? – zapłakała, wycierając policzki wymiętą chusteczką. – Nie chcesz już ze mną żyć?

– Zmierzam do tego, że zrobię, co trzeba dla Tadhga, Olliego i Seana – wydusiłam, tonąc w emocjach. – Żeby zapewnić im bezpieczeństwo i trzymać ich z daleka od systemu opieki, dam planowi Darrena szansę. I mam nadzieję, że masz rację, mamo. Naprawdę mam nadzieję, że tym razem nie kłamiesz, ale tylko dla dobra chłopców, nie własnego. *Modlę się*, żebyś zdołała wszystko zmienić i zostać matką, na jaką zasługują, ale dla mnie i dla ciebie jest już za późno.

– Nie wiem, co powiedzieć – łkała dalej. – Po prostu mi przykro, Shannon. Wiem, że nie mogę tego naprawić, ale... Boże, nie wiem już, co robić.

– Mamo, wiem, że nie jesteś złym człowiekiem – szepnęłam i gwałtownie cofnęłam zdradliwą dłoń, która samowolnie chciała ją pocieszyć. – I wiem, że ciebie też krzywdził, i to w sposób, którego nawet nie rozumiem, i *przykro mi*, że cię to spotkało. Wiem, że się bałaś, i przykro mi, że przez tyle lat musiałaś żyć w strachu... – Wściekła na siebie wytarłam łzy, wzięłam głęboki wdech i dopiero wtedy mogłam mówić dalej: – Ale to nie znaczy, że mogłaś nas odpuścić. – Pociągnęłam nosem, potarłam go wierzchem ręki. – Nie tłumaczy cię to, bo wiedziałaś, co nam robi, widziałaś i nie zrobiłaś nic. Po prostu nas porzuciłaś, mamo. Byłaś, ale jakby cię nie było. Joey słusznie nazwał cię duchem. Nie wiem, może to był twój sposób na przetrwanie, na przebrnięcie przez kolejny dzień w jednym kawałku, ale mogłaś zrobić więcej niż my. Byłaś tą dorosłą. Naszą *matką*. A ty po prostu... – wzruszyłam bezradnie ramionami – spisałaś nas na straty.

– Myślisz, że z czasem mi wybaczysz? – zapytała szeptem, patrząc na mnie pełnymi łez i samotności niebieskimi oczami. – Myślisz, że to będzie kiedyś możliwe?

– Może? – Ponownie wzruszyłam ramionami. – Ale na pewno nie będzie to dziś.

Rozdział 8

Buldożer

Johnny

– Musisz zachować chłodny osąd – poinstruował mnie tata, gdy szliśmy korytarzem szpitala uniwersyteckiego w Cork do skrzydła 1A, cały czas trzymając mnie mocno za przedramię. – Żadnych wybuchów – dodał cicho. – I żadnych oskarżeń, na miłość boską.

– A po co więcej oskarżeń? – warknąłem, wlokąc się o kulach. – Obaj wiemy, co się jej stało. – To, co mu mówiłem. Co mówiłem wszystkim. – Jezu, tato, skończyła przez niego w szpitalu!

– Johnny... – Zatrzymał mnie na środku tętniącego życiem korytarza, ściągnął brwi i spojrzał na mnie poważnie. – Jesteś zdenerwowany i w pełni to rozumiem. Przepraszam, że w ciebie zwątpiłem, okej? Ty miałeś rację, ja się myliłem, ale *to* – omiół ręką otoczenie – bardzo delikatna sytuacja, a ty masz zerowe doświadczenie w takich sprawach. Johnathon, mówimy o przypadku przemocy domowej. Garda i pomoc społeczna na pewno dobrze się już tym zajęły. Rozumiesz? Zostanie wszczęte śledztwo, w które nie możesz się wtrącać. Emocje będą szalały, a gdybyś wpadł w to wszystko jak taran, popełniłbyś największe głupstwo. Może zrobiłoby ci się lepiej, może nawet byłoby to usprawiedliwione, ale na dłuższą metę na pewno nie pomógłbyś Shannon. Więc jeśli chcesz się z nią zobaczyć, to stanowczo doradzam, żebyś zachował własne opinie i uczucia dla siebie i pozwolił mi mówić.

Spojrzałem na niego zdumiony.

– Na pewno się z nią zobaczę, tu nie ma żadnego „jeśli”. – Ojciec posłał mi sceptyczne spojrzenie. – Tato, zobaczę się z nią – powtórzyłem wściekle.

– To zachowaj spokój i nie wpadaj tam jak buldożer – powtórzył, po czym puścił moją rękę i ruszył przodem.

Spojrzałem groźnie na jego potylicę, poprawiłem kule i próbowałem za nim nadążyć.

– Nie wpadnę tam jak zaszary buldożer.

Skręciłem, tropiąc sylwetkę ojca, która zniknęła mi z oczu za kolejnymi wahadłowymi drzwiami.

Jebać mojego kutasa i te przeklęte kule.

Ewidentnie celowo mi uciekał. Chciał dotrzeć na miejsce pierwszy i ocenić wszystko na swój zimny, wyrachowany, nieczuły sposób, bez asysty nieustępliwego syna.

Gdy w końcu go dostrzegłem przy stanowisku pielęgniarek na końcu długiego korytarza, podkręciłem kulawe tempo, mknąc na metalowych prętach dzięki sile moich ramion i korpusu, a po drodze zaglądałem przez okienka w drzwiach do każdej mijanej sali.

Przechodziłem właśnie obok szóstych drzwi po lewej, gdy moje ciało nagle wyhamowało, a serce wykręciło się w piersi jak mokra szmata.

Shannon leżała w łóżku, z zamkniętymi oczami i złączonymi pod policzkiem rękoma.

Leżała twarzą do drzwi, na jej widok musiałem się zatrzymać i zaczerpnąć tchu.

Gdy dostrzegłem siniaki na jej twarzy, zmiotły mnie milion i jedna emocja. Była czarnosina do tego stopnia, że prawie nie do poznania. Prawie. Bo wszędzie poznałbym tę twarz.

I właśnie wtedy to poczułem. Zalało mnie głębokie poczucie winy. Smutek na jej twarzy za każdym razem, gdy odwoziłem ją do tego domu. Strach w jej oczach, gdy po raz pierwszy zapukałem wtedy do jej drzwi... i po raz drugi, i trzeci też. Zawsze była taka spłoszona, cicha i układna. Pytała o pozwolenie w dosłownie każdej sprawie. Nie mogła nigdzie chodzić. Raz mi powiedziała... powiedziała, że jej rodzice są nadopiekuńczy. Ale i tak ze mną poszła.

– *Możesz mnie uratować?*

– *A czy potrzebujesz, żebym cię uratował?*

– *Mhm...*

– *Co ci się tutaj stało? Po czym ją masz?*

– *Od mojego ojca.*

Od miesięcy miałem ślady przed oczami, ale przemknąłem przez nie jak buldożer. Miałem otwarte oczy, ale patrzyłem w złą stronę. Nie słyszałem jej. Nie słuchałem. Nie zwracałem wystarczającej uwagi. Nie przyswajałem, przeoczyłem wskazówki, byłem głuchy na wołania o pomoc, ale teraz już to wszystko słyszę i widzę.

A jak wygląda to „teraz”? Leży w szpitalu, bo ją pocałowałem. Bo całowałem ją jak skurczybyk i wpakowałem nas w tarapaty. Joey tak powiedział. Ojciec jej to zrobił, bo się ze *mną* zadawała.

Moje myśli powędrowały do Joeya. Za każdym razem, gdy się widzieliśmy, brat Shannon miał na twarzy świeże siniaki. Ale nigdy się nad tym głębiej nie zastanowiłem. Uznałem, że tak to jest w hurlingu, i zapomniałem o sprawie. Bóg mi świadkiem, że sam poświęcałem większość czasu na gojenie kolejnych ran i urazów. Ale to? Tata miał rację. Nie byłem w stanie tego pojąć.

Serce galopowało mi w piersi, ręka sama się wyprostowała i sięgnęła do klamki. Zerknąwszy ukradkiem na ojca, który nadal stał przy pokoiku pielęgniarek i rozmawiał z salową – a przynajmniej założyłem, że nią była – pchnąłem drzwi i wślizgnąłem się do środka.

Rozdział 9

Nie zawieźdź mnie Shannon

Głośny stukot metalu wyrwał mnie z niespokojnego snu. Później rozległo się skrzypienie krzesła przesuwanego po terakocie. Przez chwilę nie pamiętałam, gdzie jestem. Miałam przelotne wrażenie, że znowu jestem w kuchni, zacisnęłam więc powieki i szykowałam się na uderzenie. Gdy nadeszło, w formie czyjegoś dotyku na mojej dłoni, zerknęłam niepewnie i ujrzałam wpatrzoną we mnie parę boleśnie dobrze mi znanych niebieskich oczu.

– Cześć, Shannon.

Śniło mi się to?

Miałam zwiady?

Dzikię, gorączkowe bicie serca i ciepło jego dłoni przekonały mnie, że jestem przytomna.

Oszołomiona spuściłam wzrok na moją okablowaną dłoń, która teraz była szczelnie zamknięta w jego rękach. Spojrzałam mu w oczy.

– Cześć, Johnny.

– Kiedy to niby zamieniliśmy się miejscami? – zapytał żartobliwie. Mówił wesołym tonem, ale w jego oczach szalał mroczny sztorm. – Shannon *jak ta rzeka*, czyżbyś próbowała odciągnąć ode mnie uwagę?

Uśmiechnęłam się.

– Chyba chciałam dostać trochę tych prochów.

– Trzymaj się od nich z daleka. Najebią ci w głowie. – Uśmiechnął się do mnie smutno, a potem się rozejrzał. – Więc leżysz tu tak sama? – Na jego czole wyryła się głęboka zmarszczka. – Samotnie?

Zaprzeciłam ruchem głowy.

– Mama kręci się gdzieś w pobliżu. Może wyszła na papierosa.

Johnny się nachylił, chciał coś powiedzieć, ale od razu się powstrzymał. Wydmuchał powietrze z płuc, przygryzł wargę i zapytał:

– To kiedy wychodzisz?

– Może jutro – odparłam ze słabym uśmiechem. – Albo pojutrze.

Kiwnął sztywno głową. Wiedziałałam, że chce coś powiedzieć, ale się hamuje.

– Nie powinno mnie tu być – stwierdził nagle, przenosząc na mnie wzrok. – Przynajmniej tak mi się wydaje.

– Cieszę się, że jesteś – wyszeptałam. Jego obecność, głos, widok jego twarzy uspokajały coś w głębi mnie. Kilka klocków wskoczyło na właściwe miejsca, poczułam na skórze coś na kształt ulgi, sięgającego głęboko ukojenia. Poczułam się jak w domu. Wiedziałałam, że to idiotyzm. Mało powiedziane: czyste szaleństwo, ale tak się poczułam. To uczucie było prawdziwe, namacalne i popychało mnie... bym znalazła się bliżej niego, blisko niego, na stałe.

W tej chwili poczułam, że coś w moim ciele się wyrównuje, a gdy już to zrobiło, to ciężar, który czułam, ucisk w sercu i napór na ramiona – po prostu się rozproszyły.

– Ja też – burknął.

– Więc kiedy wróciłeś do domu? – zapytałam, czując się trochę niepewnie, jakby wytrącona z równowagi.

– Dziś wieczorem. – Podniósł moją dłoń i pocałował knykcie. – Powrót do ciebie zajął mi całą wieczność.

Na dźwięk tych słów przeszedł mnie dreszcz.

– Cieszę się, że do mnie wróciłeś. – Wiedziałam, że narażam się na ból serca, nie wspominając o ogromie cierpienia, jakiego doświadczę, jeżeli ponownie mnie odrzuci, ale musiałam to powiedzieć: – Naprawdę za tobą tęskniłam, Johnny.

– Chryste, Shannon, nie wiem nawet, co mam... – Wypuścił silny podmuch z ust i znów przysunął moją dłoń do ust. – Nic ci nie jest – wyszeptał, całując mnie w grzbiet ręki. Zaciągnął się jej zapachem, przyłożył ją sobie do policzka i się w nią wtulił. – Nic ci nie będzie, prawda?

Przytaknęłam, ujęłam pewniej jego policzek i spytałam:

– A tobie?

– Nie zadawaj mi takich pytań. – Jego niebieskie oczy wywiercały we mnie tak głębokie dziury, że bałam się, czy zdołam je kiedyś zakopać. – Nie, gdy leżysz w szpitalu – powiedział.

– Przepraszam.

– Nie przepraszaj. – Zacisnął powieki i spuścił głowę, nadal dociskając moją dłoń do policzka. – To ja powinienem przepraszać. – Jęknął, jakby cierpiał, i wbił się mocniej w moją dłoń, głośno się nią. Jego opuszczone rzęsy były tak grube, że prawie zasłaniały cały błękit oczu. – Wiem, że po operacji zachowywałem się jak kompletny matole i przepraszam cię za to. Tak mi, kurwa, przykro, że cię odrzuciłem. Byłem po prostu zażenowany i zawstydzony... i przerażony, że cię odstraszę, ale powinienem był cię zatrzymać. Powinienem był lepiej się zachować. Poprosić, żebyś ze mną została. – Odwrócił głowę, pocałował mnie w środek dłoni i wyszeptał: – Chciałem, żebyś ze mną została.

– Naprawdę? – Serce zabiło mi mocniej.

– Shannon, zawsze chciałem, żebyś ze mną została – mówił wyraźnie poruszony. – I gdybym nie pierdolił o uczuciach, tylko poprosił cię, żebyś została, to mógłbym to powstrzymać...

– Nie, nie mogłabyś – przerwałam mu roztrzęsiona. – Prędzej czy później i tak wróciłabym do domu. Gdybym została dzień czy dwa dłużej, to tylko pogorszyłabym sytuację, byłoby milion razy gorzej.

– Gorzej? – Zacisnął zęby i się wzdrygnął. – Shannon, spójrz, gdzie jesteś. Jak niby mogłoby być gorzej?

– Zawsze może być gorzej, Johnny – wyszeptałam.

– Więc on ci to zrobił? – zapytał, wyprostowawszy się na krześle. – Twój tata?

Chciałam odpowiedzieć, ale mnie uprzedził.

– Zanim coś powiesz, wiedz, że Joey do mnie dzwonił i powiedział wszystko, co chciałem wiedzieć – przyznał, patrząc mi prosto w oczy. – Nie żeby musiał mi mówić. Sam to rozgryzłem. – Ścisnął moją dłoń mocniej. – Te wszystkie razy, gdy przychodziłaś do szkoły posiniaczona i rozbita... – Głos mu się załamał; zauważyłam, jak naprężyła się żyła na jego szyi. – I za każdym razem mnie okłamywałaś. Żeby go chronić?

– Nie chcę o tym rozmawiać – wyszeptałam, włączając dopracowany od małego mechanizm unikania.

– Nie, nie, tym razem się na to nie zgodzę. – Johnny patrzył na mnie stanowczo, żeby przywołać mnie do porządku. – Już mnie nie odsuniesz, Shannon. To się już nie powtórzy, bo tym

razem nie odejdę. Słyszysz mnie? Jestem przy tobie, tutaj, zależy mi i już nigdzie, kurwa, nie pójdę.

Mój umysł kręcił się jak kołowrotek, próbując nadać sens jego słowom. Czy mu chodziło o to, że...? Czy on...? Czy on chce...?

– Zależy ci?

Z jego gardła wyrwał się jęk bóleści.

– No tak, zależy. – Nachylił się bliżej. – Tak kurewsko mi zależy, że aż odbiera dech.

Oddech utknął mi w gardle.

– Co chcesz wiedzieć?

– Może zacznij od tego, co ci dolega – zasugerował, wlepiając we mnie niebieskie oczy. – Jakie są szkody?

– Kilka rozcięć i siniaków – przyznałam. – I zapadnięte płuco.

– Jezu Chryste. – Obserwowałam z sercem w gardle, jak z twarzy Johnny’ego odpływają wszystkie kolory, a potem występuje na nią krwista czerwien zemsty. – Ja pierdołę.

Następnie puścił moją dłoń, odchylił się na krzesło i wbił w czoło nasady dłoni, żeby trochę odsunąć ode mnie zarówno swoje ciało, jak i wybuchowe nastawienie. Nie powiedział ani słowa. Siedział tak przez kilka chwil, oddychając głęboko i świszcząc, ewidentnie zmagając się z emocjami.

Jego ciemne włosy sterczały w czterdzieści różnych stron, miał na twarzy kilkudniowy zarost. Oczywiście niechlujny wygląd mu służył. Miał na sobie luźne szare spodnie od dresu i granatową bluzę z kapturem. Nad jego lewym nadgarstkiem nadal wisiała szpitalna opaska, w której ostatnio go widziałam, a u jego stóp leżały metalowe kule.

– Powinnaś była powiedzieć mi prawdę – stwierdził w końcu. – O tym, co przeżywasz. – Zabrał dłonie z twarzy, nachylił się i ponownie złapał mnie za rękę. – Mógłbym ci pomóc.

– Nie mógłbyś – jęknęłam. – A ja nie mogłam ci powiedzieć.

– Nie? – zapytał głosem równie smutnym jak jego spojrzenie. – Dlaczego nie?

– Ponieważ... – Moje serce łomotało szaleńczo o żebra. – Bo...

– Bo? – powtórzył, zachęcając mnie łagodnym głosem. Zbliżył się jeszcze bardziej, oparł łokcie o skraj materaca. – Bałaś się, że ci nie uwierzę? – Nachylił się tak blisko, że wsparł brodę na naszych złączonych dłoniach. – Bo uwierzyłbym w każde słowo.

– Bo on jest alkoholikiem – wydusiłam i nagle zabrakło mi tlenu. – A ja próbowałam zapewnić bezpieczeństwo rodzinie.

– Bezpieczeństwo? – dopytywał, kusząc mnie właśnie tym: poczuciem bezpieczeństwa roztaczanym przez jego łagodny głos, obietnicą *bezpieczeństwa*. – Chronić przed nim?

Pokręciłam głową, miałam szeroko otwarte, pełne niewypowiedzianego strachu oczy.

– Przed systemem opieki. – Miałam wrażenie, że serce podeszło mi tak wysoko do gardła, że nie mogłam wydusić następnego słowa. – Byłam już w rodzinie zastępczej. – Wypuściłam ciężko powietrze z płuc, trzymałam jego dłoń, by znaleźć pokrzepienie w tym, jak uziemiał mnie jego dotyk. – Nie chciałam wracać.

– Kiedy?

– W dzieciństwie. – Przełknęłam ślinę, poczułam ogień w gardle. – Było... niedobrze.

Johnny skinął głową, żarliwe zainteresowanie w jego oczach dowodziło, że zapamiętuje moje słowa. W tym chłopaku wszystko było takie intensywne, nadmierne. Był zdecydowanie zbyt inteligentny, żeby obrażać go kolejnymi kłamstwami czy półprawdami, więc tego nie robiłam.

Postawiłam na prawdę.

– Nie chcieli, żebym z kimś o tym rozmawiała.

Zwłaszcza z tobą.

– Kto?

– Moja matka – powiedziałam niepewnie, ostrożnie. – I Darren.

Brwi Johnny’ego się złączyły. Był zdezorientowany.

– Darren to niby ten brat, który wyprowadził się z Cork?

Kiwnęłam głową.

– Wrócił.

– Kiedy? – zapytał i tym razem jego brwi wystrzeliły wysoko w górę.

– Po tym – wskazałam na siebie, czułam zażenowanie. – Mówi, że teraz będzie już w domu i że pomoże mamie przy dzieciach i, no, z oj... ojcem. – Skrzywiłam się przy ostatnim słowie.

– Mówi? – Johnny zmrużył oczy. Miał doskonałą intuicję. – Czyli mu nie wierzysz?

– Już nie wiem, w co mam wierzyć. – Wzruszyłam ramionami z rezygnacją, byłam zbyt zmęczona, by próbować budować przed nim jakieś bariery. – Wielu dorosłych mówi wiele różnych rzeczy, gadają wokół mnie, gadają nade mną, a ja po prostu...

– Masz dość tego pieprzenia? – podsunął, ściskając mnie za rękę.

– Tak – przytaknęłam, wdzięczna za jego zdolność interpretacji. – Mam po dziurki w nosie pieprzenia, Johnny.

– Gdzie jest twój ojciec?

Wzruszyłam ramionami.

– Nie wiem.

– Jak to nie wiesz? – odparł ostrym, wręcz oburzonym głosem. – Nie aresztowali go?

– Zniknął... Uciekł gdzieś po tym wszystkim i do tej pory się nie pokazał – wyszeptalam, a na samą myśl, że ojciec gdzieś tam jest, poczułam panikę. – Darren twierdzi, że go znajdują i oskarżą, ale Joey nie jest tego pewien. Mnie nikt nic nie mówi... no, poza Joeyem. On uważa, że ojciec jest u kolegów w Waterford, że przyczai się tam, dopóki nie opadnie kurz, a potem mama przyjmie go – wypuściłam powietrze z płuc i pokonana przyznałam: – z powrotem.

– Z powrotem?

Ponownie wzruszyłam ramionami, byłam już kompletnie odrętwiała.

– Naprawdę nie powinnam o tym rozmawiać z...

– Hej, to ja – rzucił, wsuwając opuszki palców pod mój podbródek. Spojrzał mi głęboko w oczy i dodał: – Możesz mi powiedzieć wszystko, okej?

– Boję się – wyznałam, przygryzając dolną wargę. – I nie chcę wracać do domu.

– Z mamą?

Przytaknęłam sztywno.

– Bo cię zawiodła – stwierdził cicho. – Bo jej nie ufasz.

– Składa obietnice, ale na tym się kończy: na pustych obietnicach. – Objęłam się roztrzęsiona, ale po chwili namysłu oplotłam jego ciepłą rękę. – Powinniśmy *żałować* jej przez to, co przeszła, przez to, że też jest ofiarą, i wiem o tym, naprawdę, ale ja... po prostu nie potrafię tego w sobie odnaleźć. – Standardowy strach i niepewność, towarzyszące mi w jego obecności, tym razem się nie pojawiły. Czułam się rozebrana do gołych kości, całkowicie odsłonięta przed tym chłopakiem, a on wciąż przy mnie siedział, patrzył na mnie niezmiennym wzrokiem i chciał usłyszeć więcej. – Teraz ma wsparcie, a policja i opieka społeczna ewidentnie wierzą, że potrafi się nami opiekować, dlatego z nią współpracują. Przygotowują dla niej wszelką możliwą pomoc i wsparcie.

– Ale ty nie wierzysz? – zapytał. – Uważasz, że nie potrafi?

– Wiem, że nigdy by nas nie skrzywdziła – wyszeptalam. – A przynajmniej nie celowo. Johnny, ona nie jest ani brutalna, ani okrutna. Jest po prostu słaba. Darren powtarza, że musimy być cierpliwi i dać jej szansę, ale ja... nie potrafię wykrzesać nadziei. – Ścisnęłam go obiema dłońmi za przedramię. – Bo ja już to wszystko widziałam. Ona przyjmie go z powrotem, jestem tego pewna, i co wtedy? Co się wtedy stanie, co? – Potrząsnęłam głową, walczyłam wściekle z własnymi emocjami, odpędzałam zdradzieckie łzy. – *Nic*. Nic, jak zwykle, a ja mam już tego dość, Johnny. – Wypuściłam powietrze z płuc. – Chcę się wynieść z tego miasta, pojechać gdzieś daleko, bardzo daleko i nigdy nie wracać.

– Możesz im to powiedzieć? – zapytał. – Że nie chcesz z nią wracać?

– No i dokąd pójde? Jeśli to zrobię, to co będzie z moimi małymi braćmi? Oni *chcą* z nią zostać.

– Jesteś pewna?

– Jeśli chodzi o Olliego i Seana tak. Nie wiem jak jest z Tadhgiem, bo on niewiele mówi, a Joey jest już pełnoletni, więc może mieszkać, gdzie zechce. – Westchnęłam przegrana. – Jeżeli się postawię, jeżeli powiem służbom, że nie czuję się z nią bezpiecznie, to wcielią nas do systemu opieki i rozdziela. – Ściągnęłam brwi i przyznałam: – Kłamstwa przychodzą mi naturalnie jak oddychanie. Okłamuję nawet samą siebie. Połowa tego, co mówię, to kłamstwa, czasami przestaję odróżniać je od prawdy. Czasami muszę się naprawdę porządnie zastanowić, co jest prawdą, a co nie, tak do tego przywykłam. Od tak dawna ukrywam różne rzeczy, że straciłam pewność, czy w ogóle jasno myślę. A teraz zaczynam w sobie wątpić, bo co, jeśli jednak się co do niej mylę? Co jeśli nie zasługuje na złe zdanie, które o niej mam?

Johnny milczał dłuższy czas, nie wydał z siebie ani jednego dźwięku, po prostu był, był przy mnie, dźwigał ze mną ciężar, podpierał mój ból cichym wsparciem. Chyba pokochałam go jeszcze bardziej za to, czego w tej chwili nie powiedział. Nie składał obietnic, których nie mógł dotrzymać. Nie proponował niczego, czego nie mógł naprawdę dać. Po prostu został.

Odezwał się dopiero po kilku minutach.

– Kiedy to się zaczęło?

– Nie pamiętam, żeby było inaczej – przyznałam, czując się naga i bezradna.

– A przeze mnie? – Przełknął głośno ślinę. – Kiedy zaczęło się przeze mnie?

– On zawsze miał paranoję – powiedziałam, uznawszy, że nie mam już nic do stracenia. – Ale gdy wydrukowali w gazecie to nasze zdjęcie, dostał swój „dowód”.

Johnny spuścił głowę.

– Shannon, kurwa, to było wiele miesięcy temu.

– Wiem – westchnęłam ciężko.

– Pogorszyłem twoją sytuację – wydusił.

– Dzięki tobie była znośna – odparłam szeptem.

– Gdzie jeszcze? – Odniosłam wrażenie, że wyrwał te dwa słowa z głębi własnego wnętrza. Powoli i bez zakłopotania wodził po mnie ciemniejącym wzrokiem, który w końcu spoczął na mojej twarzy. – Jest tego więcej? – Dotknął palcami mojego policzka. – Pokaż mi, gdzie cię skrzywdził.

Zawahałam się, byłam bardzo czujna, niepewna.

– Możesz mi zaufać – zapewniał tak cicho, że prawie niesłyszalnie. – Shannon, nie jestem taki jak on. Nigdy cię nie skrzywdzę, nie potrafiłbym. W żaden sposób, w żadnej formie.

Wiedziałam o tym.

Oprócz Joeya ufałam tylko Johnny’emu Kavanaghowi.

Z tą świadomością powoli podniosłam obolałe ciało do pozycji siedzącej.

– Spokojnie – mówił łagodnie, pomagając mi usiąść. – Wszystko dobrze?

– Tak. – Spuściłam nogi z krawędzi łóżka, usiadłam przodem do niego i złapałam za krawędź bluzki od piżamy, w którą niedawno się przebrałam. Bardzo ostrożnie odsłoniłam lewy bok czarnosinej klatki piersiowej.

Johnny zachłysnął się powietrzem.

– Pierdolony bydlak – syknął, ale chyba rozmyślnie się opanował i przełknął dalsze uwagi. Zaciśnął zęby, a po chwili dodał: – Muszę zobaczyć wszystko. Pokaż mi wszystko. Muszę zobaczyć. Więc pokazałam.

Pokazałam mu ręce i nogi, kark i uda, a z każdym odsłoniętym rozcięciem, z każdym ukazaniem siniaków czułam, jak maleje ciężar na moich barkach.

– A tutaj oni zrobili dziurę – wyjaśniłam rozedrganym głosem, niezdarnie rozpinając guziki piżamy, żeby mu pokazać świeże bandaże na piersi i z boku. Rozdygotana ujęłam moje drobne piersi i odsunęłam je, żeby dobrze zobaczył. – Żeby mi pomóc w oddychaniu.

Johnny zerknął na bandaż i cały stężał. Nie patrzył na mnie w żaden seksualny sposób. Nie, patrzył z czystą grozą.

– Jezu Chryste. – Przysunął krzesło do łóżka, tak że moje nogi znalazły się między jego kolanami. – Rany są jeszcze wrażliwe? – Oparł dłoń na moim udzie, a drugą dłonią delikatnie musnął bandaże. – Boli cię?

Tak.

– Będzie dobrze – odparłam, odwracając twarz. – Lekarz powiedział, że wszystko się wygoi w tydzień albo dwa.

– Zrobił ci to przeze mnie... – Johnny zawiesił głos, złapał tkaninę po bokach mojej piersi i zaczął zapinać guziki, przez cały czas patrząc mi w oczy. – Przez to, co zaszło w szatni? – Gdy skończył zapinać mi piżamę, pokręcił głową, wyglądał na rozdartego. – Bo nie powinnaś ze mną być?

Wzruszyłam bezradnie ramionami. Nie mogłam więcej kłamać. W każdym razie nie jemu. Zresztą, on i tak dostrzegał prawdę w moich oczach. Właśnie dlatego z jego gardła wyrwał się niski, pełen bólu skowyt.

– Shannon, tak mi przykro. – Złożył czoło na moim brzuchu, oplótł mnie w talii swoimi wielkimi ramionami i wyszeptał: – Tak mi, kurwa, przykro.

Drżałam tak mocno, że z trudem to wszystko trzymałam, z trudem tłumiłam uczucia, bo pragnęłam tylko wtulić się w tego chłopaka i nie puszczać go nawet po to, by nabrać powietrza. Roztrzęsiona ujęłam jego leżącą na moim brzuchu głowę,

a on wypuścił z siebie urywane łkanie.

– To nie twoja wina – wydusiłam, czując na policzku pieczenie gorących, słonych łez. – Nie twoja. Gdyby nie chodziło o ciebie, znalazłby sobie inny powód, by mnie nienawidzić. Tak to już jest w mojej rodzinie. Ojciec nie potrzebuje powodów, żeby taki być, Johnny. Wystarczy mu własny wymysł. – Wsunęłam palce w jego włosy, zmuszałam się, by dotykać go delikatnie, choć chciałam złapać go z całych sił i błagać, żeby mnie ze sobą zabrał, tak desperacko tego pragnęłam. – Nie smuć się z mojego powodu.

– Smuć się? Shannon, ja się nie smucę. Ja jestem, kurwa, zdruzgotany – wyrzucił przez ściśnięte gardło, podnosząc głowę. – Byłem pewien, że to ktoś ze szkoły. Ja pierdołę, nabawiłem się obsesji, żeby się dowiedzieć kto, ale przez cały czas patrzyłem w złą stronę.

– Johnny...

– Odwoziłem cię do tego domu – jęknął zrozpaczony. – Patrzyłem, jak wchodzisz do tego pierdolonego domu, a sam wracałem do ciepłego, bezpiecznego łóżka, choć w sercu czułem, że coś nie gra! Miałem zbyt zamknięty umysł, żeby zauważyć co! – Potrząsnął głową i warknął sfrustrowany. – Tak kurewsko mi przykro. Nie zasłużyłaś na zawód ze strony kolejnej osoby.

– W porządku – wychrypiałam.

– Wcale nie. Wcale *nie*. – Westchnął ciężko, po czym wyszeptał: – Shannon, czy on... – Wypuścił powietrze z płuc, ponownie potrząsnął głową i spróbował jeszcze raz. – Czy... – Skrzywił się, zamknął oczy. – Skrzywdził cię. – To było stwierdzenie, nie pytanie. – Fizycznie. – Otworzył oczy i spojrzał na mnie. – Robił ci... coś jeszcze?

– Co masz na myśli?

– Muszę wiedzieć, czy on... – mówił głosem pełnym bólu, z trudem wyszarpywał z gardła kolejne słowa. – Czy on... zmuszał cię do robienia rzeczy, których nie chciałaś robić?

– Na przykład jakich? – wydukałam, panikując.

– Dotykał cię kiedyś? – wyrzucił pośpiesznie. – Seksualnie. – Zamknął oczy i stęknął cierpiętniczo. – Zrobił to? – Otworzył oczy i na mnie spojrzał, widziałam, że jest rozdarty. – Zgwałcił cię, kochanie?

– Nie.

– Nie? – Jego oczy zalała fala ulgi, ale niemal natychmiast ustąpiła przypływowi wątpliwości. – Nie możesz mnie okłamywać, okej? Nie w tej sprawie. Musisz mówić prawdę.

– Nie dotykał mnie w taki sposób – wyskrzeczalam, a serce waliło dziko w mojej piersi. – Nigdy nic takiego mnie nie spotkało.

Johnny w nieskończoność mierzył mnie ostrym wzrokiem, ale w końcu zrobił wydech.

– Okej. – Przytaknął sam sobie. – Okej – wyszeptał jeszcze kilka razy, aż w końcu uleciało z niego napięcie i wyglądał, jakby skurczył się o połowę. – Przepraszam, że spytałem, ale musiałem.

– W porządku.

– Musisz wiedzieć, że nie jesteś w tym sama. Koniec z tym. – Teraz mówił spokojnie i pewnie. – Masz mnie.

Moje serce zrobiło salto.

– Tak?

– Absolutnie. – Dotknęliśmy się czołami, poczułam przy tym lekki ból. Jego niebieskie oczy wwierały się w moje, bez uciekania się do słów pytał o pozwolenie. Nie miałam pojęcia na co, ale byłam skłonna odpowiedzieć „tak” na każde jego pytanie. – Jestem przy tobie – wyszeptał, muskając nosem mój nos. – I już nigdzie się nie wybieram.

O Boże...

– Johnny? – Moje ręce same zaczęły ścisnąć fragment jego bluzy. – Jeżeli masz mnie zawieść – spuściłam głowę, zamknęłam oczy, wzięłam kilka rozedrganych oddechów i dopiero wtedy zdołałam ponownie na niego spojrzeć – to musisz to zrobić od razu, dobrze? Nie czekaj, aż będzie za późno, i proszę cię... niech nie boli...

Uciszył mnie, przykładając usta do moich warg. Zdumiona mogłam tylko się w niego bezwładnie wtulić, powierzyć mu cały ciężar własnego ciała i liczyć, że go nie zniszczy.

To był delikatny, niewinny i lekki jak piórko całus w usta, lecz w tym momencie znaczył dla mnie *wszystko*, i to dlatego, że to on mnie pocałował. Pierwszy raz *to on* pocałował mnie.

– Nie zawiodę cię – wyszeptał, cały czas stykaliśmy się czołami, a on muskał mnie wargami. – Shannon *jak ta rzeka*, zawsze będę przy tobie ostrożny. – Odetchnął ciężko, założył mi włosy za

ucho i ujął moją twarz w dłonie. – Obiecuję.

– Ja też będę ostrożna – odparłam, drżąc od stóp do głów.

– Dobrze wiedzieć, bo mam przeczucie, że mogłabyś narobić poważnych szkód w moim... – zaczął z uśmiechem.

– Nie wiem, gdzie jest, szedł tuż za mną, ale jak mógł zdobyć choć minutę z nią sam na sam, to... nieważne... Już go znalazłem – powiedział znajomy głos.

– Cholera – wymamrotał Johnny. Puścił moją twarz, odchylił się na krzesło i pozdrowił ojca pozbawionym entuzjazmu salutem. – Cześć, tato.

– Miło wiedzieć, że jak zwykle to, co ci się mówi, wlatuje jednym uchem, a drugim wylatuje – odparł łagodnie pan Kavanagh. – Shannon. – Uśmiechnął się do mnie smutno. – Cudownie znowu cię widzieć, choć okoliczności są dalece nieidealne.

– Dzień dobry, panie Kavanagh – szepnęłam i aż poczułam, jak moje mury odbudowują się z powrotem w ekspresowym tempie. Nie byłam pewna, czy spowodował to widok miłego ojca Johnny'ego, czy wściekłości na twarzy mojej matki, która stała obok niego w drzwiach.

– Cóż – wydusiła ewidentnie zdenerwowana – myślę, że spędził z nią więcej niż minutę.

– Mamo... – Chciałam zaprotestować, ale pan Kavanagh mi przerwał.

– Zrozumieliśmy. – Spojrzał na Johnny'ego i kiwnął głową. – Idziemy, synu.

– Co? – Spojrzałam przerażona na matkę. – *Dlaczego?*

– Bo tak powiedziałam – odparła roztrzęsionym głosem.

– Nie – pokręciłam głową i spojrzałam na Johnny'ego. – Nie, wcale nie musisz nigdzie iść.

– Owszem, musi, Shannon – wtrącił pan Kavanagh. – Chodź, Johnny.

Wygląd Johnny'ego odzwierciedlał to, jak sama się czułam. Był kompletnie rozdarty, patrzył to na ojca, to na mnie. Minęło kilka długich, cichych i pełnych napięcia chwil, ale w końcu pokonany kiwnął głową. Patrzyłam ze ściśniętym sercem, jak podnosi kule z podłogi i staje na niepewnych nogach.

– Wróć, Shannon.

– Wolałabym nie – rzuciła szybko mama. – To znaczy, nie wracaj. Przynajmniej na razie. Przechodzimy przez poważne prywatne problemy, to sprawa rodzinna. Wydaje mi się, że nawet twoja dzisiejsza wizyta jest niestosowna.

Szczęka mi opadła.

– Mamo!

– Tak? – wycedził Johnny, z trudem maskując gniew. – A ja bym wolał, żeby wsadziła sobie pani to, co się pani wydaje, w...

– Johnathon! – warknął jego ojciec. – Czas iść.

– Dość już zaszkodziłeś naszej rodzinie – wycodziła matka, cała się trzęsąc. – Choć może nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy. Masz się tu więcej nie pokazywać. Nie jesteś tu mile widziany.

– Pani Lynch – wtrącił spokojnie pan Kavanagh. – Myślę, że wszyscy powinniśmy ochłonąć...

– Trzymaj pan swojego synka z dala od mojej córki – warknęła na niego. – Ona ma dopiero szesnaście lat i nie życzę sobie, żeby miała z nim cokolwiek wspólnego. Trafiała tu przez niego! Bo sam nie potrafił trzymać się od niej z daleka. Więc niech pan się tym zajmie. Rozumie mnie pan? Proszę trzymać tego chłopaka z dala od mojej córki!

– O czym ty mówisz?! – wydusiłam, a moje serce galopowało tak szybko, że aż zakręciło mi się w głowie. – Nie zrobił nic złego.

– Wrócę do pani córki – warknął Johnny, patrząc mojej matce prosto w oczy. – Grałem już według waszych zasad i proszę spojrzeć, jak Shannon przez to skończyła. Może być pani pewna, że więcej nie popełnię tego błędu.

– Johnny, idziemy – syknął pan Kavanagh. – Już.

– Tato, Jezus Maria!

– Już!

Johnny oderwał rozpalone spojrzenie od mojej matki i popatrzył na mnie. Zbliżył się, ignorując naszych rodziców, ujął ręką tył mojej głowy i się nachylił.

– Wrócę – wyszeptał, po czym złożył na moim czole długi pocałunek. Gdy się wyprostował, puścił do mnie oko i dodał: – Obiecuję.

– Będę czekała – odparłam cicho, gapiąc się na niego wytrzeszczonymi oczami.

Johnny obrócił się do mojej matki i syknął:

– Mam was na oku.

– Chodź już – westchnął z rezygnacją pan Kavanagh i położył dłoń na karku syna. – Wyjdźmy stąd, zanim cię zleję twoimi własnymi kulami.

– Znakomity dobór słownictwa, tato – jęknął Johnny, pozwalając ojcu wyprowadzić się z salki. – W chuj taktowny.

– Jezu... – wymamrotał pan Kavanagh, odwracając się w progu. Na jego obliczu pojawiła się głęboka czerwień. – Przyjmijcie najszczerze przeprosiny za ten niesmaczny komentarz – powiedział, po czym zamknął za sobą drzwi.

– Co *to* było? – zapytała oskarżycielsko mama, mierząc mnie spojrzeniem przymrużonych oczu.

– To był Johnny – odpowiedziałam, patrząc na nią hardo. – A co *to* było? – zrewanżowałam się pytaniem. – Co to było, do cholery? Przyszedł mnie odwiedzić, a ty go wyrzucasz?

– Nie ma tu czego szukać.

– Co takiego? – wydusiłam zdumiona. – To mój *przyjaciel*!

– Czy *ten przyjaciel* planuje częściej cię całować? – zapytała ostro. – Na oczach matki!

Boziu, mam nadzieję. Zbyłam ją wzruszeniem ramion.

– Jest dla ciebie za stary.

– Ma siedemnaście lat – odparłam buntowniczo. – Ja szesnaście.

– Nie podoba mi się to, Shannon – powiedziała, tym razem z troską w głosie. – On. Nie podoba mi się ten chłopak. Ma coś w sobie. Jest za bardzo... za bardzo...

– Za bardzo jaki, mamoo?

– Wszystko, Shannon – stwierdziła. – Jest dla ciebie za stary, za bardzo doświadczony i na pewno za bardzo arogancki.

– Cóż, to nie twój wybór – odparłam. – Sama go sobie wybrałam.

– A czy on wie? – zapytała cicho, zerkając na mnie czujnie. – O naszej rodzinie?

– Wszystko wie – potwierdziłam cicho, czując, jak wzmaga we mnie tsunami niesłusznym wyrzutów sumienia. Logika podpowiadała, że nie powinnam ich mieć, ale serce było zdezorientowane. Nazywało mnie zdrajczynią. – Musiałam mu powiedzieć – wydusiłam, tłumacząc się. – Widział ślady...

– Jezu, Shannon – wydukała. – Nie... – Zaczęła kręcić głową. – Nie, nie, nie... Tak nie może być...

– Popatrz, gdzie ja jestem. – Policzki paliły mnie ze wstydu. – Nie mogłam go dłużej okłamywać!

– Nie o to mi chodzi! – rzuciła. – Chodzi mi o was dwoje. – Ponownie pokręciła głową. – Nie, ty jesteś teraz bardzo wrażliwa, a on wykorzystuje sytuację.

– Co takiego? – Spojrzałam na nią zdumiona. – Nie wierzę, że w ogóle to powiedziałaś.

– Sypiasz z nim?

– Co takiego?!

– Uprawiasz seks z tym chłopakiem?

– O Boże! Jesteś kompletnie oderwana od rzeczywistości! – Wydałam z siebie powstrzymywany krzyk. – Darren miał rację. Naprawdę potrzebujesz pomocy.

– Shannon, on cię *skrzywdził* – wydukała. – Trafił cię piłką... Skończyłaś przez niego w szpitalu...

– Przypadkowo! – wycodziłam. – W przeciwieństwie do człowieka, któremu pozwalałaś zostać w naszym życiu. Bo on lubi nas krzywdzić *celowo*. – Wskazałam na siebie podrygującą dziko ręką. – Mamo, znowu leżę w szpitalu. To też zwalisz na Johnny'ego?

Mama się wzdrygnęła.

– Gdyby zostawił cię w spokoju, to ojciec nie miałby powodu, żeby...

– Przestań! – ostrzegłam ją łamiącym się głosem. – Nie waż się mnie obwiniać za to, co mi zrobił.

– Nie obwiniam. – Znowu przeszła w płaczliwy ton. – Przepraszam... Po prostu się o ciebie *boję*. – Podbiegła i opadła na materac. – Twój ociec o nim wie. Co jeśli spróbuje cię poprzez niego znaleźć? Co jeśli zobaczy was razem i będzie jeszcze gorzej?

– Mamo, ojciec wie, gdzie mieszkamy – westchnęłam ciężko. – Jeżeli będzie chciał mnie dorwać, to dorwie.

– Shannon... – załkała głośno. – Nawet tak nie mów.

– Taka prawda – stwierdziłam wypompowana emocjonalnie. – Jeżeli będzie chciał nas skrzywdzić, to nie będzie potrzebował naszych przyjaciół. Wystarczy, że zapuka, a ty powitasz go z szeroko otwartymi ramionami.

– Nie. – Pociągnęła nosem. – Już więcej tego nie zrobię.

– Zobaczymy.

– Wiedziałam, że tak będzie – szepnęła, sięgając po moją rękę.

– Jak? – zapytałam, wrywając dłoń.

– Widziałam, jak wtedy na ciebie patrzył. W szkole, gdy po ciebie przyjechałam? – załkała. – Wiedziałam, że będą z nim problemy.

– Mamo, to nie Johnny jest problemem – odparowałam z naciskiem. – To dobry człowiek, wspaniały, mamo. Na miłość boską, trenuje, żeby zostać zawodowym rugbystą. Jest mądry, ambitny i życzliwy. Nie bierze narkotyków, nie wygłupia się jak inni chłopcy w jego wieku. Daleko mu do potwora, którego wymyśliłaś sobie w głowie.

– Myślisz, że ja nie wiem, jak to jest? Stracić głowę dla takiego chłopaka? – zapytała. – Twój ojciec był taki sam. Przecież nie był złym człowiekiem, kiedy się poznaliśmy. Był cudowny. Też był gwiazdą, tyle że hurlingu. Wszyscy chcieli się z nim kolegować. Ludzie go uwielbiali, wiesz? Był złotym dzieckiem Ballylaggin.

– To nie to samo – wykrztusiłam, czując, że robi mi się gorąco, że panikuję. – To zupełnie inna sytuacja.

– *Identyczna* – odpowiedziała pośpiesznie. – I spójrz na mnie, Shannon. – Machnęła ręką, nie wskazując niczego konkretnego. – Popatrz, jak dziewczyny kończą przez takich chłopaków. Wystarczy jedna pomyłka. Jedno potknięcie i masz po życiu. Zrzuci na ciebie więcej obowiązków,

niż będziesz w stanie unieść, będzie cię za wszystko obwiniał. Za to, że odebrałaś mu przyszłość. Za to, że odwróciłaś bieg jego życia. Za to, że zmusiłaś go do ojcostwa, choć sam był jeszcze chłopcem. Shannon, jeśli powtórzysz mój błąd, to ten chłopak cię znienawidzi i będzie niszczył, aż nie zostanie z ciebie nic, co mógłby dalej krzywdzić.

– Nie jestem tobą – wykrztusiłam. – A on nie jest tatą.

– *Jeszcze* – odrzekła smutno. – *Jeszcze* nie.

– Cicho bądź.

– C... co takiego? – obruszyła się.

– Nie zrobisz mi tego – powiedziałam roztrzęsionym głosem. – Nie odstraszysz mnie od *jedynej* dobrej rzeczy w moim życiu.

– Shannon, ja cię nie straszę, ja chcę ci pomóc – odpowiedziała błagalnym tonem. – *Chronić* cię.

– Przed niewłaściwym człowiekiem.

– Nie. – Pokręciła głową. – Przed powtórzeniem moich błędów.

– Pytałaś, czy istnieje szansa, że kiedyś ci wybaczę. – Przełknęłam ślinę, złapałam mocno materac i śmiertelnie poważnie spojrzałam matce w oczy. A potem wyszeptałam: – Jeżeli go ode mnie odegnasz, odpowiedź będzie brzmiała „nigdy w życiu”.

Rozdział 10

Oskarżenia

Johnny

– Przepraszam cię, Johnny – powiedział ojciec, gdy wieczorem zaparkował za domem, obok mojego audi. – Powinienem być cię posłuchać.

– Wiem, tato. – Odpiąłem pas i otworzyłem drzwi, byłem wypompowany. Powinien był mnie posłuchać, ale nie miałem teraz siły o tym gadać. Walczyłem z własnymi uczuciami, desperacko próbowałem jakoś ogarnąć, kurwa, emocje i nie odjechać. Ale nie było łatwo i za każdym razem, gdy wyobrażałem sobie Shannon w tym szpitalnym łóżku i gdy przypominałem sobie o śladach na jej ciele, przesuwałem się bliżej krawędzi przepaści.

Nie umiałem przestać o niej myśleć, co – przyznając uczciwie – nie było żadną nowością, ale teraz chodziło o coś zupełnie innego. Byłem zdezorientowany, odwalało mi od natłoku uczuć i oplątywała mnie nerwowa rozpacz. Nie chciałem jej tam zostawiać. Gdybym mógł decydować, uprowadziłbym ją z tej koszmarniej, zjebanej rodziny i zatrzymał przy sobie.

Tata pomógł mi wysiąść, zamknął za mną drzwi i objął mnie w pasie. Cieszyłem się, że mi pomaga. Mój umysł leżał w gruzach, moje ciało było zmęczone i obolałe, chyba miałem już całkiem sucho w baku.

– Nie popełnię więcej tego błędu, synu.

Wdzięczny za podpórkę zrezygnowałem z kul, zarzuciłem prawą rękę na jego barki i mocno się na nim wsparłem.

– Tato, jestem rozwalony – przyznałem przez zaciśnięte zęby, czując dojmujące palenie w udach i podbrzuszu. – Moje ciało to wrak.

– Zuch chłopak – pokrzepiał mnie tata, biorąc kule pod pachę, a następnie poprowadził mnie w stronę drzwi. – Tak jest, o to chodzi... Uważaj na stopień...

– Uważam – wydusiłem, przechodząc przez drzwi i tłumiąc ryk bólu. – Już dobrze.

Gdy weszliśmy do kuchni, zastaliśmy mamę przy kuchence. Miała na sobie fartuch, dzierżyła w dłoni drewnianą łyżkę. Kiedy nas zauważyła, zostawiła ją w garnku z gulaszem, zapominając o mieszaniu, i do mnie podbiegła.

– Wszystko dobrze, skarbie? – zapytała, łapiąc mnie za twarz. W jej brązowych oczach zobaczyłem ciepło i matczyną troskę. – Boli cię? Co z Shannon? Widziałeś się z nią? Miałeś rację? Rozmawialiście...?

– Edel, kochanie – wtrącił tata i pokręcił lekko głową. – Nie dziś. Chłopak ledwie stoi.

Mamie całkiem zrzędła mina.

– O Boże. – Spuściła rękę wzdłuż ciała i spojrzała na nas z grozą w oczach. – A więc to prawda, tak?

– Prawda, skarbie – potwierdził posępnie tata. – Od początku miał rację.

Mam zakryła usta dłońmi.

– Jej ojciec?

Tata przytaknął sztywno.

– Och, John. – Oczy zaszyły jej łzami. – Biedne dziecko.

– Ale przecież nie chodzi tylko o nią, nie? – warknąłem, kipiąc złością. – W tym domu jest całe mrowisko dzieci.

Mama aż się wzdrygnęła.

– I myślisz, że...

– Sam już nie wiem, co myśleć. – Przełknąłem wściekłość na to, jak kurewsko niesprawiedliwie jest być nastolatkiem na takim świecie, zamaszystym ruchem zabrałem tacie kule i warknąłem: – Nie mam bladego pojęcia. – Minąłem ich i pokuśtykałem do drzwi. – Idę do łóżka.

– Nie chcesz o tym porozmawiać? – zawołała za mną mama. – Johnny?

– Potrzebuję trochę przestrzeni – burknąłem, nie odwracając się. – Trochę czasu, żeby przetworzyć to całe gówno.

– Johnny, kochanie...

– Edel, daj mu spokój.

– Ale, John, przecież on nie wejdzie sam po schodach...

– Edel, daj chłopakowi spokój.

W ślimaczym tempie dowlokłem się korytarzem do schodów, ignorując sprzeczących się rodziców. Oddychałem z trudem, tyle wysiłku kosztowało mnie samo zmuszenie organizmu do posłuszeństwa i ruchu.

Gdy wspiąłem się na szczyt schodów, kule porzuciłem już na trzecim stopniu, zrobiło mi się słabo. Ale sięgnąłem na samo dno wewnętrznego zbiornika siły woli, usztywniłem kręgosłup i parłem dalej. Puściłem dopiero w moim pokoju, zamknąwszy za sobą drzwi.

Doczłapałem się do łóżka, usiadłem na krawędzi i ukryłem twarz w dłoniach. Sookie, moja labradorka, zerwała się z miejsca w nogach łóżka i podeszła bliżej, ewidentnie zachwycona moim widokiem.

– Jak się ma moja dziecinka? Mama cię tu zostawiła? Grzeczna dziewczynka.

Wycieńczony do cna podrapałem ją za uszami i po karku, ale moją uwagę przyciągnęła gazeta leżąca na szafce nocnej. Nachyliłem się nad psem, by po nią sięgnąć, i spojrzałem na stronę, na której była otwarta.

Gdy tylko mój wzrok padł na uśmiechniętą, gładką twarz Shannon, która wtulała się w mój bok, poczułem, jakby ktoś łupnął mnie z zaskoczenia w splot słoneczny.

– Spieprzyłem, Sook. – Objąłem psisko ręką i wtuliłem się w kosmaty kark. Stęknąłem z bólu, mrugnąłem, żeby pozbyć się szczypania w oczach, a mój umysł gorączkowo przerzucał wszystkie złe wspomnienia związane z Shannon. Po chwili myślałem, że rozsadzi mi głowę.

– Dziewczynko, kompletnie dałem dupy – wyznałem, zaciskając powieki. Z mojej piersi wyrwał się ochrypły szloch. – Chryste...

Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

– Johnny, mogę wejść?

– Nie! – krzyknąłem od razu, cały się napinając. Byłem zaskoczony, że mama w ogóle zapytała, chyba pierwszy raz w życiu. – Po prostu... po prostu mnie zostaw, mamó. *Proszę cię.*

Nastąpiła długa pauza, a później ciszę wypełnił coraz słabszy odgłos oddalających się kroków. Nagle jednak się zmienił i kroki szybko przybierały na sile. Drzwi otworzyły się na oścież i mama wkroczyła do środka.

– Przepraszam cię, skarbie, ale ja tak nie potrafię.

I to niby ja zachowuję się jak buldożer.

– Wiem, że jesteś na mnie wściekły – powiedziała, szybko się do mnie zbliżyła i usiadła obok na łóżku. – I masz do tego pełne prawo. Sama jestem na siebie wściekła. – Wyciągnęła rękę,

potar mosiła Sookie za uszami, po czym odsunęła ją na bok i przysunęła się do mnie bliżej. – Ale przeszedłeś w ostatnich dniach piekło. – Położyła dłoń na moim ramieniu i dodała: – Chcę, żebyś wiedział, że możesz na mnie liczyć. *Muszę cię wesprzeć.*

– Wiem o tym, mam – burknąłem, skupiając wzrok na drzwiach przylegającej do mojego pokoju łazienki. – Zawsze wiedziałem.

– Rozmawiałam z tatą o Shannon – dodała łagodnie, ściskając mnie za ramię. – Na pewno masz straszny galimatias w głowie.

Westchnąłem ciężko.

– Chyba można tak to ująć.

– To zupełnie normalne, że czujesz się przez to wytracony z równowagi.

– Mam, ja już nie wiem, jak się czuję – wybełkotałem, łapiąc się za nasadę nosa. – Wszystko po prostu... się wykoleja. – Spuściłem głowę, zrobiłem kilka uspokajających oddechów, zastanawiając się, jak to się stało, że moje życie obrało tak popierdoloną drogę. – Mam, mam wrażenie, że tonę w ich bólu – wyznałem ochryple. *Czuję, że tonę w niej.*

– Johnny, jesteś bardzo mądrym chłopcem, ale emocjonalnie nie jesteś jeszcze gotowy, żeby poradzić sobie z tym, czego dziś doświadczyłeś, i w tym również nie ma nic złego.

– Mam, w tym wszystkim jest bardzo wiele złego – wycodziłem przez zaciśnięte zęby. – Dorosły mężczyzna leje do upadłego własną córkę, terroryzuje ją, kurwa, latami, wysłał do szpitala i po prostu sobie znika w jakiejś kryjówce? – Wyrzuciłem ręce w powietrze na dowód frustracji. – Myślisz, że Shannon jest na to *emocjonalnie gotowa*? Bo trudno mi w to uwierzyć. – Odrzuciłem głowę w tył, nie radziłem sobie z siłą własnych nerwów. – Nie rozumiem tego, mam – wysyczałem, czując, że gniew wzrasta we mnie jeszcze bardziej. – Nie rozumiem, jak dorosły może traktować tak dziecko... – Zaciśnąłem zęby, oddychałem przez nos, teraz przede wszystkim musiałem się uspokoić. – Jak ktoś mógł *jej* to zrobić.

– Kochanie, ludzie robią czasami przerażające, niewiarygodne rzeczy – odpowiedziała czule. – Szaleństwa nie da się rozsądnie wyjaśnić, skarbie, więc nie próbuj, bo sam możesz oszaleć.

– Ale ja tylko...

– Troszczysz się o nią? – weszła mi w słowo. – Wiemy, słoneczko.

– Od miesięcy, mam – wydusiłem niespokojnie. – Znam Shannon od kilku miesięcy i świadomość, że każdego dnia naszej znajomości wracała do domu, do tego śmiecia... – Potrząsnąłem głową, ponownie spróbowałem wziąć kilka uspokajających wdechów, a potem ciągnąłem dalej: – Zawiodłem ją. Dopisałem się do długiej listy ludzi, którzy ją zawiedli.

– Wcale nie, Johnny. Nie wiedziałeś.

– Wiedziałem, że coś jest nie tak – sprzeciwiłem się. – To wiedziałem!

– Bo zawsze miałeś doskonałe wyczucie dobra i zła – odparła. – Dlatego jesteś wyjątkowy, skarbie. Zawsze słuchasz wewnętrznego rytmu, zawsze wstawiasz się za słabszym. Nigdy nie dajesz się podporządkować, nie ulegasz owozemu pędowi. Johnny, od małego kroczyś własną ścieżką.

– Niezbyt mi to pomaga, mam – burknąłem.

– Chcę powiedzieć, że to naturalne, że dostrzegłeś coś w Shannon. Coś, co chciałeś chronić. Ale nie masz obowiązku ratowania świata, Johnny. Nie mogłeś wiedzieć, co ją spotyka, więc nie obciążaj się tym.

– No cóż, wychodzi to, że jej ojciec jest *alkoholikiem* – syknąłem. – Jakby to było uzasadnienie tego, że może sobie urządzić treningi bokserskie na dzieciach.

– To żadne uzasadnienie – przyznała. – To przestępstwo.

– *Nienawidzę go* – wycodziłem, praktycznie krztuszając się złością. – Chcę dopaść tego drania i poważnie go skrzywdzić.

– Ale nie zrobisz tego.

– Nie, nie zrobię. – Wbiłem wściekły wzrok we własne nogi. – Bo obecnie ledwie potrafię sam się wyszczać.

– Nie – poprawiła mnie mama, rozcierając mi plecy. – Nie zrobisz tego, bo jesteś u progu kariery, na którą pracowałeś całe życie, i nie warto jej marnować, żeby się na kimś wyżyć, nawet jeżeli teraz wydaje się to bardzo satysfakcjonującą wizją.

– Wiesz, mammo... Od dnia, w którym poznałem Shannon, wiedziałem, że coś się dzieje. Wiedziałem, że tam coś, kurwa, nie gra, że ma jakieś tajemnice, ale – pozwoliłem słowom ulecieć, wzruszyłem ramionami – nie spodziewałem się czegoś takiego.

– Skąd mogłeś wiedzieć, Johnny?

– I jeszcze *ona* – kontynuowałem, nadal patrząc groźnie, choć już na nic konkretnego. – Nie ufam jej.

– Komu?

– Mamie Shannon – wycodziłem. – Jest z nią coś na serio nie tak. No bo ja... jak, na miłość boską, może pozwalać własnym dzieciom żyć w takim domu? – Spojrzałem na mamę w poszukiwaniu odpowiedzi. – No jak, mammo? Jak to działa?

– Nie wiem, Johnny.

– Czy ona nie powinna mieć przez to jakichś kłopotów? – Zaciśnąłem pięści na samą myśl. – Za to, że się nie sprzeciwiła? Czy to nie jest zaniedbanie... albo inny, kurwa, błąd?!

– Język.

– Naprawdę? – Uniosłem brew. – Będziesz mi urzędzała wykłady? Dziś? *Serio*?

Mama westchnęła ciężko.

– A co na to Shannon? Co mówi o matce?

– Różne rzeczy – wymruczałem, spuszczaając wzrok na kolana.

– Różne?

– Mamo, nie zamierzam powtarzać tego, co mówi mi Shannon – stwierdziłem. – To prywatne sprawy. Ale mam złe przeczucie co do tej kobiety. – Położyłem sobie dłoń na udzie, zaczynałem stopniowo koić narastający w moim ciele ból. – Mają ją wypisać jutro albo w czwartek, ale to znaczy, że wróci *tam*. Do *tego* domu. Z *tą* kobietą. – Spojrzałem na mamę i zapytałem: – Jak to w ogóle, kurwa, możliwe?

– Nie wiem, skarbie – odpowiedziała mama ostrzejszym tonem. – Ale ojciec mi zrelacjonował, jak ta kobieta cię dziś potraktowała. Nie miała cholernego prawa!

– Jezu... – burknąłem, przeklinając w głowie ojca za to, że jej o tym powiedział. – Przecież to nieważne.

– *Ważne* – poprawiła mnie żarliwie. – Nie ma prawa zadzierać nosa i patrzeć na mojego syna z góry.

– Nie zadzierała nosa – wymamrotałem. – Była po prostu wkurzona, że tam przyszedłem. – Wzruszyłem ramionami i dodałem: – Nie lubi mnie. Nigdy nie lubiła. – Westchnąłem ciężko i trochę się powierciłem w poszukiwaniu jakiejś wygodnej pozycji. – Odkąd trafiłem Shannon tą zasraną piłką. – Skrzywiłem się na samo wspomnienie, nadal miałem poczucie winy. – Nie chce, żebym się zbliżał do jej córki.

– Cóż, lepiej niech się odpierdoli od mojego syna – warknęła mama, trzęsąc się ze złości. – Nie pozwolę na to, Johnny. Słyszysz? *Nie pozwolę!* Miała kupę szczęścia, że był tam dziś z tobą ojciec,

a nie ja!

– „Odpierdoli”?! – Szczeka mi opadła. – Zamierzasz ją pobić, mamó?

– W styczniu próbowała wymusić, żeby cię zawiesili – wściekała się dalej, a jej policzki wyraźnie się zaróżowiły. – Położyła łapska na *moim* nieletnim synu, i to na terenie szkoły... Pan Twomey akurat zapomniał o tym wspomnieć, gdy omawialiśmy tę sprawę. – Zmrużyła oczy. – Nikt nie będzie robił pod górkę mojemu dziecku.

– Kiedy rozmawiałś o tym z Twomeyem? – zdziwiłem się.

Mama się najeżyła.

– Zadzwoiłam do niego, gdy Shannon mi opowiedziała, co się stało... Zanim wróciłam do Londynu.

– Po co? – zapytałem oszołomiony.

– Jestem twoją matką i mam prawo wiedzieć o szkolnych problemach własnego dziecka – odparowała opryskliwie. – Wiem, że ta kobieta robiła ci problemy. Wiem też, że to przez jej naciski groziło ci zawieszenie... Przez nią wyszedłeś na jakiegoś łobuza! – Zacisnęła swoje drobne piąstki. – Nie przepadam za rugby, ale jak ktoś może mieć czelność narażania całej twojej pracy przez zwykły wypadek?! To absolutnie nie do przyjęcia. Szkoła nie miała prawa tak cię potraktować, nie mieli do tego żadnych podstaw! Dobitnie to wyjaśniłam twojemu dyrektorowi – prychnęła, po czym dodała: – A potem zagroziłam, że Tommen może stracić nie tylko ciebie, ale też nasze szczodre darowizny.

– Jezusie Nazareński, mamó... – Ze złości przeczesalem włosy dłonią i wbiłem wzrok w sufit. – Zaznaczę tylko, że ledwie mnie dotknęła.

– *Dotknęła cię* – powtórzyła wściekle. – *Popchnęła cię. Groziła ci.* Wyładowała na tobie swoją złość. Johnathon, może w jej domu coś takiego przechodzi, ale w *moim* na pewno nie, do ciężkiej cholery.

Uniosłem brew.

– Mówi kobieta, która bez przerwy szczypie mnie za uszy.

– To są szczypnięcia miłości – stwierdziła. – Zresztą, nie o to chodzi.

– Niech będzie. – Wzruszyłem ramionami zrezygowany. – Więc o co chodzi?

– O to, skarbie, że nie miała prawa traktować w ten sposób mojego syna. Nie miała żadnego prawa narzucać ci swoich zasad. To moja działka. Zanim zaczniesz krytykować moją rodzinę, niech lepiej najpierw zajmie się swoją. Ojciec powinien jej to wyłożyć, ale jest zasranym dyplomatą. – Wypuściła powietrze z płuc i dodała: – Wyłazi z niego prowincja.

Parsknąłem rozbawiony *tą uwagą*.

– Jest prawnikiem, mamó.

Mama ponownie prychnęła.

– Cóż, gdyby twój tatuś spędził bite trzydzieści godzin na sali porodowej, próbując wypchnąć z siebie twoje szanowne pięć kilo, być może miałby na to inne spojrzenie.

– Jezu Chryste. – Zadrzałem na myśl o *moim* chwalebny przyjsciu na ten świat. – Dziękuję za tę wspaniałą wizję.

Mama parsknęła.

– Wiem, że masz mnie za uciążliwą zrzędę, ale nic na to nie poradzę. Taka rola matki. Zrzędzimy, zamartwiamy się i trujemy wam tyłki, dopóki nie zakopią nas w ziemi. – Nachyliła się i oparła policzek na *moim* ramieniu. – Johnny, jesteś *moim* synkiem. – Westchnęła ciężko. Możesz sobie być nawet o dwie głowy wyższy, ale nieważne, co się stanie i jak daleko w życiu zajdziesz, zawsze będziesz *moim* dzieckiem.

– Wiesz, że też cię kocham – wymamrotałem mocno skrępowany. – Przeważnie mam wrażenie, że przez ciebie oszaleję, ale bez ciebie już dawno bym się pogubił, mam.

– Wiem, kochanie. – Westchnęła i poklepała mnie po ręce. – Wiem.

– Mamo, proszę cię, nie znieńwierz przez to Shannon – dodałem, mamrocąc ledwie słyszalnie pod nosem. – Wiem, że jesteś wkurzona na jej matkę, ale nie przenoś złości na nią.

– Boże, kochanie, oczywiście, że nie znieńwierzę Shannon – zapewniła pośpiesznie. – Świetna z niej dziewczyna, nigdy nie oceniałabym dziecka na podstawie wrażenia, jakie zrobili na mnie jego rodzice. – Przyłożyła dłoń do moich pleców. – Twój dziadkowie też nigdy mnie nie osądzi i nie zważali na moje pochodzenie.

– Prawda.

Rodzina mamy była, delikatnie mówiąc, barwna. Kolejni krewni dosłownie ciągnęli ją za sobą z miejsca na miejsce i przerzucali między sobą, dopóki w wieku szesnastu lat nie stwierdziła, że ma tego dość, i nie urwała się z Dublinu. Bez grosza, wyposażona jedynie we własny spryt zakradła się do pierwszego lepszego autobusu dalekobieżnego i skończyła w Cork. Potem dostała się stopem do Ballylaggin i trafiła do gospodarstwa moich dziadków, i choć miała charakterek, to chciała zapracować na swój chleb. Cztery lata później była już w Londynie, podjęła studia i była żoną taty.

– Ale powiem to – dodała, szturchając mnie ramieniem. – Jeśli Marie Lynch chce z tobą zadrzeć, to najpierw będzie musiała poradzić sobie ze mną.

– Mamo... – Pokręciłem głową i westchnąłem ciężko. – Wyjdzie, że jej bronię, ale ona chyba tylko odreagowuje. – Wzruszyłem ramionami i dodałem: – Wszyscy mają tam u nich teraz młyn.

– Johnny, ja to rozumiem – stwierdziła. – Naprawdę, kochanie. Nawet sobie nie wyobrażam, jak muszą się czuć jej biedne dzieci. – Wstała, rozprostowała fartuch, po czym dodała: – Ale nie będzie odreagowywała na tobie. – Zmrużyła oczy. – Po moim trupie.

– Muszę tam jutro wrócić. – Spojrzałem na mamę, która teraz zaczęła krzątać się po moim pokoju, zbierając ciuchy z podłogi. – Do szpitala.

Nie skomentowała.

– Mamo – zawołałem. – Muszę wrócić.

Westchnęła głośno.

– Nie chcę, żebyś się zbliżał do tej kobiety, Johnny. Dopóki rzuca na prawo i lewo oskarżeniami pod twoim adresem.

– Nie jadę tam do niej – burknąłem wkurzony. – Jadę do Shannon... Chwileczkę... – Zmrużyłem oczy. – Jakimi oskarżeniami? Znowu wracasz do tej *przeklętej* piłki? Bo chyba już wyjaśniłem, że to był zasrany wypadek.

Mama pokręciła głową.

– Nie, kochanie.

– No to o co chodzi? – rzuciłem, znów nakręcony. – Co ona jeszcze o mnie gada?

– Powiedziała coś tacie – odpowiedziała. – Rzeczy, przez które wolelibyśmy cię z ojcem tam nie puszczać.

– Niby jakie?

– Johnny, posłuchaj mnie, musisz przez jakiś czas ich unikać – powiedziała w końcu, ale nie wdawała się w szczegóły. – Nie twierdzą, że już na zawsze, ale dopóki nie opadnie kurz, najlepiej będzie, jeżeli dasz tej rodzinie trochę spokoju.

Co ona o mnie, kurwa, powiedziała?!

– Mamo, nie zrobiłem nic złego – ryknąłem i ponownie poczułem, że jestem na krawędzi. –
Więc cokolwiek opowiada, to kompletne bzdury.

– Posłuchaj, prześpij się teraz i pogadamy o tym rano – odpowiedziała, unikając mojego
spojrzenia. – Musisz odpoczywać, Johnny. Jedziesz na oparach.

Miała rację, jechałem na oparach – na oparach cierpliwości.

– Mamo? – obserwowałem, jak rusza w stronę drzwi. – Mamo, co ona powiedziała?

– Prześpij się, skarbie. – To wszystko, co powiedziała. Już miała zamknąć za sobą drzwi, ale
zatrzymała się i dodała: – Och, prawie zapomniałam... – Wsunęła rękę do przedniej kieszeni
fartucha i wyjęła z niej złożoną kartkę. – Znalazłam to podczas prania twoich ubrań z Dublina. –
Podeszła i wręczyła mi kartkę. – Jesteś uroczym chłopcem. – Uśmiechnęła się i pogłaskała mnie
po policzku, a potem wróciła do drzwi. – Jestem z ciebie dumna – dodała i zniknęła za
zamkniętymi drzwiami.

Kompletnie skołowany rozłożyłem kartkę, spojrzałem na nią i od razu uderzyła we mnie fala
emocji.

„Shannon jak ta rzeka, zechcesz zostać moją przyjaciółką?”.

Umowa o przyjaźni.

Ja pierdolę.

Ostrożnie złożyłem ją ponownie, schowałem za szafką i westchnąłem.

Niech nic ci się nie stanie, modliłem się w duchu. *Błagam, Shannon jak ta rzeka, niech nic ci się
nie stanie.*

Rozdział 11

W stronę domu Shannon

Zawsze czułam się niepewnie. Przez większość życia funkcjonowałam w stanie ciągłego niepokoju, stale i bez powodzenia próbowałam przewidzieć kolejny błędny ruch. Ruch, który przyniesie mi ból i cierpienie.

Gdy w czwartkowe popołudnie stanęłam w progu mojego pokoju, byłam bardziej rozstrojona i pełna wątpliwości niż kiedykolwiek wcześniej, bo nie potrafiłam przewidzieć zagrożenia. Po prostu wiedziałam, że gdzieś się czai.

Moje ciało trwało w stanie podniesionego alarmu, a instynkt przetrwania wył w głowie, że nie jestem bezpieczna. Bezsilna przyjrzałam się pokojowi i odnotowałam, że wygląda tak jak zawsze. Mały, schludny i czysty.

– Przywiozę ci trochę nowych rzeczy – oświadczył Darren, omijając mnie i kładąc przy łóżku moją torbę ze szpitala. – Farbę, jakieś nowe zasłony. Nową narzutę. Co chcesz, Shannon. Powiedz tylko, jakie lubisz kolory, i załatwione.

A może by tak nowe życie? Nową rodzinę? Albo odrobinę wewnętrznego spokoju?

– Nie trzeba – odpowiedziałam przez wciąż obolałe gardło. – Nie musisz mi nic kupować. – Zmusiłam nogi do ruchu, a to, odkąd przekroczyłam próg domu, sprawiało mi spory kłopot, podeszłam do łóżka i usiadłam.

Mój umysł automatycznie przeszedł do wspomnienia Johnny'ego rozłożonego na moim materacu, uczącego mnie matmy, i kąciki ust samowolnie podskoczyły w górę. Ale potem popełniłam błąd i spojrzałam na ścianę przy drzwiach i jedyne dobre wspomnienie z tego domu się rozmyło, zostało zastąpione innym – tym, jak ojciec rzuca mną o tę ścianę. Tak mocno, że wybiłam głową dziurę w tynku. Miałam wtedy siedem lat, nie chciałam mu oddać pieniędzy z komunii. To był błąd. Zapłaciłam za niego zarówno pieniędzmi, jak i zdrowiem.

– Wszystko dobrze? – zapytał Darren, wrywając mnie z mrocznych myśli. – Shannon?

– Gdzie są wszyscy? – odpowiedziałam pytaniem, tłumiąc złe wspomnienia.

– Chłopcy są u babci – wyjaśnił. – Nie mogłem zabrać ich ze sobą do szpitala, a mama jest na zajęciach Patricii.

Patricia to ta kobieta z opieki społecznej przydzielona naszej rodzinie, prowadzi zajęcia z umiejętności rodzicielsko-wychowawczych.

Na samą myśl miałam ochotę przewrócić oczami. I niby czego ją tam nauczą? Żeby nie pozwalała mężowi bić dzieci? Żeby nie znikwała na całe dni i nie zostawiała dzieci bez jedzenia? Żeby nie kładła się do łóżka na całe tygodnie i nie zostawiała nas samych sobie?

Tyle to powinien wyjaśnić jej zdrowy rozsądek.

Oczywiście opieka społeczna o tym nie wiedziała. Nakarmiliśmy ich historyjką o „biednej, maltretowanej matce, która rozpaczliwie pilnuje bezpieczeństwa dzieci”, którą Darren wbijał nam do łbów do porzygu. Krzywiłam się na wspomnienie pogadanek, które urządzał młodszym chłopcom. Musieli mieć totalny mętlik w głowach.

„Jest taką samą ofiarą jak my wszyscy” – twierdził. Przekonał mnie na tyle, że się z nim zgodziłam, wtedy. Ale potem nadszedł moment w moim życiu, w którym przestałam usprawiedliwiać matkę, i to było wiele miesięcy temu.

– Chcesz porozmawiać? – zapytał, czekając w drzwiach. – O tacie?

Pokręciłam głową.

– Na pewno?

Posłałam mu obojętne spojrzenie. Nie wiedziałam, czego po mnie oczekiwał. Że zacznę mu się zwierzać? Marne szanse. Był mi równie obcy jak multum innych osób, z którymi musiałam rozmawiać o swoich problemach. *Które musiałam okłamywać.*

– Co z Joeyem? – zadałam najważniejsze dla mnie pytanie. – Gdzie on jest?

Darren westchnął ciężko.

– Nie wiem.

– A pokazał się w ogóle w domu? – zapytałam tonem ostrzejszym z oburzenia. – Nocował tu, odkąd wróciłeś?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie widziałem go od tamtej rozmowy w szpitalu.

– Dzwoniłeś do jego dziewczyny? – rzuciłam stanowczo, czułam, jak zaczyna szaleć mi puls. – Sprawdziłeś, czy nie ma go u Aoife?

– Joey potrafi o siebie zadbać – odpowiedział. – Jest dorosły. Skończył osiemnaście...

– Dopiero co – wydusiłam. Zniknięcie Joeya było im na rękę. Bez niego wszystko wróci na swoje miejsce. Joey był komplikacją, z którą ani mama, ani Darren nie mieli ochoty się użerać. – Skończył osiemnastkę w święta i nadal chodzi do szkoły. Trudno go uznać za dorosłego.

– Shannon, jeśli chce się trzymać z dala od domu, to ja nic na to nie poradzę.

– Wcale nie chce trzymać się z dala, Darren! – warknęłam. Wszyscy byliśmy produktami naszego środowiska. A Joey? Joey był wściekły. – Chce tu być, ale bez niej!

– Cóż, tak się składa, że *ona* jest jego matką, czy mu się to podoba, czy nie – odwarknęłam. – Ma pokój w tym domu. Jeśli chce, może wrócić. Drzwi zawsze stoją przed nim otworem. Jeżeli woli się tak zachowywać, niż współpracować, to jego wybór. Ja nie mogę go zmusić, żeby tu został.

– Zachowywać? Współpracować? – zmrużyłam oczy i stłumiłam ochotę, żeby się na niego wydrzeć. – Robi to, bo cierpi, a nikt go nie słyszy.

Zwłaszcza ty!

– W takim razie musi usiąść i porozmawiać o własnych uczuciach – westchnął zniecierpliwiony. – A nie biegać w kółko i walić pięściami w klatę. – Przeczesał ręką ciemne włosy, był ewidentnie rozdrażniony. – Shannon, chcę mu pomóc. Naprawdę. Ale nie dam rady, jeśli mi nie pozwoli.

Otworzyłam usta, żeby odpowiedzieć, ale ostatecznie tylko potrząsnęłam głową.

Nie było sensu ciągnąć tej rozmowy. Darren nie rozumiał. Nie potrafił albo nie chciał spojrzeć na to wszystko z perspektywy brata, a ja nie zamierzałam tracić więcej energii na próby zmiany jego nastawienia.

– Zawodzisz go... – wyszeptalam, nie zdołałam się powstrzymać. – Tak samo jak oni.

– Shannon. – Skrzywił się, jakbym fizycznie go uderzyła. I chyba uderzyłam... prawdą. – Wróciłem dla was wszystkich – wydusił. – Będę robił, czego potrzebujecie. W dzień i w nocy.

Tak, dla wszystkich, tylko nie dla Joeya.

– Czy w takim razie mogę skorzystać z twojego telefonu? – zapytałam, z góry znając odpowiedź. Zmrużyłam oczy i dodałam: – Powiedziałeś, że pomożesz we wszystkim. W tej chwili

muszę zadzwonić.

Zesztywniał.

– Jeśli chcesz zadzwonić do niego, to nie. Słyszałaś, co powiedziała mama.

Wiedziałam, o kim mówił. Oboje wiedzieliśmy, że miał na myśli Johnny’ego.

– Czy w takim razie mogę dostać własny telefon?

Westchnął z irytacją.

– Shannon, w tej chwili musimy się skupić na rodzinie. Opieka społeczna depcze nam po piętach, a garda czyha na nasze tyłki. Nie trzeba nam więcej zamieszania. Wiem, że uważasz, że jesteśmy niesprawiedliwi, ale na razie tak musi być.

– W takim razie niczego od ciebie nie chcę – odparłam chłodno. – Oprócz tego, żebyś zamknął drzwi z drugiej strony.

– Shannon...

– Ona się myli co do niego – syknęłam. Słyszałam już to wszystko. Nie widziałam Johnny’ego od trzech dni. Trzy dni temu odwiedził mnie w szpitalu. Trzy dni temu moja szanowna rodzina uznała, że Johnny to kłopoty. Mama nigdy go nie lubiła, i wiem dlaczego. Denerwował ją. Za dużo wiedział, bała się tego. *I słusznie*. – A ty jej słuchasz.

– Wcale nie słucham – odparł czujnie. – Nawet nie znam gościa.

– Otóż to – syknęłam. – Nie znasz go.

– Wiem za to, że mama ma rację, twój umysł jest teraz bardzo wrażliwy – wtrącił natychmiast. – Niezdrowo tak się przywiązywać do tego chłopaka.

– O mój Boże. – Zamknęłam oczy, powstrzymałam się, żeby czegoś nie rozwalić. – Oboje jesteście obrzydliwi. – Uniosłam powieki i wbiłam w niego wściekłe spojrzenie. – Jest moim *przyjacielem*, Darren. Mam prawo mieć przyjaciół, wiesz?!

– To ten przyjaciel, z którym nauczyciel nakrył cię w szatni? Jak dosiadałaś go okraciem z uniesioną spódniczką?

Zarumieniłam się jak burak. *Bądź przeklęty, panie Mulcahy*.

– Całowaliśmy się – wydukałam. – Tylko tyle.

– Shannon, ja cię nie osądzam, ale kwestionuję twój zdrowy osąd. To spora różnica – odparł szybko. – Osobie w twojej sytuacji, osobie po strasznej traumie, osobie zaniedbywanej jest bardzo łatwo rzucić się na całego w coś, na co nie jest emocjonalnie gotowa, tylko dlatego, że pierwszy raz posmakowałaś uczucia. I osobę w takim stanie bardzo łatwo wykorzystać – dodał ostrożnie.

– Tak bardzo się co do niego mylicie...

– Wysłuchaj mnie do końca, dobrze? – wszedł mi w słowo. – Nie mówię tego, żeby cię zranić. Po prostu chcę, żebyś była *świadoma* – mówił łagodnym, miękkim tonem, ale jego słowa dowodziły, że traktuje mnie protekcyjnie, i mdliło mnie, gdy go słuchałam. – Masz szesnaście lat – ciągnął. – Przeszłaś piekło i nagle pojawia się jakiś młody koleś, opowiadający dokładnie to, co chcesz usłyszeć. Czujesz się chciana, czujesz, że żyjesz. Rozumiem to, Shannon, naprawdę. Wszyscy to przechodziliśmy. Ale zanim wejdiesz na drogę bez odwrotu, musisz postawić krok w tył, zastanowić się, co robisz i *dlatego* czujesz się tak, a nie inaczej. Nie chcę, żebyś zrobiła coś, czego później będziesz żałowała.

– Nic nie rozumiesz – wyszeptalam.

– Rozumiem. Każdy by zrozumiał. Wydaje ci się, że jesteś zakochana. Jesteś przekonana, że to właśnie ten chłopak cię ocali. Ale to ułuda. To hormony i ból. – Westchnął, jakby był wycieńczony. – Gdy jesteś nastolatką, poziom twoich emocji osiąga wyżyny. Dotyczy to zwłaszcza ciebie ze względu na twoje przejścia.

– Nie mogę uwierzyć, że naprawdę to wszystko powiedziałeś – wyszczałam, poczułam się zaatakowana. – Kto jak kto, ale ty?

– To więc wynikająca z traumy – obstawał przy swoim. – Może nie wyłącznie ona, ale bez dwóch zdań nadmiernie się do niego przywiązujesz.

– Bo go kocham – warknęłam, tracąc opanowanie. Mrugałam opętańczo, bo dotarło do mnie, co właśnie powiedziałam. Zastanawiałam się, czy tego nie cofnąć, ale zawzięłam się i powtórzyłam, tym razem pewniej: – Kocham go. I to nie ma nic wspólnego ani z traumą, ani z moją rodziną, chodzi tylko o niego!

– Jesteś dzieckiem, Shannon – westchnął, ponownie traktując mnie z góry. – Nawet nie wiesz, co to miłość.

– Skończyłeś? – zapytałam ostro, czując szczypanie w oczach. – Bo możesz już sobie iść.

Stał w drzwiach jeszcze dobrą minutę, patrzył, jakby chciał coś dodać, ale nie dodał. W końcu pokręcił głową i się odwrócił.

– Będę na dole, gdybyś mnie potrzebowała.

Rozdział 12

Jestem sama Shannon

Wróciłam ze szpitala niecały tydzień temu, a w naszej na nowo zjednoczonej rodzinie już pojawiły się pęknięcia. Mama była wycofana i gdy wracała z pracy, to zazwyczaj zamykała się w sypialni albo siedziała przy kuchennym stole jak zombie, paląc papierosy i gapiąc się w nicość. Nie było to dla nas żadną nowością, ale gdy jej postawy nie równoważyła obecność Joeya, dom szybko pogrążał się w anarchii.

Słowa i czyny Darrena wydawały się nie mieć żadnego znaczenia. Ollie i Tadhg chyba nie uszanowali jego autorytetu i ciągle mu się stawiali. Nawet mały Sean buntował się przeciwko nowym porządkom. Odkąd tata zniknął, nie odezwał się do nikogo ani słowem. Darren się starał i trochę nawet było mi go szkoda, ale przede wszystkim trwałam w lojalności względem Joeya.

Joeya nie było od wielu dni, a gdy zniknął z ich codziennej rutyny, zniknął z ich przyzwyczajzeń, nastąpiła dezorientacja i rebelia. Miałam wrażenie, że Darren żałował powrotu. Coraz bardziej ugiął się pod presją roli, którą na siebie wziął, tonął w rachunkach i długach zaciągniętych przez naszych bezmyślnych rodziców, dławiła go odpowiedzialność za młodsze rodzeństwo i słabą matkę.

Oprócz spotkań z prawnikami, narad z adwokatem, wizyt opieki społecznej i policji chłopcy niemal codziennie mieli treningi i mecze. Mieli swoje obowiązki i mimo że pomagała nam babcia, to i tak było za wiele jak na jednego człowieka.

Presja była kolosalna i bez Joeya, który zazwyczaj potrafił wszystko jakoś ułożyć i mógłby pokierować Darrenem, pojawiały się wspomniane pęknięcia i coraz więcej nerwów.

W tym całym bałaganie dobre było przynajmniej to, że ojciec dalej się nie pokazywał. Złe zaś, że w głębi serca czułam, że matka za nim tęskni. Wzdychała z tęsknoty za człowiekiem, który zamienił nasze życie w jedno wielkie cierpienie. Podkopywało to moje nadzieje na długofalową przyszłość wolną od jego obecności.

Bez Joeya i telefonu byłam odcięta od świata zewnętrznego. Cztery miesiące temu ani trochę by mi to nie przeszkadzało. Cztery miesiące temu z wdzięcznością skuliłabym się pod kocem i schowała przed wielkim, strasznym światem. Ale to było przed Tommen. *Przed Johnnym.*

Dotarło do mnie, że coś się ze mną dzieje, coś głęboko w moim umyśle przechodzi zmianę, i pierwszy raz w życiu poczułam *niecierpliwość*. Czułam, że chcę zerwać łańcuchy, którymi przykuli mnie do tego domu, i wyrwać się na wolność. Nie miałam pojęcia, skąd się to wzięło, ale naprawdę to czułam. I dzięki temu miałam motywację, żeby się otrzepać i stanąć do walki. Żeby być odważna i zmienić otaczające mnie życie.

Nawet ostrzeżenia policjantów, którzy radzili, bym siedziała w domu, dopóki nie znajdą ojca, i nawet nieustanne szeptania mamy i Darrena tuż przy moim uchu nie potrafiły uciszyć niemilknącej w sercu tęsknoty za wolnością.

Zdziwiło mnie, że chciałam przesuwając własne granice akurat teraz, gdy nosiłam na sobie rekordową liczbę siniaków, ale tak właśnie było.

– Masz jakieś wieści od Joeya? – Głos Tadhga przeciął moje myśli, przywracając mnie do rzeczywistości.

Odwrociłam się gwałtownie, stał z założonymi na piersi rękami oparty o ścianę łazienki. Obserwował mnie.

– Nie – odpowiedziałam, odwracając się z powrotem do lustra, w które się gapiłam, zanim mi przerwał. – Nie mam. – Przeczesałam włosy wolną ręką, a w pewnym momencie skrzywiłam się z bólu. – Ostatni raz widziałam go w szpitalu. Przecież wiesz.

– I nie martwisz się? – dopytał ostro. – Czy nie obchodzi cię, jak całą resztę?

– Tadhg, dobrze wiesz, że się martwię. – Próbowałam powstrzymać drżenie dłoni i ponownie spróbowałam zrobić użytek z nożyczek. – Bardzo mnie obchodzi.

– Czemu on nie wraca do domu, Shan?

Miałam ochotę wrzasnąć: „Bo ona tu jest!”, ale się opanowałam i wydusiłam:

– Nie wiem, Tadhg.

– Co ty w ogóle robisz? – zapytał, brzmiąc na rozkojarzonego.

Odłożyłam nożyczki na umywalkę i odwróciłam się, żeby poświęcić mu całą uwagę.

– Próbuję naprawić sobie fryzurę.

– Odcinając włosy? – zapytał, unosząc brew.

– Niczego nie odcinam.

– No to co robisz? – zapytał ponownie, tym razem wyzywająco.

– Jestem łysa – westchnęłam ciężko.

– Co ty bredzisz? – Zmarszczył czoło. – Jak dla mnie twoje włosy wyglądają normalnie.

Podeszłam do toalety, zamknęłam klapę i usiadłam.

– Chodź tu.

– Po co?

– Pokażę ci.

Podszedł, choć wyglądał, jakby się wahał.

– No dobra, pokaż.

– Patrz – powiedziałam, pochylając głowę. – Widzisz, z tej strony?

Poczułam, jak dotyka mojej czaszki, w pewnym momencie zamarł.

– Nie ma kawałka – wydusił, gwałtownie odrywając rękę. – Kawałka jak pięść.

– Wiem. – Przełknęłam ślinę i walcząc z emocjami, złapałam się za bok głowy. – Próbowałam zaczesać trochę z drugiej strony przedziałka, żeby to zakryć, ale wyglądało nierówno przy końcach.

– Masz grzebień? – zapytał po dłuższej chwili milczenia.

– Na umywalce – przytaknęłam.

Tadhg podszedł do umywalki i bez słowa przyniósł grzebień i nożyczki.

– Ej! – wykrztusiłam, patrząc niepewnie na nożyczki. – Co ty wyrabiasz?

– Naprawiam – warknął. – Pomóc ci czy nie?

Przez chwilę rozważałam niebezpieczeństwo napuszczenia na moją fryzurę jedenastolatka z nożyczkami, ale szybko wzruszyłam ramionami z rezygnacją.

– A dawaj. – Cokolwiek nie wymyśli, będzie lepiej niż chodzenie ze wszystkimi włosami zaczesanymi w jedną stronę. – Ufam ci.

Tadhg zareagował na to krótkim „hmm”, ale gdy wziął się do roboty, jego palce poruszały się podejrzenie delikatnie.

– Myślisz, że przyjmie go z powrotem? – zapytał po kilku chwilach. – Gdy wszystko ucichnie?

Tak.

– Nie.

– Kłamczucha – skwitował krótko.

Dwadzieścia minut później podziwiałam w lustrze dzieło jego sprawnych dłoni.

– Przerzuciłem je – wyjaśnił, nadal lekko się bocząc. Stał za mną i patrzył na moje odbicie w lustrze. – A potem wyrównałem końcówki, żebyś nie wyglądała głupio.

Zamiast długich na łokieć włosów rozdzielonych przedziałkiem na środku głowy miałam teraz przedziałek z prawej strony, a włosy z lewej zasłaniały łysy placek po puklu wyrwanym przez ojca.

– Dzięki – wydusiłam, czując przypływ emocji. Odwróciłam się do niego: – Mam u ciebie dług.

Tadhg przestąpił z nogi na nogę, wyglądał na skrepowanego.

– No cóż... Jeśli chcesz się odwdzińczyć, to znajdź mojego brata.

Pękło mi serce.

– On wróci, Tadhg. Joey nigdy by nas nie zostawił – powiedziałam ze łzami w oczach.

– Zostaliśmy sami... – wyszeptał, wbijając wzrok w stopy.

– Nie. – Potrząsnęłam głową i zbliżyłam się do niego. – Wcale nie.

– Nie zorientowałaś się jeszcze? – burknął, odsuwając się ode mnie. – Nie zorientowałaś się? Jesteśmy *całkiem sami*. – Pokręcił głową i spojrzał na mnie z pretensją. – Wszyscy. Zdani tylko na siebie. Sami. Tak jest.

– Tadhg, to nieprawda...

– Shannon, wszyscy mają nas gdzieś – stwierdził głosem wypranym z emocji. – W dupie. Gdyby było inaczej, już by się zjawili. Joey też ma nas gdzieś – krzyknął, po czym wybiegł z łazienki.

Rozdział 13

Odbieranie przysług

Johnny

Dni upływały bez wieści od Shannon. Odchodziłem od zmysłów z niepokojem.

Do tego miałem całkowity zakaz chodzenia na treningi i siłownię, więc naprawdę mi odwalało. Poważnie, nie miałem, kurwa, pojęcia, co ze sobą zrobić. Chodziłem do fizjoterapeuty i na rehabilitację, ale gdy ciasno upakowany harmonogram nie zajmował mi myśli, mój nastrój stale się pogarszał.

Odebrałem też telefoniczny opieprz od trenerów z Akademii za narażanie organizmu w ten sposób. Wtedy wydawało się, że to dobry pomysł, ale teraz dostawałem za niego po dupie. Lekarze i trenerzy stracili do mnie zaufanie. Wiedziałem, że będzie musiała upłynąć masa czasu, zanim je odzyskam.

Dobijające.

Musiałem niechętnie przyznać, że jedynym plusem było to, że moje ciało wydawało się radować odpoczynkiem i wracało do zdrowia znacznie szybciej, niż się spodziewałem. Poruszałem się już swobodnie, a posiniaczenie i opuchlizna okolic jaj i pachwin, która prześladowała mnie od Halloween, powoli schodziła. Szczanie przestało boleć. Nadal nie ryzykowałem majstrowania przy kutasie, ale regularny poranny wzwód przestał sprawiać mi dyskomfort.

Natomiast w ogóle mnie to wszystko nie pocieszało, bo skupiałem się wyłącznie na Shannon.

Przez ojca i jego chorobliwe pedantyczne podejście do przestrzegania prawa w ogóle jej nie odwiedzałem. Okazało się, że Darren, starszy brat Shannon, zadzwonił do moich rodziców i kategorycznie zażądał, że mam nie wracać do szpitala.

Zdawałem sobie sprawę, że ojciec miał do czynienia z takimi sprawami na co dzień i przywykł do beczynnego przyglądania się podobnym dysfunkcjom, ale ja nie. Dla mnie to była sprawa osobista – ona była moją sprawą osobistą – i doprowadzało mnie do szału, że nikt mi o niczym nie mówi.

Matka-zdrajczyni była w obozie ojca, ale oprócz tego miała w tym własny interes. Nie chciała, żebym się zbliżał do pani Lynch. Cały czas się piekliła o tę groźbę zawieszenia w szkole i nie życzyła sobie, żebym znajdował się w pobliżu „takiej kobiety” – to jej słowa, nie moje.

Jako że od operacji nie byłem w stanie samodzielnie przemieszczać się z punktu A do punktu B, to bez pomocy rodziców nie miałem jak dostać się do szpitala, co niesłuchanie mnie wkurzało.

Zdradzony i obrażony spędziłem większość tygodnia w łóżku, ignorując matkę za każdym razem, gdy wtykała głowę do mojego pokoju, żeby sprawdzić, co u mnie – a zdarzało się to co dwadzieścia pieprzonych minut – i taplałem się w ponurym nastroju.

Dusiłem się we własnym domu. Odpierdała mi z niecierpliwości. Nie byłem przyzwyczajony do beczynnego siedzenia. Byłem marudny, ciągle na krawędzi, a z każdym następnym dniem bez wieści od Shannon pograżałem się coraz głębiej we własnych myślach.

W kolejny poniedziałek uległem złemu nastrojowi.

Po porannej, bardzo intensywnej sesji fizjoterapii z Janice i dwóch godzinach basenu byłem totalnie przybity i niespokojny. Resztę dnia przeleżałem na plecach, z Sookie u boku, i bezmyślnie

podrzucałem piłkę, rozważając wszystkie najgorsze scenariusze, które nieustannie mnie nawiedzały.

Co jeśli ojciec Shannon wrócił i nikt go nie aresztował?

Co jeśli moje ciało nie wróci do zdrowia przed startem trasy?

Co jeśli wrócił i jej matka go przyjęła?

Co jeśli trenerzy wezmą zamiast mnie tego Danny'ego Millera z Galway?

Co jeśli ona nie wróci w przyszłym tygodniu do szkoły?

Co jeśli to mój koniec gry w rugby?

Co jeśli oddali ją gdzieś pod opiekę i musiała zmienić szkołę?

Co jeśli tamten mecz w Dublinie był moim ostatnim?

Co jeśli znowu stanie się jej krzywda?

Co jeśli, co jeśli, co jeśli...

– Sook, powinienem zatrzymać ją tu z nami, w tym pokoju – wymamrotałem. – Powinienem był ją zatrzymać, kropka!

Wierna labradorka odpowiedziała, szturchając mnie nosem w bok i cicho skomląc.

– Wiem, maleńka – westchnąłem ciężko, rzuciłem piłkę w kąt i objąłem ją obiema rękami. – Strasznie zjechałem.

– Johnny, tacie coś wyskoczyło i musiał wracać do Dublina. – Do mojego pokoju dotarł donośny głos mamy, chwilę później stanęła w progu. – Cillian zadzwonił, pamiętasz go, prawda, kochanie? Cilliana Moore'a?

Jednego z krwiożerczych prawników pracujących dla ojca?

– No, pamiętam.

Pamiętam tego chujka, karierowicza...

– Pojawił się jakiś problem z decyzją w sprawie kaucji dla jednego klienta i tata musi to wyjaśnić na miejscu. Cillian się tym zajmował, ale coś poszło nie tak, a tata jest w znacznie lepszych stosunkach z sędzią O'Learym.

Parsknąłem głośno.

– Dobrze wiedzieć, jakie tata ma priorytety. Jak zwykle.

– Nie zachowuj się tak – westchnęła. – Pół nocy spędził z telefonem w ręce, *kolejne pół nocy* wydzwanianając w twojej sprawie.

Uniosłem brew, spojrzałem na nią poważnie.

– I?

– I nic – odparła. – Nawet jeśli się czegoś dowiedział, to nie ma prawa z nami o tym rozmawiać – westchnęła ponownie. – Johnny, przecież dobrze wiesz, jak to działa.

Nie chciało mi się odpowiadać, więc ponownie wbiłem wściekły wzrok w sufit.

– Zostawił w gabinecie jakieś dokumenty i muszę mu je podzucić – kontynuowała. – Nie będzie mnie tylko kilka godzin. Na pewno wrócę wieczorem, ale na wszelki wypadek zadzwoniłam do Gerarda, żeby przyjechał dotrzymać ci towarzystwa. Wie, że nie możesz opuszczać domu, skarbie, więc nawet nie próbuj namawiać go do złego, bo obaj poniesiecie konsekwencje.

Nadstawiłem uszu na dźwięk imienia Gibbsiego i natychmiast zacząłem knuć bunt.

W życiu zależało mi na aż dwóch rzeczach: na rugby i na Shannon. Obie zostały z dnia na dzień odebrane. Traciłem kontrolę nad własnym życiem i doprowadzało mnie to do obłądzenia. Co niby miałem, kurwa, robić? Leżeć w łóżeczku i jeść leki jak grzeczny chłopczyk ze złamanym siusiaczkiem? *No chyba, kurwa, nie.*

– Leż w łóżku – dodała mama surowo. – Gerard sam wejdzie, więc nie kłopotz się schodzeniem na dół, skarbie. I pamiętam, że mówiłeś, że nie jesteś głodny, ale na kuchence stoi garnek zupy, a na stole leżą świeże bułki, jakbyś później jednak nabrał ochoty, żeby coś przekąsić.

No tak, może i razem z papierami wypisowymi ze szpitala matka nie dostała dziecięcego wózek, w którym mogłaby mnie wozić, ale zdobyła kontrolę nad moim życiem, o jakiej od lat mogła tylko marzyć, więc chętnie korzystała z nowej władzy. Przechodziłem remont, a ona przez całą dobę mogła mieć mnie na matczynym oku.

– Johnny, słuchasz mnie? – rzuciła głośniej. – Słyszałeś choć słowo?

– No, słyszałem – burknąłem. – Gibsie przyjdzie mnie ponianczyć, bo jak się okazuje, nie można mi na tyle zaufać, żebym został na godzinę sam w domu. – Przewróciłem oczami. – Choć wcześniej sam dbałem o siebie miesiącami i nie widywałem rodziców.

Tym razem to ona przewróciła oczami.

– Nie dramatyzuj.

Wytrzeszczyłem oczy, miałem ochotę ryknąć i udowodnić jej, że mam rację. Ale wycodziłem tylko:

– Miłej wycieczki.

– Miłego wylegiwania – odpowiedziała, unosząc brew.

Boże, dodaj mi sił...

– Do widzenia, matko – wycodziłem.

– Do zobaczenia mój maluteńki brzdąculku – parsknęła.

Jezu.

Zaczekałem, aż zamknie za sobą drzwi, i natychmiast zrzuciłem z siebie kołdrę.

Dwadzieścia minut później byłem już świeżo po prysznicu i zmagalem się z majtkami, gdy drzwi do mojego pokoju otworzyły się na oścież.

– Ale się, kurwa, nudzę – obwieścił Gibsie, wkraczając do środka. – Przerwa wielkanocna, a ja co robię? Siedzę zamknięty w pokoju i kuję do egzaminu, choć nawet nie wiem, czy mnie do niego dopuszczą, nie wspominając nawet o zdaniu do następnej klasy, a wszystko przez to, że postanowiłeś połamać sobie chuja i zostawić mnie samiutkiego! – Rzucił torbę z rzeczami na noc na podłogę, padł na moje łóżko i teatralnie westchnął. – Jesteś takim egoistą.

– Przepraszam za te niewygodności... – zaburczałem, balansując oparty o framugę drzwi i próbując się ubrać i nie zrobić sobie przy tym krzywdy. Szwy ładnie się goiły, ale nadal byłem obolały i poobcierany. – Zapomniałem, że w tym wszystkim chodzi o ciebie, Gibs...

– Jaaa, ale spuchnięty kutas! – stęknął, przykładając dłoń do twarzy. – Grzebałeś przy nim, co, stary? Zaczynam żałować, że przyszedłem już teraz. Poczuję się jak kastrat, jakbym był wybrakowany. Może powinienem nauczyć się pukać...

– Zamknij się – rzuciłem, wciągając gumę od bokserów na biodra. – Znowu zachowujesz się jak pojebany, a potrzebuję cię normalnego przynajmniej przez godzinę.

– Tylko godzinę? – zapytał, unosząc brew.

– Gibs! – warknąłem niecierpliwie.

– No dobra! – Wyrzucił ręce w powietrze. – Już jestem normalny!

– To dobrze – westchnąłem. – Bo musisz mnie gdzieś zawieźć.

– O nie, nie, nie. – Usiadł prosto i wymierzył we mnie palec. – Odpoczynek w łóżku, Johnny. Od siedmiu do dziesięciu dni, kolego.

– Minęło już dziesięć – odparowałem.

– Dziewięć, jeśli chcielibyśmy być dokładni – prychnął, po czym wstał i zaczął łązić. – Gdy twoja matka dziś do mnie zadzwoniła, podkreśliła, że ma być dziesięć... Nie wspominam o tym, że zagroziła mi poważnymi szkodami cielesnymi, jeśli choć pomyślę o tym, żeby ci pomóc w opuszczeniu domu!

– Cóż, muszę się z nią zobaczyć. – Wciągnąłem na tyłek najluźniejsze spodnie od dresu, jakie miałem, sięgnąłem po czystą koszulkę i szybko ją na siebie zarzuciłem. – Jeszcze z tydzień nie dam rady prowadzić, do tego zabrali mi zasrane kluczyki, więc musisz mnie podrzucić.

– Nie ma opcji – odparł i stanowczo pokręcił głową. – Mamusia Kavanagh urwałaby mi jajca i skończylibyśmy u jednego chirurga. – Pokręcił głową jeszcze raz, żeby zaakcentować niezadowolenie. – Kocham cię, stary, ale nie aż tak.

– Gibs, no, daj spokój – warknąłem sfrustrowany. – *Pomóż mi!*

– Wiecznie ci, kurwa, pomagam – stęknął.

– No, bo ja tobie też – odpowiedziałem ostro.

– Stary, musisz pozwolić jej rodzinie się z tym uporać – stwierdził nagle poważnym tonem. – Nie żartuję, Johnny. Musisz postawić krok w tył. Sam mi opowiadałeś, co powiedzieli. Że jej matka ostrzegła, że masz się nie zbliżać. – Wyrzucił ręce do góry w rozpaczliwym geście. – Więc nie zbliżaj się przez jakiś czas. Ewidentnie chcą się tym zająć sami. Daj im trochę oddechu, zobaczysz się z nią, kiedy wrócimy do szkoły.

– A co, jeśli się z nią nie zobaczę? – zapytałem zaciekle. – Jeśli już nie wróci do Tommen?

– Oczywiście, że wróci.

– Skąd wiesz?

Gibsie przewrócił oczami.

– Może stąd, że chodzi tam do szkoły?!

Opadłem na łóżku, wypuściłem powietrze z płuc i podjąłem próbę okiełznania emocji, zanim znowu się odezwę.

– Posłuchaj mnie – zacząłem odrobinę spokojniej. – Nie proszę, żeby zawiózł mnie na siłownię. Nawet nie zbliżę się do piłki do rugby, nie proszę też, żebyś dla mnie kłamał. – Spojrzałem mu prosto w oczy i powiedziałem: – Proszę, żebyś mnie do niej zawiózł, bo sam nie mam jak się, kurwa, do niej dostać. A muszę... Ona mnie potrzebuje, żeby... – Zabrakło mi słów, złapałem się za nasadę nosa. – Przysięgam, że jeśli mi nie pomożesz i coś się jej stanie, to nigdy ci nie wybaczę, Gibs.

Sobie nigdy nie wybaczę.

– Szantaż emocjonalny!

– Nie mam innych argumentów – odparłem stanowczo.

– Ona mnie zabije – stwierdził Gibsie. – Czaisz to, nie? Twoja matka mnie *zamorduje*.

– Wezmę na siebie pełną odpowiedzialność – odparowałem. – Gibs, po prostu to dla mnie zrób.

– No dobra – warknął, wymachując rękami. – Zadzwoń do swoich pierdolonych doktorków i zapytaj, czy oferują zabieg usunięcia kobiecego obcasa z odbytu, bo to mnie czeka, jeśli wywozę z domu ukochane dzieciątko twojej matki, Johnny. Naprawdę *zrobi mi krzywdę*. – Stęknął cierpiętniczo, po czym dodał: – Powiedz, żeby zarezerwowali mi, kurde, łóżko. Będzie mi potrzebne.

Rozdział 14

Ucieczka na wolność

Johnny

– No dobra, musimy to przemyśleć – stwierdził Gibsie, wjeżdżając na główną drogę niedaleko mojego domu. – Zabrać coś do odwrócenia uwagi... żebyśmy mogli pomachać im marchewką przed oczami, gdyby nas wyczaili.

– Marchewką? – Odwróciłem głowę i spojrzałem na niego groźnie. – Co ty pierdolisz? Nie potrzebujemy żadnych marchewek ani innych odwracaczy uwagi, Gibs. Podjedziemy pod jej dom, zaparkujemy auto i zapukamy do pieprzonych drzwi.

Gibsie przewrócił oczami.

– Masz zero taktu. Wyjmij moją komórkę... Jest w kieszeni.

– Niepotrzebny mi takt – burknąłem, ale zrobiłem, o co prosił. Wziął ją z mojej ręki i wybierał jakiś numer, podczas gdy ja przytrzymywałem kierownicę. – Dostałbyś za to tonę punktów karnych... – wymamrotałem zadowolony, że w końcu mam nad czymś kontrolę, choć to tylko kierownica.

Gibsie wyszczerzył zęby i przyłożył telefon do ucha.

– Tylko gdyby mnie złapali. Hej, jak leci, mała? Potrzebuję, żebyś czekała na zewnątrz za pięć minut... No, za pięć. Czemu? Bo cię odbieram, temu. Tak, nie marnuj czasu na pytania. Zakładaj kurtkę i widzimy się na twoim podjeździe. Zimno jest, włóż tę czerwoną. – Dalej szczerzył zęby, ewidentnie wysłuchiwał jakiejś litanii po drugiej stronie. – Wiem, że jesteś w domu, bo widziałem z pokoju, jak się gapisz w moje okno... Tak, wiem, że mnie stalkujesz. Tak, i nienawidzisz. Wiem. Już to wszystko słyszałem, mała. Też cię kocham.

– Zabieramy Claire? – zapytałem, gdy się rozłączył.

Skinął głową.

– Będzie to miało więcej sensu niż wizyta dwóch koleś. – Wzruszył ramionami i dodał: – Stary, przecież to najlepsza koleżanka Shannon. I też nie mogła się z nią skontaktować od powrotu z Dublina. Ma przez to skołatane nerwy.

– Niech będzie – odparłem, wzruszając ramionami.

Pięć minut później wjechaliśmy na ulicę Hughiego i Gibsiego, gdzie powitała nas nadąsana Claire, która czekała na nas przy podjeździe, trzymając w ręce neonoworóżową parasolkę do ochrony przed marcowymi ulewami.

– Co się znów dzieje, Gerard? Co to za awaryjna sytuacja? – zapytała, gramoląc się na tylne siedzenie; chwilę wcześniej Gibsie zatrzymał samochód tuż obok niej. – O, cześć, Johnny – dorzuciła nieco łagodniej. – Mam nadzieję, że czujesz się trochę lepiej.

– Wszystko gra – odparłem, lekko skrępowany, że ona wie.

– Obecny tu Kav zmusił mnie do wycieczki do domu Shannon – wyjaśnił Gibsie. – Pomyślałem, że będziesz się chciała zabrać.

– Chcę. – Claire się pochylała i wetknęła głowę między nasze siedzenia. – Ale nie wpuszczą was za drzwi. W piątek poprosiłam Hughiego, żeby mnie tam zawiózł. Jej matka powiedziała, że

Shannon leży w łóżku – opowiedziała Claire, marszcząc nos. – Nawet nie raczyła mnie wysłuchać. Stwierdziła, że Shannon jest zbyt zmęczona, żeby przyjmować gości, i mnie spławiła.

Dopadła mnie furia.

Za cholerę nie dam się spławić tej kobiecie ani żadnemu członkowi jej rodziny.

– Ochłoń, kapitanie – poradził spokojnie Gibsie. Dopiero wtedy zauważyłem, że mam śnieżnobiałe knykcie, bo tak mocno zacisnąłem ręce. – Zobaczymy się z nią.

– A żebyś, kurwa, wiedział.

– Wiem, że mieszka przy Elk Terrace... – powiedział Gibsie. – Ale to piekielnie długa ulica...

– Dziewięćdziesiąty piąty. Mieszka pod dziewięćdziesiątym piątym – odpowiedzieliśmy chórem z Claire.

– Zapeszyliśmy – zachichotała.

– A wiesz, Clairko-eklerko, że jeśli chcesz zdjąć z siebie klątwę, to zawsze możesz dotknąć mojego pniaka – zaproponował Gibsie.

– Nie, dziękuję. Nie lubię pniaków – odpowiedziała bez zastanowienia. – Ani penisów.

– Pamiętam... – zarechotał Gibsie. – Czekał... „Penisy”, czy to liczba mnoga od penisa?

– Pewnie tak – odparła, kładąc dłoń na jego ramieniu. – Skoro od waginy są waginy, to od penisa chyba muszą być penisy, nie?

– Myślałem, że waginy się tak nie odmieniają – powiedział z zadumą i po chwili dodał: – Wiecie co, „penis” się chyba nie odmienia.

– Gerard, Boże, oczywiście, że się odmieniają – prychnęła Claire. – Mamy waginy i penisy.

– Hmm... – zamyślił się. – Dziwnie to brzmi.

– Wydaje mi się, że jeśli chodzi o ludzkie genitalia, to wszystko dziwnie brzmi.

Odciałem się od tej fascynującej rozmowy, bo za bardzo martwiłem się o Shannon, żeby zabawić ich własnymi przemyśleniami. Zamiast tego włączyłem stereo i zanurzyłem się w jednej z eklektycznych składanek Gibsiego. Patrzyłem przed siebie. Gdy zjechaliśmy ze sporego pagórka i skręciliśmy w jej ulicę, już nawet nie mrugałem i prawie nie oddychałem.

– Cholera – mruknął Gibsie, gdy podjechaliśmy pod jej zapuszczony dom. – Czyli zapeszone, co?

– Tak, stary – wymamrotałem. – Nawet nie wiesz, jak bardzo.

– Wyłącz muzykę, Gerard – zrugła go Claire, gdy zaparkowaliśmy.

– A co z nią nie tak? – zapytał komicznie urażony.

– *Knockin' On Heaven's Door*? – zapytała ostro, waląc go w ramię. – Na serio? Po tym, co niedawno przeszła? – Sięgnęła między przednie fotele i sama wyłączyła radio. – Jesteś zupełnie niewrażliwy.

– Ale... ale przecież jej tu nie ma? – Gibsie zgasił silnik i obrócił się do Claire. – Poza tym to Guns N'Roses – bronił się szczerze zakłopotany.

– Przede wszystkim to zły dobór muzyki.

– Czekał, a co powiesz na to... – urwał, ponownie włączył radio i wrzucił siódmy kawałek. Z głośników walnęły riffy *Jailbreak* Thin Lizzy. – Lepiej? – zapytał, poruszając brwiami w górę i w dół. – Bardziej stosowne, ptysiu?

– Znacznie – odparła z uznaniem. – Dobra robota, króliczku.

– Dzięki, maleńka.

– Jesteście powaleni. – Pokręciłem głową, pchnąłem drzwi i podniosłem się na kulach. – To poważna sprawa.

– Wiem, stary – powiedział Gibsie, doskakując do mnie na ścieżce. – Wiem.

– To jaki mamy plan? – zapytała Claire, wysiadając z auta. – Po prostu – wzruszyła bezradnie ramionami – tam wbijamy?

– Cóż, ja wbijam – odpowiedziałem. Nie czekając na ich odpowiedź, obszedłem murek oddzielający zarośnięty ogródek od ścieżki i niezdarnie podkicałem do drzwi. Gdy wysunąłem dłoń z uchwytu kul i zapukałem, całe moje ciało emitowało fale napięcia.

– Zimna głowa, kapitanie – szepnął mi na ucho Gibsie. Sięgnął ręką za siebie i wypchnął Claire przed nas. – Uśmiech, Clairko-eklerko – powiedział, trzymając dłoń na jej biodrze. – Nikt nie odmówi takiemu słoneczku.

W końcu, po wiekach, drzwi otwarły się do wewnątrz i powitała nas – inaczej nie umiałem go nazywać – męska wersja Shannon. Ciemnobrązowe włosy, przesywające niebieskie oczy pełne tajemnic.

– Tak? – zapytał uprzejmie. – W czym mogę pomóc?

– Kim jesteś? – Postanowiłem, że nie będę się czał. Domyśliłem się, że to Darren, ale chciałem, żeby to potwierdził.

– Zapukaliście do moich drzwi – odrzekł. – Więc kim wy jesteście?

Miałem ochotę go złapać i usunąć z drogi siłą, ale zmusiłem się, by zapytać:

– Jest Shannon?

Oparł się o futrynę i skrzyżował ręce na piersi.

– A kto pyta?

– Ja.

– A ty to...? – zapytał, unosząc brew.

– Jej...

– To jej Johnny – wypaliła Claire.

– Ładnie – zaśmiał się Gibsie, obejmując ją ramieniem. – Skoro już się sobie przedstawiamy, oto moja Clairka-eklerka, ja zaś jestem jego skrzydłowym.

– Pamiętam cię – stwierdził Darren, zerkając z zaciekawieniem na Claire. – Podrosłaś.

– Słuchaj, jest Shannon czy nie? – warknąłem, trzymając resztki cierpliwości zębami. – Muszę się z nią zobaczyć.

– Nie.

Do ciężkiej cholery!

– Czy w takim razie mógłbyś powiedzieć, kiedy wróci? – wycedziłem przez zaciśnięte zęby. – Żebym wiedział, ile będę musiał czekać w aucie?

Bo nigdzie się nie wybieram, chuju.

– Nie.

Rozjuszony wsparłem cały ciężar ciała na kuli i syknąłem:

– Gdzie ona jest, Darren?!

Pokręcił głową i sięgnął do klamki.

– Wracaj do domu, Johnny.

– Nie rób tego, kapitanie – ostrzegł Gibsie, kładąc mi dłoń na ramieniu. – Nie odpalaj buldożera.

Usłyszałem, co powiedział. Naprawdę. Ale niewiele widziałem zza czerwonej mgły, która spowiła mój umysł i dusiła, utrudniając trzeźwe myślenie.

– Nie – warknąłem, zrzucając jego rękę. – Nigdzie nie idę. – Wsadziłem kulę za próg, żeby Darren nie mógł trzasnąć mi drzwiami przed nosem. – Wiem wszystko o waszej rodzinie. –

Spojrzałem groźnie w głąb korytarza. – O syfie, który się odwala w tym domu, i jeśli ci się wydaje, że sobie pójdę i się z nią nie zobaczę, to czeka cię niespodzianka!

– Nie masz zielonego pojęcia! – burknął. – *Wydaje ci się, że coś wiesz, ale gównu wiesz!*

– Johnny, może po prostu powinniśmy jechać...

– Nigdzie nie jadę! – ryknąłem wściekły, choć samo stanie w pionie sprawiało mi ból. – Będę tu, kurwa, stał, dopóki mnie nie wpuści albo jej nie przyprowadzi! – Wyprostowałem plecy i spojrzałem mu prosto w oczy. – Decyduj. Mnie to obojętne.

– Masz pojęcie, z czym musi się mierzyć moja rodzina? – zapytał, a maska opanowania zaczęła się zsuwać z jego twarzy. – Co właśnie przechodzimy? Co próbujemy jakoś przepracować? – Spojrzał na mnie z mordem w oczach i mówił dalej: – Trzymam rodzinę w kupie resztkami sił, młody. Większość tygodnia spędziłem przy łóżku siostry w szpitalu, próbując ogarnąć to gówno, w którego sam środek wpadłem. Moja rodzina ma teraz dość kłopotów, spraw tak skomplikowanych, że nawet nie jesteś w stanie ich pojąć, więc odpiardol się w końcu i daj nam trochę spokoju.

– Dam wam tyle spokoju, ile zapragniecie – odparłem zaciekle. – Gdy tylko zobaczę się z Shannon.

– Ostatnie, czego jej teraz trzeba, to żebyś wpadał i mieszał jej w głowie – wycedził. – Przeszła przez piekło. Potrzebuje odpoczynku i spokoju. Próbuję jej to zapewnić. Próbuję poprawić jej życie, a jeśli do niej wpadniesz i zaczniesz bombardować ją pytaniami, tylko pogłębisz jej traumę.

– Jeśli tak, to może powiedzieć mi to sama – odpowiedziałem, nie cofając się ani o cal. – W twarz.

Darren pokręcił głową.

– Jezu Chryste, Johnny, moja matka już ci to wyjaśniła. Sam rozmawiałem z twoim ojcem i też mu wyjaśniałem. Czego dalej nie rozumiesz? Dlaczego nie potrafisz zrozumieć, że to prywatne sprawy naszej rodziny i potrzebujemy czasu, żeby je przepracować?

– A czego tak się boisz? – rzuciłem prowokacyjnie. – Że ze mną porozmawia? Że mi się zwierzy? Opowie mi o całym gównie, o którym powinna opowiedzieć władzom, ale nie opowiada, bo trzymasz ją pod kluczem jak w jebanym więzieniu?! – Omiotłem go spojrzeniem od stóp do głów i syknąłem: – Tak, ja wiem, że jest znacznie więcej. Wiem, kurwa. I wiem, że może uda ci się ją kontrolować, ale nie mnie, i bez mrugnięcia okiem rozwalę ci ten grajdołek z mrocznymi sekretami. I jeszcze jedno – wyprostowałem plecy na tyle, na ile mogłem – nie możesz mnie zmusić, żebym stąd poszedł.

– Musisz się uspokoić – stwierdził. – Przestań mi się tu spinać i szukać bójk. Mojej siostrze nic nie jest, musisz już iść.

– Była zanedbywana i maltretowana we własnym domu. Gnębiona poza nim. To cud, że jeszcze stoi na własnych nogach. Więc nie, kurwa, nie uspokoję się! – krzyknąłem. – Chcę się z nią zobaczyć i nie odpuszczę!

– Jeśli stąd nie pójdiesz, zadzwonię po gardę – odparł. – Nie chcę tego robić, ale jeśli mnie zmusisz, zrobię.

– No to dzwoń, bo nigdzie się nie wybieram, dupku! – zawyłem, tracąc całą samokontrolę. – Dawaj, dzwoń po jebaną gardę, bo szczerze mówiąc, sam chętnie z nimi pogadam.

– Jezu, jego matka mnie zabije – jęknął Gibsie. – Nie dość, że wywozłem go z domu za jej plecami, to teraz jeszcze go zapuszczają, a przy okazji mnie też, bo jestem dobrym przyjacielem i nie puszczę go samego do pierdła, ale ona raczej tego już nie doceni. Nie, zobaczy swoje ukochane dziecko w celi i zostanie ze mnie tylko głupi trup z oderwanymi jajami. Fuj!

- Zamknij się, Gibs! – warknąłem.
- Zmywajmy się – wyjęczał. – Chcę stąd spadać.
- Gerard, uspokój się. Nikt nie skończy w więzieniu. Johnny... – Claire złapała mnie za rękę. –
Chodź. Po prostu jedźmy.
- Nigdzie nie jadę – syknąłem piętnasty, kurwa, raz, ciągle wbijając wzrok w Darrena. – Dopóki
się z nią nie zobaczę.
- Widzisz? – zaskrzeczał Gibsie. – Sama słyszałaś. Nigdzie nie jedzie, a ja pójdę do nieba.
- Co ukrywasz? – zapytałem, mrużąc oczy.
- Nic.
- To dlaczego nie może się ze mną zobaczyć? – zapytałem ostro. – Czemu nie mogę z nią
porozmawiać? Jaki masz ze mną, kurwa, problem...
Urwałem, bo pod ramieniem Darrena przemknęła drobna postać, która rzuciła się w moją
stronę. Mój mózg ledwie zdążył zarejestrować, że ta postać to Shannon, która już na mnie wisiła
i obejmowała za szyję. Cofnąłem się niepewnie pod wpływem impetu, z jakim na mnie wpadła.
- Cześć, Johnny – wyszeptła, staczając się ze stopnia, uwieszona na mojej szyi. – Wróciłeś.
- Cześć, Shannon. – Kule mi wypadły, bo musiałem ją objąć, żebyśmy się nie przewrócili. –
Obiecałem, że wrócę – odpowiedziałem, cały czas mierząc jej brata nienawistnym spojrzeniem.

Rozdział 15

Piękni chłopcy i złamani bracia

Shannon

Początkowo zignorowałam wściekłe głosy przenikające do spokojnej bańki mojego pokoju, zakładając, że Darren kłóci się na dole z Tadhgiem, ale potem sobie przypomniałam, że Tadhg i Ollie poszli na urodziny jakiegoś kolegi. Sean był u babci, Joey na gigancie, a mama w pracy. Został więc Darren i...

Tata?

Zakrztusiłam się, długopis, którym przepisywałam notatki do czystopisu, wypadł mi z ręki.

Przez chwilę siedziałam na łóżku nieruchomo, nie oddychając, i tylko czekałam, kiedy drzwi do mojego pokoju otworzą się z hukiem i stanie w ich ojciec. Lecz nie nastąpiło to przez dłuższą chwilę i mój niepokój opadł na tyle, że mogłam poruszyć kończynami.

Zdenerwowana podeszłam do okna, żeby sprawdzić, co się dzieje. Otworzyłam je, wychyliłam się, oparłam łokcie na parapecie i rozejrzałam się w poszukiwaniu kłopotów.

Moje serce załomotało szybciej na widok znajomego srebrnego forda focusa stojącego pod domem.

Znałam ten samochód.

Należał do Gerarda Gibsona.

A tam, gdzie Gibsie, tam jest i...

– No to dzwoń, bo nigdzie się nie wybieram, dupku! – rozległ się boleśnie znajomy głos z mocnym dublińskim akcentem. – Dawaj, dzwoń po jebaną gardę, bo szczerze mówiąc, sam chętnie z nimi pogadam.

Johnny.

Nie widziałam go, ponieważ weranda pod oknem zasłaniała mi frontowe drzwi, ale za to słyszałam i, Panie Boże, na dźwięk jego głosu moje serce dostało amoku.

Przez dłuższą chwilę tylko stałam zszokowana, chłonąc jego głos oraz świadomość, że naprawdę *tu* przyjechał, a potem mój mózg wrzucił wyższy bieg i nogi ruszyły.

Bolał mnie każdy skrawek ciała, siniaki na twarzy pociemniały, spurpurowiały i były przez to bardziej widoczne, ale miałam to gdzieś. Przebiłam się przez własny ból, stłumiłam obawy i ubrałam się w rekordowym tempie. Dżinsy, które włożyłam, były luźne, więc potrzebowałam paska, ale wiedziałam, że u siebie go nie znajdę, poratowałam się więc gumką do włosów. Wsunęłam stopy w trampki, porwałam z haczyka na drzwiach bluzę z kapturem Joeya i pognałam na dół.

Byłam roztrzepana, złapałam się więc kurczowo balustrady, ale tak mi się śpieszyło, że prawie spadłam ze schodów. Na dole musiałam przystanąć, żeby złapać oddech. Płuca zaprotestowały przeciwko temu nagłemu wysiłkowi.

W drzwiach stał Darren i wszystko zasłaniał, kłócili się.

Napędzana czystym instynktem rzuciłam się do drzwi i przemknęłam pod jego ramieniem. Na mój widok Johnny z zaskoczenia uniósł brwi, ale nie dałam mu szansy się odezwać. Praktycznie na

niego runęłam, zarzucając mu ręce na szyję i przywierając do niego, a po mojej skórze rozlało się jak pożar poczucie ogromnej ulgi.

– Cześć, Johnny. – Zacisnęłam powieki i złapałam się go, jakby miał mi uratować życie. – Wróciłeś.

– Cześć, Shannon. – Usłyszałam stukot kul opadających na ziemię, gdy mnie obejmował, i już byłam otulona ciepłem i bezpieczeństwem, a czułam, że to tego szukałam całe życie. – Obiecałem, że wrócę.

To niebezpieczne, zaprotestował mój umysł, twoje uczucia do tego chłopaka są zbyt mocne, zbyt głębokie. Przywiązywanie się do niego to zły pomysł...

– Shan! – Moje uszy wypełnił głos Claire, poderwałam głowę. Dopiero wtedy zauważyłam, że tuż obok stoją ona i Gibsie. Patrzyła na mnie, jej brązowe oczy zachodziły łzami i machała nieśmiało. – Cześć!

Na jej widok coś we mnie pękło i z mojego gardła wyrwał się szloch.

– Cześć... – wykrztusiłam, odklejając się od Johnny'ego, żeby do niej podejść.

– Boże! – Ona też ruszyła w moją stronę i objęła tak mocno, że aż się skrzywiłam. – Wszystko dobrze? – zapytała. Po chwili puściła mnie i pociągając nosem, odsunęła się, żeby mi się przyjrzeć.

– Boże, Shan, co się stało... Nie mogę... Nawet nie wiem co... Dziewczyno, mam nadzieję, że nic ci nie jest! – Złapała mnie za bluzę i porwała w kolejny niedźwiedzi uścisk. – Jestem na ciebie wściekła – wysyczała, a po jej policzkach spływały łzy. – I na siebie... i na niego. – Popatrzyła groźnie na Darrena, który nadal stał w progu. – Już nie jest taki miły, jak zapamiętałam.

– U mnie wszystko dobrze – wykrztusiłam, poklepując ją po plecach. – Tylko, proszę, bądź delikatna.

– Oczywiście – wyszlochała, rozluźniając uchwyt. – Boże... – Zabrakło jej słów, wykrzywiła się ze smutku. – Twoja twarz.

– Wszystko dobrze, Claire – przypomniałam jej łagodnie. – Jestem tutaj.

Żyję.

– Tak bardzo cię kocham! – załkała. – Nawet nie wiesz, jaka jesteś dla mnie ważna!

– Mógłbym się włączyć? – zapytał Gibsie, obejmując nas obie naraz. – Grupowe objęcia – stwierdził, czochrając nas po włosach, po czym odsunął się i wyjął z dzinsów paczkę papierosów. – Dobrze dla duszy. – Uśmiechnął się pod nosem, wsadził papierosa do ust i odpalił.

– Cześć, Gibsie – powiedziałam, wycierając oczy rękawem.

– Mała Shannon – odparł. – Wszystko gra?

Przytaknęłam słabo.

– A jak! – rzucił dopingująco. – Mała wojowniczką.

– Wyglądasz jak panda – stwierdziła Claire ochryple, dotykając ciemnych placków pod moimi oczami. – Spałaś coś?

Ani trochę, bo dręczą mnie koszmary.

– To tylko siniaki.

Wzdrygnęła się.

– Tak mi przykro...

– W porządku – odparłam, posyłając jej uśmiech przez łzy. – Będzie dobrze.

– Zapytaj ją teraz – warknął Johnny, przyciągając naszą uwagę do pojedynku na spojrzenia, który nadal toczył z moim bratem. – Zapytaj siostrę, czego chce. Zapytaj, czy chce, żebyśmy sobie poszli. No, dawaj. Pytaj, kurwa!

– Już ci mówiłem – krzyknął Darren – że ona...

– Chcę zostać na chwilę z przyjaciółmi – wymamrotałam, zaskakując wszystkich. Poczułam, jak łądują na mnie spojrzenia czterech par oczu, i się zarumieniłam. Ale wyprostowałam plecy, spojrzałam na brata i powiedziałam: – Spędzę trochę czasu z przyjaciółmi.

Darren spojrzał na mnie zrezygnowany.

– Nie powinnaś jeszcze wychodzić na zewnątrz po zabiegu. – Przeczesał dłonią włosy i stłumił pełne irytacji westchnienie. – Nigdzie nie powinnaś wychodzić beze mnie albo Joeya. – Spojrzał na mnie wymownie. – Sama się zastanów.

Nie musiałam się zastanawiać, dobrze wiedziałam, do czego nawiązuje.

Tata.

On wciąż gdzieś tam był i Darren drżał na myśl, że może dopaść któreś z nas.

Mój stary przyjaciel strach wybudził się z głośnym rykiem, waląc mnie z zaskoczenia pięścią w brzuch, aż naprawdę skrzywiłam się z bólu.

Co jeśli cię znajdzie?

Co jeśli wróci?

Co jeśli ona przyjmie go z powrotem pod twoją nieobecność i będzie czekał w domu, gdy wrócisz?

Co jeśli...

– Zaopiekuję się nią – stwierdził Johnny tonem tak szczerym, że nie pozostawiał miejsca na wątpliwości. Darren mu nie odpowiedział, więc Johnny spojrzał na mnie. – Zaopiekuję się tobą – powtórzył, patrząc mi prosto w oczy. – Naprawdę.

Wypuściłam niepewnie powietrze z płuc i kiwnęłam głową.

– Dobrze.

Odetchnął z ulgą.

– Dobrze?

– Tak – westchnęłam, zaciskając dłonie z nerwów. – Chcę z tobą pójść. – Zerknęłam na Darrena i zauważyłam rozczarowanie w jego oczach, ale postanowiłam być twarda. – Darren, pójdę z nim.

Pokręcił głową, wymamrotał pod nosem coś niezrozumiałego i wyszedł do nas. Podniósł kule Johnny'ego, podał mu je i syknął: – Mam nadzieję, że wiesz, co mówisz, bo to nie zabawa, młody. – Po tych słowach wrócił do domu, ale na odchodnym dodał: – Pamiętaj, co mówiłem, Shannon.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, odetchnęłam z ulgą. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że wstrzymuję oddech.

Claire się rozpromieniła.

– Dziewczyno, duma wystrzeliła we mnie właśnie tak wysoko, że aż straciłam ją z oczu. – Porwała moje ręce w swoje i mocno je ścisnęła. – Jakie to uczucie w końcu postawić na swoim, i to skutecznie?

Wzruszyłam ramionami, miałam mętlik w głowie.

– Niepokojące?

– Znam pasującą piosenkę – stwierdził Gibsie, zarzucając Claire rękę na ramię. Wystrzelił niedopałek do ogródka sąsiadów, przeciągnął przed sobą rozłożoną dłoń i oświadczył: – *Bon Jovi, It's My Life.*

– Idealnie! – zaświergotała Claire, łapiąc go w pasie, gdy ruszyli ścieżką w stronę auta. – Wiesz co, Gerard? Gdy akurat nie jesteś kretynem, bywasz całkiem mądry.

Przyciągnął ją do siebie, wybuchając śmiechem.

– No nie?

– Shannon – rozległ się za mną głęboki głos Johnny’ego, aż przeszedł mnie dreszcz – wszystko dobrze?

– Nie jestem pewna – przyznałam cicho, opierając się pokusie wtulenia w niego, poczucia jego ciała.

– Nadal chcesz ze mną pójść? – zapytał, stając tak blisko, że poczułam emanujące z jego ciała ciepło. – Bo jeśli nie, to naprawdę okej. Jestem szczęśliwy, że w ogóle cię zobaczyłem.

Kiwnęłam głową i spojrzałam na niego.

– Akurat tego jestem pewna.

Rozległ się pisk opon, natychmiast cała się spięłam i prawie spanikowałam. Johnny się zbliżył, a ja odruchowo do niego przywarłam.

– Już dobrze – powiedział uspokajająco, patrząc groźnie na coś nad moją głową. – To chyba *twój brat*.

– Mój brat? – Odwróciłam się zaskoczona i ujrzałam Joeya, wypadającego na twarz z jadącego samochodu. – Joey?! – krzyknęłam, biegnąc w jego stronę. – Joey!

Samochód, który go przywiózł, zatrzął dwukrotnie i odjechał szybko. Zmrużyłam powieki i spojrzałam ponuro za czarną, podrasowaną hondą civic, która szybko zniknęła nam z oczu.

Dotarła do mnie posępna świadomość, do kogo należy ten samochód i kim ten ktoś był dla mojego brata.

Nikim dobrym.

– Czy to Shane Holland? – zapytałam ostro, gdy dobiegłam do niego zdyszana. – Joey, do ciężkiej cholery! Myślałam, że z tym skończyłeś!

– Shan... – wybełkotał, śmiejąc się głupkowato. Przewrócił się na plecy i westchnął z zadowoleniem. – Jak leci?

– Złaż z ulicy, kretynie! – ryknęłam, czując równocześnie ulgę i przerażenie. – Joey, wstawaj, natychmiast!

Zacisnął usta, po czym westchnął.

– Tęskniłem.

– Zaraz się zabijesz – syknęłam, patrząc na niego wściekle. – Wstawaj, bo zaraz ktoś cię przejedzie!

– A niech przejeżdża – parsknął. – Mam już wyjebane.

– Tyle widzę – warknęłam, klękając przy nim. – Aoife o tym wie?

– Ćśś... – jęknął, zasłaniając twarz dłońmi. – Nie zaczynaj z tym.

– Oczywiście, że nie wie. – Sprawdziłam jego kieszenie i jęknęłam ze złości. – Cóż, twój portfel zniknął – poinformowałam brata. – I telefon!

– Zjebałem, Shan – wyszeptał. – Wszystko zawsze zjebię.

Serce mi pękło.

– Joe, po prostu zjeżdż z drogi i ci pomogę, dobrze?

Ale on tylko jęknął i pokręcił głową.

– Koniec ze mną.

– Co wzięłeś? – zapytałam cicho, nachylając się nad jego uchem. – Co, Joe? Co ci dali?

– Naćpał się? – zapytał Johnny, stając nad nami.

Przeszło mi przez myśl, czy nie skłamać, nie zaprzeczyć, ale na szczęście odpuściłam, bo i po co? Mój brat leżał na środku jezdni w środku dnia. Trudno byłoby mi komuś wcisnąć, że się przewrócił.

– Tak – przyznałam i skurczyłam się w poczuciu porażki.

Johnny westchnął ciężko, podał mi kule i się schylił.

– Kolego, będziesz mi musiał trochę pomóc – burknął, łapiąc Joeya za rękę, żeby podnieść go do pozycji siedzącej. Lecz gdy tylko zaczął ciągnąć, syknął z bólu i puścił Joeya, który od razu padł plackiem na asfalt. – Ja pierdołę.

– O, Pan Rugby – wybełkotał Joey.

– Joey hurler – przywitał się Johnny, ponownie sięgając po jego rękę.

– Joey, no wstawaj! – rozkazałam zdenerwowana i zażenowana. Tak usilnie starałam się ukrywać nasze demony, a teraz paradowały otwarcie przed Johnnym. Nie potrafiłam sobie z tym poradzić. To było już zbyt wiele, poczułam się zbyt obnażona. – No proszę cię!

– No chodź, kolego – stęknął Johnny i jeszcze raz próbował go podnieść, co się nie udało. Oglądał właśnie najgorsze oblicza mojego życia i pomimo kul i całej reszty nie uciekł, tylko się włączył, zaangażował. – Musisz ze mną współpracować.

– A co my tu mamy? – zapytał Gibsie. Przyklęknął przy mnie i uniósł powieki Joeya. – Uuu, solidnie się ujarzałeś, co Lynchy? – rzucił i poklepał go po torsie.

– O, chuj... – wystękał Joey, wykręcając się jak najdalej od nas. – Byle nie ten szalony gnojek.

– Miło wiedzieć, że zrobiłem na tobie wrażenie – zaśmiał się Gibsie.

– Muszę go stąd zabrać – wydusiłam na granicy paniki. – Ci koleś mogą wrócić, poza tym nie mam pewności, że Darren nie zadzwoni po...

– Bez obaw, mała Shannon. Mam go. – Gibsie złapał Joeya pod ramiona i jednym płynnym ruchem podniósł go z ulicy. – Teraz ty musisz się postarać i nie zarzygać mi auta – powiedział do Joeya, prowadząc mojego brata do samochodu, gdzie ułożył go na tylnej kanapie.

Przerażona objęłam się własnymi ramionami, zmrożona do szpiku kości, zatopiona w emocjach.

– Często to robi? – zapytał Johnny, stając obok.

Zaprzeciłam ruchem głowy i oddałam mu kule.

– Zwykle nie.

– Zwykle nie? – zapytał, unosząc pytająco brew.

– Od dawna nie robił – westchnęłam ciężko.

Przytaknął głową bez słowa, wsparł się na kulach i szturchnął mnie ramieniem.

– Chodź, Shannon *jak ta rzeka*.

Rozdział 16

Powrót do posiadłości Shannon

Gdy wsiadłam do auta Gibsiego, czułam się naprawdę obrażona. Gibsie i Johnny jechali z przodu, z tyłu obok mnie byli Joey i Claire. Radio było wyłączone, a odkąd ruszyliśmy spod naszego domu, nikt nie wypowiedział nawet słowa i byłam pewna, że gdybym miała nóż, mogłabym pokroić ciężkie od napięcia powietrze.

Joey leżał rozwalony, nogi położył na Claire, a głowę na moje kolana. Musiałam przyznać, że Claire nie narzekała i go z siebie nie strącała. Potwierdziła za to moją teorię, że jest najzycziwszym człowiekiem na świecie, bo jeszcze zdjęła kurtkę i okryła nią jego rozedrgane ciało.

Byłam kompletnie odrętwiała, siedziałam ze wzrokiem przyklejonym do jego twarzy, która wykrzywiła się za każdym razem, gdy Gibsie wjeżdżał w dziurę albo ostro skręcał.

– Jesteś taki głupi – szeptałam, łagodnie odsuwając blond włosy z jego oczu. – Słyszysz? Żeby znowu się skumać z Shane'em Hollandem i jego kumplami? Wiesz, że ten koleś zawsze ściąga na ciebie kłopoty. Oni mają cię gdzieś, Joey. Zawsze tak było. Zależy im tylko na tym, co możesz im dać. Wyssą cię do sucha. – Głaskałam go po policzku, sunąc palcami po przebarwieniach na jego skórze. – Boże, jestem na ciebie taka wściekła.

– Shan – wystękał, zaciskając powieki i cały sztywniejąc. – Kurwa.

– No, kurwa, kurwa... – mruknęłam, obejmując go ręką, gdy Gibsie skręcił pod dom Johnny'ego. – Co wzięłeś? – zapytałam cicho, nachylając się nad nim. – Widzę, że jesteś pijany, czuję zioło, ale to nie koniec, prawda? Więc co? Co ci dali?

Ponownie stęknął i złapał się za brzuch.

– Przepraszam.

– Przestań przeproszać i mów, co wzięłeś! – syknęłam. – Piguły czy coś jeszcze? Joey, gadaj, do cholery!

– Nie znenawidź mnie, proszę cię – odpowiedział tylko głosem zniekształconym przez drgawki, które ciągle nim wstrząsały.

Zdruzgotana rozejrzałam się po samochodzie i poczułam na policzkach ogień wstydu. Gibsie i Johnny siedzieli ze wzrokiem wbitym przed siebie, a Claire zawzięcie patrzyła na coś za oknem, ale wiedziałam, że wszyscy słuchają. Bo jak miałiby nie słuchać?

Złapałam brata mocniej i przez resztę podróży milczałam, powstrzymując emocje, które w każdej chwili mogły mnie przytłoczyć, i rozmyślając o czekającej nas ponurej przyszłości.

Brak pieniędzy.

Gówniani rodzice.

Bolesne wspomnienia.

Strach i pretensje.

Nieustających strach...

Gdy niedługo później zajechaliśmy pod dom Johnny'ego, byłam kompletnie przybita i zaczynałam rozumieć, dlaczego mój brat musi się czasami znieczulić. Wiedziałam, że dlatego to

robi. *Uciec i zapomnieć...*

Gibsie zgasił silnik, wysiadł i podszedł do drzwi Claire.

– Kav, daj Claire klucze, niech otworzy dom – polecił, pomagając Claire wyjść spod mojego brata. – Wszystko gra, Clairko-eklerko?

– Wszystko gra, Gerard.

Johnny, który też już wysiadł i siłował się z kulami, wyciągnął z kieszeni klucze, rzucił je nad maską i podszedł otworzyć drzwi z mojej strony.

– Ten srebrny, środkowy.

– Już się robi – rzuciła Claire, wrywając się Gibsiemu, by złapać klucze.

– Dzięki – wychrypiałam, wysiadając i zamykając za sobą drzwi.

– Wszystko dobrze? – zapytał Johnny cicho, śledząc każdy mój ruch czujnymi, bystrymi oczami.

– Gdzie twoje psy?

– Hę?

– Bonnie i Cupcake?

– A, z tyłu, zamknięte w kojcu. – Wskazał na kule i skrzywił się. – Ostatnio nie mam jak się przed nimi bronić.

Wzruszyłam ramionami, bo nie byłam w stanie sformułować żadnej sensownej odpowiedzi, przeniosłam uwagę z powrotem na Joeya.

– No dobra, kolego, jedziemy z tym koksem. – Gibsie sięgnął w głąb auta i wywlókł Joeya na zewnątrz. Przerzucił go sobie przez ramię i ruszył w stronę domu. – Nie zrzygaj mi się na... – Nie zdążył skończyć, gdy mój brat zaczął obficie wymiotować jakąś czarną jak węgiel substancją. – Nie zrzygaj mi się *na plecy!*

– Dobrze się stało – wtrącił Johnny, zauważywszy moją przerażoną minę. – Lepiej się tego pozbyć, niż to wchłaniać.

– Bardzo przepraszam. – Potrząsnęłam głową, objęłam się rękoma i zrównałam z kuśtykającym w stronę domu Johnnym. – Wygląda na to, że zalewam twoje życie stałym strumieniem kłopotów.

– Nie przejmuj się. – Przyblokował drzwi kulą, żeby się nie zamknęły, i gestem zaprosił mnie do środka. – Coraz bardziej lubię te twoje kłopoty.

– Nie powinieneś. – Pęczniał we mnie smutek. Bezlitosna, twarda świadomość stanu, w jakim jest mój brat, przyćmiła ekscytację, którą poczułam na widok Johnny'ego pod moimi drzwiami. – To nic dobrego.

Johnny zmarszczył brwi, ale nie oponował.

– Wejź – powiedział, kiwając głową w stronę przedpokoju.

Wbiegłam do środka, by nie zmoczył mnie deszcz, zbyt zmęczona ze zmartwienia, by zadawać pytania, na których odpowiedzi wcale nie potrzebowałam. Nie obchodziło mnie, czy jego rodzice są w domu. Nie liczyło się, że przez wrodzą niepewność obawiałam się, że tak naprawdę on wcale nie chce gościć mnie w domu.

Fakty wyglądały tak, że mój brat zażył jakąś nielegalną substancję, prawdopodobnie w ogromnej dawce, i był właśnie wnoszony na piętro domu Johnny'ego. Szczerze mówiąc, to to, czy byłam na niego wściekła, nie miało najmniejszego znaczenia. Potrzebował mnie i zamierzałam mu pomóc.

Bóg wie, że mam u niego dług.

– Chcesz mi o tym opowiedzieć? – Johnny zostawił kule, złapał się balustrady i w ślimaczym tempie wspinał się na górę. – W sensie o Joeyu? – dodał, zatrzymując się w pół kroku. – Co się stało?

– Ja nie wiem.

– Nie kłam – powiedział cicho. – Nie mnie.

Zmarszczyłam nos i wypaliłam:

– W zeszłym roku zszedł na złą drogę. Kręcił się po złych miejscach w złym towarzystwie i zażywał złe rzeczy.

– W zeszłym roku?

Przytaknęłam.

– Zanim pojawiła się Aoife.

– Wyprowadziła go na prostą?

Jak widać nie. Wzruszyłam bezradnie ramionami.

– Tak myślałam.

– Na czym on jest?

– Nie wiem – odparłam, tym razem szczerze. – Na pewno popił z kolegami, wiem, że palił zioło, ale co do reszty nie mam pewności. Może jakieś piguły? Ekstazy, jakieś tablety? Słyszałam kiedyś, jak rodzice rozmawiają o tych rzeczach, i nie wiem, jak mógłby dorwać coś innego. Przecież nie miał pieniędzy. – Wzruszyłam ramionami, byłam całkowicie zagubiona. – Ale wiem, że jeździł gdzieś tym autem na długich przerwach w szkole i wracał na trzy ostatnie lekcje z przekrwionymi oczami i nieobecny spojrzeniem – wyjaśniałam. – Chyba chciał uciec? Kiepsko u nas było, chyba w ten sposób sobie radził z sytuacją w do... no... sam wiesz... – Założyłam kosmyk włosów za ucho i przygarbiłam się pokonana. – Nie mieliśmy z kim porozmawiać o takich sprawach.

Gdy mówiłam, Johnny bacznie mi się przyglądał i chłonał każde moje słowo.

– Czy to był duży problem?

– Nie wiem – odpowiedziałam, ponownie szczerze. – Joey z nikim nie rozmawia. Z nikim. Nawet ze mną. Wiem, że było z nim źle, gorzej niż zwykle, wdawał się w więcej bójek w szkole. – *Więcej bił się w domu...* – Miał kłopoty na treningach. Nasz o... ojciec – zakrzusiałam się i zanim mogłam kontynuować, musiałam kilka razy przełknąć ślinę – cóż, był wściekły, bo pojawił się temat wylotu Joeya z drużyny. Ale wtedy pojawiła się Aoife i po kilku tygodniach Joey się poprawił. Przestał się snuć z przekrwionymi oczami i odbijać się od ścian. W szkole rzadziej się bił. On po prostu... – Pokręciłam głową, szukałam właściwych słów. – Coś się w nim uspokoiło. Jakby ona go uziemiła... Dała mu coś, czego ewidentnie nie dostawał w... – urwałam.

Chyba nie musiałam. Johnny patrzył mi głęboko w oczy, zawisło między nami ciężkie słowo „dom”, niewypowiedziane i bolesne. Znów poczułam się obnażona i wrażliwa, oderwałam więc od niego wzrok i pokonałam resztę schodów.

Patrzyłam, jak Johnny się za mną gramoli, i niepokój znów ożył we mnie z głośnym rykiem.

– Hej... a u ciebie wszystko dobrze? – zapytałam, gdy w końcu do mnie dołączył z zaciśniętymi zębami i sztywnymi ramionami.

Na moment się naprężył, spodziewałam się jakiejś suchej, ostrej riposty, którą serwował mi za każdym razem, gdy pytałam o jego ból. Ale tym razem mnie zaskoczył, spojrzał na mnie i powiedział:

– W porządku. – Jego ton był łagodny, miękki. Oparł się o balustradę i westchnął głośno. – Trochę boli – dodał z lekkim, bezradnym wzruszeniem ramion. – Jestem zeszywniały, gardzę

tym, jak powolny się stałem, ale powoli wracam do formy, okej?

Przyjrzałam się jego twarzy, szukałam w niej oznak kłamstwa, ale ich nie znalazłam. Kiwnęłam więc głową.

– Tak, okej.

– A co z tobą?

– Ze mną?

– No, z tobą. – Wyciągnął rękę i przesunął kciukiem po mojej kości policzkowej. – Jak się czujesz?

– Tak samo jak ty – odparłam cicho, nie zdołałam powstrzymać dreszczy wywołanych jego dotykiem. – Zesztywniała i obolała, ale wracam do formy. – Przerwałam, chciałam powiedzieć coś pozytywnego. – Mogę znów oddychać – palnęłam i od razu się skrzywiłam. – Przepraszam.

W jego niebieskich oczach zawirowała panika.

– Dobija mnie to – przyznał cicho, burkliwie. – Świadomość tego, co ci robił, widziałem to, gdy patrzyłem ci w twarz, a nie dałem rady nic zrobić.

Westchnęłam ciężko.

– Johnny...

– Czekałem na to od wielu dni – dodał szybko, a gdy wypowiadał słowa w tym tempie, jego akcent nabierał ostrości. – Żeby spędzić z tobą trochę czasu. Żeby po prostu z tobą *pożyć*, a teraz, gdy już cię tu mam? – Jego dłoń niespodziewanie splotła się z moją. – Gdy już wiem, że jesteś bezpieczna? Chciałbym tylko... – Pokręcił głową, przyciągnął mnie bliżej. – Zatrzymać cię przy sobie i już nigdy nie wypuścić.

Boże, ja też tego chcę.

Żebyś mnie przy sobie zatrzymał.

– Wiem, że masz teraz wiele na głowie, w rodzinie, i że szaleje wokół nas burza – dodał. – Wiem, że musimy porozmawiać, Shannon, o ważnych sprawach, ale chcę, żebyś wiedziała... Nie, *musisz* wiedzieć, że ja...

– Kav, przydałaby się pomoc! – Na półpiętrze rozległ się głos Gibbsiego. – Mamy tu najwyższy poziom zagrożenia rzygowego!

– Jezu Chryste – syknął Johnny i odrzucił głowę w tył: – Człowiek nie może chwilę odsapnąć!

– Przepraszam... – wybełkotała Claire, sunąc ku nam i trzymając się za brzuch. – Ale zawsze mnie mdli na widok wymiotów, a ten chłopak zaraz wyrzyga całe flaki. – Zakrzuszyła się cała czerwona, po czym dodała: – Szczerze, chętnie bym pomogła, na serio, ale przed wyjazdem porządnie pojadłam i jeśli zostanę w tamtym pokoju, to będzie rzeź.

– O Boże. – Odwróciłam się i chciałam biec sprawdzić, co z moim bratem, ale Johnny złapał mnie za rękę i przyciągnął z powrotem do siebie.

– Nie wchodzi tam – powiedział, puszczając. – Pewnie nie chce, żeby siostra oglądała go w takim stanie.

– Tak, Shan – przytaknęła Claire, stając przy mnie. – Niech chłopcy się nim zajmą.

– To mój brat – sprzeciwiłam się niepewnie.

– Twój *nagi* brat – zripostowała. – Gerard musiał go rozebrać, bo cały się obrz... – Targnęła nią. – Fuj, jak to śmierdzi. Potrzebuje prysznic, a ty mu nie pomożesz w tym stanie.

– Pamiętasz układ parteru? – zapytał mnie Johnny. – Gdzie co jest?

Kiwnęłam głową, zarumieniona ze wstydu.

– Chyba tak.

– To zabierz Claire na dół – powiedział spokojnie. – Przygotujcie sobie coś w kuchni albo odpocznijcie w salonie. Czujcie się jak u siebie. A my z Gibsiem go ogarniemy.

– Na pewno? – zapytałam nieprzekonana do tego pomysłu.

– Na pewno. – Posłał mi ostatnie spojrzenie, po czym ruszył sztywno do swojego pokoju. – Zajmę się tym.

– Wiesz... – stwierdziła z zadumą Claire. – Gdy odbijaliśmy cię z więzienia, nie spodziewałam się rzygania. – Objęła mnie za ramię i sprowadziła po imponującej klatce schodowej z powrotem do hallu. – Nie sądziłam też, że zobaczę penisa.

– Penis.

– Hę?

– Pani O’Leary od biologii mówiła, żeby nie odmieniać. – Nie żeby to miało jakieś znaczenie. – Nie żeby to było teraz ważne.

– Och... – Claire zmarszczyła nos. – Cóż, nie wiem, jak to w końcu jest z tymi penisami, będę musiała dopytać w szkole, ale ten dom jest *nieziemski*. Jak jakiś pałac albo coś...

– Też tak mówiłam – stwierdziłam, ciesząc się, że Claire jest przy mnie.

– Shan, Joey wydobrzeje – dodała cicho. – Oboje wydobrzejecie.

– No.

Mam nadzieję.

– A teraz chodź – rzuciła, łapiąc mnie za rękę. – Masz mi wszystko opowiedzieć.

Rozdział 17

Niebezpieczna cipka

Johnny

Miałem wyłącznie jedno wyjaśnienie faktu, że moje życie popruło się do tego stopnia, że właśnie kąpałem półprzytomnego, ciężko naćpanego hurlera – zakochałem się w dziewczynie, której życie miało więcej zagwozdek i zagadek i było bardziej skomplikowane niż kostka Rubika.

Tyle że kostkę Rubika w końcu zdołałbym rozgryźć.

A życia Shannon Lynch raczej nie.

– Dotarłeś tam, pod łapska? – zapytał Gibsie, stojąc w pełni ubrany pod moim prysznicem i trzymając golutkiego Joeya hurlera. – Domyj porządnie pod pachami.

– Gibs, jak to się stało? – zapytałem najlepszego kumpla. – W jednej chwili gramy w rugby dla Tommen, siedzimy w Biddies z kumplami i ćwiczymy formę, a w następnej zmywamy bełty z jakiegoś hurlera z BCS. – Pokręciłem głową na myśl o tym obłędzie i prysnąłem kolejną porcją żelu do ciała na tors Joeya, a gdy celowałem w niego prysznicem, uważałem na siniaki. – Jak w to wpadliśmy, stary?

– Kochasz jego siostrę, a ja najlepszą przyjaciółkę jego siostry – odpowiedział, szorując Joeya gąbką. – Można więc bezpiecznie stwierdzić, że skończyliśmy tak przez cipki, Kav.

Czyż nie miał, kurwa, racji...

– Czekaj... – powiedział, obracając Joeya w rękach. – Spłucz jeszcze raz plecy.

Na widok świeżych siniaków nachodzących na stare i świeżych blizn w pobliżu tych już blednących ścisnęło mnie w gardle.

Całe jego plecy były pokryte plamami, pręgami i bliznami.

Jezus Maria.

Badałem jego nagą skórę chłodnym, analitycznym wzrokiem. Nie trzeba było geniusza, żeby dojść, czyją zasługą są te wszystkie ślady.

Jego gównianego ojca.

Może używał pasa, a może czegoś gorszego. Kurwa, trudno ocenić. Ale Joey miał blizny *dosłownie wszędzie*.

I jakim cudem nikt tego, kurwa, nie zauważył?

Jego dziewczyna? Matka? Trenerzy?

Wszyscy mieli go gdzieś?!

– Tak nie może być – burknął Gibsie, wyrażając na głos moje myśli. Ponownie odwrócił go przodem do mnie i podtrzymał, obejmując na wysokości piersi. – Nie może, kurwa, Johnny.

– Wiem, stary – wycedziłem, uważając, żeby nie trafić wodą pod ciśnieniem świeżych siniaków na brzuchu. – Wiem.

– Przestańcie... – stęknął Joey, gwałtownie drżąc i rzucając się w ramionach Gibsiego. – Bo zaraz będę...

Gibsie odwrócił się z nim w ostatnim momencie i kolejna porcja resztek nie spadła na mnie, ale pokryła ścianę prysznicza.

– Ziom – powiedział Gibs, przecierając gąbką jego twarz – nie miesza się dragów.

– Bo ty się na tym znasz – prychnąłem.
– Cóż, zakładam, że to tak jak z mieszaniem alkoholi – odparował. – Zakaz!
– Dobrze, że pozbywa się tego z organizmu. – Sięgnąłem za nich i splukałem ścianę prysznicą, po czym zabrałem się za świeży potok rzygów. – W szpitalu też by je po prostu wypompowali.
– Właśnie – przyznał Gibsie, poklepując Joeya po policzku. – Uznaj to za prywatne, darmowe płukanie żołądka w stylu Gibsiego.
– Odpierdol się, dziwadło jebane... – jęknął Joey, telepiąc się od stóp do głów.
– Normalnie bym się obraził – fuknął Gibsie. – Ale biorąc pod uwagę, że jesteśmy razem pod prysznicem, a twój nagi tyłek wbija mi się w kutasa, puszczę tę uwagę mimo uszu, ponieważ i mnie cała ta sytuacja jawi się odrobinę dziwnie...
– Gibs ratuje ci skórę – warknąłem. – Obaj cię ratujemy, więc może okazałbyś nam szacunek, zamknął ryj i wyrzygał resztę tej trucizny.
– Jeb się, Kav...
Znowu rzygi.
– O to chodzi – zachęcał go Gibsie, znowu klepiąc go po policzku. – Wyrzygaj te wszystkie drogie, ekskluzywne narkotyki. Dobra robota. Niechaj woda zmyje twoje grzechy i poniesie je w kanał.
W mojej kieszeni rozdzwoniła się głośno komórka. Spojrzałem zdziwiony na Gibsiego.
– Przecież ty jesteś tutaj.
Przewrócił oczami.
– Nie tylko ja mam twój numer.
Wytarłem rękę w koszulkę i sięgnąłem do kieszeni po telefon.
– Cholera. – Aż się skrzywiłem, gdy zobaczyłem, kto dzwoni. – Mama.
– Jezu... – stwierdził Gibsie równie zmordowanym tonem. – Ona już wie, prawda? Oczywiście, że wie, kurwa mać – burknął, nie przestając szorować Joeya. – Pewnie włożyła ci w dupsko nadajnik.
– Puść mnie – wybełkotał Joey, bijąc Gibsiego po ręce. – Chryste.
– Ucisz go – ostrzegłem poważnie Gibsiego, odbierając na głośniku. – Jak leci, mammo?
– Johnny, skarbie – westchnęła z ulgą. – Wszystko dobrze? Długo nie odbierałeś.
– Świetnie, mammo. Co tam?
– Och, kochanie, dzwonię dać ci znać, że możliwe, że nie dam rady...
– Przestań! – stęknął głośno Joey. – Piecze mnie to!
Zamarliśmy z Gibsiem, spojrzeliśmy na siebie przerażeni.
– Co piecze? – zapytała czujnie mama. – Wszystko dobrze?
– Ja pierdolę! – syknął Joey, krzywiąc się. – Za gorąca!
Spojrzałem ostro na Gibsiego i powiedziałem bezgłośnie:
– Zamknij mu ryj.
– Niby jak?! – syknął w odpowiedzi.
Boże, dodaj mi sił...
– Ręką, geniuszu! – powiedziałem cicho, celując mu w twarz prysznicem.
Choć teraz woda skapywała mu z warg, Gibsie kiwnął głową i zasłonił dłonią usta Joeya. Ja sięgnąłem nad brodzikiem i puściłem trochę chłodniejszą wodę.
– Zadowolony? – zapytałem groźnie Joeya.
– Johnny? Czy Gerard znowu bawi się naszą kuchenką? – zapytała mama z irytacją w głosie. – Powiedz mu, żeby nie dotykał zapalek. Po jego ostatnich zabawach mamy wytopioną dziurę

w okapie.

– To byłeś ty! – rzucił do mnie szeptem oburzony Gibsie.

– Nie, mamu, tym razem Gibsie nie gotuje. – Pokręciłem głową, wbiłem wzrok w sufit i powiedziałem pierwsze, co przyszło mi na myśl. – To jakiś koleś w telewizji.

– W telewizji?

– Tak, eee... – Zmrużyłem oczy i trafiłem strumieniem wody w uparty kawałek rzygów na ramieniu Joeya. – Oglądamy filmy.

– Och, Johnny... – westchnęła. – Ale proszę was, nie te sprośne. Lekarze ostrzegali, że nie możesz tam grzebać, dopóki rany całkowicie się nie zaleczą.

Gibsie wyszczerzył kły.

Jezus Maria. Głowa mi opadła w niemej rozpacz.

– Nie, mamu, oglądamy...

– Co takiego, Johnny?

– *Moją lewą stopę!* – rzucił głośno Gibsie. – Potrzebujemy do egzaminów, mamusiu K.!

– Ja mam Gatsby'ego! – powiedziałem cicho.

– Och, to cudownie – zaczęła ugłaskana mama. – Rany, Gerardzie. To bardzo kształcący film.

Gibsie uniósł brew i uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Chciałaś coś, mamu? – zapytałem, wracając do sedna. – Bo próbuję nauczyć się czegoś o Christy Brownie?

– Właśnie, chodzi o to, kochanie... – zaczęła niepewnie. Przewróciłem oczami ze zniecierpliwienia, niechże w końcu przejdzie do rzeczy. – Że mogę nie wrócić na noc.

Jezu, dziękuję ci!

– Szkoda.

– Wlokłam się do Dublina w korkach i osłabia mnie na samą myśl o takim powrocie.

Gibsie aż promieniał z radości.

– To powinniście z tatą przenocować w starym domu – odparłem troskliwie. – Mamu, jesteś zmęczona... Zbyt zmęczona na podróż powrotną.

– Na samotny powrót nocą... – dodał Gibsie. – *Kobieta, sama w trasie...*

– Gibs! – rzuciłem ostrzegawczo.

– Jak dla mnie to brzmi zbyt niebezpiecznie, mamuniu K. – kontynuowała, kompletnie mnie ignorując. – Jazda przez Dublin nocą, w samotności...

– Ona jest z Ballymun, kretynie – burknąłem. – Załatwiłaby twój prowincjonalny tyłek jednym palcem.

– Chłopcy! – warknęła mama i westchnęła ciężko. – Jutro wróciłabym najpóźniej koło południa, żeby zawieźć cię na fizjoterapię... O ile na pewno sobie beze mnie poradzisz...

– Na pewno – wtrąciłem natychmiast, nie wspominając, że latami radziłem sobie świetnie bez nich obojga. – Świetnie dam sobie radę. – Sięgnąłem nad brodzikiem i zakręciłem wodę. – Obaj sobie poradzimy. – Porwałem z wieszaka dwa ręczniki, jeden rzuciłem Gibsiemu, drugi wcisnąłem sobie pod pachę. – Bez obaw.

– Kocham cię, Johnny – powiedziała w końcu.

– Ta... – Odłożyłem ostrożnie telefon na krawędź brodzika, zarzuciłem ręcznik Joeyowi na ramiona i podniosłem komórkę z powrotem. – Ja ciebie też, mamu.

– Och, zapomniałabym...

– Muszę kończyć, mamo, pa, pa, pa... – Rozłączyłem się, schowałem telefon do kieszeni i odetchnąłem z ogromną ulgą. – Boże, dziękuję.

– No raczej – potwierdził Gibsie, zabierając dłoń z ust Joeya. – Powiedziałbym, że nam się upiekło, stary.

– Jezu... – syknął Joey, szcękając zębami. – Synuś mamuni, co?

– Zatkaną ci znowu gębę? – Spojrzałem na niego groźnie. – Bo znajdzie się jakiś knebel.

– Spierdalajcie obaj – burknął, ciężko dysząc. – Nie chcę od was żadnych przysług.

Szczęka mi opadła.

– Jaja sobie robisz, Joey?

– Chyba chciałeś powiedzieć: „dziękuję wam obu” – wtrącił radośnie Gibsie, po czym spojrzał na mnie wymownie i ostrzegawczo pokręcił głową. – I absolutnie nie ma za co, *Josephie*.

Ugryzłem się w język, wziąłem nerwy na wodze, cofnąłem się i patrzyłem, jak Gibsie pomaga mu wyleźć spod prysznic.

– Nie dotykaj mnie, kurwa! – Joey odepchnął rękę Gibsiego, zatoczył się w tył i walnął o posadzkę. – Nie potrzebuję waszej pomocy.

– No to masz problem, bo ją dostajesz – warknąłem. – Czy jej potrzebujesz, czy nie.

– Joeyu hurlerze, jesteś z deka podupczony... – stwierdził z namysłem Gibsie. – Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

– Tak, z deka jestem – syknął, cały rozedrgany. – A ty jesteś całkiem popierdolony.

– W rzeczy samej – przyznał Gibsie uroczyście.

Joey, ciągle dysząc, złapał się za głowę i zaczął szarpać włosy.

– Gdzie mój telefon? – wycharczał. – Potrzebuję telefonu! Muszę zadzwonić do... kurwa!

– Nie masz już telefonu, kolego... ani portfela – wyjaśnił stoicko Gibsie. – Według twojej siostry opchnąłeś go, razem z własną godnością, w zamian z ten koszmarny ból, który właśnie cię trawi. – Gibsie złapał kolejny ręcznik z wieszaka i rzucił mu go na kolana, żeby trochę go okryć. – Całe gówno, które wyciekło z twojego organizmu, właśnie sobie płynie ściekami. A wszystko, co wyrzygałeś, kosztowało cię dokładnie jeden portfel, jeden telefon i jedną duszę. Sporo, co? Mam nadzieję, że było warto. – Poklepał Joeya po ramieniu. – A teraz, jeśli mi wybaczycie, również muszę wziąć prysznic. – Gibsie zdjął przez głowę przemoczoną koszulkę, rzucił ją do kosza na brudy pod drzwiami i wyszedł z łazienki.

Spodziewałem się, że Joey Lynch może eksplodować na środku mojej łazienki, ale nie, on tylko objął kolana rękoma i spuścił głowę.

– Kurwa. – Złapał się dłonią za kark i bujając się w przód i w tył, powtarzał: – Kurwa, kurwa, kurwa...

– Co zażyłeś?

Cisza.

– No dobrze. – Opuściłem się na krawędź brodzika, pomasaowałem po udzie i spróbowałem innego podejścia. – Dlaczego to zrobiłeś?

– Nie oceniaj mnie – syknął, spoglądając mi prosto w oczy. – Nie waż się mnie, kurwa, oceniać.

– Zacisnął powieki, zacisnął pięści i cały czas trzęsąc się jak osika, wydał z siebie odgłos przypominający czkawkę. – Nie waż się, dopóki nie wejdziesz w moje buty. Dopóki nie zobaczysz, co ja muszę oglądać. Nie usłyszysz, czego ja słucham.

Milczałem jak posąg, powstrzymałem ochotę, żeby wyciągnąć rękę i trochę go uspokoić.

– Nie oceniam cię, kolego.

– Nie? – Spojrzał na mnie zielonymi, pełnymi cierpienia oczami. – Widziałeś ją. Widziałeś, co jej *zrobił*. A ja nie... nie potrafiłem... – Głos mu się załamał, spuścił głowę. – Jebać to wszystko. Bo i po co?

– To nie twoja wina – odparłem powoli, marszcząc czoło. – Musisz o tym wiedzieć.

Znowu cisza.

– Nie chciałem tego mówić – spróbowałem ponownie. – Wtedy, kiedy rozmawialiśmy przez telefon, przemawiała przeze mnie panika, stary.

Nic.

Brak odpowiedzi sprawił, że pod moją skórę zakradł się niepokój.

– Nie odpowiadasz za czyny ojca – powtórzyłem, walcząc z zalewającą mnie falą współczucia.
– Nie odpowiadasz, więc nie spierdol sobie życia i przyszłości wyrzutami.

Joey wbił wzrok w kolana i wyszeptał:

– Nie potrafiłem jej obronić. – Pokręcił głową i załkał. – Nie obroniłem żadnego z nich.

– To nie jest twoje zadanie. – Serce waliło mi szaleńczo w piersi. *Jezu*. Poczulem, że tonę w jego bólu. – Ty nie powinienesz ich bronić. *Rodzice* powinni to robić. Oni powinni bronić was wszystkich, kolego. Ciebie też.

– Myślałem, że ona nie żyje – wyznał tak cicho, że prawie go nie usłyszałem. – Tyle krwi? Na podłodze? Na ścianach? Na moich ciuchach? Chlustająca z niej krew? To charczenie z jej gardła, bo nie mogła oddychać... Bo, kurwa, umierała! A potem ta cisza? Całkowity *bezdźwięk*?! – Wbił nasady dłoni w oczy i wysyczał: – Nie potrafię pozbyć się tego widoku, tych dźwięków... A próbowałem, wierz mi.

Jezu Chryste.

Siedziałem tam wzburzony, skuty lodem po szpik kości, i słuchałem jego prawdy.

– Nie potrafiłem go z siebie zrzucić – wydusił, unosząc ciężko pierś. – Wiedziałem, że ona potrzebuje pomocy... *Ja pierdolę*, wiedziałem! Ale nie potrafiłem go zrzucić. Nie mogłem *nic* zrobić! – Pokręcił głową i zaśmiał się gorzko, po jego policzkach spływały łzy. – I to mój brat, *mój jedenastoletni braciszek*, go ze mnie ściągnął. – Pociągnął nosem, wytarł go wierzchem ręki i znowu załkał: – *A ona* stała obok i nie zrobiła *nic*.

– Twoja matka?

– A kto inny.

Przez chwilę przyswajałem tę informację, a potem zapytałem:

– A teraz? – Mój głos był aż ciężki od emocji, ale wziąłem się w garść, bo inaczej nie mógłbym mówić dalej. – Co się teraz dzieje?

– To, co zawsze – wymamrotał. – Nic.

– Z waszą mamą? – dociskałem, łapiąc się ręką za kolano, żeby przestało się trząść. – To znaczy gliny na pewno wiedzą, co robił wam tata, a kiedy go znajdą, to aresztują, ale co z nią? – Potrząsnąłem głową, bo nie mogłem tego pojąć. – Nie ma żadnych konsekwencji za bezczynność? Macie po prostu wrócić i z nią żyć? – Przełknąłem gniew i syknąłem: – W tym domu?

Joey wzruszył ramionami.

– To nie słyszałeś? Przecież ona też jest ofiarą. Potrzebuje *wsparcia*.

– Tak, Shannon opowiadała... – burknąłem i potarłem szczękę. – To posrane, stary.

– No cóż, teraz to problem Darrena – warknął, mrugając, by pozbyć się łez. – Niech on się tym zajmie, bo ja mam dość. N... nie mogę, kur... kurwa... – urwał, aż w końcu przestał mówić, bo jego słowa znowu stłumił szloch. – Nie mogę tak dłużej – dokończył, pociągając nosem. – Nie jestem w stanie zapomnieć i *nigdy* nie zapomnę.

Nie wiedziałem, co na to powiedzieć. Co powiedzieć na to wszystko. Nie przeżyłem niczego, co mogłoby mnie przygotować na tę rozmowę. Na tych ludzi i na ich ból.

– Siostra cię kocha – powiedziałem, bo poczułem, że muszę mu to powiedzieć, żeby wiedział, że choć jednej osobie na tym świecie na nim zależy.

– *Ciebie* kocha – odpowiedział wycieńczonym tonem.

– Potrzebuje cię – dodałem, ignorując wściekle bicie serca. – I z tego, co słyszałem, młodzi bracia też, stary.

– Bo jestem fundamentem – wykrztusił. – To wszystko... Tym dla nich jestem.

– Fundamentem? – zdziwiłem się. – Co to w ogóle znaczy?

– To znaczy, że robię za kolesia, który goni w tę i we w tę i zbiera gówno po reszcie rodziny. – Spuścił głowę i złączył ręce na karku. – To znaczy, że jestem ich pierdoloną matką.

– Cóż... – westchnąłem ciężko i rozprostowałem nogi, żeby pieczenie w udach nieco zelżało. – Jesteś cholernie porządną matką, Joeyu hurlerze.

– Ktoś musi być... – wymamrotał i przecesał włosy dłonią.

– Wykonałeś kawał dobrej roboty – powiedziałem. – I zaszedłeś za daleko, żeby teraz to wszystko zmarnować przez przelotny haj, stary.

– A co ty o tym, kurwa, możesz wiedzieć? – zapytał ostro.

– Wiem tyle, że próbujesz uciec – odpowiedziałem ostro. – To akurat jasne jak słońce. Chcesz na moment zapomnieć o tym całym gównie... i, Jezu, nie winię cię... ale to tymczasowa ucieczka. To nie jest *prawdziwe*, Joey. I niczego nie naprawi. Nieważne, ile proszku wciągniesz i ile pigułek połkniesz, problemy będą na ciebie cierpliwie czekały. Możesz wyjarać tyle trawy, ile dusza zapragnie, utopić się w whiskey i naszprycować każdym dragiem znanym ludzkości, ale nie zmieni to dosłownie niczego, bo zasrane życie będzie czekało, żeby kopnąć cię w dupsko, gdy tylko otrzeźwiejesz. Wiem też, że jeśli będziesz dalej jechał tą drogą, to w końcu dotrzesz do punktu, z którego nie będzie już powrotu.

– Łatwo ci mówić – warknął ostro. – Nie przeżyłeś w życiu jednego ciężkiego dnia.

– Masz rację – przyznałem. – Nie wiem, co przechodzisz. Nie mam jebanego pojęcia, jak to jest być na twoim miejscu, i cholernie mnie to cieszy. Ale i ja mam swoje demony, stary. Wybory, których muszę dokonać. Byłoby mi prościej połknąć kilka pigułek, gdy moje ciało rozpada się drobny mak, albo wziąć sterydy, zamiast pakować na siłowni po sześć godzin dziennie. Wiem, że w tym kontekście to brzmi jak błahostka, bez porównania do burdelu w twojej rodzinie, ale nie zrobiłem tego, Joey, ani razu. Bo wiedziałem, że jeśli wpuszczę to gówno do ciała, to będzie *moim wyborem* tylko chwilowo i szybko zamieni się w *konieczność*.

– Cholera... – wydusił i zaśmiał się sucho. – Gdzie się, kurwa, podziewałeś, gdy miałem szesnaście lat, Kavanagh? – Pociągnął nosem, wytarł oczy i zniechęcony westchnął: – Wtedy przydałoby mi się takie kazanko.

– Inna szkoła – odparłem i wzruszyłem lekko ramionami.

– Inne życie.

– Tak – westchnąłem ciężko.

Zamilkliśmy i dopiero po dłuższej chwili przerwałem ciszę.

– Mogę jakoś pomóc? – zapytałem, poczuwszy się jak totalnie bezużyteczna pizda. – Mogę coś *dla ciebie* zrobić?

– Możesz. – Złapał się umywalki niepewnymi dłońmi i podciągnął na równe nogi. – Możesz mi pożyczyć jakieś ciuchy.

Obaj wiedzieliśmy, że chodziło mi o coś innego, ale na razie nie naciskałem... Chłopak nadal balansował na krawędzi.

Wstałem i bez słowa wróciłem do pokoju. Wyciągnąłem z szuflad z ciuchami kilka przypadkowych rzeczy, wrzuciłem je do łazienki i dałem mu się w spokoju ubrać.

Byłem rozstrojony i podminowany, podszedłem sztywno do okna i czekając, aż wyjdzie, spojrzałem w ciemność i obserwowałem krople deszczu spływające po szybie.

Więc tak wygląda ich życie, pomyślałem. To przed tobą ukrywała.

Złapałem się parapetu i ignorując ból, skupiłem się na szalejących myślach, rozpaczliwie szukając rozwiązania czegoś, czego być może nawet nie dało się rozwiązać. Byłem natomiast pewien, że już na zawsze będę związany z tą dziewczyną. I co więcej, chciałem tego.

Wiedziałem, że to nie zapowiadało niczego dobrego. Boże, nawet ślepy by widział, że powinienem uciekać jak najdalej, jak najdalej od całej tej sprawy, ale *nie potrafiłem*. Choć to wszystko wydawało się skrajnie pojebane, z przyjemnością zostanę, otoczony jej walącym się światem. Ale na tym nie koniec, chciałem brnąć głębiej i pomóc, zrobić coś dla jej brata. Nie chodziło mi już tylko o Shannon. Chodziło też o Joeya i trzech małych chłopaczków, których nawet nie widziałem na oczy. Chciałem im wszystkim pomóc. Sumienie po mnie tego oczekiwało.

Po kilku minutach drzwi do łazienki otworzyły się szeroko i stanął w nich Joey. Miał na sobie moje szare spodnie od dresu, biały T-shirt i wyglądał jak kompletne gówno. *Czyste gówno*, poprawiłem się w myślach, *wymyte z rzygów i smrodu*.

– Dzięki za ciuchy – wymamrotał śmiertelnie blady, z przekrwionymi oczami. – Masz jakiś telefon, z którego mógłbym zadzwonić?

Zacisnąłem zęby. Nie byłem pewien. Planował stąd spadać?

– A co?

– Muszę zadzwonić do mojej dziewczyny.

– Do dziewczyny? – zapytałem, przyglądając mu się czujnie.

– No, do dziewczyny – syknął. – Mogę zadzwonić czy nie?

Wyciągnąłem komórkę i podałem mu ją z wahaniem.

– Nie musisz nigdzie iść. Możesz tu zostać, stary. Jak długo potrzebujesz.

Zignorował mnie, oparł się o komodę i dziobał drżącymi palcami ekran mojej komórki. Mylił się tak często, że w końcu odchylił głowę i ryknął:

– No kurwa, ja pierdołę!

– Jaki ma numer? – zapytałem, wyciągając rękę po telefon. – Wstukam ci.

– Ostrzegalem ją przed tobą, wiesz? – powiedział, oddając mi komórkę. – Mówiłem, że ją zostawisz... Żeby nie robiła sobie nadziei.

Wzruszyłem ramionami. Biorąc pod uwagę, jaką sławą cieszyłem się w jej rodzinie, bynajmniej mnie to nie zdziwiło.

– Jaki numer?

Wymamrotał ciąg cyfr, po czym dodał:

– Nie zawieź jej. Cokolwiek planujesz, Kavanagh, nie wyjeb mojej siostry.

Wybrałem numer i oddałem mu telefon.

– Nie zawiodę.

Przyłożył go do ucha, mierząc mnie nieufnym, czujnym wzrokiem. Jego ciało gwałtownie drżało i podskakiwało.

– Aoife? – wyszeptał po kilku sekundach. – To ja.

Cokolwiek mu odpowiedziała, przeszedł go dreszcz.

Ale tak naprawdę – przeszedł go widoczny, prawdziwy *dreszcz*.

– Wiem – szepnął, zaciskając powieki. – Wiem, okej? Wiem, że obiecałem. Zjechałem. – Odwrócił się do mnie plecami, przecesał włosy ręką i wykrztusił: – Tak kurewsko mi przykro, kochanie.

Poczułem się niekomfortowo, postanowiłem więc zejść na dół i poszukać pozostałych, by pozwolić Joeyowi Lynchowi płaszczyć się przez telefon na osobności. Nie byłem pewien, czy chciałbym tego słuchać, skoro łeb już pękał mi w szwach od nadmiaru trudnych do przetworzenia informacji.

Gdy wszedłem do salonu, Gibsie dorzucił węgiel do strzelającego już ogniem kominka, a dziewczyny kuliły się na kanapie. Poprawka: Claire kuliła się z podkurczonymi pod siebie nogami. Shannon siedziała obok niej, na krawędzi kanapy, wyprostowana i sztywna jak pogrzebacz. Oczywiście Gibsie przysunął kanapę bliżej kominka. Zawsze robiliśmy tak w niepogodę, byłem mu wdzięczny. Chciałem, żeby było jej ciepło. Potrzebowałem odrobiny spokoju w głowie.

Zanim wszedłem do salonu, odkaszlnąłem, zależało mi, żeby jej nie wystraszyć. I tak prawie wyskoczyła ze skóry i zerwała się z kanapy, ale dzięki delikatnemu uśmiechowi na jej ustach przynajmniej wiedziałem, że jestem miłą niespodzianką.

– Wszystko z nim dobrze? – zapytała spanikowana, z wybałuszonymi oczyma.

Przeciwnie.

Kiwnąłem głową i uśmiechnąłem się sztucznie.

– Dzięki Bogu. – Jej drobne ramiona oklapły, przyłożyła dłoń do piersi. – Jesteś pewien?

Nie.

– Jest pewien – odparł za mnie Gibsie. Wbił szufelkę do wiaderka z węglem, wyprostował się, rozciągnął ręce nad głową i puścił do mnie oko. – Na świecie znów wszystko w normie i harmonii.

– Widzisz? – odezwała się Claire i uśmiechnęła się do niej pociesząco. – Mówiłam, że niepotrzebnie się martwisz.

Shannon nie wyglądała na przekonaną. Zerknęła na nich niepewnie, po czym znów spojrzała na mnie.

– Jesteś pewien? – zapytała, świdrując mnie tymi przeszywającymi, niebieskimi oczyma.

Już otwierałem usta, żeby skłamać, żeby powiedzieć to, co powinna teraz usłyszeć, że wszystko będzie dobrze i że nie ma się czym przejmować, ale z moich ust wyleciały słowa:

– Nie, nie jestem pewien. – A potem dowaliłem jeszcze bardziej: – W zasadzie to kiepsko z nim. Naprawdę kiepsko. – Po czym położyłem wisienkę na torcie: – Martwię się o niego.

Shannon zrzędała mina, a Gibsie i Claire stęknęli chórem.

– Ładnie, kapitanie – wymamrotał Gibsie. – W sumie tylko przez godzinę przekonywaliśmy ją, że jest zupełnie odwrotnie.

– No, bardzo to pocieszające, Johnny – fuknęła Claire.

– Nie będę jej *okłamywał* – warknąłem. Przecesałem włosy ze złością i spojrzałem na Shannon: – Nie będę, okej?

Kiwnęła sztywno głową.

– Powinam iść zobaczyć, co z nim. – Minęła mnie pośpiesznie, ale zatrzymała się w drzwiach. – Mogłabym pójść na górę i sprawdzić, co...

– Idź – wszedłem jej w słowo. – Nie pytaj mnie o zgodę, Shannon. Nie musisz.

Kiwnęła głową raz jeszcze i zniknęła.

– Może raz na jakiś czas mógłbyś troszkę przekręcić prawdę – zasugerował Gibsie, kręcąc bez celu palcem. – No wiesz, nadać sytuacji odrobiny romantyczności, żeby oszczędzić ludziom nerwów i zbędnego stresu.

– Okłamując ją? – rzuciłem, mrużąc oczy. – Tak, stary, świetna rada. Wyjaśnij, jak mam to robić?

– A chuj wie, stary – odparł, wrzeszcząc ramionami. – Ale ta dziewczyna obecnie chwieje się pod ciężarem naprawdę poważnych spraw, więc łatwiej byłoby jej przełknąć kilka błahych kłamstw niż surową prawdę.

Już chciałem zaprotestować, ale się powstrzymałem.

– Masz rację.

– Wiem – powiedział z namysłem. – Wbrew powszechnej opinii, propagowanej głównie przez moją matkę czasami mi się zdarza.

W tym momencie w pokoju ryknął głośny i cholernie wkurwiający kawałek – *Crazy Frog*. Na ten sygnał Gibsie sięgnął po komórkę do kieszeni, a ja jęknąłem w czystej rozpacz.

– To moja – zaczęła Claire, unosząc swój telefon. Zerknęła na ekran i mocno się skrzywiła. – Moja mama, *znowu*.

– Nie mów, że jesteś ze mną – ostrzegł ją Gibsie. – Cokolwiek zrobisz, małeńka, nie przyznawaj się tej kobiecie, że przebywasz w moim towarzystwie.

Claire rzuciła mu ostre spojrzenie.

– A z kim mam niby być? Poza tym i tak widziałam, że wsiadam do twojego auta!

Gibsie wrzucił niezdarnie ramionami.

– Zabije cię.

– Tak, wiem, Gerard – syknęła przez zęby, po czym odebrała i przystawiła telefon do ucha. – Cześć, mam... Tak, pamiętam, co mówiłaś... No, wiem, mam, ale to nie tak, jak myślisz... – Claire spuściła głowę i przebiegła obok mnie, mamrocząc coś tak szybko, że nie wyłapałem ani słowa.

– Czemu matka ma ją zabić? – zapytałem, spoglądając podejrzliwie na Gibsiego. – Zrobiliście coś, o czym nie wiem?

Gibsie rozglądał się wszędzie, byle tylko nie spojrzeć mi w oczy, i mruzczył coś o „w chuj ogromnym błędzie”, a potem pobiegł za dziewczyną.

Miałem nadzieję, że – dla dobra Gibsa – nie chodziło mu o *ten* błąd, ponieważ Hughie Biggs bywał wybuchowy, a ja obecnie nie miałem jak ich powstrzymać, żeby się nie pozabijali.

– Cholera... – burknąłem, patrząc za tą dwójką. – Niekończąca się drama.

Rozdział 18

Zostań ze mną Shannon

Nie wiedziałam, czego się spodziewać, gdy wchodziłam do pokoju Johnny'ego, ale na pewno nie nieprzytomnego Joeya na łóżku Johnny'ego. Leżał skośnie w nogach wielkiego łóża, ze stopami wciąż wbitymi w podłogę.

Wślizgnęłam się do środka, podeszłam cicho i spojrzałam na śpiącego brata. Miał lekko rozchylone usta, oddychał równo i głęboko. Ulżyło mi. W pierwszej chwili wystraszyłam się, że nie żyje.

Zauważyłam, że nadal ściska kurczowo komórkę Johnny'ego, więc delikatnie, żeby go nie obudzić, wyjęłam mu ją z ręki. Byłam przerażona, co będzie, gdy się obudzi. Dokąd pójdzie? Wróci do domu? Pojedzie do Aoife? Wróci do Shane'a Hollanda i jego parszywych koleżków?

Szczerze mówiąc, nie wiedziałam, i ta niepewność martwiła mnie bardziej niż zniknięcie ojca. Bo na Joeyu mi zależało. Był dla mnie ważny. Przez większość mojego życia najważniejszy. Nie mogłam znieść myśli, że coś mogłoby mu się stać. Przerastała mnie i raczej bym tego nie zniosła.

Pamiętałam zeszły rok. Kłótnie w domu były straszne... Nastroje wybitnie lodowate. Tata spędzał prawie cały czas w pubie, mama kursowała między pracą, w której się katowała, a własną sypialnią, w której się rozpadała.

Bo tata wdał się wtedy w kolejny romans z jedną z pracownic pubu, w romans, który kilka miesięcy później spektakularnie wyszedł na światło dzienne, no i mama już wiedziała. Ale zamiast wywalić go za drzwi, przyjęła go do łóżka. Sean nie miał jeszcze dwóch lat i było z nim urwanie głowy. Wyrzynały mu się trzonowce, wrzeszczał całymi nocami, wszyscy byliśmy wycieńczeni.

Ja miałam kłopoty w BCS, Joeyowi coraz częściej puszczały nerwy. Pyskował nauczycielom, wdawał się w przepychanki w szkole i w jeszcze poważniejsze bójkę w domu... Aż pewnego dnia poznał nową grupę *przyjaciół*. Przyjaciół za starych dla chłopaka ze szkoły. Przyjaciół, którzy nie mieli czego szukać pod szkołą.

Od tego czasu Joey zaczął się wycofywać. Zrobił się tajemniczy, niekontaktowy. Na niczym mu nie zależało. Miał gdzieś szkołę, miał gdzieś hurling. Po prostu zniknął.

Aż pewnego dnia jedna dziewczyna z jego klasy, ładna blondynka, która zawsze miała go na oku, z którą wcześniej na pewno nie zamienił nawet dwóch zdań, po lekcjach wybiegła za nim ze szkoły i powstrzymała go przed wejściem do tego samochodu. Wiem o tym, bo obserwowałam ich wtedy z odległości. Dziewczyna urządziła niezwykłą scenę, wymachiwała komórką, celowała nią w tych starszych chłopaków w aucie. A potem zrobiła coś, co mną wstrząsnęło. Złapała Joeya za kurtkę, z całych sił, obiema rękami, przyciągnęła do siebie i pocałowała, tam, na środku parkingu. Nie przejmowała się, że gdyby ktoś ich zobaczył, zostaliby zawieszani.

Nigdy się nie dowiedziałam, co Aoife powiedziała tamtego dnia, ale Joey nie wsiadł do auta tych chłopaków, pojechał z nią.

Od tego czasu coś stopniowo zaczęło się w nim zmieniać. Zaczął do nas wracać prawdziwy Joey, kawałeczek po kawałeczku. Ponieważ tamtego dnia Aoife coś mu ofiarowała, coś, czego mógł

się mocno złapać. Nadzieję na przyszłość.

A potem ojciec znowu mu ją odebrał.

Zabrał mu nadzieję.

Gdy Joey przyszedł do mnie w szpitalu, zauważyłam to w jego oczach. Żarówki, które zapaliła w nim Aoife, gasły, aż w końcu znów spowiła go ciemność.

Jeżeli uda mu się to po prostu odespać, przespać działanie tego syfu na organizm, to może po obudzeniu będzie w miarę trzeźwo myślał. Może będzie w stanie spokojnie, racjonalnie rozumować. Może...

– Shan? Moja mama dzwoniła i muszę wracać do domu.

Głos Claire wyrwał mnie z zamyślenia, odwróciłam się gwałtownie; stała w drzwiach. Przyłożyłam palec do warg i poprosiłam wzrokiem, żeby nie wydała już nawet najcichszego dźwięku, po czym sama na palcach wyszłam na korytarz.

– Przepraszam – wyszeptła, gdy zamknęłam za sobą drzwi do pokoju. – Nie wiedziałam, że śpi.

Odpowiedziałam jej dopiero, gdy przeszłyśmy na szczyt klatki schodowej, z dala od pokoju Johnny’ego.

– Nic się nie stało. Też nie wiedziałam.

Zeszłam na dół na niepewnych nogach, paliło mnie przy tym w płucach. Od wyjścia ze szpitala przez większość czasu tkwiłam beczynnym w własnym pokoju. Dzisiejsza aktywność odbiła się na moim ciele. Uporczywe bóle i mrowienia powróciły, do tego zapomniałam zabrać z domu przepisanych środków przeciwbólowych, więc czułam każde ukłucie.

– Co chciałaś powiedzieć?

– Muszę wracać do domu – powtórzyła cicho. – Mama po mnie dzwoniła. – Przewróciła oczami, by podkreślić własną irytację. – Mówi, że jeśli Gerard nie odwiezie mnie przed dziesiątą, to zamknie dom i mnie nie wpuści. – Prychnęła i dodała: – A jest za piętnaście.

– A czy to byłoby takie fatalne? – zapytał Gerard, podchodząc do nas i poruszając wymownie brwiami. – Mogłabyś spać u mnie.

Claire ponownie przewróciła oczami.

– To pusta groźba, nigdy nie zamknęłaby mi domu przed nosem, ale *on* ma mnie odwieźć – mówiła dalej, mądrze nie komentując propozycji Gibsiego. – No i zastanawiam się, czy chcesz u mnie nocować?

– Nocować? – wykrztusiłam.

– No – potwierdziła. – Oczywiście jeśli chcesz wrócić do siebie albo coś, to też spoko – rzuciła, ale zmarszczyła przy tym nos, dając mi do zrozumienia, że bynajmniej nie uważa mojego powrotu do domu za „spoko” pomysł. – Ale gdybyś wolała nocować u mnie, to moja mama może zadzwonić do twojej.

– Nie pozwolą mi – przyznałam i westchnęłam. Nie miałam najmniejszej ochoty wracać do domu, ale musiałam. – Oszaleją, jeśli nie wrócę. – Pomyślałam o wszystkich kłopotach, jakie przechodziliśmy z władzami, i choć nikt nie stwierdził konkretnie, że nie mogę spędzać nocy u koleżanek, to wiedziałam, że mamie by się to nie spodobało. Nie spałaby całą noc i do mojego powrotu kisiłaby się we własnej paranoi. – Pewnie będzie dla wszystkich lepiej, jeśli po prostu wrócę do domu.

– Z całym szacunkiem Shan, ale jebać ich.

Wytrzeszczyłam oczy.

Powiedzieć, że Claire rzadko przeklinała, to nic nie powiedzieć, a już na pewno nie w odniesieniu do rodziców.

– *Jebać. Ich.* – dodała, patrząc na mnie wymownie.

– Tak jest, jebać ich, kurwa! – zawtórował jej Gibsie. – Brawo, maleńka.

– Cicho bądź, Gibsie – rzuciła przez ramię i znów się do mnie zwróciła: – Masz szesnaście lat, za kilka dni kończy się nam przerwa wielkanocna, powinnaś mieć prawo do normalnych doświadczeń każdej nastolatki, takich jak nocowanie u najlepszej przyjaciółki. Pierwszy tydzień ferii przeleżałaś w szpitalu i musiałaś zmagać się z gównem, z którym nikt w naszym wieku nie powinien mieć do czynienia. Więc decyduj sama, Shan. Jeśli chcesz u mnie przenocować, to przenocuj, do ciężkiej cholery.

– Darren się zdenerwuje.

W wielu sprawach się z nim nie zgadzałam, nie podobało mi się, że rozstawia mnie po kątach, ale wiedziałam, że chce dobrze. I nie chciałam go ranić. Nikogo nie chciałam ranić. Na tym polegał mój problem.

– Jakoś to przeżyje – odparowała Claire, przewracając oczami. – To twój brat, a nie opiekun. Opiekuna już miałaś i patrz, jak skończyłaś. Spójrz, co ci zrobił! – Skrzywiłam się, Claire też. – Okej – powiedziała spokojniej. – Może źle to ujęłam i byłam troszkę nieczuła, biorąc pod uwagę okoliczności, ale wiesz, o co mi chodzi. Shan, mówię to wszystko, bo mi na tobie zależy, bo cię kocham i mam dość patrzenia, jak jesteś popychadłem innych. Szczerze mówiąc, też powinnaś mieć już tego dość. Przestań martwić się wszystkimi naokoło i choć raz pomyśl o sobie. Żyj własnym życiem.

Miała rację, ale trudno było się wyrwać z życiowych nawyków. Zwłaszcza gdy konsekwencje zawsze przynosiły ból.

Byłam zaprogramowana na słuchanie innych. Była to niezbędna do przetrwania umiejętność, którą dopieściłam do perfekcji.

To ona jak dotąd utrzymywała mnie przy życiu.

– A co z Joeyem? – zapytałam, zerkając nerwowo na klatkę schodową. Wzrastała we mnie ekscytacja zmieszana z ogromną dawką niepokoju. Perspektywa nie wracania dziś do domu robiła się coraz bardziej kusząca. – Śpi i chyba nie powinnam go zostawiać...

– Może tu zostać – oświadczył Johnny, dołączając do nas w hallu. – Oboje możecie. – Spojrzał na mnie swoimi niebieskimi oczami. – Jeśli tylko chcesz?

– Prrrrr, ogierze – powiedziała Claire, machając ręką. – Hamuj się. Powiedziałam, że potrzebuje normalnych doświadczeń każdej nastolatki, ale może nie wyskakujmy przed szereg.

– Bum! – parsknął Gibsie.

– Wcale nie wyskakuję, do cholery – odciął się ostro Johnny. – Moi rodzice są w Dublinie, mam wolną chatę. Jej brat już tu jest. Ona już tu jest. – Jego policzki się zaróżowiły, wzruszył ramionami. – Proponuję najprostsze rozwiązanie.

– Rozwiązanie – powtórzyła Claire, unosząc brew. – Mhm. Skoro tak to nazywasz.

– Tak – obstawał przy swoim Johnny, marszcząc czoło.

– No... – prychnęła Claire. – Ale jak dla mnie *wyskoczyłeś przed szereg.*

– Wcale nie, kurde. – Johnny spojrział na mnie, szukając wsparcia. – Nie wyskoczyłem, przysięgam.

– Wierzę ci – powiedziałam.

– Peewnieeee... – powiedziała Claire przeciągle. – Tak sobie tłumaczcie.

– No to może wszyscy zostaniemy? – wtrącił Gibsie. – Nazwijmy to rozwiązaniem. Albo kompromisem, albo jak tam chcecie. Zamówimy sobie pizzę. Tylko przestańcie mieszać mi w głowie tymi ogłupiającymi przepychankami.

– Ja nie mogę – westchnęła ciężko Claire. – Na pewno nie, odkąd mama się dowiedziała, że ty... – Uciszyła się nagle i zarumieniła, po czym spojrzała na niego z miną „dobrze wiesz, dlaczego”, a potem pośpiesznie dodała: – Po prostu nie mogę.

Zaskoczyło mnie, że Gibsie też się zarumienił.

– Proszę, proszę, proszę... – powiedział Johnny sarkastycznie. – Wygląda na to, że ktoś inny... – zrobił pauzę i pokazał palcami cudzościstów – „wyskoczył przed szereg”.

– Ja na pewno nie – fuknęła Claire, krzyżując ręce na piersi. – Ja, Johnny, skaczę co najwyżej na skakance.

– Mhm. – Johnny uniósł brew i naśladując jej ton sprzed chwili, powiedział: – Tak sobie tłumacz.

– Nie wszyscy myślą genitaliami – rzuciła.

– Biorąc pod uwagę, że moje zostały niedawno zszyte igłą i nicią, jak najbardziej się z tym zgadzam – burknął w odpowiedzi.

– Igła i nić – zarechotał Gibsie. – Widzę to, stary.

– Przymknij się! – warknęli równocześnie Johnny i Claire.

– Wiesz, jeśli szukasz ogiera, to zawsze możesz dosiąść mnie – rzucił w odpowiedzi Gibsie.

– Gerard, zamknij się!

– Już się zamykam, Clairko-eklerko.

– Chyba tu zostanę – wypaliłam, bo chciałam rozładować sytuację, ale też pomóc przyjaciółce. Nie wiem, co się działo między nią a Gibsiem. Claire traktowała to bardzo prywatnie. Opowie mi, gdy uzna to za stosowne. Do tej pory nie zamierzałam naciskać. Sama przez lata nie wyciskała ze mnie informacji, miałam u niej dług.

Johnny wyraźnie się rozluźnił.

– Zostaniesz?

Kiwnęłam powoli głową.

– Jeśli chcesz, żebym została.

– Chcę – odpowiedział, nie odrywając ode mnie oczu. – Chcę, żebyś ze mną została.

O Boże.

Moje serce.

Te słowa.

Ten chłopak.

– Jesteś pewna? – zapytała Claire, przekazując mi wzrokiem, że jest zarówno wdzięczna za moją interwencję, jak i rozczarowana moją decyzją.

– Wolę zostać i upewnić się, że z Joeyem wszystko dobrze. – Odwróciłam się do Johnny’ego i moje tętno wystrzeliło w kosmos. *Kłamczucha, kłamczucha. Chcesz zostać z nim.* – O ile na pewno nie masz nic przeciwko.

Johnny szczerzył się triumfalnie do Claire, ale gdy zauważył, że na niego patrzę, szybko spowaźniał i kiwnął głową.

– Absolutnie – rzekł. – Chcę ciebie...

– Bum! Bum! – Gibsie miał ubaw.

– ...żebyś tu została – szybko poprawił się Johnny, posyłając Gibsiemu ostrzegawcze spojrzenie, a potem popatrzył na mnie i wyraźnie powiedział: – Chcę, żebyś ty została u mnie.

Moje tętno przebiło skalę Richtera.

– Dziękuję.

– Niech będzie – fuknęła Claire, biorąc mnie w ramiona. – Ale zadzwoń, gdybyś mnie potrzebowała, okej?

– Okej – odpowiedziałam, nie wdając się w wyjaśnienia, że nie mam już komórki. Znając Claire, jutro pojechałaby wydać całe pieniądze zarobione przy opiece nad dziećmi na nową komórkę dla mnie, a nie chciałam, żeby ktokolwiek robił dla mnie takie rzeczy.

Może brzmi to przygnębiająco, ale wolałabym być zupełnie sama niż pośród ludzi litujących się nad moim położeniem. Nie byłam jeszcze pewna, jaką jestem osobą ani gdzie pasuję na tym świecie, ale wiedziałam, że przyjaciele muszą mnie lubić za to, jaka jestem, a nie z... litości.

– Niedługo się widzimy, okej? – Puściła mnie i ruszyła ku trzymającemu otwarte drzwi Gibsiemu, ale nagle się zatrzymała. – A ty... – zwróciła się do Johnny'ego i otaksowała go jadawym spojrzeniem. – Nie wyskakuj przed szereg...

– Nikt nie będzie nigdzie skakał – odpowiedział z przekąsem. – Igła i nic, pamiętasz?

– No, w każdym razie trzymaj penisa w spodniach – powiedziała wzburzona. – I nie myśl o głupotach... Tyle mam do powiedzenia.

Po tych słowach odwróciła się na pięcie i praktycznie wyfrunęła przez drzwi, a zaraz ruszył Gibsie, który próbował za nią nadążyć.

Drzwi się za nimi zamknęły i zostałam sama z Johnnym Kavanaghem, miałam wrażenie, że pierwszy raz od wieków.

– Cześć, Shannon – powiedział i niezdarnie wrzucił ramieniem, skupiając na mnie całą uwagę.

Czułam się nieśmiało, założyłam kosmyk włosów za ucho i uśmiechnęłam się do niego.

– Cześć, Johnny.

– Więc... – Wsunął rękę do kieszeni, rozejrzał się dookoła, po czym spojrzał mi w oczy. Moje serce zaczęło bić jeszcze szybciej, docierała do mnie świadomość sytuacji. Czułam, jak powietrze wokół nas strzela iskrami. – Co chcesz zrobić?

Wszystko.

– To, co ty chcesz. – Przypomniałam sobie, że nadal trzymam jego komórkę, pokonałam więc dzielącą nas odległość i wcisnęłam mu ją w pierś. – Ja... och... dziękuję, że pomogłeś mojemu bratu. – Gdy wyciągnął rękę po telefon i nasze palce się musnęły, zarumieniłam się. – I mnie. – Cofnęłam się, złączyłam dłonie przed sobą i westchnęłam z bólem. – Dziękuję, że i mnie pomagasz. – Westchnęłam z bólem, bo czułam się w takich sytuacjach tak niezręcznie, że myślałam, że się przewrócę. – I że pozwoliłeś nam tu zostać. – Dodałam, stawiając kolejny niepewny krok, tym razem w bok. – Więc, no, uhm, dzięki.

Johnny patrzył na mnie lekko skonsternowany.

– Wszystko dobrze?

– Tak, jest dobrze – potwierdziłam z zapałem.

– „Jest dobrze”? – parsknął.

– Ja – poprawiłam się, westchnęłam ciężko i zwiesiłam głowę – u mnie dobrze.

– O czym teraz myślisz?

Wzruszyłam ramionami, nie odklejając oczu od trampek.

– Sama nie wiem.

Tym razem to on ciężko westchnął.

– Co ja z tobą zrobię, co? – Nagle objął mnie w talii i przyciągnął do siebie. Moja głowa mimowolnie podskoczyła, oddech ugrzązł mi w piersi. – Trzymaj tę śliczną główkę wysoko, Shannon *jak ta rzeka*. – Założył mi kosmyk włosów za ucho, pogładził knykciami mój policzek. – Sam nie wiem, co mam robić, gdy nie mogę cię rozgryźć. – Dotknął kciukiem mojego podbródka, wbił we mnie wzrok gorących, niebieskich oczu. – Nie mogę cię odczytać, jeśli na mnie nie patrzysz.

– Okej – powiedziałam, ale po chwili się z tego wycofałam: – Czekaj... że co?

– Twoje oczy – burknął. – Musisz na mnie patrzeć.

Wypuściłam powietrze z płuc.

– Tak?

Johnny kiwnął nieśpiesznie głową i ścisnął mnie mocniej w talii.

– Bo skąd mam wiedzieć, o czym myślisz?

– Nie wiem – wysapałam, moja pierś unosiła się i opadała szybciej, jego bliskość siałą spustoszenie w moim układzie nerwowym. Nie mogłam się powstrzymać, podniosłam ręce i położyłam je na jego torsie, miałam ochotę wbić palce w tkaninę jego bluzy. – Mógłbyś po prostu zapytać?

– Zapytałem, ale nie chciałaś powiedzieć – zauważył łagodnym, zachęcającym tonem. – Pytałem, co chcesz robić, i też nie odpowiedziałaś. – Kiedy się pochylił i oparł swoje czoło na moim, moje tętno dostało amoku. Ten delikatny jak piórko kontakt mnie przerastał, a równocześnie chciałam więcej. – Shannon, musisz prowadzić – wyszeptał. – Musisz powiedzieć, czego chcesz. – Czulałam, jak serce łomocze mu w piersi. Wydawało się, że w tym samym rytmie co moje. – Ponieważ w twoim przypadku nie zamierzam popełniać żadnych błędów.

Pocałuj mnie, Johnny.

Pocałuj.

Chcę, żebyś mnie pocałował.

Gdy nie odpowiadałam, bo szczerze mówiąc, nie potrafiłam przepchnąć przez gardło słów, które ułożyłam sobie w głowie, Johnny uśmiechnął się i cofnął o krok.

– Chodź – powiedział i pokręcił głową z lekkim smutkiem. Złapał mnie za rękę i poprowadził do salonu. – Nie ma pośpiechu. – Bez kuli poruszał się sztywno i wolno. – Powiesz, gdy będziesz gotowa. – Otworzył drzwi do salonu i pokazał, bym weszła pierwsza. – Mnie się nie śpieszy.

Kręciło mi się w głowie, trudniej oddychało i czulałam delikatne rozczarowanie, a gdy puściłam jego dłoń i weszłam do salonu, odczułam utratę jego dotyku w całym ciele, od stóp po czubek głowy.

– Możesz usiąść, Shannon – powiedział, gdy stanęłam przy kanapie. Tymczasem on pokuśtykał do okna, zaciągnął zasłony i okrył nas półmrokiem, następnie ruszył w stronę telewizora. – W porządku.

Bez słowa opadłam na kanapę i patrzyłam na strzelający ogień, nasycalam się ciepłem, spokojem i ciszą.

– Jaki dodatek do pizzy najbardziej lubisz?

– Hę? – zdziwiłam się.

– Pizza – powtórzył, wyciągając komórkę z kieszeni i stukając w ekran. – Z czym najbardziej lubisz? – Stanął przed kominkiem, włączył wielki telewizor, po czym odwrócił się do mnie z telefonem przy uchu.

– Eee, z ananasem – wybełkotałam. – A co?

Rozdziawił usta z trwogą.

– Mówisz poważnie?

– No co? – zarumieniłam się. – Pyszna jest.

Opanował dreszcz wstrętu i powiedział:

– Dobry wieczór, chciałbym złożyć zamówienie.

– Co... Czekać, nie musisz...

– Wybierz film... – powiedział bezgłośnie, wskazując na leżącego na stoloczku kawowym pilota, po czym wrócił do składania zamówienia.

Sięgnęłam po niego oszołomiona i wykonałam polecenie, a zanim znalazłam pierwszy lepszy film, przeskoczyłam z milion kanałów.

– Jedzenie będzie za pół godziny – poinformował, gdy się rozłączył.

– Nie musiałeś tego robić – szepnęłam zażenowana. – W sensie... kupować mi jedzenia.

Przyglądał mi się przez chwilę, po czym wypuścił wstrzymywany oddech i stwierdził:

– Nie, kończymy z tym.

– Co? – patrzyłam na niego przerażona. – Z czym?

– Będę stawiał ci kolacje, Shannon. – Podszedł, usiadł na kanapie i spojrzał na mnie. – Czasami będziemy jedli tutaj, czasami na mieście, ale będziemy to robili regularnie, więc nie myśl o tym za dużo, okej?

Nie miałam pojęcia, jak na coś takiego zareagować, więc tylko kiwnęłam głową.

– Okej.

– Dziś zjemy gównianą pizzę – westchnął. – Bo nie mogę prowadzić auta, a wszystkie solidne miejsca w poniedziałki wcześniej się zamykają, ale następnym razem bardziej się postaram.

– Nie musisz – odparłam łagodnie. – Lubię pizzę. – *A ciebie Kocham.*

– Może i nie muszę, ale zasługujesz na to.

– Ja nie mam nic w zamian – wypaliłam, czując ciepło rozlewające się po karku. – Nie mogę kupić ci kolacji ani zaprosić cię do kina – dodałam, przypominając sobie, jak zabrał mnie na film. – Chciałabym. – Spuściłam głowę, nie byłam w stanie patrzeć mu w oczy. – Ale nie mam jak.

– Nie pozwoliłbym ci za siebie płacić, nawet gdybyś nosiła milion funtów w tylnej kieszeni – przerwał mi, podnosząc moją brodę palcami. Wwiercając się we mnie swoimi niebieskimi oczami, mówił dalej: – I możesz sobie mówić, że to seksistowskie albo staromodne rozumowanie, ale szczerze mówiąc, mam to gdzieś. Jemy razem, ja karmię.

– Trochę tak – odparłam cicho. – To znaczy trochę to staromodne.

– Tak? – Wzruszył ramionami. – No to możesz za to winić moją mamę.

– Powiedziałabym, że wykonała dobrą robotę – wyszeptałam drżąc, bo musnęła mój podbródek kciukiem.

– Tak? – Uśmiechnął się i nachylił bliżej. – Jak dobrą według ciebie?

– Dałabym jej maksymalną notę. Dziesięć na dziesięć.

Jego oczy zapłonęły.

– A ja daję maksymalną notę *tobie*.

– Mnie?

– Zawsze – wyszeptał, spuszczać wzrok na moje usta. – Kocham to. – Przesunął kciukiem po malutkim dołeczku w mojej brodzie. – Jest kurewsko uroczy. – Ponownie spojrzał na moje usta i przygryzł swoją dolną wargę, mocno, a potem ją puścił, głośno stęknął i opadł na oparcie kanapy. Stłumiłam własny jęk, zdruzgotana, że straciłam jego dotyk.

Oderwawszy ode mnie oczy, skupił się na telewizorze wznoszącym się dumnie obok kominka.

– *To właśnie miłość?* – Na jego twarzy zagościł cień uśmiechu. – Serio?

– Pierwszy film, który znalazłam – odpowiedziałam, machając bezładnie rękami. – Możesz przełączyć. – Założyłam włosy za ucho i podciągnęłam rękawy tylko po to, by patrzeć bezsilnie, jak zjeżdżają z powrotem w dół. – Nie mam nic przeciwko.

– Nie, to świetny film – zarechotał i rozparł się wygodnie. – Widziałas go?

– Nie – zaprzeczyłam i za jego przykładem oparłam się o poduszkę. – A ty?

Johnny kiwnął głową z półuśmiechem na ustach.

– Gibsie zaciągnął mnie na to do kina.

– Mówisz poważnie? – Tym razem i ja się uśmiechnęłam.

– Śmiertelnie poważnie. Wyglądaliśmy jak kretyni na sali pełnej przytulonych par. – Sięgnął gdzieś za kanapę po koc i okrył nim moje nogi. – Przechodził wtedy fazę fascynacji Keirą Knightley i był na serio wkurzony, gdy się pokapował, że pojawia się na ekranie dosłownie przez chwilę. – Zaśmiał się cicho, ewidentnie z powodu jakiegoś zabawnego wspomnienia. – Ale tak się wciągnął, że się, kurwa, pobeczał na scenie z naszymi... – urwał. – Przepraszam. – Uśmiechnął się zmieszany. – Prawie zdradziłem ci fabułę.

– Czemu z nim poszedłeś? – zapytałam z uśmiechem, wsunęłam ręce pod ciepły koc i wtuliłam się mocniej w kanapę. – Skoro nie lubisz takich filmów?

– Bo to mój najlepszy przyjaciel – odpowiedział, rechocząc pod nosem. Założył nogi na stoliczek kawowy. – Robił dla mnie gorsze rzeczy.

– Na przykład jakie?

– Na przykład wymykał się z pokoi hotelowych, żeby się ze mną spotkać w środku nocy – odpowiedział, po czym znowu na mnie spojrzał. – Na przykład zawiózł mnie dziś do ciebie.

– Dziękuję – jęknęłam, czując, że coś się we mnie przesuwa, że coś mnie do niego przyciąga. – Dziękuję, że wróciłeś.

– Shannon, ja... – urwał i westchnął. – Chodź tu – powiedział i podniósł rękę. – Pozwól, że cię ogrzeję.

Rozpaczliwie pragnęłam fizycznego kontaktu, zbliżyłam się więc i chętnie w niego wtuliłam. Objął mnie, a gdy poczułam, że muska ustami moje włosy, przeszedł mnie silny dreszcz.

– Zróbmy to – wyszeptał, po czym podgłośnił telewizor.

Później już nic nie mówiliśmy.

Rozdział 19

Pocałujesz mnie czy nie?

Johnny

Wygrałem bitwę: najlepsza przyjaciółka kontra chłopak i czułem się z tym wybornie.

Pierwsza runda dla mnie.

Tyle że nie byłem do końca pewien, czy jestem jej chłopakiem.

„Chłopak” – jakie to w ogóle durne słowo.

Jezu, muszę się ogarnąć.

W końcu zostałem z Shannon sam i nie wiem, co robić. Wcześniej wyglądała tak niepewnie, że aż odezwało się we mnie sumienie i się wycofałem. *Chciałem* ją pocałować, ale nie wiedziałem, czy ona chce, i był to dla mnie problem. Ponieważ – wbrew oskarżeniom Claire – wcale nie chciałem wyskakiwać przed szereg. Nie chciałem wylać na nią całego kubła moich uczuć i jej wykorzystać.

Życie Shannon zmieniło się tak nagle i drastycznie, że nie chciałem popełnić żadnego błędu. Przede wszystkim nie chciałem, żeby pożałowała, że się ze mną zadała.

I oto jesteśmy znowu na kanapie w moim domu, ale tym razem już bez żadnych sekretów czy treningów, na które muszę się śpieszyć. Nie, teraz dzieli nas już tylko strach przed nieznanym.

Pierwszy raz od niemal osiemnastu lat poczułem, że stoję na kluczowym życiowym rozdrożu. Nie musiałem zadawać pytania, którą ścieżkę wybrać, bo stopy same niosły mnie do niej, ale walczyłem ze sobą, bo wiedziałem, że to krótka droga. Jeżeli mój ojciec i lekarze mieli rację i jeżeli w czerwcu dostanę się do drużyny, to zostały mi z nią dwa miesiące. Za dwa miesiące mnie tu nie będzie. W czerwcu zбочę z tej ścieżki.

Nagle perspektywa gry w kadrze U20 nie wydawała się już tak pociągająca. Przez całe życie patrzyłem wyłącznie na jedno: rugby, ale teraz moje pole widzenia zaszło mgłą. Byłem tak kurewsko rozdarty, jeśli chodzi o tę dziewczynę, bo dobro mojej przyszłości i mojej terażniejszości się nie pokrywało.

Chciałem po prostu spędzić z nią czas. Z dala od jej rodziny i rugby. Z dala od wszystkiego. Tylko my. Chciałem wcisnąć w życie pauzę i po prostu ją *zatrzymać*. To mocne słowa jak na kogoś w moim wieku, ale ufałem mojej intuicji i żołądkowi. A one mnie zachęcały i zapewniały, że bez dwóch zdań to dziewczyna dla mnie. Dziewczyna, której powinienem się trzymać. Mogłem wspiąć się na całą górę cipek, a i tak by mnie to nie ruszyło, bo to do niej coś czułem.

– Wszystko dobrze? – jej głos przeciął moje myśli i przeniosłem wzrok z płomieni w kominku na jej twarz. Siedziała z plecami opartymi o podłokietnik kanapy, zakopana pod kocem, którym nakryłem ją kilka godzin wcześniej. Obejmowała się luźno w kolanach i spoglądała na mnie wyczekująco.

Nie dosłyszałem ani słowa, więc przecesałem włosy dłonią i zapytałem:

– Przepraszam, co mówiłaś?

– Godzinę temu wstałaś, żeby dorzucić węgla, i od tego czasu siedzisz i gapisz się w parapet kominka – wyjaśniła tym swoim cichym głosem. – Film się skończył, Johnny, telewizor się wyłączył.

– Cholera, na serio? – Rozejrzałem się i zauważyłem, że siedzimy w ciemności rozpraszanego tylko ogniem. – Przepraszam, musiałem trochę odlecieć.

Shannon zmarszczyła brwi z troską, a ja poczułem jej stopę na udzie.

– Czy to przez leki? – W jej głosie brzmiało współczucie, delikatnie głaskała moje udo palcami stóp. – Otumaniają cię?

– Nie, to nie leki. – *To przez fakt, że całymi dniami ćwiczyłem, co ci powiedzieć w takiej sytuacji, a teraz nie potrafię wydusić słowa.* – Nie wiem, co mi się stało. – *Ty mi się stałaś i mam totalnie przejebane.* – Chyba jadę już na oparach. – *Bo siedzimy tu cały wieczór, a ja nie zabrałem się za temat, którego nie można uniknąć.* – Przepraszam, Shan.

Z jakiegoś powodu się uśmiechnęła, uniosłem więc brew i zapytałem:

– Co w tym śmiesznego?

– Nazwałeś mnie „Shan” – odparła, uśmiechając się szeroko.

– No... – Też wyszczerzyłem zęby. – I co?

– Przyjaciele mnie tak nazywają – wyjaśniła. – Cóż, dziewczyny i Joey.

– A ja nie jestem twoim przyjacielem? – droczyłem się z nią. – A może to zdrobienie jest zarezerwowane tylko dla twojego *najwęższego kręgu* znajomych, co?

– Nie, nie, ty jesteś moim kręgiem – rzuciła i od razu się skrzywiła. – To znaczy jesteś w moim kręgu... W kręgu, nie jesteś kręgiem. – Ukryła twarz w dłoniach i jęknęła. – Ech, jestem koszmarem w kontaktach z ludźmi.

Zaśmiałem się, wsadziłem rękę pod koc i złapałem ją za stopę. Chuj wie, po co to zrobiłem, ale trzymałem jej pieprzoną stopę, więc ruszyłem dalej. *Gibskie miał rację. Mam poważny problem z zabieraniem rzeczy, które do mnie nie należą.*

– Spokojnie – powiedziałem, kładąc sobie tę jej stopę na kolanie. – Wiem, o co ci chodziło.

Shannon zerknęła z ukosa na stopę w mojej ręce, na moim kolanie, a ja czekałem na to, co zrobi.

Jeżeli ją cofnie, puszczę. *Ale nie zabrała.*

Zamiast tego wysunęła spod koca drugą i też położyła ją na moje kolano. Spojrzała na mnie z ukosa, ewidentnie badała moją reakcję.

Zareagowałem więc położeniem ręki na jej nogach i delikatnie chwyciłem ją za kolano, przez cały czas patrząc jej przy tym w oczy – wypatrywałem choć najdrobniejszych oznak wątpliwości z jej strony.

– Mogę ci zadać jedno pytanie? – zapytałem, zebrawszy się na odwagę. Gdy kiwnęła głową, wydusiłem z gardła kolejne słowa: – Jakie masz odczucia... na mój temat?

Wybałuszyła oczy.

– Na twój temat?

– Tak. – Przełknąłem ślinę. – Na mój temat.

Shannon milczała tak długo, że zacząłem się bać, że już mi nie odpowie, ale w pewnym momencie zaczęła mówić.

– Czasami czuję się jak rozbitek na środku oceanu – wyznała cicho, przenosząc wzrok na swoje stopy. – Jakbym utknęła w jednym miejscu i tam tonęła. – Złączyła dłonie i mówiła dalej, obnażając przede mną prawdę. – Mam wrażenie, że patrzę, jak woda nadpływa i piętrzy się coraz wyżej i wyżej. Widzę, jak się nade mną zamyka, jak wsysa mnie w głębię. – Zadrżała, przygryzła dolną wargę. – To przerażające.

– Na pewno – burknąłem, wodząc końcówkami palców po dzinsie na jej kolanie. Niepewny, co jeszcze powiedzieć, i przerażony, że powiem coś nie tak.

– Wtedy pojawia się ty i woda się cofa. – Zadarła podbródek, spojrzała mi głęboko w oczy i wypuściła powietrze z płuc. – Zjawiasz się i wszystko, co złe, po prostu... na chwilę znika.

Czułem na sobie jej wzrok, który rozpałił we mnie zarzewie ognia. Miałem rozgrzaną skórę, moje ciało skręciło się z niecierpliwości i ekscytacji.

Ale miałem *przejebane*.

– Takie mam odczucia – wyszeptała, a jej błękitne oczy przepalały sobie drogę wprost do mojej duszy. – Lepsza. Żywa. Wolna. Bezpieczna. Ważna. Pierwszy raz od wielu dni mam poczucie, że w końcu mogę oddychać... A to tylko dzięki tobie... Bo jestem z *tobą*. – W tym momencie się skrzywiła, jakby nasza ją bolesna myśl. – Ale wywracam twoje życie – dodała cichutko. – Wciągnęłam cię w moje rodzinne bagno i przepraszam cię za to.

Ostrożnie, Johnny.

Uważaj teraz na każde, kurwa, słówko, stary.

Była zamkniętą książką, którą dzięki jakiejś magii udało mi się otworzyć. Nie zamierzałem popełnić błędu i pozwolić, żeby zatrasnęła mi się tuż przed nosem.

– Nie pamiętam, jak to się zaczęło ani kiedy nakręciłem się na ciebie na tyle, że twój smutek zaczął mnie dusić – powiedziałem w końcu, odnajdując język w gębie. – Ale wiem, że już nie chcę wracać do czasów, kiedy cię nie było.

Była taka silna, taka odporna i nawet o tym nie wiedziała. Nie wyobrażałem sobie, jak mógłbym przejść to, co ona, i się podnieść. A ona... proszę... siedzi tu, gotowa mi zaufać; opuściła dziś dom, choć jej ojciec może kręcić się w okolicy. To musi jebać w głowie, prawda? Ale ona się temu nie dała. Była definicją podnoszenia się po każdym upadku. Nieważne, jakie kłody życie będzie rzucało jej pod nogi, ona wstanie, otrzepie się i spróbuje znowu.

– Po prostu jestem już taka zmęczona tym miejscem... – wyznała cicho. – Wiesz, próbuję... jakoś żyć. Nie myśleć za dużo, po prostu być wdzięczna, ale *nie jestem* za nic wdzięczna i nie potrafię ruszyć dalej. Mam wrażenie, że tkwię w pułapce i codziennie zbliżam się do dnia, w którym stąd... zniknę.

Nie zrozumiałem, więc nie zamierzałem mówić, że rozumiem. Nie miałem pojęcia, z czym musi się mierzyć i jak sobie z tym radzi. Mogłem powiedzieć tylko:

– Ja tu jestem. – I naprawdę będę.

– Johnny, on wytycza mi zasady. – Zmarszczyła nos, zrobiła kilka płytkich oddechów, a potem energiczniej powiedziała: – Coraz więcej zasad. Więcej praw... – Zaczerpnęła głęboko powietrza i dokończyła: – Więcej rozkazów, których mam słuchać.

Tak, zaraz mi odwali.

Oddychaj, Johnny.

Odetchnij, kurwa, stary.

Potrzebowałem chwili, żeby przetworzyć znaczenie jej słów i wielu kolejnych chwil, żeby opanować emocje oraz nagłą, rozpaczliwą potrzebę przejścia do ataku.

– Darren? – zdołałem wydusić.

Przytaknęła krótko.

– Ja wiem, że on ma dobre intencje... ale po prostu... mam po dziurki w nosie tego, że ludzie mnie kontrolują. – Przeszedł ją dreszcz, ale mówiła dalej: – Gdy obudziłam się w tym szpitalu, żywa i w jednym kawałku, obiecałam sobie, że już nikt nie będzie mnie tak kontrolował. *Przysięgłam* sobie, że więcej do tego nie dopuszczę.

– Shannon, wcześniej też nie dopuszczałaś – powiedziałem ochryple. – Nie miałaś nad tym kontroli.

– I właśnie o to chodzi – odpowiedziała. – Mam dość braku kontroli, Johnny.

– Tak... – westchnąłem. – Nie dziwię się.

– Wiesz, nadal pamiętam, jak się czułam, gdy pierwszy raz brałam prysznic w tym domu – powiedziała i uśmiechnęła się pod nosem. – Stałam w twojej łazience całą wieczność i po prostu słuchałam.

– Czego?

– Ciszy.

– Shan...

– Trudno to wyjaśnić – wtrąciła szybko. – Ale chciałam zostać w tej łazience na zawsze, bo czułam się bezpiecznie... Z tobą *czułam się bezpiecznie*. – Pokręciła głową, odetchnęła i dodała: – I to okropne, bo narzuca na ciebie presję.

Wstrząśnięty szukałem w głowie koniecznych słów, którymi bym ją uspokoił. Ponownie złożył w całość. Ja nic nie wiedziałem. Miałem tylko przecucia. Potężne, kurwa, przecucia, które mnie dusiły i topiły w równoległym wzorcu uzależniającego zniszczenia.

Moje mury się kruszyły. Wszystko, co zbudowałem w próbie ochrony przed tą dziewczyną, która – byłem tego pewien – pociągnie mnie na dno, się zawaliło.

– Mnie nikt do niczego nie zmusza – stwierdziłem w końcu, błędząc po omacku. – Jesteś w moim domu, bo tego chcę.

– Tak?

– Na sto procent – powiedziałem. – I wynika to wyłącznie, tylko i wyłącznie, z faktu, że *chcę*, żebyś tu ze mną była, Shannon.

– Jesteś pewien? – wyszeptała.

– Posłuchaj – powiedziałem, odwracając się do niej i skupiając na niej całą uwagę – powinnaś coś o mnie wiedzieć: ja nie miewam przelotnych uczuć. Niczego, kurwa, nie traktuję przelotnie... Tak już mam. Więc gdy coś ci mówię albo coś robię, to na serio... Mam to przemyślane. A teraz ci mówię, że *chcę*, żebyś tu ze mną była.

Rozdziawiła usta, jej pełne wargi ułożyły się w idealne „o”.

– No... – bąknąłem, opierając się ochocie, by złapać ją za podbródek i zadrzeć jej twarz do góry. – Och...

– Johnny? – zapytała, przysuwając się bliżej. – Mogę zapytać cię o jeszcze jedno?

– Tak... – wychrypiałem to słowo, musiałem odkaslnąć, żeby mówić dalej. – Tak, Shan. Możesz mnie pytać o wszystko.

– Pocałujesz mnie w końcu?

Ja pierdolę.

Kav, chłodna głowa.

Opanowanie, nie odstrasza jej.

Odzyskałeś ją, teraz musisz ją zatrzymać.

Nie rzucaj się na nią. Wytrzymaj...

Dopiero po kilku sekundach przetworzyłem jej słowa i mogłem się odezwać.

– *Chcesz, żebym cię pocałował?*

– Byłoby miło, gdybym nie musiała wykonywać pierwszego ruchu, a potem stąd uciekać. – Jej głos był ledwie słyszalnym szeptem. Na ułamek sekundy spuściła głowę, ale potem spojrzała prosto na mnie i wessała mnie tymi niebieskimi oczami. – Oszczędziłoby mi to mnóstwa paniki... – dodała, wzruszając ramionami. – Tego właśnie chcę, nie musieć panikować. – Przez chwilę przygryzała dolną wargę, a potem dodała: – I chcę wiedzieć, na czym stoimy.

– Chcę cię pocałować, Shannon. – Odwróciłem całe ciało w jej stronę, ignorując ból w pachwinach. – *Pocałuję* cię – poprawiłem się już cały rozpalony i nakręcony. – Jeśli tego chcesz.

Wypuściła powietrze z płuc.

– Okej.

Spojrzałem na nią czujnie.

– Okej.

Zamarła w idealnym bezruchu, z wbitym we mnie wzrokiem, zarumieniona, z miną pełną... *wyczekiwania?*

– Ale... że teraz? – zapytałem, czując, że to ja trochę, kurwa, panikuję. – Chcesz, żebym zrobił to teraz? – Jezus Maria, chyba wszystko spartoliłem. – Myślałem, że... no wiesz, chcesz jeszcze pogadać...

– Nie chcę więcej gadać, Johnny – wyszeptła. – Dość się już w życiu nagadałam.

– Po prostu nie chcę na ciebie naciskać – wydukałem, słysząc nerwowość we własnym zasranym głosie. – Przeszłaś cały ten syf z tatą, a teraz jeszcze Joey. No i mama, jej dramy. I, Jezu, masz obitą, obolałą twarz, a twoje ciało... – Wzruszyłem ramionami, sam już nie wiedziałem, co paplam. – Ja... chyba myślę, że jednak powinniśmy jeszcze pogadać. Kurwa, Shannon, nie chcę, żebyś pomyślała, że cię wykorzystuję...

– Pocałujesz mnie czy nie? – Walnęła mnie tym pytaniem jak obuchem w łeb.

– Ja... ja nie chcę... próbuję tylko... – Moja przemowa się załamała, jęknąłem cierpiętniczo. Widziałem, jak na mnie patrzy tymi zdradliwymi i zachęcającymi oczami. – Dobra, jebać...

Nie zniósłbym ani chwili więcej tej klęski, ująłem ją więc za kark, zbliżyłem się i zmiążdżyłem jej usta swoimi.

Jęki w moich ustach, jej ręce na mojej bluzie, palce w tkaninie, za którą mnie ciągnęła, by zachęcić do jeszcze większej bliskości.

Ja pierdolę.

Złapałem jej dłonie, uciszyłem wszystkie pojebane żądze w głowie i po prostu odwzajemniłem pocałunek, desperacko próbując zachować spokój i nie przegiąć. Bo miałem ochotę porwać jej ciało, owinąć je, ustawić się pod wygodniejszym kątem, ale nie byłem w stanie.

Powoli, ostrzegł mój skąpany w hormonach mózg. Nie spierdol tego, koleś.

A jednak gdy tylko poczułem, że jej język ociera się nieśmiało o mój, wiedziałem, że jestem w totalnej dupie.

Nie mogłem tego znieść.

Przysięgam na Boga, że nie mogłem znieść ucisku w piersi. Przepalił mi kluczowe obwody samokontroli.

Mózg się wyłączył, a ciało przejęło ster.

Kutas rozsiadł się pewnie za kierownicą, kierował mną już tylko instynkt. Odwzajemniłem pocałunek, był głęboki, widziałem, że mam realne powody, żeby przestać, ale zabrakło mi siły woli, by zaciągnąć hamulce.

Moje dłonie zaplątały się w jej włosy, *jej ręce* przesunęły się do mojego pasa, złapały mnie i zachęcały, żebym za nią podążył, a właśnie kładła się na plecach. Chryste, obym miał co do niej rację, bo skakałem w najgłębszą wodę jak wariat, rozpaczliwie chciałem jej smakować, a nasze języki toczyły pojedynek w tym bez wątpienia najlepszym pocałunku w moim życiu.

Pocałunek z Shannon był inny, bo w grę wchodziły uczucia.

Wielkie, ogromne, w chuj przerażające uczucia i wiedziałem, że ona też je czuje.

Był inny, bo *coś znaczył*... Bo nawzajem wiele dla siebie znaczyliśmy.

Moje ciało płonęło, po części z niemożliwego bólu, który pogłębiał się wraz z każdym bezmyślnym otarciem naszych bioder, ale przede wszystkim z samej, kurwa, ekscytacji, że w końcu jesteśmy tak blisko.

Miałem wrażenie, że wbiła mi nóż w pierś, rozcięła ją, a ja teraz broczyłem na nią całą swoją krwią.

Byłem twardy, boleśnie, kurwa, twardy, i to nie w przyjemny sposób, kiedy szybko można sobie ulżyć, ale to teraz bez znaczenia.

Miałem gdzieś, że jestem połamany.

Miałem gdzieś, że rozerwę szwy.

Wszystko miałem gdzieś.

Obchodziła mnie tylko jęcząca i wijąca się pode mną na kanapie dziewczyna.

Rozdział 20

W chuj bardzo Shannon

Johnny chciał, żebym powiedziała, czego chcę. Zbierałam się do tego cztery godziny, ale gdy w końcu to powiedziałam, to zszokowałam swoją zuchwałością nie tylko jego, lecz także siebie.

Przerażenie spowodowane tą jakże nietypową dla mnie otwartością słabło z każdym ruchem jego języka, w tym głębokim pocałunku, którym mnie obdarzył.

Z trudem oddychałam, moje płuca wykrzykiwały protesty, ale wolałabym umrzeć, niż zacerpnąć powietrza. Miałam wrażenie, że byłam głodna Johnny'ego, a naprzód pchały mnie obezwładniające emocje.

Był ode mnie znacznie większy, znacznie szerszy... i bardzo mnie to ekscytowało. Przygniatający mnie ciężar był równocześnie za duży i niewystarczający. Za każdym razem, gdy już myślałam, że nie wytrzymam tego naporu, łąpałam Johnny'ego i przyciągałam do siebie jeszcze mocniej.

Przerwał pocałunek i podparł się na łokciach.

– Wszystko dobrze? Nie jestem za ciężki? – Jego tors szybko unosił się i opadał, dyszał, a tempo jego oddechu stanowiło odbicie mojego. – Robię ci krzywdę?

Zarzuciłam mu ręce na kark i przyciągnęłam twarz Johnny'ego do swojej. Trzymałam go tak mocno, że byłam pewna, że odetnę mu krążenie, ale nie potrafiłam go puścić.

Fizycznie *nie byłam w stanie* go puścić.

Byłam przerażona, niepewna i *obolała*.

W tym momencie znałam tylko jedną prawdę, że *ufam* temu chłopakowi.

– Nie gadaj – błagałam. – Po prostu całuj. – Uczepiłam się go jak koła ratunkowego, oplotłam go nogami w pasie i dalej błagałam: – Tylko zostań ze mną.

– Kurwa... – jęknął gardłowo. – Zostaję. – Wypuścił powietrze z płuc i przywarł ustami do moich warg. – Zostanę. – Gdy mówił, ocierał się o mnie ustami, aż przechodziły mnie dreszcze rozkoszy. – Jestem z tobą na całego, kurwa... – szepnął, po czym znów się na mnie osunął, wbił mnie mocniej w poduszki rozrzucone na kanapie i ułożył swój ciężar między moimi nogami.

Gdy jego wargi wróciły na moje, oddech utknął mi w gardle. Johnny był gorący, pełen zapału, rozchylił usta i wystrzelił mnie w kosmos swoim sprawnym językiem.

Zamknęłam oczy, zacisnęłam nogi wokół jego talii i przywarłam do niego całą sobą. W tym momencie z jego piersi eksplodował ryk bólu. Wiedziałam, że robię mu krzywdę i że powinnam odpuścić, ale fizycznie nie potrafiłam się od niego odkleić.

Miałam wrażenie, że moje ciało się do niego przyspawało, i wątpiłam, by cokolwiek oprócz tornada, które musiałyby rozszać się w jego salonie, mogłoby mnie od niego oderwać.

Johnny wsunął jedną dłoń w moje włosy, drugą zacisnął na moim biodrze i za każdym razem, gdy odpowiadałam nieśmiałym ruchem bioder na pchnięcie jego miednicy, zaciskał palce na moim ciele.

– Po prostu mam wrażenie, że powinniśmy porozmawiać... – Spróbował jeszcze raz, ciężko dysząc. – O tym, na czym oboje stoimy. – Oparł swoje czoło na moim, pocałował delikatnie,

a potem dokończył: – Żebyśmy stali na tym samym...

– Naprawdę? – westchnęłam, wsuwając ręce pod jego koszulkę. Gdy powitało mnie jego gorące, szczupłe ciało, zadrżałam, a gdy pod moim dotykiem naprężyły się jego mięśnie brzucha, musiałam stłumić jęk. – Ja, eee... No, chyba... – Rozkojarzona i rozpalona, potrząsnęłam głową w rozpaczliwej próbie oczyszczenia zasnutych żądzą myśli. – Jesteś pewien?

– Nie – jęknął, jakby wszedł ze sobą w jakiś nieprzyjemny konflikt. – Po prostu myślę, że może powinniśmy... – mówiąc to, ciągle się o mnie obijał, ustawiając swoje magiczne biodra tak, by siać maksymalne spustoszenie w moim układzie nerwowym – pogadać. – Przez chwilę wpatrywał się we mnie intensywnie, po czym ciężko westchnął. – O nas. – Nagle jego ciałem jakby coś wstrząsnęło. – A chuj z tym... – I wrócił do mnie, znowu całował, ruszał się na mnie, sprawiał, że trzęsłam się i drżałam.

Miałam wrażenie, że robiliśmy to godzinami. W pełni ubrani po prostu całowaliśmy się i ocieraliśmy o siebie, dotykaliśmy się i szeptaaliśmy. W końcu musiałam przyznać, że moje ciało zużyło ostatnią resztkę energii.

– Wszystko dobrze? – wyszeptał, muskając nosem mój policzek.

Kiwnęłam głową, westchnęłam z zadowoleniem i wbiłam palce w jego talię, marzyłam tylko, żeby zatrzymać go przy sobie w tej pozycji na wieczność.

– Po prostu się zmęczyłam.

Johnny zanurzył twarz w mojej szyi, zaciągnął się głęboko, po czym się podniósł i znowu uklęknął między moimi kolanami. Gdy nagle straciłam kontakt z jego ciałem, przeszły mnie lodowate ciarki. Ogień niemal już zgasł, pozostał tylko jeden czerwony, zbuntowany węglík i chłodna noc zaczęła wsączać się w moje kości.

Johnny wychylił się w bok i sięgnął na stolik po telefon, po drodze strącając pudełko po pizzy.

– Cholera – wymamrotał i pokazał mi ekran. – W pół do trzeciej. – Odpalił latarkę w komórce, żebyśmy cokolwiek widzieli, odłożył ją z powrotem na stolik i niezgrabnie zszedł z kanapy. – Straciłem poczucie czasu.

Gdy zebrałam się na własne nogi i patrzyłam, jak rozciąga nad głową swoje potężne ręce, a następnie bezwstydnie wsadza rękę do spodni, żeby „się poprawić”, poczułam się dotkliwie nieśmiała.

– Chcesz iść na górę? – zapytał, ziewając. – Mamy tam z pół tuzina wolnych pokoi. Pościelić ci gdzieś?

Nie, chcę zostać z tobą.

Skrępowana przestąpiłam z nogi na nogę.

– Nie trzeba.

– Chcesz zostać ze mną tu, na dole? – zapytał, ale nieco ostrzejszym tonem. – Joey leży u mnie, więc prześpię się na kanapie i...

– Z tobą – wyskrzecztałam, od razu kiwając głową. – Wolałabym zostać z tobą.

– Ale tylko spać – dodał z napięciem w głosie. – Okej?

– Okej.

– Okej. – Kiwnął głową jakby sam do siebie, po czym ściągnął jednocześnie bluzę i koszulkę.

Cieszyłam się, że jest ciemno, bo byłam pewna, że zarumieniłam się na ten widok.

Był tak piękny, że aż bolało.

Te wszystkie pięknie wyrzeźbione mięśnie...

– Nie chodzi mi nic po głowie, obiecuję – powiedział, zsuwając spodnie i wychodząc z nich. Stał przede mną w samych bokserkach, sterczały z przodu. – Ale nie mogę spać w ciuchach, bo

się ugotuję.

– O... okej... – Absolutnie nie zamierzałam narzekać. – Rozumiem.

Niczym przyspawana do podłogi patrzyłam, jak bierze telefon i koc, po czym gramoli się na kanapę, krzywiąc się z bólu przy każdym ruchu. W końcu udało mu się położyć na boku, z plecami opartymi o poduszki kanapy, przykrył się kocem do pasa.

– Idziesz? – zapytał, unosząc koc i poklepując ręką miejsce obok siebie.

Położyłam się niepewnie, opierając się o niego plecami.

Johnny wyłączył latarkę w telefonie, rzucił go na podłogę i otulił nas kocem.

– Spokojnie – wyszeptał, przyciągając mnie ręką, którą pode mnie wsunął. – Tylko śpimy. – Drugą ręką objął mnie od góry, zamykając mnie w ciasnym kokonie. – Nic ci nie grozi. – Musnął mnie wargami w tył głowy, a mnie przeszedł dreszcz. – Obiecuję.

Złapałam się obiema rękami za jego przedramię i po prostu trzymałam, chłonąc bliskość jego ciała. Jego siłę, zapach, dotyk, świst jego oddechu... Pożerałam każdą sekundę i zamykałam ją w kapsule czasu w moim umyśle obok innych podobnych skarbów i modliłam się, bym w przyszłości mogła dokładać tam kolejne takie chwile.

– Nie puszczaj, dobrze?

– Nie puszczę – obiecał, ściskając mnie mocniej.

Wiedziałam, że jutro czekają mnie kłopoty. W domu zastanę surowe twarze, będę wysłuchiwała żarliwych wykładów, ale tej nocy nie potrafiłam się tym przejmować.

Johnny wodził dłonią po moim boku, w dół i z powrotem w górę, bez końca, jego dotyk był lekki niczym piórko.

– Jakie to było uczucie? – zapytał, muskając wargami płatek mojego ucha. Jego palce zastygły na moim boku. – Tamtego dnia...

Doskonale wiedziałam, o co mu chodzi. O tamten dzień w kuchni.

– Uhm... – Zamknęłam oczy i przed udzieleniem odpowiedzi długo się namyślałam. – Poczułam się... oszukana.

– Oszukana?

Kiwnęłam lekko głową i złapałam się go mocniej.

– Tak, bo myślałam, że to już koniec, a nie byłam na niego gotowa.

– Koniec?

– Mojego życia.

Syknął przez zęby.

– To nie koniec, Shannon.

– Nie. – Zamknęłam oczy, walczyłam z falą smutku, bo w sercu wiedziałam, że myślimy o czymś zupełnie innym. – Nie koniec.

– Przykro mi, że cię to spotkało – wyszeptał. – Wiem, że gówno to znaczy i pewnie ktoś w twojej sytuacji nie mógłby usłyszeć niczego gorszego, ale naprawdę mi przykro. – Wtulił twarz w mój kark i szeptem dodał: – Kurewsko mi przykro, że trafili ci się tacy rodzice.

Zdradziecka łza spłynęła po policzku, a potem kolejna i jeszcze jedna.

– Myślałam wtedy o tobie – wyznałam i przygryzłam wargę tak mocno, że poczułam w ustach tak dobrze znany mi metaliczny smak.

– O mnie?

Skinęłam głową i wytarłam mokry od łez policzek o jego przedramię.

– Wiedziałam, co się ze mną dzieje, wiedziałam, że nie mogę tego powstrzymać, więc po prostu przywołałam najszcześniejsze wspomnienie i się go uchwyciłam.

– Które wspomnienie?

– Ty i ja... – wyszeptałam, drżąc. – To wszystko, co mówiłeś w szpitalu. I w innych sytuacjach. Stworzyłam cię w umyśle i skupiłam się na twojej twarzy. Wyobraziłam sobie twój głos i zatrzymałam cię... w głowie. Mówiłeś do mnie. Uspokajałeś. Dawałeś mi poczucie – słowa utknęły mi w gardle, musiałam wziąć głęboki wdech, żeby się uspokoić, nim wypowiedziałam ostatnie – bezpieczeństwa.

– Jezu, Shannon... – wydusił, ściskając mnie jeszcze mocniej. – Nigdy się nie dowiesz, jak bardzo żałuję, że mnie tam wtedy nie było.

Wtedy otuliła nas cisza, ale nie była krępująca czy napięta.

Była krzepiąca.

Mocno krzepiąca.

Johnny spokojnie przyswajał to, co powiedziałam. Nie bombardował mnie pytaniami. Po prostu *został* przy mnie, zadawał po jednym pytaniu, a potem dawał sobie czas, żeby przyswoić moje odpowiedzi, mnie zaś dawał go na to, żebyśmy mogła przyswajać własne życie.

– Pamiętam tylko ciągłe krzyki i strach przed bólem – odpowiedziałam kilka godzin później, gdy zapytał o moje dzieciństwo. Za oknami wstawał świt, zanurzając pokój w niepokojącej szarawej poświacie, ale my mieliśmy szeroko otwarte oczy. Światło, które uparcie przesączało się przez ogromne okna, pomagało mi dostrzec pęgi na jego przedramieniu, blizny na knykciach, blizny, które wydawały się pękać pod napięciem, musniętą słońcem skórą. – I to wiercenie w brzuchu, przerażenie... To uczucie znam najlepiej. Gdy akurat niczym się nie martwię, mam wrażenie, że coś ze mną nie gra. Źle się czuję, gdy czuję się dobrze. – Westchnęłam ciężko i skupiłam się na jego palcach. Były długie, miały szorstkie, zrogowaciałe końcówki i ciągle chciałam ich dotykać. – Jestem stale spięta, bez przerwy, czekam na jakiś smutek, bo do niego przywykłam... Zostałam zaprogramowana na smutek, na oczekiwanie smutku, na życie w smutku. – Skrzywiłam się, przeciągnęłam palcem po opuszkę jego kciuka i dodałam: – Cóż, przynajmniej tak mówią Patricia i Carmel.

– Patricia z opieki społecznej – stwierdził, przypominając sobie jej imię, bo pojawiła się w jednym z wcześniejszych pytań. Złapał moją dłoń, zaplótł nasze palce, przywracał mi równowagę. – A Carmel to...

– Szpitalna pani psycholog – dokończyłam, ocierając się nosem o jego rękę. – Ale rozmawiałam z nią tylko dwa razy i nie zamierzam wracać.

– Czemu nie? – Dłoń, którą wodził po mojej klatce piersiowej, zamarła.

– Bo mam niby zaufać osobie, której *placę*, żeby mnie słuchała? Która o piątej kończy robotę i ma w dupie mnie i braci? – Pokręciłam głową. – Nie ma szans.

Johnny westchnął, jego palce ruszyły w dalszą drogę. Odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

– Uważam, że powinnaś z kimś porozmawiać o tym, co się działo w tamtym domu.

– Właśnie to zrobiłam – wyszeptałam.

– Nie, Shan, nie ze mną – odparł smutno. – Z profesjonalistą, który ma możliwość wprowadzenia prawdziwych zmian do twojego życia.

– Nie ma sensu – szepnęłam.

– Według mnie jest.

– A według mnie się mylisz.

– A co z Joeyem? – zapytał, zmieniając temat.

Na chwilę mnie zmroziło, odwróciłam się twarzą do niego.

– Co powiedziałaś?

– Zapytałem, co z Joeyem? Kto mu pomaga? – zapytał, głaszcząc mnie kciukiem po policzku. – Mówiłaś, że maluchy mają opiekę psychologów i chodzą na terapię przez zabawę. Twoja mama chodzi na terapię pourazową i jakieś pierdolone kursy rodzicielstwa. Darren... zajmuje się swoimi sprawami, a twój zajebany tatuś zwiął. Ale co z Joeyem? Spotyka się z kimś? Jeśli tak, to trzeba się rozejrzeć za innym terapeutą, bo Joey ma na serio przejebane.

Co z Joeyem.

Zapytał o Joeya.

To trzy najbardziej wartościowe słowa, jakie mógł w tej chwili wypowiedzieć.

Podniosłam się na łokciu, odchyliłam lekko i pocałowałam go w usta.

– Dziękuję – wyszeptalam, odsuwając się, żeby na niego spojrzeć.

– Za co? – zdziwił się, marszcząc czoło.

– Za stawianie właściwych pytań.

– Eee, no to nie ma za co.

W mojej głowie nagle coś ożyło z trzaskiem, pytanie, które dręczyło mnie od wielu dni. Znowu położyłam się na boku i złapałam jego rękę, szukając odwagi, żeby je zadać.

– Mogę ci zadać jeszcze jedno pytanie? – Słyszałam drzenie we własnym głosie, ale zaparłam się, postanowiłam, że się nie wycofam.

– Jasne. – Usłyszałam jego ziewnięcie, poczułam na karku ciepło jego oddechu, gdy objął mnie mocniej, gdy wtulał się w moje plecy. – Dawaj.

Niech się dzieje...

– Dlaczego mnie lubisz?

Johnny stężał.

– Dlaczego... co?

– Mnie lubisz – powtórzyłam ledwie słyszalnie. – Dlaczego?

Musiałam wiedzieć. Nie chciałam, żeby myślał, że nie poradzę sobie bez pomocy innych albo, co gorsza, był ze mną z litości. Na samą myśl robiło mi się kwaśno w ustach.

– Czy to jakaś... – urwał, wysunął się spode mnie i usiadł. – Pytasz poważnie?

Przytaknęłam, wolałabym, żeby to był dowcip, chciałabym obrócić to w żart, ale nie mogłam, bo odpowiedź była dla mnie zbyt istotna.

– Tak. – Podkuliłam kolana pod brodę, zwróciłam się przodem do niego i powiedziałam: – Muszę wiedzieć.

– Ja cię nie tylko *lubię*, Shannon. Ja pierdolę – Johnny pokręcił głową, podrapał się po policzku i na mnie spojrział – przecież ja cię kocham.

Wstrzymałam oddech.

– Kochasz mnie?

Powoli kiwnął głową, patrząc na mnie swoimi niebieskimi oczami.

– W chuj bardzo.

– Naprawdę?

– Naprawdę – potwierdził. – I zapytałbym cię o zgodę na tę miłość, ale nie zapytałem nawet o własną.

– Och... – westchnęłam rozedrgana. – Okej.

Johnny uniósł brew.

– Okej?

– Po prostu... gdy wtedy to powiedziałaś, myślałam, że jesteś na haju – wypaliłam, zbliżając się do niego, aż dotknęłam kolanami jego nagich ud. – Nie wiedziałam, że mówiłaś poważnie.

– Bez dwóch zdań byłem wtedy na haju – przyznał, odwracając się do mnie przodem. – Ale z całą pewnością mówiłem poważnie.

– Mówiłeś poważnie? – Moje serce cwałowało jak szalone.

– Kocham cię – stwierdził bez ogródek, stawiając mój świat na głowie. – W czasie terazniejszym, teraz to mówię. Może nie powinienem... Może wszystko rozpierdalałem, mówiąc to, gdy tkwisz w samym środku tego całego syfu w rodzinie, ale taka jest prawda. – Wzruszył ramieniem. – Jestem *w tobie zakochany*. Wydaje mi się, że już od pewnego czasu... W chuj długiego, jeżeli mam być całkiem szczerzy. – Westchnął i niepewnie dodał: – I sram przez to ze strachu. Bardziej niż z powodu myśli, że nie załapię się do kadry U20. *Ciebie* boję się bardziej niż każdego rywala na boisku.

– Wow. – Wypuściłam powietrze z płuc. – Nie mogę uwierzyć, że to wszystko powiedziałeś.

– No, wiem. Chamstwo z mojej strony, co? – rzucił, a wyglądał, jakby go zemdliło.

– Ja też cię kocham – wypaliłam, porwana falą ciepła rozlewającą się po moim ciele. – W chuj bardzo – dorzuciłam, powtarzając jego słowa.

– Tak? – Jego uśmiech zapał mi dech, wyssał mi powietrze z płuc. – Serio?

Kiwnęłam uroczyście głową.

– Taka prawda.

Johnny, wciąż się uśmiechając, potrząsnął głową, jakby chciał oczyścić myśli, i powiedział:

– A wracając do wcześniejszego pytania, lubię cię, bo ty to ty, Shannon. Nigdy nie poznałem podobnej dziewczyny.

Zmarszczyłam nos.

– To znaczy równie popieprzonej.

– Nie. To znaczy równie życzliwej i troskliwej, i godnej zaufania, i lojalnej – wyliczał burkliwie. – I pięknej? Jezus Maria, jesteś tak kurewsko piękna, że aż trudno na ciebie nie patrzeć. W życiu nie widziałem nikogo podobnego.

Miałam wrażenie, że wtapiam się w kanapę.

– Johnny...

– Nie, nie, daj mi to z siebie wyrzucić, zanim zabraknie mi odwagi – wtrącił bardzo pośpiesznie, brzmiał jak zagubiony chłopiec.

Zamknęłam usta i kiwnęłam głową.

Johnny ponownie westchnął i zaczął mówić:

– To tak, jakbyś ty... mnie *widziała*, a ja ciebie. Boże, wydaje mi się, że już tamtego pierwszego dnia na boisku przejrzałaś mnie na wylot, bo wiem tyle, Shannon, że potem już nigdy nie byłem taki jak dawniej, do cholery. Masz w dupie rugby. Rugby cię nie ruszało i zwałało mnie to z kolan, bo to była dla mnie zupełna nowość. Nie przywykłem, że ktoś może mnie chcieć dla... cóż, dla mnie... A ty zechciałaś. I poświęciłaś czas, żeby naprawdę mnie zauważyć. Zobaczyć rzeczy, których nikt inny nie widzi... do których nie przyznaję się sam przed sobą. – Przeczesał włosy dłonią i przygarbił potężne ramiona. – I wystraszyłem się, Shannon. Cholernie bałem tego, co do ciebie poczułem. Dalej się boję. Sram przez ciebie ze strachu... Nie jestem jeszcze do końca pewien dlaczego, bo mówiąc zupełnie szczerze, nadal nie wiem, co tu się odwała. Łeb mam rozwalony na kawałki i wystrzeliło mnie tak daleko poza strefę komfortu, że aż słyszę trzask lodu, po którym stąпам, ale jestem pewien, że na świecie nie ma drugiego człowieka, przed którym *dobrowolnie* otworzyłbym się tak jak przed tobą. – Bezradnie wzruszył ramionami. – Jak teraz się otwieram.

– Johnny, ale ja... – Otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć, *cokolwiek*, ale odebrało mi mowę. Miałam wrażenie, że tonę w uczuciach. Wiedziałam, że tonę w nim. – Ja...

– I wiem, co sobie myślisz – dodał, brzmiał na poruszonego. – Myślisz sobie, że jestem przy tobie przez twojego tatę. Myślisz sobie, że się nad tobą lituję.

– Nie – wykrztusiłam z ogromnym trudem.

– Ty mała kłamczucho. – Nachylił się, ujął moją twarz w obie ręce, przycisnął swoje czoło do mojego. – Czytam z ciebie jak z otwartej książki.

– No... – przyznałam. – Trochę tak...

– Cóż, mylisz się – mówił dalej, owiewając mi twarz oddechem, aż kręciło mi się w głowie. – Chcę ciebie, bo przez ciebie mi, kurwa, odpierdala. I tak, nie będę kłamał: żal mi ciebie – dodał, ochryple. – Trzeba być gnojem bez serca, żeby się nad tobą nie zlitować, ale to nie ma nic wspólnego z powodami, dla których chcę z tobą być. Jestem przy tobie, bo cię potrzebuję.

Serce łomotało mi tak mocno, że bałam się, że zaraz wybuchnie.

– Potrzebujesz mnie?

– Myślisz, że jest na odwrót, ale to nieprawda – powiedział. – Ja też cię potrzebuję, bo uspokajasz mnie. Sprawiasz, że *dobrze się czuję*. Jakbym wcale nie musiał... – urwał, ewidentnie zastanawiał się, co dokładnie chce powiedzieć. – Jakbym był wystarczający taki, jaki jestem – przyznał w końcu. – Jakbym już wszedł na szczyt, a jeśli nie dostanę się do składu, to nic, nieważne.

– Bo *jesteś* wystarczający – wydyszałam, zarzucając mu ręce na szyję. – Taki, jaki jesteś, w tej chwili. – Desperacko chciałam go pocieszyć, zahaczyłam nogą o jego nogę i wlałam mu na kolana. Wiedziałam, że nie powinnam, bo nadal wracał do zdrowia, ale przestałam się kontrolować. – Jesteś taki dobry – powiedziałam, łapiąc go za włosy, żeby przyciągnąć bliżej. – Johnny Kavanaugh, *jesteś tak dobrym* człowiekiem, że nawet nie wiesz. Nie widzisz, że rugby ma niewiele wspólnego z twoją wyjątkowością. Ale ja widzę. Widzę i wiem.

– I widzisz? – Złapał mnie za biodra i westchnął ciężko. – Ty coś mówisz i ja ci wierzę.

– Bo to prawda – wykrztusiłam, głośno i szybko dysząc. – Ja po prostu... Boziu, nie masz pojęcia, jaki jesteś cudowny.

– Czego ode mnie potrzebujesz, Shannon? – zapytał ochryple głosem aż ciężkim od emocji. – Dam ci wszystko, czego ci trzeba, kochanie. – Pokręcił głową i jęknął jakby z bólu. – Po prostu... chcę, żebyś była szczęśliwa.

– Ciebie – wyszeptalam. – Ciebie całego.

– Ja już jestem twój – jęknął, a potem przykrył moje usta swoimi.

Serce łomotało mi w piersi, całe moje ciało mrowiło i pulsowało. Tylko on potrafił nasycić ten tkwiący głęboko we mnie głód. W gruncie rzeczy byłam niemal pewna, że nigdy nie nasycę pragnienia jego obecności. Zamknęłam oczy, złapałam się jego ramion i odwzajemniłam pocałunek, utonęłam w przetaczających się przeze mnie doznaniach.

Może i Darren miał rację i zadurzyłam się za mocno, ale miałam to totalnie gdzieś.

Całe moje wnętrze chciało teraz tylko Johnny'ego i nie widziałam niczego poza nim... Nie potrafiłam myśleć o niczym innym jak powódź uczuć do Johnny'ego. Nawet mój mózg, organ, który powinien namawiać do ostrożności, nawoływał, bym szła za lekkomyślnością serca. Bym rzuciła się cała w tego chłopca, z wiarą, że mnie nie zniszczy.

I poszłam na całość.

Rozdział 21

Łzy, groźby i czajniczki

Johnny

Wiedziałem, że mam kłopoty, jeszcze zanim podniosłem powieki.

Dowodził tego ton głosu matki, wrzeszczącej na całe gardło i ile sił w płucach.

– Johnathon Kavanagh! – Najpierw ciszę przeciął jej głos, zaraz po nim rozległ się stukot obcasów o płytki podłogi. – Lepiej natychmiast wyłaż z nory, w której się schowałeś, i mów, co tu się dzieje, do cholery!

Zdezorientowany i na wpół śpiący, zerwałem się do siadu i panicznie mrugając, próbowałem pojąć, co tu się odpiardala.

– Tu jesteś! – zawyła. – Po czorta śpisz w salonie?!

To ja jestem w salonie?

Podparłem się o kanapę, popatrzyłem na matkę, byłem kompletnie zbity z tropu.

– Ja, eee... – Ziewnąłem głośno, rozciągnąłem ramiona. – Że co?

– Wiesz może, dlaczego Marie Lynch z samego rana zostawiła ojcu na sekretarce wiadomość, że szuka córki?! – zapytała ostro, stając w drzwiach i biorąc się pod boki.

– Co? – zapytałem, drapiąc się po kłacie. – Że jaka Marie?

– Lynch! – warknęła. – Matka Shannon.

Cholerka.

– Nooo?! Czekam na wyjaśnienia, Johnny!

Malutka kulka ciepła przytulona do mojego boku zaczęła się wiercić i spod koca wyjrzały niebieskie jak niebo oczy.

Cholerka i jeszcze raz cholerka.

Zalała mnie fala wspomnień minionej nocy i od razu poczułem ciepło w kroczu.

– Cześć – powiedziała Shannon bezgłośnie, miała wytrzeszczone oczy, była przerażona, patrzyła na mnie, zaciskając koc w pięściach. – Pomóż.

Mama stała tak, że widziała tylko tył kanapy. Poczułem tak silną, choć przelotną ulgę, że prawie zapłakałem z wdzięczności.

– Co robić? – szepnęła ledwie dosłyszalnie Shannon. – Podnieść się?

Kurwa, nie!

– A uwierzyłabyś, gdybym powiedział, że nie wiem? – zawołałem do matki, zakrywając kocem głowę Shannon i niezdarnie przysuwając ją jak najbliżej siebie. Nagle przeszył mnie taki ból, jakby ktoś strzelił mi w kutasa, z najwyższym trudem powstrzymałem krzyk.

Leż, błagałem Shannon w myślach, wstając. Leż, kurwa, proszę cię.

– Ani trochę! – odparowała mama, śledząc mnie wzrokiem jak jastrząb ofiarę. – Czemu jesteś goły?!

Spojrzałem na bokserki i wzruszyłem ramionami, zgrywając nonszalancję.

– Nie jestem goły.

Zmrużyła oczy.

– W takim razie dlaczego wylegujesz się na mojej drogiej, skórzanej kanapie w samych majtkach?

– Majtkach? – zapytałem święcie oburzony. – Czy ja mam dziesięć lat?

– Nie, masz niespełna osiemnaście i jesteś prawie nagi – odparowała wściekle. – Do tego jest też dziewczyna, której nikt nie może znaleźć... Dziewczyna, którą szczególnie lubisz, a której matka dobija się na moją komórkę!

Podrapałem się po głowie ze świadomością, że mam totalnie przejebane, ale mimo to próbowałem się jakoś wywinąć.

– Chyba mówiłaś, że dzwoniła do taty.

– A twój ojciec dał jej *mój numer* – wycedziła, purpurowiejąc.

Słodki Jezu, ale mam przejebane.

– Przez całą drogę z Dublina wysłuchiwałam, jak to zasrane babsko grozi, że jeśli jej szesnastoletnia córeczka nie wróci zaraz do domu, to doniesie na ciebie na policję.

– Mamo, nie powinnaś rozmawiać przez telefon, gdy prowadzisz samochód. – Postanowiłem wetknąć kij w mrowisko. – Tak nie wolno.

– Zestaw słuchawkowy, Johnathon – odwarknęła. – Mów, wiesz, gdzie ona jest, czy nie?!

– Nie mam pojęcia – skłamałem. – Przykro mi.

– Jeżeli wiesz, musisz mi powiedzieć – dociekała, posyłając mi jedno z tych spojrzeń w stylu „przestań wciskać mi kit”.

– Błędę pojęcia – powtórzyłem. – Przykro mi.

– Johnny, wiesz co to jest uwiedzenie osoby nieletniej? – wrzasnęła, była naprawdę wściekła. – Bo Marie Lynch rzuca przez telefon tym hasłem jak obłąkana! I jeśli byłeś z Shannon... Jeśli kłamiesz i ona tu teraz jest, to czekają cię naprawdę wielkie kłopoty, kolego!

– Że co, *kurwa?!* – krzyknąłem. – Tak powiedziała? Mówisz poważnie?

– Owszem, tak powiedziała, i to nie pierwszy raz – odparła mama drżącym głosem. – Wyobrażasz sobie, jak takie oskarżenie może zaszkodzić przyszłości każdego chłopaka... A zwłaszcza komuś o twojej pozycji? – Wyrzuciła ręce w powietrze, żeby zaakcentować swoje racje. – Mógłbyś się pożegnać z karierą rugbysty, to na pewno!

– *Ja nic nie zrobiłem* – bąknąłem.

– Johnny, ona jest *nieletnia* – wycedziła matka. – Jej brat przysięgał, że wczoraj wyszła z tobą z domu, a tak się złożyło, że nie wróciła na noc – dodała, mordując mnie wzrokiem. – Ponoć ty w tej rodzinie jesteś dobry z matematyki, więc dodaj sobie dwa do dwóch!

Odwzajemniłem się jej ostrym spojrzeniem, też byłem wściekły.

– Czyli skoro jej brat twierdzi, że jest ze mną, to znaczy, że jestem gwałcicielem nieletnich?

– To znaczy, że jeśli Shannon nie pokaże się w domu, jej matka naśle gardę na nasz dom, a ty będziesz pierwszym podejrzanym...

– Pani Kavanagh, proszę nie pozwolić, żeby zadzwoniła na policję.

Spuściłem głowę.

Jebać. Moje. Życie.

Shannon wygrzebała się spod koca.

– Jestem tu – przyznała, dysząc nieco ciężiej niż zwykle i trzymając się za bok z grymasem bólu. – I tak bardzo przepraszam. Ja wiem, że nie powinno mnie tu być, ale... Ja nie chciałam... My nie chcieliśmy...

Matka rozdziawiła usta z przerażeniem.

– *Shannon?!*

– To nie tak, jak wygląda... – wtrąciłem szybko, żeby rozładować sytuację, o ile to było w ogóle jeszcze możliwe. – Zasnęliśmy przy filmie. Nic nie robiliśmy, mamó...

– Shannon... – wykrztusiła, ruszając w naszą stronę.

– Tylko spaliśmy – powtórzyłem, zasłaniając Shannon przed matką. – Spaliśmy. Nie dotknąłem jej. Przysięgam, że nie tknąłem jej nawet małym palcem...

– Zamknij się, Johnny! – wycodziła matka.

Zamknąłem usta i już tylko czujnie przyglądałem się podchodzącej do nas matce.

Mama na drżących nogach podeszła do kominka i oparła się ręką o gzyms. Drugą ręką zasłaniała usta, łzy napływały jej do oczu.

– Nic nie zrobiliśmy – powtórzyłem, marszcząc czoło. – I patrz... – Wskazałem na dzinsy i nieco potarmoszoną białą koszulkę bez rękawów Shannon. – Jest cała ubrana, więc wyluzuj, dobra?

I nie zabijaj mnie tak całkiem.

Mama pokręciła głową, podeszła do stolika kawowego i ciężko na niego opadła.

– O Boże... – wydusiła cierpiętniczo, ukrywając twarz w dłoniach. – Jezus Maria, Józefie Święty...

Dopiero po kilku chwilach zacząłem, co się, kurwa, dzieje i dlaczego matka nie wywleka mnie właśnie z pokoju za ucho... Dotarło do mnie, że widzi ją pierwszy raz od ataku. Tak, nazywałem to atakiem, bo to był, kurwa, atak. *Atak.*

Twarc Shannon wyglądała niczym mapa, na której lądy były oznaczone opuchlizną, a morza – siniakami. Matkę to zmieliło.

Dobrze, pomyślałem, postaw się na moim miejscu i powiedz, co sama byś zrobiła. Powiedz, jak zdołałabyś odstawić ją z powrotem do tego domu?

– Pani Kavanagh, tak bardzo przepraszam... – wydusiła Shannon, wiercąc się niespokojnie u mojego boku i machając rękami.

– Hej... – powiedziałem, łapiąc jej rękę i głaszcząc ją kciukiem. Bardzo chciałem ją uspokoić. – Cicho, już dobrze.

Shannon spojrzała na nasze złączone dłonie, a potem na mnie.

– Tak mi przykro, Johnny.

– Nie zrobiłaś nic złego – burknąłem.

– Po prostu... nie chciałem wracać wczoraj do domu – tłumaczyła, ciężko dysząc i co chwilę zerkając na moją matkę. – Pani Kavanagh, tak mi przykro, że narobiłam kłopotów. Nie chciałam pani denerwować.

– Nie jestem zdenerwowana na ciebie, słońce – odparła mama już nieco bardziej opanowana, po czym wstała. – Nie martw się.

– Już pójdę – rzuciła pośpiesznie Shannon. – Już, zaraz, obiecuję.

Mama westchnęła ciężko.

– Shannon, skarbie, nie musisz.

– Nie musi?

– Nie muszę?

– Napijmy się najpierw wszyscy herbaty. – Mama wytarła policzki wierzchem ręki i uśmiechnęła się ciepło do Shannon. – Potem to wszystko rozgryziemy, dobrze, skarbie?

– Tak... – Shannon wypuściła powietrze z płuc i skinęła głową. – Dobrze.

– A ty... – Mama odwróciła się do mnie. – Chowasz przede mną jeszcze jakieś niespodzianki? – W jej głosie pobrzmiwała delikatnie zadziorna nuta. – Nie ukrywasz w moim domu więcej dzieci

tej kobiety?

Pokręciłem niepewnie stopą.

– Może z jedno albo dwa...

Mama się zaśmiała.

Ja nie.

– Dzięki za wyrko, Kavanagh! – Z korytarza dobiegł do nas znajomy głos. Wybrał najgorszy możliwy moment, żeby wybudzić się z kamiennego snu. – Mogę pożyczyć bluzę?

Ja jebię.

Mamie oczy wyszły z orbit.

– A to kto?

– Aaa, w sumie to Joey – wymamrotałem, drapiąc się po brodzie.

– A kim jest Joey?

– Moim bratem – wyjaśniła cichutko Shannon.

– Johnathon, czy w moim domu jest więcej dzieci państwa Lynch?

– Nie – bąknąłem, unikając jej wzroku. – Zabrałem tylko tę dwójkę.

– Jezusie, Mario i Józefie na osiołku – zawyła mama, wypadając na korytarz. – I co ja mam z wami zrobić?!

– Jest wściekła? – zapytała Shannon, przypominając mi o swojej obecności. Miała wytrzeszczone oczy, lśniła w nich panika. Stała sztywno jak słup soli. – Będziesz miał przeze mnie kłopoty?

Pewnie tak.

– Nie – odpowiedziałem, pilnując łagodnego tonu. – Po prostu się martwi.

– A ty? – Przełknęła głośno ślinę. – Wściekły?

– Na ciebie? – Zmarszczyłem czoło.

Shannon kiwnęła głową, wyglądała na mocno przybitą.

– Nie, Shan – odparłem powoli i wyraźnie. – Nie jestem na ciebie wściekły.

– Nie pozwolę, żeby moja mama coś ci zrobiła – rzuciła żarliwie, łapiąc mnie za dłoń obiema rękami. Gdy mówiła, jej pierś mocno falowała, bałem się, że zaraz zwymiotuje albo dostanie ataku paniki. – Czymkolwiek grozi... Johnny, przyrzekam, że nie pozwolę, żeby narobiła ci kłopotów... Przyrzekam, że to naprawię... Tylko nie znenawidź mnie, proszę...

Nachyliłem się i pocałowałem ją, bo wiedziałem, że inaczej jej nie uspokoję.

Dośćownie zwiotczała w moich ramionach. Poczułem, jak uchodzi z niej napięcie, jak miękna jej kończyny.

– Nie boję się twojej matki – powiedziałem, opierając się czołem o jej czoło. – I nie potrafiłbym cię znenawidzić. – Musnąłem ustami jej wargi. – Za nic w świecie.

– Ale ona...

Pocałowałem ją ponownie, tym razem mocniej, akcentując swoje stanowisko językiem.

– Twoja mama może sobie gadać, co chce. – Wyprostowałem się jak struna, założyłem za ucho niesforny kosmyk jej włosów i położyłem dłonie na jej chudziutkich barkach. – Może sobie grozić, ile wlezie. Dla mnie to nic nie zmienia. – Westchnąłem na widok jej smutnej miny, ująłem jej twarz w dłonie i nachyliłem się bliżej. – Bo ja już nigdzie się nie wybieram.

– Naprawdę? – szepnęła, patrząc na mnie tymi osamotnionymi oczyma. Tak mocno wbijała palce w mój bok, że bałem się, że zostawi ślady. – Obiecujesz?

I oto prosiła o obietnice, których dotrzymania nie mogłem być pewien, ale i tak je złożyłem.

– Tak, Shan – wychrypiałem. – Obiecuję.

Nasze usta znów się zetknęły, otarły się o siebie delikatnie, i wtedy zrozumiałem, że jest po mnie. To był miękki, delikatny, niewinny pocałunek, który ważył całe życie, bo tym minimalnym kontaktem cielesnym uwolniła wszystkie moje hormony i znokautowała serce.

Wiedząc, że muszę to powstrzymać, póki jeszcze mogę, przerwałem pocałunek i ciężko dysząc, sięgnąłem po ubrania, bo uznałem, że bezpieczniej nie konfrontować się z jej bratem w samych majtkach.

– Chodź – powiedziałem i wyciągnąłem do niej rękę, gdy już się ubrałem. Delikatnie pociągnąłem ją za sobą z salonu do miejsca mojej kaźni... która właśnie szykowała się w kuchni. *Gdzie matka dysponowała bogatym asortymentem noży i przyborów kuchennych.*

Kurwa.

Gdy dotarliśmy pod półprzymkniętych drzwi, zamarłem, bo z pomieszczenia dochodził do nas szmer głosów.

– O Boże, on rozmawia z twoją mamą? – zapytała szeptem Shannon z wybałuszonymi oczami, gdy tylko usłyszała głos Joeya.

Cóż, przynajmniej nie krzyczał. Choć było mi szkoda brata Shannon, to jeśli zamierzał rozmawiać z moją mamą tak, jak wczoraj ze mną i z Gibsiem, nie wytrzymam. Mężczyzna musi mieć granice, których nikomu nie wolno przekraczać. Jedną z moich była mama. Nikt nie miał prawa z nią, kurwa, zadzierać.

Pchnąłem drzwi i wszedłem do kuchni, z Shannon trzymającą się mnie jak koła ratunkowego.

Od razu odszukałem wzrokiem Joeya, który opierał się o drzwi do składziku. Wyglądał na zaszczutego i wściekłego, a jednak przyglądał się mamie z niechętnym zaciekawieniem.

Był ewidentnie rozjebany, bo schodził z syfu, który wczoraj zażył, tymczasem mama podpierała pieprzone bułeczki i coś do niego mówiła.

Natomiast najbardziej wstrząsające było to, że on najwyraźniej jej słuchał.

Ściągnąłem brwi, przyjrzałem mu się uważnie. Jezu, on *na stop procent* jej słuchał.

Mama stała tyłem do drzwi, więc jeszcze nie zdawała sobie sprawy z obecności mojej i Shannon, i po prostu trajkotała. Z drugiej strony Joey tak mocno skupiał się na jej wywodzie, że nic innego dla niego nie istniało.

– Wiesz, skarbie, jestem pewna, że słyszałam o tym warsztacie – opowiadała mama, wsuwając do mikrofali całą tackę bułeczek. – Na pewno tam pojedę, gdy następnym razem będę potrzebowała mechanika.

– Naprawdę? – zapytał Joey cicho i niepewnie. Co chwilę drżał nerwowo i szarpał się za rękawy. – Nie musi pani.

– Ale chciałabym – odparła mama, wyciągając z szafki nad głową słoiki z różnymi dżemami. – Od dawna tam pracujesz?

– Odkąd skończyłem dwanaście albo trzynaście lat – wybełkotał, wierząc się niezręcznie i mierząc mamę czujnym wzrokiem. – A od trzech lat jestem zarejestrowanym pracownikiem.

Mama na chwilę zamarła, ale szybko się opanowała.

– Zacząłeś tak młodo?

Wzruszył obojętnie ramionami.

– Potrzebowałem pieniędzy.

– I lubisz to? – zapytała, sięgając po czajnik. – Mechanikę? Chciałbyś robić to dalej po skończeniu szkoły?

Tym razem wzruszył ramionami bardziej sztywno.

– Kasa jest niezła.

– Cóż, uważam, że jesteś bardzo obrotny, Joeyu Lynch – powiedziała z uznaniem mama, wrzucając do czajniczka kilka torebek herbaty. – Pracujesz tyle godzin po szkole – zalała czajniczek wrzątkiem – i chcesz się dalej uczyć – odstawiła czajnik i uśmiechnęła się do niego promiennie – powinieneś być z siebie dumny.

Joey zmarszczył czoło tak mocno, że wyglądał, jakby tłamsiła go potężna migrena.

– Dlaczego?

– Dlaczego co, skarbie? – zapytała mama życzliwie.

– Nic. – Znowu zaczął się wiercić, naciągnął rękawy na dłonie i od razu podciągnął je do łokci.
– Nieważne.

– Moim zdaniem ważne – sprzeciwiła się spokojnie. – Co chciałeś powiedzieć, skarbie? Słucham cię.

– Ja, eee... ja... – W tym momencie jego dzikie zielone oczy przeskoczyły na mnie, a zaraz później na Shannon. Na jego twarzy od razu pojawiła się ogromna ulga. – Wszystko gra, Shan? – zapytał chrapliwie, okazując pierwsze ludzkie uczucie, odkąd zebraliśmy go wczoraj z asfaltu. – Jak się masz? – Obserwowałem, jak na nią patrzy. Wodził wzrokiem po jej twarzy, w jego oczach wyrzuty mieszały się z bólem. – Wszystko dobrze?

– Cześć, Joe – odparła zduszonym od emocji głosem. Kiwnęła twierdząco głową i rzuciła: – A u ciebie?

– Wszystko świetnie – odpowiedział totalną bzdurą, bo chyba trudno byłoby czuć się mniej świetnie niż ten gość. – Kavanagh – powiedział, kiwając sztywno głową – jeszcze raz dzięki.

– Joey... – odparłem. – Drobiazg.

Czułem, że muszę coś zrobić, puściłem więc Shannon i ruszyłem w stronę mamy, zabierając po drodze bułeczki z mikrofal. – Pachną oszałamiająco, mammo.

Gdy szedłem do kuchennej wyspy, porwałem jedną z tacki i wcisnąłem sobie do ust, ignorując to, że poparzyłem sobie język. Bułeczki naprawdę świetnie pachniały, ale to nie dlatego prawie się zakrztusiłem, gdy wciskałem w siebie jedną z nich. Zżarłem ją, bo chciałem, żeby tych dwoje też coś, kurwa, zjadło.

– Johnny, maniery – zrugła mnie mama, po czym znacznie łagodniej powiedziała: – Joey, Shannon, usiądźcie i zjedźcie śniadanie.

Ani drgnęli.

Zerknąłem w niepewną twarz Shannon, potem popatrzyłem na jej brata i krew w moich żyłach zamieniła się we wrzącą lawę.

Jezu Chryste, co ci zjebani ludzie zrobili ze swoimi dziećmi?

Położyłem tackę na marmurowym blacie wyspy, wyciągnąłem spod niej taboret, usiadłem ostrożnie, poklepałem taboret obok i odliczyłem w myślach od pięciu.

Cztery, trzy, dwa, jeden...

Shannon podleciała do mnie jak spłoszony żreback i usiadła obok, tak jak liczyłem. Dopiero za trzecim razem wspięła się na taboret. Tym razem, gdy już nie byliśmy sami, nie posadziłem jej na taborecie z dwóch oczywistych powodów.

Po pierwsze, zważywszy na okoliczności, moja matka znosiła to wszystko znakomicie i nie chciałem nadwyręzać jej cierpliwości.

Po drugie, jej brat parzył na mnie, jakby nie był pewny, czy chce mi zaufać, czy mnie udusić.

Gdy Shannon w końcu się usadowiła, uśmiechnąłem się do niej półgębkiem. Zarumieniła się i wbiła wzrok w blat, napinając nerwowo ramiona.

Jezu, znowu była cała spięta.

Jakby zeszła noc się nie wydarzyła. Gdyby właśnie obok mnie nie siedziała, mógłbym pomyśleć, że sobie to wszystko wymyśliłem.

Joey dopiero po dobrej minucie wypuścił powietrze z płuc i podszedł do wyspy. Wysunął taboret obok siostry, usiadł i oparł łokcie o blat, co chwilę kręcąc głową i bębniąc nerwowo palcami.

Mama postawiła przed nami czajniczek, po czym wykonała kilka kursów do kredensu, z którego przyniosła nam filiżanki i talerzyki. Chwilę później wyspa przypominała hotelowy stolik nakryty do popołudniowej herbatki.

– A teraz zajądajcie – powiedziała zachęcająco i usiadła na taborecie naprzeciwko.

Ja nie potrzebowałem zachęty i z radością napchałem usta, zanurzając się w jedzeniu, którego nie mógłbym tknąć podczas treningów, ale Lynchowie nawet nie drgnęli.

– No już... – Mama popchnęła lekko tackę w ich stronę i uśmiechnęła się zachęcająco. – Obrażę się, jeśli nie spróbujecie chociaż po jednej.

Obserwowałem kątem oka, jak porozumiewają się bezgłośnie. Nie wypowiedzieli ani słowa, ale wiedziałem, że coś się między nimi dzieje.

I wtedy, jak zsynchronizowani, oboje sięgnęli po bułeczki.

Dzięki ci, Jezu.

Mama przyglądała się pochłaniającym bułeczki Lynchom zza brzegu kubka z kawą i w jej oczach zamigotała ulga. Spojrzała na mnie oczyma wzbierającymi łzami, odpowiedziałem jej spojrzeniem mówiącym: „wiem”.

Pokręciła ledwie zauważalnie głową, po czym uśmiechnęła się szeroko i wzięła się za to, co wychodziło jej najlepiej: gadanie i kombinowanie. Jej usta były prawdziwym darem, potrafiła prowadzić swobodną konwersację na każdy temat. Nie miałem, kurwa, pojęcia, co robiłem źle albo dlaczego akurat ten gen musiał mnie ominąć, niemniej patrzyłem ze szczerą wdzięcznością, jak mama prowadzi luźną gadkę z Lynchami.

Byłem wdzięczny, że tu jest.

Byłem wdzięczny, że nie wpadła w szal przez to, że przenocowałem w domu dziewczynę.

Byłem wdzięczny, że jest moją mamą.

– Johnny – powiedziała w końcu, chyba po godzinie pogaduszek o niczym. – Musimy się powoli zbierać. Za godzinę masz fizjoterapię, kochanie.

Serce spłynęło mi do dupska.

– Ja... – Spojrzałem na nią, a potem na Shannon. – Nie muszę dziś iść.

– Nie? – Brwi mamy wystrzeliły na sam szczyt czoła.

Zawahałem się na ułamek sekundy i tyle wystarczyło, by Shannon zerwała się z taboretu i obwieściła:

– Joey, powinniśmy już iść.

– No... – Joey potrząsnął głową i też wstał. – Powinniśmy.

– Wcale nie musicie – odpowiedziałem pośpiesznie, na samą myśl, że będę musiał pozwolić Shannon odejść, poczułem lekką panikę. – Nie muszę jechać na fizjoterapię. To nieważne. Nie umrę, jak raz opuszczę zabieg.

– Nie, musisz jechać – odpowiedziała mi Shannon. – A my musimy wracać do domu. – Zerknęła na brata. – Prawda?

Teraz to Joey się zawahał, stał na środku naszej kuchni i wyglądał, jakby toczył wewnętrzną walkę.

– Tak – odpowiedział w końcu bezbarwnym tonem. – Do domu.

– Zawiozę was – wtrąciła mama, a gdy otwierałem usta, żeby zaprotestować, uciszyła mnie, kręcąc głową.

Przeczesałem włosy, byłem zdenerwowany.

– Ale ja tylko...

– Kavanagh, jest super – stwierdził Joey i spojrzał na mnie wymownie. – Dość już zrobiłeś, stary.

Nie, wcale nie.

Zrobiłem zdecydowanie za mało.

Rozdział 22

Awantura Johnny

Wiedziałem, że nie powinienem tak mocno trzymać jej za rękę, ale nie mogłem się powstrzymać. Czułem się cholernie źle z tym, że ją tam odwozimy. Siedziałem z tyłu range rovera mamy, obok Shannon – Joey siedział z przodu – i zadreślałem się tym uczuciem. *Źle, źle, źle*. Gdy mama skręcała na dobrze mi znane samorządowe osiedle, tylko ta jedna myśl kołatała mi się w głowie.

Pot sływał mi na brwi, cały dosłownie wibrowałem od emocji. Bałem się, że zaraz wybuchnę, chciałem wrzeszczeć: „Nie wracajcie tam!”. Chciałem błagać mamę, żeby *coś* zrobiła. Żeby *to powstrzymała*.

Logika podpowiadała, żebym pojechał na fizjoterapię, ogarnął swoje gównno i trzymał się planu. Problem polegał na tym, że serce narzucało mi własny. Powinienem był myśleć o konsekwencjach, ale jakoś nie potrafiłem.

Ja pierdolę, ta rodzina mnie zniszczy.

Joey przez całą drogę milczał i siedział sztywno. Było jasne jak słońce, że powrót do domu to ostatnie, na co ma ochotę.

A jednak wracał.

Dla jej dobra.

Shannon skupiała się wyłącznie na naszych złączonych dłoniach. Położyła sobie moją rękę na kolanach i trzymała ją tak samo mocno jak ja jej.

Palcami wodziła po bliźnie na wierzchu mojej ręki, pamiętce po meczu sprzed lat. Bez przerwy jej dotykała, jeździła po niej w górę i w dół, aż miałem ochotę wyrwać rękę, bo nerwowość Shannon była tak namacalna, że zaczynała mnie wsysać. Włosy opadły jej na przód, przysłaniając ciemnymi kosmykami twarz, bo pochyliła lekko głowę, żeby też patrzeć na bliznę.

Kilka razy łapałem i powstrzymywałem jej dłoń, ale gdy tylko puszczałem, zaczynała od nowa. W końcu dałem za wygraną i pomyślałem: *Niech robi, co chce*.

Gdy mama zaparkowała rovera pod ich domem, Joey i Shannon nie poruszyli ani jednym mięśniem.

Mama zgasła silnik i głośno wzdychając, odpięła swój pas bezpieczeństwa.

– No dobra, moi drodzy – obwieściła głosem ciężkim od wysiłku, jakiego wymagało od niej przybranie wesołego tonu. – Wyskakujemy.

Chciałem na nią ryknąć, błagać, żeby zrobiła coś, czego – jak w duchu doskonale wiedziałem – zrobić nie powinna, bo na samą myśl, że już nie zobaczę się z Shannon, że nie będę wiedział, czy nic jej nie grozi, wzrastała we mnie panika i dostawałem szału.

– Dziękujemy za podwózkę, pani Kavanagh – powiedziała w końcu Shannon. Kiwnęła lekko głową, sama dla siebie, puściła mnie i sięgnęła do pasa. – I za bułeczki.

– Tak – dodał Joey cicho, otwierając drzwi. – Dziękujemy wam obojgu.

– Nie ma za co – wydusiła gardłowo mama. – Chodźcie, odprowadzę was do drzwi. Muszę pogawędzić z waszą mamą.

– Czekaj – wyrzuciłem, gdy mama i Joey wysiedli. Złapałem Shannon za rękę i wciągnąłem ją do środka. – Nie idź.

– Muszę – odpowiedziała, patrząc na mnie zdezorientowana z wytrzeszczonymi oczami.

– Nie – powtórzyłem. Wiedziałem, że proszę o niemożliwe, ale i tak prosiłem. Pokręciłem głową i stłumiłem ryk wściekłości. – Nie podoba mi się to.

– W porządku, Johnny – westchnęła cicho. – Wszystko dobrze.

Nie, nie, nie!

– Ale... – jęknąłem jak skazaniec, oparłem się na siedzeniu i próbowałem coś wymyślić, cokolwiek, byle to powstrzymać. Na próżno. – Jesteś pewna, że on nie wróci? – zapytałem w końcu, nie puszczając jej ręki. – Że jesteś bezpieczna? – Spojrzałem na nią. – Ja tego nie zniosę – powiedziałem łamiącym się głosem. – Nie zniosę tej niewiedzy.

– Będę... – Zamknęła usta, spojrzała na moją dłoń, a po chwili znów w moje oczy. – Będę bezpieczna.

Nie była pewna.

Kurwa, nie była pewna. I ja też nie.

Do jasnej cholery.

– Masz. – Wykopałem z kieszeni komórkę i jej ją podałem. – Weź ją.

– Co... co ty robisz? – Mrugnęła kilka razy, patrząc na leżący w jej dłoni telefon, i zapytała szeptem: – Czemu oddajesz mi swój telefon?

– Żebyś mogła do mnie zadzwonić.

– Ale to *twój* telefon – powiedziała, marszcząc brwi. – Jak niby mam...

– Ja zadzwonię, okej? – Serce waliło mi w piersi. – Załatwię sobie inny i zadzwonię.

Zaczęła kręcić głową.

– Nie, nie, nie, nie musisz tego dla mnie robić...

– Ty musisz to zrobić *dla mnie* – wszedłem jej w słowo. – Musisz wziąć mój telefon, Shannon – błagałem ją słowami i wzrokiem. *Proszę cię.*

– Dobrze, ale oddam ci go – powiedziała drżącym głosem. – Nie mogę go zatrzymać, Johnny.

– Okej, w porządku – odparłem z ogromną ulgą, bo komórka zniknęła właśnie w kieszeni jej wiszących dzinsów. – Jak wolisz, ale teraz ją weź.

– Jak pani śmie! – W powietrzu poniosło się echo kobiecego jazgotu. Shannon aż podskoczyła. – Gdzie moja córka?!

– Boże. – Shannon spojrzała na mnie spanikowana. – Johnny, tak mi przykro... – wydukała, po czym wyskoczyła z terenówki mamy.

Natychmiast odwróciłem się do okna i zobaczyłem, jak matka Shannon celuje palcem w twarz mojej.

Pani Lynch krzyczała, wydierała się na całe gardło. Stały na środku podwórka, a między nimi – Darren z uniesionymi rękoma. Joey opierał się o murek oddzielający ich podwórko od posesji sąsiadów i się nie ruszał.

– Musi się pani uspokoić – burknęła mama, choć i jej do spokoju było daleko. – Pani dzieci patrzą.

Dopiero wtedy zauważyłem, że przy ich werandce stoją trzy mniejsze wersje Joeeya i przyglądają się całej scenie bez cienia emocji.

– A pani okiełznać syna! – odparowała pani Lynch, cała się trzęsąc. – Najwyraźniej nie rozumie, co to znaczy „nie”!

– Co pani powiedziała! – syknęła mama, stawiając krok w jej stronę.

– Kurwa... – wymamrotałem, otwierając drzwi i wywlekając moje pokiereszowane dupsko z auta.

– Co ty wyprawiasz?! – Shannon biegła ścieżką kilka kroków przede mną. – Mamo! – krzyczała, skręcając na podwórko. Trzymała się za bok. – Mamo, przestań!

– Shannon! – załkała pani Lynch, łapiąc córkę w ramiona.

– Nie! – syknęła Shannon, wrywając się jej. – Nie dotykaj mnie!

Jej matka się wzdrygnęła.

– Jak mogłaś mi to zrobić? – zapytała, zawodząc. – Jak mogłaś nie wrócić na noc? – załkała głośno. – Mogłaś chociaż zadzwonić, żeby powiedzieć, gdzie jesteś?

– A miałam *chcieć* tu wracać?! – wydusiła Shannon, patrząc wściekle na matkę. – Zobacz! – Machnęła ręką. – Zobacz, co ty robisz!

– Martwiłam się o ciebie – powiedziała płaczliwie pani Lynch. – Byłam przerażona!

– U mnie było wszystko dobrze – odpowiedziała roztrzęsiona Shannon. – Lepiej niż dobrze, mamo. Byłam *bezpieczna*!

– Shannon, skarbie, spokojnie – powiedziała łagodnie moja mama, gładząc ją po ręce. – Nie męcz się, słoneczko.

– Za kogo się pani uważa, do cholery?! Przetrzyzymała pani w domu dwoje moich dzieci, i to bez mojej zgody! – darła się pani Lynch, czerwieniejąc na całej twarzy. – I niech się pani nie waży dotykać mojej córki... – dodała, wrywając Shannon poza zasięg mamy.

O nie.

Kurwa, o nie.

Mamo, nie rób tego.

Bądź ponad to...

– Może powinna pani skierować takie słowa do męża – odpyskowała mama zaciekle. – Gdy katował tę dziewczynkę!

Jezus Maria, powiedziała to...

– Jak pani śmie! – wyła pani Lynch. – Nie ma pani pojęcia, co przeszliśmy. Nie ma pani pojęcia, kurwa!

– Mamo, musisz się uspokoić – stwierdził spokojnie Darren. – A pani musi stąd jechać – zwrócił się do mojej mamy. – Natychmiast.

– Tak mi przykro – łkała głośno Shannon, zasłaniając twarz dłońmi. – Pani Kavanagh, tak bardzo, bardzo mi przykro...

– Nie waż się wchodzić na moją posesję! – syknęła pani Lynch, gdy chciałem wejść na podwórko. – Nie zbliżaj się.

– Spokojnie. – Podniosłem ręce jak jakiś pieprzony bandzior, ale mimo ostrzeżeń szedłem dalej, bo nie było już mowy, żebym zostawił matkę samą. – Nie wiem, co dokładnie pani sobie wyobraża, pani Lynch – dodałem ostrożnie – ale przysięgam, że tego nie zrobiłem.

– Mówiłam, że masz ją zostawić w spokoju – syczała na mnie. – Mówiłam, że masz się nie zbliżać, a ty co? Wywozisz moją szesnastoletnią córkę z domu i przetrzymujesz ją całą noc – dodała zjadliwie. – Mam ochotę zgłosić cię na policję.

– Zostaw go w spokoju – załkała Shannon, wstawiając się za mną. – Boże, Johnny, tak bardzo mi przykro.

– Nic nie zrobiłem – powiedziałem powoli, obejmując Shannon ramieniem, gdy rzuciła się w moją stronę.

– Tak mi przykro – powtarzała bez końca. – Johnny, tak mi przykro.

– Już dobrze – szepnąłem, obejmując ją mocniej. – O nic się nie martw.

Wypłakiwała się mój tors. Krwawiła płaczem. Wypuszczała z siebie ból i lęk, strach i przygnębienie, a ja chciałem ocalić ją przed tym wszystkim. Jej łzy spadły na mnie niczym ulewa, topiłem się w nich razem z nią i to właśnie w tym momencie poczułem zmianę. To „coś” przestało być urocze i niewinne, a stało się skomplikowane i... może wieczne.

Miałem kompletnie przejebane.

– „O nic się nie martw”? – zasyczała pani Lynch. – Ty będziesz się miał czym martwić, jeśli nie zostawisz mojej córki w spokoju.

– Nie chcę, żeby zostawiał mnie w spokoju! – krzyknęła, a raczej, kurwa, wrzasnęła na całe gardło Shannon. – *Kocham go!* – Głos się jej łamał. – *Kocham go, mammo!*

Przez chwilę tylko stałem i patrzyłem na nią zszokowany.

Znowu to powiedziała.

Na oczach całej rodziny powiedziała, że mnie kocha.

Cóż, jasna cholera...

– On cię wykorzystuje, Shannon! – zawyła pani Lynch. – Jak możesz tego nie widzieć?

Co dziwne, nie byłem nawet zły na jej matkę. W tej chwili wzbudzała we mnie jedynie litość. Czystą, kurwa, litość, bo wyglądało na to, że była naprawdę zniszczoną kobietą.

– Nie zrobiłbym tego, pani Lynch – powiedziałem, pilnując, by mówić spokojnie i pojednawczo. – Nigdy nie skrzywdziłbym pani córki.

– Oskarża pani o coś mojego syna? – spytała ostro mama. – Bo jeśli tak, to powiedz mi to w twarz, paniusiu!

Słodki Jezu...

– Mammo, daj już spokój – zawołałem.

– Nie, Johnathon, nie dam! – odparowała w furii. – Jeżeli chce cię o coś oskarżyć, to może powiedzieć mi to w twarz, do cholery!

– Johnny, musicie już jechać – powiedział Darren, patrząc mi w oczy. – Zabierz mamę i jedźcie.

– Jeżeli pani syn uprawiał seks z moją córką, to wykorzystał nieletnią – odparowała pani Lynch. – Shannon nie skończyła osiemnastu lat, więc zgodnie z prawem nie może zgodzić się na seks.

– Nie, to bzdura! – wrzasnęła Shannon, wyglądała na do cna upokorzoną. – Boże, mammo, musisz się zamknąć!

– Mammo, przestań – odezwał się Darren, również czerwieniejąc. – Przekraczasz granicę.

– Cholernie wielką granicę! – syknęła mama, aż wibrując ze złości.

– Jeżeli ustalę, że pani syn dotknął mojej córki, wsadzę go za kratki – wrzasnęła pani Lynch. – Niech sobie pani nie myśli, że jesteście ponad prawem, bo macie pieniądze, a pani mąż jest prawnikiem – dodała, pociągając nosem. – Jeżeli się dowiem, że wykorzystał moje dziecko, oskarżę go.

– Mammo! – wrzasnęła Shannon w tej samej chwili, w której rzuciłem się na moją mamę.

– Mammo, nie! – Szwy czy nie szwy, pomknąłem jak pocisk i w ostatniej chwili złapałem jej przecinającą już powietrze pięść. – Nie! – syknąłem, łapiąc ją w pól i odciągając. – Nie warto.

– Ty suko! – charczała mama, próbując mi się wyrwać. – Za kogo ty się uważasz, do cholery, że grozisz mojemu dziecku! – syczała, cały czas ze mną walcząc. – To dobry chłopak! Za dobry dla was! Przyjrzyj się swojej rodzinie, kurwa, bo jeżeli chcesz narobić kłopotów mojemu synowi, paniusiu, to dawaj, ale ja cię zniszczę! Słyszysz?! *Załatwię cię, Marie, i nie potrzebuję do tego ani męża, ani nikogo innego!*

– Tak mi przykro! – jęczała dalej Shannon, machając bezładnie rękoma. – Boże, Boże, tak mi przykro!

– Nic się nie stało! – zawołałem do niej, wyprowadzając wierzgającą i miotając przekleństwami matkę z ich podwórka. – To nie twoja wina!

– Johnny... – Jej głos się załamał i przeszedł w płacz. – Tak... tak... mi przykro...

Zatrzymałem się dopiero przy drzwiach rovera, otworzyłem je i wepchnąłem matkę za kierownicę.

– Dość! – warknąłem, dysząc z wycieńczenia. – Jezu Chryste, mam, ochłoń!

Mama, dysząc równie ciężko jak ja, wtopiła się w fotel kierowcy, trzęsąc się od stóp do głów.

– W porządku. – Kiwnęła sztywno głową i sięgnęła po pas. – Okej.

– Okej – powtórzyłem, wzdychając. Zatrzasnąłem drzwi, obszedłem terenówkę, bardzo kulejąc, bo przy każdym kroku ból palił moje ciało.

– Nie wracaj tu! – wrzeszczała za mną pani Lynch z podwórka. – Bo narobisz sobie kłopotów!

Pokręciłem głową z politowaniem, przełknąłem z milion „wypierdaj” i spojrzałem na tulącą się do Joeya Shannon.

– Shannon Lynch?! – zawołałem, ignorując resztę jej zjebanej rodziny. – Ja ciebie też Kocham!

Odkleiła głowę od piersi brata i pociągając nosem, spojrzała na mnie zaczerwienionymi, opuchniętymi oczami.

– Nad... nadal?

– Nadal! – potwierdziłem dziarsko. – W chuj bardzo!

Po tych słowa odwróciłem się i wsiadłem do auta, zanim mamę znowu opuściłyby zdrowe zmysły.

Rozdział 23

Pranie brudów Shannon

Miałam wrażenie, że stoję po pas w gruzach po burzy, który właśnie rozniosła w perzynę moje życie. Nie miałam pojęcia, jak dalej funkcjonować.

Wstrząśnięta próbowałam znaleźć jakiś sens w wydarzeniach z szesnastu lat mojego życia, ale ciągle dłużałam w ostatniej dobie.

Mama, Darren, Joey, Johnny, Gibsie, Claire, pani Kavanagh... ojciec.

Zawsze ojciec.

Wcześniej, w kuchni pani Kavanagh, wysiorbałam najbardziej niekomfortową herbatę w życiu, a siedzący obok mnie Joey, który wyglądał, jakby wyrzygało go piekło, patrzył tępo na talerzyk z bułeczką i śmietanką. Nie miałam pojęcia, co powiedzieć mamie Johnny'ego, tym bardziej że za każdym razem, gdy patrzyła na mnie lub Joeya, zbierało się jej na płacz.

Droga powrotna do domu była równie niezręczna, nieco tylko znośniejsza dzięki dotykowi Johnny'ego i dźwiękom swobodnej rozmowy pani Kavanagh i mojego brata. Joey był chyba tak wstrząśnięty faktem, że się nim zainteresowała, tak totalnie zaskoczony jej życzliwością, że gdy powiedziała, by wskakiwał do przodu range rovera, posłuchał bez słowa sprzeciwu.

W życiu bym się nie domyśliła, że ta kobieta posiadała dar wydobywania słów z mojego brata, bo gdy zadawała pytanie, on posłusznie odpowiadał. Mówiła spokojnym tonem i ani razu nie zapytała o ojca, trzymała się bezpieczniejszych tematów: szkoła, hurling, jego dziewczyna. Joey udzielał jej szczerych, nienerwowych odpowiedzi, co zupełnie do niego nie pasowało.

Jednak radość, że wracałam do domu z bratem, została szybko zdeptana przez awanturę, która wybuchła, gdy tylko przyjechaliśmy. Spodziewałam się cywilizowanej rozmowy dwóch matek, ale moje marzenia poszły w diabły, kiedy moja matka posunęła się do obraźliwych sugestii, jakoby Johnny w jakiś sposób mnie wykorzystał.

Jeszcze nigdy nie widziałam, by jakiejś kobiecie nerwy puściły tak szybko jak pani Kavanagh.

Wystarczyły dwa słowa i mama Johnny'ego wystrzeliła jak zużyta uszczelka.

Widok zazwyczaj łagodnej kobiety zamieniającej się w niedźwiedzicę broniącą młodych w trybie najwyższej agresji porządnie mną wstrząsnął.

Nigdy nie widziałam, żeby kobieta tak zaciekle broniła dziecka.

Żadne z nas nie widziało...

Nawet Darren, który miał talent do zażegnania sporów, nie potrafił uspokoić obu matek, gdy na podwórku przed naszym domem rozpętało się istne piekło, a wszystko na oczach moich młodszych braci. Johnny musiał dosłownie wytargać mamę spod naszych drzwi, bo inaczej doszłoby do rękoczynów.

Padły straszne słowa, praliśmy publicznie brudy, a Joey przez cały ten czas opierał się o murek ze skrzyżowanymi na piersiach rękami. Chłonał to wszystko bez słowa i nawet nie drgnął, żeby jakoś przerwać to przedstawienie.

Gniew wzbierający w moim ciele nawet teraz, po wielu godzinach, był dla mnie uczuciem zarówno obcym, jak i dominującym.

Jeszcze nigdy nie byłam tak *wściekła*.

Stosunek z nieletnią. Te trzy słowa wirowały w mojej głowie tak szybko, że z trudem funkcjonowałam.

Jak mogła tak powiedzieć?

Jak moja matka w ogóle mogła o tym *pomyśleć*?

Byłam tak strasznie zawstydzona, rozerwana tym wszystkim.

Shannon Lynch?! Ja ciebie też kocham!

Serce zabębniło wściekle o żebra i pękłam.

– Jak mogłaś mi to zrobić? – zapytałam setny raz, patrząc wściekle na matkę, która siedziała przy kuchennym stole z obowiązkowym papierosem, który kiwał się między jej kościstymi palcami.

Nie odpowiadała.

Od godziny nie odpowiedziała na ani jedno moje pytanie, ale nie mogłam jej odpuścić.

Nie mogłam po prostu odejść.

Nie tym razem.

– *Dlaczego, mammo?* – syknęłam, a po moich policzkach pociekły łzy. – Aż tak mnie nienawidzisz?

Przeszedł ją dreszcz, jej wątłe ramiona gwałtownie podskoczyły. Zdusiła niedopałek w popielniczce i odpaliła następnego papierosa.

– Odpowiadaj! – wrzasnęłam. Miałam ochotę złapać ją nad stołem i nią potrząsnąć. – Chociaż tyle jesteś mi winna, do cholery!

– Shannon, on nie jest dla ciebie bezpieczny. – Tyle powiedziała, a raczej wyszeptała.

– Odbija ci – wykrztusiłam, kręcąc głową z przerażeniem. – Tracisz zaszary rozum!

– Postąpiłam słusznie. Postąpiłam słusznie – szeptała pod nosem, a między słowami zaciągała się papierosem. – Ochroniłam cię.

– On *nie jest* moim problemem – cedziłam z trudem. – Johnny to dobry człowiek. – Potężny szloch rozerwał mi krtań, zaczęłam ciężko oddychać. Miałam w sobie tyle bólu i złości, że w nich tonęłam. – A ty go odstraszyłaś. Odebrałaś mi jedyną dobrą rzecz w moim życiu. – Pociągając nosem, wytarłam wściekle łzy. Byłam zła na siebie, zła na matkę, na cały cholerny świat. – Już nigdy się do mnie nie odezwie – wykrztusiłam, wyczuwając atak paniki tuż za rogiem. – Wszystko zniszczyłaś!

– Nie. – Pokręciła głową. – Postąpiłam słusznie, jeszcze zobaczysz.

– Mammo – wtrącił się siedzący naprzeciwko niej Darren. – Zachowujesz się nieracjonalnie.

– To oczywiste – rzuciłam, wymierzając w nią oskarżycielski palec. – Bo wie, że się myli.

– Nie myślę się – wyszeptała roztrzęsiony wargami. – Jest taki sam jak twój ojciec.

– Mammo! – warknął Darren. – Nie mów tak.

– Tak właśnie jest – szepnęła, po czym strzepała popiół do popielniczki i znów się zaciągnęła. – Będzie taki sam.

– Przestań! – wrzasnęłam. – Przestań go tak krzywdzić.

– Będziesz się cieszyć, że to powstrzymałam – szeptała. – Powstrzymałam cię przed moimi błędami.

– Mylisz się – syknęłam, mrugając, żeby powstrzymać gorące łzy. – Kłamiesz, kurwa, i *nienawidzę cię!*

– Shannon, wystarczy.

– Nie wystarczy! – Cofnęłam się, żeby się trochę od niej odsunąć, bo szczerze mówiąc, bałam się, że tracę panowanie nad własnym ciałem. – Joey miał rację. Ty nam szkodzisz.

– Daj spokój, Shannon – jęknął Darren, drapiąc się po szczęce. – Wrzaski i wyzwiska nikomu nie pomogą...

– To przestań tak siedzieć i *zrób coś* – błagałam, trzęsąc się jak w jakichś konwulsjach. – Wiesz, że mnie krzywdzi. – Przytknęłam się łkaniem. – Wiesz, że zachowała się *okropnie*, ale po prostu jej na to pozwalasz.

– Nie, wcale nie – odparł. – Wie, że źle się zachowała, prawda, mammo?

Cisza.

– Mammo – powtórzył Darren nieco ostrzej. – Powiedz Shannon, że wiesz.

Nic.

– Mammo! – warknął i tym razem głos mu zadrżał. – Odpowiadaj nam.

– Nie trudźcie się. – Kamienną ciszę przeciął głos Joeya. Odwróciłam się gwałtownie i zobaczyłam, że przygląda się sytuacji spokojnie oparty o futrynę drzwi. – Ona was nie słyszy – stwierdził wypranym z emocji tonem. – Bo jest złamana. – Spojrzał Darrenowi prosto w oczy i dodał: – Ty też niedługo się o tym przekonasz.

– Joe. – Ruszyłam do niego zapłakana, zatrzymałam się dopiero, gdy zakopałam twarz w jego piersi. W piersi pachnącej Johnnym, bo nadal miał na sobie jego bluzę. – Zakończ to jakoś.

– Tego chciałeś, Darren – mówił zupełnie spokojnie, obejmując moje ramiona. – Chciałeś, żeby została z nami w domu. Wielka szczęśliwa rodzinka. – Przechylił głowę na bok, wskazał na matkę i powiedział: – Mam nadzieję, że zaspokoiliś własne oczekiwania.

Spodziewałam się, że może Darren zacznie się bronić, ale nic nie powiedział. Nie odezwał się ani słowem.

Zamiast tego po prostu patrzył na matkę – ta z kolei wgapiła się w zabrudzony kawą kubek – i ciężko westchnął. W końcu odsunął krzesło, wstał i wyszedł z kuchni, nie rzucając nawet jednego spojrzenia za siebie.

Kilka sekund później usłyszeliśmy trzask frontowych drzwi.

Wyrzuciłam ręce przed siebie i zaśmiałam się sucho.

– Nie wiem, czemu ja się wciąż temu dziwię.

Joey westchnął, puścił mnie i wszedł do kuchni, podszedł prosto do kuchenki. Obserwowałam w ciszy, jak zabiera się do pracy, jak wypełnia garnek wodą, jak wsypuje do niej paczkę makaronu. Odstawił garnek na gaz, włączył płomień i uruchomił wentylator w okapie.

Gdy skończył, wytarł ręce w leżącą na suszarce na naczynia ścierkę i odwrócił się do matki.

– Wstawaj i idź pod prysznic – rozkazał jej bez emocji. – Muszę nakarmić chłopców, a nie będą cię oglądali w takim stanie.

Wzdrygnęła się, ale nie wstała.

Na przestrzeni lat widziałam ten scenariusz z milion razy. Joey podszedł do stołu, wyrwał jej papierosa z ust i zdusił go w popielniczce. Następnie odniósł popielniczkę i kubek po kawie na suszarkę i znów się do niej zwrócił:

– Wstawaj – powtórzył. – Śmierdzisz dymem i cydrem.

Mama schowała głowę w dłoniach i się rozpłakała.

– Wstawaj – powiedział trzeci raz.

Ale ona dalej nie wstawała. Zamiast tego nagle złapała go za rękę, ścisnęła ją z całych sił.

– Joey – załkała, ciągnąc go za rękę. – Joey.

Joey westchnął z rezygnacją, schylił się i łagodnie pomógł jej wstać. Gdy opierała się na jego sztywnym ciele, pociągając nosem i wypłakując się w jego pierś, przez twarz mojego brata przetaczały się tysiące różnych emocji.

– Miej na oku kolację, Shan – rzucił tylko, wyprowadzając matkę z kuchni i prowadząc dalej po starych, drewnianych schodach.

I oto jesteśmy znowu w punkcie wyjścia, pomyślałam.

Potrzebowałam kilku minut, żeby dojść do siebie. Wytarłam oczy, wydmuchałam nos, a potem odlałam makaron, zalałam go sosem ze słoika, wymieszałam i zawołałam siedzących w salonie chłopców.

– Kolacja.

Ollie i Sean bez słowa przyczłapali do stołu i usiedli na swoich miejscach. Nałożyłam im makaronu, postawiłam przed nimi talerze, dałam każdemu po szklance wody.

Zaczekałam, aż zaczną jeść, po czym spojrzałam na Tadhga, który sterczał przy lodówce ze skrzyżowanymi na piersi rękami.

– Jesteś głodny? – zapytałam, podsuwając mu talerz.

Przez dłuższą chwilę patrzył wściekle na makaron, po czym odwrócił się i sobie poszedł.

Jego milczenie było bardzo wymowne i odzwierciedlało moje uczucia. Wiedziałam, że jest wściekły, tak jak ja, ale on się hamował, bo nasz dom odzyskał coś, co desperacko chcieliśmy zatrzymać.

Nie byłam ani trochę głodna. Usiadłam na krześle zwolnionym przez matkę, czekałam, aż chłopcy skończą, potem posprzątałam stół i zmyłam naczynia.

Otępiła wróciłam do starego wzorca, zgodnie z którym toczyło się moje życie, krzątałam się za chłopcami, pomogłam Seanowi przebrać się do snu. Joey przez cały ten czas użerał się z matką na piętrze.

Złapałam się na tym, że ciągle sprawdzam frontowe i tylne drzwi – czy na pewno są zamknięte, a gdy przed domem przejeżdżał jakiś samochód, panikowałam.

Oddychaj, Shannon.

Nic ci nie jest.

Wszystko będzie dobrze.

Joey wrócił do kuchni trochę ponad godzinę później.

– Śpi – powiedział, idąc po talerz, który mu odłożyłam. – Dałam jej dwie tabletki tego jej valium.

Kiwnęłam głową, zamknęłam w dłoniach kubek z herbatą i podmuchałam. Ani na moment nie oderwałam oczu od brata podgrzewającego sobie jedzenie w mikrofalówce.

Usiadł ze mną przy stole, zjedliśmy bez słowa.

– Wszystko dobrze? – zapytałam w końcu.

– Nie – odpowiedział cicho, odkładając widelec na pusty talerz. – A u ciebie?

– Nie.

Podniósł na mnie wzrok.

– Będzie dobrze, Shan.

– Z czym? – zapytałam szeptem.

– Z Kavanaghem – odparł.

Westchnęłam ciężko i pokręciłam głową.

– Nie, nie będzie.

Joey oparł łokcie o stół i stukał palcami o palce.

– Aoife jest na mnie wkurzona.
Poderwałam głowę.
– Od kiedy?
Wbił wzrok we własne dłonie.
– Odkąd wszystko spierdoliłem.
Ścisnęło mnie w dołku.
Idź do diabła, Shanie Hollandzie...
– Kocha cię – powiedziałam, sięgając po jego dłoń. – Wybaczy ci, Joe, dogadacie się.
Pokręcił głową.
– Może nie chcę, żeby mi wybaczała.
– Co ty mówisz? – zdziwiłam się.
– Mówię, że jestem zajebaną chodzącą katastrofą, Shannon. – Odgarnął włosy do tyłu obiema dłońmi i wypuścił powietrze z płuc, był przybity. – Zasługuje na kogoś lepszego.
– Zerwaliście?
Zaprzeczył powolnym ruchem głowy.
– Nie.
– Więc jest okej... – powiedziałam, rozpaczliwie próbując go pocieszyć. – Będzie dobrze.
Joey wzruszył ramionami.
– Po prostu... nie chcę, żeby musiała patrzeć, jak zamieniam się w nie...
Nie dokończył, bo rozległ się jakiś hałas, zaskoczeni oboje poderwaliśmy głowy.
Zdziwiona poklepałam się po nodze, w której coś wibrowało, i dopiero wtedy sobie przypomniałam.
Komórka.
Roztrzęsiona wyciągnęłam ją z kieszeni i spojrzałam na wyświetlacz. SMS od „Mamy”.
– Czyja? – zapytał Joey, ściągając brwi.
– Johnny’ego – wyszeptalam, patrząc na drogi sprzęt w mojej dłoni. – Dał mi. – Podniosłam wzrok na brata. – Przyszła wiadomość od jego matki.
– Przeczytaj.
– Co takiego? – zdumiałam się. – Nie mogę.
Przewrócił oczami.
– Przecież to na pewno on.
– Naprawdę?
Joey spojrzał na mnie jak na głupią.
– Shannon, przeczytaj, do kurwy nędzy.
Z rozszalałym sercem kliknęłam w wiadomość.
W chuj bardzo :*
– Masz rację. – Wypuściłam wstrzymywane powietrze z płuc. – To on.
– Mówiłem – odparł Joey. – On cię nie odpuści.
– A ty? – zapytałam, spoglądając na brata. – Odupisz Aoife?
Jego oczy zaszyły mgłą poczucia winy, ale nie odpowiedział.
A jego milczenie, tak jak w przypadku Tadhga, mówiło więcej niż słowa.

Rozdział 24

Wyciągamy jaja Johnny

– Rozepnij spodnie.

Przestałem już liczyć, jak często w ostatnich miesiącach słyszałem te dwa słowa. Zsunąłem się z łóżka, zrzuciłem buty, a potem rozpiąłem zamek w szarych szkolnych spodniach i ściągnąłem je z tyłka.

– Bielizna też.

Zacisnąłem zęby, ale wypełniłem polecenie – pozbyłem się bokserek i stanąłem na środku pomieszczenia z gołymi jajami.

– Wspaniale, Johnny – orzekła doktor Quirke, poprawiając okulary na nosie. – A teraz wróc, proszę, na łóżko i połóż się na plecach.

Zostawiłem godność za drzwiami, stłumiłem więc jęk niezadowolenia i zległem na plecy.

Przeszło mi przez myśl, czy nie zakryć oczu, dopóki nie będzie po wszystkim, ale uznałem, że to zły pomysł. Skoro będą mi tam majstrować, to przecież muszę widzieć, co się dzieje, do jasnej cholery.

– Bardzo ładnie – stwierdziła lekarka. W sumie miły komplement, ale musiałem pamiętać, że padł z ust sześćdziesięcioletniej kobiety ujmującej właśnie moje jaja w dłoń w gumowej rękawiczce, więc nie było się czym ekscytować. – Oba zestawy szwów się rozpuściły i wygląda na to, że wszystko pięknie się goi.

„Pięknie”?

Parsknąłem, no bo jak miałem, kurwa, inaczej zareagować? W obecnym położeniu mogłem tylko się śmiać albo, kurwa, płakać. Staruszka macała mnie po worze, a dwie równie sędziwe pielęgniarki stały nade mną i posyłały mi pocieszające uśmiechy. Jedna uniosła nawet kciuki.

Jezus Maria.

Trafiłem do jakiejś pierdolonej strefy grozy.

Gdy lekarka kazała mi się przekręcić na bok i podkurczyć nogi, zamknąłem oczy, bo doskonale wiedziałem, co się święci. Wiedziałem też, że najpewniej już nigdy nie odzyskam godności.

– Wszystko wygląda dobrze – stwierdziła doktor Quirke, gdy byłem już w pełni ubrany i usiadłem naprzeciwko niej. – Ale muszę zapytać... – Ściągnęła okulary i zaczęła nimi bezsensownie kręcić. – Po co tak ryzykowałeś, Johnny?

Wzruszyłem ramionami, czułem się niekomfortowo.

– Nie wiem. – Bałem się, że stracę miejsce, że mnie skreślą. Odkąd w wieku piętnastu lat wstąpiłem do Akademii, widziałem dziesiątki chłopaków, których to spotykało. Widziałem, co się działo z tymi, którzy nie dowozili, ale widziałem też, co spotykało tych, którzy dowozili, a później byli skreślanii przez kontuzje. Ich los był do dupy i urabiałem się, żeby nigdy go nie podzielić. Dlatego próbowałem grać mimo kontuzji. Rozpaczliwie chciałem wszystkim zaimponować, bałem się, że o mnie zapomną i skupią się na innych graczach. Myśl, że jakiś młodszy typek ze zdrowymi pachwinami zajmie moje miejsce w składzie, nie dawała mi spać po nocach. – Nie zastanawiałem się – odparłem w końcu. – Po prostu to zrobiłem.

– Cóż... – westchnęła. – Zalecam jeszcze siedem dni o jednej kuli, nie o dwóch, i proszę się jeszcze przez tydzień wstrzymać od kierowania samochodem.

– A treningi? – zapytałem, wiedząc, że szanse są marne. – Jak z treningami?

– Hmm. – Doktor Quirke spuściła wzrok na leżące przed nią notatki, przewertowała kilka kartek, co chwilę cmokała językiem. – Te sesje fizjoterapeutyczne, na które chodzisz... – zaczęła z zadumą, przyglądając się dłużej jednej pozycji w mojej kartotece. – Przepracowałeś cały tydzień, tak? Jak ci tam idzie?

– To bezproduktywne – wycedziłem i od razu zacisnąłem zęby. – Mogę robić więcej, *jestem gotowy* na więcej, ale mnie tam nie dociskają.

– I pływasz co drugi dzień? – pytała dalej, ignorując moją odpowiedź. – Na hydroterapii w basenie?

– Owszem – odparłem, bębniąc palcami o podłokietnik. – Ale potrzebuję *więcej*.

– Potrzebujesz nieśpiesznego powrotu do zdrowia – poprawiła mnie. – Spokojny i konsekwentny zawodnik zawsze wygrywa. – Złapała długopis i wpisała mi coś do papierów. – Środki przeciwbólowe?

– Zbędne – burknąłem. – Nic mi nie jest.

– Rozumiem – odparła, choć gówno rozumiała. – Rozciągasz się i ćwiczysz w domu? Przestrzegasz wszystkich zaleceń?

Sfrustrowany wypuściłem powietrze z płuc i spróbowałem innego podejścia.

– Proszę posłuchać, pani doktor, będę z panią szczerą. W lecie czeka mnie ważna trasa międzynarodowa... *Muszę* być na nią zdrowy. Więc robię wszystko, o co pani prosiła. Chodzę na fizjoterapię. Odpoczywam. Wszystko, do cholery, więc musi mi pani trochę odpuścić. Jestem zdrowy, silny – oparłem łokcie na biurku i błagałem wzrokiem, żeby się nade mną zlitowała – i nie mogę czekać z powrotem na boisko *kolejny miesiąc*.

– Zdajesz sobie sprawę, jak kolosalnym obciążeniem dla organizmu była operacja dolnych partii twojego ciała? – zapytała, mrugając na mnie znad czarnych oprawek okularów. – Twoje ciało potrzebuje czasu. Twoje mięśnie i ścięgna potrzebują czasu...

– No to jeszcze dwa tygodnie, a potem proszę pozwolić mi wrócić – wszedłem jej w słowo. – Dam radę. Wytrzymam jeszcze dwa tygodnie, ale musi mi pani trochę pomóc. Pani doktor, *muszę* wrócić na boisko...

– Johnny, nie słuchasz – przerwała mi ostro. – Kurujesz się po dwóch operacjach, w dwóch odrębnych obszarach twojego organizmu. Musisz być *cierpliwy*.

– Nie mam czasu na *cierpliwość* – odparowałem przez zęby. – Czemu tak trudno wszystkim to pojąć?

– Rozumiem, że palisz się do gry, ale musisz przedsięwziąć wszelkie środki ostro...

– On o tym wie, pani doktor – wtrącił ojciec, który przez cały czas siedział sobie na krześle w rogu pokoju. – *Cierpliwość* jest cnotą. – Oderwał wzrok od sterty papierzysk, w których dłubał, i przeniósł go na mnie. – Prawda, Johnny?

Spojrzałem na niego wściekle, przekazałem mu spojrzeniem, gdzie mam wszystkie jego cnoty. Byłem na niego wkurzony i nie miałem ochoty na jego poranne pogadanki. Wiedział o tym, a i tak mnie prowokował. *Cudownie*.

– Trzymaj się programu – powiedziała doktor Quirke z uśmiechem – a raz, dwa wrócisz na boisko.

– Pociuszające... – burknąłem. – Szkoda, że ja nie mam żadnego „raz, dwa”.

– Jeszcze cztery tygodnie – stwierdziła filozoficznie. – A cóż to jest wobec wieczności.

– Nic, tylko moja przyszłość – mruknąłem, uznawszy własną klęskę.
– Cóż, w takim razie chyba skończyliśmy. – Złączyła dłonie i uśmiechnęła się szeroko. – Widzimy się za tydzień.

– Nie mogę się doczekać – przeciągnąłem sarkastycznie ostatnie słowo, po czym odwróciłem się do ojca. – Możemy jechać?

– Jeszcze raz dziękujemy, że zechciała pani przyjąć nas wcześniej niż zwykle, pani doktor – powiedział, chowając swoje papiery do aktówki. – Dziś kończy ferie wielkanocne i nie może się doczekać powrotu do szkoły – opowiadał wesołym tonem. – Wygląda na to, że matka zakorzeniła w nim nadmierną ambicję.

– Żaden problem, panie Kavanagh – odparła i uśmiechnęła się porozumiewawczo do ojca. – Johnny, jak zawsze miło było cię widzieć, ale na pewno masz niecierpiące zwłoki spotkania w szkole.

– Oj, na pewno – zawtórował jej ojciec z krzywym uśmiechem.

Jezus Maria.

Wstałem sztywno i ruszyłem do drzwi, bo miałem ich po dziurki w cholernym nosie, lecz wtedy lekarka zawołała:

– Och, zanim zapomnę... Johnny, ejakulacje powinny być w porządku.

Co, do chuja?

Odwróciłem się jak rażony prądem i rozdziawiłem usta.

– Jeszcze raz?

Doktorka prychnęła... Naprawdę na mnie prychnęła... A potem kilkakrotnie odkaszlnęła.

Czy ona się ze mnie nabijała?

Wyglądała, jakby miała na to ochotę.

– Ból, którego doświadczałeś, nie powinien już stanowić problemu – powiedziała, uśmiechając się pocieszająco. – Możesz działać.

– Eee... – Podrapałem się po głowie, nie wiedziałem, jak przełknąć kolejne upokorzenie, które mi zaserwowała. – To... no, eee... dzięki?

– Słyszałeś, synu? – zaśmiał się ojciec, waląc mnie ręką w ramię. – Pani doktor mówi, że możesz znowu wyciągać jaja.

Zabijcie.

Mnie.

Kurwa mać.

– Masz wszystko, czego ci trzeba? – zapytał niecałą godzinę później, parkując tak blisko wejścia do Tommen, jak to tylko fizycznie możliwe. – Książki? Telefon? Portfel?

– Jaja? – wtrąciłem z przekąsem. – Jezu, tato, spodziewałbym się takiej nadopiekuńczości po mamie, ale po tobie? – Pokręciłem głową i odpiąłem pas. – Męczy mnie to już.

– Jestem niby nadopiekuńczy, bo zabieram cię na kontrolę i podwożę do szkoły? – zapytał zachwycony sobą. – No proszę, a to nowość.

– Nie, ona jest nadopiekuńcza – odburknąłem. – Ty po prostu leżysz głęboko pod jej pantoflem, skoro tak ją małpujesz.

– Jest moją żoną – stwierdził z namysłem – więc mogę leżeć z nią, gdzie tylko...

– Przestań! – wykrztusiłem zdjęty grozą. – Doskonale wiesz, o czym mówię – warknąłem, otwierając na oścież drzwi auta. – Chcę odzyskać moje życie. Słyszysz? Chcę, żebyście się z mamą ode mnie odczepili i żebyście mi dali trochę, kurwa, oddechu.

Tata wyszczerzył zęby.

– Ach, jakże to było za młodu, hormony szaleją...

– Nie wiem, co cię tak bawi – syknąłem. – Mówię poważnie.

– Chodzi o Shannon Lynch – powiedział nagle poważnie. – O to, że uznaliśmy z matką, że będzie lepiej, jeśli będziesz trzymał się z dala od jej rodziny.

Oczywiście, że chodziło o Shannon Lynch. Ostatnio w moim życiu chyba wszystko dotyczyło tej dziewczyny. Nie mogłem przestać o niej myśleć i nie mogłem się z nią widywać, bo moim rodzicom wpadł do głowy zębany pomysł, że mogą mi mówić, co mam robić.

Pomijając kilka krótkich SMS-ów wysłanych za plecami matki z jej komórki i kilka nieodebranych połączeń, nie rozmawiałem z Shannon od zeszłego tygodnia, a dokładniej już od siedmiu dni, i odchodziłem od zmysłów.

Czułem się jak gnój, który ją zostawił i nie wrócił, ale nie za bardzo mogłem przejść pieszo ponad dwadzieścia kilometrów do jej domu. Jechać też nie mogłem, a straciłem przywilej transportu Gibsiego za to, że namówiłem go na ten ostatni wypad.

Innymi słowy, przez ostatni tydzień tkwiłem w domu, odwalało mi i tonąłem w niepokoju. Wypuszczali mnie tylko na fizjoterapię i na basen, ale zajęcia były mało produktywne, bo myślałem wyłącznie o dziewczynie, którą porzuciłem.

– O to, że podejmujecie decyzje, które do was nie należą – odpowiedziałem, wracając do terażniejszości.

– Nie powiedzieliśmy, że nie możesz spotykać się z tą dziewczyną – przypomniał spokojnie. – Po prostu nie możesz widywać się z nią *tam*.

– To jakiś żart – wycedziłem znów wściekły jak w zeszłym tygodniu, gdy zawołali mnie na dywanik i wyłożyli swoje zasady. – Może i jej matka nadaje się do czubków, ale ty i mama jesteście niewiele lepsi.

– Próbuje cię chronić, synu – stwierdził ojciec spokojnie. – Mamy w sercu wyłącznie twój interes, a twojemu interesowi służy omijanie tej rodziny jak najszerszym łukiem. Próbuje też trzymać twoją matkę z dala od celi – dodał, prychnając.

Skrzywiłem się na samo wspomnienie pierdolonego koszmaru, który w zeszłym tygodniu rozegrał się na podwórku przed domem Lynchów, i tego, że mama prawie pobiła panią Lynch. Matka Shannon rzucała jakimiś gównianymi groźbami i posłała mi kilka wyzwisk. Mamie to wystarczyło, żeby przeistoczyć się w zakichanego Floyda Mayweathera².

– Wiesz, co się dzieje z mamą, gdy chodzi o ciebie – dodał. – Synu, ona jest jak wulkan. Zaufaj mi.

– Nie potrzebuję, żeby ktokolwiek mnie chronił – wyburczałem.

– Uważam, że potrzebujesz.

– Mylisz się.

– Może i tak – odparł, doprowadzając mnie do białej gorączki postawą adwokata diabła, a z taką podchodził do każdej rozmowy. – Ale w tych okolicznościach ryzyko jest warte wygranej.

W tym przypadku „ryzykiem” była moja wściekłość i święte oburzenie.

– A co niby jest wygraną?

– Oszczędzenie ci kłopotów.

Jezus Maria...

Kompletnie wkurzony wyskoczyłem z auta, zabierając plecak.

– Umiem podejmować własne decyzje. – Zrzuciłem plecak na ramię, sięgnąłem po kulę. – I będę je podejmował.

Rozdział 25

Powrót do Tommen Shannon

Minął tydzień, odkąd ostatni raz widziałam Johnny'ego.

Naprawdę nie winiałam go za to, że wrócił do mojego domu, ponieważ nawet gdyby jakimś cudem w ogóle chciał mnie widzieć, to wątpiłabym, by rodzice mu na to pozwolili. Państwo Kavanagh na pewno mnie znienawidzili. Gdyby mój syn trzymał się z córką takich wariatów, to też bym jej nienawidziła. Chciałabym, żeby trzymał się od niej najdalej, jak się da.

Pierwszego dnia w kółko czytałam cztery wiadomości, które od niego dostałam, aż w końcu padła bateria w komórce. Nie miałam jak jej naładować, bo nie mieliśmy pasującej ładowarki, więc po prostu siedziałam, rozmyślając o jego słowach, aż posiniałam ze zmęczenia.

Nigdzie się nie wybieram. Mówię serio. Obiecuję :*

Napisz od razu, kiedy się obudzisz. Daj znać, czy wszystko gra :*

Tęsknię za tobą :*

Możesz zadzwonić? A ja mógłbym? Dasz radę rozmawiać? :*

Telefon padł w moich dłoniach dokładnie w tym czasie, gdy zadzwonił. Gdy gapiłam się w czarny ekran, trzymając się resztek nadziei, że może urządzenie zaraz znów ożyje, przetoczyło się przeze mnie potężne, niszczycielskie tsunami.

Telefon się już nie włączył, a ja od tego czasu nie miałam żadnych wieści od Johnny'ego.

A było to sześć dni temu.

Natomiast Joey wrócił do domu, czułam się tu więc trochę mniej samotnie. Ku konsternacji Darrena nawet pojechał ze mną na kontrolę do szpitala. Chłopcy byli szczęśliwsi... No, powiedzmy, że trochę mniej niezadowoleni. Zakładałam, że podobnie jak ja czują się przy Joeyu trochę bezpieczniej. Został. Było to równocześnie błogosławieństwo i przekleństwo, bo emanowało z niego prawie nieznośne napięcie. Będę uczciwa – sama też emitowałam niemałe jego porcje, mierząc nimi w matkę, z którą nie zamieniłam słowa, odkąd Joey odprowadził ją na górę do łóżka.

Powiem więcej – nie mogłam na nią patrzeć. Ropiało we mnie tyle nienawiści i frustracji, że nie ufałam przy niej własnym ustom, więc dla dobra wszystkich domowników unikałam jej jak zarazy.

– Gotowa? – zapytał Joey, opierając się o moje drzwi w mundurku BCS i patrząc, jak siłuję się z zakrętką tubki podkładu. – Shan?

Dziś był pierwszy dzień w szkole po feriach. Spojrzałam z góry na mundurek Tommen i przeszedł mnie dreszcz, poczułam, jak pod skórę wpełza mi dobrze znany niepokój, jak wznieca kwas w moim żołądku.

– Nie – westchnęłam, rzuciłam tubkę na łóżko i usiadłam ciężko obok niej. – Jestem wprost niewiarygodnie niegotowa.

Joey przyglądał mi się uważnie przez kilka chwil, po czym głośno westchnął.

– No, znam to uczucie.

– Boję się – przyznałam. – Co wszyscy powiedzą. – Wskazałam na twarz, na niezdarnie zaszpachlowaną, pokrytą strupem bliznę powstałą w miejscu, w którym ojciec rozciął mój policzek o kuchenny stół. – O tym... – Przygryzłam wargę i po chwili wyrzuciłam z siebie pośpiesznie, lecz cicho: – I o *tacie*. Joe, wszyscy będą wiedzieli.

– Shan... – Joey podszedł do mnie, kręcąc głową, i usiadł obok na łóżku. – Nic nie powiedzą. – Pochylił się, wsparł łokcie na kolanach i wypuścił powietrze. – Twarz w zasadzie ci się wygoiła, a to, co zostało, pokryłaś tymi barwami wojennymi.

– Barwami wojennymi? – uniosłam brew. – To się nazywa makijaż. – I to drogi makijaż. – Claire mi dała.

– Barwy wojenne, makijaż... Nieważne, na jedno wychodzi – odparł i obojętnie wzruszył ramieniem. – Twój dyrektor wie, co zaszło, nie?

Kiwnęłam głową. Znając Darrena i mamę, to w czasie ferii spotkali się z panem Twomeyem.

– No to nic ci nie będzie – dodał uspokajająco. – Obiecuję.

– Nie wiem, co powiedzieć, gdy ktoś zapyta o tatę – przyznałam. – Co jeśli jakiś nauczyciel będzie o niego pytał? – Pokręciłam głową, byłam spanikowana. Czułam się jak zatruta, skażona. Myśl o powrocie do szkoły pełnej ludzi, którzy wiedzieli, co mnie spotkało, była przerażająca. W Ballylaggin wiedzieli w zasadzie wszyscy, i odbijało mi z tego powodu. – Nie mam pojęcia, jak sobie z tym poradzić.

– Poradz sobie z pomocą prawdy – odpowiedział ostro i surowo. – A jeśli nie będziesz chciała o tym gadać, to mów ludziom, żeby się odpiardolili i pilnowali swoich spraw, ale nie kłam więcej, Shannon. Rozumiesz? Nie kryj tego śmiecia ani minuty dłużej, bo ty nie zrobiłaś *nic* złego. – Wyprostował się i dodał: – A jeśli jakiś chuj w szkole będzie coś pierdolił i cię gnębił, to się tam przejdę i to załatwię.

– Prawda jest trudna – przyznałam cicho.

Mój brat skinął sztywno głową.

– Zwłaszcza jeśli zostałaś zaprogramowana na jej zapominanie.

Myślałam o tym przez chwilę.

– Ej, Joey?

– No co, Shan?

– A co ty powiesz, gdy ktoś cię zapyta?

– Żeby wypierdalał i pilnował swoich spraw.

– Też bym tak chciała – westchnęłam.

– Jak?

– Być odważna – wyszeptalam tęsknie.

– Jesteś – powiedział i spojrzał na mnie swoimi zielonymi, pełnymi bólu oczami. – Jesteś kurewsko odważna.

– Nie czuję się tak – wybełkotałam niepewnie. – Mam ochotę uciec.

– A chcesz uciec? – zapytał, a w jego tonie zagrały lekkie nuty desperacji i nadziei. – Bo jak chcesz, to możemy iść na autobus i po prostu wyjechać, zaraz.

Moje serce przyspieszyło, musiałam stłumić wzbierający niepokój.

– Wyjechać... – Patrzyłam mu w oczy, oceniałam jego reakcję. – Chodzi ci o wyjazd na jeden dzień, tak?

Joey nie odpowiedział. Po prostu siedział i na mnie patrzył.

– Joe? – wyszeptalam, a moje serce biło już jak szalone. – To miałeś na myśli, prawda?

Wymusił uśmiech, który zupełnie nie pasował do jego wzroku... Od dawna nie widziałam tych sztucznych uśmiechów.

– Jasne.

– Nie zostawiaj mnie – wykrztusiłam, łapiąc się jego swetra od mundurku. – Nie możesz znów zniknąć.

– Jestem tu, prawda? – odpowiedział sztywno.

– A co z Aoife? – zapytałam, rozpaczliwie chwytając się jedynej rzeczy, która musiała zatrzymać go na miejscu. – Jak tam z wami?

Ona jest powodem, by zostać...

– W porządku.

– A z Shane'em Hollandem i jego kumplami? – Moje serce szalało jak wściekły byk. – Nie będziesz...

– Nie – odpowiedział hardziej. – Nie będę.

Nie wierzę ci...

– Joe, twoja dziewczyna po ciebie przyjechała – usłyszałam głos Darrena i podniosłam wzrok. Stał w drzwiach i zrzucał z siebie marynarkę. – Lepiej się rusz, bo ona też się przez ciebie spóźni.

Joey bez słowa wstał i wyszedł z mojego pokoju, po drodze mocno trącając Darrena barkiem.

– Tobie też dzień dobry – burknął za nim Darren.

– Widzimy się później, Shan – zawołał Joey, znikając w swoim pokoju. Chwilę później wrócił z plecakiem na ramieniu i sprzętem do hurlingu w ręce. – Głowa do góry, mała.

– Joey – zaczął błagalnie Darren – moglibyśmy dziś odpuścić zgrywanie zranionego chłopca i zachowywać się jak cywilizow...

– Żryj gównem – syknął Joey, pokazał mu środkowy palec, po czym zbiegł na dół.

– Cudnie – wymamrotał Darren, drapiąc się po policzku. – Jest bardzo miły z rana.

– To zależy od towarzystwa – powiedziałam nadąsanym tonem. – Dla mnie był miły.

– Jezu, ty też... – burknął. – Nie poradzę sobie z samego rana z *dwojgiem* nabuzowanych hormonami nastolatków.

No to wracaj do swojego życia.

– Gdzie mama? – zapytałam.

– W pracy. Dobra, gotowa? – rzucił. – Chłopcy już czekają w samochodzie.

– Nie musisz mnie odwozić – stwierdziłam, zerkając na kluczyki zwisające z jego palca. – Mogę jechać autobusem.

– Daj spokój, Shannon – jęknął. – Opuść mi trochę. To pierwszy dzień w szkole.

– Mówię tylko, że zazwyczaj jeździłam autobusem i dziś też bym mogła.

– No to pozwij mnie za to, że nie chcę, żeby moja siostra czekała sama na przystanku o szóstej rano wśród czających się pijaków – odparł. – Od dziś będę cię zawoził i przywoził ze szkoły.

– Z powodu Johnny'ego? – Nie odpuszczałam, zadarłam buntowniczo podbródek. – Bo nie chcecie z mamą, żebym gdzieś na niego wpadła?

– Nie, Shannon, bo ojciec nadal gdzieś tam jest, a jeśli popije, to będzie szukał najpierw ciebie – warknął tak, że aż się skrzywiłam.

– Dzięki za przypomnienie.

– Przepraszam – powiedział spokojniej. – Nie próbuję cię stresować, ale chcę, żebyś była tego *świadoma*, żebyś *pamiętała*.

– Dobrze, a ty bądź świadomy, że nigdy nie miałam problemów z pijakami na przystanku. – Porwałam plecak z podłogi i ostrożnie zarzuciłam go sobie na ramię. – Tylko z pijakami w domu

– rzuciłam, mijając go.

– Jezu... – wymamrotał, ruszając za mną. – Kręci mi się w głowie od tych huśtawek nastrojów.

Rozdział 26

Bum, bum, kurwa, bum, stary

Johnny

– Patrzcie, oto i Pan Bombastyczny we własnej osobie – zawołał Hughie Biggs, gdy wszedłem na dziedziniec i zobaczyłem chłopaków zebranych przed głównym wejściem.

– Jak tam, Vengaboyu? – zapytał Patrick, waląc mnie w plecy. – Gratulacje! Z okazji ożenku... Okazałeś się czarnym koniem.

– Raczej – parsknął Hughie. – Dzieci już jakieś masz, stary? Kupiliście sobie jacht?

Uniosłem brew i odwróciłem się do Gibsiego, który opierał się o mur. Chował papierosa w rękawie, uznałem to za zupełnie zbędne, biorąc pod uwagę, że aż kurzyło mu się z uszu.

– Powiedziałaś im?

– Wszystkim powiedziałem – odparł, szczerząc się bez zażenowania. Wsunął wolną rękę pod marynarkę i poklepał się po piersi. – Bum, bum, kurwa, bum, stary!

Jezus Maria...

– Przyszła już? – Spojrzałem mu w oczy, zupełnie ignorując nabijających się ze mnie kumpli. – Widziałaś ją?

– Kogo? – zaciekawiał się Feely.

– Shannon Lynch – wyjaśnił mu natychmiast rozbawiony Hughie. – Tak się przynajmniej domyślałem.

– Jesteś z nią teraz?

– Co? – zwróciłem się do Patricka.

– Z Shannon – powtórzył. – Jesteś z nią?

– Cóż, był z nią w Dublinie – zaświergotał Gibsie. – I w swoim domu w zeszły weekend.

– Słyszałem, co się stało – powiedział Hughie z pewną dozą współczucia w oczach.

Tak, na pewno słyszał. Mieszkańcy tej miejsciny byli niesamowitymi, kurwa, plotkarzami.

– Wszystko u niej dobrze? – zapytał.

Chciałem wrzasnąć: „Nie wiem, bo od tygodnia nie mam od niej żadnych wieści”, ale się powstrzymałem.

– Wprost znakomicie.

– Nie widział się z nią, odkąd mamunia K. przejechała się po jej matce – parsknął Gibsie.

– Biły się? – rzucił zdumiony Feely.

– Rzuciła się na nią – zarechotał Gibsie. – Kav musiał ją odciągać siłą.

– Chryste – westchnął Hughie z uznaniem. – Brawo dla mamuni K.

– Jesteś śmierdzącym szczurem – wycedziłem, mierząc najlepszego przyjaciela spojrzeniem zza zmrużonych powiek. – A ja zamiataam pod dywan tyle twojego syfu.

– Spokojnie, wielka pochwo – zaśmiał się Gibsie. – Zjawi się, więc nie napinaj cyców. – Wypuścił dym z ust i zrolował papierosa w palcach. Następnie zmarszczył czoło i spojrzał na mnie jakoś dziwnie. – Zachowujesz się – zrobił pauzę, żeby teatralnie machnąć ręką – jak namolna panienska.

– *Namolna?* – Spojrzałem na niego z niedowierzaniem.

– No, namolna i wytęskniona przytulania – potwierdził uroczyście. – Mógłbyś odrobinę zluzować.

– Aplauz za świetną radę, Gibs – warknąłem. – Na pewno z niej skorzystam.

– Nie ma za co – odburknął. – A skoro mowa o wyrazach uznania, podziękuj ojcu ode mnie jeszcze raz za to, że zdjął mnie z celownika Twomeya. – Westchnął i dodał: – Zeszły tydzień był fatalny, nie zniósłbym kolejnego w domowej samotni, bez ciebie.

Przewróciłem oczami.

– Też się cieszę, że cię nie zawiesili, stary.

– Jestem już mile widziany u was w domu? – zapytał. – Przyjmiecie mnie z powrotem?

– Rozdzielili was? – zapytał Feely, unosząc brew.

– Przejściowo – odparł nieco urażony Gibsie. – Nie na długo.

– Co zrobiłeś? – zarechotał Feely.

– Standardy. – Gibsie wzruszył ramionami i machnął bez celu ręką. – Złamałem kilka zasad, wprowadziłem dziewczynę spod domu, wdałem się w cudzy syf.

Feely pokręcił głową.

– Nie wiem, jak to z wami będzie, chłopaki. Naprawdę nie wiem.

– Nikogo nie porwaliśmy – poprawiłem Gibsiego coraz bardziej wkurzony. – Pojechała z nami dobrowolnie.

– Shannon?

– A któżby inny? – parsknął Gibsie.

– W każdym razie miło widzieć, że stanąłeś na nogi, kapitanie – powiedział Hughie, rozsądnie zmieniając temat, zanim pękła mi żyłka. – Ale musisz jak najszybciej ruszyć dupę na treningi. W weekend Barrettsfield RFC wdeptali Ballylaggin w ziemię.

I proszę, mój nastrój zdołał się jeszcze pogorszyć.

– Barrettsfield? – zapytałem z nieskrywaną odrazą. – Jezu, stary, przecież oni są w drugiej dywizji.

– On nie musi się o to martwić – wtrącił Gibsie, choć raz w życiu poważnym tonem. – To tylko jeden mecz, chłopaki.

– Cóż mogę powiedzieć – kontynuował Hughie, ignorując Gibsa. – Mieliśmy braki z tyłu, no i graliśmy bez kapitana.

Przygniotły mnie wyrzuty.

– Ile się skończyło?

Hughie się skrzywił, zanim odpowiedział:

– Czterdzieści osiem do dwudziestu sześciu.

– Jezu! – rzuciłem wzburzony. – A twoja forma, jak kopałeś?

– Szesnaście punktów – odparł. – Dwie konwersje i cztery kary.

– Brawo, stary. – Klepnąłem go w ramię. – Utrzymałeś ich w grze.

– Próbowałem – powiedział z uśmiechem.

– A jak poszło na kontroli? – zapytał Feely, otwierając mi drzwi.

– No. – Gibsie uśmiechnął się od ucha do ucha, zaciągnął głęboko fajkę i wypuścił chmurę dymu. – Czy szlachetna pani doktor podarowała ci zieloną kartę?

– Nie – odparłem zbyt wkurzony, żeby udzielić mu wykładu na temat zdrowia płuc, i wszedłem do budynku. – Zgodnie z oczekiwaniami.

– Pech, stary – stwierdził Feely, wchodząc za mną razem z Hughiem do środka.

– Ach, no ale nie jest znowu tak fatalnie i ponuro. – Gibsie wziął ostatniego bucha, wyrzucił niedopałek i też wszedł do szkoły. – Przynajmniej zszedłeś do jednej kuli.

– Brawo ja... – wycodziłem, olewając wszystkie uśmiechy, uniesione dłonie, wszystkie: „Hej, Kav!” i „Jak leci, Johnny?!”, i kroczyłem posępnie korytarzem prosto do mojej szafki.

– Po prostu daj sobie czas – powiedział spokojnie Feely. – Wszystko się ułoży.

– Otóż to – dorzucił Hughie, poklepując mnie po plecach. – Nie od razu Rzym zbudowano.

– No, ale niech się pośpieszą z tym jebanym Rzymem, chłopaki – wymamrotałem, wspierając się mocno na kuli w lewej ręce. – Bo nie mam za dużo czasu.

– Masz dwa miechy, kapitanie.

– Mam czterdzieści sześć dni – poprawiłem go, coraz bardziej nakręcony. – I nie przybywa ich.

– Przynajmniej dopuścili cię do ćwiczeń na siłowni – powiedział Hughie optymistycznie.

– Tylko od pasa w górę – mruknąłem. – Przyda mi się to, gdy będę musiał zapierdalać na treningach...

– Jezu, ale marudny dziś z ciebie gnojek – rzucił żartobliwie Gibsie. – Nic ci się nie podoba.

– Stary, gdyby ciebie od rana trzy stare prukwy macały po jajach, do tego przy ojcu, też nie srałbyś tęczą.

Gibsie prychnął.

– Gdyby trzy kobiety z rana pomacały mnie trochę po jajuszkach, to zapewniam, że srałbym tęczą.

Hughie i Feely wybuchli śmiechem.

– Mylisz się, wierz mi...

– Mówiąc „stare”, masz na myśli... – zapytał, unosząc brew.

– Emerytki! – warknąłem, stając na środku korytarza, żeby posłać mu odpowiednio wściekłe spojrzenie. – W wieku pani Lovell.

Gibsie aż pobladł.

– Stary.

Zachęcony współczuciem w ich spojrzeniach kontynuowałem moją litanie żalów.

– Pomyślcie o swojej ulubionej fantazji z udziałem seksownej pielęgniarki.

– Myślę! – rzucił Gibsie od razu.

Kiwnąłem głową.

– No, a teraz podmieńcie pielęgniarkę na własną babcię.

Wszyscy trzej jęknęli ze współczuciem.

– Kurwa.

– Właśnie. Kurwa – potwierdziłem ponuro i ruszyłem dalej.

– Dostałeś chociaż spermoprzepustkę? – zapytał Gibsie, i to bynajmniej nie cicho, gdy dotarliśmy do szafek piątej klasy. – Musiała ci dać zielone światło na ruch...

– Musiałeś, prawda? – westchnął Hughie, opierając się o szafkę obok mojej. – Zawsze musisz zapędzić się o ten jeden krok za daleko, co, Gibs?

– Martwię się – odparł urażony. – Po prostu troszczę się o przyjaciela.

– Jesteś zboczony – stwierdził Feely sucho.

– Dostałem spermoprzepustkę – odpowiedziałem, bo wiedziałem, że jeśli nie odpowiem, to ten kretyn nie da mi spokoju. – Wszystko dobrze.

– Naprawdę? – zapytał z uciechą w oczach. – To co ty robisz w szkole, do chuja pana?

– Mam lekcje! – rzuciłem zniecierpliwiony.

– Chcę usłyszeć prawdziwy powód – stwierdził, unosząc brew.

– Bo nie za bardzo mogłem poprosić tatę, żeby odwiózł mnie do domu na sesję samogwałtu – wycedziłem ironicznie. – Ogarnij się.

Gibbie gapił się na mnie tępo.

– Nie widzę w tym nic problematycznego.

– Nie podjudzajcie go – warknąłem ostro na Hughiego i Feely’ego, którzy podśmiewali się pod nosem.

– To raczej ty masz coś do ogarnięcia – odpowiedział Gibbie, nadal patrząc na mnie z niedowierzaniem. – Pełne jaja.

Boże, daj mi siły...

Zacisnąłem zęby, odwróciłem się do szafki, szarpnąłem za metalowe drzwiczki i od razu się zakrztusiłem, bo uderzyła we mnie fala potwornego smrodu.

Wszyscy czterej równocześnie odskoczyliśmy od szafki.

– Jezu... – wykrztusił Hughie.

– Fuj, stary – jęknął Feely. – Ale wali.

– Pieprzony brudasio – wydusił Gibbie, choć jego słowa tłumił rękaw, którym zasłaniał nos. – Jezus Maria, Józefie Świety. – Spojrzał na moją szafkę jak na śmiertelnego wroga i syknął: – Słyszałeś kiedyś o koszu na śmieci?

– Zapomniałem o tym – parsknąłem, wyciągając z szafki plastikowy pojemnik, który zaczął już porastać futrem. – Nie za bardzo miałem czas posprzątać szafkę przed feriami. – Trzymając to coś jak najdalej od siebie, zaniosłem to do kosza na śmieci, po czym wróciłem do chłopaków. – Jak myślicie, czym to coś kiedyś było? – zapytałem z uśmiechem zawstydzenia.

– Kurczakiem – jęknęli chórem.

– Hej, Johnny. – W powietrzu poniósł się głos mojego życiowego utrapienia, jak zawsze irytujący i niemile widziany, rozpraszając wszelką wesołość, którą udało nam się wykrzesać. Teraz to mnie przeszedł dreszcz czystego, niepowstrzymanego obrzydzenia, bo oto sunęła ku mnie Bella Wilkinson, kręcąc dupskiem i machając cyckami. – Jak się czujesz?

– Idź stąd – rzuciłem do niej lodowato, cały najeżony. Może i zachowałem się jak kutas, ale czym prędzej podszedłem do chłopaków, żeby znaleźć schronienie i bezpieczeństwo w liczbie kumpli. – Nie mam ci nic do powiedzenia.

– Daj spokój, Johnny, chciałam tylko...

– Nie namówisz mnie na to znowu... – wszedłem jej w słowo. – Przerabialiśmy tę gadkę z milion, kurwa, razy. Skończyłem. Skończyliśmy. Więc po prostu *stąd odejdz*.

– To co, nie mogę już z tobą nawet rozmawiać? – odcięła się urażonym tonem. – Nie mogę zapytać, jak się czujesz?

– Dobrze – odparłem z kamienną miną. – Dziękuję, że zapytałaś. A teraz zostaw mnie w spokoju.

– Johnny... – Oddech utknął jej w gardle.

– Słyszałaś, co powiedział – odezwał się władczo Gibbie, którego dobry humor też zniknął, i wskazał palcem w głąb korytarza. – Po prostu idź w swoją stronę.

– Spierdaj, Gibbie – warknęła Bella, po czym spojrzała znów na mnie. Zatrzepotała rzęsami i uśmiechnęła się z pełną nadziei miną. – Wiem, że kiepsko się między nami podziało, ale tak bardzo się o ciebie martwiłam.

– Z całą pewnością – stwierdził z namysłem Hughie. – Ale Cormac na pewno ulżył ci w troskach.

– Po prostu przestań. – Przez wiele miesięcy miałem z tą dziewczyną istny rollercoaster i byłem tym wycieńczony. Podrapałem się po twarzy gestem sugerującym wyczerpanie i powiedziałem: – Nie chcę się z tobą kłócić. Skończyłem z tym, dobra? Więc proszę cię, po prostu odejść.

Bella posłała Hughiemu pogardliwe spojrzenie, po czym znów wbiła we mnie wzrok.

– Miałam nadzieję, że moglibyśmy pięć minut porozmawiać ...

– A ja, że wygram w weekend w totka – wtrącił się Gibsie, po czym naprawdę się nachmurzył. – Ale się nie udało, bo zapomniałem kupić los.

– Jesteś niepełnoletni – prychnął Feely. – Kto by ci sprzedał?

– Mam stosowne koneksje – odparł Gibsie, unosząc i opuszczając brwi.

Feely przewrócił oczami.

– Dee?

– Może – powiedział Gibsie i puścił mu oko.

– O co ci chodzi, Gibsie? – spytała ostro Bella, mierząc mojego najlepszego kumpla morderczym wzrokiem.

– O to, żebyś się odpierdoliła, Bella – wyjaśnił rzeczowo Gibsie. – Żebyś stąd spadała, jeśli mam być bardziej precyzyjny. Daleko, daleko, aż do krainy „Johnny nie chce z tobą być, więc ogarnij sobie jakieś życie”.

– Nie masz prawa tak do mnie mówić – rzuciła wyzywająco, cała się już trzęsła.

– A czemuż to? – zapytał Gibsie, unosząc brew.

– Bo tak! – rzuciła wściekle. – Bo...

– Bo ja mam kutasa, a ty cipkę? – zapytał, patrząc na nią wymownie. – Och, proszę cię. Jestem człowiekiem dwudziestego pierwszego wieku. Popieram równouprawnienie wszystkich ludzkich istot, dzięki czemu ja, posiadacz kutasa, mam prawo powiedzieć samicy, która w zasadzie stalkuje mojego kumpla, żeby wypierdalała!

– Imponujące... – wtrącił z zadumą Hughie.

– Jestem imponującym mężczyzną – odparł z uśmiechem Gibsie.

– Jezu... – wymamrotałem, krzywiąc się na widok łez napływających do jej oczu.

– Osiem miesięcy, Johnny – załkała, patrząc na mnie. – I tak... tak po prostu?

Przygryzłem pięść, żeby nie wrzasnąć.

– Posłuchaj – powiedziałem w końcu, stając na krawędzi cierpliwości. – To bezcelowe. Nie mam ci nic do powiedzenia i nie chcę niczego od ciebie usłyszeć. Nie jestem zainteresowany. Nie byłem nawet wtedy, gdy powinienem być. Więc... *proszę cię!* Błagam cię, Bella, zostaw mnie w spokoju. *Błagam!*

– Naprawdę?

– Tak!

– I tego chcesz... Żebym po prostu sobie poszła?

Dobry Boże...

– Tak!

– Dobra! – wrzasnęła, łypiąc na mnie wściekle. Krokodyle łyły jakimś cudem wyparowały. – Chcesz, żebym zniknęła z twojego życia, Johnny Kavanagh? Świetnie. To mnie nie ma!

Westchnąłem ciężko, tak mi ulżyło, że prawie się przewróciłem.

– *Dziękuję.* – Oczywiście Bella liczyła na inną reakcję, bo zmrużyła oczy i kopnęła moją kulę, przez co zatoczyłem się w tył. – I za to również dziękuję – wycedziłem, łapiąc się Feely’ego dla odzyskania równowagi.

– Mam nadzieję, że będziesz kaleką – wycharczała jadownicę. – Mam nadzieję, że wykopią cię z Akademii i że już nigdy nie zagrasz w rugby! – Na koniec, krzywiąc się ze wstrętem, dodała: – Mam wręcz nadzieję, że już nigdy nie będę musiała oglądać twojej gęby.

Wybornie.

– Mało prawdopodobne – stwierdził Feely sucho. – Abstrahując od oczywistości...

– Że chodzisz z nim do szkoły – wtrącił Gibsie, który naturalnie musiał stwierdzić oczywistość.

– Owszem, Gibs – westchnął Feely. – Ale abstrahując od szkoły, zapewne zobaczysz go latem. – Wzruszył ramionami i dodał: – No wiesz, w telewizji, jak będzie grał dla swojego kraju. Ty będziesz siedziała w domu i oglądała go z kanapy.

– Z Cormakiem – dodał Hughie flegmatycznie.

– Ach, właśnie – powiedział z udawanym zaciekawieniem Gibsie. – Jak tam Judasz Iskaridiotą?

– Idźcie do diabła, wszyscy czterej! – wrzasnęła, po czym odwróciła się na pięcie i poszła, tupiąc ze złości. – Dupki.

– W takim razie do zobaczenia na dole, piekielna pizdo! – zawołał za nią Gibsie, schylając się po moją kulę, którą następnie oparł o szafkę. – Do zobaczenia w piekle!

– Jezu... – Gwizdnął przez zęby Robbie Mac, uskakując przed Bellą przebijającą się przez niego, Pierce'a i połowę drużyny jak kula armatnia. – Skąd ten pośpiech?

– Musi wrócić do domu, zanim wszędzie słońce – wyjaśnił głośno Gibsie. – Wiecie, że wampiry zazwyczaj zamieniają się w kupkę popiołu wraz z brzaskiem.

– Pierdol się, Gerardzie Gibsonie! – ryknęła Bella przez ramię.

– A za żadne skarby, królowo złota! – krzyknął za nią. – Nie tknąłbym cię nawet kutasem McGarry'ego!

– Przestań – stęknąłem do niego zmęczony. – Odpuść już, stary.

– Podły z ciebie sukinkot – zarechotał Feely. – To było naprawdę brutalne, Gibsie.

Gibsie wzruszył ramionami.

– Gdy masz do czynienia z podłą suką, czasami też musisz być podły.

Robbie, Pierce i reszta chłopaków z zespołu otoczyli nas wianuszkami i zaczęła się seria poklepywań po plecach, powitań i pytań, na które nawet w najśmielszych snach nie udzieliłbym im szczerych odpowiedzi.

– Panowie, niech nieszczęście, które spadło na naszego kapitana, będzie dla nas wszystkich przestrogą przed zagrożeniami czającymi się za parą jędrnych cycków – obwieścił uroczyście Gibsie. – Gdy coś zwietrzycie, lepiej zróbcie sobie dobrze sami.

Jego słowa wydołyły śmiech ze wszystkich, włącznie ze mną.

– Szczęściarzu z ciebie – powiedział Pierce i aż przeszedł go dreszcz.

– Niebezpieczna cipka – stwierdził Robbie.

– Raczej – burknąłem, rozmasowując skronie.

– A wy nie dawaliście mi żyć, bo w drugiej klasie spiknąłem się z Katie – powiedział Hughie z cholernym samozadowoleniem, odpychając się od szafek i naprężając klatkę. – Stateczna i rozsądna dziewczyna teraz nie wydaje się już taka zła, co?

– Po tym wybuchu ty nie wydajesz się taki zły – odparł Gibsie.

Hughie wyszczerzył zęby, a pozostali westchnęli ciężko.

Nie łkaj przynęty, Hughie...

Sam wchodzisz w sidła...

– Twierdzisz, że miałbyś ochotę na mojego fiuta, Gibsie? – zapytał prowokacyjnie Hughie.

– Twierdzą, że miałbym ochotę na cipkę twojej siostry – odciął się od razu Gibsie, poruszając wymownie brwiami. *No i jedziemy*. – Na moim kutasie...

– Gibs – burknąłem ostrzegawczo.

– Na mojej twarzy.

– Gibsie... – stęknął ciężko Feely.

– Na całym sobie.

W tym momencie uśmiech na twarzy Hughiego zamienił się we wściekły grymas.

– Odwołaj to.

– Nie.

– *Odwołaj*, dupku.

– Nie.

– Odwołaj to, kurwa!

– Pogódź się z tym już... – zaśmiał się Gibsie, zwinnie odskakując przed ciosem Hughiego. – To nieuniknione, *szwagrze*.

– Po moim trupie – wycedził wściekle Hughie i rzucił się za Gibsiem. – Jest dla ciebie za dobra.

– Nie bądź palantem, Gibs – warknąłem, złapałem Hughiego za sweter i przyciągnąłem do siebie. – Olej go, Hugh. Chce cię tylko rozdrażnić.

– Wcale nie! – Rozjuszony Hughie mierzył Gibsiego morderczym spojrzeniem. – Ma obsesję na jej punkcie od jebanego przedszkola!

– Powiedz mu, że tylko się droczysz – rzuciłem ostro. – No mów, Gibs!

– Bynajmniej – zaśmiał się Gibsie. – I tu nie chodzi tylko o jej cipkę... Choć ta jest wysoko na liście. Chcę ją calutką, kolego, i ona mnie też. – Uśmiechnął się diabelsko. – *Pragnie...*

– Moja siostra wcale cię nie chce – wysyczał Hughie. – Claire cię nie znosi. Toleruje cię, bo jesteś moim kumplem.

– Wczoraj w nocy mówiła co innego – stwierdził nieporuszony Gibsie. – Gdy robiłem jej...

– Hamuj się, Gibs! – krzyknąłem. – Jezu, stary! Hamuj się!

– Lepiej trzymaj swojego brudnego fiuta po drugiej stronie ulicy – syknął Hughie, mierząc w Gibsa palcem. – Jebaku sióstr...

– Jeszcze nie – parsknął Gibsie, rozkoszując się udawką Hughiego. – Ale już wkrótce zdobędę prawo do tego zacnego tytułu.

– Zabiję cię...

– Koniec, obaj! – warknąłem, ciągnąc Hughiego za szkolny sweter i posyłając najlepszemu kumplowi rozczarowane spojrzenie. – Włącz pieprzony mózg, zanim się odezwiesz, Gibs! Nie musisz werbalizować wszystkiego, co wylęgnie się w tym twoim spierdolonym łbie.

– Żartuję... Przecież żartuję... – zanosił się śmiechem Gibsie, gdy Hughie w końcu mi się wyrwał i powalił go na podłogę. Gibs przewrócił się na plecy i uniósł ręce rozbawiony. – Nawet jej nie dotknąłem.

– Oby, kurwa – syknął Hughie, wymierzając mu policzek. – Są zasady, których się nie łamie! Nie przypieprzasz się do sióstr kumpli!

– Myślałem, że ta zasada dotyczy naszych matek – odpowiedział Gibsie, śmiejąc się tak mocno, że nie mógł się bronić. – Co nie, Kav?

– Uważaj sobie... – warknąłem, posyłając mu ostrzegawcze spojrzenie.

– To przez te ciuchy – westchnął tęsknie Feely.

– I fryzurę – zawtórował mu Pierce.

– I jest najlepszą kucharką – stwierdził Gibsie.

– I zawsze fantastycznie pachnie – dorzucił Robbie.

– A ta figura...

– To moja matka, chore bydlaki! – krzyknąłem rozjuszony. – Czy ja mówię takie rzeczy o waszych?!

– Bo nasze nie są takie jak twoja – powiedział z przekąsem Gibsie. – Mamunia K. – westchnął teatralnie. – Mmm...

– Jezu, tak – przyznał Hughie, przerywając duszenie Gibsa. – Jeśli mam być szczery, kapitanie, twoja matka to rasowa...

– Dokończ to zdanie, a wbiję ci kulę w dupę – zagroziłem, a następnie zwróciłem się do Gibsiego. – Wiesz co? Idź i wydupcz im wszystkim siostry, Gibs. I siebie też przy okazji.

– Ale ja nie chcę ich siostr... Bez urazy, chłopaki. Choć jestem pewien, że to cudne dziewczyny, zależy mi tylko na *jego* siostrze – powiedział ze złośliwym uśmiechem.

– Widzisz! – krzyknął Hughie, znów skupiając się na Gibsiem. – Ja tylko żartowałem o twojej mamie, a ten chuj mówi o mojej siostrze poważnie!

– Uważam, że patrzysz na to ze złej perspektywy, kolego. – Gibs wrócił do prowokowania Hughiego, a Hughie do przyduszania Gibsa. – Jestem lojalny. Jestem piękny. Powiadają, że robię pięciogwiazdkowe minety. Można mnie brać w ciemno.

– Przede wszystkim jesteś kurwą! – syknął Hughie. – Nie zapominaj, że znam cię całe życie, palancie. Więc wiem, gdzie wsadzałeś kutasa!

– Po prostu musiałem gdzieś przeczekać, a poza tym praktyka czyni mistrza – wybuchnął śmiechem Gibsie, ale chwilę później stęknął, bo pięść Hughiego trafiła go w szczękę. – Stary, tylko nie w twarz. Twoja siostra lubi moją śliczną buźkę.

Twarz Hughiego nabrała odcienia głębokiej purpury.

– Ona jest niewinna i czysta, kurwa, i do jasnej cholery, trzymaj swoje zasrane łapska z dala!

– Eee, Johnny... – mruknął Feely, klepiąc mnie w ramię. – Mamy towarzystwo.

Oderwałem wzrok od dwóch niedorozwojów tarzających się po podłodze i zerknąłem nad głowami Pierce'a i Robbiego. W ostatniej chwili zauważyłem idącą gdzieś szybko Shannon.

Zwiewa przede mną?

No na pewno, kurwa mać.

Przepchnąłem się przez chłopaków i ruszyłem za nią. Od razu poczułem, jak po moich udach rozlewa się ciepło bólu, ale byłem zbyt zdeterminowany, żeby zwolnić albo wrócić po kulę.

– Shannon? – zawołałem za nią, a serce tak mocno waliło mi w piersi, że aż się bałem, że zostawi siniaki po drugiej stronie. – Shannon *jak ta rzeka*, wracaj tu!

Rozdział 27

Jesteś ze mną?

Shannon

Gdy Darren wjechał na parking przed Tommen chwilę po dziewiątej czterdzieści pięć, poczułam się, jak jakiś zboczony stalker, bo z napięciem wypatrywałam znajomego audi A3. Na próżno. Serce spłynęło mi do żołądka i poczułam, jak kurczę się na siedzeniu, chciałam tylko rozpuścić się w powietrzu i gdzieś oddryfować.

– Jak myślisz, co Tadhg chciałby na urodziny? – zapytał Darren, krążąc po parkingu w poszukiwaniu wolnego miejsca. – Są już w piątek, a nie mam pojęcia, co mu kupić.

– Nie wiem. – Gapiłam się przez okno jak odrętwiała, a mój niepokój wzrastał wraz z każdym uczniem wchodzącym do głównego gmachu szkoły. – Zapytaj Tadhga.

– Pytam ciebie – odparł cicho.

– Korki do grania w piłkę – wymamrotałam, było mi tak niedobrze, że i tak nie skupiałam się na tym, co mówi. – I tak niczego się nie spodziewa. – Wywracało mi żołądek, pociły mi się dłonie. Miałam wrażenie, że ktoś przykłada mi kostkę lodu do karku.

– Dobry pomysł.

Oddychaj, Shannon.

Po prostu oddychaj...

– Odprowadzić cię do środka – zapytał, gdy w końcu znalazł miejsce w labiryncie samochodów. Zgasił silnik, odpiął pas i się do mnie odwrócił. – Bo mogę cię odprowadzić, to żaden problem.

Spojrzałam na niego jak porażona prądem i wytrzeszczyłam oczy.

– Pamiętasz jeszcze liceum?

– Aż tak stary nie jestem – prychnął żartobliwie.

– To powinieneś wiedzieć, że nikt za żadne skarby nie chciałby zostać odprowadzony do szkoły przez starszego brata – wydusiłam. – Za żadne skarby.

Uśmiechnął się.

Spojrzałam na niego czujnie.

– Co?

– Nazwałeś mnie starszym bratem.

– Tak, no cóż – westchnęłam głośno i pozwoliłam głowie opaść na zagłówek – jesteś nim.

– Po prostu miło to od ciebie usłyszeć.

Jego słowa zawisły ciężko w powietrzu niczym łańcuch u mojej szyi. Nie miałam na to siły. Nie tego ranka. Nie, gdy miałam ochotę go błagać, żeby zawrócił i zabrał mnie do domu.

– Powinam już iść – wyszeptalam zrezygnowana ze wzrokiem wlepionym w rój uczniów wlewających się do różnych budynków szkoły.

Dasz radę.

Absolutnie dasz radę.

– Będę o czwartej – powiedział, gdy otworzyłam drzwi i wyszłam na deszcz. – Postaram się zaparkować blisko tego miejsca, okej?

Kiwnęłam głową i zabrałam plecak.

– Dzięki za podwózkę.

– Shannon?

– No?

– Życzę szczęścia.

Będzie mi potrzebne.

Zatrzasnęłam drzwi, zarzuciłam plecak na ramię i z zeszywniałymi mięśniami i wzburzonym umysłem ruszyłam w stronę dziedzińca. Im bliżej byłam głównego gmachu, tym trudniej przychodziło mi regulować oddech. Czułam niepokój, a z każdym krokiem zbliżałam się do ataku paniki na pełną skalę.

Powtarzałam sobie w myślach nieśmiałe afirmacje, spuściłam głowę i ignorując wszystkie szepty i spojrzenia, pośpiesznie weszłam do środka. Byłam wytrącona z równowagi i zdezorientowana. Nawet ciepło wszystkich grzejników w głównym gmachu nie mogło roztopić lodu skuwającego moje żyły, gdy pędziłam korytarzem i desperacko wypatrywałam Claire oraz Lizzie.

– Cześć, Shan – zawołał za moimi plecami jakiś znajomy głos.

Odwrociłam się i zobaczyłam Shelly, dziewczynę z mojej klasy, stała w drzwiach toalety i do mnie machała. Gdy spojrzała na moje oczy, jej uśmiech natychmiast zniknął.

– O Boże... – wydusiła sykliwym szeptem i wskazała na moją twarz. – Czyli jednak to prawda?

– Prawdopodobnie – wybełkotałam ogromnie zdenerwowana.

– Myślałam po prostu... To znaczy, gdy dziewczyny gadały o tym w kiblu, pomyślałam sobie, że... – Nagle po prostu się zamknęła i gapiła się na mnie dłuższą chwilę. – Cholera, dziewczyno – westchnęła w końcu – tak mi przykro.

– Wiesz, gdzie jest Claire? – zapytałam cicho. – Albo Lizzie?

– W gabinecie pana Twomeya. Wezwał je, gdy tylko przyjechały. Siedzą tam całe wieki. – Skrzywiła się. – Pewnie chodzi o ciebie.

– Och... – Przez kilka chwil tylko stałam i zastanawiałam się, co powiedzieć, ale w końcu uznałam, że na to nie sposób odpowiedzieć, więc po prostu szybko odeszłam.

Zamierzałam uciec do świetlicy trzecich klas i ukryć się tam do rozpoczęcia lekcji, ale moje stopy miały inne plany. Zboczyłam z założonej trasy i z łomoczącym sercem wędrowałam korytarzami, do których nigdy się nie zapuszczałam. Prowadziły do skrzydła piątych klas.

Najpierw ją usłyszałam, dopiero później zobaczyłam.

– Spierdalaj mi z drogi, dziwko!

Przebijająca się przez korytarz Bella brutalnie mnie staranowała. Jeszcze nie widziałam, żeby dziewczyna w prawie dwudziestocentymetrowych szpilkach była tak blisko biegu.

Odrącona na bok podparłam się o ścianę i spojrzałam za nią, ciężko dysząc.

– To wszystko twoja wina! – rzuciła przez ramię, po czym zniknęła w innym korytarzu. – Zniszczyłaś mi życie.

Z jakichś toksycznych, skrajnie niezdrowych powodów zrobiło mi się *lepiej*, jakby ktoś zdjął mi ciężar z ramion. Przynajmniej na chwilę. *Wiedziałam*, że to starcie jest nieuniknione. *Wiedziałam*, że będzie chciała mi coś zrobić.

Wszystkie dziewczyny pokroju Belli Wilkinson były takie same. Zgorzkniałe i wściekłe na świat, nie potrafiły niczego odpuścić. W przypadku Belli takim „czymś” był Johnny, a po spojrzeniu, które posłała mi tamtego dnia w autobusie, wiedziałam, że jestem na jej celowniku.

Przeżyłaś gorsze rzeczy niż złość wrednej dziewczynki, przypomniał mi cichy głos w głowie. Za trzy lata będzie ledwo migającym punkcikiem na twoim radarze.

Z tą świadomością wyprostowałam się sztywno i ruszyłam dalej, do skrzydła piątych klas. Obmyślałam całe przemówienie, ale wyleciało mi z głowy, gdy tylko go zauważyłam. Opierał się o szafkę z ramionami skrzyżowanymi na piersi, otoczony małą armią innych uczniów. Obok niego stała oparta o szafkę jedna samotna kula. Od razu rozpoznałam czterech innych chłopców: to Gibsie, Patrick Feely, Pierce O'Neill i Hughie Biggs. Innych znałam z widzenia z autobusu. Wiedziałam, że to jego koledzy z drużyny.

Gibsie coś mówił i wszyscy się śmiali. Johnny uśmiechał się na całego, aż widoczne były oba jego dołeczki. Mogłam sobie tylko wyobrażać, co Gibsie wymyślił – i jak to on, machał gwałtownie rękami – że wzbudził w Johnnym taką reakcję.

Jego ciemne włosy były ułożone rozkosznie niesforne i byłam prawie pewna – nie, przecież teraz już *wiedziałam* – że on się tak budził, w jego oczach tańczyło rozbawienie.

Następnie Gibsie i Hughie zaczęli na żarty walczyć, Hughie powalił Gibsiego na ziemię, tarzali się, a inni chłopcy się śmiali.

Obserwowałam ich interakcje jak przyspawana do podłogi, chłonełam to, jak swobodnie i beztrzesko Johnny wygląda w towarzystwie kolegów. I zrobiło mi się smutno.

Przy tobie nigdy tak nie wygląda, bo ty go nie uszczęśliwiasz. Czym miałabyś go uszczęśliwić? Jesteś jedną wielką komplikacją, rozbrzmiał uciążliwy głos w mojej głowie. Przyzwyczaj się do oglądania go z dystansu, Shannon, bo wkrótce wyjedzie. Będzie gwiazdą. Popatrz na niego, już lśni tak jasno, że aż oślepia...

Cała odwaga uleciała ze mnie wraz z jednym, rozedrganym wydechem, odwróciłam się gwałtownie i chciałam już tylko uciec... Jak najbardziej zwiększyć konieczny dystans między moim sercem a chłopcem, który je posiadał.

Tego wszystkiego było zbyt wiele. Uczucia, tłum, szkoła, moje życie...

– Shannon?

Idź dalej, może to nie on.

– Shannon *jak ta rzeka*, wracaj tu!

Złapana.

Zamarłam na środku korytarza, plecami do niego, i rozważałam opcje, które miałam: udawać, że za pierwszym razem go nie usłyszałam, czy po prostu wiać dalej? Mój wewnętrzny tchórz stawiał na opcję numer dwa, ale zmusiłam się, żeby po prostu *zostać*, oddychać i wszystko przemyśleć.

Nie chcesz uciekać przed Johnnym, powiedziałam w myślach samej sobie, to niedorzeczne. Nie boisz się go.

– Chciałaś mnie zignorować? – Jego głos rozległ się bliżej, boleśnie blisko, a gdy poczułam na łopatce muśnięcie jego palców, przeszedł mnie mimowolny dreszcz. – Hmm?

Wzięłam głęboki, uspokajający wdech, odwróciłam się i przybrałam na usta najbardziej promienny uśmiech, jaki zdołałam wykrzesać.

– Cześć, Johnny.

Johnny miał srogą minę, w jego niebieskich oczach, którymi całą mnie omiatał, widać było niezrozumienie. Boże, jaki on piękny. Trudno było się skupić, gdy mój wzrok ciągle dryfował ku jego ustom... Ku ustom, które poznałam w intymnym kontekście...

– Cześć, Shannon – odparł bez uśmiechu.

– J... jak się masz? – zapytałam nerwowo.

– Dobrze. Jak się czujesz?

– W porządku... – Uśmiech spełzył mi z ust dość szybko pod wpływem jego surowej miny. – Co się stało?

– Uciekałaś – odpowiedział, wyglądał na urażonego. – Przede mną.

– Och, nie, po prostu... musiałam... To znaczy, no, myślałam, że powinnam... – Westchnęłam z przygnębieniem, przygarbiłam się i przyznałam: – No...

Jego spojrzenie złagodniało.

– „No”, że uciekałaś czy że nie uciekałaś?

– Ja, eee... – Skrzywiłam się, czułam się boleśnie obnażona. Wywołał mnie do odpowiedzi bez owijania w bawełnę, jak to on. – Nie jestem pewna.

Przez jego pełne usta przemknął cień uśmiechu.

– Czego?

– Czy chciałaś, żebym tak po prostu tam do ciebie podeszła. To znaczy nie wiedziałam, czy chciałaś mnie widzieć... albo pogadać? Po tym, co zaszło z moją mamą, no i po prostu nie byłam pewna, czy chcesz jeszcze ze mną rozmawiać. – Westchnęłam bezmyślnie, bełkotałam bez sensu, miałam w tej chwili bardzo mało szacunku do siebie. – Nie wiedziałam, czego chcesz. – Znowu westchnęłam, spuściłam głowę. – *Nie wiem* – poprawiłam się cicho, prawie szeptem – czego chcesz.

– No to mnie zapytaj.

Stłumiłam odruch, żeby uciec i gdzieś się schować, i podniosłam na niego wzrok.

– Hę?

– Jeżeli chcesz wiedzieć, czego chcę, to zapytaj – powtórzył, zmniejszając przestrzeń między nami. – Wystarczy, że mnie *zapytasz*. – Delikatnie złapał mnie za łokieć. – Wtedy ci powiem.

– Czego chcesz, Johnny? – wychrypiałam, czując zawroty głowy.

– Na początek chcę, żebyś patrzyła mi w oczy, gdy ze mną rozmawiasz – odpowiedział, a jego niebieskie tęczówki wypalały dziury w moim wnętrzu. Wątpiłam, by kiedykolwiek udało się je czymś wypełnić. – Po drugie, chcę, żebyś przestała się przejmować rzeczami, nad którymi nie masz kontroli. Na przykład Darrenem albo swoją mamą.

– Ale nie wróciłaś – wypaliłam, po czym cała się zarumieniłam i natychmiast z tego wycofałam. Serce szalało mi w piersi, a ciało drżało pod wpływem mieszanki niepokoju i ekscytacji. – Przepraszam. Nie chodzi mi o to, że *miałaś* wrócić czy coś, nie oczekiwałam, że wszystko dla mnie rzucisz i przyjedziesz. Wiem, że jesteś bardzo zajęty, że masz rehab...

– Shannon, nie wróciłem, bo nie mogłem, a nie dlatego, że twoja mama mi zabroniła, i nie dlatego, że nie chciałem cię widzieć – wyjaśnił z nutą poczucia winy w głosie. – Nie wróciłem, bo *fizycznie* nie miałem jak się do ciebie dostać. Nadal nie mogę prowadzić, a mama nie spuszczała mnie z oka. Na miłość boską, zabrali mi nawet Gibsiego. Ale chciałem – westchnął ciężko. – Naprawdę chciałem cię, kurwa, zobaczyć.

Poczułam, jakby ktoś pozbawił mnie ogromnego balastu. Przez ostatni tydzień nie spałam, mało jadłam, a wszystko przez to, że dosłownie tonęłam w uczuciach i niepewności. Niewiedza mnie przerażała. Niewiedza co do tego, na czym stoję z Johnnym, była najgorsza ze wszystkich.

– Och.

– Próbowaliśmy dzwonić – dodał burkliwie. – Pisałem codziennie.

– Bateria padła – wyjaśniłam oszołomiona. – Nie miałam jak jej naładować.

– Zdechła bateria – westchnął, chyba z ulgą. – To ma sens.

– Nienawidzi mnie? – zapytałam, robiło mi się słabo. – Twoja matka?

– Nie, Shan, nie nienawidzi cię – odparł z bólem w głosie. – Myślę, że na tej planecie nie ma człowieka, który mógłby cię znienawidzić.

– Ale?

Skrzywił się.

– Mama po prostu...

– Po prostu co? – Moje tętno przyspieszyło, czekałam w strachu na to, co powie.

– Martwi się – powiedział w końcu. – Moi rodzice nie chcą, żebym do was chodził. Uważają, że to zły pomysł.

Zakłuło mnie w dołku.

O Boże, przecież ty cała jesteś jak zły pomysł.

Jego rodzice uważają, że ty jesteś dla niego złym pomysłem, Shannon.

Męczyłam dolną wargę, gryzłam ją tak mocno, że aż dziwne, że nie poczułam smaku krwi.

– Przepraszam. – Byłam zagubiona, złączyłam ręce, co było u mnie oznaką zdenerwowania, i westchnęłam. – Za wszystko.

Johnny wyciągnął rękę i założył mi włosy za ucho.

– Możesz mi wyświadczyć przysługę?

Kiwnęłam głową i powstrzymałam się, by nie wtulić policzka w jego dłoń.

– Oczywiście.

– Czy mogłabyś nie włączyć z powrotem do tej swojej skorupy za każdym razem, gdy nie widzimy się przez kilka dni?

Przełknęłam ślinę, popatrzyłam mu w oczy.

– Do skorupy?

– Do skorupy – potwierdził. – Nie rób mi tego, Shannon... Nie blokuj mnie. Nie odbieraj mi tego, co dałaś w tamten weekend. Jestem tym samym sobą, co tamtej nocy w moim domu... Tym samym, co zawsze, gdy byliśmy razem. Więc nie buduj między nami nowego muru, skoro pozwoliłaś mi już przejść przez poprzedni.

– Ja... nie zdawałam sobie sprawy, że to robię – przyznałam.

– Robisz to w tej chwili – burknął. – Robisz to cały czas.

– Ja... – Pokręciłam głową i bezradnie wzruszyłam ramionami. – Przepraszam?

– Nie przepraszaj – odparł. – Po prostu zacznij mi ufać, okej?

– Ufam ci, Johnny – wydusiłam, kiwając z zapalem głową, bo rozpaczliwie chciałam go o tym przekonać. – Ale pewnie mają rację... – dodałam, czując, że znów zakrada się do mnie niepewność.

– W sensie twoi rodzice. – Wypuściłam powietrze z płuc, dotknęłam swojego czoła i wybełkotałam: – Że to zły pomysł.

– Nie mają racji – zaprzeczył i brzmiał przy tym tak pewnie, że podniósł mnie tą pewnością na duchu. – Ja mam rację.

– Z czym?

– Mam rację co do ciebie.

Boże.

– Johnny, ale ja naprawdę jestem dla ciebie złym pomysłem – powiedziałam rozedrganym głosem. Musiałam mu to powiedzieć. Musiałam otworzyć przed nim drogę ucieczki, z której skorzysta, jeśli ma rozum. – Jestem mnóstwem kłopotów.

– Lubię te twoje kłopoty – odparł, zbliżając się.

– Moje życie jest skomplikowane.

– Chcę tych komplikacji.

– Chcesz? – wydyszałam na bezdechu.

Przytaknął powoli.

– Pytałaś, czego chcę? Wielu rzeczy, ale w największym skrócie: po prostu chcę ciebie. – Wzruszył ramionami i dodał: – I w sumie to mam nadzieję, że powiesz, że ty mnie też. – Zaśmiał się nerwowo. – Bo jeśli nie, to właśnie zrobiłem z siebie kompletnego durnia na środku szkoły...

– Ja chcę! – wypaliłam i od razu się skrzywiłam. – Ciebie, też. – Pokręciłam głową z rezygnacją i odetchnęłam: – Ja też ciebie chcę.

– Tak? – Rozpromienił się, wyraźnie mu ulżyło. – Uff, dziękuję, kurwa...

– I tęskniłam za tobą – wykrztusiłam, siłą wypychając z głowy każde słowo, które musiał usłyszeć. – Bardzo – dodałam, ofiarując mu kolejną cząstkę zaufania. – Tak bardzo.

– Tak? – Złapał mnie mocniej za łokieć i przyciągnął do siebie, aż się w niego wkleiłam. – Jak bardzo?

– W chuj bardzo... – wyszeptałam.

– W chuj bardzo? – parsknął, przekrzywiając głowę na bok. – To brzmi groźnie.

– Bo to jest groźne – potwierdziłam z przekonaniem. – Bardzo.

Johnny wyszczerzył zęby i pochylił głowę.

– Myślę, że mimo to zaryzykuję... – wyszeptał, po czym otarł się ustami o moje usta.

Raz – lekko jak piórko, drugi raz – już nieco mocniej, i trzeci... *O Boże...*

Jego język wsunął się w moje usta i pogłaskał mój. Oddech utknął mi w gardle, przymknęłam oczy.

Moje ręce wystrzeliły samowolnie naprzód, złapały jego granatowy sweter, a ja odwzajemniłam pocałunek. Oddałam mu wszystko, co w tej chwili miałam, bo już nie mogłam ani nie chciałam powstrzymać eksplodujących we mnie uczuć. Uczuć skupionych wyłącznie na nim.

Wiedziałam, że ludzie nas widzą, przecież staliśmy na środku korytarza, jego kumple z drużyny czekali kilka kroków dalej, ale miałam to już gdzieś. Słyszałam dzwonek wzywający na lekcje, słyszałam wokół głosy, ludzi wołających nasze imiona i gwizdzących z uznaniem, ale nie znalazłam w sobie siły woli, żeby się od niego oderwać. Nie znalazłam w sercu siły, żeby się tym wszystkim przejmować.

Johnny trzymał mnie za łokieć i mocno do siebie przytulał, a wolną rękę zanurzył w moich włosach, przytrzymując mi głowę, i każdym ruchem języka przekonywał, że naprawdę lubi „te moje kłopoty”.

Boże...

Dzwonek rozległ się ponownie i nagle spowiła nas cisza.

Przywarłam do niego rozedrgana, próbowałam jakoś opanować wybuchający we mnie żar. Ciśnienie w piersi było niemal nie do zniesienia, jęknęłam w jego usta, równocześnie pragnęłam więcej i chciałam, żeby przestał. Nie byłam w stanie dłużej powstrzymać eksplodującego w środku mnie uczucia. Moje serce zeskoczyło z obranego kursu i skierowało się prosto na Johnny'ego, i tego też nie mogłam powstrzymać.

– Czekaj, czekaj, czekaj... – Johnny przerwał pocałunek i spojrzał na mnie z góry, ciężko dysząc. – Jesteś już moją dziewczyną, tak?

Oszołomiona odgięłam szyję, spojrzałam na niego i bąknęłam:

– Co?

– Moją dziewczyną – powtórzył lekko zdenerwowany. – Jesteś nią?

– Eee, ja... ja...

– Bo nigdy wcześniej tego nie robiłem. – Rozejrzał się po opustoszałym korytarzu, po czym znów skupił się na mnie. – I muszę wiedzieć, na czym stoję.

– Och... – Wzruszyłam ramionami. – Ja też tego nie robiłam.

– Cholera, no tak, sorry... – Znowu westchnął nerwowo, wyglądał na onieśmiałego. – To co, jesteś?

Chciał, żebym potwierdziła, że jestem jego dziewczyną, czy prosił, żebym nią została? A może pytał, czy uważam, że nią jestem? Boże, nie wiedziałam, mój mózg wirował, a serce uważało, żeby nie wyciągać pochopnych wniosków, bo bałam się, że odczytuję to wszystko niewłaściwie.

– Nie wiem – odparłam w końcu. – Jestem?

Johnny musnął delikatnie knykciami mój policzek.

– Mam, kurwa, nadzieję.

– Tak? – Zalało mnie poczucie głębokiej ulgi. – Ja też – wyszeptałam.

– A ja jestem twój. – Wyszczrzył się i jego dłoń zjechała z łokcia na mój tyłek. Ścisnął go lekko, ale potem mnie puścił i się odsunął. – Żebyś też wiedziała, na czym stoisz.

Serce tak mocno waliło mi o żebra, że bałam się, że zemdleję.

– Och... Okej...

Następnie zaczął wyciągać koszulę zza paska, żeby zakamuflować spore wybrzuszenie w spodniach szkolnego mundurku.

– Podobno mam robić księgowanie dwustronne z Doyle'em. Nie mam, kurwa, pojęcia, jak ja się skupię na arkuszach kalkulacyjnych... – wyjaśnił z krzywą miną. – A ty na co się spóźnisz?

– Ja, ach... – Potrząsnęłam głową, próbowałam skupić myśli, ale ciągle zjeżdżałam wzrokiem na wyraźnie widoczną erekcję. – Powinnam być na matmie.

Gdy zauważył, że się gapię, wzruszył wstydliwie ramionami.

– To, no... pewnie często będzie mi się przy tobie zdarzało... – tłumaczył i pokręcił lekko głową. – Ale wiedz, że nic sobie nie wyobrażam, okej? Po prostu to zignoruj, zaraz przejdzie.

Co jeśli nie chcę tego ignorować?

– Okej – westchnęłam. – Rozumiem.

Czując, że ziemia znowu pode mną drży, patrzyłam, jak Johnny wraca sztywno do swojej szafki, zarzuca plecak na ramię, bierze kulę i wraca z nią do mnie.

– Nie powinieneś się na niej podpierać? – zapytałam, gdy objął mnie ramieniem i odprowadzał do skrzydła trzecich klas, swobodnie kręcąc kulą w ręce jak paradną pałką.

– Spowalnia mnie – stwierdził, przytulając mnie mocniej do boku.

– Chyba o to chodzi... – odparłam cicho, zatrzymując się przed klasą. – Bo powinieneś *zwolnić*, Johnny.

– Czyli tak to będzie mieć dziewczynę, co? – zapytał zadziornie, ale na szczęście w końcu podparł się na kuli. – Będziesz mnie rozstawiała po kątach i mówiła, co mam robić?

– Nie – zawstydziałam się. – Mówię tylko, że dostałeś tę kulę z jakiegoś powodu.

– Tak, wiem – westchnął, puścił mnie i stanął do mnie przodem. – Więc posłuchaj, chciałem od razu zapytać, jak u ciebie sprawy w domu, ale dałem się porwać chwili.

Poczułam, jak na wspomnienie o domu znów wzbiera we mnie napięcie.

– Taty dalej nie ma – powiedziałam cicho. – Jeśli o to pytasz.

– Ani śladu?

– Według policji nie – odparłam, wzruszając ramionami.

– Cholera – warknął nerwowo. – To już ponad dwa tygodnie. Jakim cudem jeszcze go nie znaleźli?

– Jest okej – wzruszyłam ramionami. Na myśl o ojcu robiłam się coraz bardziej spięta. – Nie spodziewam się żadnych cudów.

– Nie, wcale nie jest okej – odparował żarliwie. – Ale ty będziesz okej.

– No... – Zadrżałam, weszłam w jego objęcia i oparłam czoło o jego tors. – Może będę.

– Możemy zrobić coś razem po szkole? – zapytał po chwili, ocierając się policzkiem o moje włosy. – Możesz pójść do mnie?

Boże, chciałabym.

– Nie.

– Nie? – Spojrzał na mnie poważnie. – Shan, jeżeli myślisz, że moi rodzice nie chcą cię u nas widzieć, to się mylisz.

– Darren mnie odbiera – przyznałam niechętnie. – Zapowiada się, że od teraz będzie mnie przywoził i odbierał.

Johnny jęknął, opuścił rękę na moje lędźwie i przyciągnął mnie bliżej.

– Wkurwia mnie to.

Przymknęłam oczy i cała spięta z nerwów się w niego wtopiłam.

– Przepraszam.

– Nie przepraszaj – powiedział, głaszcząc mnie po plecach. – Będzie dobrze. Nabieram sił. Robię fizjoterapię i resztę tego gówna. W przyszłym tygodniu, gdy odzyskam samochód i wrócę za kółko, będzie nam łatwiej. Będę siedział im na karku, stanę się ich koszmarem... – warknął na koniec.

– Przepraszam, że mówili o tobie takie rzeczy – powiedziałam. – To było bardzo złe.

– Shan – odparł – ani trochę się tym nie martw.

– Ale się martwię.

– Wiem, że się boisz, ale ja ani się nie boję, ani się nie martwię – stwierdził szorstko. – Cała twoja rodzina może sobie mnie nie lubić, mam to gdzieś. Niech sobie nie lubią, pozwól im. Mnie interesuje tylko, czy ty mnie lubisz, bo tylko na tobie mi zależy.

– Joey cię lubi – wychrypiałam.

– Tak? – parsknął.

Kiwnęłam głową.

– A on nie lubi nikogo.

– Dobrze wiedzieć, że mam aprobatę starszego brata – zarechotał. – A, byłbym zapomniat... – Wsadził rękę do kieszeni, wyciągnął telefon, który wyglądał na drogi, i nie licząc tego, że był różowy, wyglądał identycznie jak jego czarny. – Masz może moją komórkę? – zapytał, wystukując coś na ekranie różowego.

– Och... – wsunęłam rękę pod sweter, wyciągnęłam jego wyłączony telefon z kieszeni koszuli i mu go oddałam. – Tak, przepraszam... Eee, jeszcze raz dziękuję, że pozwoliłeś mi z niego skorzystać.

Johnny schował swój telefon do kieszeni, a mnie podał różowy.

– Co to? – zapytałam, patrząc tępo na urządzenie.

– Należy do ciebie – odpowiedział. Ściągnął plecak, wyjął z przedniej kieszeni ładowarkę i zaczął chować ją do mojego plecaka.

– Co... co ty robisz?

– Należy do ciebie – powtórzył, patrząc mi w oczy. – Ma wbudowany odtwarzacz MP3, wgrałem ci masę dobrej muzyki. Ma załadowany abonament, wklepałem ci mój numer i numery do Claire, Joeya i Gibsiego, ale resztę kontaktów będziesz musiała wprowadzić sama.

Szczęka mi opadła.

– Kupiłeś mi telefon?

– Potrzebny ci, a ja przegapiłem twoje urodziny. – Wzruszył ramionami, jakby to wcale nie była kolosalna sprawa. – Więc akurat.

– Podarowałeś mi kolację na urodziny – wyszeptałam zawstydzona.

– Podarowałem ci pierdolone cheeriosy – burknął, jakby był zły na samego siebie.

– I tosty – dodałam pośpiesznie.

– Nie przypominaj mi o tym – jęknął.

– Kiedy go kupiłeś?

– Kilka dni temu, po zabiegach – odpowiedział, bacznie mi się przyglądając. – Jesteś o to zła?

– Nie, nie jestem zła – wykrztusiłam oszołomiona. – Ale nie mogę go przyjąć. – Spuściłam wzrok na telefon, który musiał kosztować przynajmniej kilkaset euro. – To zbyt wiele – westchnęłam. – Jest za drogi.

– Należy do *ciebie* – powiedział. – Więc po prostu schowaj go do kieszeni i nie próbuj odprawić mnie do domu z różową komórką – parsknął, po czym dodał: – Gibsie nigdy by mi tego nie odpuścił.

– Ale nie musiałeś tego dla mnie robić...

– Shannon, będę dla ciebie robił wiele rzeczy. – Johnny zabrał telefon z mojej dłoni i wsunął go do kieszeni mojej koszuli. Gdy musnął mnie tam palcami, zadrżałam. – I kupię ci masę rzeczy. – Cofnął się, nie odrywając ode mnie wzroku, i nonszalancko wzruszył ramionami. – Uczciwie ostrzegam.

– Ale ja *nie potrzebuję* prezentów. – Przyłożyłam rękę do czoła, byłam rozgorączkowana i spięta, a spoczywający w kieszeni telefon mocno ciążył mi na sumieniu. – Johnny, ja nie jestem jedną z tych dziewczyn, które tylko patrzą, co mogą z ciebie wycisnąć. Nie jestem Bellą – dodałam, błagając wzrokiem, żeby mi uwierzył.

Potrzebuję tylko ciebie.

– Shannon, przecież ja o tym wiem – odparł nachmurzony. – Jezu, nawet tak nie myśl.

– Nie mogę dać ci nic w zamian – wydusiłam to samo, co w zeszłym tygodniu, modląc się, by mnie zrozumiał. – *Nie mam niczego*, czym mogłabym się odwdziaczyć.

– Możesz do mnie zadzwonić.

– Zadzwonić?

Uśmiechnął się półgębkiem.

– I napisać.

– Bądź poważny – powiedziałam błagalnie.

– Jestem. – Podszedł bliżej. – Jeśli chodzi o ciebie, jestem cholernie poważny.

Boże...

– Muszę mieć możliwość, żeby z tobą porozmawiać. – Przesunął rękę na moje biodro, przyciągnął mnie bliżej. – Żeby wiedzieć, że wszystko gra. – Wypuścił powietrze z płuc i zacisnął palce, rozpalając we mnie jakąś obcą potrzebę. – Nie mogę siedzieć w domu i nie wiedzieć, co się u ciebie dzieje. Co się dzieje w twoim domu – dodał, a jego wzrok zaszedł mrokiem.

– Johnny...

– Shannon, nie wytrzymam tego – wszedł mi w słowo. – Nie masz pojęcia, jak domyśły, czy przypadkiem nie wrócił, brak pewności, czy jesteś bezpieczna, jebią mi w głowie. Za każdym razem, gdy myślę o tobie w tym domu, wpadam w ślepią panikę. *Dosłownie* doprowadzam się do szaleństwa, przerabiając w myślach wszystkie najgorsze scenariusze, gdy cię nie widzę.

– Ale u mnie już wszystko dobrze – zapewniłam go pośpiesznie. – Naprawdę.
– Może – odparł cicho. – Ale i tak chcę mieć z tobą kontakt...
– Telefoniczny – dokończyłam za niego.
– Tak. – Przesząpił z nogi na nogę, wyglądał na skrupowanego. – To chyba dobry moment, żeby przyznać, że mam lekką obsesję na punkcie rzeczy, które kocham, nie?

Znowu to słowo.

– To nic – bąknęłam.
– Wcale nie – burknął. – Już wcześniej było ciężko, gdy z tym walczyłem, ale teraz ja po prostu... – jęknął cierpiętniczo. – Po prostu chcę z tobą być. – Wzruszył ramionami jak bezradne dziecko. – Cały, kurwa, czas.

– Ale to się może zmienić... – wydukałam, drżąc od siły jego słów.

– Nie liczyłbym na to – odparł.

Nie martw się, nie liczę.

– Gdy już odzyskam auto, będziemy mogli spędzać razem więcej czasu poza szkołą, może wtedy paranoja trochę mi przejdzie – kontynuował. – Będiesz mogła przyjeżdżać do mnie i dawać mi wycisk na PlayStation albo pojedziemy do Biddies. Co będziesz chciała.

– Naprawdę nie sądzę, by twoi rodzice chcieli mnie gościć – wyznałam, przygryzając mocno dolną wargę. – Wiem, że masz inne zdanie, ale ja sobie nie wyobrażam, by chcieli, żebyś spędzał ze mną czas – westchnęłam. – I nie winię ich, Johnny.

– Shannon, ale ja nie spędzam z tobą czasu, ja z *tobą jestem* – odpowiedział stanowczo. – I przysięgam, że moi rodzice nie mają z tobą problemu.

Na pewno...

– Mówię poważnie, Shan – dodał, patrząc mi w oczy. – Naprawdę cię lubią.

Nie uwierzyłam w ani jedno słowo, ale zachowałam to dla siebie. Zamiast tego bez zapału wymamrotałam:

– To dobrzy ludzie.

– Ty jesteś dobrym człowiekiem – rzucił, świdrując mnie tymi niebieskimi oczami. – Ty, Shannon, *jestes dobra*, i moi rodzice o tym wiedzą, wszyscy wiedzą. Przede wszystkim ja. Więc nie pozwól, żeby własna głowa ci wmówiła, że jest inaczej.

Przeszedł mnie dreszcz.

– Boże, Johnny, żałuję, że nie możemy...

– No chodź, Kudłaty! – Powietrze przeciął głos Gibsiego, wystraszyłam się i odskoczyłam od Johnny'ego. Kilka sekund później wyłonił się ze schodów, wskakując po stopniach jak labrador podniecony na widok swojego pana. – O... cześć, mała Shannon.

– Cześć, Gibs – odparłam nieśmiało, po czym spojrzałam na Johnny'ego. – *Kudłaty?*

– Nie wnikaj – westchnął ciężko.

– Och... okej. – Ściągnęłam brwi.

– Dobrze wyglądasz, dziewczyno – oświadczył Gibsie z uśmiechem, po czym ściągnął plecak z ramienia Johnny'ego i zarzucił go na swoje. – Przerywam spotkanie po latach rozłąki z bólem serca, ale twój chłopcaś musi zawlec dupsko na lekcje. Stary, nie uwierzysz w to, kurwa, ale pani Moore przyjęła moją sugestię! – dodał z ekscytacją w oczach.

Johnny gapił się na niego przez chwilę, ale w końcu dotarło do niego, o co chodzi, i otworzył szeroko usta.

– Żartujesz sobie?!

– Jestem cholernie poważny. – Gibsie dosłownie skakał w miejscu. – Prosiłem o to całe miesiące temu i założyłem, że mnie zignorowali przez tę gównianą gadkę o spotkaniu absolwentów przed Bożym Narodzeniem, ale pomyliłem się. *Wysłuchali mnie*, stary! Wszystko gotowe i w ogóle! Przysięgam, że to najwspanialszy dzień!

– Naprawdę sprowadzą je na wykład? – dopytywał Johnny.

Gibsie pokiwał z zapalem głową.

– Nie ma za co.

– Jezu... – jęknął Johnny. – Cała szkoła się obsra.

– Jaką sugestię? – usłyszałam własne pytanie.

Johnny zerknął na mnie niespokojnie.

– Ech, naprawdę wolisz nie wiedzieć.

– Będą trzy, stary – dodał zachwycony sobą Gibsie. – Trzy, Johnny! Trzy, kurwa!

– Co trzy? – zapytałam naprawdę ciekawa.

– Pielęgniarki – wymamrotał Johnny, drapiąc się po policzku.

– Pielęgniarki? – zmarszczyłam brwi.

Johnny otworzył usta, żeby mi odpowiedzieć, ale Gibsie go uprzedził.

– Nie jakieś tam byle pielęgniarki. Pielęgniarki od seksu – powiedział, po czym puszczając do nas oko, dodał: – I wyglądają *zupełnie inaczej* od tych, które dziś z rana wymacały ci jaja.

– Hę? – Wybałuszyłam oczy.

– Chryste, to nie tak... – Johnny był równie oszołomiony jak ja. – I to nie są żadne pielęgniarki od seksu, jełopie – dodał wkurzony. Przeczesał włosy dłonią, zmrużył oczy i dodał: – To normalne pielęgniarki, po prostu pracują w klinice seksuologicznej.

– *Wiem* – odparł Gibsie radośnie. – To jeszcze lepiej!

Johnny uniósł brew.

– Czy ty w ogóle wiesz, czym się zajmują w takiej klinice?

– Wiem, że rozdają *darmowe* kondomy, lizaki i buteleczki wazeliny – stwierdził w uniesieniu. – Tyle mi wystarczy. – Łupnął Johnny'ego w plecy i pobiegł z powrotem na dół, ze schodów jeszcze wołając: – Chodź... Opróżniłem mój plecak. Zaoszczędzimy dziś pierdoloną fortunę.

Zerknęłam na Johnny'ego, który patrzył za przyjacielem z cieniem trwogi na twarzy.

– Jak myślisz, jak tam jest... W jego głowie?

– Chyba wesoło? – odparłam, wzruszając lekko ramieniem.

– Hmm... – Zamyślił się i znów do mnie odwrócił. – Posłuchaj, chcesz olać lekcję i...

– Johnny, no chodź! – ryknął na całe gardło Gibsie. – Bo przegapisz prezentację, do cholery!

– Jezu – skrzywił się Johnny. Pochylił się i pocałował mnie w policzek. – Lepiej już pójdę i... wezmę go na smycz.

– Jasne – bąknęłam, patrząc coraz bardziej zarumieniona, jak biegnie za przyjacielem. – Pa, Johnny.

– Pa, Shannon! – zawołał przez ramię, zmagając się ze schodami. – Widzimy się na przerwie obiadowej, okej?

– Tak. – Wypuściłam powietrze z płuc. – Widzimy się.

– A tak na marginesie: ja tego nie zrobię – zawołał zaraz po tym, jak się zatrzymał i do mnie odwrócił. – Więc się nie martw!

– Czego?

– Nie wypełnię plecaka.

Chciałam coś odpowiedzieć, ale tylko mimowolnie otworzyłam szeroko usta.

Johnny zarechotał cicho i zniknął na klatce schodowej, zostawiając mnie samą.

Musiałam tak stać – nieruchoma jak posąg i wpatrzona w schody jak cielę – bite pięć minut, bo gdy w końcu wyrwałam się z tego otępienia, byłam zeszywniała, a nogi miałam jak z galarety.

W końcu niechętnie się odwróciłam, złapałam plecak za paski i zmusiłam się, by pójść na lekcje.

Rozdział 28

Schowaj to Johnny

– Miło, że do nas dołączyliście, chłopaki – warknął trener Mulcahy, gdy wpadliśmy z Gibsiem do sali wypakowanej po brzegi uczniami piątych i szóstych klas. – Macie tylko kwadrans spóźnienia. – Oparł się o biurko, skrzyżował ramiona na torsie i surowo kiwnął na nas głową. – Siadać, gdzie się da, byle szybko. Nasi goście chcą ruszać z prezentacją.

– Cześć wam... – mruknął Gibsie, puszczając oko trzem naprawdę atrakcyjnym kobietom czekającym obok trenera. – Słodkie panie, chcę was tylko powiadomić, że mam siedemnaście lat, jestem singlem i zgłaszam stuprocentową gotowość do odegrania roli królika doświadczalnego i do udziału we wszystkich *ręcznych* demonstracjach...

– Daj paniom spokój, Gibsie – warknął natychmiast trener, ignorując rechoty całej sali. – Idź na tył... I *nie siedzisz* z Kavanaghem, Feelym ani Biggsem, znajdź sobie gdzieś inne miejsce.

Pokręciłem głową, sam wypatrzyłem wolną ławkę w piątym rzędzie po lewej i ruszyłem w jej stronę, olewając ciekawskie spojrzenia innych uczniów. Pierdoleni debile. *Można by przysiąc, że pierwszy raz w życiu widzą kulę ortopedyczną.*

– Proszę pana, ja i tak gadam ze wszystkimi – odpowiedział trenerowi Gibsie i zarechotał. – A tylne rzędy są zapełnione. Wygląda na to, że będę musiał siedzieć z przodu, przy was – dodał, podrygując wymownie brwiami.

– Ja ci zaraz usiądę z przodu... – Trener przeschukał wzrokiem tył sali i wskazał palcem. – Bella, przesiądź się do Kavanagha. Gibsie, zajmij jej miejsce.

Nie...

Panie Boże, dlaczego?

– No dobra – nadał się Gibsie. – Ale w takim razie zabieram to – powiedział, porywając z biurka pudełko chusteczek, po czym położył na tył i zanim usiadł, pieczołowicie wytarł miejsce po Belli. – W dzisiejszych czasach lepiej dmuchać na zimne.

– Wszystko dobrze, Kavanagh? – rzucił za mną trener, gdy manewrowałem w ciasnych rzędach, ignorując mordującą mnie spojrzeniem dziewczynę, która czekała przy mojej pierdolonej ławce. – Chcesz poduszkę pod tyłek?

– Nie, proszę pana – wycodziłem, opuszczając się ostrożnie na krzesło, żeby przypadkiem się o *nią* nie otrzeć. – Moja dupa ma się świetnie.

– Na pewno? – dopytywał, przyglądając mi się sceptycznie. – Nie potrzebujesz pomocnej dłoni?

Dotarł do mnie rechot Hughiego i Feely’ego, którzy przyczaili się z tyłu sali. Gibsie, usadzony dwa rzędy za nimi, leżał już na ławce ze śmiechu.

Odwrociłem się i niezbyt dyskretnie pokazałem im środkowy palec.

Gibsie zrewanżował mi się, wsadzając łapska pod blat i udając, że sobie wali... i tak bardzo zaangażował się w ten popis, że przewrócił ustawioną na biurku stertę podręczników.

Cudownie.

Cudownie, kurwa.

– A ust? – syknął mi na ucho znajomy głos.
Odwróciłem się gwałtownie i spiorunowałem ją wzorkiem.
– Coś ty do mnie powiedziała?
Przewróciła oczami.
– To był żart, Johnny.
– Myślisz, że skoro jesteś dziewczyną, to możesz gadać takie bzdury? – syknąłem.
– Wyluzuj się – prychnęła, stukając w ławkę długimi pazurami. – Chciałam tylko zag...
– Zagadać – dokończyłem za nią z kamienną miną. – Tak, kumam. – *Pierdolone podwójne standardy.* – Więc pozwól, że teraz ja cię zagadnę: nie odzywaj się do mnie, kurwa.
– Jesteś palantem – syknęła, celowo szturchając mnie łokciem. Chyba chciała, żeby mnie zabolalo, ale jedynie jeszcze bardziej mnie zirytowała. – Więc co się dzieje z tobą i tą Lynch?
Zacisnąłem zęby, odchyliłem się na krzesło, skrzyżowałem ręce na piersi i sumiennie ją ignorowałem.
Nie karm jej szaleństwa.
Nie karm jej szaleństwa.
– Odpowiadaj – szepnęła wściekle.
Panie, dodaj mi sił...
– Lepiej odpowiedz, bo i tak będę...
– Jest moją dziewczyną – rzuciłem, tracąc zimną krew. – A teraz przestań do mnie, kurwa, gadać.
– Twoją dziewczyną? – zapytała z niedowierzaniem.
Kiwnąłem sztywno głową i próbowałem skupić uwagę na pielęgniарce wymieniającej z pomocą wyświetlanych na projektorze slajdów choroby przenoszone drogą płciową.
– Odbiło ci – warknęła na mnie Bella. – Po co ci dziewczyna? Wyjeżdżasz za kilka miesięcy.
Nie kłóć się z dziewczynami.
Nie kłóć się z dziewczynami.
– Ach, już czaję... – powiedziała przeciągle. – Żal ci jej.
Niestety zdobyła moją uwagę, odwróciłem się do niej gwałtownie i wycedziłem:
– Słucham?
– Shannon – prychnęła Bella. – Biedna, spierdolona Shannon ze złego domu, ze złym tatusiem, a ty łkasz te łzawe historyjki... Tylko spójrz na Gib... – dodała.
– Nawet się nie waż – warknąłem ostrzegawczo, zaciskając pięści.
– Źle ci przez to wszystko, więc ciągniesz to przedstawienie – gadała dalej. – Wiedziałam, że ta sprawa musi mieć drugie dno. Przecież to nie miało sensu, że w ogóle patrzysz na taką jak ona...
– Niech ktoś zamieni się ze mną miejscami! – ryknąłem na całe gardło, wszyscy się na mnie obejrżeli, a prowadząca wykład pielęgniarka aż podskoczyła. – Czy ja wyglądam na jakieś dzieło sztuki? – warknąłem, sztywno wstając. – No to przestańcie się, kurwa, gapić i przesiadać się. Już!
– Kavanagh! – rzucił trener, nie wiedząc, co się dzieje. – O co chodzi?!
– Proszę ją ode mnie zabrać albo znaleźć mi inne miejsce – wysyczałem przez zaciśnięte zęby.
– Bo naprawdę oszaleję.
Trener oczywiście potraktował mnie poważnie, bo bez wahania rozkazał:
– Bella, zamień się miejscami z Gibsiem.
– Łuuuu! – zawył Gibs z tyłu.
– A czemu niby ja się mam przesiadać? – zapytała obruszona. – To on ma jakiś problem.
– Bo tak mówię – odparł szorstko trener. – Ruszaj się!

– Preferencyjne traktowanie, bo jest pańską gwiazdeczką – wycharczała, gwałtownie wstając. – Ciesz się swoim związkiem z litości – syknęła mi na ucho, uderzając mnie mocno krzesłem w nogę. – Kaleka.

– Ruszaj się... – mruknął ostrzegawczo trener. – Już, Bella!

Przez moją nogę przetoczyła się fala bólu, ale zacisnąłem zęby i gdy wychodziła z ławki, zachowałem stoickie milczenie, bo bałem się, że wypowiem jedno zbędne słowo i eksploduję.

– Słyszałaś, co pan trener powiedział – rzucił szyderczo Gibsie, opierając się o ławkę. – Ruchy, diabelska pizdo.

– Wypierdalaj, Gibsie – fuknęła, przechodząc na tył sali.

– Wszystko gra, stary? – Gibsie przeszedł za mną i usiadł obok, poklepując mnie po plecach. – Zrobiła ci krzywdę?

– Nie, jest git. – Oparłem się wygodnie, rozprostowałem nogi i pierwszy raz, odkąd weszliśmy do sali, spokojnie odetchnąłem. – Po prostu jest jebnięta.

– Oj, tak... – odparł z namysłem. – A teraz posłuchaj, mam plan... – Oparł łokcie na blacie, złączył dłonie i spojrzał ze skupieniem na przód pomieszczenia. – Gdy zaczną rozdawać darmowe fanty, ja otworzę szeroko plecak, a ty przesypuj, ile się da, okej?

– Jesteś głupi – zarechotałem.

– Mówię poważnie – odparował, nie odrywając wzroku od pokaznego pojemnika z prezerwatywami stojącego na biurku.

– Jezu, ty naprawdę mówisz poważnie – stwierdziłem, patrząc na niego z niedowierzaniem.

– Są już moje – odparł, szczerząc się szelmowsko. – Biorę wszystkie.

– Nie masz za grosz pieprzonego taktu – burknąłem na najlepszego kumpla, patrząc na niego krytycznie nad stołem. Wykład na temat świadomości seksualnej, który Gibsie przypadkiem nam zorganizował, przeciągnął się na trzy lekcje, z tylko jedną króciutką przerwą, bo jakaś blond kretyńka ciągle zasypywała pielęgniarki pytaniami. Zaraz później miałem francuski i historię i mógłbym przysiąc, że z braku pożywienia spadł mi poziom cukru. – Często gadasz, że to mnie brakuje taktu, ale popatrz na siebie. – Spuściłem wzrok na stojący przede mną plastikowy pojemnik, po czym rozerwałem widelcem kawałek piersi kurczaka. – Bijesz wszystkich na głowę, stary.

– *Ja?* – zapytał, unosząc brew w zdumieniu.

– Tak, ty – odparłem, kiwając głową na jego torbę z „zapasami”, z której się wylewało, a której zawartość wysypał na stolik, gdy tylko usiedliśmy. Wyczyściłem pojemnik na lunch z całego mięsa i warzyw, po czym mówiłem dalej: – Co chcesz z tym wszystkim zrobić? Balony wodne? Bo nie zużyjesz wszystkich. To psychologicznie *niemożliwe*.

– *Psychologicznie?* – zachnął się. – Stary, musisz czasami wyjąć łeb z książek – powiedział, a przynajmniej tak mi się wydawało. Trudno było go zrozumieć, gdy z ust sterczało mu pół tuzina lizaków.

– Ile zamierzasz zakładać naraz? – zapytałem, odkręcając butelkę wody. – Sześć? Bo to chyba jedyny powód, żeby wypełniać gumami plecak po jebane brzegi, Gibs. – Pokręciłem głową i osuszyłem butelkę, robiąc cztery solidne hausty. – Za rok będą po terminie i co wtedy?

– Gadaj, co chcesz, ale ja jestem praktyczny – odparł, ciamkając głośno swoje lizaki i spoglądając z dumą na darmową zdobycz. – I rozsądny. – Przeglądał z osiemdziesiąt różnokolorowych opakowań prezerwatyw, a na lewo od swojej kanapki ułożył z nich zgrany stosik. – Jeden z nas musi być.

– „Jeden z nas musi być”? – powtórzyłem. – Mówisz poważnie? Naprawdę myślisz, że to ty jesteś tu tym rozsądnym?

– Cóż... A gdzie masz *swoje* kondomy, Johnny?

Zmrużyłem oczy.

– Nie uprawiam seksu, więc nie potrzebuję.

– Och, pewnie – przewrócił oczami i spojrzał teatralnie w sufit. – Wielu tak mówiło tuż przed tragedią, stary.

– Wyglądasz jak idiota – oświadczyłem. – Weź spakuj to z powrotem, co?

– Dlaczego?

– Bo wszyscy cię widzą.

– I niby czemu mam się tym przejmować? – odparł niewzruszony. – Jebać wszystkich. – Wyszczerył się i poruszył oblesnie brwiami. – Po prostu się boisz, że twoja *dziewczyna* to zobaczy – zarechotał, pokręcił głową i wrócił do układania kupek. – Stary, nie wierzę, że się wypisałeś – westchnął dramatycznie. – Więc chyba zostaliśmy sami z Feelym... skoro wy z Hughiem postanowiliście sami wyjechać się w dupy.

Słodki Panie Jezu, proszę, daj mi wytrwałości, bym mógł zmierzyć się z tym całym dzisiejszym szaleństwem...

Oparłem się na krzesło, zacisnąłem w ręce butelkę i doskonaliłem sztukę opanowywania się przed uduszeniem najlepszego kumpla.

– Musisz schować ten szajs – wycodziłem, gdy odzyskałem na tyle spokoju, żeby znów się odezwać. Rozejrzałem się po stołówce za Shannon, ale nigdzie jej nie było. – Mówię serio, Gibs.

– Wszystko nie po naszymu... – powiedział, przyglądając się badawczo etykietkom. – Nie rozumiem instrukcji.

– A co tu wyjaśniać? – rzuciłem. – Rozwijasz to sobie na kutasie, gdy jesteś gotowy, i zwijasz, gdy skończysz. Powiedziałbym, że cały proces jest zrozumiały sam przez się, stary.

– W każdym razie ten stosik jest dla ciebie – poinformował. – Skoro okazałeś się taką pizdeczką, że nie załatwiłeś sobie towaru sam.

– Mówiłem ci już, że *nie potrzebuję* prezerwatyw – wycodziłem coraz bardziej zdenerwowany. *Nie potrzebuję pokus*. – A gdybym potrzebował, zdobyłbym je, bo może w to nie wierzysz, Gibs, ale świetnie ogarniam własne sprawy. Od lat trzymam się z dala od kłopotów.

– To prawda. – Wzruszył ramionami nieporuszony. – Ale to było, zanim dałeś się zaobrączkować.

Tak, należało przyznać, że tego poranka zachowałem się jak buldożer, ale niczego nie żałowałem. Pierwszy raz od miesiący czułem, jakbym w końcu zrozumiał coś z własnych uczuć. Jakby ta część mojego życia zaczynała pasować do reszty układanki.

Przycisnąłem ją za mocno i za szybko? Prawdopodobnie. Powinienem działać trochę wolniej? Raczej na pewno.

Tak czy siak, nie zamierzałem się wycofywać.

– Z Shannon jest inaczej – warknąłem, wyrывая się z zamyślenia. – Więc schowaj te gummy, zanim tu przyjdzie i ją wystraszysz.

– No tak, tak, z Shannon jest inaczej – przyznał. – Jest znacznie *gorzej* i znacznie bardziej niebezpiecznie, bo dałeś się uwikłać w wielkie, tłuste uczucia, co nie, kochaneczku? I mówię ci, że twoją dzielną postawę będzie można o kant dupy rozbić, gdy z gołymi jajcami dasz się porwać chwili i będzie zasysała cię ciaśniutka, dziewicza cipka. Zapytaj byle biedaka, który w naszym wieku chodzi z dzieciakiem na rękach albo nieustannie goni po sklepach za słoiczkami. –

Przesunął stertę gum w moją stronę jak żetony pokerowe, po czym dodał: – Po prostu się o ciebie troszczę. Więc masz... Bierz te dla dużych chłopców.

– Gibs, nie mam dziś do ciebie nerwów – krzyknąłem, wyrzucając ręce w górę w geście czystej rozpaczy. – Naprawdę.

– Weź je.

– Nie.

– Weź je.

– Nie.

– Tak.

– Zmienili ci dawki leków?

– Ostatnimi czasy nie, weź je.

– Jezu, Gibs...

– Bierz te gumy albo urządzę scenę.

– No dobra! – Złapałem dwie garści foliowych paczuszek, wcisnąłem je do kieszeni i spojrzałem na niego wściekle. – Zadowolony?

Wyszczерzył się od ucha do ucha.

– Ty będziesz zadowolony... gdy porwie cię chwila.

– Świetnie, dziękuję ci, Gibs, że dbasz o bezpieczeństwo mojego fiuta. Czy teraz mógłbyś je schować? – zapytałem błagalnie.

Przytaknął, zabrał się za zsuwanie wszystkiego do plecaka, a ja opadłem na oparcie krzesła z ulgą. Ostatnie, czego chciałem, to żeby Shannon nakryła nas na wymienianiu się prezerwatywami jak jakimiś pokemonami.

– Więc... – zagaił odrobinę poważniejszym tonem. – Jak się czujesz?

Zacisnąłem zęby.

– Dobrze.

– Boli cię, co? – Spojrzał mi w oczy z głęboką troską. – Stary, jeśli musisz iść do domu, to nic złego.

– Gibs, jestem po prostu trochę zeszywniały – wymamrotałem. – Wszystko mi rdzewieje.

– Powinniśmy iść popływać po szkole – oświadczył z garścią pełną prezerwatyw.

– No... – przytaknąłem. – Wiem.

– Ale nie pójdziesz? – parsknął, wrzucając resztę paczuszek do plecaka i nachylając się nad stołem. – Bo masz inne plany? – Poruszał wymownie brwiami. – Związane z *Shannon*?

– Nie wiem, stary – westchnąłem ciężko, również nachyliłem się nad stołem i wsparłem łokciami o blat. – To wszystko jest pojebane.

– Już zdążyło się pojebać? – Jego brwi wystrzeliły na szczyt czoła. – Chryste, Johnny, szybciotko się uwinąłeś.

– Nie z nią... – wyburczałem, czując, jak nabieram temperatury z nerwów. – Ale jej rodzina mnie nienawidzi. – Ukryłem głowę w dłoniach i stłumiłem jęk. – Straszny burdel, Gibs.

– Burdel?

– Burdel – potwierdziłem posępnie, podnosząc na niego wzrok. – Widziałeś, jak jej brat zareagował na mnie w zeszłym tygodniu? Więc wiedz, że to błahostka w porównaniu do tego, co ma do mnie jej mamusia.

– Joey hurler nie ma za tobą problemu – powiedział. – Cóż, nie bardziej niż wszyscy inni.

– Czyli jeden z siedmiorga jest po mojej stronie – burknąłem. – No to już prawie wygrałem.

– Nie czaję tego... – dumał, drapiąc się po brodzie. – Na serio nie czaję...

– No to jest nas dwóch, stary.

– Może uważają cię za zagrożenie?

– Wtedy by się mnie bali – odpowiedziałem od razu. – A oni się nie boją, stary. Po prostu są żądni krwi... *Mojej* krwi. – Przygarbiłem się w poczuciu kłębki. – I nie potrafią mi odpuścić ani trochę, do cholery.

– W końcu wszystko się zrównoważy... – stwierdził. – Życie dysponuje własnymi wbudowanymi wagami szalkowymi. – Wzruszył ramionami. – Nie może być fatalnie przez cały czas, tak samo jak nie może być ciągle świetnie. W końcu się wyrównuje.

– Tak? – skrzywiłem się. – Obyś miał rację.

– Jest idiotą – powiedział Hughie, dosiadając się do nas z Feelym i gwałtownie ucinając naszą rozmowę. Walnął o stół owiniętą w folię aluminiową kanapką, opadł na swoje standardowe miejsce po mojej prawej stronie i wsunął się ze zgrzytem pod stół, nie odrywając wzroku od Gibsiego. – Schowaj to gówno, zanim przyjdzie Katie.

Gibsie spojrzał na niego, a potem na mnie, po czym westchnął teatralnie.

– Nie wiem, gdzie się co do was dwóch pomyliłem. – Schował resztę swoich zapasów, zrzucił plecak na podłogę i głośno fuknął: – Naprawdę nie wiem.

– Oduść, Hughie – powiedział z ciężkim westchnieniem Feely, zajmując miejsce obok Gibsa. – Tylko żartował.

– Na temat *mojej siostry* – wycedził Hughie, piorunując Gibsa wzrokiem.

Spojrzałem w jego twarz z chorobliwą ciekawością i, cholera, on nadal wściekał się o tę akcję z rana.

– Dalej jesteś na mnie wkurzony? – zapytał oskarżycielsko Gibsie, wyglądał przy tym na ubawionego. – Stary, to było wieki temu.

– A żebyś wiedział, że jestem, do cholery – wycedził Hughie.

– Cześć, Johnny – przywitała się Katie Horgan, drobniutka, rudowłosa dziewczyna Hughiego, przemykając za moim krzesłem.

– Jak tam, Katie? – odparłem, kiwając lekko głową.

– Mam nadzieję, że już ci lepiej – powiedziała, ściskając mnie lekko za ramię, po czym ruszyła prosto do swojego faceta.

– Przesadzasz – powiedział Gibsie, uśmiechając się do Hughiego. – Najpierw ze swoją siostrą, a teraz jeszcze z kondomami. – Westchnął i dodał: – Zachowujesz się, jakbyś nigdy nie widział pary cycków.

– Gibs, jeśli chcesz zobaczyć parę cycków, to – Hughie przerwał tyradę w pół słowa, mruknął do Katie „cześć, kotku”, posadził ją sobie na kolanach, dał jej całusa w policzek, po czym znów wbił w Gibsa wściekłe spojrzenie – spójrz w lustro.

– Co się stało? – zaciekawiała się Katie, zakładając Hughiemu rękę na szyję. – Kotku?

– On się stał. – Hughie objął ją w pasie, przyciągnął do siebie i wskazał przez stół na Gibsa. – Ten chujek.

– Stary! – Gibsie odrzucił głowę w tył i, ku złości Hughiego, parsknął gromko śmiechem. – Jestem pięć centymetrów wyższy od ciebie. – Odsunął krzesło, uniósł sweter oraz koszulę i pokazując gołą klatkę, uśmiechnął się szeroko. – Mówiłeś o tych cyckach? – rzucił prowokacyjnie, napinając mięśnie klatki piersiowej. – Fajna parka, co?

– Jesteś debilem – wymruczałem zmęczony.

– Debielem ze świetnymi cyckami, jak się okazuje – odparł, puszczając oko.

– Nie wierzę, że przebiłeś sobie sutki – zarechotała Katie, zasłaniając usta dłonią. – Co jeśli wyrwą ci kolczyki w czasie meczu?

– Kochanie, nie patrz na jego sutki – fuknął Hughie. – Patrz, kurwa, na moje.

Postanowiłem ewakuować się stąd, zanim polecą pioruny. Oparłem się na krzesło, odciąłem od ich debilnej rozmowy i czekałem na Shannon.

Spojrzałem na zegarek pięćdziesiąty raz w ciągu kwadransa i poczułem ukłucie niepokoju.

Gdzie ona jest?

Przerwa obiadowa trwała tylko godzinę i chciałem spędzić ją z Shannon, bo – bądźmy szczerzy – obecnie na więcej nie mogłem liczyć.

Rozejrzałem się jeszcze raz i w dużym oknie ciągnącym się od podłogi do sufitu dostrzegłem odbicie dwóch blondwłosych głów. Odwróciłem się na krzesło, na korytarzu, tuż za wejściem, stały Claire i Lizzie. Ewidentnie o coś się kłóciły, a między nimi, kilkanaście centymetrów bliżej podłogi, tkwiła Shannon.

Serce zadudniło mi w piersi, potrzebowałem chwili, żeby przyswoić sobie ten widok. Szarpała je za rękawy, próbowała odciągnąć dziewczyny od wejścia, wyglądała na zdenerwowaną, miała wybałuszone oczy. Gdy tylko zniknęła mi z oczu, mój mózg wrzucił wyższy bieg i stopy ruszyły do akcji.

Rozdział 29

Stół rugbyistów Shannon

– Shannon? – Moje uszy wypełnił głos Lizzie. Siedziałam na zamkniętym sedesie w dziewczęcej toalecie przy szatniach, w których przebieramy się na WF, z nietkniętą kanapką na kolanach. – Jesteś tu?

Opuściłam rano matkę. W gruncie rzeczy opuściłam wszystkie sześć lekcji przed długą przerwą obiadową. Dotarłam rano pod drzwi klasy, nawet złapałam za klamkę, ale po prostu nie potrafiłam się zmusić, żeby wejść do środka i zmierzyć ze wszystkimi.

Nie potrafiłam.

Początkowo zastanawiałam się, czy po prostu nie wrócić do domu, ale w bramie szkolnego podwórka dopadł mnie bezlitosny atak paniki. W udręce widziałam twarz ojca. Wtedy odwróciłam się na pięcie i w lejącym deszczu pobiegłam do szatni, z której od tego czasu nie wytknęłam nosa.

– Hej – rozległo się gdzieś nade mną i prawie wyskoczyłam ze skóry.

– O Boże! – Podniosłam oczy i zobaczyłam Lizzie zaglądającą do mnie znad przepierzenia kabiny, miała lekko rozbawiony wyraz twarzy. – Lizzie, prawie dostałam przez ciebie zawału!

Uniosła wypielegnowaną brew.

– Przytulnie ci tam?

– Shan! – Nad drugą krawędzią kabiny ukazała się twarz Claire. – Co ty tu robisz?

– Ukrywam się – przyznałam zarumieniona.

– Przed czym?

– Przed szkołą – odparłam, ciężko wzdychając, po czym wstałam i otworzyłam drzwi. – Przed ludźmi. – Wysłałam z kabiny, podeszłam do luster, oparłam się o chłodną porcelanową umywalkę i ponownie westchnęłam. – Przed życiem.

– Cóż, to gówniana postawa – stwierdziła Lizzie, zeskakując z toalety, na której balansowała, wytarła dłonie w spódniczkę i podeszła do mnie. Miała ciemnoblonde włosy, które mocno ściągnęła w kok, a usta pomalowała dziś na purpurowo; wyglądała jeszcze piękniej niż zwykle. – Śmiertelnie się o ciebie martwiłyśmy – dodała i wzięła mnie w ramiona. – Matole.

– To prawda – powiedziała Claire, niezdarnie złażąc ze „swojej” toalety. – Nie, z tym matolem, to było akurat wstrętne i zbędne... Przecież rozmawiałyśmy o tym, Lizzie. Ale zamartwiałyśmy się na śmierć – potwierdziła. – Prawie wpędziłaś nas do grobu.

– Przepraszam – wyszeptałam, zrugana przez koleżanki. Obie były wysokie, obie były blondynkami i obie wpatrywały się we mnie, jakbym znała odpowiedzi na wszystkie ich pytania. I może rzeczywiście znałam, ale to nie znaczyło, że kiedykolwiek ich udzielię. – Po prostu... potrzebowałam...

– Chwilki? – podsunęła mi Lizzie z wymownym uśmiechem. – No, myślę, że należało ci się kilka chwil.

– Mam przekichane, że nie przyszłam na lekcje?

– Nie. – Claire pokręciła stanowczo głową. – Pan Twomey po prostu się o ciebie martwi. W sumie to on wysłał nas na poszukiwania. Dosłownie cały dzień spędziłyśmy poza lekcjami,

szukałyśmy cię w całej szkole.

– To wielka szkoła – stwierdziła cierpko Lizzie. – A ty jesteś malutka.

– Cały czas byłam tutaj – przyznałam, bo poczułam się koszmarnie.

– Serio, przy sali gimnastycznej? – parsknęła lekko Lizzie. – Szczerze mówiąc, to ostatnie miejsce, gdzie się ciebie spodziewałyśmy.

– Z samego rana dyrektor wezwał nas do gabinetu – dodała Claire. – Wszyscy chcą ci pomóc, Shan.

– Nie chcę rozmawiać ani z nim, ani z żadnymi nauczycielami – wydusiłam. – Mówiłam Darrenowi, żeby im to przekazał. – Potrząsnęłam głową, na samą myśl zrobiło mi się trochę słabo.

– Z nikim nie chcę rozmawiać.

– Wiem – powiedziała pocieszającym tonem Claire. – I nie musisz.

– Dlatego nas wezwał – dodała spokojnie Lizzie.

– No – potwierdziła Claire. – Chciał mieć pewność, że o ciebie dbamy.

– Że w ogóle miał wątpliwości – prychnęła Lizzie.

– Chodź – powiedziała Claire, podnosząc mój plecak ze śliskich kafelek, po czym zarzuciła go sobie na ramię. – Idziemy na lunch.

– A potem na lekcje – dodała Lizzie, wypychając mnie z łazienki. – Razem.

– Boję się – wyrzuciłam z siebie, czując znajome pazury paniki wążące mi do gardła, gdy zaczęłyśmy iść po schodach przy sali gimnastycznej.

– Wiemy – odpowiedziała Claire, obejmując mnie ramieniem i prowadząc przez dziedziniec. – Ale będzie dobrze.

– Tak jest – dorzuciła Lizzie, zakładając sobie za ucho luźny kosmyk blond włosów. – Bo nie jesteś sama.

– Przepraszam, dziewczyny – wymamrotałam, czując się naprawdę podle. – Jestem jak wrzód na tyłku.

– Owszem, ale *nasz* wrzód – odpowiedziała Lizzie. – I tak się składa, że cię lubimy.

– Dzięki – zarechotałam. – To miłe, chyba.

– A przy okazji – Lizzie zatrzymała się w pół kroku i spojrzała na mnie – chcesz pogadać o tym, co się stało?

– Nie – wyskrzecztałam.

– Na pewno?

– Chcę... po prostu być traktowana normalnie, Liz – powiedziałam niemal błagalnie. – Tego potrzebuję.

– Rozumiem. – Skinęła głową i ruszyła dalej do gmachu głównego. – Tylko wiedz, że możesz na nas liczyć.

– A skoro mowa o normalności – wtrąciła Claire i na szczęście zmieniła temat. – Mogłabyś zachowywać się normalnie? – zapytała Lizzie, otwierając szklane drzwi i pokazując, żebyśmy weszły do środka. – Żadnych kłótni, okej? – Weszłyśmy, Claire dreptała szybko za nami. – Żadnego sarkania na Gerarda i resztę chłopaków.

Lizzie wzruszyła ramionami bez komentarza i pewnie kroczyła w stronę stołówki.

– Jeżeli Thor i jego banda łamag nie będą się zbliżali do naszego stolika, nie będzie problemu.

– Ej, mój brat też jest w „bandzie łamag” – fuknęła Claire.

– Wiesz, jak to mówią, Claire... Jeśli kładziesz się między psami, złapiesz pchły.

– W takim razie musisz się ciągle drapać – odcięła się ostro Claire – bo ostatnio bez przerwy kładziesz się *pod* Pierce’em O’Neillem. – Lizzie spąsowiała, a Claire uniosła idealnie zadbaną

brew. – Co, zatkało? Tak myślałam.

– Nie kłóćcie się – sapnęłam, próbując nadążyć za ich długimi krokami, ale gdy dotarliśmy pod wejście na stołówkę, zamarłam. Zobaczyłam Johnny’ego i serce prawie wyskoczyło mi z piersi.

Siedział na swoim miejscu, u szczytu długiego stołu, plecami do mnie. Założył stopy na krzesło obok, ręce miał założone za głowę. Miał całkowicie rozmierzwił włosy, jakby przez cały poranek przeczesywał je dłońmi.

Kilka dziewczyn z sąsiednich stolików zerkało na niego z wygłodniałymi minami. Nieraz widziałam, jak wywoływał takie miny na szkolnych korytarzach.

U mnie też...

On jednak nie zwracał na nie najmniejszej uwagi, w gruncie rzeczy na nikogo nie zwracał uwagi. Patrzył przed siebie, ze wzrokiem wbitym w stół, przy którym zazwyczaj siedzę ja z dziewczynami.

– Eee... – chrząknęłam, znów zrobiłam się nerwowa. – Muszę wam coś powiedzieć. – Złapałam je za rękawy i odciągnęłam od wejścia, a gdy przyswoiłam jego widok, moje serce ruszyło z prędkością ponaddźwiękową. – Chodzi o Johnny’ego – dodałam, odrywając od niego wzrok. – I o mnie.

– O Boże. – Lizzie zmrużyła na mnie oczy. – Co zrobiłaś z Kapitanem Fantastycznym?

– No? – Claire wytrzeszczyła oczy z ekscytacją. – Co zrobiłaś?

– Ja... – Poczułam, że się rumienię. – No, wiecie, my... Jestem teraz jego... – urwałam wytrącona z równowagi i przyłożyłam dłoń do czoła. – Poprosił, żebym została jego dziewczyną i się zgodziłam.

– Opowiadasz?! – pisnęła Claire, zaczęła klaskać i podskakiwać. – O Boziu! O Boziu!

– No... – Uśmiechnęłam się do niej nieśmiało.

– Jesteś jego dziewczyną? – zapytała zdziwiona Lizzie. – Ale przecież on podobno nie bawi się w „chodzenie”.

– Cóż, już się bawi – zaświergotała Claire, podskakując jak mały kociak. – To najlepszy dzień w historii, przyrzekam!

– Nawet nie wiem, czemu się dziwię – burknęła Lizzie. – Od miesięcy się to kroilo.

– Prawda – przyznała nadal rozpromieniona Claire. – Od wielu, wielu miesięcy.

– To stało się dosłownie dziś – wyjaśniłam.

– Tak, pewnie, bo Johnny Kavanagh rozgrzewa głowy wszystkich pań w tej szkole – prychnęła sarkastycznie Lizzie. – Już wtedy przed feriami, gdy wybiegłaś ze szkoły, a on dostał szału na dziedzińcu, wiedziałam, że coś się między wami dzieje. Co tam, jeszcze wcześniej, przecież on zawsze gapił się na ciebie jak jakiś zbok.

– *Całowali się!* – dorzuciła swoje trzy grosze Claire. – U niego w sypialni.

– Claire! – syknęłam.

– I w Dublinie.

– Dzięki – wycedziłam, mrużąc oczy.

– No co, całowaliście się – wybuchła śmiechem. – Bo on cię kooocha.

– Przestań. – Pokryłam się buraczkowym rumieńcem.

– Na pewno właśnie tego chcesz? – zapytała nagle Lizzie, bacznie mi się przyglądając. – Na pewno, Shan?

– Jestem pewna, że chcę jego – przyznałam i westchnęłam tęsknie. – I to bardzo.

– Ach, mój Boże. Ja... po prostu nie mogę! Jestem taka szczęśliwa. – Claire, brykając po korytarzu jak królik na speedzie, porwała mnie w tak ciasny uścisk, że aż zapiekły mnie płuca.

– Boże – jęknęła Lizzie. – Chyba mogłaś trafić na gorszego niż on... – Zerknęła z ukosa na Claire. – Przynajmniej jest lepszy niż ten drugi.

– Claire... – wycharczałam, odpychając jej ramiona i się krzywiąc, bo w mojej klatce piersiowej rozszedł się naprawdę ostry ból. – Puszczaj...

– Ups, sorki! – Natychmiast mnie puściła, odsunęła się i wyszczerzyła nieśmiało. – Emocje mnie ciut poniosły.

– Emocje? – Lizzie uniosła brew. – Dziewczyno, nosisz w sobie za dużo tego słoneczka jak na jedną osobę.

– A ty za dużo szarych chmur – zaświergotała do niej Claire, po czym odwróciła się do mnie. – Z kolei nasza Shan to malutki, chodzący optymizm.

Lizzie pokręciła głową i też się do mnie zwróciła.

– Dobra, Shan, powiem to tylko raz, potem możesz robić, co chcesz.

– Zaczyna się... – Claire przewróciła oczami.

– Bez pośpiechu – powiedziała Lizzie poważnym tonem. – Nie ma się gdzie śpieszyć, okej? Chcesz z nim być, super. Jeśli cię uszczęśliwia, to chuj z tym, jestem za, ale nie myśl, że musisz robić coś, na co nie czujesz się gotowa. Jest od ciebie starszy i zdecydowanie bardziej doświadczony życiowo, więc idź *własnym* tempem, a jeżeli będzie cię naciskał, nawet trochę, to kopnij go w ten głupi tyłek, bo...

– Bo? – Zza moich pleców rozległ się znajomy głos.

Zdumiona i podekscytowana odwróciłam się gwałtownie i spojrzałam prosto w tors Johnny'ego.

Znowu nie miał przy sobie kuli, do tego zapodział gdzieś szkolny sweter. Jego czerwony krawat dyndał sobie samotnie na niedbałym węźle na tle białej koszuli... Koszuli, którą wypełniał sobą do ostatka.

Gdy objęłam wzrokiem jego muskularne ramiona... jego muskularne wszystko... po moim kręgosłupie spłynęła kropelka strachu.

Boże, chłopak naprawdę mógł przesłonić pół świata.

– Cześć, dziewczyno – burknął, po czym skierował na mnie rozpalony wzrok. – Cześć, Shannon.

– Cześć, Johnny – westchnęłam z rozszalałym sercem. Skołowana zacisnęłam pięści, brakowało mi pewności, żeby wykonać pierwszy ruch i go dotknąć.

Nie chowaj się, Shannon.

Odwagi.

Zrób coś!

– Jak się miewasz? – zapytałam z szerokim uśmiechem.

Ech, lepsze to niż nic.

Przez jego usta przemknął słaby uśmiech.

– Dobrze.

– Ja też dobrze, dzięki – wypaplałam i od razu się skrzywiłam, bo dotarło do mnie, że o nic nie pytał. – To znaczy...

– Chodź tu lepiej – zarechotał i przyciągnął mnie do swojego torsu. – Tęskniłem – wyszeptał i nachylił się do mojej twarzy.

Poczułam na talii jego dłonie, a potem na swoich ustach jego wargi. Trzymając się jego rąk, stanęłam na palcach i odchyliłam się, żeby odwzajemnić pocałunek. Odczułam przy tym, ile muszę włożyć wysiłku, żeby go dosięgnąć przy tej różnicy wzrostu.

Johnny uśmiechnął się tuż przy moich wargach, lekko kucnął, objął z tyłu i... o Boże, wyprostował się, podnosząc mnie z podłogi.

Oplotłam go rękami wokół szyi i wtopiłam się w pocałunek, namacalnie czując, jak wypływa ze mnie napięcie, jak moje ciało odpręża się przy jego ciele.

– Ja za tobą też... – wydyszałam.

– Dobrze wiedzieć – powiedział z uśmiechem.

To był miękki, czuły pocałunek, który się skończył, nim na dobre się zaczął, ale wydawał się wręcz boleśnie intymny i sprawił, że mrowiła mnie cała skóra.

– Jeśli olejesz brata i pojedziesz po szkole do mnie, możemy to powtórzyć bez widowni – powiedział wesoło, stawiając mnie na nogach.

– Co?

Kiwnął głową na Lizzie i Claire, które gapiły się na nas... z rozdziawionym ustami.

– Cóż – stwierdziła Lizzie, która pierwsza doszła do siebie. – Weszłaś od razu w sam środek i po uszy, co?

– Ooooch... – zapięła z zachwytu Claire, łapiąc się obiema dłońmi za serce. – Jacy oni są cudni.

– Odegrała, że omdlewa, po czym dodała: – Jakby dog niemiecki i chihuahua próbowały się parzyć i jednak jakoś im się udaje.

– Jezus Maria – stęknęła Lizzie, odrzucając na bok rękę koleżanki. – Nie masz za grosz taktu, Claire.

– Liz, on ją podniósł – piszczała Claire, gdy Lizzie odciągała ją w głąb korytarza. – Widziałaś?

– Ta, widziałam, a teraz chodź już, dziwko. – Lizzie złapała ją za ramiona i pchała w stronę gabinetu dyrektora. – Musimy zgłosić panu Twomeyowi, że ją znalazłyśmy.

– Ale, Liz, on na serio ją podniósł, żeby ją pocałować!

– Tak, Claire, wiem. Też mam oczy. Przestań zachowywać się jak dziwaczka.

Patrzyłam za nimi przerażona, dopóki nie zniknęły na stołówce, a potem głośno jęknęłam i zakopałam twarz w torsie Johnny'ego.

– Tak mi wstyd.

– Znalazły cię? – Johnny ujął mój podbródek i uniósł moją twarz, spojrzał na mnie zmieszany.

– Trzeba było cię szukać?

– Eee... opuściłam kilka lekcji.

– Cały dzień? – Zmarszczył czoło.

– No, ja... nie potrafiłam się z tym zmierzyć – przyznałam cicho, odsuwając się o krok, żeby odzyskać wewnętrzną równowagę.

– Myślisz, że teraz dasz radę?

– Chyba muszę, prawda? – bąknęłam, wzruszając ramionami.

– Być na coś gotowym, a musieć być gotowym to dwie zupełnie różne rzeczy – powiedział łagodnie. – Byłaś u dyrektora? Rozmawiałaś z Twomeyem?

– Nie. – Westchnęłam ciężko i pomasowałam skronie. – Ale wiem, że prędzej czy później będę musiała.

– Posłuchaj, wiem, że nie chcesz, ale jeśli to załatwisz, to będziesz mogła wykreślić jedną rzecz z listy zmartwień.

– Ale ja nie wiem, co powiedzieć, gdy mnie o to zapytają – wyznałam. Czułam się bezbronna i obnażona. – Nie jestem przyzwyczajona do rozmów na ten temat.

– Chcesz, żebym z tobą poszedł? – Rozwalił mnie tym pytaniem. – Możemy iść od razu. Będzie z głowy.

Wytrzeszczyłam oczy.

– Zrobiłbyś to?

– Oczywiście – mruknął.

– A wpuściliby cię ze mną?

– Niechby spróbowali mnie powstrzymać – odparł od razu, po czym dodał z szerokim uśmiechem: – A jeśli zapyta o coś, o czym nie będziesz chciała rozmawiać, to sięgnę po cytat z elementarza taty i oświadczę: „Moja klientka rezerwuje sobie prawo do nieodpowiadania na to pytanie”.

Uśmiechnęłam się, objęłam w pasie i kiwnęłam głową.

– Okej, to pójdę po obiedzie.

– Tak? – Jego oczy aż zapłonęły czułością. – Cholerka, potrafię być przekonujący, gdy mi zależy.

Nawet nie masz pojęcia...

– Może tak być? – usłyszałam swój niepewny głos. – Pójdiesz ze mną wtedy? To znaczy, czy nie będzie ci to kolidowało z lekcjami...

– Pójdę – wszedł mi stanowczo w słowo. – Nic się nie martw.

– Ale...

– *Przestań się martwić.* – Złapał mnie za rękę, splótł nasze palce i pociągnął mnie w stronę wejścia na stołówkę. – Jestem z tobą.

Boże.

Moje serce.

Wzięłam głęboki, uspokajający wdech, wyprostowałam plecy i weszłam z Johnnym do jadalni. Trzymałam się go jak koła ratunkowego i modliłam się o niewidzialność, choć wiedziałam, że nic nie wymodlę. Jeżeli chciałam przemknąć niezauważona, to podałam rękę nie temu chłopakowi. Ale za Chiny ludowe nie zamierzałam go puszczać.

Wiedziałałam tylko, że będę trzymała go obiema rękami tak mocno, jak tylko zdołam, ponieważ wizja mierzenia się z wszystkim, co spotyka mnie w życiu, bez jego wsparcia, nie mieściła mi się już w głowie. To wszystko było takie świeże, nowe i nieznanne. A nieznanne zazwyczaj mnie przerażało, lecz przy nim czułam dojmującą ciekawość. Byłam podekscytowana... Przerażona do szpiku kości, ale podekscytowana.

Gdy weszliśmy do środka, powitała nas cisza. Miałam wrażenie, że przyszpilają nas spojrzenia tysięcy par oczu, i moje ciało ścięło przerażenie.

Tymczasem Johnny był chyba zupełnie niewzruszony. Naprawdę albo nie zauważył, że wszyscy się gapią, albo się nie przejmował, bo gdy prowadził mnie do stołu, był zupełnie odprężony, a uśmiech trzymał się mocno jego ust.

– Johnny... – wydukałam, ściskając go mocniej. – Wszyscy na nas patrzą.

– Niech sobie patrzą – odpowiedział, również ściskając pokrzepiająco moją dłoń. – W końcu się znudzą.

A ty?

Miałam te słowa na końcu języka, ale je przełknęłam i postawiłam stoczyć walkę z moim demonem społecznym.

Demonem braku pewności siebie będę mogła się zająć przed snem.

Zauważyłam kątem oka Bellę, która obserwowała nas z miejsca u szczytu stolika rugbystów, gdzie siedziała na kolanach Cormaca Ryana. Gdy tylko nasze oczy się spotkały, zmrużyła swoje groźnie, a ja od razu poczułam ciężar jej wściekłości. Był ostry, przygniatający i cały spadł tylko na mnie.

Wbiłam wzrok w stopy, już chciałam puścić dłoń Johnny'ego, ale się powstrzymałam.

Nie, nie boisz się jej, ochrzaniłam się w myślach.

Kogo chcesz oszukać?, zapytał z drwiną inny głos. *Ona cię przeraża.*

– Przesuwać się – rozkazał Johnny, gdy dotarliśmy do stołu, czym wrywał mnie z gorączkowych rozmyślań. Miałam ochotę uciekać, ale naprężyłam mięśnie, zmusiłam stopy, żeby przywarły do podłoża, i patrzyłam, jak cały rząd chłopaków z Hughiem Biggsem na czele posłusznie się przesuwają. – A teraz słuchać – rzucił Johnny, przykuwając uwagę wszystkich kolegów. – To Shannon, moja dziewczyna. Odtąd będzie tu siedziała, więc przyzwyczajcie się do jej widoku. – Chciał usiąść, ale natychmiast się powstrzymał i ponownie wyprostował jak struna. – Aha, zadrzyjcie z nią, to was wszystkich, kurwa, wytłukę... – Omiótł stół wymownym spojrzeniem, po czym zapytał: – Rozumiemy się?

O mój Boże.

– Pewnie, stary, bez obaw!

– Przecież już wiedzieliśmy, kapitanie.

– Żadna nowość, Kav!

– Świetnie. – W tym momencie Johnny jeszcze bardziej mnie zaskoczył, bo zajął miejsce zwolnione przez Hughiego i jego dziewczynę, po czym wysunął krzesło, na którym sam zazwyczaj siedział. – Chciałem to tylko wyjaśnić. – Poklepał krzesło obok siebie, a ja dosłownie na nie opadłam, bo marzyłam tylko o tym, żeby schować się pod stołem.

Jeżeli Tommen było dżunglą, a uczniowie zwierzętami, to ten stół był jaskinią lwów. A ja – zbłąkaną gazelą otoczoną najgroźniejszymi samcami alfa, którzy właśnie przyglądali mi się z zaciekawieniem. Na szczęście król dżungli i przywódca stada w jednym polubił tę gazelę. Nikt mnie nie zje. No, przynajmniej nie dziś.

Miałam taką nadzieję.

Wtedy Johnny objął mnie ramieniem, otulając jak ochronnym kocykiem, ale zdrowy rozsądek podszeptował, że tak naprawdę to niebezpieczne i tylko chwilowe.

– Po prostu się rozluźnij, dobrze? – szepnął, nachylając się tak blisko, że musnął ustami moje ucho. – Jesteś ze mną bezpieczna.

Zadrżałam od jego dotyku i skinęłam głową, tłumiąc silną chęć, by zakopać się w tym chłopaku i nie wychylać nawet nosa, by zaczerpnąć powietrza. Bo spadałam za szybko, przywiązywałam się za mocno i uzależniałam od niego – za bardzo. Wszędzie wokół mnie wyrastały czerwone flagi, a jednak pozostałam w miejscu... Dokładnie tam, gdzie chciałam być. Przy nim.

Położyłam dłonie na spoczywających pod stołem kolanach, opuściłam podbródek i strzeliłam knykiami. Ku mojej ogromnej uldze, gdy ponownie podniosłam wzrok, gapił się na mnie już tylko Gibsie, siedzący dokładnie naprzeciwko mnie przy kolosalnym stole i szczerzący się jak kocur na widok śmietanki.

– Cześć, mała Shannon.

– Cześć, Gibsie – wydusiłam i zmusiłam się do utrzymania kontaktu wzrokowego. – Jak... jak się masz?

– Jak najlepiej. – Wyciągnął z ust lizaka, zakręcił nim w dłoni i zerkał szelmowsko to na mnie, to na Johnny'ego. – Widzę, że tobie też się powodzi.

Zarumieniłam się, a Johnny spojrział na niego ostro.

– Pilnuj się, Gibs – powiedział ostrzegawczo. – Cokolwiek masz ochotę powiedzieć, nie mów tego.

– Ale ja nic nie chciałem mówić – zaśmiał się serdecznie. – Po prostu nawiązywałem przyjacielską pogawędkę z twoją dziewczyną.

– Hmm... – Johnny uniósł brew i spojrział mu w oczy. – I niech tak zostanie.

– Co u brata? – Gibsie ponownie zwrócił się do mnie. – Poprawiło mu się?

– Uhm, tak – wybełkotałam, zakładając włosy za ucho. – Cóż, wrócił do domu, a dziś też do szkoły. – *Mam nadzieję.* – Więc znacznie mu się poprawiło.

Gibsie uśmiechnął się do mnie ciepło.

– Świetnie.

W tym momencie do stołu przybyły Claire i Lizzie i aż rozluźniłam się z ulgi.

Lizzie przemknęła za plecami chłopaków, zadzierając wysoko nos, i po drodze pacnęła Gibsiego w głowę. Zatrzymała się dopiero w połowie stołu, gdzie wysunęła krzesło obok swojego wiecznie aktualnego/byłego/przyszłego chłopaka, Pierce'a.

– Ej... Za co to niby? – zawołał za nią Gibsie.

– Za to, że jesteś kutafonem – odparła Lizzie.

– A ty żmiją – mruknął pod nosem, rozmasowując potylicę. – Jezu.

Tymczasem Claire przycupnęła obok Gibsiego, wywołując tym konsternację Hughiego, który natychmiast poczerwieniał i spojrział na nich z mordem w oczach.

– Cześć, Clairko-eklerko – powiedział Gibsie, odzyskując uśmiech. – Jak leci?

– Cześć, Gerard – westchnęła. Wyglądała na smutną, w niczym nie przypominała kłębka energii, którym była jeszcze przed chwilą. – Jestem taka smutna.

– Dlaczego? – Gibsie aż zeszytniał. – Co się stało? – Zmrużył oczy. – Dokuczał ci ktoś?

– Dee się stała – burknęła. – *Znowu.*

Gibsie rozdziawił usta, a Johnny wymamrotał coś niezrozumiałego pod nosem, po czym przysunął się bliżej mnie.

– Dee? – Zmarszczyła nos. – Szkolna sekretarka?

– Właśnie ona – odparła Claire i jęknęła z boleścią. – Shan, przysięgam, że ta kobieta mnie nienawidzi, choć nie ma żadnego powodu.

Gibsie zakrztusił się lizakiem i kilku jego kolegów zarechotało z satysfakcją. Tymczasem Johnny skrupulatnie wyglądał przez okno, byle tylko nie patrzeć na Claire, za to Hughie nie odrywał posępnego spojrzenia od Gibsiego.

Nachyliłam się nad stołem i delikatnie musnęłam jej nadgarstek.

– Co zrobiła?

– Mam jutro mecz hokeja w Thurles – odparła, a jej brązowe oczy były pełne smutku. – Jakimś cudem moje formularze zniknęły i pan Twomey mówi, że nie mogę jechać. – Wydęła usta, skrzyżowała ręce na piersi i dodała: – Dee mu powiedziała, że nie dostarczyłam ich w terminie. To kłamstwo, bo do dokładnie pamiętam, jak wręczałam jej dokumenty we wtorek przed feriami.

– Dlaczego miałyby to robić? – zapytałam.

– Właśnie... – wycedził Hughie przez zęby. – Ciekawe dlaczego.

– Lizaczka? – zaoferował Gibsie, wyciągnął z ust lizaka i przysunął go w jej stronę.

Claire patrzyła na niego przez chwilę, po czym wzruszyła ramionami, wzięła go z jego ręki i wsadziła sobie do ust.

– O smaku oranżady w proszku? – zapytała, unosząc brew. – Przecież takiego nie znosisz.

– Zdobyłem go dla ciebie – rzucił, puszczając do niej oko. – Wiem, że to twój ulubiony.

– Nie wkładaj tego do ust – warknął Hughie. – Nie wiesz, gdzie to było, Claire.

– Hmm... – Claire ponownie wzruszyła ramionami, jakby wymiana śliny poprzez lizaka nie była niczym niezwykłym. – Spoko.

– Jezu Chryste – syknął rozpaczliwie jej brat. – Po co ja się w ogóle tym przejmuję.

– W każdym razie nie mogę jutro grać – kontynuowała, równocześnie ssąc lizaka. – To kompletna katastrofa, bo Jenny Kelleher wypadła z kontuzją, a Saoirse Doyle dalej jest we Francji z rodzicami. To naprawdę ważny mecz dla Tommen. – Westchnęła ciężko, wyciągając lizaka z ust i oddając go Gibsiemu. – Masz... skończyłam.

– Tak, ja też... – burknął, wtykając go sobie do ust, po czym zerwał się na równe nogi. – Muszę coś załatwić.

– Owszem, musisz – warknął za nim Hughie. – Wyprostuj to.

– Co? – zdziwiła się Claire, patrząc za nim. – Gerard, dokąd ty idziesz? Co z twoim lunchem?

– Muszę tylko zała... – urwał celowo, wskazał na łukowate wyjście ze stołówki i czym prędzej wyszedł.

Johnny, który przyglądał się temu wszystkiemu w milczeniu, pokręcił głową z wyraźnym niesmakiem i podrapał się po szczęce.

– Co się dzieje? – zapytałam szeptem, odwracając twarz w stronę jego szyi. Mój nos wypełnił aromat jego wody po goleniu, aż przeszedł mnie dreszcz. – Dokąd on poszedł? – Odsunęłam się na tyle, żeby móc się skupić.

Johnny westchnął głośno, zsunął dłoń na moje udo i lekko ścisnął.

– Zaufaj mi, Shan – powiedział cicho, nachylając się do mojego ucha. – Gdy chodzi o Gibsa, naprawdę lepiej nie wiedzieć.

Usłyszałam to dziś od niego drugi raz. I drugi raz pomyślałam, że pewnie ma rację.

Rozdział 30

Nieporozumienia Shannon

Po obiedzie poszłam do gabinetu dyrektora, żeby porozmawiać z panem Twomeyem i przewodniczącą naszego rocznika, panną Nyhan.

Johnny dotrzymał słowa i poszedł ze mną. Oczywiście pan Twomey nie życzył go sobie w gabinecie i próbował się go pozbyć, ale Johnny był nieugięty. Trochę śmiesznie było patrzeć, jak nasz niewysoki, starszawy, łysiejący i noszący coraz okazalszą oponkę dyrektor próbuje przegonić prawie dwumetrowego rugbystę. A jeszcze śmieszniejsza była mina, którą Johnny zrobił, gdy pan Twomey zaczął klepać go po kłacie. Cóż, jestem przekonana, że nie chciał go klepać, tylko wypchnąć za drzwi, ale wyglądał przy nim jak mucha przy niedźwiedziu.

Gdy pan Twomey dał za wygraną i zaprosił nas, żebyśmy usiedli, Johnny zajął miejsce obok mnie i choć nie trzymał mnie za rękę, to jego obecność dała mi to dziwne poczucie odwagi.

Nie potrafiłam tego wyjaśnić, ale przy nim czułam się odważniej. A może po prostu bezpieczniej? Osobliwe, biorąc pod uwagę, że przy nikim nie czułam się równie wytrącona z równowagi, ale było to „wytrącenie” dobrego typu – ekscytacja, motyle w brzuchu, wrażenie, że zaraz się przewrócę, i równoczesne pragnienie, by ciągle czuć jego dotyk, bo jeśli go zabraknie rozsądzi mi serce i wybuchnę.

Odpowiedziałam na wszystkie standardowe obowiązkowe pytania zadane przez pana Twomeya i pannę Nyhan, przyjęłam wszystkie bzdury pokroju „tak mi przykro, że cię to spotkało” i „nie obawiaj się z nami o tym rozmawiać”, a potem poszłam w swoją stronę i zmusiłam się do wytrzymania na trzech ostatnich lekcjach.

Co zaskakujące, świetnie sobie poradziłam z ukradkowymi spojrzeniami i szeptami kolegów, i pełnymi współczucia spojrzeniami nauczycieli. Chyba pomógł fakt, że Lizzie na stałe przykleiła się do mojego boku i emanowała nastawieniem typu „wkurwcie mnie, a powyrywam wam serca”, i to nie na żarty.

Gdy o szesnastej rozległ się ostatni dzwonek, obwieszczający koniec szkoły, byłam ostrożnie optymistyczna.

Pomyślałam, że w sumie *może* dam radę.

Może uda mi się przywrócić życie na właściwe tory.

– Chcesz skoczyć do mnie? – zapytała Claire, opierając się o moją ławkę i przyglądając, jak chowam podręczniki do plecaka. Poza siedzącą przy biurku panną Moore zostałyśmy w klasie we dwie, bo wszyscy wyfrunęli równo z dzwonkiem. Włącznie z Lizzie, która pobiegła do Pierce’a, mamrocząc pod nosem coś o jakimś „osobistym kryzysie”. – Chociaż na godzinkę?

– Chciałabym – odparłam, zapinając plecak i wstając. – Ale Darren pewnie już czeka. – Wsunęłam krzesło pod ławkę i spojrzałam jej w twarz. – Monitorują mnie.

– Fe. – Zmarszczyła nos z niesmakiem. – Twoja rodzina jest powalona.

– Tak. – Zarzuciłam plecak na ramię. – Podpisuję się pod tym rękami i nogami.

– Chcesz wpaść mimo to? – zapytała, gdy wyszłyśmy na korytarz. – W sensie olać Darrena? – Dostosowała krok do mojego tempa i uśmiechnęła się łobuzersko. – Gerard ma samochód i na

pewno podrzuciłby nas do mnie.

– Co mu się stało na przerwie obiadowej? – zapytałam zaciekawiona. Zacisnęłam mocniej dłoń na paskach plecaka, bo musiałam się starać, żeby iść równo z Claire. – Wybiegł ze stołówki i już nie wrócił.

– Nie wiem, Shan, i czasami sobie myślę, że tak jest lepiej – westchnęła i dodała: – Coś mi podpowiada, że to byłaby bolesna wiedza.

– Claire – spojrzałam w jej zasmuconą twarz – wszystko gra?

Skinęła głową i uśmiechnęła się łzawo.

– Wszystko gra.

– Dlaczego mu nie powiesz, co naprawdę czujesz? – zapytałam czule. – Przecież to oczywiste, że czuje to samo.

– Wcale nie – wymamrotała. – Jemu chodzi o polowanie. Jeśli teraz ustąpię, szybko się znudzi.

Zastanowiłam się nad jej słowami, a potem odpowiedziałam:

– A może cię zaskoczy?

– A może ja go rozczaruję... – bąknęła.

– Jak to? – zapytałam, zatrzymując się.

Odwróciła się do mnie przodem, ale nie odpowiedziała. Spojrzałam w jej udręczoną twarz i westchnęłam.

– Claire, nawet gdybyś próbowała, nie potrafiłabyś nikogo rozczarować.

– Tak...

– Mówię poważnie – dodałam z naciskiem. – A już na pewno nie Gibsiego. On cię *uwielbia*. To jasne jak słońce, że szaleje na twoim punkcie.

– Dlatego że *nie może* mnie mieć – odparła. – Bo ja jedyna mu nie uległam.

– Nie sądzę, by o to chodziło – powiedziałam powoli. – Zupełnie nie.

– Posłuchaj, Shan. To żadna nowość, przecież o tym wiesz. Żyjemy tak z Gerardem, odkąd pamiętam. On od zawsze „mnie chciał”, a ja to bagatelizowałam... – urwała i stęknęła, jakby sama rozmowa na ten temat sprawiała jej fizyczny ból. – Bo ja mu nie wierzę.

– Nie?

– Nie – odpowiedziała, a jej brązowe oczy płonęły wrażliwością. – Znam Gerarda Gibsona jak nikt inny na tej planecie. Cholera, sam nie zna siebie tak dobrze. I gdy mówię, że ten chłopak nie potrafi skupić na niczym uwagi na dłużej niż jeden dzień, możesz mi zaufać. Widziałam na własne oczy... jak traktuje dziewczyny. Da dziewczynie wszystko, ale przez jeden dzień. Potem zajmie się kolejną. Myślę, że nie jest w stanie na to nic poradzić. Wiem, że nie robi tego specjalnie. – Jej policzki pokrył różowy rumieniec. – Ale ja nie chcę być kolejnym zwykłym „dniem”... Kolejną dziewczyną. Nie chcę, żeby się okazało, że oddam mu serce, a on się ode mnie odwróci, bo zrozumie, że pościg był ciekawszy niż zdobycz. – Wzruszyła ramionami, po czym bezradnie dodała: – Złamałoby mnie to.

– Rozmawiałaś o tym z Lizzie? – zapytałam. – Co powiedziała?

– Nikomu o tym nie powiedziałam – szepnęła. – Tylko tobie.

Pękło mi serce.

– Boże, Claire...

– To nic – wtrąciła pośpiesznie i przykleiła sobie do ust promienny uśmiech. – Nic mi nie jest.

– Ruszyła żwawo przed siebie, musiałam podbiec, żeby ją dogonić. Po chwili otworzyła szklane drzwi głównego gmachu i przepuściła mnie przodem. – Wszystko gra.

Ewidentnie nie.

– Pojadę do ciebie – wypaliłam zdyszana, z trudem nadążając za długimi krokami, którymi przemierzała dziedziniec. – O ile twoi rodzice nie będą mieli nic przeciwko?

– Naprawdę? – Cała się rozjaśniła. – Oczywiście, że nie! Moi rodzice cię kochają.

Kiwnęłam głową i dalej za nią truchtałam.

– Okej, tylko powiem Darrenowi... I zwolnij. Nie jestem koniem wyścigowym.

– Przepraszam – zachichotała, zwalniając do tempa, które dla mnie i tak było dziarskim marszem. – Dziękuję ci.

– Żaden problem – odpowiedziałam, tłumiąc jęk na samą myśl o czekającej mnie rozmowie z bratem. – Do usług.

Gdy dotarliśmy na parking, wypatrzyłam niebieskie volvo Darrena i wtedy... potknęłam się i trochę się zatoczyłam. Zatoczyłam się jeszcze bardziej, gdy zauważyłam, że trzy miejsca dalej parkuje srebrny focus. Nie wspominając już nawet o czterech opierających się o jego karoserię chłopakach z nisko opuszczonymi głowami, którzy byli pogrążeni w głębokiej rozmowie.

Odzyskałam równowagę, zanim walnęłam twarzą o żwir, wyprostowałam się, wzięłam głęboki wdech i podeszłam do volvo. Uśmiech na twarzy mojego brata zaczął topnieć, gdy tylko się zorientował, że zamiast iść prosto do drzwi po stronie pasażera, podchodzę do okna kierowcy.

– Co ty robisz? – zapytał, spuszczać szybę, w którą właśnie zapukałam. – Wsiadaj... Wiozę chłopców z treningu.

Zerknęłam do tyłu i uśmiechnęłam się do moich trzech młodszych braci.

– Cześć, chłopaki. – Ollie i Sean odwzajemnili uśmiechy, ale Tadhg mnie zignorował i dalej patrzył ze złością w potylicę Darrena.

– Co się dzieje? – zapytał Darren, ponownie przyciągając moją uwagę.

– Jadę na godzinę do Claire – powiedziałam, powstrzymując się od dodania „jeśli nie masz nic przeciwko”. Był moim bratem. Nie potrzebowałam jego zgody. *Naprawdę.* – Wrócę do domu później, okej?

– Shannon, rozmawialiśmy o tym. – Jego twarz spoważniała. – Musisz wracać do domu zaraz po szkole.

– Wcale nie. – Pokręciłam głową i złapałam mocniej paski plecaka. – To wy z mamą o tym rozmawialiście. Ja się nie zgodziłam na całodobowy nadzór.

– Dostanie zawału, jeśli nie wrócisz do domu – wycedził. – Wiesz, jaka jest. Nie dam sobie z nią rady w takim stanie, musisz jechać i mi pomóc.

– Mam to gdzieś – wypaliłam i co zaskakujące, mówiłam serio. Miałam to gdzieś. Przestało mnie to obchodzić. – Spędzę trochę czasu z przyjaciółką, jak normalna nastolatka, a potem wrócę do domu.

– Ale nasza sytuacja nie jest normalna – wycedził i zacisnął zęby.

Co ty nie powiesz...

– Mów, co chcesz, ale ja jadę do Claire.

Zmrużył groźnie oczy.

– Wsiadaj do auta.

– Nie – odparłam stanowczo.

– Shannon. Wsiadaj. Do. Auta.

Mój wewnętrzny niepokój obudził się ze snu.

– Nie.

Darren odpiął pas, otworzył gwałtownie drzwi i wysiadł.

– Wsiadaj do auta, kurwa. – Złapał drzwi tak mocno, że pobieleły mu knykcie, i syknął: – Już, Shannon.

– Odwal się, stary – powiedziała ostrzegawczym tonem Claire, która stanęła u mojego boku. – Mam broń... – Wskazała coś nad ramieniem Darrena. – Stoi tam i nie zawaham się go zawołać.

– Przecież nie zrobię jej *krzywdy* – odparł Darren oburzony. – Po prostu musi wsiąść do samochodu i wracać do domu.

– Nie ma problemu, Darren – odpowiedziała mu pewnie Claire. – Shannon pojedzie do mnie. Zjemy trochę śmieciowego żarcia, pogapimy się w telewizor, a potem moja mama albo Hughie podrzuci ją do domu. Nic się nikomu nie stanie.

– Mam cię przywieźć do domu – stwierdził Darren, całkowicie ją ignorując. – Możesz jechać do koleżanki kiedy indziej, gdy najpierw porozmawiam z jej rodzicami. – Pokręcił głową, położył mi dłoń na ramieniu i zaczął prowadzić w stronę drzwi po stronie pasażera. – Oduść mi trochę i wsiadaj do...

– Nie – wykrztusiłam i wbiłam pięty w ziemię. – Nie jadę do domu.

– Shannon... – westchnął ciężko, położył mi na ramionach obie ręce i spojrzał na mnie z góry. – Nie jesteś bezpieczna poza domem.

– Ona nie chce z tobą jechać! – wrzasnęła Claire na całe gardło. – Przecież powiedziała „nie”!

Oszołomiona spojrzałam na przyjaciółkę, nie wiedziałam, dlaczego tak bardzo podniosła głos. Darren mnie nie skrzywdził... Przynajmniej nie fizycznie. Zrozumiałam, gdy zauważyłam Johnny’ego, Gibsiego, Hughiego i Feely’ego przyglądających się nam z ponurymi minami.

Po prostu wzywała posiłki.

O Boże...

– Nie rób tego! – krzyknął Gibsie. – Kapitanie, nie rób tego, kurwa...

– Hej... Co ty, kurwa, odpierdalasz?! – rzucił ostro Johnny, przepychając się przez kumpli i zupełnie zapominając o kuli. – Zabieraj do niej pierdolone łapska! – ryknął. – *Już!*

– Nie odpocznie dziś sobie człowiek... – westchnął Gibsie, odchylając głowę do tyłu. Nie palił się, żeby zapobiec potencjalnej masakrze. – Działaj, buldożerze... Tylko nie zapomnij kuli.

– Nie dawaj mu tego – warknął Feely, wyrwijąc Gibsiemu kulę, zanim zdążył przejąć ją Johnny. – Przecież to broń.

– Zapomniałeś o rozmiarach naszego kapitana? – westchnął zniechęcony Hughie. – Sam w sobie jest pierdoloną bronią.

– Jezu Chryste – warknął Darren, odwracając się do chłopaków. – Nie wtrącaj się, Kavanagh.

– Posłuchałbym go, jeśli nie chcesz stracić ręki – zawołał Gibsie, wskakując przed Johnny’ego, zanim ten do nas dotarł. Wbił obie ręce w jego tors i próbował go wepchnąć z powrotem do samochodu. – Bo jest w tej chwili lekko nakręcony i jeśli mi się wyrwie, to nie będę ryzykował własnego życia, żeby cię bronić. Tylko ostrzegam...

– Wszystko dobrze! – Choć raz sama wkroczyłam do akcji, przemknęłam pod ramieniem brata i odsunęłam się od niego. – Nic mi nie zrobił.

– *Dotknął* cię – syknął Johnny, mierząc mojego brata spojrzeniem dzikiego, wściekłego zwierzęcia. – Chciał cię *wepchnąć* do auta.

– A ona mówiła, że nie chce! – podjudzała go Claire. – Z milion razy!

– Nie robiłem jej *krzywdy* – wycedził zjadliwie Darren. – Nie jestem z tych.

– Naprawdę – wtrąciłam prędko. – Nie zrobiłby mi *krzywdy*.

– Nie wierzę ci, Shannon – rzucił wściekle Johnny. – Już kiedyś mnie okłamałaś. Jemu też nie wierzę. – Popatrzył na mojego brata zza zmrużonych powiek.

– Oskarżasz mnie o przemoc wobec siostry? – zapytał Darren śmiertelnie lodowatym tonem. – Wszystko ci się pomieszało.

– Tak jak waszej matce, gdy oskarżyła mnie o gwałt? – odparował natychmiast Johnny. – Różnica polega na tym, że ja właśnie widziałem, jak naruszasz jej nietykalność, Darren. Więc na twoim miejscu wsiadłbym do tego auta i stąd wypierdalał, zanim zrobię coś, czego wszyscy pożałujemy.

Darren stał hardo naprzeciw Johnny'ego przez kilka długich, namacalnie intensywnych chwil, ale w końcu wyrzucił ręce w powietrze i parsknął sucho:

– Wiesz co, Shannon? Może i mamie pojechało się we łbie, ale co do tego, że ten koleś jest jak nasz stary, ma sto procent racji. – Ruszył do drzwi kierowcy i otworzył drzwi. – Ale co tam... Rób sobie, co chcesz.

Po tych słowach zatrzasnął drzwi, odpalił silnik i odjechał, nie oglądając się za siebie. Patrzyłam na trzy małe twarzyczki wpatrzone we mnie przez tylną szybę, dopóki nie zniknęły mi z oczu.

– Cóż... – zaświergotał radośnie Gibsie, przerywając lodowatą ciszę. – Gorąco się zrobiło.

– Tak... – jęknęłam.

Delikatnie powiedziane.

Rozdział 31

Przyjmij moją radę albo nie

Johnny

Wjechałem buldożerem.

Nie musiał mi tego tłumaczyć ani Gibsie, ani nikt inny, sam wiedziałem. Shannon przez całą drogę do Claire milczała jak kamień i pilnowała, żeby całe miejsce między nami pozostawało wolne, dając mi jednoznacznie do zrozumienia, że naprawdę spierdoliłem. Patrzyłem, jak wchodzi do domu Claire, wściekły na samego siebie, ale nie odezwałem się ani słowem, bo bałem się, że jeszcze pogorszę sytuację.

Choć podciągałem się na drążku rozporowym w drzwiach łazienki Gibsiego, nadal nie mogłem się odprężyć. Nie mogłem swobodnie oddychać, bo w głębi duszy wiedziałem, że przeze mnie Shannon było milion razy trudniej. Znajdowała się po drugiej stronie ulicy, ale równie dobrze mogła być lata świetlne stąd. Byłem na siebie tak wkurwiony, że aż czułem smak tego wkurwu.

– Powiniennem tam pójść – obwieściłem po raz pięćdziesiąty na przestrzeni dwóch godzin.

– Nie, nie powinienes – odpowiedział pięćdziesiąty raz Gibs.

Leżał rozwalony na podłodze, z długopisem i linijką w ręce, otoczony kilkoma podręcznikami i bardzo się skupiał na tym dziwnym żółtym papierze, który ponoć pomagał mu się skoncentrować i cokolwiek zrozumieć z jego własnego pisma.

– Co to za słowo? – zapytał, pokazując mi podręcznik do historii. – Renoma?

Zawisłem na rękach, zmrużyłem oczy, przyjrzałem się i odparłem:

– Nie, stary, renesans.

– Renesans – powtórzył, międląc to słowo w ustach. – Kurwa, co za debilne słowo.

Wzruszyłem ramionami i podciągałem się dalej, karmiąc się bólem protestujących z wysiłku mięśni.

– Mogę zadać pytanie?

– Stary, mówiłem już, że dam ci notatki z historii – odparłem. – Nie musisz pytać dwa razy.

– Nie, nie chodzi mi o szkołę – powiedział. – O rugby.

– O? – rzuciłem, a moje zainteresowanie wzrosło. – O co chodzi?

– Jakie mam szanse na jeden z tych kontraktów w Akademii, jak myślisz?

Zawisłem w pół podciągnięcia i przyjrzałem mu się uważnie.

– Pytasz serio, stary? – Wyglądał *poważnie*. – Czy się wydurniasz?

– Johnny, nie pójdę na uniwersytet... Już ledwie znoszę szkołę. – Wzruszył ramionami. – Mama ciągle mnie dręczy pytaniami o to, co chcę robić po szkole, a ja lubię rugby. – Westchnął i dodał: – Jeśli nie wymyślę jakiegoś planu, to skończę z nią w piekarni.

– Jesteś dobry – przyznałem. – Wiesz, że dwa lata temu Akademia się tobą interesowała.

– Tak, wiem i zjebałem – westchnął.

– Jesteś dopiero w piątej klasie – przypomniałem. – Masz jeszcze rok, żeby to zmienić.

– Myślisz, że dałbym radę? – zapytał, patrząc na mnie swoimi szarymi oczami.

– Myślę, że masz potencjał, by osiągnąć wszystko, co ci przyjdzie do głowy – powiedziałem. – Masz talent, a to już dziesięć procent.

- A reszta?
 - Determinacja, poświęcenie i konsekwencja – odpowiedziałem. – Efekt dołożenia po trzydziestu procent każdego.
 - Pewnie przyda mi się przy tym pomoc – mruknął.
 - Czego potrzebujesz z mojej strony?
 - Żebyś przywołał mnie do porządku – przyznał. – Uważam, że dam radę, Johnny.
 - Ja wiem, że dasz – odparłem. – Zawsze tak mówiłem.
 - Wiem, ale wcześniej nie chciałem.
 - A teraz chcesz?
 - Marnuję życie – stwierdził. – Pozwalam, żeby kolejne okazje uciekały mi przez palce.
 - Cóż, to również powtarzam od lat.
 - Więc co muszę zrobić?
 - Rzucić palenie, ograniczyć picie i przyjść do mnie jutro o wpół do szóstej.
 - Trochę późno, żeby tak z wieczora zaczynać...
 - A kto tu mówi o wieczorze? – Uniosłem brew. – Rano, Gibs. Kto rano wstaje i tak dalej.
 - Cholera – jęknął. – Zamierzasz mnie zabić, prawda?
- Wzruszyłem ramionami.
- Jeśli mówisz poważnie i naprawdę tego chcesz, to zwleczesz dupsko z wyra.
 - Napnij nogi – powiedział, wracając wzrokiem do książki.
 - Nie dam rady – wydyszałem ciężko. – Za bardzo boli.
 - Cóż, po powrocie do domu przejedź sobie rundkę na ręcznym, poczujesz się lepiej – odpowiedział natychmiast. – I znowu będziesz w stanie zacisnąć nogi.
 - Co byś zrobił, Gibs? – zapytałem, ignorując jego żart. – Gdybyś był na moim miejscu na tym parkingu?
 - Biorąc pod uwagę twoją wiedzę o jej rodzinie?
 - No – wysapałem ciężko.
 - Dokładnie to samo – odparł, potwierdzając, że nie jestem odosobniony w swoim szaleństwie.
- Ale okroiłbym groźby przemocy. – Rzucił długopis na podłogę i usiadł. – W końcu to jej brat, stary.
- Uniosłem brew i posłałem mu spojrzenie mówiące „nie wciskaj mi kitu”.
- No dobra – zarechotał. – Zabiłbym go.
 - Dziękuję. – Skinąłem sztywno głową.
 - Ale nie mówię, że to słuszny wybór – dodał, wstając.
 - Myślisz, że dalej jest wkurzona? – zapytałem, zerkając na okno. – Mam kłopoty?
 - Zawsze jakieś masz – odparł. – To taki twój atrybut.
 - Wiesz, o co mi chodzi – burknąłem.
 - Nie wiem – odparł swobodnie. – Nigdy nie miałem dziewczyny. Za chuja nie mam pojęcia, co w takich sytuacjach przewiduje związkowa etykieta. – Wyszczrzył zęby i dodał: – Ja zazwyczaj rozwiązuję problemy językiem.
 - Gibs...
 - Mówię poważnie – dodał. – Wścieka się na mnie? Lizanko. Zraniłem cię? W takim razie pozwól, że cię wylizę. – Wzruszył ramionami. – Nie znam innej metody, stary.
 - I wykorzystasteś ją dziś? – zapytałem, mrużąc oczy. – Rozwiązałeś problem Claire językiem?
- Spojrzał na mnie bez słowa.
- Powiedz mi, że nie – jęknąłem błagalnie.

– Nic ci nie mówię – rzucił szybko. – Skupmy się dziś na *twoich* wtopach.

Ma rację.

– Jeden dzień – stęknąłem, spuszczać głowę. – Jeden zasrany dzień, a ja już zrobiłem przypał.

– No – parsknął. – Twój nowy rekord.

– Jebać to... – Opuściłem się na podłogę, wykonałem kilka obrotów barkami i stęknąłem z ulgą, gdy mięśnie wróciły na swoje miejsce. – Idę tam.

– Dobrze. Najwyższy czas – odparł.

Rozdziawiłem usta.

– Ale mówiłeś, że nie powinienem...

– Ej... – Uniósł obie ręce i uśmiechnął się szeroko. – Jestem ostatnią osobą, której powinieneś się radzić. Ja robię to, co ty – dodał, wzruszając ramionami.

– Jezu, mamy przepierdolone... – wymamrotał.

– Nie inaczej, kolego. Nie inaczej – przyznał i walnął mnie w plecy. – Ale na serio: powinieneś mieć dość oleju we łbie, żeby nie brać sobie moich rad do serca. W końcu sam wpierdoliłem się w dół, z którego nie potrafię teraz wyleźć.

– Co się dzieje, stary? – zapytałem, ścigając brwi. – Dee coś na ciebie ma?

– Gdzie tam. – Pokręcił głową. – Nic, z czym bym sobie nie poradził.

– Jesteś pewien?

– Na sto procent.

Poczułem ukłucie niepokoju.

– Gibs, jeśli masz kłopoty, możesz mi powiedzieć.

– Doceniam troskę, ale to twoja dziewczyna siedzi obrażona po drugiej stronie ulicy, Johnny – zarechotał. – A poza tym mam plan.

– Jaki plan? – zapytałem sceptycznie.

– Plan, w jaki sposób utrzymać kutasa w spodniach.

– Co... i z dala od szkolnego sekretariatu?

– Tak jest – przytaknął. – Mam kontuzję. Wypadłem z gry na sześć do ośmiu tygodni. – Uniósł z entuzjazmem oba kciuki. – Nie może mnie już tknąć.

– Kontuzję? Gdzie? Jak? Co, do ch... – Potrząsnąłem głową i spojrzałem na niego zdumiony. – Stary, masz mi się tu zaraz z tym rozwinąć, bo jeśli użyjesz zdjęcia mojego kutasa, żeby udawać... – Spuścił spodnie i zachłysnąłem się powietrzem. – Jasna cholera! – Rozdziawiłem usta z przerażeniem i odruchowo złapałem się za własne krocze. – Coś ty sobie, kurwa, myślał?

– Myślałem sobie, że muszę trzymać fiuta z dala od szkolnego sekretariatu – odciął się, biorąc kutasa w dłoń.

– Kiedy to sobie zrobiłeś?! – zapytałem oburzony.

– W ferie wielkanocne – wyjaśnił. – Mówiłem ci, że się nudzę.

– To poszedłeś sobie przebić chuja?! – rzuciłem z niedowierzaniem.

Wzruszył ramionami.

– Gdyby się nad tym zastanowić, to genialny ruch.

– Gibs, dobrowolnie się zgodziłeś, żeby ktoś przebił ci penisa igłą – stwierdziłem poważnie, patrząc w trwodze na kolczyk pod spodem jego drąga. – Nie ma w tym za grosz geniuszu, stary, to czyste szaleństwo.

– Nie jest tak źle – odpowiedział optymistycznie, głaszcząc się po czubku. – Prawie się już wygoiło, no i wygląda znacznie lepiej, gdy stoi...

– Nie waż się go stawiać na moich oczach! – ostrzegłem. – Co jest z tobą, do cholery? Nie chcę patrzeć, jak ci staje!

– Chciałeś znać mój plan – fuknął, chowając sprzęt z powrotem do bokserek. – Zaprezentowałem ci więc mój piercing wędzidełka.

– *Wędzidełka?! – syknąłem, kręcąc głową z niedowierzaniem.*

– No – przytaknął ochoczo. – Jak drabina Jakubowa, tyle że bez drabiny.

– Co... jak... – Spojrzałem na niego skonsternowany. – Planujesz dołożyć tego więcej?

– Nie – zaprzeczył. – Przynajmniej nie od razu.

– Pojechało cię – wykrztusiłem. – Jesteś nienormalny. Wystraszyłeś mnie na całe życie.

– Ja wystraszyłem *ciebie*? Tak, jasne – prychnął. – Stary, zaprezentowałem ci przykład sztuki piercingu ciała. Ty pokazywałeś mi zgangreniały wór z jajcami.

– Powtarzam ostatni raz: nie miałem żadnej gangreny! – warknąłem. – Miałem naderwany mięsień przywodziela!

– Gadaj sobie, co chcesz, stary. – Gibsie się zaśmiał i wyfrunął z pokoju lekkim krokiem, a ja poszedłem za nim, straumatyzowany niedawnym widokiem. – Ale nigdy w życiu nie widziałem równie sinych jaj.

– Nienawidzę cię – warknąłem, kuśtykając za nim po schodach. – Mam nadzieję, że o tym wiesz.

– Ja ciebie też kocham – odparł z przekąsem.

– Boli cię to? – zapytałem ze skrzywioną miną.

– Gdzie tam, ale czuć ciężar. Trzeba się trochę przyzwyczać.

– Jasna cholera...

– Chłopcy, odrobinę szacunku – poleciła matka Gibsa, gdy wpadliśmy się pożegnać do salonu.

– Anioł Pański.

Skrzywiliśmy się obaj, zrobiliśmy znak krzyża, a gdy w telewizji rozległ się znajomy kościelny dzwon, wymamrotaliśmy wpojone nam od kołyski modły. Sadhbh Allen była religijną kobietą i w domostwie Gibsów przez bitą minutę musiała panować idealna cisza, gdy czekaliśmy ze spuszczonej głowami na sygnał rozpoczęcia wieczornych wiadomości o osiemnastej jeden.

– A teraz... – powiedziała pani Allen, wyciszając telewizor, gdy zaczęły się wiadomości. Podeszła do nas ze swoim wielkim białym persem na rękach i uśmiechnęła się promiennie. – Powiedzcie, jak było w szkole.

– Dobrze – odpowiedzieliśmy jednym głosem.

– Johnny – posłała mi ciepły uśmiech – jak się czujesz po tym wypadku w Dublinie, skarbie?

– Świetnie, dziękuję – odparłem i zrewanżowałem się jej uśmiechem. Podeszedłem bliżej, żeby poczochnąć Briana, tymczasem Gibsie odskoczył jak najdalej od kocura. – Wracam do formy.

– Twoja biedna matka musiała wychodzić z siebie z niepokoju.

– No... – Skrzywiłem się i delikatnie podrapałem Briana pod pyszczkiem. – Można tak powiedzieć.

– Gdzie Ta? – zapytał Gibsie, posługując się pieszczotliwym zdrobnieniem, którym nazywał swojego ojczyma, Keitha Allena. Gibs znał go od ósmego roku życia. Było to oczywiście skrót od „tata”, komplement i zarazem wyraz szacunku dla mężczyzny, który pomógł go wychować. Mężczyzny, który nie do końca był jego tatą, ale kimś znacznie więcej niż obcym „Keithem”. „Ta” oznaczało kogoś pośrodku i Gibsie zwracał się tak do niego, odkąd go znam. – Myślałem, że już wróci.

– Nadal jest na budowie, skarbie. Trafiło się jakieś opóźnienie dostawy, ale wróci dziś. – Pani Allen podeszła do syna, który znów komicznie odskoczył.

– Trzymaj tę bestię z dala ode mnie – wykrztusił, mierząc Briana czujnym wzrokiem. – Nie ufam mu, mammo.

– Och, jest zupełnie niegroźny – zaśmiała się pani Allen. – Muchy byś nie skrzywdził, prawda, Brianku?

– Muchy nie muszą się niczym martwić, bo on ma coś do mnie – burknął Gibsie. – Prawda, Brianku? – Kot syknął, a Gibsie wskoczył za moje plecy. – Będziesz musiała coś zrobić z jego zachowaniem – zapowiedział matce. – Przestałem czuć się bezpiecznie we własnym domu.

– W każdym razie ja już lepiej pójdę – powiedziałem, chrząknąwszy. Lubiłem mamę Gibsa, lubiłem też słuchać, jak Gibs utyskuje na kocura, ale przez świadomość, że Shannon jest po drugiej stronie ulicy, byłem niespokojny. – Dziękuję za gościnę, pani Allen.

– Jesteś zawsze mile widziany, Johnny – odparła, machając mi na pożegnanie. – Wpadaj częściej.

– Idę z nim, mammo – rzucił Gibsie, wybiegając za mną z domu i unikając o włos kocię łapy. – Będę później.

– Oczywiście, że nie wcześniej – zawołała za nami. – Bądź grzeczny, bąbelku.

– Chłodna głowa – poinstruował mnie Gibsie, zamykając drzwi domu. – Po prostu z nią porozmawiaj... Nie szarżuj, jak wcześniej.

– Moja głowa będzie *chłodna* – burknąłem.

– Mówię poważnie – rzucił krytycznie. – I nie naskakuj na jej brata.

– Nie będę – odszczekałem wkurzony. – Ale przysięgam na Boga, stary, że jeśli zobaczę na niej jeszcze jednego siniaka, to ja skończę w pierdłu, a nie jej ojciec. Bo on będzie leżał w ziemi razem z synem, niech tylko któryś jeszcze jej dotknie.

Rozdział 32

Rozerwane rajstopy

Shannon

– Melduję zmiany na froncie – obwieściła Claire ze stanowiska obserwacyjnego przy parapecie okna w swoim pokoju. – Frontowe drzwi się otwierają... powoli. Nie, znowu się zamykają. Nie, czekaj, jednak otwierają. Zdecydujcie się, do cholery! Oho, czekaj, widzę nastoletniego samca... Nie, dwóch samców. Są więc razem... Zero zaskoczenia. B2 zamyka frontowe drzwi. Mówi coś do B1... Popychają się. Chyba się kłóca... Oj, oj, idą w stronę jego auta... Nie, nie, zmienili kurs. Przechodzą przez ulicę. Są coraz bliżej, bliżej, bliżej...

– Claire! – wykrztusiłam spanikowana.

– Ćśś... – Uniosła dłoń i wskazała na drzwi. – Po prostu zaczekaj.

Ding-dong.

Uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Wygląda na to, że przyszli się pobawić misiaczkami.

– Nawijasz do *Bananów w piżamach*²? – parsknęłam, nie mogłam się powstrzymać. – Serio?

– Ej, no... – Wzruszyła ramionami i też się zaśmiała. – Przecież wszystko pasuje.

– Co mam robić? – zapytałam, przygryzając dolną wargę. Na parkingu wszystko poszło na diabły, a Johnny nie odezwał się ani słowem przez całą drogę do Claire. Gdy Gibsie podjechał pod dom, Johnny poszedł do niego, a ja z Claire przeszłyśmy na drugą stronę ulicy i poszłyśmy do niej. Nie wiedziałam, co myśleć i co robić. Nie miałam doświadczenia w takich sytuacjach. – Myślisz, że jest zły?

– Nie – odpowiedziała, przewracając oczami. – Myślę, że *ty jesteś zła*. – Przekrzywiła głowę na bok i przyjrzała mi się uważnie. – Jesteś zła?

– Nie wiem, jaka jestem – odparłam, wzruszając ramionami.

– Masz prawo być zła. Wszyscy trochę daliśmy ciała przy Darrenie. – Claire zmarszczyła nos, strzepała paproch ze spodni piżamy i dodała: – Ale dotknął cię, a dla nas to jak dzwon alarmowy.

– Darren by mnie nie skrzywdził. – Usłyszałam to zdanie z własnych ust po raz tysięczny w ciągu kilku godzin. – Nie w taki sposób. On... po prostu martwi się o mamę i chłopaków... i o tatę.

Który nadal gdzieś tam jest.

– Tak, wiem. – Claire spuściła nogi z parapetu na podłogę, stanęła wyprostowana i rozciągnęła ręce nad głowę. Jej jasne loki, przytrzymywane spinką, żeby nie opadały na twarz, rozlały się po jej plecach jak żywe, płynne promienie słońca. Miała długie nogi, przyjemne krągłości, była taka piękna, że czułam się przy niej jak mały chłopiec. – Wiem, że nie *skrzywdziłby cię* tak na serio i przepraszam, że odstawiłam scenę – dodała, w jej głosie pobrzmiwało poczucie winy. – Ale musisz nas zrozumieć. Tak długo trzymałaś to wszystko w sobie, zakopałaś głęboko tyle tajemnic na temat własnego domu, że teraz trudno ci zaufać.

Wzdrygnęłam się, a Claire wytrzeszczyła oczy.

– Nie w złym znaczeniu! – dodała pośpiesznie. – Ufam ci na milion procent ze wszystkimi swoimi sekretami i w ogóle, przyrzekam. Mówię tylko, że jeśli chodzi o twoją rodzinę, jesteśmy

wszyscy trochę wyculeni.

– Rozumiem. – Przesunęłam się na jej łóżku, żeby skrzyżować nogi i usiąść po turecku, spoglądałam na nią i westchnęłam z przygnębieniem. – Straszny bałagan się zrobił.

– Z Darrenem? – zapytała, spoglądając na mnie z życzliwością i współczuciem. – Czy ogólnie?

– Ze wszystkim – przyznałam. – Darren chyba nieszczęśliwie sobie daje radę z tym powrotem do domu. – Zapieкло mnie poczucie winy. – Sama widziałas, jak „radzi” sobie Joey, Tadhg stał się chodzącym hormonem, a Sean nie potrafi wypowiedzieć zdania składającego się z dwóch słów... I co noc moczy łóżko. Mama jest... cóż, definicją wraku człowieka, a tata... – Skrzywiłam się i dodałam: – Chyba tylko Ollie jakoś sobie radzi, a ma dziewięć lat.

– Przykro mi, Shan. Do bani.

– No – westchnęłam. – I wiem, że powinnam się postarać, żeby pomóc Darrenowi, ale to takie trudne. On... wyjechał, wiesz? *Na lata*. Nawet nie wiedziałam, gdzie mieszka, a teraz nagle wraca i rządzi, i robi, co ona chce... – Głos mi się załamał, przygryzłam nerwowo paznokcie. – Nie wiem, jak to wszystko przyswoić. Tyle się wydarzyło i czuję się...

– Jak, Shannon?

– Tłamszona – przyznałam cicho.

– Przeze mnie?

– Nie. – Pokręciłam głową. – Przez ciebie nigdy.

– Zawsze możesz na mnie liczyć. – Claire podbiegła, rzuciła się na mnie i przewróciła na plecy. – Jesteś moją najlepszą przyjaciółką – wyszeptala, mocno mnie obejmując. – I wiem, że nie powinnam cię tak ścisnąć, ale nic nie poradzę, bo... – Głos się jej załamał, a twarz opuściła na moje ramię. – Bo gdy odebrałam wtedy telefon od Gerarda i się dowiedziałam, tak bardzo się bałam, że już cię nie zobaczę. – Pociągnęła nosem i ścisnęła jeszcze mocniej. – Czulałam się za to odpowiedzialna.

– Jestem tu – wychrypiałam, trzymając ją równie mocno i tonąc w zapachu jej truskawkowego szamponu, bo włosy Claire rozpląły się po mojej twarzy. – I nie byłaś za nic odpowiedzialna.

– Nie? – wymamrotała. – Wiedzialam, że coś się dzieje, i nie zareagowałam.

– Byłaś dokładnie taką przyjaciółką, jakiej potrzebowałam – powiedzialam. – Nie przeszłabym przez to bez ciebie, więc nie miej sobie za złe, bo robiłaś dokładnie to, co było mi potrzebne.

– Shan, już zawsze będzie mi z tym źle – powiedziala. – Nie sądzę, żeby mi to minęło.

– Boże, musisz iść do fryzjera – wydusiłam, wypluwając kosmyk blond loków.

– Co?

– Włosy, Claire – wydusiłam, wyrzebując z ust lawinę jej włosów. – Mam je w ustach. – Odepchnęłam się od jej ramion. – Zamieniasz się w Roszpunkę.

– Powiedziala dziewczyna z włosami do pupy – zachichotała, złącząc ze mną. – Mam gęste włosy i rzeczywiście ich sporo... – zawiesiła głos, żeby mnie podnieść. – Ale jeśli chodzi o długość, nie mam z czym do ciebie startować.

– Bo tylko one mi rosną – zażartowałam, ponownie siadając po turecku. Sięgnęłam za głowę, rozpuściłam włosy i zarzuciłam je za lewe ramię. – Tylko tyle mam... – dodałam, trochę je ogarniając. – Więc nie osądzaj...

– Ja mam coś, co rośnie – wtrącił znajomy głos. – W gruncie rzeczy rośnie w tej chwili.

– Masz pukać, zapomniałeś? – rzuciła Claire, oglądając się przez ramię na Gibsiego, który zdążył już wejść do jej pokoju. – Znasz zasady.

Za nim, w drzwiach, sterczał Johnny. Dreptał z nogi na nogę, wyglądał na skrajnie skrępowanego.

Spojrzał mi w oczy i uśmiechnął się nieśmiało.

Też się uśmiechnęłam.

Wyraźnie mu ulżyło, bo odetchnął.

– Maleńka, wiem, że coś do mnie mówisz – powiedział Gibsie, ponownie przyciągając moją uwagę. – I naprawdę staram się słuchać, ale nie ma szans, bym się skupił, gdy widzę cię w łóżku z drugą dziewczyną, kiedy czeszesz sobie włosy, a twój tyłeczek wystaje seksownie spod tych spodenek... – Wyszczrzył zęby i dodał: – Szybko, zróbcie coś jeszcze!

– Coś takiego? – Claire uśmiechnęła się słodziutko i zamachnęła na niego poduszką.

– Kurwa, idealnie – wykrztusił Gibsie, łapiąc poduszkę w locie. – Dodajcie bitwę na poduszki i mam darmowe porno.

– Jesteś zbokiem.

– Zbokiem, który rozwiązał twój hokejowy problem.

– Naprawdę? – Claire otworzyła szeroko oczy. – Jak?

Gibsie wzruszył ramionami.

– Mam swoje sposoby. – Przechylił głowę w bok, przyjrzał się uważnie jej pupie i zapytał: – Jasna cholera... Masz stringi?

– Gerard... – westchnęła Claire.

– Czerwone? – Zmrużył oczy i dodał: – Ja pierdolę, te czerwone, co nie?

Claire przewróciła oczami, zeszła z łóżka i do niego podeszła.

– Jesteś idiotą – zbesztła go i walnęła w ramię. – Chodź, pomożesz mi posprzątać kuchnię, zanim mama wróci z pracy. Dajmy im trochę pogadać. – Uśmiechnęła się szeroko do Johnny'ego i powiedziała: – Wejdz, Johnny.

– Eee, tak. – Johnny wbił ręce w kieszenie i wszedł do pokoju. – Dzięki.

– Pójdę, dokąd każesz, o ile dasz zobaczyć mi te stringi – błagał Gibsie, spuszczać ręce na jej talię. – Wyszoruję wszystkie garnki. Zrobię wszystko. Daj tylko zerknąć. O nic więcej nie proszę.

– I tak pójdziesz – prychnęła, łapiąc go za szkolny krawat i wyprowadzając z pokoju.

– Co racja, to racja – przyznał, ruszając za nią jak szczeniak na smyczy. – Stanik też masz czerwony?

– Nie mam żadnego.

– Jezu.

Gibsie zamknął za sobą drzwi, zostawiając nas z Johnnym samych w różowym jak guma balonowa pokoju Claire.

– Sporo... Och... Sporo tu różu. – Postawił niezdarny krok, wyciągnął jedną rękę z kieszeni i machnął nią bez celu. – W życiu nie widziałem tylu maskotek i lalek.

– Nie bawi się już nimi – wyjaśniłam, tłumiąc śmiech na widok jego zmieszania. – Tylko kolekcjonuje. – Nie wiedziałam, co robić, złapałam więc wielkiego miśka polarnego z łóżka i wysunęłam w jego stronę. – Tego kupił jej Gibsie na trzynaste urodziny i zażądał, by ochrzciła go na jego cześć – wyjaśniłam. – Claire przystała na kompromis i stanęło na Gerrym.

– Pamiętam – westchnął Johnny i przecesał włosy dłonią. – Zapłacił za to cholerstwo osiem dych. Kosił trawniki całe lato, żeby tyle zarobić.

– Osiemdziesiąt euro za pluszowego misia? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Takiego chciała – odparł, wzruszając ramionami.

– Och – szepnęłam, bo nie wiedziałam, co jeszcze dodać.

– Jest okej? – zapytał, nie ruszając się z miejsca. – Między nami?

– Chyba tak – przytaknęłam.

Johnny wypuścił powietrze z płuc i podszedł do mnie.

– Wiem, że zjebałem, okej? – wyrzucił z siebie i zatrzymał się, by usiąść na krawędzi łóżka. Spojrzał mi w oczy. – Przesadziłem. Ale zobaczyłem, że cię łapie, i spanikowałem. – Pokręcił głową i sięgnął po moją dłoń. – Shan, zrobiło mi się, kurwa, czerwono przed oczami. Nie myślałem trzeźwo, wyciągnąłem pochopne wnioski.

– Rozumiem – wyszeptalam, przysuwając się do niego bliżej. – Nie jestem na ciebie zła.

– Ale pogorszyłem twoją sytuację – jęknął, kładąc sobie moją dłoń na kolanach i spoglądając na mnie ze szczerym smutkiem. – Zjebałem, kochanie.

„Kochanie”?

O Boże.

– I teraz będziesz musiała wrócić do domu i wysłuchiwać od nich jeszcze więcej – kontynuował, brzmiał, jakby naprawdę było mu ciężko. – A wszystko przez to, że nie mogłem się opanować...

– Johnny? – wydusiłam z rozszalałym sercem.

Westchnął i spojrzał na mnie uważnie, jakby próbował ocenić moje emocje.

– Tak, Shan?

– Kocham cię. – Nie miałam pojęcia, skąd wzięła się we mnie potrzeba, żeby to teraz powiedzieć. Widocznie te słowa wyłaziły z mojego gardła za każdym razem, gdy tylko padał na niego mój wzrok.

Jego niebieskie oczy stanęły w ogniu.

– Ja też cię kocham.

– Tak?

– Tak.

Nie wiem, kto wykonał pierwszy ruch... Nasze kończyny splątały się chaotycznie, a gdy ja rzuciłam się na niego, on był już prawie na mnie. Nasze usta zderzyły się ze sobą w tej samej chwili, w której padłam na plecy przygnieciona jego ciężkim ciałem.

Obezwładniona złapałam go mocno za szyję i pozwoliłam nogom się rozszerzyć, dzięki czemu w zasadzie między nie wpadł.

Ten kontakt sprawił, że jęknęliśmy równocześnie.

Zanurzyłam palce w jego włosach, oplótłam go nogami w pasie i całowałam z potrzebą graniczącą z szaleństwem. Zaciskałam uda, podrzucałam biodrami i ciągnęłam go mocno za włosy, pragnęłam jedynie zanurzyć się w tym chłopaku. Wbiłam język w jego usta, całowałam z całych sił, a wciąż brakowało mi bliskości. Johnny wynagrodził to głębokim jękiem aprobaty. Ten dźwięk był taki *seksowny*.

Czułam go między nogami, twardego jak stal, ocierał się o najbardziej intymne zakamarki mojego ciała. Jęczałam, wciskałam się w niego, chciałam, żeby naciskał na mnie *mocniej*.

– Chryste. – Jego dłonie wędrowały po całym moim ciele. – Jak przyjemnie. – Jedną wsunęła się pod moją koszulkę i ścisnęła skórę. – Smakujesz idealnie.

Jego ręce były wszędzie, na moich nogach, biodrach, we włosach. Dotykał wszędzie, z *wyjatkami* miejsca, w którym pragnęłam go najbardziej, i to tylko podsycało moje rozgorączkowanie... Rozpaczliwe pragnienie *jego*.

Zachowywałam się jak skończona wariatka, ale nie mogłam się dłużej powstrzymać. Czułam dojmujące pragnienie, które już dawno wżarło się w moje kości, i to ono mnie napędzało, zachęcało. Wezbrało we mnie ciepło. Głębokie, niezaspokojone, pulsujące mrowienie.

Jego język i palce tylko je wzmacniały, aż w końcu dosłownie *tam* pulsowałam. Moje serce łupało z prędkością stu kilometrów na godzinę, przez namiętność i desperację moje ruchy zrobiły się bezmyślne i niezdarne, bo ciało instynktownie podążało za nieznanym doznaniem, które tylko Johnny mógł mi zapewnić.

Byłam dziewicą, ale to nie znaczyło, że nie miałam pojęcia o seksie. Przeczytałam dość książek, obejrzałam dość filmów i wysłuchałam dość opowieści, żeby wiedzieć wszystko o męskim ciele i orgazmach. I choć jeszcze żadnego nie przeżyłam, to wiedziałam, że przypominające ciarki impulsy przyjemności, które przechodziły mnie za każdym razem, gdy Johnny uderzał biodrami o moje biodra, stanowiły drobną zapowiedź ostatecznej rozkoszy.

Boże, ja mogę zaraz dojść, w mojej głowie ożyła nagle ta myśl, przez co zarzuciłam mocniej biodrami i jęknęłam zachęcająco w jego usta. *Chyba dzięki niemu dojdę*.

Rozkoszując się uczuciem przygniecenia jego ciałem i otumaniona pożądaniem, wsunęłam rękę między nasze ciała i dotknęłam spodni Johnny'ego. Gdy wyczułam jego erekcję, przeszedł mnie dreszcz.

– Kochanie, zostaw – wysapał mi w usta, wyszarpując moją rękę i unieruchamiając ją nad moją głową. – Bo nie wytrzymam.

– Boli cię jeszcze? – wydyszałam. – Sprawia ci to ból?

– Shan, zabijesz mnie – jęknął i zanurzył twarz w mojej szyi. – Kochanie, kurwa. – Przygryzał, zasysał moje ciało, wytyczył pocałunkami ścieżkę od moich obojczyków do ust, a potem znów wepchnął mi język do ust.

Też już nie wytrzymywałam.

Naprawdę, nie mogłam dłużej wytrzymać.

Rozpaczliwie chciałam więcej, wsunęłam więc ręce pod jego szkolną koszulę i złapałam jego twarde, wyrzeźbione ciało. Gdy wbiłam palce w jego brzuch, coś się stało, bo Johnny wcisnął mnie mocniej w materac, poruszał się gwałtowniej. Ręka, którą mnie przytrzymał, zjechała na moją nogę.

Złapał za miększą część mojego uda, zadarł nogę w górę i wbił we mnie biodra. Tak mocno wbił palce w moją skórę, że poczułam, jak rozrywa mi rajstopy, ale miałam to gdzieś. Może rozerwać je sobie na strzępy, nie przeszkadzałabym mu. Powędrował wyżej, poczułam opuszki jego palców na krawędzi majtek. Zawahał się, miałam ochotę wrzeszczeć. Sfrustrowana zahaczyłam palce za jego pas i pociągnęłam mocno. Nie potrzebował większej zachęty. Wsunął dłoń pode mnie i złapał mnie za tyłek, ściskając, przyciągając mnie wyżej i cały czas się o mnie ocierając.

Gdzieś w głębi umysłu świeciła mi świadomość, że tarzanie się z chłopakiem po łóżku najlepszej przyjaciółki jest kompletnie niestosowne, ale mój mózg zauważał w tym wszystkim tylko jedno słowo: „chłopak”. Wszystko inne było w tej chwili nieistotne, bo Johnny był moim chłopakiem, bo mój chłopak rzucił mnie na plecy, bo mój chłopak sprawiał, że cała się trzęsłam i drżałam. Był to pierwszy dotyk mężczyzny, na który się cieszyłam. Johnny był wielki, męski i wykorzystywał całą swoją siłę, żeby sprawić mi przyjemność.

W tej chwili zupełnie nie przejmowałam się rodziną ani wrednymi uczniami, nie bałam się nieznanego i niczym się nie martwiłam. Potrafiłam myśleć tylko o rozpaczliwej potrzebie, która we mnie żyła i która chciała *połączyć się z nim* w każdy możliwy sposób.

Moje pożądliwe myśli przeciął głośny szelest folii, podskoczyłam, bo coś ostrego ukuło mnie w udo.

– Co to? – zapytałam bez tchu, odrywając się od jego ust. Zakręciłam biodrami i znowu to poczułam. – Aua.

– Wszystko dobrze? – Przez jego oczy przemknęła troska, która przysłoniła pożądanie. Pośpiesznie odsunął się i klęknął między moimi nogami. – Zrobiłem ci krzywdę?

– Nie, ty nie... – Poklepałam na oślep materac i natrafiłam na jakieś paczuszki z ostrymi krawędziami. – To coś... – wydyszałam, podnosząc jeden z kwadracików, żeby mu się przyjrzeć. Gdy dotarło do mnie, co trzymam, zalało mnie ciepło. – Eee, musiało wypaść ci z kieszeni – wybełkotałam, patrząc na stertę kondomów leżącą obok mojej talii. – *Musiał* wypaść ci z kieszeni – poprawiłam się, naliczywszy szesnaście. Siedemnaście, doliczając ten, który trzymałam.

Johnny wbił wzrok w prezerwatywę w mojej dłoni, mrugnął kilka razy, a potem zerwał się z łóżka szybciej niż kiedykolwiek na boisku.

– Jezu Chryste – wykrztusił, przeczesując włosy dłonią. – To nie tak, przysięgam. – Wymamrotał pod nosem ciąg przekleństw i zaczął się miotać po całym pokoju. – Zajebany Gibsie – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Zniszczy mi życie.

– Gibsie?

– To jego – bąknął. – Nie moje.

– Och... – Podniosłam się na łokciu, obserwując, jak rzuca się po pokoju niczym opętany. – Okej.

– Tylko mu je przechowuję – dodał pośpiesznie, nie przestając chodzić. – *Nie przyniosłem* ich tu z żadnego innego powodu, a potem w ogóle zapomniałem, że mam je w kieszeni.

– W porządku.

– Do kurwy nędzy... – jęknął, zatrzymując się, by złapać się za kark. – Przecież ja bym nie... To znaczy w życiu... Nie oczekiwałem seksu.

– Nie oczekiwałeś?

– *Co takiego?!* – spojrzał na mnie zszokowany. – Nie, oczywiście, że nie, Shannon!

– Och. – Zerknęłam na rozrzucone prezerwatywy, a potem znowu na niego. – Czemu?

– Ponieważ... – Rozdziawił usta i dopiero po kilku długich sekundach doszedł do siebie. – Czekał... *Że co?*

– Uch, nic, nic... – wymamrotałam zażenowana. – Nieważne.

– Chcesz uprawiać seks? – zapytał, bacznie mi się przyglądając. – To chciałaś powiedzieć?

– Nie wiem. – Wytrącona z równowagi stanęłam po drugiej stronie łóżka, plecami do okna, i patrzyłam na niego równie czujnie. – To znaczy zrobiłabym to, gdybyś chciał?

– Czy to jakiś podstęp... co do... co ty... kurwa! – Johnny podniósł jedną rękę w górę, drugą położył sobie na głowę i wziął kilka uspokajających wdechów. Przygryzał wargi, spoglądał na mnie wybałuszonymi oczami, wyglądał, jakby zaraz miał wybuchnąć. – Daj mi chwilę.

– Okej.

– Nie będę uprawiał z tobą seksu – oświadczył, gdy w końcu odnalazł właściwe słowa. W jego głosie było słyhać, że jest rozdarty, a jego mina wyrażała ból. – Nie będziemy uprawiali seksu, Shannon – powtórzył bardzo spięty. – To się nie wydarzy.

O Boże.

– Przepraszam. – Rozpalona i niewiarygodnie przerażona poprawiłam zadartą spódniczkę. – To było głupie... Nie wiem, co sobie myślałam... To znaczy oczywiście, że nie chcesz... Eee, po prostu zapomnij...

– *Chcę* – poprawił mnie natychmiast. – Wierz mi, że chcę, przysięgam. Ale po prostu *nie mogę*.

– Och. – Mój wzrok przeskoczył na namiot w jego szarych szkolnych spodniach. – Bo dalej cię boli?

– Nie, kochanie – wydusił, podrzucając rękę w górę. – Bo nie jesteś gotowa.

– Ale powiedziałam, że to zrobię, jeśli będziesz chciał – wyszeptałam.

– Właśnie – jęknął głośno. – Jeśli *ja* będę chciał... a nie dlatego, że sama chcesz. – Potrząsnął głową, podszedł do łóżka i ciężko na nie opadł. – Jest zdecydowanie za wcześnie.

– Ale gdy byłeś z Bellą, uprawialiście... – Zamknęłam usta i oparłam się o okno, obserwując go. – Nieważne.

– Jezu... – wymamrotał, chowając twarz w dłoniach. – Myślisz, że chcę czegoś takiego? – Nie odpowiadałam, więc wyprostował się i spojrzał na mnie. – Chodź tu. – Poklepał materac obok siebie. – Chodź, posiedź ze mną trochę.

Przyglądałam mu się bacznie jeszcze kilka chwil, w końcu moje ramiona rozluźniły się pod wpływem ulgi, podeszłam do niego i usiadłam.

– Rozmawiaj ze mną – powiedział cicho. – Opowiedz mi, co się dzieje w tej twojej głowie.

– Po prostu... – urwałam i się spięłam, nie potrafiłam wydobyć słów.

– Po prostu co, Shannon?

– Nic.

– *Rozmawiaj ze mną.*

– Po prostu chcę, żebyś ty chciał mnie tak, jak chciałeś jej, na wszystkie sposoby... – wypaliłam i od razu zapłonęłam ze wstydu.

– Nie. – Pokręcił głową. – Wcale nie chcesz.

– Właśnie, że chcę, naprawdę – przyznałam ponuro.

– Czyli chcesz, żebym ja *chciał* cię po prostu zerznąć? – zapytał żarliwym tonem. – Chcesz, żebym oczekiwał od ciebie *tylko* seksu? Żebym cię dupczył, a potem tylko kombinował, jak najszybciej się od ciebie wyrwać? – Patrzył na mnie, wyczekując w napięciu, czy ośmielę się odpowiedzieć „tak”. – Zastanawiał się, ile muszę z tobą siedzieć, jak już go z ciebie wyjmę, żeby nie wyjść na chama? Czy pięć minut wystarczy? Czy aż pół godziny? Czy muszę cię całować i przytulać, czy mogę po prostu sobie iść i jak najszybciej zmyć z siebie twój zapach? Bo z nią tak właśnie było – warknął, przeczesując włosy dłonią. – Bez jakichkolwiek uczuć. Tylko seks i nic poza tym.

– Nie, nie chcę, żeby tak było – przyznałam cicho. – Po prostu chciałam, żebyś mnie *chciał*.

– I *chcę* – odparł natychmiast, z przekonaniem. – Ale nie chcę tego, co miałem z Bellą. Chcę tego, co mam z *tobą*.

– Obiecujesz?

– Shannon, no obiecuję, kurwa! – Pochylił się, oparł łokcie na udach i westchnął ciężko. – Posłuchaj mnie. Bella była błędem. – Skrzywił się, wymawiając jej imię. – Chyba wiedziałem, że nim jest, nawet gdy ją rż... Gdy popełniałem ten błąd – poprawił się szybko, posyłając mi przeproszające spojrzenie. – Byłem wtedy oderwany od rzeczywistości i chciałem *coś poczuć*, chociaż przez chwilę. – Ponownie westchnął. – Patrzyłem na kumpli i chłopaków z drużyny z dziewczynami i w ogóle. Na przykład na Hughiego i Katie? Jezu, nawet na Gibsa i Claire. I sam nie wiem, Shan, wydawali się w tym tacy beztroscy, tacy, kurwa... bezmyślni, że zrobiłem się zazdrosny. – Spojrzał mi w oczy i dodał: – Gdy idziesz pewną ścieżką, a wszyscy twoi przyjaciele inną, i to razem, robi się samotnie. No i chyba po prostu bardzo mi zależało na jakiejś więzi z kimkolwiek, z czymkolwiek poza rugby. Ale jej nie znalazłem. – Wyprostował plecy, podparł się na rękę i ponownie na mnie spojrzał: – *Nie potrafiłem, wiesz? Z nikim nie potrafiłem znaleźć takiej*

więzi. – Wzruszył bezradnie ramionami, patrząc na mnie tymi niebieskimi oczami. – Aż pewnego dnia na chwilę oderwałem wzrok od swoich spraw i oto byłaś. Niebieskooka i pełna tajemnic. – Chrząknął kilka razy i w końcu powiedział: – Nigdy wcześniej nie czułem takiej więzi.

– Johnny...

– Nie, wysłuchaj mnie, Shan – przerwał mi od razu, położywszy rękę na mojej dłoni. – Mogę ci powiedzieć tylko tyle, ile wiem – dodał ochryple z rozpalonym wzrokiem. – *Że zmieniłaś* mnie już pierwszego dnia, w którym wkroczyłaś w moje życie. A gdy pierwszy raz cię ujrzałem? Rozpaliłaś we mnie coś, co mnie ożywiło. – Westchnął głośno, wzruszył ramionami, ale nie odrywał oczu od moich. – I już nigdy nie byłem taki sam.

Serce cwałowało mi w piersi.

– Naprawdę?

Kiwnął powoli głową, a na jego usta wkradł się drobny uśmiech.

– Bum.

Odetchnęłam rozedrgana.

– Bum.

– Więc teraz odpowiem tym wszystkim pojebanym myślom w twojej ślicznej główce: *nie chcę* Belli ani niczego zbliżonego do relacji z Bellą – kontynuował. – Chcę tego, co *my* mamy. Naszej przyjaźni. Twojego towarzystwa. Naszych rozmów. Po prostu *czasu z tobą*. I nigdzie mi się nie śpieszy. Chcę, żebyś miała pewność, że wiesz, w którą stronę to zmierza, chcę, żebyś wiedziała, że gdy cię całuję, wcale nie liczę na więcej, niż jesteś gotowa mi dać. Nie zrobię ci tego. Nie wezmę niczego, czego nie jesteś gotowa mi dać, i nie będę naciskał, okej? – Przeczesał włosy dłonią i westchnął. – Seks nie jest wcale taki ważny. Kurwa mać, to tylko jeden element... Element, z którym możemy poczekać, ile będziesz chciała.

Miał rację.

Boże, miał całkowitą rację.

I wtedy niepokój zalał mnie po uszy.

– Johnny, ja chyba nie jestem jeszcze gotowa – wyszeptałam z rozpalonymi policzkami.

– Wiem – odparł z półuśmiechem. – I nie ma w tym niczego *złego*.

W jego głosie nie było ani nuty zawahania, a ja złapałam się tej pewności.

– Okej – zaskrzeczałam, przysuwając się bliżej.

– Uszczęśliwiasz mnie – wyszeptał. – I chcę się tego trzymać. Trzymać się *ciebie*.

– Johnny... – urwałam, zastanawiając się nad znaczeniem tego, co właśnie powiedział. – Ty mnie też.

– I chyba wiszę ci parę rajstop. – Pokazał palcem rozerwany fragment i speszony wzruszył ramionami. – Przepraszam.

– To nieważne. – Uśmiechnęłam się.

On też się uśmiechnął, podniósł rękę, a ja wślizgnęłam się w powstałą przy nim przestrzeń.

– Podoba mi się tak, jak jest teraz, Shan. – Jego słowa otuliły moje serce niczym miękkiego kocyka.

– A do tego dojdziemy, kiedy dojdziemy – dodał po chwili przyjemnej ciszy. – Nigdzie mi się nie śpieszy. – Poczulałam muśnięcie jego warg na czubku głowy. – Nie z tobą.

Rozdział 33

Dzięki ci, Jezu Johnny

Byłem świętym człowiekiem.

Naprawdę.

Byłem przekonany, że zasłużyłem na medal za powściągliwość zaprezentowaną wcześniej w sypialni Claire. Wątpię, czy na świecie żył drugi koleś w moim wieku, który czułby do dziewczyny to samo, co ja do Shannon – do dziewczyny, która *wygląda* jak Shannon – i powstrzymałby się w takiej sytuacji.

Minęło wiele godzin, a ja nadal rozmyślałem o najlepszej i zarazem najgłupszej rzeczy, jaką w życiu zrobiłem. Pragnąłem wejść w tę dziewczynę bardziej, niż zrobić następny oddech, a gdy pomachała mi przed nosem swoim dziewictwem jak pierdolonym Wielkim Szlemem⁴, musiałem się zmierzyć z najpotężniejszą pokusą. Ale postąpiłem *słusznie*, do jasnej cholery. Wyhamowałem. Postawiłem jej potrzeby ponad własnymi pragnieniami, i ta świadomość odrobinę mnie uspokajała. Więc później, gdy już wszystko sobie wyjaśniliśmy i zesłiliśmy na dół, wypilem gorącą czekoladę z jej przyjaciółką, pogadałem trochę o niczym, zapewniłem Shannon konieczną pociechę i uspokajałem Gibsiego, na ile mogłem – a to wszystko z najbardziej opuchniętymi jajami w dziejach rodzaju męskiego.

Gdy kilka minut po dziewiątej Sinead Biggs wróciła z pracy i wydała mnie i Gibsiemu rozkaz do wymarszu, miałem ochotę zaszlochać z wdzięczności. Wiem, jak to brzmi, ale *ulżyło mi*, że przyjechała i wykopała nas za drzwi, bo potrzebowałem chwili dla siebie.

Musiałem wracać do domu, i to szybko, bo już nie wytrzymałem.

Ja pierdołę, minęło pięć miesięcy i czy miało boleć, czy nie, musiałem spuścić.

Nawet gdyby miało mnie to zabić, do cholery.

Przez całą drogę do domu nie mogłem wydusić słowa. Niecierpliwość mnie dobijała, byłem kłębkiem nerwów. W moim organizmie szalały strach, podniecenie i żądza napędzane paliwem w postaci wspomnień leżącej na plecach Shannon i mnie między jej nogami.

Na szczęście Gibsie też siedział pochmurny i milczący za kółkiem, a gdy podjechał pod mój dom, nawet nie zgasił silnika. Rzucił tylko smutne: „Przyjadę po ciebie rano, stary”, i podniósł szybę.

Nie miałem pojęcia, co mu się stało – założyłem, że się dąsa, bo matka Claire nas wywaliła – ale w tej chwili nie mogłem się tym przejmować, bo musiałem dokonać samogwałtu, dlatego jego problemy nie były moim naczelnym priorytetem.

Wszedłem do domu i od razu poczułem, że czuwa nade mną sam Pan Jezus. Mama była w toku jakiejś służbowej rozmowy, wyszcze kiwała polecenia do zestawu słuchawkowego, miotając się wściekle po kuchni ze skrzyżowanymi na piersi rękami. Przysięgam, że miałem ochotę paść na kolana i zmówić modlitwę dziękczynną. Próbowała nawiązać ze mną kontakt wzrokowy, ale czym prędzej zwałem na górę przy użyciu kuli, która potrzebna była bardziej dla spokojności jej sumienia niż mnie.

Tymczasowo wyeksmitowałem Sookie z pokoju, zatrzasnąłem drzwi i zacząłem ściągać ciuchy. Nigdy nie zrozumiałem, dlaczego naszła mnie potrzeba rozebrania się do gołej dupy, ale płońłem jak samo piekło i musiałem jakoś sobie ulżyć.

Czując, jak bulgocze we mnie mikstura strachu i podniecenia, usiadłem na krawędzi łóżka nieruchomo jak posąg i spojrzałem z góry na stojącego jak tyka kutasa.

No to jedziemy...

Skrecony z napięcia jak sprężyna opuściłem rękę i wstrzymałem oddech, czekając na ból, do którego już tak przywykłem... Ból, który nauczyłem się kojarzyć z własnym fiutem.

Jedno pociągnięcie...

Drugie...

Trzecie, niepewne...

Gdy ból nie nadszedł, wypuściłem wstrzymywane w płucach powietrze, padłem na plecy i wbiłem wzrok w sufit.

– Dzięki ci, Jezu.

Zamknąłem oczy, przywołałem wszystkie niemoralne wizje Shannon, które nosiłem w głowie, i zrobiłem sobie dobrze.

Rozdział 34

Policyjne koguty i nowe informacje Shannon

Przez całą drogę do domu moje ciało było skręcone z napięcia jak sprężyna. Jakże dobrze mi znane przerażenie wróciło na opuszczony posterunek, zdeptując wszystko dobre, co mnie dziś spotkało. Myśli o Johnnym uciekły do pudełka w głębi umysłu, w którym je chowałam, znieczuliłam wszystkie emocje i przesłam w tryb przetrwania. Jakbym zamykała promienie słońca w starym, spróchniałym kufrze z obawy, że otaczający mnie mrok je skala.

Miałam jakiś szósty zmysł wyczuwający kłopoty, zanim się objawiały. Czułam, jak temperatura mojego ciała spada do arktycznego poziomu, a krew w moich żyłach ścina lód. Każdy mięsień w moim ciele zaciskał się jak pięść w trwożnym wyczekiwaniu.

Nie byłam na tyle naiwna, żeby się pocieszać, że tym razem wszystko będzie dobrze. Mój dom był rozświetlony jak choinka, z każdego okna wylewało się żółte światło, przy zazwyczaj pustej ścieżce przed podwórką stał sznur aut, w tym niebiesko-żółty radiowóz gardy – ten widok naprawdę wystarczył, bym zaniechała jakichkolwiek jałowych afirmacji.

– Shannon, słońce – powiedziała pani Biggs zaniepokojonym tonem, podjeżdżając pod mój dom. – Wszystko dobrze?

– Pewnie tak – wychrypiałam, pośpiesznie odpinając pas bezpieczeństwa, bo szpony paniki zaczynały szarpać mnie za flaki. – Dziękuję za odwiezienie, pani Biggs – dodałam, wyciągając rękę do klamki.

– Zaczekaj... Chciałabyś, żebyś poszła z tobą? – zapytała mama Claire czule i położyła mi dłoń na ramieniu. – Mogę zaparkować i cię odprowadzić, kochanie...

– Nie, nie, nie trzeba – wybełkotałam, popychając drzwi po stronie pasażera i dziękując mojej szczęśliwej gwiazdzie, że Claire tym razem postanowiła zostać w domu i z nami nie jechać. – Ale lepiej już pójdę.

Pani Biggs, która była bardzo podobna do córki, przez chwilę przygryzała wargę, była wyraźnie zaniepokojona.

Ale nie aż tak jak ja...

– Zadzwoń później do Claire? – zapytała w końcu, uważnie mi się przyglądając. – Tylko dać znać, że wszystko dobrze?

Kiwnęłam głową, uśmiechnęłam się sztucznie i szybko odeszłam.

Głęboki oddech, intonowałam w myślach przez całą drogę do frontowych drzwi. *Cokolwiek się stało, dasz radę.*

Po prostu oddychaj, Shannon.

Gdy dotarłam pod drzwi, naszło mnie koszmarnie *déjà vu* i przez chwilę po prostu stałam z klamką w dłoni, a całe ciało wyrывało mi się spod kontroli.

Jest tu, syczał mózg. Uciekaj, Shannon. Natychmiast uciekaj!

Chwilę później straciłam możliwość wyboru, bo drzwi otworzyły się do środka i ukazał mi się Joey. Przez chwilę wchłaniałam widok jego niezakrwawionej twarzy i wstrząsnął mną potężny dreszcz.

– Ćśś... – szepnęła, gdy chciałam się odezwać. Nie wpuścił mnie do środka, zamiast tego wyszedł i zamknął za sobą drzwi. – Muszę z tobą porozmawiać.

– Co się dzieje, Joe? – zapytałam spanikowana.

– Wszystko dobrze. – Złapał mnie za rękę i zaprowadził w boczną część podwórka, z dala od drzwi i okien. – Ale musimy porozmawiać?

– Porozmawiać? – zdziwiłam się. – O czym? – Zdenerwowana machnęłam w stronę stojących pod domem aut. – Co się dzieje? Po co przyjechała garda? Czemu widzę auto Patricii?

– Chodź tu... – Pociągnął mnie przez zbyt wysoką trawę, wślizgnęliśmy się w wąską szczelinę między ogrodową szopą a murem, do naszej starej pieczary, w której chowaliśmy się przez wiele nocy. Nie było tu na czym zawiesić oka, splechetek wydeptanej trawy za szopą osłonięty pustym kanistrem na benzynę, ale szczelina była tak wąska, że ojciec nie mógł się tu wcisnąć. Kiedyś, gdy byliśmy mali, trzymaliśmy tu koce, latarki i małe pudełka ciastek, ale nie przychodziliśmy tu od bardzo dawna. – Oddał się w ręce policji, Shan. – Joey obejrzał się nerwowo za siebie i wypuścił powietrze z płuc. – Garda go ma.

– Tata? – wydusiłam, nawet nie byłam pewna, czy wypowiedziałam to słowo na głos. Moje serce galopowało sto na godzinę, wyciskając mi powietrze z płuc. – Mówisz serio?

Joe przytaknął i poczułam, jak całe moje ciało słabnie.

Było słabsze, słabsze, coraz słabsze, aż w końcu, jak w zwolnionym tempie, zaczęło osuwać się na ziemię.

– Mam cię. – Złapały mnie ręce brata. – Już dobrze. – Opuścił nas oboje na wilgotną trawę i kucnął obok mnie, trzymając mnie za ramiona. – Ćśś, jesteś bezpieczna.

Siedziałam w bezruchu, oparta plecami o betonowy mur, czułam, jak wilgoć przesącza się przez szkolną spódniczkę, ale nie byłam w stanie poruszyć nawet jednym mięśniem, za to mój mózg włączył tryb ponaddźwiękowy.

Mają go?

Oddał się w ich ręce?

Mój ojciec?

– Zwymiotuję... – Ledwie zdążyłam wypowiedzieć to słowo, gdy odwróciłam się w bok i wyrzygałam na trawę treść żołądka.

– Grzeczna dziewczynka. – Joey złapał moje włosy w garść i odsunął mi je z twarzy, poklepując mnie po plecach. – Wyrzuć to z siebie. Poczujesz się lepiej.

Nie, nie poczuję się lepiej.

Już nigdy nie poczuję się lepiej, bo to wszystko było *takie złe*.

Skręcałam się i charczałam, dopóki nie pozbyłam się wszystkiego, dopóki nie byłam całkiem pusta.

– Dlaczego? – wyskrzeczalam, gdy mogłam znów mówić. Ciężko dysząc, wytarłam usta wierzchem ręki i opadłam bezwładnie, całkiem pokonana. – Sam się zgłosił? – Potrząsnęłam głową, nie przyjmowałam tego do wiadomości. Nie, Joey musiał coś pomylić. – Joe, on by tego nie zrobił. – Nasz ojciec *dobrowolnie* nigdy nie dałby za wygraną. – To nierealne.

– Wiem – przyznał Joey cicho, niemal szeptem. – Ja też w to nie wierzę. – Przeczesał włosy dłonią, był sfrustrowany. – Coś tu nie gra.

– Co jeszcze wiesz?

– Nic – odparł. – Dosłownie chwilę przed tobą wróciłem z pracy, wszedłem do środka i zastałem ich wszystkich w kuchni. – Pokazał na swój poplamiony smarem drelich i wzruszył

ramionami. – Garda, Patricia i kilka kobiet, które pierwszy raz widziałem na oczy, wszyscy siedzieli z mamą i Darrenem.

– I co mówili?

– Nie wiem, Shan. – Pokręcił głową i dodał: – Nie pozwolili mi zostać... Wyjebali mnie, kurwa, z kuchni, ale zanim zatrzasnęli mi drzwi przed nosem, usłyszałem, jak jeden gliniarz mówił, że ojciec się oddał w ich ręce. Zaraz potem usłyszałem podjeżdżający samochód, więc wyszedłem, żeby cię ostrzec.

Mój żołądek zawiązał się w supeł.

– Cóż, dzięki za ostrzeżenie.

– Musiał pójść do prawnika albo coś. Ktoś musiał mu to doradzić... – Joe wydał z siebie warkot rozdrażnienia. – Po prostu wszedł na posterunek i dał się zamknąć, przecież to bez sensu.

– Może poczuł się winny? – rzuciłam bez przekonania, wiedząc, że to kretynizm.

– Żeby poczuć się winny, musisz mieć sumienie – odpowiedział od razu Joey. – On nie ma.

Prawda.

– To jakieś gówno – rozległ się znajomy głos. Oboje spojrzeliśmy gwałtownie na zbliżający się w ciemności cień. – Siedzą tam, gadają o naszym życiu, podejmują *za nas* decyzje i nie dają nam nawet posłuchać.

– Tadhg – wydusiłam, przykładając dłoń do serca, gdy precyzyjnie się przez szczelinę, oświetlony tylko światłem latarni z drugiej strony ulicy.

– Gdzie Ollie i Sean? – zapytał tylko Joey.

– W łóżku... Obaj śpią – odpowiedział Tadhg, podszedł i usiadł obok nas na ziemi. Oparł się plecami o mur, tuż przy mnie, objął ramionami kolana i wymamrotał: – Ale Sean znowu zasikał materac.

– Lepiej tam pójde... – westchnął Joe zmęczonym tonem.

– Ogarnąłem to – wciął mu się Tadhg. – Posprzątałem.

Serce mi pękło.

Dzieci opiekujące się dziećmi.

– Ollie znowu ma koszmary. Ciągle się budzi i zawodzi, że *on* wróci po nas w środku nocy... – dodał ostro. – Nie mogę zmrużyć oka przez tę pierdoloną beksę.

– Tadhg – powiedziała wycieńczona. – Nie kluj, proszę cię.

– Czemu? – warknął agresywnie. – Co mi zrobisz?

– Temu, że masz jedenaście lat i jesteś za młody na przekleństwa – odpowiedziałam smutno. – I nic nie zrobię. Po prostu nie powinieneś przeklinać.

– Spierdalaj, Shannon – powiedział jadowicie. – W piątek będę miał dwanaście, a w moim życiu dzieje się dużo rzeczy, które *nie powinny* się dziać.

– Dość – rozkazał Joey władczo, patrząc na naszego młodszego brata. – Chcesz się wściekać na ojca i matkę... na cały zaszpany świat? Proszę bardzo. Nie krępuj się. Masz pełne prawo. *Powinieneś* być wściekły. Bo to wszystko nie fair. Ale nawet nie myśl o wyżywaniu się na niej, na mnie albo na dwóch dzieciakach na górze, bo gównu ci zrobiliśmy. Gównu zrobiliśmy, żeby zasłużyć na takie życie, tak samo jak ty. Pamiętaj o tym, gdy znów cię najdzie ochota, żeby wylać na nas swój ból.

Przez chwilę Tadhg patrzył hardo na brata, a potem targnął nim potężny dreszcz.

– Nie chcę, żeby wrócił – powiedział w końcu łamiącym się głosem. Klęknął i rzucił się na Joeya. – Nie chcę – płakał, obejmując Joeya za szyję. – Chcę, żeby to się skończyło. Niech to wszystko się już skończy!

– Wiem, mały – wydusił Joey, obejmując go mocno. – Wiem.

– Zostawiłeś mnie – szlochał coraz mocniej Tadhg. – Nie możesz mnie zostawiać. *Musisz ze mną zostać.*

– Jestem – wyszeptał Joe, który również zaczął się trząść i spojrzał na mnie oczami pełnymi cierpienia. – Jestem tu.

– Ja też – wykrztusiłam, obejmując braci. – Jesteśmy drużyną, chłopaki – dodałam, wlewając w głos tyle entuzjazmu, ile zdołałam, byle jakoś pocieszyć Tadhga. – Przetrwamy to.

– Otóż to – potwierdził Joey napiętym głosem. – Poradzimy sobie.

– Razem? – załkał Tadhg.

Spojrzałam głęboko w oczy Joeya i bezgłośnie powtórzyłam:

– *Razem?*

– Jasne, mały. – Joe z całych sił zacisnęła powieki. – Razem.

I siedzieliśmy tak, na mokrej trawie, w mżawce, dopóki ciszy nie zakłócił szmer ludzkich głosów.

– Dziękuję, że przyjechaliście z nami porozmawiać. – Dotarł do mnie przytłumiony głos Darrena. Wszyscy troje napięliśmy się w tym samym momencie. – Doceniam, że informujecie nas na bieżąco.

Tadhg chciał wstać, ale Joey złapał go za bluzkę od piżamy i ściągnął z powrotem w dół.

– Nie ruszaj się – polecił mu cicho.

– Ale oni... – zdziwił się Tadhg.

– Po prostu słuchaj – syknął Joe z naciskiem.

Tadhg musi się jeszcze wiele nauczyć.

– Żaden problem, panie Lynch – odpowiedział mężczyzna. Założyłam, że jeden z policjantów.

– Przykro mi, że nie były to informacje, na które państwo liczyliście.

Ścisnęło mnie za serce.

Nie, nawet nie ścisnęło – zmiądzżyło.

Bo podobnie jak moi bracia wiedziałam, że nie czeka nas nic dobrego.

Jeżeli sprawa dotyczyła ojca, nie mogło czekać nas nic dobrego.

– Pańska matka powinna szukać pocieszenia w fakcie, że zaakceptował swoją odpowiedzialność – mówił dalej policjant. – To zawsze jakiś postęp.

– Nie do końca taki, jakiego oczekiwałem – odparł Darren nieco ostrzejszym tonem niż normalnie. – Podobnie jak moja siostra i bracia.

– Tak, cóż, na to nie mamy już wpływu – wtrącił neutralny, kobiecy głos. – Prawo to prawo, niestety nie my je tworzymy. Możemy tylko go przestrzegać.

– Prawo to jebany żart – burknęli równocześnie Joey i Tadhg.

– Zapeszylismy – szepnął Tadhg, kącik jego ust lekko się przy tym podniósł.

Joey przewrócił oczami i mocno go objął. Wziął go na kolana i stuknął knykami w głowę.

– Bez obaw... Odpukałem w niemalowane.

– Cicho – syknęłam na nich i ponownie wytężyłam słuch.

– Nie będziemy zabierali więcej czasu – powiedział policjant. – Dobranoc, panie Lynch.

– Tak, dobranoc – odparł Darren. – Dziękuję.

Kilka chwil później rozległ się warkot silnika, który stopniowo cichł w oddali.

– Idę do środka... – oświadczył Tadhg, ponownie wstając, ale brat znowu ściągnął go na ziemię. – Żądam odpowiedzi!

– Siedź – powiedział spokojnie Joe. – Jeszcze nie skończyli.

Tadhg fuknął, skrzyżował ręce na piersi i zacisnął usta.

– Czeka cię sporo nauki, młody – stwierdził Joey, kręcąc głową.

Zaczekaliśmy, aż Patricia i pozostałe kobiety wyjdą, powiadają do samochodów i odjadą. Dopiero wtedy Joey się podniósł i kiwając głową w stronę domu, ogłosił:

– No dobra. *Teraz* idziemy po nasze odpowiedzi.

Tadhg natychmiast wystrzelił do przodu i zanim my z Joeyem w ogóle weszliśmy do domu, wpadł do kuchni z piskliwym krzykiem:

– Co tu się dzieje, do cholery?!

– Posłuchaj, pozwól, że ja się tym zajmę – powiedział Joey cicho, ściskając mnie lekko za ramię, i też wszedł do kuchni.

Stałam w drzwiach i od razu wbiłam wzrok w matkę, która sterczała na swoim krześle przy stole, nad popielniczką, i trzymała w chudych palcach papierosa. *Na razie zero niespodzianek*. Miała przed sobą też standardowy kubek z kawą... wzbogaconą wódką albo innym płynnym lekarstwem, które postanowiła zaserwować sobie dzisiejszej nocy. Łkała cicho w dłoń, co chwilę zaciągając się papierosem. *Ponownie: zero niespodzianek*.

Na stole znajdowała się niewysoka kupka białych kopert. Jedna była otwarta, obok popielniczki leżała jakaś kartka.

– Co się dzieje? – dopytywał się Tadhg, stojąc na samym środku kuchni, mierząc wściekłym wzrokiem najstarszego brata i całkowicie ignorując matkę. – Chcę wiedzieć!

– Cicho bądź, Tadhg! – warknął na niego Darren. – Próbuję myśleć... – Chodził nerwowo, ściskając w dłoni kopertę. – Nie mogę myśleć!

– Gadaj, co się dzieje, to będziesz mógł sobie wracać do myślenia – odwarknął od razu Tadhg.

Przyglądałam się z progu, jak Joey bez słowa mijając Darrena i ostrym ruchem bierze kartkę ze stołu.

Gdy obserwowałam, jak czyta, coraz bardziej ściągając brwi, a w końcu zamyka oczy, czułam, że moje serce dosłownie przestało bić. Joey zeszytniał, zmiażdżył kartkę w pięści i cisnął nią o ścianę.

– Kurwa!

– To nam nie pomaga – napomniął go cicho Darren.

– Nie, a wiesz, co jeszcze nie pomaga? – odciął się Joey. – Ty, Darren. Nie pomagasz, kurwa!

– Myślisz, że sobie tego życzyłem? – syknął przez zęby. – Jeśli tak, to chyba ci odjechało!

– O Boże – załkała głośno matka. – Nie wytrzymam tego.

– Przestań w końcu beczeć! – warknął na nią Tadhg, ciągnąc się ze złości za włosy. – Wszyscy już rzygamy twoim ciągłym skomleniem!

– Hamuj się, Tadhg – zbeształ go Darren. – Nie zwracaj się tak do niej.

– Nie mów mu, co ma robić – natychmiast stanął w obronie brata Joey. – Młody ma rację. Wszyscy mamy już dość wysłuchiwanie matki, ty też. Tylko że on ma dość jaj, żeby to powiedzieć.

– Co się dzieje? – zapytałam, stojąc dokładnie w tym samym miejscu i mając za plecami frontowe drzwi, żebym mogła w każdej chwili uciec.

– Wyjaśnij im, co się dzieje, Darren – wycedził złowrogo Joey. – No już, przekaz Tadhgowi i Shannon pomysły wieści. Albo jeszcze lepiej... – zawiesił głos, podszedł do stołu i podniósł kopczyk kopert. Przerzucił je pośpiesznie, dwie rzucił z powrotem na stół, po czym ruszył w naszą stronę. – Niech sami sobie przeczytają. – Joey wcisnął jedną z nich w rękę Tadhga, a potem wręczył mi następną, podpisaną „Shannon”, ostatnią wcisnął do kieszeni swojego niebieskiego drelichu. – Znakomita lektura, moi drodzy – powiedział głosem ociekającym sarkazmem. – Najlepsza, kurwa, bajka, jaką czytałem, co nie, mamo?

Nie odważyłam się otworzyć trzymanego w rękach listu. Mój mózg już rozpoznał, że niechlujne bazgroły na kopercie to pismo ojca.

– Napisał każdemu z nas list – ironizował dalej Joey jadownicie. – Ale z nas farciarze.

– Joey... – Darren pokręcił głową.

– Nie żyje? – wydusiłam, moje serce biło ogłuszająco głośno. – O to chodzi? – Podniosłam list wyżej. – Zab... – Oddech utknął mi w gardle, ale wyrzuciłam ostatnie słowa: – Zabił się?

– Aż tyle szczęścia nie mamy – syknął Joey. – Jest świeżutki jak szczypiorek i żyje sobie pełną gębą w Brickley House.

– Brickley House?

– To ośrodek terapeutyczny po drugiej stronie miasta – wyjaśnił Darren. – Tata zapisał się tam dwa tygodnie temu, Shannon. Dzień po tym, jak trafiłaś do szpitala. Cały czas tam był, dlatego nikt nie mógł go znaleźć.

Przymknęłam na chwilę oczy, próbowałam okiełznać emocje i przetrwać to, co właśnie usłyszałam, ale gdy znów się odezwałam, zdobyłam się jedynie na:

– *Co takiego?*

– Co to znaczy? – wykrztusił Tadhg, blednąc, a gdy nikt mu nie odpowiedział, wrzasnął: – Co się dzieje?!

– To znaczy, że jest cwany skurwysynem, ma wysoko postawionych kumpli i dostęp do rad jakiegoś przebiegłego prawnika – wycedził z złością Joey, biorąc się pod boki. – To znaczy, że nie spędzi ani dnia za kratkami... Dokładnie tak, jak przewidywałam. Jak wam wszystkim, kurwa, mówiłam!

– Nie – sprzeciwił się natychmiast Darren. – I tak będzie musiał stawić się w sądzie.

– Dlaczego nie jest teraz w więzieniu? – wydusiłam, czując jak zaczynam się trząść od głowy po palce stóp. Przeniosłam wzrok na Darrena i wyszeptalam: – Tak mówiłeś, Darren. Powiedziałeś, że jak tylko go znajdą, to od razu go aresztują. – Z mojego gardła wyrwał się chrapliwy szloch, odruchowo złapałam się za bok, przypominając sobie, co się stało, gdy ojciec ostatni raz był w tej kuchni. Sparaliżowała mnie panika. – Tak mówiłeś... – powtórzyłam, czułam, że zaraz dostanę zapaści. – *Obiecałeś.*

Darren się wzdrygnął.

– Wiem, co mówiłam...

– Ojciec *współpracuje* – wtrącił z furią Joey.

– Co to znaczy? – zapytał Tadhg.

– Zgłoszenie się do Brickley House wystarczyło, by sędzia uznał, że ojciec żałuje swoich czynów i szuka pomocy w leczeniu uzależnienia – wyjaśnił Darren. – To znaczy, że sędzia przystał na kaucję pod warunkiem, że ojciec przejdzie trzydziestodniową terapię, będzie przestrzegał zakazu zbliżania się i w listopadzie stawi się w sądzie.

– W listopadzie? – wytrzeszczyłam oczy ze strachu. – Przecież to za ponad pół roku.

– A to znaczy, że za dwa tygodnie będzie wolnym człowiekiem – dodał Joey, klaszcząc. – Zajebista robota. – Skierował wściekłość na matkę: – Możesz już przestać płakać. Wkrótce do ciebie wróci.

– Wcale nie wróci – odciął się Darren. – Odpowie za to, co zrobił.

– Nie ściemniaj im, Darren! – ryknął Joey, całkowicie tracąc opanowanie. – Nie okłamuj ich, kurwa! – Zwrócił się do nas i powiedział: – Odbębni te trzydzieści dni, wróci jako inny człowiek, pełen żalu za grzechy i wyrzutów sumienia, stawi się w sądzie w ładnym garniaczku załatwionym przez jednego z jego pierdolonych koleżków, a sędzia pochwali go za podjęty wysiłek... za

porządne życie w trzeźwości. Wtedy usłyszymy, że „każdy zasługuje na drugą szansę”, tatuś wysłucha surowego ostrzeżenia i zostanie odesłany z powrotem do nas.

– Joey! – Darren nie wytrzymał. – Wystarczy!

– Minie kilka miesięcy, ludzie z opieki społecznej znikną, bo nie oszukujmy się, moi drodzy, czeka na nich cała kolejka zjebów takich jak my – kontynuował Joey, ignorując Darrena. – O ile będziemy nakarmieni, ubrani, względnie lekko obici i będziemy pokazywali się w szkole, to znikniemy z ich radarów. Zapomną o nas... jak wcześniej.

– Powiedziałem dość! – ryknął Darren. – Straszysz ich!

– A wtedy wślizgnie się do jej łóżka, jakby nic się nie stało – dodał Joey, mrużąc na Darrena zielone oczy. – *Tak będzie* i jesteście głupi, jeśli się łudzicie, że nie.

– Nienawidzę cię! – wrzasnął Tadhg, rzucił w matkę nieotwartym listem i wybiegł z kuchni, odpychając mnie po drodze. Pełną napięcia ciszę, która spadła na nas po jego wybuchu, wypełnił stukot jego wściekłych kroków na schodach.

Ja nadal patrzyłam uważnie na braci i matkę, przez cały czas życząc sobie, żeby jednak coś poczuć. Wszystko było odrętwiałe i zimne, moje życie zamarzło w czasie. Nic z niego nie zostało. Byłam po prostu *pusta*.

Cała moja wiara, nadzieja, przyszłość... Puf, i nie ma.

– Wychodzę – oświadczył w końcu Joey. Potarł się po twarzy i głośno jęknął: – Muszę stąd wyjść.

– Dokąd idziesz? – zapytał ostro Darren. – Joey, jest prawie wpół do dwunastej.

– Nie twój zasrany interes – wycedził Joey, wychodząc z kuchni i uważając, żeby po drodze nawet mnie nie musnąć... ani nie nawiązać ze mną kontaktu wzrokowego.

– Joey – zawołałam za nim, spękany głosem. – Proszę, nie idź...

Frontowe drzwi trzasnęły i zostałam sama z mamą i Darrenem.

– Będzie dobrze – zwrócił się do mnie Darren. – Obiecuję.

– Darren, nie składaj obietnic, których nie możesz dotrzymać – odparłam roztrzęsiona.

– Ma rację. – Mama pociągnęła nosem i też na mnie spojrzała. – Bo ja nie pozwolę mu tu wrócić.

– Nie odzywaj się w ogóle – wyszeptalam, po czym bez słowa odwróciłam się na pięcie i poszłam do siebie, niosąc w ręce list od ojca. Postanowiłam docenić ostatnie dwa tygodnie snu, bo wiedziałam, że teraz łatwo już nie zasnę.

On tu wróci. Gdy wchodziłam pod kołdrę i zwiijałam się w możliwie najmniejszą kulkę, słyszałam tylko tę jedną myśl: *Wróci do domu. Tylko zaczekaj, to się przekonasz.*

W tym domu ktoś w końcu zginie.

Prędzej czy później...

Tej nocy nie zmrużyłam oka.

Rozdział 35

Chusteczka przyklejona do tyłeczka

Johnny

– Umarłeś?

Głos Gibsiego rozproszył jeden z najlepszych snów, jakie zaliczyłem od lat. Mrugnąłem niechętnie.

– Hę? – bąknąłem ochryple. – Co, do chuja? – Podniosłem się na łokciu, rozejrzałem i zobaczyłem najlepszego kumpla w drzwiach mojego pokoju. – Co ty wyprawiasz?

– Mówiłem wczoraj, że zajadę po ciebie i pojedziemy do szkoły? – odparł, przyglądając mi się z zaciekawieniem. – Co jest z tobą?

– Nic. – Ziewnąłem głośno i przeczesalem włosy ręką. – Obudziłeś mnie.

– Nigdy nie śpisz tak długo – stwierdził, zerkając na mnie podejrzliwie. – Jesteś chory?

– Wyglądam ci na chorego? – burknąłem wkurzony, że wyrwał mnie z pierwszego porządnego, wolnego od bólu snu od miesiący. – Która jest?

– Wpół do szóstej – odpowiedział, marszcząc czoło. – I nie, nie wyglądasz na chorego, ale z całą pewnością wyglądasz jakoś *inaczej*. – Podwinął rękawy granatowego swetra i podszedł do łóżka, coraz bardziej podejrzliwie mi się przyglądając. – Jesteś spokojny – zauważył. – I odprężony. – Wytrzeszczył oczy. – Spuściłeś się, no nie?

– Stary, za wcześnie, żeby się z tobą użerać. – Padłem z powrotem na materac, złapałem poduszkę, przytuliłem ją do piersi i przeturlałem się na bok ze stanowczym zamiarem powrotu do spania. – Daj mi ze dwie godziny. Nie musimy być w szkole przed wpół do dziesiątej.

– Ale jestem gotowy na trening – męczył dalej. – Powiedziałeś, że pomożesz. Potrzebuję celu w życiu.

– I pomogę, pomogę – wymruczałem, wtulając się mocniej w poduszkę. – Tylko... dziś daj mi pospać, okej?

– Wyobrażasz sobie, że ta poduszka to twoja dziewczyna? – zapytał. – *Mała Shannon?*

– Spierdalaj, Gibs – burknąłem, zamykając oczy. – Jestem zmęczony.

– No, od miętoszenia własnych jaj – odpowiedział. – To przez to nie chce ci się wstać i mnie trenować.

– Jedź dziś beze mnie – wymamrotałem. – Jutro z tobą pojedę... Obiecuję.

– Pierdolę takie coś. – Nie dawał mi spokoju. – Nigdy nie wstaję tak wcześnie...

– Ćśś... – mruknąłem uspokajająco. – Spanko.

– Johnathon.

– Gerard.

– Waliłeś do kresu sił, tak? – zapytał oskarżycielsko. – Jezus Maria!

– Nie będę z tobą o tym rozmawiał.

– Użyłeś nawilżacza, który ci kupiłem?

– Odpierdol się i daj mi spać.

– Był delikatny?

– Gibs!

– Obtarłeś się?

– Jezu... – Otworzyłem oczy, wbiłem wzrok w ścianę i policzyłem do dziesięciu, żeby nie stracić cierpliwości. – *Idź sobie.*

– No nie bądź taki, kurwa, wstydlivy – prychnął, kładąc się obok mnie na łóżku. – Nie mamy przed sobą tajemnic.

– Może kilka by się nam przydało... – warknąłem, przewróciłem się na plecy i spojrzałem na niego wściekle. – Jezu.

– Nie przestanę, dopóki mi nie powiesz, więc równie dobrze możesz to już mieć za sobą. – Gibsie założył sobie ręce za plecy, odetchnął głęboko, po czym dodał: – Bardzo mi zależy, żeby wysłuchać twojej historii do końca, Johnny.

Wpatrywałem się w niego przez kilka długich chwil, w końcu na moją twarz wypełził wredny uśmieszek.

Gdy Gibsie go zauważył, wytrzeszczył oczy.

– Jasny gwint. – Wyszczrzył zęby, jego oczy zajaśniały ekscytacją. – Na serio?

– Działa – wyjaśniłem, wzdychając z satysfakcją.

– I jak było? – zapytał i wyglądał przy tym, jakby był szczerze zachwycony moim szczęściem. – Tak samo jak dawniej? Lepiej? Gorzej?

– Satysfakcjonująco – powiedziałem. – Ale muszę cię ucziwie ostrzec... Leżysz na mokrej plamie, kolego.

– Jezu Chryste, Johnny! – syknął, katapultując się z materaca. – Nie słyszałeś o waleniu w gumie? Podarowałem ci całą górę gum!

– Nie jestem aż tak wyrafinowany – odparłem ironicznie. – Dopiero co przywróciłem go do stanu używalności. Nie będę dusił biedaka w lateksie.

– Spójrz na moją dupę! – zawył Gibsie i musiałem zasłonić sobie twarz poduszką, żeby stłumić śmiech. – Patrz, co mi zrobiłeś! – wrzeszczał, wskazując na chusteczkę przyklepioną do jego spodni. – Odklej to – rozkazał. – W tej chwili zabierz swoją spermę z mojego tyłka!

– Nie – wykrztusiłem pomiędzy spazmami śmiechu.

– Jakbyś doszedł mi na dupę! – ryczał. – Twoje nasienie dotyka mojego ciała.

– Przestań, bo mi szwy puszczą!

– Wstawaj! – zażądał obruszony. – Zbieraj cztery litery i mnie ratuj!

– Nie mogę... – Dusilem się ze śmiechu. – Jestem taki słaby...

– Jesteś – syknął i zaczął ściągać cały mundurek. – Bo wytrysnąłeś na materac z połowę masy ciała. – Gibsie zdarł z siebie szkolny sweter i koszulę, kopniakami pozbył się butów, zsunął spodnie i wyskoczył z nich jak oparzony. – Chory bydlaku – zawodził, rzucając we mnie tymi spodniami. – Ty... ty... koniobijco!

Śmiałem się i śmiałem, bo szczerze mówiąc, co innego miałem robić?

– Czuję to na sobie – jęczał. – Mam to gdzieś? – Krztusił się i kręcił na boki, żeby lepiej zobaczyć własny tyłek. – Czuję to na skórze! Johnny, czuję się zbrukany! – wycedził, patrząc na mnie wściekle.

– Nic nie masz... – wycharczałem, bo już naprawdę miałem problem z nabraniem tchu, i odrzuciłem mu spodnie. – Jesteś bezpieczny, obiecuję.

– Wyczyść mi mundurek – zażądał, uskakując przed lecącymi spodniami. – Zwlec z łóżka swojego wielkiego, nabrzmiałego kutasa i wyczyść mi, kurwa, ciuchy! – Zmrużył oczy i syknął: – Mam gdzieś, jeśli będziesz musiał pełznąć na dół na czworakach, ale lepiej znieś tam moje ciuchy i je wypierz! Bo jak nie, to wezmę twój mundurek, a ty sobie łaż we własnej spermie!

– Czyściłem twoje płyny tyle razy, że przestałem liczyć – prychnąłem.

– Sądzę, że twoja żywa sperma na moim dupsku przebija moje rzygi na twojej pościeli, chuju!

– zawył, telepiąc się ze złości.

– Plemniki umierają zaraz po wytrysku, Gibs.

– Po *siedemdziesięciu dwóch godzinach!* – odparł i przeszedł go dreszcz wstrętu. – Słuchałem wczoraj uważnie pielęgniarek od seksu.

– To nie były pielęgniarki od seksu – stwierdził, nadal się śmiejąc. – Przynajmniej nie możesz zajść w ciążę.

– W ciążę?! – zabalgotał, znów podnosząc głos w świętym oburzeniu. – Jestem już, kurwa, w ciąży! Noszę w sobie *rozpacz*, Johnny! Mam łono pełne obrzydzenia, kurwaaa!

– Chłopcy? – Dobiegł nas głos mamy. – Co się... O, Gerard, czemu jesteś w samych majtkach?

– Pani syn – przerwał, żeby wymierzyć we mnie oskarżycielsko palec – na mnie ejakulował.

– Naprawdę? – zapytała mama z nadzieją.

– Tak, naprawdę! – jęknął Gibs i ponownie cały się wzdrygnął.

– Wcale na ciebie, kurwa, nie ejakulowałem – rzuciłem, nie wiedząc, czy bardziej chce mi się śmiać, czy płakać. – Ja ejakulowałem, a ty na to *usiadłeś*.

– Na jedno wychodzi! – burknął wściekle. – Skutek jest, kurwa, taki sam, Johnny!

– Och, kochanie, tak się cieszę, że znowu ci działa – powiedziała mama z ogromną ulgą. – Ale nie powinieneś majstrować przy kroczu, gdy przyjmujesz kolegów.

– *Co takiego?!* – Rozdziawiłem usta. – Mamo, czy ty to naprawdę powiedziałaś?

– Mamuniu K., mam to na całym mundurku – powiedział Gibs. – Johnny mnie zniszczył.

– Gerard, skarbie, wiem – odpowiedziała pocieszająco, poklepując gnojka po policzku. – Idź pod prysznic, a ja wyczyszczę ci ubranie. Będzie jak nowe.

– Jestem również głodny – stwierdził, robiąc szczenięce oczy.

– Przygotuję ci coś, słońce – odparła. – A teraz już idź, umyj się.

Gibsie, po kolejnym spazmie, pomaszerował do mojej łazienki, na odchodnym pokazując mi dyskretnie środkowy palec.

– Cóż... – westchnęła mama ze znużeniem, schylając się po jego ciuchy. – Wiem, że jestem starej daty i naprawdę nie sądziłam, że kiedykolwiek będę musiała coś takiego mówić, ale proszę cię, Johnny, nie ejakuluj na Gerarda.

– *Nie ejakulowałem* – wydusiłem przerażony. – Po co miałbym to robić?

Mama pokręciła głową i wymamrotała coś w stylu: „A kto może wiedzieć, co robią dzisiejsi nastolatkwie?”

– Mamo! – warknąłem naprawdę rozeźlony. – Zrobiłem sobie dobrze. A on po prostu usiadł na chusteczce i mu odbiło. Nie ejakulowałem na niego.

– A Pan Jezus zapłakał – zaskomlała, przykładając dłoń do czoła. – Mogłam mieć córkę. Może bym ją *rozumiała*...

– Ale masz mnie – fuknąłem, padając z powrotem na materac. – Z kutasem i całą resztą.

– Johnathon!

– Daj spokój, mamo, powinnaś się cieszyć – burknąłem, już dawno porzuciwszy godność. – Pewnego dnia może naprawdę będę w stanie dać ci wnuka.

– Nie z Gerardem, nic z tego.

Szczęka mi opadła.

– Nie jestem gejem!

– Nie byłoby w tym nic złego – stwierdziła.

– To prawda, dziękuję, ale nie jestem – odpowiedziałem zaciekle. – Mam dziewczynę. Miałem ochotę skopać się w dupsko. Wymknęło mi się. Mama zamarła.

– Shannon?

Walić to, skoro powiedziało się A...

– Tak, Shannon jest moją dziewczyną – przyznałem, siadając prosto. – Jesteśmy razem. I zanim zaczniesz, to wiedz, że cokolwiek z tatą o niej powiecie, to dla mnie zupełnie bez różnicy.

– Nie zamierzałam mówić *złego słowa* o Shannon – odpowiedziała po namyśle. – Skarbie, uważam, że to cudowna dziewczyna. – Zmarszczyła czoło i spojrzała na mnie przesywająco swoimi brązowymi oczami. – Ale jej rodzina...

– Nie chcę tego słyszeć – przerwałem jej od razu. – Nie spotykam się z jej rodziną, mam, tylko z nią.

– A co z tym, co mówiła jej matka? – szepnęła mama i aż pobladła. – Johnny, Shannon ma szesnaście lat.

– Popatrz na mnie. – Wskazałem na łóżko i stertę ciuchów w jej rękach. – Jak myślisz, co ja tu robiłem?

– Nie wiem... – Przygryzła dolną wargę. – Po prostu nie chcę, żebyś...

– Dorósł? – wtrąciłem. – Trochę za późno, mam. Za miesiąc mam osiemnastkę.

– Czy to tak na poważnie?

– Traktuję ją poważnie – odparłem stanowczo i bez zawahania.

– Jak poważnie?

– Na tyle poważnie, że ją kocham – powiedziałem, patrząc jej w oczy i napinając każdy mięsień. – Na tyle poważnie, że nic mnie od niej nie odstraszy.

– A czy... – Głos się jej załamał, przełknęła cichy szloch. – Nie śpieszycie się za bardzo?

– Nic nie robimy – odpowiedziałem. – Nie jestem głupi, okej? Więc się nie martw.

Mama westchnęła z ulgą, rozluźniła drobne ramiona.

– Johnny, ja ją lubię – dodała. – Uważam, że to świetna dziewczyna... I dobra dla ciebie. Kochanie, uważam, że ma na ciebie *wspaniałe* wpływ, ale po prostu... – Westchnęła jeszcze raz. – Jesteś *moim* dzieckiem i nie chcę, żeby wpłatał się w coś, co może źle wpłynąć na twoją przyszłość. – Spojrzała na mnie wymownie. – Nie chcę, żebyś popełniał błędy.

– Mam, mam łeb na karku – odpowiedziałem. – Wiem, dokąd zmierzam i jak tam dotrzeć. Nie nawalę.

– W takim razie... – Kolejne westchnienie, ale po nim uśmiechnęła się szeroko. – Powinieneś szybko przyprowadzić ją na kolację.

Mrugnąłem szybko.

– Ale myślałem, że mówiłaś...

– Mówiłam, że nie możesz tam chodzić, ale w tym domu Shannon zawsze jest mile widziana – oświadczyła mama i ciszej dodała: – Pod nadzorem.

– Ja, eee... – Podrapałem się po kłacie i spojrzałem na mamę niepewnie. W końcu pokręciłem głową i wydukałem: – Tak, przyprowadzę ją...

– Cudnie. – Uśmiechnęła się promiennie. – Powinieneś też zaprosić tego jej brata. Świetny chłopak, ale wydaje się samotny. Moglibyście się z Gerardem trochę dla niego postarać... Może zabrać go na siłownię od czasu do czasu?

– Eee, aaa... Okej... – *Szanse, że Joey Lynch będzie chciał razem ze mną powyciskać sztangę są równe zeru, ale dobrze to znosisz, więc nie psujmy nastroju.* – Zaproszę.

– Grzeczny chłopiec. Kiedy będziesz schodził na śniadanie, to znieś pościel – dodała i ruszyła do drzwi z ciuchami Gibsiego w rękach. – I następnym razem rób to nieco schludniej. Na przykład nad muszlą, jak tata... Mniej bałaganu.

Zabijcie mnie.

Rozdział 36

Rozbijanie murów i wydeptywanie plaż

Johnny

– Stary, mogłeś naprawdę mnie uwalić z tymi kondomami, ale ci wybaczyłem, więc przestań się już boczyć i odpuść – przypomniałem Gibsiemu, gdy zaparkował pod Tommen. Całą drogę do szkoły jochczył o ten mundurek, a ja całą drogą wyliczałem wiele, naprawdę wiele przypadków, w których to on był wrzodem na moim tyłku. – Masz szczęście, że Shannon się wtedy nie wystraszyła, bo inaczej ta rozmowa toczyłaby się w zupełnie innym miejscu – dodałem, otwierając drzwi i wysiadając z auta. – Na przykład w szpitalu. Albo nad twoim grobem.

– Cóż, ja nigdy ci nie wybaczę dzisiejszego poranka – fuknął, obchodząc samochód i ruszając za mną do szkoły. – *Spuściłeś się na mnie*, Johnny.

– Jak się nie uspokoisz, do cholery, to spuszczę ci na łeb coś ciężkiego – warknąłem.

Prychnął głośno, złapał dół swetra i przystawił go sobie do nosa.

– W czym twoja mama pierze? – zapytał, głęboko się zaciągając. – Pachnie niebiańsko.

– Nie mam pojęcia, stary. Kobieta ładuje do każdego prania tonę różnego szajsu – odpowiedziałem, wruszając ramionami. – Ciuchy tak pachną chyba przez to coś z niebieskiej butelki.

– Hmm... – mruknął z namysłem. – Myślisz, że gdybym przyniósł...

– Nie, Gibs – uciąłem od razu i westchnąłem głośno, skręcając na szkolny dziedziniec. – Nie będzie ci prała ubrań, więc nawet nie zaczynaj.

– Dobra, tylko pytałem... O cholera! – Złapał mnie za tył marynarki i gwałtownie zatrzymał, przyciągnął do siebie, miał kamiennie poważną minę i patrzył ponuro.

– Co jest, do cholery? – burknąłem, krzywiąc się, bo przez to gwałtowne zatrzymanie, ból przeszył moje uda.

– Patrz – syknął, kiwając na główny gmach. – Ten śmieć.

Zdezorientowany podążyłem za jego wzrokiem i zobaczyłem Claire. Stała przed szklanymi drzwiami szkoły i rozmawiała z jakimś kolesiem. To chyba ten, którego Gibsie poszarpał na dyskotecę w zeszłym roku. Zmrużyłem oczy i zapytałem:

– Czy to...

– Jamie Kelleher? – dokończył za mnie. – Zgadza się.

– I znowu go nienawidzimy, ponieważ...

– Ponieważ jest chujem – syknął złowieszczo. – Chce jej.

– To on jest tym jej byłym? – zapytałem, ponownie mrużąc oczy, żeby lepiej mu się przyjrzeć. – Byli razem całe dwa tygodnie?

– O dwa tygodnie za dużo – wycedził Gibsie, aż wibrując z napięcia. – Nienawidzę go... Stary, próbował ją namówić, żeby dotykała jego kutasa. Na dyskotecę – syknął naprawdę wściekle. – W co ona, kurwa, pogrywa, że znowu do niego zagaduje?

– Nie mam pojęcia – odparłem. – Pewnie po prostu chce być koleżeńska.

– A nie powinna – warknął.

– Gibs, daj spokój, musisz ochłonać, stary.

– Spierdalaj – odwarknął. – Łatwo ci mówić.

Jamie najwyraźniej powiedział coś zabawnego, bo Claire odrzuciła głowę w tył i głośno się zaśmiała. Podszedł do niej bliżej, uśmiechnięty, i położył dłoń na jej ręce.

– Dość tego, kurwa! – syknął Gibsie. – Zapiardolę go...

– Wcale nie – stwierdziłem i zrewanżowałem mu się złapaniem za sweter i przytrzymaniem w miejscu. – Nic nie zrobisz, bo nie masz prawa.

– Ja *nie mam prawa*?! – wycharczał rozjuszony. – Co ty wygadujesz?!

– Słyszałeś, nie masz prawa – powtórzyłem, ciągle trzymając go za sweter. – Nie jesteście razem, stary, więc uspokój się, zanim zrobisz głupotę, która wywoła dziewczęce łzy i ogólną dramę.

– To on będzie płakał, kiedy go dopadnę – wycedził przez zęby. – To oblech, Johnny. Nie zasługuje na nią.

– Może i tak – przyznałem. – Ale jak na niego wyskoczysz, to ty będziesz kretyńcem na dywaniku u Twomeya.

– No to wracam do domu – rzucił, gwałtownie mi się wrywając. – Pierdolę.

– Gibs! – zawołałem za nim. – Chodź tu, nie zachowuj się jak baran.

– Nie zamierzam na to patrzeć! – ryknął przez ramię, zmierzając na parking. – Nie będę na to drugi raz patrzył, kurwa!

Panie, dodaj mi sił...

– Wiesz, że wystarczy, że zaprosisz ją na randkę – powiedziałem, kuśtykając za nim. – Zgodzi się.

– Wiem – fuknął na mnie, brzmiał na jeszcze bardziej wściekłego.

– Skoro wiesz, to czemu jeszcze tego nie zrobiłeś? – zapytałem rozdrażniony.

– Bo nie!

– Bo nie? – powtórzyłem, tłumiąc ochotę, żeby wskoczyć mu na plecy i powalić go na ziemię. – Lubisz ją, ona lubi ciebie. Więc w czym problem?

Gdy dotarliśmy do jego auta, odwrócił się do mnie, ciężko dysząc i zaciskając kluczyki w pobielającej z wysiłku pięści.

– Wiesz, jak wyglądają statystyki dotyczące związków rozpoczętych w dzieciństwie?

Z trudem nabrałem powietrza w płuca i potrząsnąłem głową.

– Co?

– Są kiepskie, Johnny – wysyczał. – W chuj kiepskie. Szanse, że po dwudziestu latach nadal będziesz z dziewczyną z dzieciństwa wynoszą niecałe piętnaście procent.

Gapiłem się na niego otumaniony.

– Jeszcze raz, że co?

– Nie jestem gotowy, by skończyć jako kolejna pozycja w statystykach – wydusił. Brzmiał śmiertelnie poważnie. – Nie z nią. Więc zrobię, co muszę zrobić, i uzbroję się w cierpliwość, i nie będę jej krępował. Przynajmniej dopóki sama nie będzie na to gotowa. Dopóki oboje trochę się nie wyszumimy. – Spuścił głowę i jęknął ciężko. – Ale nie zamierzam *na to* patrzeć – warknął. – Nigdy, kurwa, więcej.

– Cholera... – Zmarszczyłem czoło. – Nie wiem, czy to brzmi kretyńsko czy rozsądnie.

– Pewnie tak i tak – stwierdził posępnie.

Pewnie masz rację...

Spojrzałem na niego zaciekawiony i zapytałem:

– Naprawdę w to wierzysz? – Nie odpowiedział, więc drążyłem dalej. – I to cię tak gryzie? Dlatego doprowadzasz się do szaleństwa przez tę dziewczynę, odkąd się znamy? Bo boisz się, że to nie przetrwa? – Przechyliłem głowę na bok. – Boisz się?

– Nie boję się – odburknął. – Po prostu mam rozum.

– To przez twoich rodziców? – zapytałem ostrożnie, licząc się z tym, że mogę za to pytanie dostać po mordzie. Z tego, co się zorientowałem, rozwód rodziców Gibsa był epicką gównoburzą, która rozpętała się mnie więcej w okolicach jego komunii. Na przestrzeni siedmiu lat naszej przyjaźni rozmawiał ze mną o tym aż jeden raz. W naszym kręgu obowiązywało niepisane prawo zabraniające rozmów na temat rozvodu jego rodziców – i surowo zakazujące choćby wspomnienia o jego ojcu i Bethany – ale dziś zapaściłem się na te wody, bo ewidentnie Gibs zatruwał sobie tym umysł. – Przez to, co przytrafiło się im? Myślisz, że was z Claire czekałoby to samo?

– Spierdaj – prychnął. – Nie narzucam sobie ich przeszłości, chronię się przed nią.

Och, zdecydowanie robił i to, i to.

– Ej, stary, ja cię nie osądzam – odparłem, unosząc ręce do góry. – Ale powiem ci szczerze, że według mnie twoje rozumowanie jest wypaczone.

Zacisnął usta i nie odpowiedział.

– Jebać statystyki – rzuciłem dobitnie. – Jeśli chcesz z nią być, to po prostu *bądź*.

– Powiedział koleś, który na całe miesiące uciekł przed pewną malutką, drobniutką dziewczynką – odparł cierpko. – I ma czelność mówić, że to ja się boję... Cipka.

Puściłem tę uwagę mimo uszu i skupiłem się na sednie sprawy, bo nie za bardzo miałem jak się bronić. *Rzeczywiście* uciekłem przed pewną malutką, drobniutką dziewczynką na całe miesiące, uciekałem, jakbym się bał o własne życie. Ale przestałem uciekać.

– Czyli chcesz mi powiedzieć, że nie masz nic przeciwko, że znowu zaczniesz się umawiać ze śmieciem takim jak Jamie? – zapytałem uparcie. – Nie masz absolutnie nic przeciwko? – Wzruszyłem ramionami. – Bo tak mi to brzmi, jakbyś nie miał.

– Dobrze wiesz, że mam – wydusił. – Ostatnio prawie mnie to zabiło.

Skrzywiłem się ze współczucia.

– Przynajmniej spuściłeś mu porządną wpiernicę, gdy już przyszło co do czego.

– No... – Na jego ustach zajaśniał cień uśmiechu. – To było przyjemne.

– Nie wątpię – powiedziałem i wykorzystałem okazję, żeby wyrwać mu kluczyki i schować je do kieszeni, żeby nie mógł zwać. – To co, pozwolisz, żeby ten chuderlawy kutas cię wyprzedził?

– Za chuja! – warknął, przeczesując swoje blond włosy.

– I to chodzi! – dopingowałem go z entuzjazmem. – Więc przestań się tu opierdalać i ruszaj tam.

– Wiesz co, Kav? – Gibsie nie potrzebował dalszych zachęt, już podwijał rękawy. – Dokładnie tak zrobię.

– Nie, nie idziesz się bić – przypomniałem, tarasując mu drogę, bo już chciał napierać na dziedziniec. – Idziesz *czarować*.

– Czarować? – zdziwił się, ściągając brwi.

– Czarować – potwierdziłem. – Wierz lub nie, ale masz w sobie sporo czaru, stary. Więc wracaj tam i oczaruj ją tak, żeby o nim zapomniała.

– Czarować – powtórzył powoli, dokładnie smakując każdą sylabę. Zerknął mi w oczy i kiwnął głową. – Mogę i czarować.

– Załapałeś – odpowiedziałem i ścisnąłem go lekko za ramię. – A teraz idź i rozjeb tego szcztura.

Oparłem się o karoserię i patrzyłem za odchodzącym Gibsiem, który mamrotał pod nosem: „czarować, nie mordować”.

Pokręciłem głową, zarzuciłem plecak na ramię i ruszyłem do szkoły, żeby poszukać Shannon. Zostawiłem kulę na tylnym siedzeniu auta Gibsa, bo nie zniósłbym jeszcze jednego dnia z tym dziadostwem. Poza tym już jej nie potrzebowałem. Prawie przestałem kuleć, a jeśli uśmiechnie się do mnie szczęście, to trener Mulcahy zauważy mnie w pełni mobilnego i gorliwego i zawrze ze mną kontrakt, bo cholernie potrzebowałem, żeby ktoś się nade mną zlitował.

Gdy zobaczyłem Shannon opierającą się o barierki pod salą gimnastyczną, osłabłem w nogach i zwolniłem kroku. Była owinięta w zimowy płaszcz, miała na głowie wełnianą czapkę, obwiązała szyję grubym szalem i stała tak w mżawce. Szczerze mówiąc, prawie jej nie rozpoznałem pod tymi wszystkimi warstwami. Ale ona mnie zauważyła, podniosła rękę i lekko się uśmiechnęła.

Od razu zmieniłem kurs i ruszyłem w jej stronę, a serce waliło mi w piersi.

Coś się stało, syknął mój umysł, gdy z bliższej odległości dostrzegłem cienie pod jej oczami.
Coś niedobrego.

Chłodna głowa.

Żadnych buldożerów.

– Cześć, Shannon – powiedziałem, gdy tylko uznałem, że mnie usłyszy. – Czekaaś tu na mnie? – zapytałem zdziwiony.

– Cześć, Johnny – odparła cicho. – Tak, eee... Liczyłam, że zobaczymy się przed lekcjami. – Przygryzła dolną wargę i spojrzała na mnie czujnie, zanim zapytała: – Możemy chwilę porozmawiać?

– Pewnie – stanąłem przy niej i skupiłem na niej całą uwagę. – Oczywiście.

Uśmiechnęła się jeszcze raz, ale nagle uśmiech zniknął bez śladu. Bez słowa rzuciła plecak na ziemię i wpadła prosto w moje ramiona.

– Co się stało? – Serce łupało mi o żebra, gdy obejmowałem ją ramionami i z całych sił przytulałem do piersi. Była taka malutka, tak kurewsko drobna, że miałem ochotę po prostu wziąć ją na rękę i zabrać do domu, gdzie byłaby bezpieczna i już nikt nigdy nie doprowadziłby jej do łez. – Co się stało?

Co ci ludzie znowu ci zrobili?

– Eee... znaleźli mojego tatę – powiedziała stłumionym głosem, z twarzą zanurzoną w moim torsie. – Dowiedziałam się w nocy.

– Tak? – Dzięki ci, Boże. Objąłem ją jeszcze mocniej. – Gdzie był?

– W Brickley House – wymamrotała.

– Na tym odwyku? – zdziwiłem się.

– Tak... – Kiwnęła głową i spojrzała na mnie oczami pełnymi łez. – Ale, eee, on... nie pójdzie do więzienia, Johnny.

Co, do chuja, kurwa mać.

Oddychaj, Kav. Oddychaj.

Nie trać chłodnej głowy.

– Skąd wiesz? – zdołałem wykrztusić, ściskając ją tak mocno, że byłem prawie pewien, że robię jej krzywdę, ale nie byłem w stanie rozluźnić mięśni, a ona nie narzekała, tylko obejmowała mnie równie mocno. – Jesteś pewna?

– Jestem – wyszeptwała. – Musi tylko zaliczyć trzydziestodniową terapię w Brickley House i będzie mógł wyjść, a rozprawę ma dop... dopiero w listopadzie. Więc będzie... – Zaciśnęła powieki, przyłożyła twarz do mojej piersi i zakrztusiła się szlochaniem. – Boże, Joey miał rację.

– Joey?

Przytaknęła sztywno, cała była sztywna.

– Powiedział, że tak będzie. Joey mówił, że tak się to skończy, ale Darren wydawał się taki pewny, więc ja... – wydała z siebie szloch, który wykręcał trzewia. – Przez chwilę pozwoliłam sobie na nadzieję, pomyślałam, że może to *naprawdę* już koniec. – Pociągnęła nosem i dodała: – Ale to nie koniec, a Joey w nocy znowu gdzieś poszedł... Wrócił do domu dopiero o piątej nad ranem. To nie koniec, znowu będzie bardzo źle.

– Dokąd poszedł Joey?

– Na pewno nie w żadne dobre miejsce – wydusiła.

Cholera.

– Czemu do mnie nie zadzwoniłaś? – wychrypiałem z trudem. – Przyjechałbym.

– Próbowalam – szepnęła. – Ale miałeś wyłączony telefon.

– Zostawiłem go na noc do ładowania – przyznałem i poczułem się jak najpodlejszy śmieć na świecie. – Dopiero rano sobie o nim przypomniałem.

– Nie szkodzi.

Właśnie, że szkodzi.

– To się więcej nie powtórzy – zapewniłem. – Następnym razem na pewno odbiorę.

– Johnny, tak się boję – wydukała.

– Nie bój się – odparłem natychmiast, żeby ją, kurwa, pocieszyć. – Nie pozwolę, żeby coś ci się stało. – Głos mi drżał, podobnie jak całe ciało. Przetaczał się przeze mnie walec emocji. – Nie pozwolę, żeby cię więcej krzywdził, przysięgam.

Nie skomentowała moich słów.

Bo mi nie uwierzyła.

Serce pękło mi w piersi.

– Nie chcę się już tak czuć – powiedziała, wycierając policzek wierzchem ręki. – Nie chcę już tej wersji mojego życia... Nie chcę już być tą wersją *siebie*.

– Kocham tę wersję ciebie – odparłem niepewny, co jeszcze mogę dodać. Nie mogłem jej powiedzieć, żeby czuła się inaczej. Mogłem tylko ją uspokajać. – Kocham wszystkie twoje wersje.

– Jestem już taka zmęczona – wyszeptala, ignorując moje słowa i zatapiając nas oboje we własnym bólu. – Jestem zmęczona strachem. Jestem zmęczona niepewnością. Jestem zmęczona tym, że mam najebane w głowie!

– Jezu, Shan – jęknąłem, opierając podbródek na jej głowie. – *Nie masz* najebane w głowie. – Objąłem ją mocniej. – Słyszysz? Nie ty. Oni mają. To oni są pojebani.

– Nienawidzę tego – wydukała.

– Tak... – wypuściłem powietrze z płuc. – Ja też.

Sposób, w jaki się mnie trzymała, tak rozpaczliwie jak ostatniej deski ratunku, rozniecił we mnie emocje, na które byłem chyba jeszcze za młody. Nie chodziło mi o nic seksualnego, lecz o coś głębszego. Wrastającą głęboko we mnie więź, która nas łączyła. Miałem nadzieję, że Shannon nigdy mnie nie zostawi, bo wiedziałem, że ja już zawsze będę szalał na jej punkcie.

– Powiedz, co mam zrobić – błagałem, trzymając ją mocno i wpadając w coraz głębszą rozpacz wraz z każdym szlochem i spazmem, który targał jej ciałem. – Powiedz, czego potrzebujesz, a dam ci to. – Pocałowałem ją w głowę, pragnąłem tylko jednego: żeby jakoś ją od tego uwolnić. – Po prostu *powiedz*, czego potrzebujesz.

– Chcę po prostu odejść – załkała. – Wyjechać i nigdy nie wracać.

– Ale tego nie zrobisz. – Panikowałem, podniosłem jej podbródek palcami, zmusiłem ją, żeby na mnie spojrzała. – Nie zostawisz mnie, prawda?

– Nie jestem dla ciebie dob... dobra... – zapłakała. – W końcu zdasz... zdasz sobie z tego sprawę.

– Bzdura. – Ująłem jej twarz w dłonie, nachyliłem się i złączyłem nasze czoła. – To bzdura, Shannon. – Powtórzyłem surowo, patrząc jej głęboko w oczy. – Nie mów tak więcej, dobrze?

Pociągnęła nosem, kiwnęła głową i złapała mnie mocniej w pasie.

– Dobrze.

Ożyła we mnie z rykiem zaciekle bestia opiekuńczości i każdy mój impuls czy odruch domagał się, abym robił właśnie to – chronił ją. Zrobił coś. *Cokolwiek...*

Rozejrzałem się ukradkiem, analizowałem następny ruch, po czym rzuciłem ręcznik.

– Chodź – powiedziałem, łapiąc ją za rękę. – Idziemy. – Przypomniałem sobie, że mam w kieszeni kluczyki Gibsiego, poprowadziłem ją więc w stronę srebrnego focusa. Szła za mną bez słowa, nie zadawała pytań. *Po prostu za mną podążyła.* Był to dobitny dowód jej bezbronności, który mnie przeraził. Przecież mogłem wywieźć ją gdziekolwiek, a jednak gdy otworzyłem auto, ona po prostu wsiadła bez jednego słowa.

Wstrząśnięty i milczący zamknąłem jej drzwi, obszedłem samochód i usiadłem za kierownicą. Zapiąłem się, odsunąłem fotel najdalej, jak się dało, i położyłem stopy na pedałach. Ostrożnie je wcisnąłem, sprawdzając, jak nogi zareagują na nacisk.

Nieźle.

Przekręciłem kluczyk, odpaliłem silnik, puściłem wycieraczki i ostrożnie wyjechałem na wstecznym z miejsca, na którym Gibsie rano pośpiesznie zaparkował.

– Aresztują nas? – przerwała ciszę Shannon, gdy jechaliśmy długim, obsadzonym drzewami wjazdem. – Za kradzież jego auta?

– Nie, Shan, nie aresztują nas – zarechotałem, zatrzymując się przed główną bramą. Wrzuciłem kierunkowskaz, nachyliłem się nad kierownicą i sprawdziłem jezdnię. – Napiszę mu później SMS, dam mu znać.

– Och. – Kiwnęła głową i złączyła dłonie na kolanach. – Okej.

Wjechałem na główną drogę, złapałem za drążek i wrzuciłem trzeci, czwarty, a w końcu też piąty bieg. Wraz ze wskazaniem prędkościomierza rosło moje poczucie wolności.

Pierwszy raz od tygodni poczułem, że odzyskałem kontrolę, spuściłem stopę niżej i wycisnąłem z focusa Gibsiego, ile się dało, żałując tylko, że nie siedzimy w moim audi.

Tym razem Shannon nie narzekała na mój styl jazdy. Zamiast tego opuściła szybę, oparła się policzkiem o okno i gdy wiatr uderzył ją w twarz, lekko się uśmiechnęła.

Nie mogliśmy wrócić do jej domu, bo – pomijając mój zakaz wstępu na posesję Lynchów – przypuszczalnie wyrządziłbym poważną krzywdę jej bratu. Nie mogliśmy też jechać do mnie, bo gdybym wtoczył się na podjazd za kółkiem samochodu, matka prawdopodobnie wyrządziłaby poważną krzywdę mnie.

Jedną z największych zalet mieszkania na południu Irlandii jest stała bliskość wody. Zostawiłem więc Ballylaggin za nami i skręciłem na nadmorską szosę. Było wpół do dziesiątej rano, więc nie licząc sporadycznych spacerowiczów z psami, powinniśmy mieć spokój.

– Nie zapytasz, dokąd jedziemy? – zapytałem, zerkając na nią z ukosa, bo musiałem się skupiać na wąskiej, usianej dziurami drodze, która się przede mną rozciągała.

– Nie – odparła cicho.

– Nie? – Uniosłem brew. – Czemu nie?

Otworzyła oczy i spojrzała na mnie.

– Bo ci ufam.

Jasna cholera.

Wyciągnąłem rękę po jej prawą dłoń i położyłem ją sobie na kolanie.

Kilka godzin później robiliśmy chyba setne okrążenie po plaży, a ja starałem się nie myśleć o moim żołądku. Pochłonałem cały lunch zaraz po zaparkowaniu – szejk proteinowy i w ogóle – ale i tak konałem z głodu. Obwinałem za to morskie powietrze, bo z całą pewnością nie spalałem na tyle energii, żeby aż tak łaknąć mięsa, no chyba że pilnowanie chłodnej głowy w towarzystwie Shannon było tak wytężonym wysiłkiem. Takiego zdania na pewno było moje serce, które skakało mi w piersi jak pieprzony młot pneumatyczny. A może byłem głodny ze zdenerwowania? Cholera, nigdy nie należałem do osób, które musiały jeść z nerwów, ale, Jezus Maria, ta dziewczyna wyprawiała dziwne rzeczy z moim organizmem.

Szedłem równo z Shannon, zmuszałem nogi do ruchu, skupiałem się na stawianiu stopy za stopą, na kolejnych krokach. Nie komentowała mojego tempa ani tego, jak kurewsko żałośnie wyglądałem, człapiąc za nią niezdarne i próbując rozchodzić zastane mięśnie.

Co jakiś czas sprawdzałem teren i zostawałem kilka kroków z tyłu albo niedostrzegalnie odsuwałem się na kilka metrów poza jej zasięg, udając, że się za czymś rozglądam, a tak naprawdę wstrzymywałem oddech i czekałem, jak zareaguje. Za każdym razem płochliwie skracała dystans, przysuwała się coraz bliżej, dopóki znów nie znalazła się tuż przy mnie. Zrobiłem tak minimum cztery razy, żeby upewnić się, że właśnie tego chce, że chce być przy mnie, bo czasami brak wiedzy o tym, co dzieje się w jej głowie, naprawdę mnie przerażał.

Ona też raz na jakiś czas przystawała na kilka chwil, żeby przyjrzeć się muszli albo niby poprawić spódniczkę, ale ja wiedziałem, że to ściema. Robiła dla mnie przerwy. Zatrzymywała się, żebym mógł odpocząć.

Łało na nas, ale jej to chyba nie przeszkadzało. Wyglądała na bardzo zadowoloną ze swojego położenia.

Zaczęła też się odzywać. Odpowiadała na każde durne pytanie, które mój mózg zdołał wymyślić, gdy wałęsaliśmy się bez celu po plaży... Ramię w ramię, stąpając między kamieniami, po mokrym piasku. Im bardziej przypadkowe i błahe były te pytania, tym bardziej się odprężyła, pytałem więc o wszystko. Czy woli najki czy adasie, co myśli o teorii Wielkiego Wybuchu, aż w końcu śmiała się naturalnie i rozmawiała ze mną swobodnie. Wywlekałem na wierzch każdą popieprzoną myśl czy wspomnienie, byle utrzymać ten uśmiech na jej twarzy, i ani razu nie wspominałem o jej ojcu. Nie chciała rozmawiać o rodzinie i szczerze mówiąc, ja też nie.

Chciałem jej zapewnić dobry dzień, żeby jakoś zrównoważyć te złe. Albo przynajmniej sprawić, żeby ten dzień był odrobinę lepszy.

– Wszystko dobrze? – zapytała, stając u podnóża skały i czekając, aż ją dogonię. Wiatr zarumienił jej twarz, podobnie jak moją. Podrzucała piłkę do rugby, którą rano znaleźliśmy w bagażniku auta Gibsa.

– Jak najbardziej. – Każdy skrawek mojego ciała płonął. Wiedziałem, że te wspinaczki po kamienistej plaży sięją spustoszenie w kontuzjowanych partiach mojego organizmu, ale lekko przytłumionym głosem odpowiedziałem: – Tylko daj mi chwilkę. – Oparłem się ochocie, by po prostu paść na dupsko i rozpłakać się jak mała dziewczynka.

– Dasz radę, Johnny – dopinguwała mnie z uśmiechem. – Masz to.

Nie byłem przekonany, czy „to miałem”, ale przebierałem nogami i kuśtykając ze śliskiej skały w dół, czując ból i mrowienie w każdym mięśniu, modliłem się tylko, żebym się nie przewrócił. W końcu stanąłem przy niej, ze stopami stabilnie osadzonymi w piasku.

– Gotowy? – zapytała nieco zdyszana, kąciki jej ust wyginał zawadiacki uśmiech.

– Tak. – Kiwnąłem głową, jej spojrzenie sprawiało, że parzyła mnie skóra. – Ruszaj.

Wyciągnęła do mnie piłkę, ale gdy chciałem ją zabrać, odskoczyła o kilkadziesiąt centymetrów.

Uśmiechnąłem się półgębkiem i przekrzywiłem głowę na bok, przyjrzałem się jej łobuzerskiej minie.

– Aha, czyli tak chcesz pogrywać?

Shannon zaśmiała się w głos – naprawdę się, kurwa, *zaśmiała* – i kiwnęła głową.

– No, chodź po piłkę, Panie Rugbysto.

Pokręciłem głową, powlokłem się za nią sztywno i niezdarnie, ale ona albo nie zauważała mojej niezdarności, albo się nią nie przejmowała. Uśmiechała się zachęcająco i kiwała głową, żebym za nią podążył. Za każdym razem, gdy już prawie wrywałem jej piłkę, odskakiwała o kilka kroków.

Wyglądała prze-kurwa-uroczo, kicająca po plaży z piłką do rugby w drobniutkich dłoniach. Wiatr spychał jej na twarz wełnianą czapę, wbijał w nią szal i rozwiewał wulkan jej ciemnych włosów, których wilgotne końcówki przylepiały się do jej zarumienionej twarzy. Deszcz spływał po jej płaszczu, szkolna spódniczka była już przemoczona i przywarła do ud, i przysięgam, że nie widziałem w życiu nic piękniejszego.

Do twarzy było jej z wolnością.

– Shannon, nie dam rady – zawołałem za nią, gdy odbiegła ode mnie tysięczny raz. – Jestem za bardzo zeszytniały. – *I zawstydzony...*

– Nie, wcale nie! – krzyknęła do mnie zdyszana. – Po prostu wyszedłeś z wprawy. – Odwróciła się i idąc tyłem, powiedziała: – Johnny, jesteśmy tu tylko my, ty i ja. I *dasz* radę – powtarzała i jeszcze nigdy nie wyglądała tak pewnie. – Obiecuję.

– Tak?

– Tak! – Wysforowała się jeszcze dalej naprzód, z piłką w ręce i moim sercem w garści. Chryste, łyknąłem całą przynętę i haczyk, który zaczepił się za coś ukrytego bardzo głęboko w moim wnętrzu, a Shannon zwijała żyłkę.

Stłumiłem niepokój i zrobiłem, czego sobie życzyła. Wyszedłem zza murów obronnych i zmusiłem nogi do ruchu.

– No proszę, proszę, proszę... – drażniła się ze mną nieco później, kawałek dalej na plaży. Podrzucała piłkę i uśmiechała się promiennie. – Wygląda na to, że *znowu* wygrałam.

– Chyba władza uderzyła ci do głowy – odparłem, szczerząc zęby. – Oddaj piłkę.

– Nigdy! – parsknęła. – Jest moja. Dałeś mi ją i już nigdy jej nie oddam.

Czyli tak jak z moim sercem?

– Rzucaj – zachęcałem ją.

– Co?! – wybałuszyła oczy.

– No piłkę – zawołałem. – Rzuć, a ja ci odrzucę.

– Obiecujesz? – zapytała, łypiąc na mnie podejrzliwie.

– Tak, Shannon. – Przewróciłem oczami. – Obiecuję, że oddam ci zakichaną piłkę.

– Okej. – Zabrała się do tego jak mały brzdąc: spomiędzy nóg i z czołem zmarszczonym w napiętej koncentracji wyrzuciła ją w powietrze... Tak ze trzy metry w złą stronę.

– Nie miałem świadomości, że gram z przedszkolakiem – zaśmiałem się, ruszając po piłkę. –
Przypomnij, że bym załatwił cię jedną z tych zjeżdżalni pod kule, gdy pójdziemy na kręgle.

– Hej! Jestem jedyną trzynastką⁵, jaką masz! – wrzasnęła z uśmiechem na ustach. – Więc nie
szydź ze mnie!

Była jedyną osobą, jaką teraz miałem... Jedyną, która w tej chwili nie oceniała mojego braku
formy.

Przy chłopakach bym tak nie mógł.

Byłbym zbyt zażenowany.

Ale z nią było inaczej.

Z Shannon wszystko było inaczej.

Rozdział 37

Ochronię cię Shannon

– Przystanie kiedyś lać, jak myślisz? – zapytałam, obserwując ulewę przez samochodową szybę.

Lało bez przerwy cały dzień, co w Irlandii nie stanowiło żadnej niespodzianki, ale był już kwiecień, liczyłam więc, że wkrótce pojawi się słońce.

Na zewnątrz zawodził wiatr, chłostając szyby z ogłuszającym hukiem. Przeszły mnie ciarki, spojrzałam na chłopaka objającego się za kółkiem.

Johnny prawie maksymalnie rozłożył sobie fotel, rozwalił się jak lew i jedną ręką przewijał piosenki na iPodzie Gibsiego, a drugą trzymał moją dłoń. Mokre włosy przykleiły mu się do głowy, a szkolną koszulę miał tak przemoczoną, że przypominała drugą warstwę skóry na jego ogromnym ciele. Już dawno pozbył się równie mokrych kurtki i swetra, które rzucił do tyłu razem z moimi, uznawszy, że tak szybciej wyschniemy.

Znowu uruchomił silnik. Robił to co jakieś pół godziny, żeby szyby całkiem nie zaszły parą i żeby nagrzać w samochodzie. Ogrzewanie chodziło na maksa, owiewając moją wilgotną skórę rozkosznie ciepłym powietrzem, z głośników dobiegał delikatny pomruk przeszywającej końcówki *Grace* Jima McCanna.

– To była długa zima – przyznał Johnny, przerzucając kolejne kawałki. W końcu zdecydował się na *Yellow Coldplay*. – Ej, patrz na nazwę tej playlisty. – Wyszczrzył zęby i pokazał mi ekran iPoda. – Ziomek jest nieźle szurnięty.

– *Jeb mnie, ssij mnie, rozwal mnie od środka...* – przeczytałam z zadumą. – Brzmi bardzo...

– Gibsowo? – dokończył za mnie, kręcąc głową. – Tak, w sumie pasuje do niego.

– Przynajmniej jest oryginalny – stwierdziłam. – Chyba nie znam nikogo podobnego.

– To dlatego, że świat nie uniósłby drugiego Gerarda Gibsona – zarechotał Johnny. Odruchowo przesunął rękę na udo. Wiedziałam, że go tam boli.

– Boli? – Złapałam mocniej za kocyk, który znalazł w bagażniku. – Dobrze się czujesz? – zapytałam.

– Nie boli, Shan. – Rzucił iPoda na deskę rozdzielczą i skupił na mnie całą uwagę. – W gruncie rzeczy czuję się świetnie. – Uśmiechnął się pobłaźliwie, a dołeczki w jego policzkach się pogłębiły. – Nie czułam się tak dobrze od miesiący.

– Naprawdę? – zapytałam entuzjastycznie. – Czyli dobry ze mnie trener?

Parsknął, przysunął sobie moją rękę do ust i musnął jej wierzch wargami.

– Niepowtarzalny. – Ścisnął lekko moje palce i położył nasze złączone dłonie na kolanie.

Dreszcz przycichł, wyjrzałam przez okno i westchnęłam z zadowoleniem, gdy zobaczyłam spienione fale, które co chwilę rozbijały się o skały.

Ten dzień...

Boże, to był najlepszy dzień.

Gdy obudziłam się rano, byłam pewna, że już nigdy się nie uśmiechnę. Świadomość, że za nieco ponad dwa tygodnie ojciec skończy terapię i będzie wolnym człowiekiem, coś we mnie

okaleczyła. Zdeptała ten okruch nadziei, którego kurczowo trzymałam się przez ostatnie tygodnie, przyzwyczajając się do życia bez niego. List, który mi napisał, nadal leżał zamknięty w bocznej kieszeni mojego plecaka. Nie wiedziałam, czy kiedyś go przeczytam. Wiedziałam, że na pewno nie chcę tego robić teraz. Byłam na siebie wściekła, że opuściłam gardę, że w ogóle pozwoliłam sobie na rozmyślanie o życiu bez tego człowieka.

Kiedy rano przyjechałam do szkoły, wcale nie planowałam szukać Johnny'ego. To jakby *samo się stało*. Uczucia poprowadziły mnie prosto do niego, bez zgody mózgu. Gdy otworzył ten samochód, wsiadłam do środka bez żadnych pytań, bo wiedziałam, że pojadę z nim wszędzie. Nie wiem, czy był tego świadomy, ale rzucił mi tymczasowe koło ratunkowe, a ja złapałam się go obiema rękoma.

I skończyliśmy na plaży, w samochodzie ukradzionym jego najlepszemu kumplowi, na całodziennych wagarach za miastem. Przez cały dzień nie robiliśmy *absolutnie nic* i znaczyło to dla mnie *absolutnie wszystko*.

– Będziesz miał kłopoty? – zapytałam. – Gdy twoi rodzice dowiedzą się o wagarach? – Wszystko ociekało wodą, deszcz włókł za sobą ciemniejące niebo i wieczorne, kąsające zimnem powietrze. Nogi owiewał mi nieprzyjemny chłód, wiedziałam, że wkrótce będziemy musieli wracać. To była przygnębiająca myśl, ale odepchnęłam ją, nie zamierzałam pozwolić, żeby zepsuła najlepszy dzień w moim życiu.

Wzruszył nonszalancko ramionami.

– Ja bez przerwy mam jakieś kłopoty.

– Ja też. – Uśmiechnęłam się słabo.

– Niezła z nas para, co? – zarechotał.

– No. – Niepewna, jak sformułować następne zdanie, długo się namyślałam, ale w końcu wyzbyłam się resztek taktu i walnęłam prosto z mostu. – Co będzie w czerwcu? – To pytanie doprowadzało mnie do szaleństwa, odkąd Joey opowiedział mi o swojej karierze. – Z rugby? – wyszeptalam, przygryzając dolną wargę tak mocno, że poczułam smak krwi. Spojrzałam na niego. – Co będzie, kiedy wyjedziesz?

Johnny jeszcze nigdy nie milczał tak długo, zerkał to na mnie, to na kierownicę. W końcu spojrzał na mnie na dłużej.

– Shan, to jeszcze kawał czasu – przyznał szczerze, patrząc mi w oczy. – Nawet nie wiem, czy załapię się do składu...

– Załapiesz – wtrąciłam cicho, ale bez cienia wahania. – Jestem tego pewna.

Patrzył na mnie bardzo długo, w końcu oderwał wzrok i wbił go w sufit samochodu.

– Chciałbym mieć taką pewność.

– Będę pewna za nas oboje – odparłam, ściskając jego dłoń. – Tak będzie. – *Wyjedziesz*. – I będziesz błyszczał.

Pokręcił głową i ściągnął czoło.

– Tak kurewsko mi na tym zależy. – Westchnął ciężko, przeczesał dłonią mokre włosy i burknął: – Odkąd pamiętam, nie marzyłem o niczym innym, wiesz?

– I doczekasz się – odpowiedziałam, próbując ofiarować mu choć odrobinę wsparcia, jakie sam zapewniał mi każdego dnia.

– Sam sobie przejechałem, i to popisowo – wymamrotał. – Nie słuchałem. Przetrenowywałem się. Prawie się zabiłem. Jeżeli się dostanę – urwał i spojrzał na mnie – to będzie cud.

– Nie „jeżeli” – poprawiłam go – tylko „gdy”, a wtedy to będzie twoja nagroda za lata ciężkiej pracy.

– Myślisz, że dam radę?

– Ja to wiem.

Westchnął z frustracją.

– Po prostu... chcę zostać *kimś*, wiesz? Bycie zwykłym człowiekiem nie wymaga żadnego wysiłku – wyznał, mówił bardzo szybko, z mocniejszym dublińskim akcentem. – Ja nie chcę być zwykły, Shannon. Chcę być nadzwyczajny. Chcę się wyróżniać. Ale to wszystko... treningi, ta pierdolona harówka... będą *bez znaczenia*, jeśli szybko nie wrócę na boisko. – Spuścił wzrok na nasze złączone ręce i wymamrotał: – Wszystko pójdzie na marne.

– Co mogłabym zrobić? – wykrztusiłam, bo rozpaczliwie pragnęłam go wesprzeć. – Mogę jakoś pomóc?

Parsknął.

– Na przykład znowu mnie potrenować?

– Gdybyś chciał. – Wzruszyłam bezradnie ramionami. – Po prostu chcę ci pomóc.

– Możesz ze mną zostać – odparł cicho, z wręcz bolesną szczerością w niebieskich oczach. – Nawet jeśli mnie nie powołają.

Poczułam w piersi takie ciepło do tego chłopaka, że aż sprawiło mi fizyczny ból.

– Och, Johnny... – Nie mogłam się powstrzymać, podsunęłam do góry spódniczkę, żeby przejść na jego stronę. Weszłam mu na kolana, usiadłam na nim okrakiem i ostrożnie opuściłam się niżej, uważając, żeby nie zrobić mu krzywdy. Napotkałam mur twardych, nieustępliwych mięśni. Johnny nie miał ani jednej miękkiej części ciała. Był cały twardy, z wyjątkiem twarzy.

Usiadł prosto, odruchowo złapał mnie za biodra i przyciągnął bliżej.

– Co ty wyprawiasz? – zapytał szeptem, przyglądając mi się spod lekko opuszczonych powiek. Przełknął ślinę, jego jabłko Adama podskoczyło, a dłonie powędrowały na moje nagie uda; przy każdym oddechu jego palce wbijały się w moje ciało. Zataczał szorstkimi palcami kręgi na mojej skórze, a ciepło jego dłoni sprawiało, że przechodziły mnie przyjemne, rozgrzewające dreszcze. – Shan?

– Jestem tu dla Johnny'ego *chłopaka* – powiedziałam, ujmując jego twarz w drżące dłonie. – A nie dla Johnny'ego *rugbyisty*. – Wypuściłam powietrze z płuc, nachyliłam się, pocałowałam go w kącik ust i ponownie się odsunęłam, by spojrzeć mu w oczy. – Zostanę dla obu, ale kocham tylko jednego.

Przeszedł go dreszcz, przymknął powieki.

– Mówisz poważnie. – To nie było pytanie. – Tobie naprawdę nie zależy na mojej karierze.

Pokręciłam powoli głową i zmusiłam się, by nie odwracać wzroku.

– Gdy na ciebie patrzę, nie widzę kariery... Nigdy jej nie widziałam. Zależy mi na niej, bo *tobie* na niej zależy – dodałam ochryple. – Ale ja i tak zostanę... Z rugby czy bez... Jeśli tylko chcesz, bym została.

– Chryste, Shan, dobijasz mnie – jęknął, przyciągając mnie za biodra i ustawiając nas pierś w pierś. Moje serce biło szaleńczo, nie mogłam wytrzymać dotyku jego unoszącej się wysoko i opadającej piersi. – Jeżeli dostanę się do kadry, to między nami nic się nie zmieni. – Warknął gardłowo, zanurzył twarz w mojej szyi, a później zaciągnął się głęboko. – *Mnie* to nie zmieni – dodał stłumionym głosem, wodząc palcami w górę i w dół mojej klatki piersiowej. – Ani moich uczuć do ciebie.

– Naprawdę? – westchnęłam, kładąc dłonie na jego szerokich barkach. – Obiecujesz, że o mnie nie zapomnisz, gdy już będziesz wielką gwiazdą?

Uniósł głowę, spojrział na mnie, kiwnął z powagą i odparł:

– Obiecuję.

Nie mogłam znieść dojmującej potrzeby w moim ciele ani chwili dłużej, wsunęłam palce w jego włosy i przyciągnęłam do siebie jego twarz. Nie stawiał oporu. Nasze usta zderzyły się ze sobą, rozpalając ogień między moimi nogami. Johnny mruknął z satysfakcją, złapał mnie za biodra i wbił mi język w usta, wysysając powietrze z moich płuc i rozpalając pożar w całym moim ciele.

Czułam, jak erekcja napina materiał jego szkolnych spodni. Rozpaczliwie pragnęłam mocniejszego kontaktu, wyprężyłam więc plecy w łuk i otarłam się o niego biodrami.

– Jesteś idealna – mruknął, ocierając się wargami o moje wargi. – Masz tak kurewsko gładką skórę. – Muskał moją szyję, wytyczał na niej szlak gorącymi, wilgotnymi pocałunkami, smakował mnie językiem, wędrował dłońmi po moich udach. – Pragnę cię od tak dawna – jęknął, a ja całkiem się zrelaksowałam, bujałam biodrami, wyprężałam szyję, by mógł ją całować, i cała drżałam. – Kurwa!

Szarpnęłam go za włosy jeszcze mocniej, wbijałam paznokcie w jego skórę, a po chwili rozluźniałam nacisk, jak kociak, a moja wewnętrzna potrzeba rozkwitała i paliła coraz mocniej. Boże, kochałam jego włosy. Z boków i z tyłu były krótko, schludnie przycięte, a u góry – dłuższe i niesforne. Zazwyczaj układał je fantazyjnie lub stawiał, ale teraz, gdy całkiem zmokły i dziesiątki razy przemierzyłam je palcami, wyglądały jeszcze lepiej.

Johnny ponownie wziął w posiadanie moje usta, opadłam plecami na fotel, a on pociągnął mnie za sobą. Spódniczka podwinęła mi się na brzuch, gdy podrzucaliśmy naszymi ciałami, gdy ocieraliśmy się o siebie w jednym równym, gorączkowym rytmie, ale miałam to gdzieś. Ani trochę się tym nie przejmowałam. Zależało mi tylko na tym, by na zawsze zatrzymać w sobie te chwile.

Nie wiedziałam, co szykowała dla mnie przyszłość, więc chciałam wycisnąć jak najwięcej z każdej chwili z Johnnym. Za dwa miesiące wyjedzie. Za dwie tygodnie mnie może już nie być. Nagły strach przed nieznanym dodał mi paliwa. Jeżeli tata wróci, to może... *Nie!*

Nie myśl o tym, Shannon!

Po prostu bądź tutaj, obecna w tej chwili, z nim.

Wchłaniaj go.

Jego usta były takie miękkie, zapach uderzał do głowy, a dotyk jego ciała, które ocierało się o moje najbardziej intymne zakamarki, dodawał mi zuchwałej odwagi. Miałam wrażenie, że zaczynamy scalać się w jedno ciało.

Serce łomotało mi tak mocno, że byłam pewna, że czuję je przez koszulę. Pędziło tak szalenie, że mogło wzbudzić niepokój, który by mnie przytłoczył, dlatego sięgnęłam do guzików jego koszuli.

– Czekaj, czekaj, czekaj... – wydyszał, odchylając głowę, żeby na mnie spojrzeć. Oczy pociemniały mu tak bardzo, że zniknął z nich niemal cały błękit. Złapał mnie za nadgarstek i unieruchomił moją dłoń przy swoim torsie. – Co ty robisz?

Sama nie wiem.

Nie mam pojęcia.

– Proszę, tylko mi pozwól... – wyszeptalam zszokowana własną brawurą, ale nie zamierzałam się wycofywać.

– Shan... – urwał i jęknął. – Rozmawialiśmy o tym...

– Wiem – powiedziała, szybko dysząc. – Ale ja tylko... chcę zobaczyć.

– Zobaczyć? – On również ciężko dyszał, a jego serce też waliło dziko w piersi. – Tylko o to ci chodzi?

Kiwnęłam głową, wyprostowałam się i oparłam ręce na jego brzuchu.

– Chcę tylko zobaczyć. – Sięgnęłam rozedrganymi dłońmi i zaczęłam nerwowo rozpinać guziki. – A ty też chcesz? – Udało mi się rozpiąć trzy górne, byłam skrajnie roztrzęsiona. – Pokażę ci...

– Oczywiście, że chcę zobaczyć – westchnął, odrywając moją rękę od koszuli. – Ale jeśli zobaczę, to będę chciał więcej – wycedził przez zaciśnięte zęby. – A nie mogę, więc proszę cię, kochanie, nie pokazuj mi, kurwa.

– Nie mam nic przeciwko – wysapałam. – Chcę, żebyś zobaczył.

– Ja pierdołę! – Johnny wziął kilka uspokajających wdechów przez nos, puścił moje ręce, a swoje położył mi na udach. – Dawaj. – Kiwnął sztywno głową i dodał: – Bierz to, czego potrzebujesz.

Wypuściłam chrapliwy oddech, wróciłam do rozpinania jego koszuli, ale już pierwszy guzik wymknął mi się spomiędzy palców.

Johnny trwał w idealnym bezruchu, jego rozpalone oczy wwiercały się w moje, jego tors unosił się i opadał pod moimi palcami.

Zawzięłam się w sobie, wzięłam głęboki wdech, otrzepałam dłonie i spróbowałam raz jeszcze. Nie przerywałam, dopóki nie rozpięłam i nie rozrzuciłam szeroko na boki jego koszuli.

– Jesteś taki... – Zabrakło mi słów, westchnęłam ciężko z oczami wlepionymi w jego wyrzeźbiony brzuch. Miałam pełną zgodę na dotykanie, muskanie palcami twardych równin jego sześciopaku. A mięśnie były wszędzie. Był zbudowany z granitu. Wodziłam opuszkami palców po jego brzuchu i obserwowałam urzeczona, jak jego mięśnie kurczą się i rozprężają pod moim dotykiem.

– Jaki, Shan? – zapytał emocjonalnie, leżąc pode mną na rozłożonym fotelu i trzymając mnie za biodra. Jego miednica unosiła się w niespiesznym, kuszącym rytmie. Johnny patrzył, jak ja na niego patrzę. – Hmm? – Powiódł palcami po krawędzi moich majtek, zapuszczał się pod ich gumkę, zataczał palcami słodkie kręgi na moich kościach biodrowych. – Jaki jestem?

Mój wzrok błędził po jego piersi, a potem przeniósł się na ścieżkę z włosków, która zaczynała się przy pępku, a kończyła pod paskiem. Mięśnie i skóra. Ciało i ciepło. Tylko to widziałam, tylko to czułam. Był taki duży. Był taki... Był *wszystkim*.

– Piękny – wydyszałam w końcu, znów patrząc mu w oczy. – Jesteś taki piękny.

– Bardzo mi to utrudniasz, Shan. – Obliznął dolną wargę, zahaczył palce o gumkę moich majtek i zsunął je odrobinę niżej. – *Nie możesz* tak na mnie patrzeć. – Zanurzył twarz w moich włosach, posłał skórę na szyi i zaciągnął się zapachem. – Staram się być grzeczny.

– Przepraszam – westchnęłam, wyginając się w łuk. Dotkliwie pragnęłam go w częściach ciała, z których istnienia zdałam sobie sprawę dopiero, gdy on je odkrył, zbadał i wziął w posiadanie. –

Chcę tylko... – Sama nie byłam pewna czego. Wiedziałam jedynie, że dzięki temu chłopakowi wszystko jest lepsze, że zatrzymał tornado myśli szalejące w mojej głowie, a ja potrzebowałam tej pomocy z jego strony.

Może się od niego uzależniłam, może to było toksyczne, bo moje uczucia względem niego na pewno ocierały się o obsesję, ale zachęcał mnie każdym naprężeniem bioder i każdym pchnięciem języka, pokazywał, że chce tego równie mocno jak ja.

Może robiłam wszystko nie tak, ale on nie narzekał. Przeciwnie – wzdychał i jęczał w moje usta z głębokim uznaniem.

Zaczął mnie dotykać, z początku ostrożnie, potem pewniej, muskał moją nagą skórę opuszkami palców. Gdy jego ręka wślizgnęła się w moje majtki, przeszył mnie prąd podniecenia,

przez które moje ruchy stały się jeszcze bardziej rozedrgane i niezdarne.

– Tak może być? – Złapał mnie za pośladek i lekko ścisnął. – Przestać?

– Nie przestawaj. – Byłam boleśnie świadoma jego rozmiarów. W jego ramionach byłam taka drobna. Ten chłopak mógł mnie połamać jednym ruchem, i niepokoiła mnie ta myśl. Mógł mnie zniszczyć, gdyby tylko zechciał. Rzecz w tym, że miałam gdzieś, co zrobi z moim ciałem, dopóki nie naruszy mojego serca. Mógł zabrać na własność wszystko, co miałam, z przyjemnością sama bym mu to oddała, dopóki przyrzeknie na własną krew, że nie zniszczy mnie na tyle, bym nie nadawała się już do naprawy. Bo wiedziałam, że z tego już bym się nie podniosła. Nie otrząsnęłabym się z *niego*. Złapałam go obie rękami za szyję, przysunęłam usta do jego ust i wydusiłam: – Nigdy nie przestawaj.

Johnny usiadł prosto, ciężko dysząc, i stanowczo przyciągnął mnie do siebie, a gdy nasze ciała dopasowały się w ten najprzyjemniejszy sposób, oboje jęknęliśmy.

– Kocham cię – wyszeptał. – I pragnę cię... *bardzo*. Ale chodzi o to, że... nie chcę tego zjebać – zakończył głębokim, chrapliwym tonem. – Nie mogę tego spartaczyć, Shan. Bo jesteś mi potrzebna. – Westchnął ciężko i przyłożył czoło do mojego czoła. – Gdy mówiłem, że potrzebuję cię na zawsze, mówiłem serio.

– Pamiętasz, że to powiedziałeś?

Skinął powoli głową.

– Pamiętam.

Nagle całe powietrze uszło mi z płuc.

– To dobrze.

– Zatrzymam cię przy sobie... – wyszeptał i jego ciepły oddech owiał mi twarz. – Jeśli nie masz nic przeciwko?

– Absolutnie nie mam – jęknęłam, przykładając dłoń do jego policzka. – Chcę, żebyś mnie przy sobie zatrzymał.

Uśmiechnął się, a dołeczki w jego policzkach się pogłębiły.

– No to super, kurwa.

Pocałowałam jego nabrzmiąłą wargę.

– Ja ciebie też sobie zatrzymam.

– Jezu... – Zadrżał, spuścił głowę w zagłębienie mojej szyi i stęknął głośno. – Już wiem, co mnie zabije – odpowiedział stłumionym głosem, czym mnie rozśmieszył. – Myślisz, że to zabawne? – zapytał, podnosząc głowę i szczerząc do mnie zęby. – Zabiorę cię ze sobą.

Boże, oby...

– Ale na razie lepiej zabiorę cię do domu – powiedział i westchnął z rezygnacją. – Bo twoja mama wyśle za nami gardę.

– Och. – Serce spłynęło mi do żołądka, złapałam go za szyję jeszcze mocniej. – Okej.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział pocieszająco, patrząc mi w oczy. – Cokolwiek czeka twojego tatę, z tobą będzie wszystko dobrze.

Nie, wcale nie. Ale wymusiłam uśmiech, żeby go nie ranić.

– Wiem.

– Bo nie jesteś już zdana na siebie – wyszeptał, obejmując mnie tak mocno, że nie mogłam oddychać, ale miałam to gdzieś. Chciałam, żeby świat się zatrzymał i dał nam być, bo tu, w tej chwili, chciałam zostać na zawsze. – Masz przyjaciół – szeptał dalej. – I masz mnie.

Jego słowa dały mi wręcz nadmiar pocieszenia. Był wielki, silny i niebezpiecznie potężny. Gdyby miał okazję, mógłby wyrządzić mi poważną krzywdę. A jednak wcale się nie bałam. Nie

byłam *nieufna*. Nie miałam w sobie nawet odrobiny niepokoju.

– Gram w twojej drużynie – ciągnął z przejęciem. – Rozumiesz? Jestem z tobą na całego, Shannon Lynch. Jeden telefon, tyle wystarczy, i jestem. Nie zawiodę cię i nie zostawię z tym samej. Przysięgam.

– To dla mnie po prostu trochę dziwne, bo nigdy nie miałam nikogo w swoim narożniku. – Zadrżałam i dodałam: – Nikogo takiego jak ty.

– Shannon, ale ja nie stoję w twoim narożniku – odpowiedział z naciskiem. – Stoję przy tobie. O Boże.

Jego słowa potężnie mnie uderzyły.

Zakopałam twarz w jego torsie, zwinęłam się w najmniejszą kuleczkę, w jaką potrafiłam, i modliłam się, by czas stanął choć na chwilę.

– Założę się, że chciałbyś mieć normalną dziewczynę.

– Normalność jest nudna – odparł. – A tak poza tym mógłbym to samo powiedzieć o tobie. – Wzruszył ramionami. – Trudno mnie uznać za normalnego chłopaka.

– Mówię tylko, że byłoby ci łatwiej, gdybyś...

– Ale ja nie chcę, żeby mi było łatwiej, chcę *ciebie* – wszedł mi w słowo. – Taką, jaka jesteś.

Oddech utknął mi w gardle.

– Naprawdę?

– Naprawdę – zapewnił natychmiast. – W całości, w każdym kawałeczku.

Skrzywiłam się.

– Łącznie z tymi potłuczonymi kawałeczkami?

– Zwłaszcza z nimi. – Puścił do mnie oko.

Zamilkłam na chwilę i wsłuchałam się w lecący z głośników utwór, zaśmiałam się cicho.

– Co jest? – parsknął.

– *Proud Mary*? – zapytałam, wskazując na radio. – Jakim cudem przechodzi od *Grace* przez *Yellow* do *Proud Mary*?

– No nie? – Johnny zarechotał, wyłączył odtwarzacz i znowu położył się na plecach. – Myślę, że to uczciwe odzwierciedlenie wydarzeń w jego mózgowicy. – Westchnął i pogłaskał mnie po nadgarstku. – Jego głowa nieustannie wiruje.

– Mogę ci coś pokazać? – zapytałam, schodząc z jego kolan, by wrócić na fotel pasażera. – To... – urwałam, sięgnęłam do leżącego przy moich stopach plecaka i wydobyłam z niego złożoną kopertę.

– Co to jest? – zapytał ze zmarszczonym czołem, zapinając koszulę. – Shan?

– To, eee... – Trzymając kopertę w rozedrganych dłoniach, rozłożyłam ją, spojrzałam na niechlujne pismo ojca i wypuściłam powietrze z płuc. – Od taty – wyjaśniłam krótko i wcisnęłam kopertę w rękę Johnny’ego.

Zmarszczył czoło jeszcze bardziej, zerkał niepewnie to na mnie, to na kopertę.

– Napisał ci list?

Przytaknęłam.

– Przysłał list każdemu z nas, ale ja nie jestem w stanie przeczytać mojego.

– Chcesz... żebym ja to zrobił?

– Ja chyba nie chcę wiedzieć, co w nim jest – wydusiłam niezdecydowanie. – Po prostu... może mógłbyś sam przeczytać i sprawdzić?

Nie wahał się. Rozerwał kopertę, po czym pewnym ruchem przysunął kartkę bliżej twarzy i skupił się na tekście.

Obserwowałam, jak jego barki się naprężają, a policzki czerwienieją.

– Jest źle? – wydukałam. – Jest na mnie wściekły?

– Pisz, że *mu przykro* – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Że był chory, że dostrzega błędy w swojej postawie i że postara się wszystko naprawić. – Johnny zacisnął zęby, a potem rozciągnął ramiona, jakby próbował się uspokoić, po czym mówił dalej: – Pisz, że ma nadzieję, że z czasem odnajdziesz w sercu przebaczenie i będziecie mogli znowu być rodziną.

Ścisnęło mnie w dołku.

– Och.

– No. – Johnny złożył list i mi go oddał, wyglądał na wściekłego.

– Nie, nie chcę tego z powrotem – rzuciłam, kręcąc głową.

– Na pewno?

– Na pewno – wydusiłam. – Pozbądź się tego.

Johnny skinął sztywno głową, sięgnął do schowka i wyjął zapalniczkę. Podpalił list, opuścił szybę i pozwolił, by porwał go wiatr.

– Dziękuję – wyszeptałam wdzięczna, że uwolnił mnie od tej części ojca. – On kłamie – wypaliłam spanikowana. – Wiesz o tym, prawda?

– Wiem, kochanie – przytaknął.

– On wcale tak nie myśli – usłyszałam własne słowa; rozpaczliwie mi zależało, żeby Johnny to zrozumiał. – To taka sztuczka... Ktoś kazał mu to napisać. – Pokręciłam głową, byłam przybita, sfrustrowana. – Jemu wcale nie jest przykro... – Głos mi się załamał. – On nigdy nie przeprosza.

– Shannon, nie pozwolę, żeby cię skrzywdził. – Johnny siedział na swoim miejscu nieruchomo jak posąg, ze wzrokiem skierowanym w przednią szybę, i trzymał kierownicę tak mocno, że pobielaly mu knykcie. – Obiecuję.

Westchnęłam ciężko.

– Nie składaj obietnic, których nie możesz dotrzymać.

Odwrócił się do mnie.

– Zawiodłem cię kiedyś?

– N... nie. – Pokręciłam głową.

Kiwnął poważnie głową, ale w jego oczach szalał ogień.

– W takim razie uwierz, gdy mówię, że nie pozwolę, żeby znów cię skrzywdził – powtórzył, wymawiając powoli i wyraźnie każde słowo. – Nigdy więcej. – Zapiął pas, ja również. – Wystarczy, że będziesz ze mną rozmawiała – dodał, włączając silnik. – Nie odcinaj mnie od siebie – odwrócił się i spojrzął na mnie – a wtedy ja cię ochronię.

– Dobrze – westchnęłam, przyglądając mu się, gdy oddalaliśmy się od plaży. – Nie będę.

Rozdział 38

Biorę los we własne ręce

Shannon

– Shan, chcesz to zatrzymać? – zapytał Darren w następną sobotę popołudniu, gdy balansując na drabinie, wyciągał w moją stronę wymęczonego czasem pluszowego misia. – Czy wyrzucamy?

– Wyrzucamy – odpowiedziałam, biorąc od niego pluszaka i wpychając go do jednego z wypakowanych po brzegi czarnych worków na śmieci stojących na półpiętrze.

– Kochałaś go kiedyś – powiedział, chyba z nutą smutku, gdy zawiązałam pełny wór na supeł i rozwijałam kolejny. – Wszędzie go ze sobą nosiłaś.

– Kiedyś lubiłam wiele rzeczy, Darren – stwierdziłam, otwierając nowy worek. – Ale dorosłam.

– Mnie też kiedyś lubiłaś – wymamrotał.

– I polubiłabym cię znowu, gdybyś nie kazał mi tkwić w tym domu – warknęłam zirytowana. – Jest sobota.

– Wiem – westchnął. – Ale musisz mi pomóc przy sprzątnięciu strychu. Potrzebujemy więcej przestrzeni i jeśli uda nam się to ogarnąć, to będę mógł się tu przenieść i zwolnić Joeyowi pokój.

– To jakiś żart – prychnęłam pod nosem. – Cała nasza rodzina to żart.

– O niego ci chodzi? – zapytał. – Dostajesz szału, bo nie możesz się z nim spotkać?

Tak. Nie widziałam się z Johnnym od wczorajszego dnia w szkole i powoli puszczały mi nerwy. Przez cały tydzień mogłam spędzać z nim czas tylko na przerwach obiadowych i szybko się przekonałam, że to za mało. Gdy chodziło o niego, zawsze czułam niedosyt.

– Nie – burknęłam, wracając myślami do rzeczywistości. – Chodzi o to, że mam po dziurki w nosie roli więźnia we własnym domu. – Westchnęłam ciężko i dodałam: – Czuję się, jakby ktoś przykuł mnie do ściany, Darren. Nie wytrzymam tego dłużej.

– Cóż, uciekanie z lekcji, żeby się z nim powłóczyć, na pewno ci nie pomoże – odpowiedział. – Miałaś szczęście, że to ja odebrałam telefon od dyrektora, a nie mama – dodał. – Kryłem cię, pamiętasz? Powiedziałem, że się pochorowałaś, podczas gdy ty zwiedzałaś z Johnnym wybrzeże. – Gdy nie odpowiadałam, bo szczerze powiedziawszy, nie miałam żadnych argumentów, Darren westchnął: – Shannon, no daj spokój. Masz w tym roku egzaminy. Wiesz, że musisz się skupić i pouczyć do czerwca. A on nie powinien ci przeszkadzać. To niezdrowe aż tak przywiązywać się do kolesia... Nawet tak pociągającego.

– Wcale mi nie przeszkadza – wydusiłam. – To mój chłopak i nie ma nic złego w tym, że chcę z nim spędzać trochę czasu.

– *Trochę* tak – zgodził się. – Ale nie cały czas.

– Wcale nie spędzam z nim całego czasu! – warknęłam. – Widujemy się tylko na stołówce!

– Dobra już, chłopak, nie chłopak, musisz mi pomóc przy tych worach, bo sam tu nie wysprzątam – odpowiedział lekceważąco. – Zrób coś pożytecznego, zamiast przez cały dzień usychać z tęsknoty za jakimś młodzikiem.

– Wiesz, jak spędzałam każdą sobotę przez *sześć ostatnich lat*? – zapytałam i szybko odpowiedziałam, nie dając mu czasu na reakcję. – *Sprzątałam*, Darren. Tak mijały mi soboty. Sprzątałam po wszystkich mieszkańcach tego domu.

– Shannon, daj spokój – westchnął ciężko.

– Nie. – Byłam rozgoryczona, wypuściłam powietrze z płuc i wzięłam się pod boki. – To nie fair. Obiecałeś, że gdy wrócę ze szpitala, w domu się pozmienia, a jest tak samo. Ona dalej jest tam... – Wskazałam na zamknięte drzwi za plecami. – Chowa się przed obowiązkami. A ja nadal jestem tu, sprzątam za wszystkich, a Joey dalej musi wlec chłopców na treningi i mecze. Jedyna różnica polega na tym, że teraz mam towarzystwo w harówie. – Spojrzałam wymownie, żeby nie miał wątpliwości, że mówię o nim. – Innych różnic nie odnotowałam, Darren.

– Naprawdę? Bo ja widzę wiele różnic – burknął, złażąc z drabiny. – Po pierwsze i najważniejsze: jego tu nie ma. Po drugie: lodówka i szafki na żarcie są pełne. Po trzecie: żadne z was nie łązi posiniaczone...

– On nadal tu jest – odpyskowałam roztrzęsiona. – Tylko przybrał nową formę.

– Do czego zmierzasz, Shannon? – zapytał ostro. – Hmm? – Skrzyżował ramiona na piersi i spojrzał na mnie surowo, rozwścieczyłam go. – Twierdzisz, że jestem taki jak on?

Wzruszyłam ramionami. Poczułam wyrzuty, że posunęłam się do takiej insynuacji, ale nie spuściłam wzroku.

Darren zaśmiał się sucho.

– Wiesz co? Rób, co chcesz. Idź, daj sobie zrobić dzieciaka, mam to gdzieś. Mam dość ciągłego pilnowania ciebie i chłopaków. W ogóle nie wiem po chuj ja się tym wszystkim przejmuję.

Nie odezwałam się, gdy minął mnie wściekłym krokiem i zbiegł po schodach. Odetchnęłam dopiero, gdy rozległ się trzask frontowych drzwi.

Byłam wściekła na siebie i ogólnie na wszystko. Ładowałam do worków stare zabawki, ciuchy i inne szpargały ze strychu, dopóki nie wyczyściłam całego półpiętra. Ustawiłam równo worki na górze klatki schodowej, a potem zaskoczyłam samą siebie. Weszłam do mojego pokoju, ściągnęłam kurtkę z haczyka na drzwiach i ją założyłam.

Zeszłam na dół z sercem w gardle. Praktycznie przebiegłam przez korytarz, potykając się o rozrzucone zabawki i lego. Dusiałam się w tym domu. Tonęłam we własnym życiu. Musiałam się wydostać. Potrzebowałam czegoś. Musiałam po prostu... *otworzyć drzwi*.

Szarpnęłam je z całej siły i wypadłam na zewnątrz. Nie zatrzymywałam się, rzuciłam się biegiem, dociskałam ciało do granic możliwości, przemykałam obok znajomych domów, a potem skręciłam w ciemną alejkę. Zarzuciłam kaptur na głowę i parłam dalej, bez żadnego celu, desperacko szukałam uzależniającego smaku wolności, za którym tęskniłam z każdym upływającym dniem.

Trzy godziny i jedno przebranie się w suche ciuchy później kuliłam się na łóżku Claire z kubkiem gorącej czekolady w niepewnych dłoniach. Patrzyłam na końcowe napisy *Dirty Dancing* sunące w górę po ekranie jej telewizora.

– Kocham go – westchnęła marzycielsko siedząca obok Claire. – Przysięgam, że będę kochała tego mężczyznę do końca moich dni.

– Myślałam, że kochasz Johnny’ego Deppa – prychnęła leżąca na podłodze przy łóżku Lizzie, przerzucając jakieś czasopismo. – Zdecyduj się, dziewczyno.

– Kocham obu – westchnęła Claire. – Ale Patrick był moją pierwszą miłością, a wiecie, że słodki płomień pierwszej miłości tli się wiecznie.

Lizzie przewróciła oczami w sufit nieporuszona opowieściami Claire.

– Nie wiem, jak myśmy przeżyły te jedenaście lat przyjaźni.

– Tęskniłam za tym – wyznałam z zadowoleniem, biorąc łyk z kubka. – Tęskniłam za wami.

– A my za tobą – odparła Lizzie. – Gdy byłam tu ostatnio, musiałaś ścierpieć przygody Thora i jego kocura.

– Zostaw Gerarda w spokoju – burknęła Claire. – Lubi swojego kota. Wielkie mi rzeczy.

– *Wyprowadza go.* – Lizzie przewróciła się na bok i spojrzała na Claire. – Na błyszczącej smyczy i obróżce z klejnotami. Proszę cię, nie wmawiaj mi, że uważasz to za normalne – zakończyła, mrużąc oczy.

– Uważam, że to słodkie. – Claire wzruszyła ramionami.

– A jakże... Uważasz za słodkie wszystko, co wyrabia ten półgłówek – rzuciła ostro Lizzie, kręcąc głową. – A ty, Shan? Co myślisz o Gerardzie?

– Ja? Eee... – Spojrzałam na obie i uśmiechnęłam się nieśmiało. – Myślę, że jest świetny. I też lubię jego kota – zaśmiałam się.

Claire się rozpromieniła, Lizzie stęknęła ciężko.

– Shannon musi go lubić – wyburczała. – W końcu jest drugą połówką jej *chłopaka*. A skoro o nim mowa, jak tam się miewa nasz Kapitan Fantastyczny?

– Dobrze – odparłam, rumieniąc się jak burak.

– „Dobrze” – przedrzeźniły mnie obie szyderczo.

– O Boże! – pisnęła Claire. – Właśnie naszła mnie myśl! – Zerwała się na nogi, podbiegła wyłączyć telewizor i stanęła przodem do nas. – Ja kocham dwóch Johnnych, a Shannon trzeciego! – Podskakiwała podekscytowana z dziecięcym błyskiem w oczach. – Jeśli to nie jest przeznaczenie, to ja już nie wiem!

– Wiesz co, Claire? – zapytała z zadumą w głosie Lizzie. – Cofam wszystko, co mówiłam o tym, że ty i Thor to kiepski pomysł. Uważam, że powinnaś totalnie w to iść. Pasujecie do siebie idealnie.

– Prawda? – parsknęła Claire.

– Faj. – Lizzie się otrzepała i wróciła do wertowania czasopisma. – Wyobrażam sobie dzieci stworzone z tego związku... Małe jednorożce z blond lokami.

– Kocham jednorożce – stwierdziła Claire.

– Mhmm – mruknęła przeciągle Lizzie. – No to wkrótce będziesz miała swoje.

– Skąd wiecie, że miałyście or... – urwałam i spojrzałam na dziewczyny, obie gapiły się na mnie szeroko otwartymi oczami. – Eee, nieważne.

– Dokończ! – Pisnęła Claire, znowu podskakując jak podekscytowane dziecko. – Orrrrrrr....

– ...gazm – dokończyłam, czując, że zaraz spłonie mi twarz.

– Miałaś *orgazm*? – Claire wybałuszyła na mnie oczy. – Nie opowiadaj!

– Woow – wymamrotała Lizzie, wyglądała, jakby chcąc nie chcąc, była pod wrażeniem. – Chłopak się, kurwa, nie ociąga.

– Widziałaś jego wacka? – zapytała stanowczo Claire. – Boże, duży był? Wielki, co nie? Uch, założę się, że ma wielkiego, a ty jesteś taka malutka... – Claire przełknęła głośno ślinę i machnęła sobie dłonią przed twarzą z trwogą. – Boże, na pewno bolało, tak? Jakim cudem cię nie rozerwało?

– Uspokój się, bojączku – uciszyła ją Lizzie i spojrzała na mnie. – Uprawiałaś z nim seks? – Tym razem wyglądała na realnie zaintrygowaną rozmową. – Boże, doszłaś z nim za pierwszym razem? Bo to naprawdę coś.

– Co takiego? – Pokręciłam głową. – Nie, nie, ja nie... To znaczy my nie...

– Zrobił ci dobrze? – zapytała Lizzie. – Palcami?

– Nie – wykrztusiłam. – Tylko mnie całował.

Obie dziewczyny wyglądały na rozczarowane moją odpowiedzią.

– Całował – powtórzyła sucho Lizzie. – Nieźle, ale emocje.

– Nie bądź suką, Liz – zrugła ją Claire. – Nie wszystkie jesteśmy takie wyrwane. – Uśmiechnęła się do mnie szeroko i kiwnęła głową. – Mów dalej, Shan. Opowiedz nam o swoim orgazmie od pocałunków.

Speszona ich pytaniami zaczęłam opowiadać, jak kilka dni temu całowaliśmy się z Johnnym w łóżku, a potem w samochodzie, i konsekwentnie ignorowałam przewracającą oczami Lizzie. Codziennie jedliśmy z Johnnym obiad w szkole i choć po szkole i przed całowaliśmy się już nieraz, to te pocałunki były niczym w porównaniu do tych dwóch razów. Gdy skończyłam opowiadać, spojrzałam na przyjaciółki, licząc na jakieś rady.

– Czy to normalne?

– Wygląda na to, że byłaś blisko – stwierdziła znów zaciekawiona tematem Lizzie. – I że z niego niezły potwór.

Zarumieniłam się, a Claire z przekąsem powtórzyła:

– Potwór.

– Wyobraźcie sobie, co będzie robił bez ciuchów – dumiała z uśmiechem Lizzie. Była taka ładna, gdy się uśmiechała. Ostatnimi czasami rzadko to robiła, ale gdy się pojawiał, jej uśmiech był cudowny. – Myślę, że przy następnym dymaniu na sucho powinnaś wyskoczyć z ciuchów – dodała. – A potem zdać nam raport, jak było.

– Tak – przytaknęła gorliwie Claire. – Wtedy Lizzie będzie mogła zapodać ci więcej swojej opartej na doświadczeniu mądrości, a ja będę tylko słuchała z wrodzoną wścibskością.

– Claire, Jezus Maria, nie jestem dziwką – fuknęła Lizzie.

– Wiem o tym – zapewniła pośpiesznie Claire. – Ale byłaś z Pierce’em już z milion razy. I chcemy o tym usłyszeć – dodała ze wzruszeniem ramion.

– Nie musisz nam nic mówić, Liz – wybełkotałam.

– Owszem, musi – uciszyła mnie Claire, równocześnie unosząc wymownie brwi do Lizzie. – Podziel się z nami wiedzą, *sensei*⁶.

– Przecież ty nawet nie masz chłopaka – wyśmiała ją Lizzie.

– No i? – odpowiedziała Claire, szczerząc się od ucha do ucha. – Mam wyborną wyobraźnię i nienasycone pragnienie wiedzy.

– No dobra, już dobra. – Lizzie usiadła z ociąganiem, pokręciła głową i parsknęła: – Pamiętacie ten teledysk Shakiry? Ten, którym Claire zadrezczała nas w szóstej klasie i zmuszała nas do nauki ruchów?

– Jakby to było dziś – skrzywiłam się na samo wspomnienie.

– To najlepsza piosenka – odparła Claire z uśmiechem i wzrokiem pełnym tego niezmordowanego optymizmu.

– No to kiedy jesteś na górze, to jest trochę podobnie. – Policzki Lizzie odrobinę się zaróżowiły. – Musisz się trochę pocierać, pobujać biodrami i pokręcić.

– Jaa... – westchnęła Claire. – Nie wiem, czy będzie mi się to podobało. – Zmarszczyła nos i stwierdziła: – Chyba będę wolała być na dole.

– Będziesz zaskoczona, co zaczniesz ci się podobać – odparła zagadkowo Lizzie.

– Johnny powiedział, że nie chce uprawiać ze mną seksu – westchnęłam głośno.

– Co takiego? – rzuciły obie z niedowierzaniem.

– Powiedział, że nie chce uprawiać ze mną seksu – powtórzyłam wystraszona.

– Kto nie chce uprawiać z tobą seksu? – zapytał Hughie, starszy brat Claire, który zatrzymał się na korytarzu w pół kroku i spojrzał na mnie, unosząc brew. Nagle wytrzeszczył oczy. – Jasna

cholera! Opowiadasz o naszym kapitanie?

– Nie! – wypaliłam przerażona. – To znaczy ja nie... wcale nie...

– Claire, co ciężkiej cholery – burknęła Lizzie. – Mówiłam, żebyś zamknęła drzwi po tym, jak przyniosłaś gorącą czekoladę.

– Nie spodziewałam się, że ten zbok przyczai się pod drzwiami – krzyknęła Claire, patrząc groźnie na brata. – Spieprzaj stąd, oblechu.

– Jesteście za młode na takie pogaduszki – stwierdził Hughie i spojrzał surowo na siostrę. – *Zwłaszcza ty.*

– Boże, mamy po szesnaście lat! – prychnęła Claire. – I mówi to koleś, którego zagłówek opiera się dokładnie o moją ścianę. – Claire podeszła do komody i zaczęła walić w nią otwartą dłonią w szybki rytmie. – O tak, maleńka, dawaj... – sapała, udając męski głos. – Och, Katie, cudownie robisz mi językiem...

– Claire – syknął ostrzegawczo Hughie. – Przestań.

Niewzruszona Claire przyspieszyła walenie ręką i kontynuowała grubym głosem:

– Tak, maleńka. Teraz, teraz, muszę wyjąć, bo zaraz doooooj...

Hughie zatrzaskał drzwi, a Claire krzyknęła:

– Dooooojdęęę!

Wszystkie trzy wybuchłyśmy śmiechem.

– Spierdalaj! – ryknął, gdy dobiegł nas trzask drzwi jego pokoju.

– Dlaczego braciom zawsze się wydaje, że wszystko wiedzą – zapytała zadowolona z siebie Claire, padając na łóżko. – Barany.

– Święte słowa – stwierdziłam.

– Myślę, że powinnaś do niego napisać – zarechotała Lizzie. – Do Johnny'ego – doprecyzowała, gdy spojrzaliśmy na nią zdezorientowane. – Napisz mu z tego wybitnie różowego telefonu, który ci zakupił. Zapytaj, czy chce z tobą... *posiedzieć?*

– O tak, dobre! – poparła ją Claire, znowu robiąc te ruchy brwiami. – „Posiedzieć”.

Obudziły we mnie ekscytację.

– Sama nie wiem. – Wyciągnęłam komórkę z kieszonki dzinsów, spojrzałam na ekran, a potem na przyjaciółki. – Dziewczyny, przecież ja powinnam siedzieć w domu.

– Masz za sobą gówniany tydzień – odparowała Lizzie. – Pełen dramatów, których żadna z nas nie dałaby rady udźwignąć. Na serio uważam, że powinnaś napisać do swojego chłopaka i posiedzieć z nim w sobotni wieczór.

– Sensownie dziś gada, Shan – stwierdziła Claire, szczerząc zęby. – I tak już wyszłaś z domu, więc i tak masz już kłopoty. – Wzruszyła ramionami i dodała: – W takim razie niech te kłopoty będą czegoś warte.

– A co, jeśli jest zajęty? – wyszeptałam, przygryzając wargę.

– Nie jest – odpowiedziała szybko Claire. – Pojechał na siłownię z Gerardem.

– Skąd wiesz?

– Byli tam, gdy Gerard do mnie dzwonił? – wyjaśniła. – I będą tam, dopóki nie zamkną siłowni.

– Cały dzień? – zapytałam z niedowierzaniem.

Claire przewróciła oczami.

– Shan, przecież to twój chłopak. Powinnaś wiedzieć, że ćwiczy w każdej wolnej chwili. – Napięła biceps, pocałowała go i dodała: – Musi rosnać.

– Jesteś głupia – zarechotała Lizzie.

– Ale to prawda – zaśmiała się Claire.

– Pisz do niego – powiedziały równocześnie.
Wzięłam głęboki wdech, otworzyłam okno nowej wiadomości i zaczęłam pisać.
– Zapytaj, co robi dziś wieczorem – podsunęła mi Lizzie.
– Noo, sprawdź, czy chce iść na randkę! – dorzuciła Claire. – Och, och, mogłabyś się tu wyszykować.
– Wysłałam – westchnęłam, upuszczając telefon na łóżko.
Lizzie go złapała, znalazła wiadomość i przeczytała na głos, patrząc na mnie jak na głupią:
– „Cześć, Johnny”. Tyle napisałaś?
Wzruszyłam ramionami i złączyłam dłońie.
– No co, dobrze napisałam, nie?
– Tak, gdybyś miała cztery latka – burknęła Lizzie. – Bez buziaczka na koniec?
Wzruszyłam ramionami, byłam zagubiona.
– To źle?
– Nie, o ile piszesz do brata – odparła ze współczuciem Claire.
– O Boże, wyłączcie to – jęknęłam, zaczynało mnie mdlić. – Wyłączcie ten telefon.
Ping.
– O, odpisał! – pisnęła Claire, wrywając komórkę Lizzie i wskakując z nią na łóżko.
– „Cześć, kochanie” – zaczęła czytać, ale od razu przerwała, żeby teatralnie złapać się za serce.
– Boziu droga, nazwał cię „kochaniem”! – Klapnęła na materac i dodała: – A na koniec posłał jej dwa buziaki – westchnęła usatysfakcjonowana. – Chyba *sama* dostałam właśnie orgazmu.
– Oddawaj to – burknęła Lizzie, wrywając jej z powrotem telefon. – „Cześć, kochanie, jak się masz? Mogę zadzwonić wieczorem? Buziak, buziak”.
Moje serce ruszyło galopem.
– Odpisz mu, że może – powiedziałam, patrząc, jak Lizzie stuka w ekran. – Napisałaś, że może?
– zapytałam, gdy odłożyła telefon. – Liz?
Już miała mi odpowiedzieć, ale nie zdążyła, bo komórka znowu zapikała. Lizzie spojrzała na ekran i wyszczerzyła się jak diablica.
– O Boże. – Przeszedł mnie dreszcz niepokoju. – Co ty narobiłaś?
– Napisałam, że nie musi dzwonić, bo może cię stąd odebrać. – Puściła do mnie oko i dodała: – Będzie o ósmej, więc lepiej się szykuj.
– Czekaj! – Przyłożyłam palce do skroni, zmusiłam się, żeby spokojnie oddychać i nie panikować. – Czekaj... Daj mi chwilę. – Wzięłam kilka głębszych, uspokajających wdechów. – Czy to randka? – zapytałam w końcu.
Claire kiwnęła głową z animuszem, a Lizzie spojrzała na mnie, jakbym spadła z księżycy.
– Nie rozumiem cię, Shan – westchnęła. – To twój chłopak. Codziennie przez pół przerwy obiadowej trzyma język w twoim gardle. I umawiacie się na sobotni wieczór. Oczywiście, że to randka.
– Powinam... coś mu kupić? – zapytałam, czując, że przyśpiesza mi tętno.
– Nie! – rzuciła Lizzie z przerażeniem. – Skąd ten pomysł?
– Nie wiem! – krzyknęłam, wymachując na oślep rękami. – Panikuję, okej?! A co, jeśli mnie gdzieś zabierze? Nie mam ani grosza.
– To nieważne.
– Ważne – wydusiłam. – Dla mnie ważne.
– Możesz mu nagrać składankę na kasecie – zaproponowała Claire. – Albo na płycie do odtwarzacza w jego aucie, skoro już chcesz coś mu dać.

- Dobra myśl – stwierdziła z namysłem Lizzie. – Co mu nagrasz?
- Nie wiem – westchnęłam i opadłam na poduszki. – Może to jednak zły pomysł?
- Nie. – Claire podeszła do biurka i wzięła laptop. – To świetny pomysł – zapewniła, wsuwając płytę do komputera. – Dawaj.
- Czy chłopcy w ogóle lubią takie rzeczy? – zapytałam z palcami nad klawiaturą. – Aoife bez przerwy nagrywa płyty Joeyowi, a on nigdy ich nie słucha.
- Cóż, Gerard nagrywa mi składanki i je uwielbiam – odpowiedziała Claire. – Przekaż mu własne myśli, Shan. Odnajdź własne uczucia w piosenkach i mu je pokaż.
- Ty tak robisz? – zapytała sucho Lizzie.
- Na okrągło – stęknęła zniecierpliwiona Claire. – I wiem, że Gerard ich słucha – westchnęła i dodała: – Tylko postanawia ich *nie słyszeć*.
- Boże – burknęła Lizzie. – Ten chłopak to osioł.
- Ale Johnny jest zupełnie inny. On będzie *słuchał* naprawdę, Shan. On *zawsze* cię słucha. O, łap to... – Rzuciła mi czarny marker i się uśmiechnęła. – Kiedy skończysz, to napisz coś na płycie, żeby nie pomylił jej z którymś z tworców Gerarda.

- Jesteś taka drobna, że niedobrze się robi – sarknęła Lizzie godzinę później. – Mogłabym nie wziąć nic do ust przez półtora roku, a i tak bym tak nie schudła.

To się nazywa głód, pomyślałam niechętnie. *Ciesz się, że nigdy nie zaznałaś towarzyszącego mu bólu.*

- Źle wygląda? – zaskrzeczałam, spoglądając lękliwie na mój strój. – Może być?
- Taaak... – westchnęła i poprowadziła mnie przed wielkie lustro w łazience państwa Biggsów.
- Wyglądasz niezłomnie, idealnie i jestem o ciebie mega zazdrosna.
- Tadam! – pisnęła Claire, wymachując pędzelkiem do podkładu. – Wyglądasz jak... jak... sexy sucz!

Spojrzałam w oczy własnemu odbiciu, przyjrzałam się sobie i aż westchnęłam.

- Woo...

- Prawda? – rzuciła zgodnie Claire. – Ale ciacho!

- Zamarznę – wyszeptalam, patrząc na czerwoną sukienkę z wiązaniem pod szyją, w którą Claire wcisnęła mnie niemal przemocą. Ona mówiła, że to sukienka, ale wiedziałam, że kłamie, bo dokładnie pamiętałam, jak podziwiałam ją w zeszły miesiąc... gdy założyła ją do *dżinsów*. No ale na mnie wyglądała jak sukienka: przecież sięgała do pół uda. Plus był taki, że dobrze pasowała i nie wisiała na mnie jak większość ciuchów.

- Kurteczka cię ogrzeje – stwierdziła Lizzie, pstrykając w czarną skórzaną kurtkę, którą na sobie miałam.

- A spódniczka ułatwi dostęp – wyszczerzyła się Claire. – Żartuję. Ej, jaki nosisz rozmiar butów?

- Trójkę – odparłam, patrząc nieufnie na siebie w lustrze. Miałam krwistoczerwone usta, żeby pasowały do sukienki, i makijaż smokey eye. Dziewczyny ujęły moje włosy w rozmyślnie niechlujny wysoki kucyk, który i tak sięgał mi do łokci.

- Boże, jakie to niesprawiedliwe – fuknęła Lizzie. – Mogłabym zabić za takie małe stopy.

- Mama nosi czwórkę. Hmm, daj mi chwilę – wymamrotała Claire i wybiegła z łazienki. Kilka chwil później wróciła z parą czarnych szpilek. – Idealnie.

Spojrzałam nieufnie na dwunastocentymetrowe szpilki.

- To chyba kiepski pomysł.

– Świetny – orzekła, uklękła i wcisnęła mi je na nogi, zanim zdążyłam zaprotestować. – Dobry Boże, wyglądasz z tymi wielkimi oczami i bujnymi włosami jak lalka Bratz – powiedziała podekscytowana, gdy wstała, żeby mi się przyjrzeć. – Śliczna do bólu.

– Ale nie jest lalką, Claire – napomniała ją Lizzie. – Jest kobietą i wygląda... Przestań! – Odtrąciła szczotkę do włosów, z którą nachodziła mnie Claire, i uśmiechnęła się serdecznie. – Wyglądasz bosko, Shan.

– Jesteście pewne, że nie powinnam zakładać stanika? – zapytałam skrepowana.

– Tak! – prychnęła Claire. – Absolutnie *nie* powinnaś. Zrujnowałby cały outfit.

– Shan, gdybym nie musiała nosić stanika, to hasałabym wolna jak ptak całą dobę – dodała Lizzie, ściskając mnie za ramię.

– Ja też – wsparła ją Claire. – Noś się dumnie z tymi maluszkami, dziewczyno!

– Nie sądzicie, że jest trochę za krótka? – zapytał Hughie, który wychylił się zza drzwi łazienki.

– Aż czuję potrzebę okrycia cię własną kurtką – dodał, marszcząc czoło.

– Zamknij się, Hugh! – krzyknęła Claire. – Daj jej spokój.

– Niech będzie – odparł, unosząc ręce w geście kapitulacji. – A teraz spadajcie z łazienki, co? Muszę się ogarnąć, bo za pół godziny mam być po Katie.

– Katie... – powiedziała szyderczo Claire i zatrzepotała rzęsami. – Domyj wacusia.

– Z tobą poważnie jest coś nie tak – odparł Hughie, patrząc chłodno na siostrę. – Rodzice przywieźli ze szpitala nie to dziecko. A przy okazji – zwrócił się do mnie – Johnny stoi już pod domem.

– T... tak? – Wytrzeszczyłam oczy.

– Hura, jedziemy! – Claire klasnęła i przesunęła brata z drogi ciosem biodrem. – Jestem taka podekscytowana!

– Uspokój się – burknęła Lizzie. – Ty nigdzie nie jedziesz.

– Żyję szczęściem innych – odparła. – Kocham takie chwile!

Rozdział 39

Randka Johnny

W toku jednego z najszybszych pryszniców w moim życiu wyszorowałem się prawie do kości, a następnie rozniosłem szafę w perzynę, próbując znaleźć coś oprócz dresów i bluz z kapturem. Jezu Chryste, moje serce nie chciało się uspokoić, odkąd kilka godzin wcześniej dostałem od Shannon wiadomość.

Zamiast tego możesz mnie odebrać. Jestem u Claire. Będę czekała :*:~.

Nie miałem bladego pojęcia, co tu się odpiędała, i nie obchodziło mnie to, bo na samą myśl o spędzeniu czasu z moją dziewczyną poza terenem szkoły dostawałem zawrotów głowy. Przez cały tydzień musiałem się zadowalać oglądaniem jej z daleka na korytarzach i kilkoma chwilami na przerwach obiadowych, a dziś? Będę ją miał dla siebie przez cały wieczór. Dziękując Bogu za to, że właśnie dziś wstał dzień, w którym matka szlachetnie uznała, że odda mi kluczyki do samochodu, przemknąłem z łazienki do pokoju ze szczoteczką wystającą z ust i pastą ściekającą po brodzie, żeby znaleźć jakieś przyzwoite ciuchy.

Czy to będzie randka?

Czy Shannon chce, żebym ją gdzieś zabrał?

Powinienem ją gdzieś zabrać?

Co ja mam, kurwa, robić?

A co z prezerwatywą?

Zabrać?

Nie!

Przestań!

Nie wystawiaj się na pokusę.

Ja pierdolę...

– Wyglądasz bardzo przystojnie – orzekła mama, gdy pięć minut później wpadłem do kuchni po portfel i kluczyki.

– Zaiste – dorzucił Gibsie szczerzący wrednie zęby z taboretu przy kuchennej wyspie. – Bardzo przystojnyś, Johnathonie.

Posłałem mu spojrzenie mówiące „nie waż się ponownie otwierać gęby” i pożałowałem, że po siłowni nie odwiozłem go prosto do domu. Powinienem, ale byłem tak wytrącony z równowagi, że przywlokłem tutaj tego jełopa ze sobą. Zdradziłem mu również moje plany, co było typowym błędem nowicjusza, który również popełniłem wyłącznie dlatego, że ten SMS namotał mi w głowie. Z drugiej strony miałem poczucie, że jestem mu winien wyjaśnienie, bo gdy skupiłem się na odpisywaniu Shannon, przestałem go asekurować i sztanga prawie obcięła mu głowę.

Gibsie parsknął i pokazał gestem, że zamyka buzię na kłódkę.

Już to widzę.

– Wyglądam jak zawsze, mamó – burknąłem świadomy, że muszę się jak najszybciej ulotnić, bo jak nie, to zaraz doświadczę matczynej wersji hiszpańskiej inkwizycji. – Wróć dziś później –

dodałem najswobodniej, jak to było możliwe, wsuwając portfel i kluczyki do tylnej kieszeni. –
Więc nie panikuj, dobra? – *I nie wydzwaniał jak opętana.*

– Czy to nowa koszula? – zapytała, sunąc wzrokiem po moim ciele i kompletnie ignorując mój
wywód.

Ech.

Za późno, kurwa.

– Nie. – Nieco skrępowany pociągnąłem za czarny materiał opinający mi tors. – Wisiała
w szafie.

– I nowa woda kolońska? – prychnęła.

– To ta, którą dostałem pod choinkę. – Niezdarnie przestąpiłem z nogi na nogę. – A co?

– A nie, nic, nic, kochanie – odpowiedziała z wymownym uśmiechem. – Przyciąłeś dziś
włosy?

– Tak – warknąłem niecierpliwie, bo poczułem się kompletnie obnażony. – Wstąpiłem do
barbera po siłowni i przyciąłem włosy.

– I nałożyłeś na nie żel? – Jej oczy błyszczały z uciechy moim kosztem.

– Jezus Maria, mamó – wymamrotałem, przyklepując fryzurę. – Nawet jeśli, to co?

– Przyłożyłeś się dziś, żeby ładnie wyglądać – stwierdziła z namysłem i uniosła brew. – Pewnie
wybierasz się w jakieś wyjątkowe miejsce.

– Z kimś wyjątkowym. – Gibsie, ten pierdolony zdrajca, postanowił dolać oliwy do ognia.

– Ty też się obciąłeś – przypomniałem mu.

– Owszem, ale ja nie idę na randkę.

Posłałem mu mordercze spojrzenie.

Podniósł obie ręce i uśmiechnął się jak niewiniątko.

– Och, kochanie, to ściągaj te dżinsy – rzuciła mama, przyciągając z powrotem moją uwagę. –
Są zmięte z przodu. – Zeskoczyła z taboretu i ruszyła po deskę do prasowania. – Dawaj, przelecę ci
je na szybko żelazkiem.

– Co? – zapytałem z niedowierzaniem. – Nie trzeba, mamó. Muszę lecieć.

– Ściągaj dżinsy – rozkazała ostro, podłączając żelazko do prądu. – Moje dziecko nie wyjdzie
z domu pomięte.

– Jezu Chryste. – Zakląłem pod nosem, zrzuciłem buty i ściągnąłem spodnie. – Muszę iść –
utyskiwałem, podając mamie dżinsy. – Już, mamó.

– Dobrze to wygląda – stwierdził Gibsie poważnym tonem, przyglądając się bliźnie na moim
udzie. Drugą na szczęście zakrywały bokserki. – Na serio się goi.

– Dzięki? – odparłem, posyłając mu spojrzenie mówiące „co ty pierdolisz?” i drepcząc
niecierpliwie w oczekiwaniu na dżinsy. – Mamó, mogłabyś się pośpieszyć – błagałem. – Muszę
lecieć.

– Zabierasz Shannon na filmy, skarbie? – zapytała z wymownym uśmiechem.

– Mówi się „do kina”, mamó – burknąłem, pocierając brodę. – Nikt, ale to naprawdę nikt już
nie mówi, że idzie na filmy.

– Ja mówię – zaczęła radośnie. – Więc to tam ją zabierasz?

– Nie wiem jeszcze – wymamrotałem. – Zamierzałem pozwolić jej wybrać.

– Och, to cudnie, precudnie. – Obróciła się do Gibsa i uśmiechnęła promiennie. – Prawda, że
cudnie, Gerardzie?

– Bez dwóch zdań: cudnie. – Wyszczrzył się.

– Ty też powinieneś zabrać tę młodą na filmy – dodała. – Jak ona ma na imię... Córka Biggsów?

Gibście poczerwieniał, tym razem to ja parsknąłem.

Ha, ha, kurwa.

– Claire – odpowiedział, ale najpierw musiał odkaszlnąć.

– No właśnie, siostra Hughiego. – Mama uśmiechnęła się pod nosem, sunąc żelazkiem po moich dzinsach. – Uganiasz się za tą dziewczyną od dnia, w którym Johnny pierwszy raz cię tu przywiózł. Wyglądałaś wtedy jak słodki, pulchniutki cherubinek.

Parsknąłem gardłowo i teraz to on posłał mi mordercze spojrzenie.

– Byłeś boskim chłopczykiem. – Mama odłożyła żelazko, strzepnęła moje spodnie i przeprowadziła ich baczną inspekcję, po której na szczęście mi je oddała. – Pamiętasz tamte wakacje w podstawówce, gdy wszyscy spaliście pod namiotami na wsi? Wpadłeś w pokrzywy, gdy próbowałeś ją przenieść nad ogrodzeniem pod napięciem, bo tak bała się byka sąsiadów. – Mama zaśmiała się delikatnie. – Wszyscy się poparzyliście i byliście cali w bąblach, ale udało ci się wydostać ją z tego pola.

– A, tak... – Gibście zarechotał i podrapał się po brodzie. – Zapomniałem o tym.

– Powiedziałaś wtedy Sadhbh i Sinead, że będą musiały mieć oko na waszą parkę – kontynuowała mama nostalgicznym tonem. – Owszem, kolegowałeś się z Hughiem, ale z nią byliście jak papużki nierozłączki. Jesteś blisko z tą małą, co?

– Dziękujemy za tę podróż we wspomnienia, mamó – powiedziałem niecierpliwie, zakładając spodnie i buty. – Ale musimy lecieć. – Złapałem Gibsa za ramię i zaprowadziłem do drzwi wyjściowych. – Branoc.

– Johnny, bądź grzeczny – zawołała za mną mama.

– Zawsze jestem – odkrzyknąłem przez ramię.

– I ostrzeżenie! – krzyknęła jeszcze. – Nie rozpinasz spodni!

Jezu.

Kwadrans później podrzuciłem Gibsa do domu i czekałem pod domem Biggsów ze spoconymi rękami i półstwardnieniem w portkach. Chryste, wyczekiwanie na samo tylko zobaczenie Shannon doprowadzało mnie do obłędu. W moich żyłach płynęły z rykiem nerwowość i ekscytacja, przez które byłem w chuj nakręcony, ale właśnie tak działała na mnie ta dziewczyna. Zamknąłem oczy i przez kilka sekund głęboko oddychałem. Musiałem wziąć emocje na smycz, żeby w ogóle wyjść z auta.

Gdy już poczułem się odrobinę spokojniejszy, wysiadłem i ruszyłem podjazdem, próbując usilnie wymyślić, co mam, do cholery, robić, gdy już dotrę pod drzwi. Zapukać? Po prostu wejść jak zazwyczaj? Jezu, no nie wiem. Nie miałem pierdolonego pojęcia, co robić.

Na szczęście, gdy byłem w połowie prowadzącej przez ogródek ścieżki, drzwi same otworzyły się do środka i dwie blondynki dosłownie wypchnęły Shannon na zewnątrz, po czym je za nią zatrzęsnęły.

O ja pierdołę.

Gdy padł na nią mój wzrok, prawie ugięły się podę mną kolana. Miała na sobie malutką czerwoną sukienkę, czarną skórzaną kurtkę i pasujące do niej szpilki, w których jej nogi wyglądały, jakby nie miały końca. Na głowie miała wysoki kucyk, którego koniec opadał za prawe ramię, a twarz? Boże drogi, te usta... oczy... Kurwa, miałem przesrane.

Ścisnęła przed sobą w rękach jakąś reklamówkę i uśmiechała się nieśmiało.

– Cześć, Johnny.

Pokręciłem lekko głową, pokonałem dzielącą nas przestrzeń i pocałowałem ją w policzek.

– Cześć, Shannon – wychrypiałem. – Pięknie wyglądasz.

– Jak było na siłowni? – zapytała, podnosząc na mnie wzrok. – Byliście ostrożni?

Nie rozumiałem prawie nic z tego, co powiedziała, bo skupiłem całą uwagę na jej ustach, na jej wydętych, czerwonych wargach, przez które przychodziły mi do głowy wyjątkowo świńskie myśli.

Ogarnij się, palancie.

– Tak... – wydusiłem i odkaslnąłem. – No fajnie było. – Złapałem ją za rękę i poprowadziłem do samochodu. – Kurwa, pięknie wyglądasz. – *Stary, już to mówiłeś.* – Serio, bosko. – *Zamknij się, Johnny.*

– Uhm, dzięki. – Zauważyłem w świetle latarni, że się zarumieniła. – To dzięki tym ubraniom i makijażowi.

– To dzięki tej dziewczynie – poprawiłem ją i ścisnąłem jej dłoń.

Shannon pochyliła twarz, a ja ugryzłem się w policzek.

– O... odzyskałeś samochód – powiedziała, otwierając szerzej oczy. – Super!

– No. – Kiwnąłem głową, otworzyłem drzwi po stronie pasażera i gestem zaprosiłem ją do środka. – Dziś rano. – Shannon wsiadła, a ja zamknąłem drzwi i obszedłem maskę. – Więc jak się wydostałaś? – zapytałem, siadając za kierownicą. – Pomimo stróża Darrena?

Shannon skrzywiła się, zapinając pas.

– Pokłóciliśmy się i wybiegł z domu. Mama leżała w łóżku, więc po prostu... wyszłam. – Wzruszyła ramionami. – Nie dzwonił od tego czasu, więc pewnie też jeszcze nie wrócił.

Jebany duppek.

– Cieszę się, że wyszłaś – powiedziałem, zapinając pas. – I bardzo się cieszę, że napisałaś.

– Tak? – Uśmiechnęła się nieśmiało.

– Jasne.

– Och, proszę... – Wyciągnęła z reklamówki płytę CD i wepchnęła mi ją w dłoń. – Nagrałam ci.

– Mmm, okej? – Wbiłem wzrok w płytę. – Dzięki?

– Nie ma za co. To składanka – wyjaśniła, mocno się czerwieniąc. – Na płycie.

Spojrzałem na wykonany odręcznie podpis na pudełku.

„Piosenki Shannon dla Johnny’ego”.

Ja pierdolę.

– Wyglądasz bardzo ładnie – powiedziała, wskazując na moje ciuchy i rumieniąc się tak bardzo, że aż czułem emanujące z jej policzków ciepło. – I świetnie pachniesz.

– Eee, dzięki. – Poprawiłem się w fotelu, poczułem ogromną ulgę.

– I bardzo mi się podoba, jak się obciąłeś – dodała, wyciągając rękę i dotykając moich włosów.

– Zachowałeś długie na górze... – Zawahała się, cofnęła rękę, ale ostatecznie położyła ją na moim policzku. – Jesteś piękny.

Przeszedł mnie dreszcz, trafiła mnie tymi słowami z ogromną siłą, nachyliłem się do niej. *Jezu.*

– Chodź tu. – Zanurzyłem palce w jej włosach, przyciągnąłem do siebie jej usta i choć wiedziałem, że cały ubrudzę się szminką, to miałem to gdzieś.

Gdy tylko nasze usta się złączyły, byłem skończony. Kiedy nasze języki starły się w pojedynku, wszystkie spójne przemyślenia, plany i wyobrażenia odnośnie do dzisiejszego wieczoru wyleciały przez okno. Shannon zajęczała w moje usta i wibracje, które poczułem wtedy na wargach, sprawiły, że półdrąg w moich spodniach zamienił się w pełny maszt. Usłyszałem kliknięcie zapinki pasów i po chwili już była po mojej stronie, włożyła mi na kolana.

Jezus Maria, ta dziewczyna mnie zniszczy.

Moje dłonie poruszały się samoistnie, przytrzymały ją za biodra i po prostu wbiłem się w nią całym ciałem. Doprowadziłem się do stanu, w którym pragnąłem po prostu zanurzyć się w tej dziewczynie i już nigdy nie wychylać, nawet by zaczerpnąć powietrza.

– Johnny? – westchnęła gardłowo. – Co chcesz dziś robić?

Jezus Maria, to pytanie było dopakowane milionem potencjalnych możliwości. Shannon nie musiała podsuwać mi żadnych dodatkowych pomysłów. W tej chwili potrzebowałem jakiegoś podręcznika dla początkujących, bo wpływałem na zupełnie nieznanne wody i dobrze wiedziałem, co tak naprawdę chciałbym *robić*.

– Nie wiem. – Aby spróbować odzyskać choć szczątki samokontroli, odchyliłem się i na nią spojrzałem. – Nic nie planowałem, bo chciałem cię zapytać o to samo.

– Ja chcę po prostu z tobą być – odpowiedziała po prostu, kładąc drobne dłonie na moim torsie i rozpalając ogień w moim ciele. – Możemy nawet przesiedzieć cały wieczór w aucie.

– Chcesz jechać do kina? – zaproponowałem, bo wiedziałem, że przesiedzenie całego wieczoru w aucie to niebezpieczny pomysł. Kuszący, ale niebezpieczny. – Albo możemy skoczyć do Biddies na bilard? Albo do Spizzico na kolację? – Wzruszyłem ramionami, byłem zbity z tropu. – Co tylko chcesz.

– Ja... – Spojrzała na moją pierś, a po chwili podniosła głowę i spojrzała mi w oczy. – Nie chcę nigdzie jechać?

To było pytanie?

– Nie chcesz? – powtórzyłem niepewnie. – Chcesz wracać do domu?

– Nie. – Pokręciła głową. – Nie... – urwała i znów opuściła twarz.

– Co „nie”, kochanie? – zapytałem. – Jeśli mi nie powiesz, sam się nie domyślę.

– Po prostu chcę być z tobą sama – wyszeptła, spoglądając na mnie spod nisko opuszczonych powiek. – Wiesz?

Wiedziałem.

Ale wiedziałem też, że to fatalny pomysł.

– Chcesz jechać do mnie? – zapytałem, czując w ciele narastające napięcie powstałe przez to, że musiałem się hamować. Bo wiedziałem, że muszę, ale, Chryste, nie ułatwiała mi zadania. – Do mojego pokoju?

Przytaknęła.

– O ile ty też chcesz?

Kurwa mać.

Rozdział 40

Kończymy! Shannon

Johnny wyłączył światła, spowijając nas w całkowitej ciemności, gdy tylko wjechał za bramę posesji. Byłam podekscytowana i zdenerwowana, wpatrywałam się w jego twarz, trzymałam dłoń na jego ręce, gdy zmieniał biegi, by chwilę później zatrzymać samochód na długim podjeździe.

Zgasił silnik i spojrzał na mnie.

– Zaprowadzę cię do siebie na górę, ale musimy przemknąć przez drzwi na dole, okej?

– Okej – szepnęłam, gorliwie przytakując.

– Nie chodzi to, że jesteś tu niemile widziana – dodałam pośpiesznie. – Chodzi o to, że jeśli mama nas zauważy, to nie da nam chwili spokoju. – Odpiął pas, wysiadł, cicho zamknął drzwi i obszedł samochód. – Gotowa? – zapytał, podając mi rękę, gdy już wysiadłam, i zamknął drzwi z mojej strony.

– Tak – odpowiedziałam cicho. Znowu strasznie lało i lodowate krople deszczu osiadały mi na skórze, wywołując dreszcze.

– Bonnie i Cupcake pewnie są na noc w kojcu – wyjaśnił, gdy skradaliśmy się podjazdem. – To za domem, więc powinno być okej.

– A Sookie?

– Sookie na mnie nie szczeknie – odparł pewnie.

– Skąd będzie wiedziała, że to ty?

– Będzie wiedziała. – Zacisnął kluczyki w ręce i dosłownie przeciągnął mnie przez żwirowy podjazd, a potem przykleiliśmy się plecami do ściany domu. – Wszystko gra?

– Na pewno powinniśmy to zrobić? – zapytałam.

– Szczerze? Raczej nie, ale i tak to zrobimy.

– Okej. – Kiwnęłam głową. – Ale na pewno?

– Nie wiem – zawahał się. – Na pewno?

– Yhm, chyba?

– Dobra, jebać... – Potrząsnął głową, pocałował mnie z całych sił i pociągnął w stronę drzwi. Puścił moją dłoń, przystawił palec do ust, przekręcił klucz w zamku i skrzywił się, gdy drzwi zaskrzypiały. – Idź – przekazał bezgłośnie, kiwając głową w stronę korytarza.

Zrzuciłam szpilki ze stóp, schyliłam się po nie i wskoczyłam do środka. Johnny zamknął za nami drzwi i przez kilka chwil staliśmy na środku przedpokoju, patrząc na siebie szeroko otwartymi oczami.

Po mniej więcej minucie idealnej ciszy na jego twarz zakradł się nieśpiesznie uśmiech, więc i ja uśmiechnęłam się szeroko.

– Bingo – mruknął, łapiąc mnie w tali i przyciągając do siebie.

Kręciło mi się w głowie od pożądania i adrenaliny, stłumiłam pisk, zarzuciłam mu ręce na szyję, trzymałam w nich buty, ale co tam, i tak przyciągnęłam jego twarz ku swojej.

Nasz pocałunek był ciepły, niezdarny i aż ciężki od obezwładniającego pragnienia *więcej*. Johnny wydał ten swój głęboki, gardłowy dźwięk, a potem ruszyliśmy korytarzem po omacku,

potykając się.

– Wcześniej wróciłeś, skarbie. Samochód się zepsuł? – Głos pani Kavanagh wyrwał mnie z osnutych żądzą myśli i odskoczyłam od Johnny’ego jak oparzona.

Przerażona spojrzałam na jego matkę, która siedziała u dołu ich imponującej klatki schodowej. U jej stóp stał kosz na bieliznę, parowała skarpetki. Obok koszyka rozwalona leżała stara czarna labradorka Johnny’ego. Gdy tylko go zobaczyła, zerwała się niezdarnie na cztery łapy i przybiegła.

– Jezu... – wymamrotał pod nosem Johnny i przeczesał włosy obiema dłońmi, po czym pogłaskał Sookie. – Nie zauważyłam cię, mammo.

– To nic, Johnny, ja zauważyłam cię – parsknęła w odpowiedzi pani Kavanagh. – Ale starałeś się. – Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się ciepło. – Witaj, Shannon. Przemiło cię znów widzieć.

– Dobry wieczór, pani Kavanagh – wydusiłam przerażona jak nigdy. – Jjj... jak się pani miewa?

– Świetnie, słońce. – Odłożyła do kosza parę skarpetek, wstała, otrzepała tył swoich dżinsów. Przez cały czas uśmiech trzymał się pewnie jej twarzy. – Wyglądasz oszałamiająco.

– Eee, dziękuję? – Po mojej skórze rozlało się ciepło. *Powinnam przeprosić za to, że tu jestem? Wściekła się na mnie? Powinnam jeszcze raz przeprosić za zachowanie matki? A może po prostu sobie pójść?* – Pani również – bąknęłam i zrobiło mi się niedobrze. *Co mam robić?*

Johnny podjął decyzję za mnie. Złapał mnie za rękę, pociągnął w stronę schodów i wymijając mamę, na którą czujnie spoglądał, obwieścił:

– Idziemy coś obejrzeć.

– Tak? – odparła, unosząc brew. – Nie grali żadnych dobrych filmów?

– Mam w pokoju film, który chcemy obejrzeć – rzucił przez ramię, praktycznie ciągnąc mnie po schodach do góry. – No więc tak, będziemy oglądali.

– Który film?

– Jezu, mammo, film! – jęknął zniecierpliwiony, przystając na górze schodów i spoglądając w dół na matkę. – Czemu to takie ważne?

– *To właśnie miłość* – rzuciłam pierwszym tytułem, jaki wpadł mi do głowy.

– Tak jest – potwierdził żarliwie Johnny.

– Gibsie nam pożyczyl – dodałam drugie kłamstwo, zdając sobie sprawę, że pod presją starszych jestem znacznie lepszym kłamcą niż on. *Lata praktyki.* – Mówił, że to jego ulubiony film i przez cały tydzień zapewniał nas w szkole, że musimy go obejrzeć.

– Dokładnie. – Johnny ścisnął mnie za rękę i wyprowadził po dwóch ostatnich schodach. – A Shannon go jeszcze nie widziała.

– To przynieście DVD na dół i obejrzemy go sobie wspólnie w salonie, co? – zawołała za nami jego matka.

– *Co takiego?!* – oburzył się Johnny. – Mammo, *nie!*

Przez kilka chwil mierzyli się zaciętymi spojrzeniami, w końcu pani Kavanagh westchnęła głośno i kiwnęła głową.

– Dobrze, idźcie oglądać ten swój film, ale macie mieć otwarte drzwi – powiedziała niskim, ostrzegawczym tonem. – Szeroko otwarte, Johnathon.

Bez dalszych słów ruszyliśmy korytarzem do jego pokoju. Wślizgnęliśmy się do środka, Johnny zamknął za nami drzwi i jeszcze przekręcił zamek.

– Przepraszam cię za nią – wymamrotał, ściskając się za nasadę nosa. – Ona...

– Tylko o ciebie dba – wtrąciłam. – W porządku.

– Tłamsi mnie – powiedział i aż się przygarbił. – Śledzi każdy mój ruch jak jakiś jastrząb.

– Johnny, wydaje mi się, że ona nie chce, żebym tu była – wyznałam, przygryzając nerwowo wargę. – Może powinnam iść?

– Co? – Pokręcił głową i stłumił jęk. – Nie, wcale nie. – Podszedł do mnie, złapał mnie za rękę i zaprowadził do łóżka. – Moja mama naprawdę cię lubi. Przysięgam. Po prostu... – Opadł na łóżko i ciężko westchnął. – To nie ma nic wspólnego z tym, że ty tu jesteś, tylko z tym, że jesteśmy sami.

– Wzruszył ramionami. – Po prostu się boi, że do czegoś między nami dojdzie.

– Dojdzie? – zapytałam, siadając przy nim.

– Seks – burknął, obracając do mnie twarz.

– Och. – Oddech utknął mi w gardle; przełknęłam ślinę. – Okej.

– Ale tu wcale nie o to chodzi – dodał pośpiesznie, choć nachylił się bliżej.

– Okej... – jęknęłam, serce łomotało mi w piersi.

– Nie musimy nic robić – dorzucił ochryplym, ciężkim głosem, patrząc mi głęboko w oczy. – Jeśli chcesz, możemy obejrzeć film.

– Nie. – Przysunęłam się bliżej. – Nie chcę nic oglądać.

– Na pewno? – Jego oczy pociemniały. – Możemy pograć na PlayStation?

– Johnny?

– Tak, Shan?

Pochyliłam się, pocałowałam go w kącik ust i odsunęłam się powoli, żeby zobaczyć jego reakcję.

– Shan. – Patrzył na mnie śmiertelnie poważnie. – Shan...

Czułam się odważnie, więc zrobiłam to jeszcze raz.

Minęło jedno uderzenie serca.

Jego źrenice pociemniały.

Moje serce waliło coraz mocniej.

– A jebać to – warknął i zmiażdżył moje usta swoimi.

Zarzuciłam mu ręce na szyję i podciągnęłam się wyżej na łóżku, ciągnąc go za sobą. Padłam na plecy, jego usta ani na moment mnie nie porzuciły, przygniótł mnie jego ciężar, którym wbił mnie głęboko w swój luksusowy materac. Oplotłam go nogami w pasie, nie chciałam ani odrobinę odlepieć się od jego ciała.

– Nie powinniśmy tego robić – powtarzał szeptem przy moich ustach, ale nie przerywał i wiedziałam, że nie przewie. Sama atakowałam jego wargi z podobnym głodem. Całował tak, jakby w tej chwili liczyły się dla niego tylko moje usta... To było upajające, szło prosto do głowy.

Przesunęłam dłonie na jego tors, odpinałam guziki od jego czarnej koszuli, bo desperacko pragnęłam poczuć na sobie ciepło jego nagiej skóry.

– Shan – jęknął mi w usta, uderzając we mnie biodrami. – Co ty wyprawiasz, kochanie?

– Proszę... – błagałam, niezdarnie rozpinając ostatnie guziki, dopóki koszula nie rozstąpiła się niczym Morze Czerwone. – Po prostu... *ją ściągnij*.

– Kurwa... – Johnny przerwał pocałunek, usiadł na piętach i w mgnieniu oka pozbył się koszuli. Wykorzystałam ten moment, by zdjąć kurtkę. Rzuciłam ją na podłogę, na jego koszulę, położyłam się na plecy, zadarłam sukienkę do talii i błagałam wzrokiem, żeby kontynuował. Hormony najechały na mój umysł, wykopały mój zdrowy rozsądek za okno i przejęły ster mózgu, informując mimochodem o poważnym niebezpieczeństwie, że dziś moje dziewictwo wyparuje.

Johnny, klęcząc między moimi nogami w samych dżinsach, z włosami sterczącymi od naszej tarzaniny w czterdzieści różnych stron, spojrzał na mnie rozłożoną na jego poduszkach i wypuścił powietrze z płuc.

– Zamierzam cię zatrzymać, Shannon Lynch.

– Naprawdę? – westchnęłam, spoglądając na jego nabrzmiałe wargi, pragnęłam jeszcze raz ich skosztować.

– Naprawdę – potwierdził, patrząc mi głęboko w oczy. Wzruszył ramionami niemal bezbrinnie i uśmiechnął się półgębkiem, uchylając przede mną rąbek własnej wrażliwości i sprawiając, że zakochałam się w nim jeszcze bardziej. Zataczałam się z nim coraz głębiej w mroczną, nieznaną otchłań, i to bez spadochronu, który w razie czego zapewniłby mi miękkie lądowanie. Ale nawet gdybym go miała, to i tak na niewiele by się zdał, bo serce rozsiadło się za kierownicą mojego ciała i pędziło naprzód, nie bacząc na konsekwencje.

– Na pewno nie chcesz pograć w GTA? – zaproponował ciężkim od emocji głosem. Prowokacyjnie przesunął palcem w górę mojego uda, aż do majtek. – Tym razem może bym wygrał. – Gdy już myślałam, że przesunie palce wyżej, gdy wszystko we mnie wrzeszczało, żeby to zrobił, on cofnął rękę i położył ją na moim udzie. – Co powiesz? Hmm? Chcesz zagrać rewanż, Shannon *jak ta rzeka*?

Pokręciłam głową, oddychałam ciężko, nierówno.

– Nie.

– Nie? – parsknął, unosząc brew. – No to czego ode mnie chcesz?

Zdobywając się na odwagę, na którą było mnie stać chyba wyłącznie przy nim, podparłam się na łokciu i wyszeptalam:

– Chcę, żebyś dokończył to, co zacząłeś.

Błękit jego oczu pociemniał, a uśmiech, który nie zniknął z jego ust, stał się niemal drapieżny. Załapał mnie za uda i przyciągnął bliżej.

– Zawsze kończę. – Wsparł cały ciężar ciała na jednym łokciu, zawisł nade mną i zbliżył usta do moich tak bardzo, że poczułam jego oddech. – Ale nie pójdziemy w tym kierunku. – Złożył na moich wargach upajający pocałunek, po czym zanurzył głowę w mojej szyi. – Jeszcze nie. – Połaskotał mnie po szyi, wytoczył na niej ślad wilgotnymi, ciepłymi pocałunkami, smakował mnie językiem, brał w posiadanie powolnymi młsaściami, które odczuwałam przy każdym zakończeniu nerwowym w ciele. Zajmował miejsce pomiędzy moimi nogami, ale nie ruszał dalej, tylko całował, co chwilę muskając moją skórę językiem i niszcząc mnie samym ciężarem ciała.

– Naprawdę? – Niemal zapłakałam, wbijając palce w jego twarde biodra. – Jesteś pewien?

– Jestem – jęknął z rozdrażnieniem. Jego dłoń przewędrowała z moich włosów na biodro, nasze ciała idealnie się do siebie dopasowały, z mojego gardła wyrwał się mimowolny jęk. Zareagował na ten cichy dowód zaskakującej przyjemności niskim warkotem aprobaty. – Ale mogę ci zrobić co innego. – Otarł się ustami o moje niemalże z miłością, po czym odsunął się, żeby sprawdzić moją reakcję. – Jeśli chcesz?

Moje tętno wystrzeliło w kosmos, wypuściłam powietrze z płuc i tylko kiwnęłam głową.

Gdy zbliżył się do moich ust, w jego oczach płonął żar.

– Obiecuję, że będzie ci przyjemnie – szepnęłam pomiędzy pocałunkami. – Tylko jeśli nie będziesz chciała albo będę robił to za szybko, od razu powiedz, wtedy przerwę, okej?

– Nie przerywaj – wykrztusiłam, łapiąc go z całych sił za barki. – Błagam.

– Jeszcze nie zacząłem – zarechotał cicho.

– Nieważne – wydyszałam. – Nigdy nie przerywaj.

Johnny ponownie odchylił się na kolanach i na mnie spojrzał. Ja, dysząc szybko i ciężko, leżałam na plecach, przeładowana adrenaliną i żądzą, i tylko patrzyłam, jak mi się przygląda. Niecierpliwe wyczekiwanie na nieznaną sprawiał, że robiło mi się słabo, chciałam ściągnąć go

z powrotem na siebie, ale się opanowałam, bo wiedziałam, że pomimo rozpaczliwych chęci, tak naprawdę nie miałam pojęcia, co teraz robić.

– Jesteś tak kurewsko piękna – wyszeptał i pokręcił lekko głową. – Jezu.

Powiódł palcem po moim policzku, pochylił się i mnie pocałował. Sunął ręką po mojej szyi, schodził coraz niżej i niżej, aż w końcu musnął kciukiem mój sutek.

– Kocham cię – wyszeptał, a potem ujął moją pierś w dłoń i łagodnie gładził kciukiem przez tkaninę, aż mój sutek boleśnie stwardniał. – W porządku? – zapytał przy moich ustach, nie przestając mnie dotykać.

– Johnny... – Przeszedł mnie potężny dreszcz, wyprężyłam się pod wpływem dotyku Johnny'ego, całowałam go gorączkowo. – Tak bardzo w porządku.

Jego dłoń zjechała znacznie niżej, musnął palcami kość biodrową, a potem położył rękę z przodu moich majtek.

– A teraz? – Połaskotał nosem mój nos, wsunął rękę pod bieliznę i złapał całą ręką *tam*. – Nadal w porządku?

Moje ciało podskoczyło, biodra wierzgnęły, kiwałam głową jak samochodowa kukiełka.

– Nie przestawaj.

Wypuścił powietrze z płuc, wsunął mi język do ust i równocześnie wsunął we mnie palec.

Uważałam, żeby nie jęczeć za głośno i nie zaalarmować jego matki o tym, co wyczyniamy na górze; pozwoliłam nogom się rozsunąć, jakby na powitanie jego dotyku, przywarłam do niego ustami i z całych sił trzymałam się jego szerokich ramion.

– Pragnę cię – burknął mi w usta, pracując palcem, powoli go wsuwając i wysuwając, głęboko, upajająco. – Bardziej niż kogokolwiek. – Całował mnie mocno i wyciągnął ze mnie palec, ale tylko po to, żeby wsunąć z powrotem dwa. – Kurwa, kochanie, jesteś taka mokra. – Trzymałam się coraz mocniej, trzęsłam się i entuzjastycznie wierzgałam biodrami. – I tak kurewsko ciasna... Cholera, nadal w porządku?

– W porządku, Johnny, w porządku – krzyknęłam prawie, przyciągając jego usta z powrotem do moich i podrzucając zachęcająco biodrami. – Przestań już zadawać głupie pytania i rób dalej!

Johnny zarechotał i zagiął palce, robiąc w moim ciele coś zupełnie mi nieznanego, ale jakże *mile widzianego*. Poczułam w kroczu narastające napięcie, po całym moim ciele rozlało się rozżarzone do białości ciepło. Chciałam dogonić to wrażenie, domagały się tego jakieś drzemające we mnie pierwotne podstawowe instynkty.

Ocierałam się o jego rękę, zarzucając biodrami, naprawdę polowałam na to doznanie. Wylądowały na mnie jego wargi, które stłumiły moje jęki, bo poruszał palcami coraz szybciej, brał mnie coraz mocniej, pchał moje ciało w punkt, z którego nie ma już odwrotu.

Bezradna wobec nowych doznań przywarłam do jego ramion, trzymałam się go, ufając mu całą sobą. Gdy jego język wkroczył do moich ust, poruszając się z moim w tym samym rytmie co jego palce tam, w dole, nie mogłam już wytrzymać. Albo inaczej: nie mogłam się już powstrzymać. Cokolwiek to było, poczułam się, jakbym spadała z klifu. Nie potrafiłam tego wyjaśnić, ale moje ciało zwiotczało, a równocześnie podskakiwałam pod nim gwałtownie, targana podrywającymi mnie uderzeniami ekstazy, inaczej nie umiałam tego opisać.

– Jezu! – krzyknęłam, odrywając od niego usta, całe moje ciało gwałtownie podskoczyło. – Co się dzieje... Mój Boże?!

– Ćśś... – szepnęła, całując mnie po szyi. – Po prostu puść to wolno... – Zassał skórę. – Ciesz się tym.

– Uch. – Zacisnęłam powieki i pozwoliłam sobie wchłonąć to, co czułam. – Okej...

– Podoba ci się, Shannon? – wyszeptał mi na ucho, poruszając szybko palcami i przedłużając miażdżącą mnie rozkosz. – Dochodzenie na moich palcach? – Pocałował mnie ponownie, tym razem mocniej. – Bo ja jestem, kurwa, zachwycony.

O mój Boże.

Gdy w końcu przestałam drżeć, Johnny wysunął ze mnie palce i pomyślałam, że od razu ze mnie zejdzie, ale tego nie zrobił. Zamiast tego złapał mnie za biodra, wrócił między moje nogi i uderzał rytmicznie biodrami, sprawiając, że eksplodowały we mnie kolejne fale przyjemnego mrowienia. Czułam nacisk jego erekcji, tak twardej, że aż przerażającej. Tarcie jego dżinsów, gdy miażdżył mnie ciałem, było nie do wytrzymania. Krzyknęłam, wsunęłam palce za pasek jego spodni i przyciągnęłam go bliżej, chciałam rzucić się w sam środek tego chłopaka, cała, ze wszystkim, co miałam, i już nigdy nie wychodzić.

Johnny złapał mnie za ręce, pociągnął je wyżej i unieruchomił na poduszce, ponad moją głowę. Wolną dłoń przesunął na moje udo i nadal się o mnie ocierał, mieliśmy złączone usta, jego język masował mój wręcz dzikimi, nieokiełznanymi, pełnymi żądz pchnięciami. Jęknęłam w jego usta, oplotłam go nogami w pasie, instynktownie dopasowałam ruchy do rytmu jego pchnięć.

Łup, łup, łup...

– Johnny! – za drzwiami rozległ się krzyk pani Kavanagh i kolejne łupnięcie. – Chyba miałeś mieć otwarte drzwi!

Moje powieki rozwarły się maksymalnie, zamarłam z przerażenia.

– O mój Boże.

– Jezu Chryste – jęknął Johnny i dysząc, przerwał pocałunek. Odchrząknął raz i drugi, po czym zawołał: – Oglądamy film, mam!

– Skoro tu już jestem, to możecie mnie wpuścić, żebym was zobaczyła – zawołała.

– Minutka! – Johnny sturlał się ze mnie na brzuch, wypuścił wiązaną przekleństw w kołdrę i wygramolił się z łóżka. – Przepraszam cię za nią... – wymamrotał, przyglądając się, jak schodzę z łóżka i poprawiam ubrania.

– W porządku – wydusiłam, prostując sukienkę i rozczesując rękami kucyk, byłam przerażona. – Nie przejmuj się.

– Hej... Wszystko dobrze? – zapytał z niepokojem. – Shan?

– Po prostu – rozejrzałam się i wzruszyłam bezradnie ramionami – nie wiem, jak się teraz zachować. – Złączyłam dłonie, pokazałam na jego łóżko i westchnęłam: – Wstydzę się.

Johnny uśmiechnął się półgębkiem i podszedł do mnie.

– Było dobrze? – zapytał niskim, zmysłowym głosem, głaszcząc mi włosy i podnosząc mój podbródek palcami. – Podobało ci się... to, co zrobiłem?

Kiwnęłam głową zarumieniona.

– Tak.

– No to nie wstydz się mnie – szepnął, głaszcząc mnie kciukiem po brodzie. – I w ogóle się nie wstydz. Kocham cię, okej?

– Ja ciebie też – wyszeptalam i zakopałam twarz w jego torsie.

– Johnathon, drzwi! – warknęła wściekle pani Kavanagh, dobijając się do nas z korytarza. – Już!

– *No dobra!* – odkrzyknął Johnny. – Jezus Maria, mam, już kończymy!

– Tego się właśnie obawiałam... – burknęła. – Otwieraj.

Rozdział 41

Trzaskanie drzwiami

Johnny

Ano, miałem kłopoty. Dziewczyna siedząca na fotelu pasażera w moim samochodzie niezbitnie tego dowodziła.

Telefon Shannon był rozgrzany do czerwoności. Grzał się od dwudziestu minut. Wiedziałem, że obwinia mnie o jej nieobecność wieczorem w domu, wiedziałem, że nasłucham się grózb, wiedziałem, że gdy tylko skręcę w jej ulicę, czeka mnie milion strasznych rzeczy, ale jakoś się nie martwiłem. Walić zmartwienia, bo byłem, kurwa mać, *zachwycony* sobą.

To była zwykła, szara sobota, a jakimś cudem wieczorem moja dziewczyna leżała pode mną na plecach, a ja wsadzałem w nią palce. Jezu, dźwięki, które wydawała, dochodząc na moich palcach, nie dadzą mi dziś zasnąć.

Nie chciałem jej oddawać, ale nie chciałem też narażać na przesłuchanie mojej matki. Posunąłem się dziś za daleko. Miałem tego świadomość, ale nie potrafiłem wykrzesać z siebie żalu, bo Shannon po prostu... rozwaliła mi mózg. Szczerze mówiąc, byłem już w niej tak głęboko zanurzony, że musiałem utonąć. Mogli mnie równie dobrze przymknąć, bo i tak było po mnie.

Jej kolana podskakiwały nerwowo, patrzyła przez przednią szybę, obserwowała mijające nas ze świstem auta. Chciałem jakoś ją uspokoić, ale nie potrafiłem. Przecież nikt nie zaprosi mnie na herbatkę z ciasteczkami, gdy odprowadzę ją pod drzwi. *Prędzej doczekam się grózb albo kajdanek.*

– Mam nadzieję, że Joey jest w domu – powiedziała, wyrrywając mnie z zadumy.

– Hmm?

– Joey – powtórzyła, strzelając knykciami. – Mam ogromną nadzieję, że jest w domu.

Złapałem ją za rękę, ścisnąłem na pocieszenie. Shannon drżała, i miałem przez to ochotę mordować.

– Będzie – powiedziałem, modląc, żebym się nie pomylił. Shannon, z powodów, których chyba nigdy nie zrozumie, była blisko z Joeyem. W jej głowie uchodził za kogoś równie dobrego jak sam pan Bóg. Nie wypytywałem o to, bo bałem się odpowiedzi. Opowiadała mi trochę o dzieciństwie i czasami byłem przerażony. Nie chciałem słuchać o ich przejściach, bo nie ufałem własnym reakcjom. Bo na pewno pojawiłoby się we mnie najgorsze uczucie na świecie: bezradność. A ja kiepsko radziłem sobie z bezradnością. Na samą myśl, że Shannon była bezradna przez większość życia, ścisnęło mnie w dołku.

Wrzask dotarł do moich uszu, gdy tylko zatrzymałem się przed tym pierdolonym domem strachów i zgasilem silnik. Jezu, czy ich sąsiedzi są nienormalni? Przecież z za murku ogrodu dochodziły odgłosy istnej masakry.

– Eee... – Shannon przełknęła głośno ślinę, założyła włosy za ucho i odpięła pas. – Dzięki za świetny wieczór. – Uśmiechnęła się promiennie i sięgnęła po reklamówkę, którą zabrała ze sobą do samochodu. – Spędziłam z tobą wspaniały czas, Johnny.

– Ej... chwileczkę! – Nachyliłem się i zatrzasnąłem drzwi, które zdążyła już otworzyć. – Nie rób tak.

– Jak?

– Nie udawaj, że oboje jesteście głusi i nie słyszycie, co się dzieje w tym domu.

Shannon skurczyła się w fotelu.

– Nie wiem, co powiedzieć. – Przyłożyła dłoń do czoła. – Dla nas to nic niezwykłego. – Westchnęła ciężko i dodała: – To pewnie przeze mnie. – Zerknęła na dom, a potem na własne kolana. – Przez to, że wyszłam.

Cóż, jebać to.

Rozpiąłem pas, wysiadłem i obszedłem samochód.

– Co ty robisz? – zapytała spanikowana Shannon i od razu wyszła z samochodu, ściskając w drobnych rękach swoją reklamówkę. – Johnny?

– Odprowadzam cię pod drzwi – oświadczyłem, próbując zamaskować wściekłość w głosie. – I dbam o to, żeby nic ci się nie stało.

– Nic mi nie będzie – zapewniła szybko.

– Chcę się upewnić – stwierdziłem, łapiąc ją za rękę. – Więc chodźmy.

Gdy odprowadzałem ją do domu, była kłębkim nerwów. Pod drzwiami już dosłownie się trzęsła.

– Dziękuję, że nie odjechałaś od razu – wydukała cichutko, po czym pchnęła drzwi.

– Do usług – odparłem, ale moją odpowiedź zagłuszył krzyk, który powitał nas w środku.

– Gdzieś ty była, do cholery? – zapytał Darren, wyskakując do nas z kuchni. Gdy mnie zauważył, wyhamował.

Oparłem się o futrynę, skrzyżowałem ręce na piersi i spojrzałem mu w oczy.

Tak, jestem tu, chuju.

– Poszłam do Claire – wyjaśniła, weszła o krok w głąb domu i położyła reklamówkę na podłodze. – Czemu wszyscy krzyczycie?

– Shannon! – wykrztusiła jej matka, wypadając z kuchni. – Dlaczego to zrobiłaś?!

– Co zrobiłam? – odpowiedziała ostrzej niż zazwyczaj. – Wyszłam na spacer i do koleżanki. To legalne, mamo.

Ożyła we mnie duma.

No dalej, kochanie. Pokaż, że nie jesteś ich popychadłem.

– A co on ma wspólnego z tym „spacerem”? – zapytała jej matka, lekko bełkocząc. – I to ubranie?

Uniosłem brew i przyjrzałem się jej dokładniej. Miała zaczerwienione, opuchnięte oczy, chwiała się na boki i mówiła niewyraźnie. *Boże, przecież ta kobieta była naprana.* Zmrużyłem powieki, spojrzałem jeszcze uważniej. *A może naćpana?*

– Jesteś pijana? – Shannon wyraziła na głos moje przypuszczenia.

– Nie – wydusiła jej matka. – Zjadłam tabletki.

Czyli to drugie, stwierdziłem w myślach. *Kobieta fruwa wysoko jak latawiec, a sądząc po tym, jak wygląda – na valium albo innych środkach uspokajających.*

– Gdzie są pani dzieci? – Słowa wyskoczyły z moich ust, zanim zdążyłem je przefiltrować. Trzy pary oczu spojrzały na moją twarz, ale jako że byłem totalnym masochistą, postanowiłem drać dalej. – Tadhg, Ollie i Sean?

– *Moje* dzieci są w łóżkach – syknęła pani Lynch, szlachtując mnie sztyletami spojrzeń. – I Shannon też powinna być w łóżku.

– Shannon nie jest dzieckiem – odparłem, zmusiłem się, by mówić spokojnie, choć miałem ogromną ochotę ryknąć na tę kobietę. Czułem że ona nadaje na innych falach niż my i że da się do niej dotrzeć jedynie krzykiem, ale się opanowałem. – Ma prawie siedemnaście lat. Jest

samodzielna, ma swoich przyjaciół, własny rozum i musi pani przestać ją tłamsić w popierdolonej próbie zadośćuczynienia za to, że nie chroniła jej pani, gdy naprawdę było trzeba.

– Słucham? – wykrztusiła pani Lynch, łapiąc się za serce.

– Słyszała pani – powiedziałem. – Darła się pani tak głośno, że słyszeliśmy panią z ulicy. Ma pani czelność oskarżać o coś Shannon, gdy sama ledwo stoi po pigułkach, a w dodatku na piętrze są trzej mali chłopcy? – Pokręciłem głową. – Wstyd.

– Johnny, hamuj się, kurwa! – syknął na mnie Darren. – Nie masz pojęcia, o czym mówisz.

– Wiem znacznie więcej, niż ci się wydaje – odparłem ostrzej. – Zresztą, ty też z góry mnie osądziłeś, więc nie masz prawa teraz rzucać kamieniami.

– Johnny – wychrypiała cicho Shannon. – W porządku.

– Wynoś się z mojej posesji albo cię zgłoszę za wtargnięcie – ostrzegła mnie matka Shannon, po czym zalała się łzami i uciekła do kuchni. Poczulem ukłucie wyrzutów sumienia, ale na tyle słabe, że nie zamierzałem wycofywać się z własnych słów. Prawda czasami boli.

– Słyszałeś – wycedził lodowato Darren. – I nie wracaj tu, Johnny.

– Darren – wydukała Shannon. – Nie mów tak.

Pokazał się kolejny Lynch, ale ten wyskoczył zza mnie.

– Kav – przywitał się Joey całkiem przyjacielskim tonem, spokojnie idąc zarośniętą ścieżką przez ogród w drelichu mechanika, z usmarowaną twarzą i z plastikowym pojemnikiem na lunch zwisającym luźno z ręki. Przechodząc, klepnął mnie w plecy. – Znowu robisz burdel?

– Jak zwykle – odparłem spokojnie.

– Nie wątpię – mruknął. – Cześć, Shan. – Pokuśtał jej kocykiem, a potem bezceremonialnie przepchnął się przez Darrena. – Wchodzicie czy będziecie tak stali i wypuszczali zimno?

– Mówi się wypuszczali ciepło – mruknąłem.

– Może u ciebie w domu – burknął od razu i zniknął w kuchni.

– Nie wejdzie tu – usłyszałem z kuchni krzyk ich matki. – Każ mu jechać!

– Chryste, musisz się od razu drzeć? – Dobiegł do mnie trzask drzwiczek kuchennej szafki, a po nim znów głos Joeya: – Jestem zmęczony, głodny i dopiero wróciłem z roboty.

– Jedź do domu – powiedział Darren i zamknął mi drzwi przed nosem.

Sekundę później ponownie się otwarły i wysunęła się zza nich głowa Shannon.

– Przepraszam – wyszeptała z bólem w oczach. – Kocham cię...

– Shannon, chodź tu!

– Pa, Johnny.

Drzwi ponownie trzasnęły mi przed nosem.

Rozdział 42

Kryzys zażegnany. Można oddychać

Shannon

– Dlaczego to zrobiliście? – zapytałam wściekle, patrząc na mamę i Darrena. – Tylko odwiózł mnie do domu.

– Spójrz, jak ty wyglądasz – wykrztusiła matka. – Chodzisz tak ubrana.

– W moim wyglądzie nie ma nic złego – odparłam nieustępliwie.

Mama poczerwieniała.

– Wyglądasz jak...

– Dziwka? – zakończyłam za nią. – Dzięki, *tato*.

Mama się wzdrygnęła i schowała twarz w dłoniach.

Przewróciłam oczami, byłam na tyle wściekła, że fontanny tryskające z jej oczu nie robiły na mnie wrażenia.

– Oboje byliście straszni – syknęłam, tym razem skupiając się na Darrenie. – Zatrzasnąłeś mi drzwi przed nosem!

– Winisz mnie? – warknął. – Słyszałaś, jak zwracał się do mamy.

– Mówił prawdę – wycodziłam, mrugając szybko, bo w moich oczach zebrały się zdradzieckie łzy. – I dobrze o tym wiesz!

– I wy się zastanawiacie, dlaczego ta rodzina ma podłą reputację – powiedział spokojnie Joey, gryząc kanapkę z szynką. – Shan ma rację. – Łyknął coli z puszki. – To było w chuj niegrzeczne.

– Nasza rodzina ma złą reputację, bo ty ciągle ładujesz się w kłopoty, więc nie pieprz mi tu – odciął się wściekle Darren. – Wiem, że wczoraj znowu cię zawiesili za bójkę w szkole. Dzwonił do mnie twój dyrektor, Joey. O co poszło tym razem? Jakiś koleś powiedział coś, co nie przypadło ci do gustu, więc od razu dałeś mu w gębę?

Joey wzruszył obojętnie ramionami.

– Coś w tym stylu.

– Jeżeli się nie ogarniesz i nie nauczysz panować nad emocjami, skończysz za kratkami – ostrzegł go Darren. – Wspomnisz moje słowa.

– Myślałem, że rozmawiamy o Kavanaghu – odparł Joey, drapiąc się po brodzie. – Czemu nagle uwziąłeś się na mnie?

– Tu nie chodzi o Johnny’ego – syknęłam, nie odrywając wściekłego spojrzenia od Darrena. – Tylko o to, że próbujesz kontrolować moje życie.

– Wiecie, że on nadal stoi pod domem, nie? – rzucił Joey.

– Tak? – Serce podskoczyło mi w piersi.

– Nie ruszaj się stąd, Shannon – rzucił ostro Darren, po czym wyszedł do przedpokoju i szarpnął za klamkę. Wymamrotał pod nosem kilka przekleństw, zatrzasnął drzwi i wrócił do kuchni. – Dalej tam jest.

– No przecież mówiłem – odparł Joey, biorąc kolejny kęs kanapki. – Idź do niego, Shan – powiedział, żując. – Nie przejmuj się nimi.

– Nawet o tym nie myśl, Shannon – zaskrzeczała mama. – Masz się nie zbliżać do tego chłopaka.

– Jezu Chryste – jęknął Joey, rzucając niedojedzoną kanapkę na blat. – Robicie chuj wie co z niczego. Po prostu dajcie jej wyjść z nim pogadać, niech chłopak sprawdzi, że nic się jej nie stało czy co tam chce, kurwa, zobaczyć, żeby się uspokoić, a potem Shannon wróci. Nikomu nie stanie się krzywda.

– Nie stanie się? – wydusiła mama. – Może się stać wielka krzywda, Joey.

– Zaufaj jej choć odrobinę – syknął Joey ze wstrętem. – Nie jest tobą.

Mama zawyła cierpiętniczo, a Joey przewrócił oczami.

– Inteligencja nie ma tu nic do rzeczy – wycedził Darren. – Tu rolę odgrywają tylko *hormony*.

– Cóż, tak się składa, że akurat mam idealne antidotum na hormony. – Joey wsunął rękę do kieszeni i wyjął portfel. Otworzył go, wyciągnął ze środka prezerwatywę i pomachał nią. – Wiem, że ty nigdy nie widziałaś czegoś takiego na oczy – zwrócił się z przekąsem do matki. – I wątpię, czy te dzieciaki widziały, mimo że chodzą, kurwa, za ręce, ale na wszelki wypadek... Masz, Shannon, jak będziesz rozwijała, to trzymaj za czubek. – Rzucił mi prezerwatywę i puścił oko. – No! – Sięgnął po kanapkę i wziął wielkiego gryza. – Kryzys zażegnany. Można oddychać.

– Joey, co ty, kurwa, wyprawiasz?! – warknął Darren, wrywając mi prezerwatywę i chowając ją do kieszeni. – Ona ma szesnaście lat.

– Mam świadomość tego faktu – przytaknął Joey i napił się coli.

– Jest dla niej za stary – zawyła mama.

– Wcale nie – fuknął na nią Joey. – Ma siedemnaście lat, nie siedemdziesiąt. Wyluzuj się.

– I tak jest za stary, do cholery – odcięła się, cała roztrzęsiona.

– Cóż, to twoje zdanie – sprzeciwił się Joey.

– To po prostu prawda – wykrztusiła. – A ty nie powinienes jej zachęcać.

– Posłuchaj – warknął Joey, wycierając masło z palców w drelich. – Wiem, że wy dwoje jesteście nowi w tej branży, ale dam wam radę odnośnie do rodzicielstwa: albo przełkniecie własną dumę i dacie jej być, kim jest, albo w końcu wybuchnie wam to prosto w gęby. Myślę, że chyba jest już oczywiste, że chłopak nie odpuści, więc możecie się z tym pogodzić. – Wzruszył ramionami i dodał: – Shannon ma chłopaka. Wielkie mi halo. Nie jest już dzieckiem, więc przydałoby się, żebyście w końcu przestali ją tak traktować.

– Niedorzeczne.

– Niedorzeczne jest to, że podpisujesz się pod zjebanym procesem myślowym tej kobiety i że po wszystkim, co tu się działo, próbujesz trzymać Shannon w tym domu – odciął się Joey. – Jeżeli będziesz robił tak dalej, rozdzielał ich na siłę, to Kavanaugh nie wytrzyma. A jeśli sprowokujesz tego gnojka, to chętnie pójdzie z tobą na wojnę. – Joey zwrócił się do mamy i dodał: – A na twoim miejscu przestałbym rzucać na lewo i prawo groźbami, bo jeżeli jego tatuś postanowi dopaść cię za oszczerstwa, to będziesz miała w cholerę więcej do stracenia, nie wspominając o tym, ile trupów chowasz w szafie.

Mama ukryła twarz w dłoniach, a Darren stał do mnie tyłem. Natomiast Joey siedział przodem i gdy zauważył, że przesuwam się w stronę wyjścia z kuchni, uśmiechnął się półgębkiem i puścił do mnie oko.

– Co ty... – urwał Darren, odwrócił się gwałtownie i przyłapał mnie na gorącym uczynku. – Nawet o tym nie myśl – ostrzegł.

Ale ja biegłam już przez przedpokój i szarpnęłam za kłamkę.

– Shannon, ja nie żartuję...

Nie dosłyszałam końcówki, bo się nie zatrzymałam. Wypadłam na zewnątrz i gdy zauważyłam Johnny'ego opartego o samochód i mierzącego mój dom naburmuszonym wzrokiem, jakby budynek osobiście go obraził, rzuciłam się biegiem. Spojrzał mi w oczy i jego twarz rozluźniła się w uldze.

– Wszystko dobrze?

Biegłam boso przez ogród, kiwając głową, skręciłam na ścieżkę z pełną szybkością i zatrzymałam się dopiero w jego objęciach.

– Nie pojechałeś – wydyszałam, podnosząc na niego wzrok. – Nie wróciłeś do domu.

– Nie mogłem – odparł zduszonym głosem. Złapał mnie za biodra i przyciągnął bliżej. – Musiałem się upewnić, że jesteś bezpieczna.

Serce pękło mi w piersi, miałam wrażenie, że tonę w uczuciach.

– Jestem.

– Na pewno? Bo chyba będziesz musiała mi obiecać – powiedział bezbrinnie.

O Boże.

Wsunęłam rękę w jego włosy i przyciągnęłam niżej jego twarz.

– Czy zadowolili cię pocałunek na dobranoc?

– Tylko jeśli obiecasz, że rano nadal tu będziesz – odrzekł, ocierając się wargami o moje usta.

– To jak, obiecujesz?

– Będę – westchnęłam poruszona.

– Gdybyś mnie potrzebowała, zadzwoń – wyszeptał, zakładając mi włosy za ucho i ujmując mój policzek. – Nieważne o której. Po prostu dzwoń, a ja przyjadę, okej?

Wtuliłam się w jego dłoń, nie mogłam się powstrzymać.

– Okej.

– Zadzwonię jutro – powiedział szorstko, głaszcząc mnie kciukiem po policzku. – A w poniedziałek przyjadę po ciebie przed szkołą.

– Nie, nie, nie, nie musisz tego dla mnie robić – sprzeciwiłam się od razu. – Mogę jechać autobu...

– Ale ja chcę po ciebie przyjechać – wszedł mi w słowo. – O ile ty chcesz?

Kiwnęłam nieśmiało głową.

– Chcę ciebie. – *Nie, Shannon, „chcę żebyś”.* – Chcę żebyś – wychrypiałam – to znaczy chcę, żebyś po mnie przyjechał.

– Ja ciebie też, Shannon – parsknął. – Chcę ciebie w każdym rozumieniu tych słów.

Moje ciało zrobiło się ciepłe i tkliwe.

– Ja, uch, ja...

Johnny nie czekał na odpowiedź, tylko przywarł do mnie ustami. Tym razem mocniej. Głębiej.

Trzymałam się jego rąk i rewanzowałam mu się pocałunkiem, z całych sił rozpaczliwie próbowałam pokazać, jak wiele dla mnie znaczy.

– Jeżeli to jest dla ciebie chodzenie za rękę, to nie chcę wiedzieć, jak wyglądają inne rzeczy. – Głos Darrena dobiegł gdzieś z niedaleka.

– Może jednak wyszli już poza chodzenie za rękę – odpowiedział mu z namysłem Joey. – Nie mogę mieć zawsze racji.

Rozdział 43

Lepiej dmuchać na zimne

Johnny

– Jak to mi *nie powiesz?* – oburzył się Gibsie, aż piłka wypadła mu z ręki. Był niedzielny wieczór, pojechaliśmy na boisko trochę porzucać. Cóż, *ja* chciałem porzucać. Gibs odgrywał zasranego inspektora Gadżeta i próbował wysepić od mnie informacje na temat wieczoru z Shannon.

– Tak jak powiedziałem. – Ignorując palenie poniżej pasa, wyciągnąłem ręce i podskoczyłem, żeby złapać jego kiepski rzut. – Nic ci, kurwa, nie powiem.

– Możemy o tym rozmawiać – zawołał, łapiąc mój rzut. – Masz prawo opowiedzieć najlepszemu przyjacielowi.

– Nie będę o niej rozmawiał.

– Duszenie w sobie takich spraw jest niezdrowe.

– Co ci mam niby powiedzieć? – warknąłem, celując w niego piłką.

– Chcę, żebyś – urwał, bo złapał piłkę z głośnym „ufff”, po czym cisnął nią w ziemię – mi powiedział, do czego się posunąłeś w swoim pokoju. – Poruszył obłeśnie brwiami. – Gdy już zaciągnąłeś tam małą Shannon.

– Jezus Maria. – Straciłem resztkę nadziei na normalną rozmowę, porwałem z murawy butelkę wody i ruszyłem w stronę parkingu. – Kończę na dziś.

– Już?

– Jestem zmęczony.

– Bo świntuszyłeś z dziewczyną do późna? – drażnił się, doganiając mnie. – No tak, to potrafi człowieka wypompować – powiedział, popychając mnie barkiem. – To co, pogadamy? Pełna penetracja czy tylko ostre macanko? A może *ślizgu-ślizgu*? Albo stare, dobre szuru-buru? Słynne „jeszcze tylko troszkę”? Albo „tego dziś nie róbmy, a może jednak”? – Jego oczy zapłonęły z radości. – Jasna cholera, jechałeś bez gumy?!

– O czym ty gadasz?

– O seksie – odparł po prostu.

– Nie uprawialiśmy seksu – wymamrotałem, wyciągając kluczyki z kieszeni. – To nie tak.

– *Nie tak?* – rzucił z niedowierzaniem. – Jak już na mnie szczysz, to nie wmawiaj mi, że pada.

– Gibs – warknąłem zdenerwowany. – To nie tak. Nie robimy tego. – Otworzyłem centralny zamek i ruszyłem do drzwi. – Jest za wcześnie.

– Shannon tak powiedziała?

– Ja tak powiedziałem – burknąłem, otwierając szeroko drzwi i wsiadając za kółko. – Ja, Gibs. *Ja mówię, że to za wcześnie.*

– Ale kusilo cię, co nie? – zapytał, sadzając tyłek na fotelu pasażera. – Aż taki święty nie jesteś. Miałem ochotę włączyć radio, żeby go zagłuszyć. Powinienem. Ale zamiast radia usłyszałem własny głos.

– Chciałem. Bardzo – dodałem, ciężko wzdychając.

– Ale?

– Ale ona nie jest jeszcze gotowa – wydusiłem wściekły, że jednak z nim o tym rozmawiam. – I ja też nie, *do cholery*.

– Stary, uprawiałeś już seks – odparł zdziwiony. – Wiem, że minęło trochę czasu, ale to nie tak, że po operacji odrodziłeś się jako prawiczek.

– Z nią jest inaczej.

– Jak?

– Uczucia, Gibs – wycodziłem. – W chuj, kurwa, silne uczucia.

– Fuj. – Wstrząsnęło nim. – Brzmi koszmarnie.

– Z nią chodzi o coś więcej – wyjaśniłem, a kolano podskakiwało mi nerwowo. Bębniłem palcami w kierownicę i myślałem o tym, co chcę powiedzieć, jak ująć to taktownie, ale w końcu dałem za wygraną i po prostu to z siebie wyrzuciłem. – Tracę kontrolę nad własnym życiem. Wkroczyła do niego i wszystko poprzewracała. Dosłownie pełzam po glebie, próbując to wszystko pozbić i sklecić jakiś nowy plan. Nie potrafię sobie z nią radzić, boję się, że docisnę ją za mocno, za szybko i wszystko spierdołę. Wydaje mi się, że ona myśli, że ja jej nie chcę w *tym znaczeniu*, co jest jebanym wariactwem, bo... sam wiesz, jak ona wygląda. Jezu, kto by nie chciał? Ale na tym polega problem. Mnie zależy na czymś więcej. Chcę ją przy sobie *zatrzymać*. A jeśli zrobię jej krzywdę? Gibs, ona jest taka mała. I ma tylko szesnaście lat. I jej matka mi grozi. Mam wrażenie, że jeden fałszywy krok i będzie po wszystkim, a ja tak kurewsko się boję, że to zjebię, Gibs. Nie chcę tego rozwalić. Ledwie przy niej oddycham. Wszystko zasnuwa mi mgła, a te *uczucia*... Pierdolone uczucia *mnie zalewają!* – Odetchnąłem, poczuwszy, że zrzuciłem ciężar z piersi. – Mam totalnie przejebane, prawda?

– Tak myślę – przyznał.

– No – westchnąłem. – Ja też tak myślę.

– Twój umysł to straszne miejsce – stwierdził z zadumą, drapiąc się po brodzie. – Musisz się tak nad wszystkim doktoryzować? – Przechylił głowę w bok i przyglądał mi się jakoś dziwnie. – Na serio, nie możesz wyłączyć tej swojej wielkiej gąbczastej mózgownicy i po prostu wyluzować?

– Nie. – Wzruszyłem bezradnie ramionami. – Taki już jestem.

– W takim razie – postukał się po skroni – prostacki umysł to ogromny atut.

– Ty jesteś prostakiem – burknąłem. – Ja też, bo cię słucham.

– Masz dalej te kondomy? – zapytał.

– Słuchałeś, co do ciebie mówiłem? – Spiorunowałem go wzrokiem.

– Słuchałem – odpowiedział spokojnie. – A teraz odpowiedz.

– Nie – przyznałem i przygarbiłem się przybity. – Spanikowałem, gdy wysypały się na Shannon na łóżku Claire, i wywaliłem je do kosza.

– Cóż za marnotrawstwo – zaskomlał i przygryzł pięść. – Ech... No dobra, to musisz się udać do apteki. I to raz, dwa.

Spojrzałem na niego z niedowierzaniem.

– Przecież właśnie ci powiedziałem...

– Wiem, co powiedziałaś – wszedł mi w słowo i machnął na mnie ręką. – A ja ci mówię, że droga do ojcostwa jest wybrukowana dobrymi chęciami.

– Chodzi o drogę do piekła, Gibs.

– Wziąwszy pod uwagę, że cipki stanowią jedną z głównych przyczyn przyjęć mężczyzn do piekła, oceniłbym, że oba powiedzenia są w punkt, kolego.

– Co?

– Po prostu kup paczkę gum. Schowaj jedną do portfela. Będzie tam spokojnie czekała, nie musisz jej używać.

– Nie chcę się kusić.

– I *właśnie to* jest twój podstawowy błąd – powiedział. – To nie prezerwatywa w portfelu będzie cię wodziła na pokuszenie. To naga, rozwalona pod tobą dziewczyna. – Poruszał brwiami na ten swój sposób i drwiąco dodał: – Ta, która zalewa cię tymi wszystkimi *uczuciami*.

Boże, on gadał z sensem.

Jak to w ogóle możliwe?

– Lepiej dmuchać na zimne, stary – dodał i wzruszył ramionami.

– Masz rację – wydusiłem z trudem.

– Wiem o tym – powiedział i puścił do mnie oko.

– Odsuniesz się w końcu, Gibs?! – fuknąłem cały napięty z nerwów, stojąc przed półką z prezerwatywami w aptece. Wisiał nade mną i co chwilę szturczał mnie podbródkiem w ramię. – Dyszysz mi w kark.

– Dlaczego oni to robią? – zapytał niewzruszony. Wepchnął się przede mnie i wziął z półki różowe pudełko. – Dlaczego ustawiają testy ciężowe obok gum?

– Nie mam pojęcia. – Wzruszyłem ramionami. – Ale wszędzie tak robią.

– Cóż, nie jest to chyba dowód szczególnej wiary we własny produkt? – kontynuował, wymachując testem. – Jakby mówili: „Hej, owiń sobie w to kutasa, kup nawilżacz, co tam, a dla lepszej zabawy dorzuc jeszcze nakładkę wibracyjną na fiuta i życzymy wesołego ruchanka, ale na wszelki wypadek, gdyby to wszystko zawiodło, wiesz, dokąd się udać, żeby sprawdzić, czy twoje życie dobiegło już końca”. – Przewrócił oczami. – Uważam, że to fatalny marketing.

– To żaden marketing, stary – wymamrotałem. – To wygodne rozwiązanie.

– O, proszę, na tym nie koniec – burknął, porywając z górnej półki pudełko patyczków do sprawdzania owulacji. – Czy my tu zapobiegamy poczęciu, potwierdzamy poczęcie czy planujemy poczęcie? – Aż podniósł głos w oburzeniu. – No, pytam się. A może wszystko naraz?! Johnny, o chuj tu chodzi?

– *My* zapobiegamy – warknąłem, zawijając z półki dwunastopak superbezpiecznych prezerwatyw. – Reszta tego szajsu jest dla innych, więc odłóż te patyczki i chodź, debilu!

– Powinienem zgłosić propozycję właścicielom – fuknąłem. – Żeby nie traumatyzowali męskich klientów.

– Zgłoś, Gibs – stwierdziłem cierpko, trzymając w ręce paczkę kondomów. W drodze do kasy musiałem obejść kobietę, której wokół nóg roiała się zgraja dzieci. – Na pewno posłuchają.

– Mam nadzieję – mruknął Gibsie zza moich pleców.

– Dzień dobry, Johnathonie – powiedziała mijana przez nas kobieta. – Dzień dobry, Gerardzie. Odwróciłem się i gdy ją rozpoznałem, jęknąłem w duchu.

Jezu Chryste, dlaczego ja?

– Jak się pani miewa? – odparłem, dyskretnie chowając za plecy paczkę prezerwatyw.

– O, dzień dobry, pani Moore – mruknął Gibsie tonem, którym zazwyczaj flirtował, przez co musiałem stłumić dreszcz wstrętu. *Miał pierdoloną słabość do starszych kobiet*. – Jak zwykle wygląda pani cudownie.

– Cóż, dziękuję ci, Gerardzie – odparła nasza pani pedagog. – Miło was spotkać, chłopcy, w niedzielny wieczór w aptecę. – Uśmiechnęła się do nas. – Pomyślałabym, że o tej porze prędzej można by was zastać na boisku grających w piłkę.

– W rugby – poprawiłem ją spokojnie. – I rzeczywiście wracamy z boiska. Musieliśmy tylko...

– Szukamy kondomów – wypalił Gibsie ku mojemu przerażeniu. Następnie podszedł do niej o krok i wskazał na jej pięćoro dzieci. – Pani mąż ewidentnie nie kupował ich zbyt często.

– *Sтары!* – syknąłem przerażony. – Przepraszam za niego, proszę pani – rzuciłem pośpiesznie, dosłownie czując, jak się rumienię. – Ma niewyparzoną głębę.

– Zdaję sobie z tego sprawę – odparła, na szczęście z uśmiechem. – Cóż, wracajcie do swoich spraw, do zobaczenia jutro w szkole.

– Tak, do zobaczenia w szkole. – Skrzywiłem się, złapałem Gibsa za kark i uważając, żeby nie nadepnąć jednej z identycznych rudowłosych dziewczynek, pociągnąłem go w stronę kasy, sycząc mu na ucho: – Chodź, zjebie, zanim powiesz coś jeszcze gorszego.

– Aha, chłopcy? – zawołała za nami pani Moore.

– Tak?

– Gdybyście potrzebowali rozmowy o... – Zmarszczyła brwi i wskazała na testy ciążowe, które Gibs z jakiegoś powodu dalej ścisnął w dłoni. – Moje drzwi zawsze stoją otworem.

– Eee, okej, dziękujemy. – Zaśmiałem się nerwowo i wbiłem Gibsowi łokieć w żebra. – Nie trzeba.

– Stary, co jest, kurwa? – zaskamlał Gibsie, masując się po żebrach.

– Odłóż to – syknąłem do niego, cały czas uśmiechając się do naszej nauczycielki, jakbym był niespełna rozumu.

– Och, żaden z nas nie jest w ciąży – parsknął Gibs, gdy w końcu zorientował się w sytuacji. Wzruszył nonszalancko ramionami i wrzucił testy do stojącego obok koszyka z darmowymi próbkami kosmetyków. – O cholera, przepraszam... – Wykopał je z powrotem i wysunął w stronę naszej nauczycielki. – Potrzebuje pani?

Uch.

– Jezus Maria. – Potarłem brodę ręką, odwróciłem się na pięcie i poszedłem. Ustawiłem się w kolejce do kasy, mając tylko jeden cel. Zapłacić i oddalić się od tego wariata na maksymalną odległość.

– Dobry wieczór – zaświergotała farmaceutka w średnim wieku, gdy położyłem prezerwatywy na ladzie.

– No... – mruknąłem skrzywiony, bo słyszałem, jak kilka metrów za mną coraz bardziej nakręcony Gibsie tłumaczy coś pani Moore. – Mogę prosić torbę?

– Na pewno jej pan potrzebuje? – zapytała, nabijając gumy na kasę. – Kosztuje dodatkowo piętnaście centów.

– Zapłacę – burknąłem. – Proszę torbę.

– Robi się – odparła, wręczając mi plastikową torebkę. – Wychodzi trzynaście euro i czternaście centów.

– Dziękuję. – Wydobyłem portfel, podałem jej dwie dychy i zgarnąłem z lady pudełko.

– Co się stało? – zapytała po mniej więcej półtorej minuty mojej walki.

– Nic.

Nie umiałem otworzyć plastikowej torebki.

Ja pierdolę!

Miałem spocone, kurwa, złane potem dłonie, co było kompletnie niedorzeczne, bo przecież kupowałem już prezerwatywy, wiele razy. Jasne, od ostatniego razu minęło sporo czasu, ale mimo to...

Sześć cholernie długich miesięcy.

Jezu, liczyłem, że przy tym wszystkim nie będę się znowu czuł jak nowicjusz.

Traciłem wprawę?

Nie byłem w stanie otworzyć zasranej torebki.

Kurwa mać!

Teraz ze wszystkim już tak będzie?

– Pomóc z tym panu? – zapytała kobieta trzeci raz.

– Poradzę sobie sam, proszę pani – warknąłem sfrustrowany, czym najpewniej wystraszyłem Boga ducha winną farmaceutkę. – Dam radę – powtórzyłem spokojniej. – Po prostu wyszedłem z wprawy.

– Z wprawy w... *robieniu zakupów*? – zapytała zdziwiona.

– W wielu pieprzonych kwestiach – burknąłem pod nosem, ale w końcu mi się udało. – Widzi pani! – Wyszczерzyłem się triumfalnie, unosząc paczkę gum w jednej ręce i zdradziecką torebkę w drugiej. – *Potrafię!*

– Tak, dał pan radę – przyznała, unosząc oba kciuki i uśmiechając się zachęcająco.

Jezu...

Rozdział 44

Pyskowanie i wyciskanie Shannon

W świecie, w którym wszystko zmienia się z prędkością światła, zawsze mogłam liczyć na jedną stałą, jawną antypatię Lizzie do Gibbsiego i odwrotnie. Wróciliśmy do szkoły dwa tygodnie temu i od tego czasu niemal codziennie obrzucali się na przerwie obiadowej zjadliwymi docinkami. Niektóre były naprawdę okrutne. Inne zabawne. Zdarzały się też po prostu wstrętne.

Nie potrafiłam zrozumieć, na czym polega ta niechęć, ale choć Lizzie była jedną z moich najbliższych przyjaciółek, musiałam przyznać, że była prowodyrką tych wszystkich spięć. Znajdowała problem we wszystkim, co robił Gerard. Albo zbyt chrapliwie oddychał, albo zbyt głośno przeżuwał, albo za głośno mówił przy stole. Nieważne, co robił lub czego nie robił, Lizzie zawsze to przeszkadzało.

Na czwartkowej przerwie bulgoczące między nimi napięcie osiągnęło punkt wrzenia i zaczęłam się poważnie zastanawiać, czy nie lepiej przemyśleć naszego usadzenia i po prostu nie wrócić do dawnego stolika. Przynajmniej by się ich rozdzieliło. Jedyne, co trzymało mnie przy stole rugbystów, to chłopak, który właśnie trzymał rękę na moim ramieniu.

Nie mogłam patrzeć na niego za często, bo szkodziło mi to na serce. Starałam się po prostu oddychać i zachowywać normalnie, skupiać się na innych rzeczach, bo wiedziałam, że jeśli zacznę za dużo myśleć o tym, jak przyjemnie mieć tuż przy sobie jego wielkie ciało, jak przechodzą mnie ciarki, gdy nachyla się, żeby szepnąć mi coś na ucho, jak bezwiednie głaska mnie kciukiem po rękę, jak wybucha śmiechem, żartując z kolegami, to stanę w płomieniach.

Ojciec Johnny'ego wrócił do Dublina, a matka do niego pojechała. Mieli wrócić dopiero późnym wieczorem, więc Johnny zaprosił mnie do siebie po szkole. Chciałam pójść, chciałam tego bardziej niż czegokolwiek, ale na myśl o burzy, jaka będzie mnie czekała, gdy wieczorem wrócę do domu, zamieniałam się w kłębek nerwów. Już wściekali się o to, że Johnny podwozi mnie do szkoły i odwozi, więc gdybym wróciła za późno, wpadłabym w sam środek zażartej bitwy podgrzewanej tym, że ojciec lada dzień miał wyjść z Brickley House. Próbowalam za dużo o nim nie myśleć, bo wiedziałam, że wywołuje to u mnie ataki paniki. Skupiałam się więc na pozytywach mojego życia. Na przyjaciółkach, braciach i przede wszystkim na Johnnym. Niemniej ani gniew matki, ani strach przed ojcem nie mogły mnie powstrzymać przed pójściem dziś do Johnny'ego. Szczerze mówiąc, chyba nic by mnie nie powstrzymało. Desperacko pragnęłam spędzić z nim trochę czasu na osobności. Czułam się przy nim bezpiecznie, czułam się chciana i chwytałam się tego poczucia jak tonący brzytwy.

– Na serio jesteś aż tak głupi? – Opryskliwy pisk Lizzie wyrwał mnie z zamyślenia i prawie wyskoczyłam ze skóry.

– Wszystko dobrze? – zapytał Johnny.

– Tak – bąknęłam, powstrzymując chęć złapania się za serce. – Po prostu mnie zaskoczyła.

– Ignoruj ich – szepnął, wracając do głaskania mnie kciukiem po ramieniu.

– Ty tak na serio?! – syczała Lizzie na siedzącego naprzeciwko mnie Gibbsiego, dźgając go sztyletami spojrzeń. – Czy to twój kolejny kretyński żart?

- Wyluzuj się – fuknął Gibsie, krzyżując ramiona na piersi. – Zadałem tylko pytanie.
- Cóż, zadawaj dobre pytania – odparowała i włożyła do ust cały widelec sałatki. – A nie debilne, przez które wychodzisz na jeszcze debilniejszego, niż jesteś.
- „Debilniejszy”, nie ma takiego słowa – burknął Gibsie i od razu spojrzął na Johnny’ego, szukając wsparcia. – Co nie, kapitanie?
- To przymiotnik w stopniu wyższym, stary – odparł Johnny, wiercąc się niezręcznie. Gibsie spojrzął na niego pytająco, więc Johnny westchnął i dodał: – Jest takie słowo.
- Jakim cudem *debilniejszy* to niby słowo?! – zapytał ze złością. – Brzmi debilnie!
- Ja tego nie ustalam. – Johnny wzruszył ramionami.
- Może umieścili to słowo w słowniku, żeby było cię jak opisać – powiedziała cierpko Lizzie. – Na przykład: Gerard Gibson jest debilniejszy od każdej osoby, jaką w życiu poznałam.
- Dość tego... – Gibsie odsunął krzesło i zerwał się na równe nogi. – Dzwonię w twojej sprawie do ojca McCarthy’ego. Potrzebujesz egzorcyzmu i łaski Chrystusa.
- A ty potrzebujesz zakładu zamkniętego – odburknęła. – Imbecyłu.
- Świat nie jest twoim workiem treningowym! – ryknął wściekle Gibsie. – Nie wiem, kto ci powiedział, że możesz się na wszystkich wyżywać, ale dał ci fatalną radę.
- Gerard... – Siedząca obok Claire próbowała coś wtrącić, ale jej nie pozwolił.
- Nie, Claire, mam jej dość – krzyknął, podnosząc plecak. – Jesteś wredna, Lizzie Young, i zdumiewa mnie, że udało ci się omotać dwie tak porządne dziewczyny i się z nimi zaprzyjaźnić.
- Zdumiewa cię? – powtórzyła Lizzie sarkastycznie. – Nieźle, trudne słowo, Gibs. Dasz radę je przeliterować?
- Wiesz co? – Gibs rzucił plecak na ramię i spojrzął na nią z czystym obrzydzeniem. – Pierdol się, Lizzie – rzucił, po czym cały czerwony ze złości wyszedł wściekle ze stołówki.
- Jesteś z siebie zadowolona? – zapytał ją ostro Johnny. – Przyjemnie ci się zrobiło? Bo go poniżyłaś?
- Jest już dużym chłopcem – odfuknęła Lizzie. – Da sobie radę.
- Jest dyslektykiem! – warknął Johnny. – A ty właśnie zmieszałaś go z błotem przed całą szkołą.
- W oczach Lizzie błysnęło zaskoczenie, lekko się zarumieniła.
- Nie wiedziałam o tym.
- No to już wiesz! – Johnny dał mi szybkiego całusa w policzek, odsunął krzesło i rzucił: – Na razie, Shan. – A potem ruszył za przyjacielem.
- Musiałaś mu to robić? – syknęła Claire. – To było okrutne.
- On też mnie tak traktuje – broniła się wciąż zarumieniona Lizzie. – I nie wiedziałam, że jest dyslektykiem.
- To nie powinno mieć żadnego znaczenia – warknęła Claire. – Do nikogo nie można się tak zwracać. – Wstała z krzesła i dodała: – I nie wiesz o nim wielu rzeczy, więc nie osądzaj go tak pochopnie!
- Nie wiedziałam... – wymamrotała Lizzie do mnie, gdy Claire też wyszła.
- Wierzę ci – odparłam zgodnie z prawdą. – Ale...
- Ale?
- Wiem, że za sobą nie przepadacie, i okej, ale... ale może lepiej po prostu się unikać, poza tym nie musicie być wobec siebie aż tacy niemili – wyrzuciłam z siebie szczerze. – Myślę, że naprawdę go zraniłaś.
- Cóż, nie bardziej, niż on rani innych – syknęła i jako czwarta wstała od stołu.

– No, szybko poszło – stwierdził stoicko Hughie.

Westchnęłam ciężko.

– Można tak powiedzieć. – Odsunęłam krzesło, wzięłam plecak i wstałam. – Na razie, chłopaki.

– Pa, pa, Shan – odpowiedzieli chórem, a ja już odchodziłam pośpiesznie od stolika, bo bez Claire, Lizzie czy Johnny’ego wstydziłam się z nimi siedzieć.

Założyłam plecak na oba ramiona, złapałam mocno jego paski i manewrując po zatłoczonych korytarzach, udałam się do łazienki, ale już po chwili stanęłam jak wryta, bo pod jej drzwiami stała Bella.

– Szmata – syknęła, mrużąc na mnie oczy.

Odskoczyłam przed grupą chłopaków i czym prędzej ruszyłam dalej, szukając kryjówki w świetlicy trzecich klas. Wślizgnęłam się do środka i odetchnęłam z ulgą, bo w środku nikogo nie było. Rzuciłam plecak na podłogę obok stolika, poszłam do aneksu kuchennego i włączyłam czajnik. Nagle z fotela rozległ się głośno szloch, odwróciłam się i jakby mnie raził piorun.

– Lizzie? – Uniosłam brwi zaskoczona, zauważywszy jej skuloną na fotelu postać. Zapomniałam o czajniku i podeszłam do niej. – Wszystko dobrze?

– Tak – wyszeptwała, wycierając policzki wierzchem ręki.

Ewidentnie nie.

Usiadłam naprzeciwko niej, oparłam łokcie na kolanach i lekko się do niej uśmiechnęłam.

– Chcesz porozmawiać?

– Nie – odparła, kręcąc głową.

– Ja... – zawahałam się, wyciągnęłam rękę i złapałam jej dłoń. – Na pewno?

– Nic mi nie będzie, Shan – wydusiła, spuszczaając głowę, żebym nie widziała jej łez. – Naprawdę, nic mi nie będzie.

– Wiem o tym – stwierdziłam i ścisnęłam jej rękę. – Ale jeśli teraz ci źle, to nic.

– Po prostu przez cały czas jestem taka wściekła – wyznała, nie podnosząc głowy. – To nigdy nie mija.

Wolałam nie naciskać i nie zmuszać jej, by powiedziała więcej, niż sama chce, więc milczałam i tylko ścisnęłam jej dłoń. Wiedziałam, dlaczego jest zła na cały świat, i nie winiłam jej. W końcu zdobyłam się na odwagę i zapytałam:

– Zbliża się, prawda? Rocznicą twojej siostry?

Lizzie wyrwała rękę, opadła ciężko na oparcie i kiwnęła sztywno głową.

– Pod koniec miesiąca.

– Musi ci być ciężko – westchnęłam.

– Nie ma sprawiedliwości na tym świecie – wycedziła.

– To prawda – zgodziłam się smutno. – Nie ma.

– Shannon, nienawidzę tej szkoły, kurwa – wysyczała. – Nienawidzę drużyny i wszystkiego, co sobą reprezentuje.

Ścisnęło mnie w dołku.

– Gibsie ci o nim przypomina?

Wzdrygnęła się.

– Nic na to nie poradzę. Wystarczy, że spojrzę na Gibsa i widzę *jego*.

– Ale wiesz, że to nieprawda. Gibsie to nie Mark – powiedziałam cicho.

– Nieważne, Shan – rzuciła zmęczonym tonem. – Nie chce mi się o tym gadać.

– Okej. – Złączyłam dłonie, przyjrzałam się jej zaciętej twarzy. – A między tobą i Pierce’em przynajmniej w porządku?

– Nie – wydukała i jej oczy znów zaszyły łzami. – Jeden wielki burdel.
– Czemu?
– Bo nie potrafię *tego* odpuścić – załkała. – Nie widzę nic poza tym, nie umiem zapomnieć. Stoję w miejscu i ciągle go *odtrącam*. – Warknęła zła na samą siebie, wytarła policzki i gwałtownie wstała. – Ale to nieważne. Jak chce, może spierdalać. Nie będę trzymała go na siłę. Jeśli chce to skończyć, nie ma sprawy.
– Lizzie...
– Nie chcę więcej o tym mówić – wcięła się od razu. – *Nie mogę*.
– Okej. – Wstałam i uśmiechnęłam się promiennie. – To nie będziemy.
– Dziękuję – odpowiedziała z ulgą.

– O której wrócą twoi rodzice? – westchnęłam z trudem.
– Późno – wymamrotał Johnny, a ja patrzyłam, jak po jego brwi spływa strużka potu. – Jedziemy jeszcze raz?
– Dobra – zgodziłam się na bezdechu. – Na pewno to w porządku, że tu jestem?
– Na sto procent. – Przesunął się pode mną, jego ręce przyjęły odpowiednią pozycję. – Wygodnie ci?
– Wygodnie – odparłam drżąc.
– Dobra, prosto jak struna, nie pochylaj się – poinstruował.
– Nie pochylę się – odpowiedziałam i zachichotałam bo musnął palcami wyjątkowo wrażliwe na łaskotki miejsce na moim udzie.
– Daj spokój, kochanie – stęknął spode mnie bez tchu, obejmując mnie rękami ciasno jak imadłem.
Dosłyszałam rozbawienie w jego głosie, ale wiedziałam, że traktuje to poważnie, więc nie chciałam żartować.
– Przepraszam, przepraszam – mówiłam, tłumiąc śmiech. Wzięłam otrzeźwiający wdech, unieruchomiłam ciało i powiedziałam: – No dobra, mięśniaku, jedziesz.
– Raz, dwa, trzy... – urwał i nagle podniósł mnie, przytrzymał chwilę i opuścił z powrotem. Powtarzał ten ruch wiele razy, jakby bez wysiłku.
– Wszystko okej? – zapytał ochryple jednak odrobinę zdyszany, nadal podnosząc mnie i opuszczając.
– Jasne – zapewniłam go, trzymając się sztywno.
– Teraz trochę przyspieszę – ostrzegł, wzmacniając uchwyt. – Powiedz, gdy będziesz miała dość.
– Wytrzymam – obiecałam, choć czułam lekkie zawroty głowy.
– Co to ma być, kurwa? – Głos Gibsiego zagłuszył sapnięcie i ciężki oddech Johnny’ego. Zaskoczona obejrzałam się na niego, stał kilka metrów od nas i szczyrzył zęby.
– Mógłbyś być cicho? – burknął Johnny, nie wychodząc z rytmu. – Jesteśmy zajęci.
– Słyszałem o koleśkach, którzy wyciskają tym, co znajdują w domu – powiedział z zadumą Gibsie, przyglądając się nam i drapiąc się po szczęce. – Ale wykorzystywanie małej Shannon w roli sztangi? To nowość, Johnny.
– Jego rodzice wyjechali i zamknęli garaż – wyjaśniłam głośno, rumieniąc się przy tym z zażenowania. – Improvizowaliśmy.
– Czyli macie wolną chatę i postanowiliście powyciskać? – odparł z rozbawieniem. – A ludzie mówią, że to ja jestem dziwny. – Odbił się od framugi i wkroczył w głąb pomieszczenia. – Uważaj,

kapitanie. Jeszcze nie do końca wydobrzałeś.

– Górne partie – wymamrotał Johnny, zaciskając zęby w skupieniu, cały czas podnosząc mnie i opuszczając.

– Właśnie – dodałam pośpiesznie. – Nie dotykamy niczego poniżej pasa, widzisz? To jest dozwolone.

– Czyżby? – zapytał Gibsie, unosząc wymownie brew i uśmiechając się jeszcze szerzej.

Johnny stęknął, jakby coś go zabolalo, a ja próbowałam skinąć głową, ale nie byłam w stanie, biorąc pod uwagę, że nadal mnie podnosił i opuszczał.

– Kurwa, mam wrażenie, że powinienem puścić jakąś *nastrojową* muzyczkę – stwierdził nagle Gibsie, aż oboje na niego spojrzeliśmy.

– Hę? – Zmarszczyłam brwi.

– Och, nie dla was – wyjaśnił. – Dla siebie. Staje mi, jak na to patrzę.

– Jezus Maria, Gibs! – warknął na niego Johnny, opuszczając mnie na własny tors. – Co jest z tobą nie tak, do cholery?!

– Nie wiem – jęknął, opadając na fotel. – Mam obecnie mętlik w głowie. Ale, proszę, kontynuujcie. Chcę zobaczyć, jak to się dalej potoczy.

– To ja pójdę, eee... do łazienki... – wydukałam, odwracając się na czworaka.

Ten ruch nie należał do moich najlepszych pomysłów, skończyłam bowiem na Johnnym okrakiem. Muszę jednak zaznaczyć, że wyglądał na równie skrępowanego jak ja. Jego dłonie odruchowo powędrowały na moje uda i podniósł się do pozycji siedzącej.

– Załatwię ci terapię – zwrócił się do Gibsa, ściskając mnie za uda. – Na serio, stary. Bo już wymykasz się spod kontroli.

– Mogę iść? – rzuciłam skrępowana, stukając palcami w jego dłonie, żeby mnie puścił. – Naprawdę muszę siku.

Gibsie wyszczerzył zęby, a Johnny jeszcze ścisnął mnie mocno za uda, zanim puścił.

– Nie śpiesz się – powiedział, patrząc kumplowi w oczy. – Muszę zamienić dwa słowa z moim koleżką.

Zerwałam się niepewnie na nogi i pobiegłam w stronę drzwi, ale w ostatniej chwili się zawahałam i odwróciłam.

– Ej, Gibs?

– Tak, mała Shannon? – odparł, posyłając mi serdeczny uśmiech.

– Dlaczego to robisz? – zapytałam, nie do końca pozbierawszy myśli.

– Co takiego?

– Nazywasz mnie „małą Shannon”?

– Bo jesteś mała – zaśmiał się. – I jesteś Shannon. – Wyszczrzył zęby, wzruszył ramionami. – Wychodzi mi mała Shannon.

W sumie racja.

– Chciałam tylko zapytać, czy u ciebie okej? – Przystąpiłam niepewnie z nogi na nogę, złączyłam dłonie. – Po tej sytuacji na stołówce?

– Jak najbardziej – odparł, ciągle się uśmiechając. – Zero obaw.

– Okej. – Wzruszyłam ramionami i dodałam: – Ale chcę zaznaczyć, że uważam cię za naprawdę mądrego.

– Mnie? – zapytał zdumiony.

– Ciebie – potwierdziłam i wyszłam.

Rozdział 45

Nakręcony Johnny

– Stary, chyba kocham twoją dziewczynę – orzekł Gibsie, gdy Shannon zwała z salonu. – Dziwne, co nie?

– Dziwne jest to, że mi o tym mówisz – odparłem, zbierając się na nogi. – I niebezpieczne.

– Wiesz, że nie w taki sposób – zarechotał, unosząc obie ręce. – Mówię tylko, że to naprawdę przyzwoita dziewczyna i że ją lubię. – Podrapał się po brodzie, spojrzał na mnie z namysłem i po kilku chwilach dodał: – Dobrze się spisałeś.

– Tak... Taka właśnie jest – odparłem nieco zdziwiony i sięgnąłem po czekającą na stoliku kawowym butelkę wody. – No i dziękuję za komplement. Chyba.

– Nadal próbuję rozgryźć, w jaki sposób przeszedłeś od Belli do Shannon. – Wzruszył ramionami i wyjaśnił. – Są jak dzień i noc, stary.

Nie przypominaj mi o tym.

Odkręciłem butelkę, osuszyłem ją, po czym zapytałem:

– Na serio jest w porządku po tej akcji ze stołówki?

– Tak, w pełni okej – burknął, pozbywając się z twarzy wcześniejszej maski. – Ale nie czaję, jaki ta dziewczyna ma ze mną problem.

– Obraziłeś ją kiedyś? – zapytałem, bo też nie miałem pojęcia. – Zwzywałeś albo coś?

– Johnny, ją obraża sam fakt, że żyję – fuknął. – Więc powiedziałbym, że owszem, obrażam ją, budząc się co rano.

– Też nie kumam, o co jej chodzi, stary – powiedziałem i wzruszyłem ramieniem. – Myślę, że ona ma jakieś poważne problemy.

– Wszyscy mamy – odparł. – Ale nie wszyscy wyżywamy się przez to na innych.

– Racja.

– Mam tego dość – dodał. – Mówię serio. Mam gdzieś, że to najlepsza przyjaciółka Claire. Więcej jej na coś takiego nie pozwolę.

– Według mnie w ogóle nie powinieneś pozwalać i nieważne, z kim się przyjaźni – powiedziałem. – Stary, musisz uczyć ludzi, jak mogą cię traktować, wytyczając granice. Jeżeli dasz się komuś podeptać, ten ktoś uzna, że może tak robić.

– Po prostu mi jej szkoda w związku z tą całą sprawą z jej siostrą sprzed kilku lat – wymamrotał. – Ale moja wyrozumiałość nie jest nieskończona.

– Lizzie ma siostrę? – zapytałem zdziwiony. – Nie wiedziałem. Co się z nią stało? – zapytałem z ciekawości.

Gibsie mrugnął kilka razy.

– To nie wiesz?

– Nie. – Zmrużyłem oczy. – Czego nie wiem?

– Nie powinienem o tym mówić – odparł. – Dosłownie przysięgałem, że dochowam tajemnicy.

– Dajże spokój, stary, przecież to ja. Komu niby wygadam?

– Posłuchaj, to było, zanim się tu przeprowadziłeś – wyjaśnił. – I więcej nie powiem.

– Gibs...

– Nie chcesz wiedzieć, zaufaj mi – dorzucił pośpiesznie. – Obiecuję.

Zastanowiłem się przez moment, zważyłem, ile gówna mam we własnym życiu, przypomniałem sobie, jaką dramę odstawia rodzina Shannon, i doszedłem do wniosku, że Gibs ma rację. Aż tak mi nie zależało na wtykaniu nosa w życie Lizzie Young. Miałem dość własnych problemów, a Lizzie była wiecznie rozdrażnioną przyjaciółką Shannon, którą tolerowałem wyłącznie ze względu na moją dziewczynę.

– Masz rację – przyznałem. – Nie chcę wiedzieć.

Gibsie przytaknął.

– Dobrze. – Na chwilę się zamyślił, ale jego czoło szybko się wygładziło, a na usta powrócił uśmiech. – Czyli ćwiczycie sobie z Shannon, co?

– Tak – odparłem, spoglądając na niego czujnie, bo nie wiedziałem, z czym zaraz wyskoczy, ale wiedziałem, że z czymś na pewno. – Co w tym złego?

– Nic – powiedział z namysłem. – Nie licząc oczywistego.

– Mianowicie?

– Masz wolną chatę i Shannon w środku, ale zamiast należycie to wykorzystać, ty nią rzucasz jak workiem z piachem.

– Wiesz dlaczego – burknąłem. – Nie śpieszę się.

– Hmm... – Przechylił głowę na bok. – Czy w toku operacji wycięli ci instynkt? No wiesz, jak z psami, które po kastracji czasami tracą węch. Johnny, którego pamiętam, nie zmarnotrawiłby takiej okazji.

– Nie wykastrowali mnie, nieczuły kutafonie – warknąłem oburzony. – A moje plemniki pływają, jak się patrzy. Sprawdziłem!

Dwa razy.

– W takim razie coś jest z tobą nie tak – odciął się od razu. – Bo ta dziewczyna jest nieziemsko seksowna, a ty myślisz tylko o rugby.

– Ej! – ostrzegłem go najeżony. – Nie nazywaj tak mojej dziewczyny!

– Czemu nie? – prychnął szyderczo. – Ty nie uważasz, że jest seksowna?

– Oczywiście, że uważam – wycedziłem. – Uważam, że jest w chuj seksowna.

– Na pewno? – zapytał, poruszając brwiami.

– Tak, na pewno... Ale nie w tym rzecz. – Wyprowadzony z równowagi potrząsnąłem głową i wycelowałem w niego palec. – Ty nie masz prawa mówić, że jest seksowna. – Zmrużyłem powieki. – I nie gap się na nią swoimi świńskimi oczkami.

– Cóż, prawda, że się gapię – zaśmiał się. – Nie jestem ślepy, stary.

– Gapisz się na nią?! – zapytałem ze zdumieniem i wściekłością. – Na *moją* Shannon?

– „Twoją Shannon” – parsknął. – Tak, i nie tylko ja. Wszyscy się gapimy i wygląda na to, że... ty też tylko się gapisz.

– W chuja ze mną lecisz?! – ryknąłem w furii.

– Nie.

– Co za „wszyscy”?!
Wzruszył ramionami.

– Ja, Feely, Hugh, Danny Mac, Luke, Pierce, Donal...

– No to przestańcie się na nią gapić! – zawyłem. – Jezus Maria!

– Mówię jedynie, że jest boska, a my mamy oczy – parsknął. – Ale to przecież nie znaczy, że wyobrażam sobie siebie nago z...

- Dokończ to zdanie, a urwę ci łeb – wycedziłem. – Uczciwie ostrzegam.

- Denerwujesz się, Johnny? – zarechotał, unosząc brew. – Hmm, nakręcasz się, kolego?

- A jak ci się wydaje? – warknąłem, nie zawracając sobie głowy zaprzeczaniem.

- Doskonale – stwierdził z uśmiechem, zrywając się z krzesła. – Skoro ustaliliśmy, że testosteron nadal krąży w twoich żyłach, idź zrobić coś produktywnego ze swoją dziewczyną. – Zadowolony z siebie ruszył ku drzwiom. – I nie mówię o trzymaniu się za rączkę ani innych bzdetach – dodał. – Nie masz dwunastu lat. Ona też nie.

- Wynoś się w cholerę – wysapałem przez zęby.

- Och, a jeżeli nadal masz opory przed pełną penetracją, to zalecam obranie trasy południowej, od ust do cipk...

- Jezu Chryste, Gibs!

- Widoki są bardzo malownicze, a jej ukończenie daje wiele satysfakcji. – Puścił do mnie oko. – Wszyscy będą zadowoleni.

- Do domu. – Wskazałem na drzwi. – W tej chwili, albo ty będziesz wyjątkowo *niezadowolony*.

- Tak jest, kapitanie! – Zasalutował, po czym wybiegł.

- Tak, uciekaj, chuju! – ryknąłem za nim, ciężko dysząc. – Bo gdy wrócę do pełni sił, to cię uduszę...

- Wszystko okej? – zapytała Shannon, pojawiwszy się w drzwiach. Wygląda na zbitą z tropu, niepewną.

- Nie – wycedziłem, nadal dysząc ze złości i pożądania, bo wodziłem wzrokiem po jej ciele i nasycam się widokiem. Była tak kurewsko piękna. Stała przede mną w czarnych legginsach, puchatych skarpetkach i w kilka rozmiarów za dużym białym T-shircie, w który przebrała się po szkole. Związała włosy w wysoki kucyk, na jej twarzy nie było śladu makijażu... ani siniaków... Nigdy nie widziałem równie idealnego zjawiska.

Zniszczyła mnie.

Miałem zjawiskowo przepierdolone i nie mogłem już nic na to poradzić. Wszedłem ze wszystkim... sercem, głową, ciałem, *jajami*... Zaangażowałem się w tę dziewczynę dosłownie wszystkim, co miałem. Miałem wrażenie, że jest w moim życiu od zawsze. Jakbym nie znał życia bez niej. Była moją pierwszą miłością, i w chuj mnie to przerażało. Bycie z nią przypominało obsesję, która każdego dnia mogła mnie pochłonąć. Musiałem urabiać się po pachy, żeby zachowywać trzeźwość umysłu. Ale wystarczało, że raz spojrzałem na moją dziewczynę i już leżałem na łopatkach, więc jeżeli chodzi o twarde stąpanie po ziemi i powstrzymywanie się od bujania w obłokach, to łatwiej było powiedzieć, niż zrobić. Uwiązała mnie jakimiś dziecinnymi, nielogicznymi i nieracjonalnymi węzłami. Z każdym mijającym dniem wokół mojego serca pojawiał się nowy. Całkowicie traciłem kontrolę i stanowiło to dla mnie problem, a uczucia do Shannon były ogromnym wyzwaniem, bo naprawdę nie potrafiłem ich okiełznać, a czasami nawet znieść. Były zbyt silne. Innymi słowy – miałem przepierdolone.

- Nie jest okej – wydusiłem, przeczesując włosy dłonią w rozdrażnieniu.

- Co... co się stało? – wyszeptła, patrząc na mnie szeroko otwartymi oczami. – Boli cię?

- Nie, nie o to cho... – przykniąłem się i sapnąłem w złości. Jej oczy wypalały we mnie tak głębokie dziury, że musiałem odwrócić wzrok, bo mogłem całkiem się w niej zatracić. Tego było zbyt wiele. *Jej* było, kurwa, zbyt wiele.

- O co chodzi? – zapytała, zbliżając się ostrożnie. – Johnny, co się stało? – Niepewnie zacisnęła swoją drobniutką dłoń na mojej ręce. Sam jej dotyk rozniecił ogień w moim ciele. –

Możesz ze mną porozmawiać – powiedziała cicho, wtedy moje zmysły zalał zapach jej perfum. *Boże, ratuj.* – Możesz mi powiedzieć wszystko.

– Czego ty ode mnie chcesz, Shannon? – wychrypiałem i spojrzałem z góry na jedyną dziewczynę, którą w życiu kochałem, czując się przy tym kompletnie bezbronny. Musiałem od niej usłyszeć, co mam robić. To ona musiała narzucić tempo, bo ja byłem przy niej słaby i potrzebowałem więcej, niż jest gotowa mi dać, i tego się bałem. Gibsie namieszał mi, kurwa, w głowie i teraz mój umysł zaciął się w trybie pierdolonej bestii. Tak cholernie jej pragnąłem, że nie potrafiłem trzeźwo myśleć. A przez świadomość, że jesteśmy sami, to wszystko było milion razy silniejsze.

– Co masz na myśli? – zapytała, wyglądała na wystraszoną.

– Ode mnie – powtórzyłem z rozszalałym sercem. – Od tego? – zapytałem, czułem się bezradnie. – Od naszego związku. Czego chcesz *ode mnie*?

– Szczerze?

– Zawsze.

– Wszystkiego... – wyszeptła, patrząc mi w oczy. – Zwłaszcza tych pokaleczonych części.

Cholera.

Po tych słowach było po mnie.

Całkowicie, kurwa, po mnie.

Wiedziałem to w chwili, w której zmiażdżyłem jej usta swoimi. W której podniosłem ją z połogi i poczułem, jak oplata mnie nogami w pasie. A zwłaszcza gdy zaniósłem ją na piętro, do mojego pokoju, napędzany jej pełnymi zachęty jękami, bo całowała mnie równie zaciekle jak ja ją. Otworzyłem drzwi kopniakiem, ale nie poczułem bólu. Ból utonął w desperackiej żądzy, żeby natychmiast poczuć jej skórę na mojej skórze. Uderzyłem kolanami o skrzynię łóżka i oboje zwaliliśmy się na materac.

– Cholera – rzuciłem, próbując podeprzeć się na łokciach, żeby jej nie zmiażdżyć. – Nic ci się nie stało?

– Nie gadaj – błagała, oplatając mnie całą sobą niczym bluszcz i przyciągając na siebie całe moje ciało. – Nie przestawaj.

Chyba nie potrafiłbym, nawet gdybym chciał. *A nie chciałem.*

– Na pewno? – Zmusiłem się, żeby mimo wszystko zadać to pytanie. Serce waliło mi tak mocno, że musiała je czuć. – Możemy przerwać...

Jedyne, co przerwała, to moje gadanie, bo przyciągnęła moją twarz i mocno pocałowała.

– Albo i nie... – wydyszałem, zanurzając się głębiej w ten pocałunek... *W nią.* Uwielbiałem, gdy uwieszała mi się na szyi tymi drobnymi rączkami i jak mały koteczek wysuwający i chowający pazurki zostawiała ślady paznokci, które pozostaną ze mną przez wiele dni.

Jej dłonie powędrowały w dół, do brzegu mojej koszulki. Szarpnęła za kraniec. Uśmiechając się przy jej wargach, wsparłem cały ciężar ciała na jednej ręce, a drugą sięgnąłem za bark. Złapałem za materiał i ściągnąłem T-shirt przez głowę, odrywając od niej usta na mikrosekundę niezbędną, żeby pozbyć się ubrania. I jej dłonie nagle były na mnie – łapały, szarpały moją nagą skórę, wbijały w nią paznokcie, a cała Shannon pulsowała i ocierała się o mnie jak w jakiejś gorączce.

Jeszcze nigdy mi tak nie stał, rzuciłem się na nią, jęcząc za każdym razem, gdy nasze biodra się zderzały. Jej skóra była rozpalona i czerwona, jej ciało drżało pod moim. Traciłem rozum od żądzy.

– Johnny? – wykrztusiła, przyciskając dłonie do mojego torsu. – Mógłbyś na sekundkę ze mnie zejść?

– Cholera. – Zerwałem się jak pocisk. – Posunąłem się za daleko? – zapytałem zdyszany, klęcząc między jej nogami. – Mam przestać?

– Nie. – Pokręciła głową, usiadła i złapała za kraniec swojego T-shirtu. – Nie chcę, żebyś przestawał.

Serce waliło mi wściekle, kutas dusił się w okowach spodni.

– Shan, nie musisz...

Zerwała koszulkę przez głowę i mój wzrok natychmiast powędrował na jej piersi. Z podskakującym jabłkiem Adama patrzyłem, jak sięga za plecy i rozpina stanik. Bolesnie powoli wyswobodziła się z pasków i rzuciła go na ziemię.

– Cześć... – wyszeptała, spuszczać ręce wzdłuż boków i odsłaniając piersi.

– Cześć. – Przełknąłem ślinę. Kurwa, rozpaczliwie próbowałem utrzymać z nią kontakt wzrokowy, a nie gapić się na te idealne cycki. Jezusie, jak one sterczały, a na czubkach widniały różowiotkie, maksymalnie naprężone sutki. – Jesteś taka piękna – powiedziałem, rezygnując z walki i w pełni nasycając się ich widokiem. – Nawet nie wiem, co powiedzieć. – Moją uwagę przykuła wyglądająca na świeżą blizna pomiędzy jej boki a prawą piersią. Zamarłem, poczułem, jakby ktoś chlusnął mi w twarz wiadrem lodowatej wody.

– Co? – zapytała Shannon, wyczuwając zmianę w moim nastroju. – Co się stało?

Tłumiąc tsunami gniewu, wyciągnąłem rękę i musnąłem bliznę opuszkami palców.

– Boli?

– Już nie. – Zaprzeczyła ruchem głowy. – Już nawet jej nie czuję.

Ja czułem. Głębiej i mocniej, niż mógłbym się spodziewać. Nie potrafiłem oderwać oczu od blizny. W ten sposób ją uratowali. Tak lekarze pomogli jej oddychać, gdy ten gnój prawie ją zakatował.

– Johnny, nie myśl o tym – wychrypiąca. – Nie myśl o moim ojcu, gdy na mnie patrzysz.

– Nie myślę... – wydukałem, z trudem panując nad emocjami.

– Myślisz – odparła roztrzęsionym głosem. – Widzę to w twoich oczach.

– Nie robię tego celowo – przyznałem i przygarbiłem się. – Po prostu trudno mi ze świadomością, co ci zrobił i że wkrótce wyjdzie, a ja nie mogę tego naprawić.

– Nie proszę, żebyś mnie naprawiał – wyszeptała rozedrgana. – Proszę, żebyś ze mną był.

– Jestem.

– Ale żebyś się nade mną nie użalał – dodała, dolna warga zaczęła jej drżeć. – Żebyś nie patrzył, jakbym była popsuta.

– Shannon, wcale tak nie patrzę – zapewniłem natychmiast, ale było już za późno. Zdażyła zejść z łóżka i schylić się po koszulkę.

– Nieważne – wydusiła.

Cholera.

– Hej, hej, hej... – Zerwałem się z łóżka i pierwszy złapałem jej T-shirt. – Wysłuchaj mnie, zanim się ubierzesz – powiedziałem głosem ciężkim od emocji. – Proszę?

Przeszedł ją dreszcz, zasłoniła piersi dłońmi i skinęła głową.

Westchnąłem z ulgą i mówiłem dalej:

– Jestem w tobie zakochany...

– Johnny...

– Nie, nie, posłuchaj, proszę cię – wydukałem uspokajająco, po czym wszystko z siebie wyrzuciłem. – Jestem w tobie *zakochany*, Shannon. Kompletnie, kurwa, zabujany, więc odbija się na mnie, gdy cierpisz. Wtedy też cierpię. Nie mogę udawać, że nie. – Zadrżała, podeszła o krok

bliżej. – Ale to nie znaczy, że jestem z tobą, bo się nad tobą użalam... – Zrzuciłem rękę na jej nagie ramię, przyciągnąłem do siebie i mocno przytuliłem. – Oznacza to tyle, że denerwuję się, gdy ty się denerwujesz, a gdy ktoś cię krzywdzi, mam ochotę zrewanżować mu się podobną krzywdą. Shannon, wszedłem w to na całego. Blizny, nie blizny. Zjebany ojciec i tak dalej, nieważne. Wszedłem na sto pięćdziesiąt procent. – Zsunąłem jej kucyk z ramienia i delikatnie pociągnąłem za końcówkę, żeby na mnie spojrzała. – Czuję do ciebie wszystko – przyznałem i sam zacząłem drżeć w miarę napięcia narastającego w mojej piersi, a działa się tak zawsze, gdy ta dziewczyna na mnie spoglądała. – I mówię to wszystko, gdy tu stoisz i wyglądasz jak najseksowniejsza kobieta, jaką w życiu widziałem. Modlę się przy okazji, żebyś nie uciekła, bo tak mi przez ciebie stoi, że musiałyby minąć kilka dobrych minut, zanim uspokoiłbym się i mógł cię gonić.

– Uważasz, że jestem seksowna? – wykrztusiła przez ściśnięte gardło.

– Shannon, popatrz na mnie... – Odsunąłem się, wskazałem na wymowne wybrzuszenie w spodniach i próbowałem nie brzmieć na nadmiernie oburzonego. – Patrz, co ze mną robisz. Nie rozumiesz tego? Jesteś tak cholernie seksowna, że nawet nie umiem tego opisać.

– Naprawdę? – zapytała zarumieniona.

– Naprawdę – potwierdziłem, przyciągając ją do siebie. – Tak, naprawdę, kurwa, naprawdę, Shan.

– Gdybym takiego miała, to też by sterczał – wypaliła cała różowa. – To znaczy z twojego powodu. Bo też tak o tobie myślę.

– Eee, *dzięki*... – zarechotałem, kręcąc głową. – Nie chcę sobie tego *nigdy* wyobrazić, ale doceniam komplement, kochanie.

– Powiedz coś jeszcze – poprosiła chrypliwie. – Proszę.

– Na przykład co?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami i spuściła ręce wzdłuż ciała, była coraz bardziej zarumieniona. – Może coś niedotyczącego blizny po rurce.

Nagle zrozumiałem i miałem ochotę jęknąć z irytacji. Ależ ja wolno kojarzyłem. Moja dziewczyna stała przede mną goła od pasa w górę, a ja podkopywałem jej pewność siebie.

– Nie ma sprawy. – Nie zabierając ręki z jej ramienia, poprowadziłem ją z powrotem do łóżka i położyłem na materacu. – Szaleję za tobą – wymruczałem, zajmując pozycję między jej nogami.

– Jesteś kurewsko seksowna. – Obniżyłem się, by pocałować ją w usta, przesunąłem wargami wzdłuż linii jej szczęki, zasypałem pocałunkami jej szyję i dotarłem do piersi. – I masz najładniejsze cycki, jakie widziałem.

Wstrząsnął nią dreszcz, aż złapała kołdrę w garść.

– Małe.

– Idealne – poprawiłem ją podnieconym tonem, oblizując jej sutek. – Ty jesteś idealna.

– Johnny... – Oddech utknął jej w gardle, wygięła się w łuk i we mnie wepchnęła.

– Podoba ci się? – zapytałem uspokajająco, całując i ssąc jej sutek. – Hmm?

– Nie przerywaj... – Zadrżała pode mną, złapała moje włosy w drobną piąstkę i pociągnęła.

– O Boże...

– Czyli mam wybaczone? – wymruczałem, przechodząc na drugą pierś. – Za gapienie się na bliznę zamiast na cyczki?

– Tak... – Kiwnęła głową z zapałem. – Wszystko... mmm... wy... ach... baczone...

Wytyczyłem pocałunkami ścieżkę w dół, od piersi przez żebra aż do pępka, po drodze liżąc i przygryzając, aż dotarłem do gumki jej legginsów.

Stop, koniec, rozkazałem sobie w myślach, wystarczy jak na jeden dzień, chuju.

Nie wiedziałem, że dysponuję aż tak silną wolą, ale zawróciłem i w podobny sposób, krokami z pocałunków, pokonałem całą drogę z powrotem do jej warg.

– Dlaczego przerwałeś? – wydyszała, zarzucając mi ręce na kark.

Jezu...

– Ponieważ... – urwałem, bo skupiałem się na jej nabrzmiąłych wargach i ich uzależniającym smaku. – Podoba mi się, jak jest. – Pocałowałem ją ponownie, tym razem delikatniej. – Nie chcę tego robić ze stoperem w ręce.

– Ze stoperem?

– Tak, Shan – przytaknąłem i pocałowałem ją w nos. – Nie chcę się śpieszyć. Nie chcę, żebyśmy się śpieszyli... Chcę, żeby nasze wyjątkowe momenty naprawdę takie były. – Usiadłem, pociągając ją za sobą i sadzając ją sobie na kolanach. – Chcę ciebie, okej? – Objąłem ją za plecy i przytuliłem z całą siłą. – Bardzo, nigdy w to nie wątp. – Pogłaskałem jej włosy i pocałowałem ją czule. – Po prostu nie chcę za pięć lat się zorientować, że przez niecierpliwość zjebałem najważniejsze rzeczy w naszym związku.

Na jej usta zakradł się nieśmiały uśmiech.

– No co? – Też się uśmiechnąłem. – Co cię tak bawi?

– Powiedziałaś „za pięć lat” – wyszeptała, zaciskając ręce na mojej szyi.

– Mówiłem już, że muszę cię zatrzymać na dobre – burknąłem. – Nasz związek nie ma daty ważności.

– Wow. – Puściła mnie i się rozpromieniła. – Mówisz wspaniałe rzeczy, Johnny Kavanagh.

Uśmiechnąłem się od ucha do ucha.

– Chcesz usłyszeć coś jeszcze?

Od razu kiwnęła głową.

– Mam pomysł.

Przechyliła głowę na bok i spojrzała na mnie czujnie.

– Jakiego rodzaju?

Zaśmiałem się.

– Chodź... – Odstawiłem ją, podałem jej T-shirt, po czym sięgnąłem po własny. – Pokażę ci.

– Co tam, do cholery. – Założyła koszulkę przez głowę, wstała i uśmiechnęła się do mnie. – Nie mam nic do stracenia.

Ja miałem.

Jq.

– To kiepski pomysł – oceniła pół godziny później, siedząc za kierownicą mojego auta przed domem i patrząc na kierownicę jak na jadowitego węża. – Naprawdę, naprawdę kiepski, Johnny.

Stłumiłem śmiech i zapiąłem pas. Bóg jeden wie, co mi odbiło, że uznałem to za dobry pomysł, ale już wsiedliśmy, więc nie zamierzałem się wycofywać. Poza tym wiedziałem, że da radę. Potrzebowała jedynie odrobiny pewności siebie.

– Dasz radę.

– Nie. – Uniosła ręce i zatrzepotała nimi bezradnie. – Nie dam.

– A właśnie że dasz – zachęcałem. – Już ci wszystko wyjaśniłem. Wiesz, jak zmieniać biegi, kochanie, a jesteśmy na wielkim, pustym podwórku, bez żywej duszy w pobliżu. Potrafisz.

– Nie. Nie. Naprawdę nie! Naprawdę nie potrafię. – Obróciła się i wytrzeszczyła na mnie oczy.

– Nie mam prawka. Nawet na kosiarkę ogrodową. Mam szesnaście lat, a to jest drogi samochód,

Johnny. Boże, zabiję nas oboje!

– Wcale nie – uspokajałem ją. – Rozwalisz to.

– Pewnie – wydusiła. – Rozwałę, ale nas o drzewo, Johnny!

Parsknąłem, pochyliłem się nad deską, zwolniłem ręczny i odpaliłem silnik.

– Ruszamy.

– Panie Boże, pomóż mi! – zaskomlała, gdy silnik ożył pod nami. – Katastrofa – zajęczała, łapiąc za kierownicę spanikowana. – Co jeśli nas rozbiję?

– Nie rozbijaj – odparłem. – A teraz wciśnij sprzęgło, a ja zmienię bieg.

– Nie pozwól mi zginąć – błagała, gdy wrzuciłem jedynkę.

– Nie pozwolę – zaśmiałem się. – Kochanie, ale nie zasłaniaj oczu... – Odciągnąłem jej dłoń z twarzy. – Patrz przed siebie.

– Tak, Johnny! – zawodziła. – Zaraz umrę!

– Nie, Shan, przeżyjesz – parsknąłem. – A teraz puść sprzęgło i elegancko, delikatnie dodaj gazu...

– Zepsułam! – zawyła, gdy auto zakasłało. – Tak mi przykro!

– Nic nie zepsułaś – odpowiedziałem, spuszczając bieg i nachylając się, by przekręcić kluczyk w stacyjce. – Zaczniemy od nowa. – Silnik ponownie ożył z rykiem, a ja powtórzyłem wcześniejsze instrukcje i zmieniłem za nią bieg. – Dobra robota! – zawołałem, bo tym razem auto potoczyło się do przodu. – Tak jest, kochanie. O to chodzi, Shan.

– Sama nie wiem, Johnny... – wymamrotała, nachylając się nad kierownicą tak mocno, że prawie zastukała nosem w szybę. – W GTA to wygląda zupełnie inaczej!

Godzinę później miałem już pewność, że rozbudziłem bestię, którą kilka miesięcy wcześniej poznałem w mojej sypialni.

– Jadę! – wołała z oczami lśniącymi ekscytacją, skręcając za dom i traktując nasz podjazd jak prywatny tor wyścigowy.

– Zwolnij – błagałem, bo brała zakręt szybciej, niż było trzeba. – Shannon, proszę w imię Boga, zwolnij.

– Co się dzieje, twardzielu? – zadrwiła. – *Boisz się?*

Jestem, kurwa, przerażony...

– O Boże... Widziałeś to? – zapiszczała w zachwycie. – Widziałeś, jak sama wrzuciłam piątkę?

– Widziałem – wykrztusiłem, trzymając się uchwytu nad głową. – Możemy już skończyć?

– Jeszcze raz, proszę? – prosiła, setny raz kierując się na podjazd. – Ostatni, obiecuję.

– Ostatni – wydusiłem, zaciskając powieki z całych sił, bo czułem, że to błąd. – Uważaj na – słowa ugrzęzły mi w gardle, gdy wykonała ostry unik – dziurę – dokończyłem, łapiąc oddech.

– Dokładnie jak w GTA! – zaśmiała się głośno.

– Tyle że bez guzika restartu... – jęknąłem. – Więc nie zabij nas, proszę cię.

– Miałaś rację, potrafię! – rzuciła, wciskając gaz do dechy.

Rozdział 46

Zamówienia i aktualizacje Shannon

Po improwizowanej lekcji jazdy siedzieliśmy na kanapie w salonie u Johnny'ego. Otaczały nas pootwierane podręczniki, właśnie skończyliśmy robić zadanie domowe, a ja nie byłam w stanie zmazać uśmiechu z twarzy. Przeżyłam z nim najprzyjemniejszy wieczór i nauczyłam się jeździć autem. *Ja*. Potrafiłam prowadzić prawdziwy samochód. Nie miałam pojęcia, co skłoniło go, żeby zabrać mnie na tę jazdę, ale nie żałowałam. Za kierownicą poczułam wolność, a fakt, że dysponowałam taką mocą, był bardzo ekscytujący.

Siedziałam więc zadowolona, chłonełam ciepło dobywające się z kominka i słuchałam, jak Johnny zamawia jedzenie.

– Tak, i chciałbym porcję grzanek z serem z tym pomarańczowym dipem, do tego dużą pizzę bez pieczarek z podwójnym ananase. – Spojrzał na mnie i udawał, że się dławi. – Tak, jestem pewien, stary, ładuj ananasa.

– Hej... – Wyciągnęłam się, stuknęłam go palcem w stopy i szepnęłam: – Nie oceniaj mnie, sam jesz tylko kurczaka.

– Świat cię ocenia – powiedział bezgłośnie, złapał moją nogę i położył ją sobie na udzie. – A przy okazji: macie kurczaka bez skóry? – Stłumiłam śmiech. – Macie? – Zsunął trochę moją skarpetkę i głaskał mnie kciukiem po kostce. – Jak go przygotowujecie? Smażycie? – Ściągnął brwi i zastukał palcami w moją kostkę, wyglądał na szczerze niezdecydowanego, ale w końcu wypuścił powietrze i powiedział: – A jebać, dajcie ten kubek obiadowy z dodatkową pierśią i zostawcie skórę... A, i dorzućcie butelkę coli. – Puścił do mnie oko. – Tak, moja pani potrzebuje *oryginalnej*. – Rozłączył się i wyszczerzył zęby. – Wygląda na to, że dieta poszła do kosza.

– Zawsze możesz zacząć od nowa od poniedziałku – zażartowałam.

– Twierdzisz, że potrzebna mi dieta? – droczył się ze mną, wciągając mnie na kolana. – Co? – Jego usta przeniosły się na moją szyję, westchnęłam z zadowoleniem.

– Jesteś taki ładny – wyszeptalam, przygryzając wargę, gdy się w niego wtuliłam. – Nie potrzebujesz żadnej diety.

Zamarł w pół pocałunku, odsunął się i spojrzał na mnie.

– Czy ty właśnie nazwałaś mnie „ładnym”?

– Tak. – Uśmiechnęłam się. – A co w tym złego?

– Wszystko – odparł z odrazą. – Shan, nie możesz nazywać mnie ładnym.

– Ale przecież jesteś ładny – drażniłam się z nim. – Masz ładne oczy, ładne włosy i ładny uśmiech.

Rozdziawił usta.

– Jestem urażony.

Zaśmiałam się, bo rozbawił mnie tą miną.

– Ładny z ciebie chłopiec.

– Nie... – Pokręcił głową, rzucił mnie na plecy i na mnie wskoczył. – Nie, wypraszam sobie! – Wsunął ręce pod moją koszulkę i zaczął łaskotać. – Odwołaj to!

– Aaaaa, przestań! – krzyczałam, dusząc się ze śmiechu i wijąc pod nim. – Nie wytrzymam... Mam łaskotki!

– Wiem o tym – zaśmiał się, kontynuując tortury. – Odwołaj to, bo pójde na całość.

– Odwołuję! – pisnęłam, kręcąc się i szarpiąc. – Jesteś nieładny... Aaaaa, Johnny, nie dam rady... Jesteś seksowny! Seksowny, okej? Litości... Błagam, litości!

– Ja nie okazuję litości – prychnął, wsuwając głowę pod moją koszulkę i wzmagając dotychczasowe wysiłki. – Łaskoczę tu, a nogi ci wierzgają – zarechotał, łaskocząc mnie po żebrach. – Jakie to dziwne.

– Zapłacisz mi za to – ostrzegłam, choć ze śmiechu ledwie mogłam mówić i nadal się wiałam, żeby się od niego uwolnić. – Tylko zaczekaj, a zobaczysz...

Na zewnątrz rozległ się dźwięk opon gwałtownie wjeżdżających na żwirową nawierzchnię, a głowa Johnny'ego wyskoczyła spod mojego T-shirtu.

– Jezu... – mruknął zdziwiony, włosy sterczały my na wszystkie strony. – Rekordowe tempo dostawy.

– To na pewno nie pizza. – Wyciągnęłam się, żeby wyjrzeć przez okno, ale na zewnątrz było ciemno i nie zobaczyłam nic poza parą samochodowych świateł. – Boże, a co, jeśli to twoja mama? – wybełkotałam i zaczęłam ekspresowo uciekać z jego kolan. Znając moje szczęście, to na pewno ona wróciła. – Powinam już iść. – Złapałam plecak i zabrałam się za wrzucanie podręczników do środka, równocześnie próbując założyć trampki. – Powinieneś mnie już odwieźć.

– Shan, wyluzuj się – zarechotał, wstając z kanapy. – To nie mama, a nawet jeśli, to wcale nie musisz nigdzie iść.

Łup, łup, łup.

– Widzisz? – rzucił rozluźniony, ruszając do drzwi. – Mama by nie pukała. – Odprężyłam ramiona z ulgi, nie zaciskałam już tak mocno paska plecaka w ręce. – Zaczekaj tu – poleciał i wyszedł z salonu.

Kilka chwil później po całym domu poniósł się znajomy głos.

– Gdzie moja siostra?

Darren?

– Tu jest.

– Każ jej wyjść. Musi natychmiast wracać ze mną do domu.

O Boże...

– Wejdz.

– Co takiego?

– Ja nie wydaję jej poleceń, więc jeśli chcesz z nią pomówić, wejdz.

Niecałą minutę później Johnny wkroczył swobodnie do salonu, a tuż za nim podązał sztywno Darren.

– Twój brat przyjechał, Shan – ogłosił Johnny, patrząc mi w oczy. Podszedł i stanął obok mnie.

– Co się stało? – zapytałam, natychmiast się spinając. – Co... co ty tu robisz?

– Powiniennem ci zadać to samo pytanie – odpowiedział, ale wcale nie brzmiał na zezłoszczonego. Tylko na zmęczonego. – Miałaś wracać do domu prosto po szkole. – Jego spojrzenie zboczyło na podręczniki rozłożone na stoliku kawowym i błysnęło w nim przelotne zaskoczenie, ale szybko pokręcił głową i ponownie przybrał poważną. – Shannon, jest prawie ósma.

– Już się zbierałam – powiedziałam. – Tylko chcieliśmy najpierw zjeść kolację.

– Musimy porozmawiać – odparł. – To ważne.

Natychmiast zapłonęła we mnie panika.

– Co się stało? – zapytałam, bo musiało stać się coś złego, skoro zadał sobie trudu, żeby zdobyć adres Johnny’ego i tu przyjechać. I nawet się ze mną nie kłócił, a to był zły znak. Spodziewałam się koszmarnych wieści. *Czułam je.* – Darren? – zapytałam głosem równie rozdygotanym jak całe moje ciało. – Co się dzieje?

Mój brat zerknął na Johnny’ego, po czym znowu spojrzął na mnie i w końcu westchnął ciężko.

– Tata.

Stężałam, poczułam, jak każdy mięsień w moim ciele kamienieje z napięcia. Czekałam, by potwierdził to, czego byłam już pewna.

– Shannon, wypuścili go dziś z Brickley House – obwieścił głosem ciężkim od emocji. – Wrócił do Ballylaggin.

Powietrze uciekło z moich płuc i zostało zastąpione falą cierpienia, bólu, strachu i paranoi. To się nigdy nie skończy. Zawsze będzie mnie dręczyć. Joey miał rację. Zawsze ją ma. Tata wróci do domu, a wtedy mi odpłaci...

W tym momencie złapała mnie za rękę wielka dłoń, ciepła i silna, a ten dotyk przerwał korowód panicznych myśli. Roztrzęsiona spojrzałam na nasze złęczone dłonie, a potem na Johnny’ego. Stał tuż obok. Wielki i silny. Tak blisko, że czułam emanujące z niego ciepło. Jego obecność była ogromnym pokrzepieniem.

– Co to oznacza? – wypowiedział pytanie, które nie chciało wyjść z mojego gardła. – Dla waszej rodziny? – Chrząknął głośno. – Dla Shannon?

– Nie obraż się, Johnny, ale to prywatne sprawy – odparł Darren, posyłając mu ostre spojrzenie.

– Nie obraż się, *Darren*, ale mam to w dupie – odciął się natychmiast Johnny. – Czy ci się to podoba, czy nie, jestem jej facetem i jeśli coś jej grozi, chcę to wiedzieć. Mogę pomóc – dodał napięty.

– Nie chcę twojej pomocy – odpowiedział Darren znużonym tonem. – Natomiast chcę, żebyś pojechała ze mną do domu – zwrócił się do mnie. – Mama jest kłębkim nerwów, musimy wszyscy razem porozmawiać, co dalej z naszą rodziną.

– Joey jest w domu? – zapytała, bacznie mu się przyglądając.

– Nie wiem, gdzie jest Joey – westchnął ciężko.

– Jak to nie wiesz? – wykrztusiłam. – Darren, gdzie on jest?

– Tadhg kiepsko przyjął wieści o tacie i wybiegł z domu – wymamrotał, ściskając nasadę nosa. – Joey próbuje go znaleźć. – Przeczesał dłonią ciemne włosy, wydał z siebie zbolące westchnienie, po czym wskazał na stolik z podręcznikami. – Możesz spakować swoje rzeczy i ze mną jechać? Zostawiłem Olliego, Seana i mamę samych.

– Uważam, że nie powinna wracać do domu – wtrącił pośpiesznie Johnny.

– Słucham? – Darren spojrzął na niego ostro.

– Powiedziałem, że uważam, że nie powinna wracać do domu – powtórzył Johnny spokojnie. – Może zostać u mnie. Wasz tata nie wie, gdzie mieszkam.

– Wraca do domu – odparł Darren nerwowo. – Już.

– Nie rozumiem, dlaczego miałaby... – zaczął Johnny, ale Darren od razu wszedł mu w słowo.

– Musisz się odwalić – warknął ostrzegawczo mój brat. – Na serio.

– Już dobrze – powiedziałam niechętnie. Powrót na Elk Terrace był ostatnią rzeczą, jakiej chciałam, ale wiedziałam, że nie mam wyboru. – Jadę. – Przygarbiłam się, puściłam rękę

Johnny'ego i pozbierałam resztę moich rzeczy. Oczy zaszyły mi łzami i nie widziałam zamka piórnika, do którego próbowałam wepchnąć długopisy i linijkę. – Tylko daj mi chwilę.

– Zaczekam w samochodzie.

– Okej. – Skinęłam sztywno, stojąc do niego plecami i kończąc pakowanie.

Drzwi do salonu zamknęły się cicho, po chwili Johnny stanął znów przy mnie.

– Powiedz coś.

Potrząsnęłam głową i rzuciłam piórniki na stolik kawowy. Cała się trzęsłam, złapałam się za włosy i brałam głębokie, powolne wdechy, rozpaczliwie próbując opanować emocje.

– Ja... – Zamknęłam usta, minęłam Johnny'ego i podeszłam do okna. – Ja... – Znowu potrząsnęłam głową, zachłysnęłam się powietrzem.

– Shannon, no... – powiedział, idąc za mną. – Powiedz, co myślisz.

– Myślę – zawiesiłam głos, spuściłam głowę i kurczowo złapałam się parapetu – że będę płakać.

– To nic – powiedział, stając za mną tak blisko, że poczułam jego uda przy moich. – Płacz jest okej.

– Nie chcę znów przy tobie płakać. – Wypuściłam powietrze z płuc, zacisnęłam powieki i wydusiłam: – Nie chcę, żebyś za każdym razem musiał patrzeć, jak się rozpadam.

– Cóż, nie masz wyboru – odrzekł, odwracając mnie do siebie i przytulając. – Bo cię nie zostawię.

Pokręciłam głową i nie otwierając oczu, wyszeptałam:

– Johnny, ja nie mogę...

– Nigdzie się nie wybieram – stwierdził, ściskając mnie mocniej.

– Johnny, nie możesz... – spróbowałam ponownie.

– *Nigdzie*, Shannon.

– Nie musisz...

– Jestem z *tobą*. Z całą. Z każdą częścią ciebie. Na dobre i na złe. Zostaję. Więc tej części też przede mną nie ukrywaj.

Stałam sztywno kilka długich minut. Chyba nie zrobiło to na nim wrażenia, bo mnie nie puszczał. Po prostu mnie obejmował, nie zostawiał samej.

A gdy w końcu ugięłam się pod presją? Gdy w końcu pękłam? To przy nim. Załamalam się. Totalnie mnie rozwaliło, tu, w jego salonie.

Nie chciałam rozmawiać.

Chciałam tylko płakać.

Johnny chyba to wyczuł, bo nie zadawał pytań. Nie odezwał się ani słowem. Po prostu obejmował mnie i trzymał mocno, gdy moje życie obracało się w gruzy.

Słowniczek

- Dzień Świętego Szczepana (Boxing Day):** święto obchodzone 26 grudnia.
- Mickey/Willy:** slangowe określenie penisa.
- Dziura:** używane często zamiast słowa „dupa” lub „tyłek”.
- Poitín:** irlandzki biber; nielegalny, pędzony domowymi metodami alkohol.
- Fair City:** popularna irlandzka opera mydlana.
- Rolos:** popularna marka czekolady.
- Buntownicze hrabstwo:** popularna nazwa hrabstwa Cork.
- Szkoła podstawowa:** od młodszych roczników przedszkolnych do szóstej klasy.
- Szkoła ponadpodstawowa:** liceum, od pierwszego do szóstego roku.
- Egzamin końcowy (Leaving Cert):** obowiązkowy egzamin państwowy kończący edukację w szkole ponadpodstawowej; odpowiednik polskiej matury.
- Egzamin połówkowy (Junior Cert):** obowiązkowy egzamin państwowy zdawany po trzecim roku, czyli w połowie sześciolletniej szkoły ponadpodstawowej.
- Maluchy:** pierwszy rok przedszkola.
- Starszaki:** drugi rok przedszkola, odpowiednik polskiej zerówki.
- Pierwsza klasa¹:** pierwsza klasa szkoły podstawowej.
- Druga klasa:** druga klasa szkoły podstawowej.
- Trzecia klasa:** trzecia klasa szkoły podstawowej.
- Czwarta klasa:** czwarta klasa szkoły podstawowej.
- Piąta klasa:** piąta klasa szkoły podstawowej.
- Szósta klasa:** szósta klasa szkoły podstawowej.
- Pierwszy rok:** pierwszy rok szkoły ponadpodstawowej.
- Drugi rok:** drugi rok szkoły ponadpodstawowej.
- Trzeci rok:** trzeci rok szkoły ponadpodstawowej.
- Czwarty rok:** czwarty rok szkoły ponadpodstawowej.
- Piąty rok:** piąty rok szkoły ponadpodstawowej.
- Szósty rok:** szósty rok szkoły ponadpodstawowej.
- GAA (Gaelic Athletic Association):** Gaelicki Związek Sportowy; organizacja zajmująca się promowaniem sportów gaelickich.
- Jackeen:** pejoratywne określenie osoby pochodzącej z Dublinia.
- Dub:** osoba z Dublinia.
- Świeżynka:** osoba, która jeszcze nigdy się z nikim nie całowała.
- Garda:** irlandzka policja.
- Hurling:** bardzo popularny irlandzki sport amatorski, w który gra się z użyciem drewnianych kijów i sliotarów, czyli twardych piłek.
- Camogie:** żeńska odmiana hurlingu.
- Scoil Eoin:** chłopięca szkoła podstawowa, do której chodzili Johnny, Gibsie, Feely, Hughie i Kevin.
- Najświętsze Serce:** koedukacyjna szkoła podstawowa, do której chodzili Shannon, Joey, Darren, Claire, Caoimhe, Lizzie, Tadhg, Ollie, Podge i Alec.

Święta Bernadetta: dziewczęca szkoła podstawowa, do której chodziły Aoife, Casey i Katie.

Anioł Pański: w irlandzkiej telewizji każdego dnia o osiemnastej następuje minuta ciszy przeznaczona na modlitwę.

Żółtko: nielegalna substancja, narkotyk.

Praskie Dzieciątko Jezus: religijna figurka, którą irlandzcy rolnicy wynoszą w pole, żeby zapewnić sobie sprzyjającą pogodę (stary przesąd).

Różaniec, przeniesienie, pogrzeb: trzy dni irlandzkiego pogrzebu.

Sztaba piwa: skrzynka dwudziestu czterech butelek piwa.

Dorwać się do dziury: uprawiać seks.

Dachować: kapryścić, dąsać się, stroić fochy.

¹ Gada – właśc. Garda Siochána; irlandzka policja (przyp. red.).

² Floyd Mayweather – amerykański bokser (przyp. red.).

³ *Bananas in Pyjamas* (ang.) – australijski serial animowany o przygodach dwóch bananów i trzech misiów, emitowany od 1992 do 2013 roku z kilkuletnią przerwą (przyp. red.).

⁴ Wielki Szlem – określenie używane w tenisie na zwycięstwo zawodnika w danej konkurencji zdobyte w jednym roku kalendarzowym na czterech najważniejszych międzynarodowych mistrzostwach: Australian Open, French Open, Wimbledon i US Open (przyp. red.).

⁵ Nawiązanie do pozycji zawodnika rugby z numerem trzynastcie. „Trzynastka” to zewnętrzny środkowy ataku, którego głównymi cechami są: szybkość, zwinność, umiejętność pokonywania przeciwników i podawania piłki podczas ich natarcia (przyp. red.).

⁶ *Sensei* – (z jap.) termin oznaczający kogoś, kto osiągnął mistrzostwo w jakiejś dziedzinie; w japońskich sztukach walki tym mianem określa się trenera (przyp. red.).

⁷ W Irlandii dzieci zaczynają edukację na tym poziomie w wieku 6–8 lat (przyp. tłum.).